

JULIAN MAY

KRWAVE TRILLIUM

**PRZEKŁAD EWA WITECKA
TYTUŁ ORYGINAŁU BLOOD TRILLIUM**

Dla Betsy i Mitchell

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiosna bardzo się spóźniała tego roku na ziemię oświetloną blaskiem Trzech Księżyców. Przedłużające się monsunowe deszcze załamywały niziny Półwyspu, a śnieżyce usypały wysokie zasy wokół wieży Arcymagini na południowym zboczu góry Brom. A tej nocy, kiedy przybył tam mały uciekinier o imieniu Sziki, padał śnieg z deszczem.

Lammergeier, który wraz z nim przebił się przez zawieruchę, był zbyt wyczerpany, by myślał mógł przekazać wieść swoim pobratymcom, jego więc przybycie zaskoczyło i przeraziło wszystkich. Ogromny ptak zdążył tylko osiąść na śliskim dachu wieży i padł martwy. Słudzy Białej Damy początkowo nawet nie zauważyli brzemienia, które tak wytrwale dźwigał. Czarno-białe ciało lammergeiera było zakute w lodowy pancerz. Wolne od szklistej powłoki były tylko skrzydła ogona i głowa. Skórzany płaszcz Szikiego, którym zbieg osłaniał się przed rozhukanym żywiołem podczas tej przerażającej podróży, zeszywniał jak zbroja i przymarzył do grzbietu ptaka. Sam uciekinier, bliski śmierci z wyczerpania, nie miał siły, żeby wypełznąć spod płaszcza. Zginąłby niechybnie, gdyby voornicy opiekujący się skrzydlatymi wierzchowcami nie pośpieszyli mu na ratunek. Natychmiast się zorientowali, że pochodzi z Ludu Gór, z tej samej rasy Vispi, co oni sami, choć jego niski wzrost wskazywał na przynależność do nieznanego plemienia.

— Nazywam się Sziki. Przynoszę wieści dla Białej Damy — wykrztusił przybysz. — Coś strasznego stało się na pomocy — w Tuzamenie. Ja... muszę jej powiedzieć...

Nie dokończył i stracił przytomność. W gorączkowych majakach widział swoją zmarłą żonę i dwójkę nieżyjących dzieci. Przywoływały go gestami, zachęcały, żeby wraz z nimi zamieszkał w złocistej krainie ciepła i spokoju, gdzie pod bezchmurnym niebem kwitło Czarne Trillium. Jakże pragnął się z nimi połączyć! Uwolnić się wreszcie od bólu i ciężaru obowiązku! Nie przekazał jednak jeszcze Białej Damie złowrogich wieści. Poprosił więc widma, by poczekały, aż wypełni swoją misję i powiadomi Arcymaginię o wielkim niebezpieczeństwie. Jego bliscy, potakując z uśmiechem, zniknęli w świetlistej mgle.

Kiedy się ocknął, wiedział, że będzie żył.

Leżał w łóżu w ciemnej, przytulnej komnacie, otulony futrami. Bandaże spowijały jego odmrożone ręce. Lampa przy łóżu świeciła dziwnym, jaskrawożółtym blaskiem. Światło płynęło z dużego kryształu. Deszcz ze śniegiem bębnił w jedyne okno. Było bardzo ciepło, choć pokoju nie ogrzewał ani komin, ani przenośny piecyk. Delikatny zapach przesycił powietrze. Sziko usiadł z trudem. Na stole przy łóżu stały rzędem złote urny. W każdej kwitło Czarne Trillium, takie samo, jakie Odmieniec widział we śnie. W głębi w półmroku dojrzał wysoką kobietę w opończy ze lśniącej białej tkaniny o niebieskawym połysku. Jej twarz osłaniał głęboki kaptur. Sziki, pełen lęku, wstrzymał oddech. Od nieznanym emanowała aura mocy. Opuściła go odwaga i drżał jak przerażone dziecko. Tylko raz spotkał osobę obdarzoną tak potężną mocą i wtedy omal nie zginął.

Kobieta zsunęła kaptur i podeszła do Odmieńca. Łagodnie popchnęła go z powrotem na poduszki.

— Nie lękaj się — powiedziała. Budząca przerażenie aura jakby przygasła i oto Sziki miał przed sobą ładną czarnowłosą człowieczą niewiastę; w jej niebieskich oczach migotały złote błyski a słodki, poważny uśmiech wyginał delikatnie wykrojone usta.

W duszy Odmieńca strach ustąpił miejsca niepokoju. Czyżby ptak przyniósł go do niewłaściwego miejsca? Legendarna Arcymagini, której szukał, była przecież stara, chroniła i strzegła Ludu Gór od czasu, kiedy odeszli Zaginieni. A ta niewiasta wyglądała najwyżej na trzydzieści lat...

— Uspokój się. — Nieznajoma znów przerwała milczenie. — Od niepamiętnych czasów jedna Arcymagini następowała po drugiej, tak jak zostało ustalone na samym początku.

Jestem Arcymagini Haramis, Biała Pani tej ery. Jeszcze nie jestem zbyt biegła w posługiwaniu się mocami przynależnymi temu ważnemu urzędowi, bo sprawuję go dopiero od dwunastu lat. Powiedz mi, kim jesteś i czemu mnie szukałeś, a ja zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

— Pani — odszepnął. Mówił powoli, wyciskał słowa z gardła jak ostatnie krople wody z gąbki. — Poprosiłem mojego wiernego voora, by przyniósł mnie tutaj, ponieważ szukam sprawiedliwości, zadośćuczynienia za wielką krzywdę wyrządzoną mnie, mojej rodzinie i mieszkańcom mojej wioski. Po drodze jednak, kiedy byłem już bliski śmierci, uświadomiłem sobie, że nie tylko ja potrzebuję twojej pomocy. Potrzebuje jej cały świat.

Arcymagini długo patrzyła na niego w milczeniu. Ze zdumieniem zobaczył w jej oczach łzy, które jednak nie spłynęły po twarzy.

— Więc to prawda! — szepnęła. — Całą naszą krainę ogarnął niepokój; pojawiły się pogłoski o złych mocach, które odrodziły się zarówno wśród ludzi, jak i wśród Ludu Gór, Lasów i Bagien, a moje dwie ukochane siostry poróżnił zacięty spór. Szukałam wszakże naturalnych tego przyczyn, nie chcąc uwierzyć, że znów zachwiała się wielka równowaga świata.

— Tak się stało, Pani! — zawołał siadając Odmieniec. — Wierz mi! Musisz mi uwierzyć! Moja własna żona mi nie uwierzyła i dlatego zginęła, a razem z nią nasze dzieci i dużo naszych pobratymców. Zły czarnoksiężnik, który przybył z Krainy Wiecznego Lodu, trzyma teraz w niewoli cały Tuzamen. Ale już niedługo... niedługo... — Chwycił go atak kaszlu. Nie mogąc mówić, miotał się na łożu jak szalony.

— Magiro! — Arcymagini podniosła rękę.

Otworzyły się drzwi i jakaś kobieta szybko podeszła do Szikiego. Spojrzała na niego ogromnymi zielonymi oczami. Miała włosy o barwie platyny i sterczące uszy ozdobione iskrzącymi się klejnotami. W przeciwieństwie do Arcymagini w skromnym białym stroju, nowo przybyła ubrana była we wspaniałe, przejryste i powiewne ciemnoszkarłatne suknie. Nosiła też złoty naszyjnik i bransolety wysadzone wielobarwnymi drogimi kamieniami. W dłoniach trzymała kryształową czarę z parującym ciemnym pyłem. Na rozkaz Arcymagini przytknęła naczynie do warg chorego, który wnet przestał kasłać i odzyskał spokój.

— Za chwilę poczujesz się lepiej — powiedziała Magira. — Odwagi! Biała Pani nie odprawia tych, którzy przychodzą do niej z jakąś prośbą. — Kawalkiem miękkiej tkaniny otarła blade, wilgotne czoło Szikiego. Odmieniec stwierdził z ulgą, że pomocnica Arcymagini ma trójpalczystą dłoń i że również należy do Ludu Gór. Mimo że Magira była wysoka jak człowiecza niewiasta, miała delikatniejsze rysy niż jego współplemieńcy i mówiła z dziwnym akcentem, dodało mu to otuchy, wiedział bowiem, że źródło grożącego światu nieszczęścia kryje się wśród ludzi.

Lecznicy napój był gorzki, ale uspokoił chorego i dodał mu sił. Biała Pani usiadła z jednej strony łoża, a Magira z drugiej. Po kilku minutach Odmieniec uspokoił się i opowiedział swoją historię:

— Mam na imię Sziki, a moje plemię nazywa siebie Dorokami. Mieszkamy w odległym zakątku Tuzamenu, gdzie jezory wiecznego lodu wypełzają z mroźnego centrum świata, docierając niemal do morza. Większa część naszego terytorium to opustoszałe, bezdrzewne wrzosowiska i niegościnnie góry. My, Dorokowie, budujemy swoje małe wioski w głębokich dolinach poniżej zlodowaciałych turni. Gejzery, ogrzewając powietrze i ziemię, pozwalają tam rosnąć drzewom i innym roślinom. Nasze jaskiniowe domostwa są skromne, ale wygodne. Ludzie z nadbrzeżnych osad i Wysp Ognia nie odwiedzają nas często. Rzadko też się kontaktujemy z innymi górskimi plemionami. Wiemy jednak, że nasi krewni zamieszkują góry w wielu częściach świata. Tak jak oni kochamy voory, przyjaźnimy się z nimi i dosiadamy ich. Zdaję sobie teraz sprawę, Biała Damo, że pani Magira i słudzy, którzy mnie tu przyjęli, muszą należeć do uprzywilejowanej przez los gałęzi naszej rasy, która ma zaszczyt ci

służyć. Zaczynam też rozumieć, dlaczego mój biedny, już nieżyjący voor Nunusio nalegał, bym właśnie tobie przyniósł groźne wieści... Wybacz mi, że przerwałem swą opowieść! Już wracam do tematu. Zarabiam na życie polując na czarne fedoki i złociste worramy, które mieszkają w najwyższych partiach gór. Od czasu do czasu wynajmowałem się jako przewodnik ludziom poszukującym cennych metali. Prowadziłem ich do odległych, wolnych od lodu miejsc, gdzie ciepło wielkich wulkanów łagodzi straszliwe mrozy. Ponad dwa lata temu, podczas jesiennej posuchy, trzech ludzi przybyło do naszej wioski. Nie byli poszukiwaczami ani kupcami. Podawali się za uczonych z południa Półwyspu, z Raktum. Powiedzieli, że regentka Ganondri wysłała ich na poszukiwanie rzadkich ziół, które mogłyby wyleczyć ich młodego króla Ledvardisa ze złośliwej słabości. Miała to być roślina występująca jedynie w Kimilonie, dalekiej Krainie Ognia i Lodu, okrążonej lodowcami jak wyspa. Dzięki licznym wulkanom panował tam umiarkowany klimat. Ziele miało ponoć rosnąć wśród niedawno zastygłych skał lawowych, wypłutych z brzucha świata.

Pierwsza Mówczyni naszej wioski, stara Zozi zwana Garbuską, powiedziała przybyszom, że Kimilon leży na zachód od naszej wioski, w odległości ponad dziewięćset mil, i że jest w całości otoczony lodowcami. Można tam dotrzeć tylko powietrzem, na grzbietach wielkich ptaków, które my nazywamy voorami, a ludzie lammergeierami. Podróż jest bardzo niebezpieczna z powodu straszliwych burz smagających Krainę Wiecznego Lodu. Ze wszystkich górskich plemion tylko my, Dorokowie, ośmieliliśmy się zapuścić do Kimilonu na voorach, ale już od prawie dwustu lat nikt z nas tam nie trafił.

Trzej przybysze obiecali dobrze zapłacić dorockiemu przewodnikowi, który zaprowadzi ich do Kimilonu, jednak nikt się nie skusił. Moi współplemieńcy uważali bowiem tę podróż za zbyt niebezpieczną. Odstraszała ich też groźna postawa owych ludzi, a zapach czarnej magii sprawiał, że bali się im zaufać. Jeden mężczyzna ubrany był w czerń, drugi w purpurę, trzeci zaś miał na sobie strój jaskrawożółty. Przybysze nie zrazili się odmową i zażądali, abyśmy sprzedali im voory, bo postanowili sami polecieć do Kimilonu!

Nasza Mówczyni pohamowała oburzenie i wyjaśniła, że te wielkie ptaki są wolnymi istotami, a nie naszą własnością, i noszą nas na grzbietach tylko z przyjaźni. Przypomniała też obcym bardzo grzecznie, iż ostre szpony i dzioby voorów są groźne dla tych, którzy nie są ich przyjaciółmi. Wówczas cudzoziemcy ponowili ofertę wysokiej zapłaty dla dorockiego przewodnika, który zechce im towarzyszyć. Nikt jednak nie chciał ich słuchać. W końcu wsiedli na swoje froniałe i udali, że opuszczają wioskę. Moi ziomkowie uważają mnie za najlepszego przewodnika i obcy na pewno o tym się dowiedzieli. Pewnego dnia, kiedy wróciłem po obejściu zastawionych na zwierzynę pułapek, zastałem moją jaskinię pustą. Moja żona i dwie córeczki zniknęły i nikt z mieszkańców wioski nie umiał powiedzieć, co się z nimi stało. Tamtej nocy, oszalały z rozpaczy, upiłem się prawie do nieprzytomności wódką z mgławiczek. Koło północy ubrany na czarno nieznajomy zastukał do mych drzwi i oświadczył, że ma dla mnie ważne wieści. Tak, odgadłaś już wszystko, Pani. Te łotry porwały moją rodzinę, chcąc mnie zmusić, bym został ich przewodnikiem! Ostrzegli, że jeśli pisnę komuś choć słowo, zabiją mi żonę i dzieci. Obiecali jednak, że po bezpiecznym powrocie z Kimilonu oddadzą mi ich i wynagrodzą mnie workiem platyny wartym tyle, co moje dziesięcioletnie zarobki. — Możecie odbyć tę niebezpieczną podróż na próżno, jeśli nie znajdziecie ziela, którego szukacie — powiedziałem porywaczom. Wtedy ci łajdacy roześmieli się wesoło. — Nie ma takiego ziela — odparł ów odziany w purpurę. — Coś innego czeka na nas i nie cierpi zwłoki. Wezwij zatem swoje najwytrzymalsze lammergeiery — cztery będą naszymi wierzchowcami, a dziesięć poniesie zapasy, które są nam niezbędne — i odlecimy przed świtem. — Musiałem ich usłuchać. Nie będę opowiadał o straszliwym przelocie nad Krainą Wiecznego Lodu. Trwał siedem dni i nocy. Moje dzielne voory mogły zatrzymać się tylko na krótkie odpoczynki na smaganych wichrami zboczach. Kiedy w końcu przybyliśmy do Krainy Ognia i Lodu, wulkany właśnie wybuchały, rozpalona lawa

wyływała z kraterów i czarny dym przesłaniał niebo. Padał deszcz gorącego popiołu, okrywając ziemię białym płaszczem i zatruwając skąpą roślinność.

Znaleźliśmy tam samotnego człowieczego mężczyznę. Wybudował sobie dom z bloków zastygłej lawy, szeroki jak dwie obory dla feroli, wtulony w wielki klif, nie tylko mocny, lecz także piękny. Człowiek ten musiał się pewnie odżywiać jedynie porostami, jadalnymi korzeniami i jagodami z pobliskich nielicznych krzewów oraz nagimi ślimakami i skorupiakami żyjącymi w gorących źródłach. Źródła zasypywał teraz spadający bez przerwy popiół, a mieszkaniec domu wychudł na szczapę. Był wysoki, niemal dwukrotnie wyższy ode mnie. Brudne żółtawe włosy i broda sięgały mu prawie do kolan.

Twarz miał pomarszczoną, poznaczoną bliznami i zapadnięte jasnoniebieskie oczy ze złotawą iskierką w głębi. Dostrzegłem w nich błysk szaleństwa. Niezdarnie uszyte sandały chroniły jego stopy przed ostrymi skałami, a sztywna, połatana szata z roślinnych włókien z pewnością mu wystarczała, podziemny ogień sprawia bowiem, że w Kimilonie jest znacznie cieplej niż w otaczającej go lodowej krainie. Natychmiast zrozumiałem, że celem naszej wyprawy było uratowanie tego człowieka, który nazywał się Portolanus. Bez wątpienia musiał być potężnym czarownikiem. Muszę wyznać ci szczerze, Biała Pani, że emanowała od niego taka sama przerażająca aura magii, jaka otacza ciebie, ale jego magia nie miała w sobie nawet odrobiny łaskawości. Z Portolanusa aż promieniowała ledwie powstrzymana wściekłość i gniew, jakby jego dusza była kłębowiskiem rozżarzonych niszczycielskich emocji, które w każdej chwili mogły wybuchnąć niczym wulkan, gdyby zechciał dać im upust. Początkowo z trudem porozumiewał się w ludzkiej mowie. Nigdy się nie dowiedziałem, jak długo przebywał w tym strasznym miejscu, ani w jaki sposób zdołał przywołać tamtych trzech ratowników, którzy traktowali go z największym szacunkiem, ale zarazem i strachem. Przywieźli mu nowe śnieżnobiałe szaty z kosztownej materii. Kiedy się najadł, wykapał, ostrzygł brodę i włosy, w niczym nie przypominał owego nieszczęśnika, który wrzasnął triumfalnie, kiedy woory osiadły w pobliżu jego domostwa. Zapasy, które słudzy Portolanusa kazali mi załadować na dodatkowe ptaki, oprócz prowiantu i małych namiotów, w których spaliśmy na wyspie, składały się tylko z lin i worków. Niebawem się dowiedziałem, do czego były im potrzebne — jako opakowania. Podczas gdy woory odpoczywały, a mnie pilnował na zewnątrz jeden z łajdaków, czarnoksiężnik i jego dwaj słudzy weszli do kamiennego domu. Po jakimś czasie wynieśli stamtąd liczne tobołki, które załadowali na juczne ptaki. Wróciliśmy do Tuzamenu tą samą niebezpieczną trasą. Nie poleciliśmy jednak wcale do mojej wioski, tylko na wybrzeże, do położonej u ujścia Białej Rzeki nędznej ludzkiej osady Meriki, którą jej mieszkańcy nazywają stolicą Tuzamenu. Tam czwórka łotrów zdjęła z voorów tajemniczy ładunek przy ruinach zamku Tenebrose nad morzem. Zwolnili mnie, dali mi małą sakiewkę platynowych monet, mniej niż dziesiątą część tego, co obiecali. Portolanus przyrzekł wypłacić resztę, gdy, jak się wyraził, „jego los się poprawi”. Pomyślałem, że to ładna opowieść, przezornie jednak zamilczałem. Słudzy czarnoksiężnika wyjaśnili mi, gdzie znajduje się odległa pieczara, w której zamurowali ‘moją rodzinę’. Oświadczyli, że moi bliscy są bezpieczni. Wróciłem z moimi voorami w góry i uratowałem żonę i córki. Były głodne, zmarznięte i brudne, ale całe i zdrowe. Możesz sobie wyobrazić, jak radosne było nasze powitanie. Moja małżonka ucieszyła się na widok sakiewki i z miejsca zaczęła układać plany, na co wydać pieniądze. Zabroniłem im też mówić o naszych przejściach, gdyż kiedy ma się do czynienia z ludźmi, a zwłaszcza z władcami ciemnych mocy, nigdy dość ostrożności.

I przez prawie dwa lata żyliśmy w pokoju. Nowiny ze świata ludzi bardzo powoli docierają do odległych dolin Doroków. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że Portolanus, podający się za stryjecznego wnuka wielkiego czarownika Bondanusa, który rządził Tuzamenem czterdzieści lat wcześniej, szybko odsunął Thrinusa, nominalnego władcę tej krainy, i sam przejął rządy. Powiadano, że on i jego zwolennicy posługiwali się magicznym orężem, z którym nie mogło

się równać zwyczajne uzbrojenie, a ich samych nie sposób było zranić. Podobno umieli też zawładnąć duszami swoich wrogów i zamienić ich w bezsilne marionetki.

Powtórnie spotkałem Portolanusa podczas Zimowych Deszczów, dwadzieścia dni temu. Wtargnął w środku nocy do naszego domu z magicznym grzmiotem, niemal wyrwijąc mocne drzwi z zawiasów. Moje córki obudziły się z krzykiem, a ja i żona o mało nie oszaleliśmy ze strachu. Tym razem czarnoksiężnik jakoś ukrył swoją aurę i poznałem go tylko po tym huk i oczach. Pod zabłoconym podróżnym płaszczem nosił królewski strój. Jego ciało odzyskało dawny wigor, a głos nie był już ochrypliwy, lecz dźwięczny i władczy. — Musimy znów udać się do Kimilonu, Odmieńcze — powiedział. — Wezwij dwa woory dla siebie i dla mnie i jeszcze jednego do objuczenia niezbędnymi zapasami. — Przepęłniało mnie głębokie oburzenie i strach, gdyż wiedziałem, jeśli nawet on nie miał o tym pojęcia, że poprzednio o włos uniknęliśmy śmierci, a podróżowaliśmy podczas posuchy. Przedsięwzięcie takiej niebezpiecznej podróży teraz, podczas najgorszych huraganów, byłoby czystym szaleństwem. Powiedziałem mu to. — A jednak tam polecimy — odparł. — Moje czary powstrzymają nawałnice. Nic złego ci się nie stanie. Tym razem otrzymasz zapłatę z góry i pozostawię ją twojej żonie, żeby myśl o wspaniałym zarobku dodawała ci otuchy podczas podróży. — Wyciągnął spod płaszcza haftowaną skórzaną sakiewkę i wysypał na stół stos oszlifowanych drogich kamieni: rubinów, szmaragdów oraz rzadkich żółtych diamentów, połyskujących w migotliwym blasku ogniska.

Odmówiłem jednak. Moja żona była brzemienna, a jedna z córek chorowała i mimo zapewnień czarownika obawiałem się, że nie wrócimy żywi z tej niebezpiecznej wyprawy. Ku mojemu przerażeniu żona zaczęła robić mi wymówki, wskazując, ile wspaniałych rzeczy będziemy mogli kupić za te kamienie. Jej głupota i chciwość rozgniewały mnie. Kłóciliśmy się głośno, podczas gdy dzieci płakały i zawodziły. Wreszcie Portolanus wrzasnął: — Dość tego!

I nagle otoczyła go przerażająca aura. Stał się jakby wyższy i zrobił się taki groźny, że cofnęliśmy się ze strachem. Wyciągnął z mieszka przy pasie jakiś ciemny metalowy pręt. Zanim się zorientowałem, czarownik dotknął tym prętem głowy mojej żony. Żona bezwładnie osunęła się na podłogę. Zrobił to samo z moimi biednymi córeczkami, a potem wycelował we mnie czarodziejską różdżkę. — Demonie! — krzyknąłem. — Zabiłeś je! — Nie są martwe, tylko nieprzytomne — odparł. — Obudzą się jednak wtedy, gdy znów dotknę je tym magicznym przyrządem. A zrobię to dopiero po naszym powrocie z Kimilonu. — Nigdy! — oświadczyłem z mocą, skupiłem się i wysłałem myślowy Zew do moich współplemieńców. Mimo burzy i mroku przybiegli mi na pomoc z mieczami i kuszami w dłoniach, i zgromadzili się pod skalnym nawisem osłaniającym wejście do mojej jaskini. Portolanus wybuchnął śmiechem. Uchylił nieco drzwi i wyrzucił na dwór jakiś mały przedmiot. Zobaczyłem jaskrawy błysk, a potem krzyki ustały. Czarnoksiężnik wyszedł na zewnątrz. Moi dzielni przyjaciele leżeli smagani deszczem w ciemnościach, oślepieni i bezbronni. Nieruchomieli, gdy Portolanus po kolei dotykał ich różdżką.

Otworzyły się drzwi domów, bliscy wybiegli z płaczem i krzykiem. Czarnoksiężnik odwrócił się do mnie. Jego aura zmroziła mnie jak lodowaty wiatr, a straszliwe oczy błyszczały niczym diamenty osadzone w czarnym obsydianie. — Tylko od ciebie zależy, czy umrą, czy będą żyć — przemówił bardzo spokojnie. — Już ich zabiłeś! — zawołałem, nie mogąc się powstrzymać. — Zawołam moje woory, one rozszarpia cię na kawałki!

Wtedy Portolanus mnie też dotknął swoją różdżką. Poczułem się tak, jak musi się czuć zdmuchiwana świeca: pochłonęła mnie pustka. Gdy przyszedłem do siebie, leżałem na plecach, w błocie, bezwładny jak nowo narodzony wariat, i wiatr chłostał mnie po twarzy. Czarodziejska różdżka znajdowała się tuż przy moim nosie, a jej właściciel patrzył na mnie ze złością, — Ty głupi Odmieńcze! — wysyczał. — Zrozum, że nie masz wyboru! Sparaliżowałem cię, a potem przywróciłem do przytomności za pomocą czarów. Twoja

rodzina i przyjaciele też odzyskają przytomność, ale tylko wtedy, jeśli będziesz mi posłuszny! — Voory nie mogą przelatywać większych odległości podczas burzy — odmruknąłem. — Zimą zwykle spędzają w swoich gniazdach. — Na to Portolanus: — Potrafię uspokoić burzę. Przywołaj ptaki i ruszajmy w drogę.

Utraciwszy resztki odwagi i nadziei, przystałem na jego warunki. Moich sparaliżowanych ziomeków ich najbliżsi zanieśli do domów. Czarnoksiężnik wyjaśnił, jak się mają opiekować swymi mężami i ojcami oraz moją rodziną aż do mego powrotu. Kiedy w końcu wzbiliśmy się w powietrze, Portolanus polecił trzem vooram lecieć blisko siebie, sam siedział na środkowym. W jakiś cudowny sposób zmniejszył siłę podmuchów i lecieliśmy jak podczas pięknej pogody. Kiedy ptaki się zmęczyły, osiedliśmy na oblodzonym szczycie góry i schroniliśmy się w namiotach. Voory skuliły się wokół. Przez cały ten czas czary Portolanusa osłaniały nas przed wiatrem i śniegiem. Tym razem, pomimo nie ustających śnieżyc, dotarliśmy do Kimilonu w ciągu sześciu dni. Przybyłem tam zdrowy, lecz załamany i zrezygnowany.

Portolanus zabrał z kamiennego domu tylko jedną rzecz: ciemny kufer długości mojego ciała, szeroki na trzy dłonie i tak samo wysoki. Wykonano go z jakiejś gładkiej substancji podobnej do czarnego szkła. Na wieku wryto srebrzystą gwiazdę o wielu promieniach. Uradowany Portolanus otworzył kufer, by mi pokazać, że jest pusty w środku. — Niewinnie wygląda, prawda, Odmieńcze? — zapytał. — A przecież jest to mój klucz do podboju świata! — Wyjął spod pięknego kaftana zawieszony na łańcuszku, zniszczony i poczerniały medalion w kształcie takiej samej gwiazdy. — Tak jak ten medalion, który ocalił mi życie! W krajach południa są czarownicy, którzy oddaliby swoje nieśmiertelne dusze za te przedmioty, królowie i królowe zaś rzekliby się w zamian władzy. Obie rzeczy należą jednak do mnie, a ja żyję i posłużę się nimi dzięki tobie.

Zaczął się śmiać jak szaleniec. Otoczyła mnie mroźna mgła Krainy Wiecznego Lodu. Złąkłem się, że zginę na miejscu z rozpacz i wstrętu do samego siebie. Usłyszałem jednak myśl mojego ukochanego voora Nunusia, nakazującą mi zebrać odwagę. Przypomniałem też sobie rodzinę i współplemieńców porażonych czarami Portolanusa. — Musimy natychmiast stąd odlecieć — mówił. — Nadciąga straszna burza, która zmusi tego złego człowieka do wyłączenia całej swojej magii. Trzeba oddalić się od Kimilonu, zanim żywioły rozpętają się na dobre.

Łamiącym się głosem powtórzyłem Portolanusowi słowa voora. Czarownik zaklął głośno (dziwaczne to było jakieś przekleństwo) i szybko owinął workiem cenny kufer. Przywiązał toból do grzbietu swojego wierzchowca. Ruszyliśmy w drogę w chwili, gdy nieprzeniknione chmury opadły nad wulkanami. Nasza powrotna podróż była taka okropna, że niewiele z niej pamiętam. Portolanus zdołał odrobinę uspokoić wicher, bo nie cisnęło nas na oblodzone szczyty, nie potrafił jednak zmniejszyć potwornego zimna. Piątego dnia nawałnica wreszcie ucihła. Tej nocy obozowaliśmy na lodzie w blasku Trzech Księżyców. Czarnoksiężnik, wyczerpany walką z żywiołami, spał jak zabity. Odważyłem się zatem posłać Zew do wioski z zapytaniem o los mojej rodziny i innych porażonych czarami Doroków. Stara Zozi przekazała mi straszną wieść: ci, którzy początkowo jakby tylko spali czarodziejskim snem, na drugi dzień wyzionęli ducha i odeszli spokojnie w zaświaty. Nie było mowy o żadnej pomyłce. Moi zrozpaczeni współplemieńcy spalili więc ich ciała na wielkim wspólnym stosie pogrzebowym. Nie mogłem się powstrzymać; krzyknąłem głośno z żalu i bólu. Portolanus obudził się, a ja nazwałem go przeklętym kłamcą i mordercą. Wyciągnąłem nóż myśliwski i schowałem go dopiero wtedy, gdy czarownik zagroził mi swoją różdżką. — Mówiłem ci już, że ten przyrząd nie szkodzi ludziom — oświadczył. — Przecież sam szybko przyszedłeś do siebie i byłeś nieprzytomny tylko minutę. Musiało się stać coś nieprzewidzianego. Wy, Odmieńcy, macie inne ciała niż ludzie. Może jesteście bardziej wrażliwi na działanie mojej różdżki? — Może?! — zawołałem. — I tylko to masz mi do powiedzenia, ty, który

zamordowałeś tyle niewinnych istot?! — Nie zamierzałem ich zabić — odpowiedział. — Nie jestem potworem bez serca. — Zamyślił się, a ja tylko obrzucałem go bezradnie przekleństwami. — Wynagrodzę ci stratę bliskich i współplemieńców potrajając zapłatę i biorąc cię na służbę — dodał. — Jestem teraz panem Tuzamenu, a z czasem zawładnę światem. Voornik bardzo by mi się przydał.

Miałem na języku zjadliwą odpowiedź, ale ostrożność kazała mi się pohamować. Nic nie przywróci życia mojej żonie, dzieciom i przyjaciom. Pomyślałem, że zemścę się na tym czarnoksiężniku w taki czy inny sposób. Gdybym go teraz zaatakował, mógłby zabić mnie na miejscu. Dzielił nas tylko dzień lotu od granic Krainy Wiecznego Lodu, a moja wioska znajdowała się zaledwie o godzinę drogi dalej. — Rozważę twoją propozycję — warknąłem i odwróciłem się do niego plecami. Udałem, że chrapię, i Portolanus niebawem zasnął. Zacząłem się zastanawiać, co powinienem zrobić. W chwili, gdy miotała mną wściekłość i żal, gotów byłem zabić tego podłego człowieka. Ochłonawszy nieco zdałem sobie wszakże sprawę, że nie potrafiłbym tego uczynić z zimną krwią. Były jeszcze voory... ale im też nie mogłem kazać zaatakować śpiącego. Gdybym zamordował Portolanusa, nie byłbym od niego lepszy. Wypełzłem więc z namiotu, zbliżyłem się do Nunusia i poprosiłem o radę. — Dawno temu, Lud Gór popadłszy w ciężkie tarapaty szukał zwykle porady Arcymagini — powiedział mój przyjaciel — Białej Damy, która jest jego strażniczką i opiekunką. — Odpowiedziałem, że owszem, w dzieciństwie słyszałem o Arcymagini, ale ona mieszka gdzieś na końcu świata i pewnie są jej obojętne kłopoty biednego Doroka z Tuzamenu. — My, voory, wiemy, gdzie mieszka Biała Dama — odrzekł — i to jest naprawdę daleko. Jeśli starczy mi sił, zaniosę cię do niej, a ona wymierzy sprawiedliwość.

Porozumiałem się z pozostałymi ptakami, nakazałem im donieść czarownika bezpiecznie na skraj Krainy Wiecznego Lodu, lecz nie dalej, potem zaś wrócić do wioski. Niech moi pokrzywdzeni ziomkowie podzielą między siebie pozostawione przez Portolanusa drogie kamienie i resztę mego dobytku. Przekazałem voorom jeszcze jedno życzenie: żeby wszystkie na zawsze opuściły wioskę, bo a nuż jakiś inny przewodnik-pechowiec ściągnie na nią nieszczęście, jeżeli czarnoksiężnik wróci i zażąda dalszych usług. Bez voorów moi pobratymcy nie będą mu potrzebni...

Potem odleciałem z Nunusiem i w końcu dotarłem do ciebie, Biała Damo, z tą opowieścią.

ROZDZIAŁ DRUGI

Haramis i Magira opuściły małą sypialnię i zeszły krętymi schodami do biblioteki Arcymagini.

— To nie mógł być on! — zawołała Magira. — Orogastus zginął! Berło Mocy go unicestwiło!

— Pożyjemy, zobaczymy. — Na twarzy Arcymagini malowała się niepewność. — Na razie wystarczy nam wieść, że władca Tuzamenu jest czarownikiem zdolnym naruszyć równowagę świata. Wiemy też, gdzie był uwięziony: Kimilon. Już gdzieś spotkałam tę nazwę...

Biblioteka była ogromną, wyładowaną księgami komnatą wysoką na trzy piętra. Haramis kazała rozbudować dawny gabinet Orogastusa w jego wieży na zboczu góry Brom. Najczęściej pracowała właśnie w bibliotece — wertując dawne kroniki, księgi traktujące o magii i tysiącu innych tematów — z nadzieją, że pomoże jej to w wykonywaniu ciężkiego zadania, jakiego się podjęła. Ogień palił się bez przerwy w kominku naprzeciwko drzwi, gdyż Haramis często szukała natchnienia wpatrując się w trzaskające płomienie, choć takie ogrzewanie było znacznie mniej skuteczne niż hypokaustum. Dwoma spiralnie wznoszącymi się rampami na przeciwległych krańcach gigantycznej komnaty można się było dostać do najwyższych półek. Wysokie, wąskie okna oświetlały bibliotekę za dnia. Umieszczone przy oknach magiczne lampy rozlewały o zmroku miękkie blask. Przed kominkiem stał na dużym stole niezwykle kandelabr, który rozjarzał się lub gasł pod dotykiem pewnego miejsca na jego podstawie.

Stojąc teraz na środku biblioteki Haramis zamknęła oczy, oparła dłoń na swoim talizmanie, różdżce z białego metalu z kołem na końcu, którą nosiła na szyi. Otworzyła oczy, wbiegła na rampę i chwyciła wielką księgę.

— Tutaj! To właśnie tu! Znalazłam ją w ruinach Noth, gdzie tak długo mieszkała Arcymagini Binah.

Z rozmachem położyła na stole zakurzony wolumin, uderzając weń trzykrotnie Trójskrzydłym Kręgiem. Księga otwarła się i rozjarzyły się w niej niektóre słowa. Haramis przeczytała na głos:

— Niech stanie się wiecznym i niezmiennym prawem dla Ludu Gór, Bagien, Lasów i Morza, że każdy znaleziony w ruinach wytwór Zaginionych zostanie okazany Pierwszym ich siedziby. Ci zbadają znalezisko, sprawdzając, czy nie jest ono niebezpieczne, trudne do kontrolowania, tajemnicze i czy nie zawiera potężnej magii. Ludowi Gór, Bagien, Lasów i Morza nie wolno posługiwać się takimi wytworami ani ich sprzedawać. Niech zgromadzi je w bezpiecznym miejscu i raz do roku wyśle do Arcymagini, która ukryje je na Niedostępnym Kimilonie albo rozporządzi nimi jak należy...

— Gromadzimy teraz niebezpieczne urządzenia na górze Brom, w Jaskini Czarnego Lodu — powiedziała Magira.

— A ja przyjąłam, błędnie, jak się zdaje — pokiwała głową Haramis — że ów Kimilon to jakiś schowek w wieży Noth, która zniknęła po śmierci starej Arcymagini. Jeżeli jednak nasz przyjaciel Sziki ma rację, to ów otoczony lodami Kimilon był dawną skrytką Binah... a może i jej poprzedniczek.

Córka Kraina stała marszcząc brwi i wpatrywała się w rozwartą księgę, leniwie postukując w nią różdżką. Nie zapaliła magicznego świecznika, odłamek zaś bursztynu z kopalnym kwiatkiem trillium, umieszczony pomiędzy skrzydełkami na szczycie kręgu, świecił swoim własnym, łagodnym blaskiem.

— Jeżeli ten czarownik jest tym, o kim myślimy, znalazł się na Niedostępnym Kimilonie tylko dlatego, że Berło Mocy go tam wysłało, kiedy ja i moje siostry poprosiliśmy, by osądziło jego i nas.

— Ale dlaczego?! — zawołała Magira. — Czemu Berło Mocy miałyby to zrobić? Dlaczego nie unicestwiło czarnoksiężnika? Czyż działanie tego potężnego talizmanu nie miało przywrócić światu równowagi?

Haramis, nie odrywając wzroku od rozjarzonego bursztynu, mówiła jakby do siebie:

— Miałyby całe lata na zbadanie zgromadzonych tam wspaniałych starożytnych przyrządów i maszyn. Potem, w jakiś sposób, przyzwał swoje sługi i przejął kontrolę nad Tuzamenem za pomocą urządzeń Zaginionego Ludu.

— Ale dlaczego? Dlaczego Berło Mocy na to pozwoliło?! — Zakłopotanie Magiry ustąpiło miejsca strachowi

— Nie wiem. — Haramis pokręciła głową. — Jeżeli tamten czarownik naprawdę żyje, stało się tak dlatego, że ma widocznie odegrać jakąś rolę w przywróceniu wielkiej równowagi świata. Myśleliśmy, że to się już dokonało, ale ostatnie wydarzenia wskazują, iż się myliliśmy.

— Moim zdaniem to on jest źródłem tych wszystkich naszych ostatnich kłopotów! — oświadczyła Magira. — To jego wysłannicy pewnie sięją niepokój na granicach zamieszkałych przez ludzi terytoriów i budzą zamieszanie wśród Leśnego Ludu. Kto wie, może nawet wywołali ów godny pożałowania antagonizm między królową Anigel i Panią Czarodziejskich Oczu...

Haramis zmęczonym ruchem podniosła dłoń.

— Moja droga Magiro, zostaw mnie samą. Muszę się zastanowić, pomodlić i podjąć decyzję, co robić dalej. Zaopiekuj się naszym gościem, a kiedy wróci do sił, porozmawiam z nim ponownie. A teraz idź już.

Zostawszy sama, Arcymagini utkwiała niewidzące spojrzenie w spływającym deszczem oknie biblioteki. Przypomniała sobie nie tylko potworne zło wyrządzone światu przed dwunastu laty przez mężczyznę, którego twarz starała się przegnać z pamięci i ze snów. Zdołała o nim zapomnieć, wierzyła, że nie żyje, zniszczyła wspomnienie zamętu, jaki wzbudził w jej duszy, zamieszania, które pomyliła z miłością...

Nie.

Bądź uczciwa w stosunku do samej siebie, powiedziała sobie w duchu. Chciałaś wierzyć w kłamstwa, które ci naopowiadał: że nie nakłonił króla Voltrika z Labornoku do napaści na Ruwendę, że nigdy nie żądał głów twoich rodziców, prawowitych władców Ruwendy, ani nie knuł spisku zmierzającego do zabicia ciebie i twoich sióstr. Uwierzyłaś mu, ponieważ go kochałaś. Kiedy jednak przejrzałaś jego oszustwa, kiedy wyjawiał ci swoje plany podboju świata i poprosił, byś dzieliła z nim władzę, przeraziłaś się i odwróciłaś się od niego z pogardą.

Odrzuciłaś jego monstrualną wizję, tak jak odtrąciłaś jego samego. Nigdy jednak go nie nienawidziłaś.

Nie, nigdy nie mogłaś się do tego zmusić, ponieważ w tajemniczym zakątku twego serca zachowałaś miłość do niego. A teraz, kiedy uświadomiłaś sobie, że twój ukochany żyje, obleciał cię błądy strach, nie tylko przed zniszczeniem, jakie potrafi siać na świecie, lecz także przed zemstą, którą może na tobie wyrzucić...

— Orogastusie — szepnęła czując, że serce jej się ściska: po tak długim czasie odważyła się wymówić jego imię. — Oby Trójjedyny Bóg sprawił, żebyś nie żył. Nie żył i był uwięziony w najgłębszym z dziesięciu piekieł! — Wybuchnęła płaczem i zdała sobie sprawę, że cofa to przekleństwo, błagając jednocześnie niebiosa o śmierć ukochanego, a zarazem znenawidzonego mężczyzny. Upłynęło dużo czasu, zanim się opanowała. Usiadła przed

kominkiem i skupiła uwagę na swoim talizmanie, trzymając go przed sobą jak zwierciadło i wpatrując się w srebrny krąg.

— Pokaż mi to, co najbardziej zagraża równowadze świata — powiedziała stanowczym tonem.

Lśniaca mgielka wypełniła krąg na szczycie różdżki. Początkowo barwy były blade niczym masa perłowa na muszlach morskich skorupiaków, potem jednak rozjarzyły się i utworzyły na środku kręgu plamę, najpierw różową, potem czerwoną, wreszcie szkarłatną, która podzieliła się na trzy części, tworząc kwiat, trillium koloru krwi, jakie nigdy nie kwitło w Świecie Trzech Księżyców. Obraz utrzymał się tylko chwilę, i zaraz potem zgasł. Haramis miała wrażenie, że jej ciało zamieniło się w bryłę lodu.

— Ja i moje siostry? — szepnęła. — To my, a nie on zagrażamy światu? Co ma znaczyć wizja, którą mi pokazałeś?

W srebrnym kręgu odbijały się teraz płomienie z kominka, a odłamek bursztynu z kopalnym Czarnym Trillium świecił jak zwykle.

— To impertynenckie pytanie — odpowiedział w jej umyśle talizman.

— O, nie, nie ujdzie ci to na sucho! — zawołała Haramis. — Nie oszukasz mnie, jak tyle razy przedtem. Rozkazuję ci odpowiedzieć na moje pytanie: czy my, Trzy Płatki Żywego Trillium, zagrażamy równowadze świata, czy też zagraża jej Orogastus?

— To impertynenckie pytanie — powtórzył talizman.

— Bądź przeklęty! Odpowiadaj!

— To impertynenckie pytanie — usłyszała znów księżniczka. Grad bębnił o szyby, a płonące polano, syjąc iskrami, runęło z hukiem w kominku. Trójskrzydły Krąg pozostał niewzruszony, jakby kpił z Haramis, przypominając, jak mało wie o jego działaniu pomimo swych wieloletnich badań. Arcymagini spostrzegła, że ręce jej się trzęsą; nie wiedziała, z gniewu czy ze strachu. Uspokoili się wysiłkiem woli i ponownie zwróciła się do talizmanu:

— Przynajmniej pokaż mi, czy Orogastus żyje, czy też jest martwy.

Perłowa mgielka jeszcze raz wypełniła czarodziejskie koło. Błede kolory wirowały, jakby próbowały stworzyć jakiś obraz. Nie pojawiła się jednak żadna twarz. Po chwili Trójskrzydły Krąg znów był pusty.

A więc to tak. Należało się tego spodziewać. Jeżeli Orogastus żyje, na pewno osłonił się przed obserwacją. Można wszakże zadać talizmanowi ostatnie pytanie.

— Pokaż mi przedmiot, który Portolanus zabrał z Kimilonu.

Tym razem wizja była wyraźna. Arcymagini zobaczyła niską ciemną skrzynię z gwiazdą na wieku, tak jak opisał ją Odmieniec. Lecz teraz kufer był otwarty i odsłoniła się metaliczna siateczka w środku. W jednym z rogów znajdował się kwadrat z iskrzących się drogich kamieni. Haramis z zakłopotaniem wpatrywała się w skrzynię, kiedy talizman przemówił do niej:

— Ten przyrząd rozrywa istniejące już więzy i pozwala stworzyć nowe.

— Rozrywa więzy? Jakiego rodzaju?

— Takie jak te, które łączą mnie z tobą.

— Trójjedyny Boże! — krzyknęła Arcymagini. — Czy to znaczy, że ta skrzynia mogłaby oderwać ode mnie i od moich sióstr talizmany tworzące Berło Mocy i podporządkować je Portolanusowi?!

— Tak. Wystarczy tylko umieścić talizman w skrzyni i kolejno dotknąć osadzonych w nim magicznych kamieni.

Ogarnięta trwożą, nękana złymi przecuciami Haramis udała się do swoich komnat. Wzięła stamtąd futro i ciepłe rękawice — postanowiła złożyć wizytę w Jaskini Czarnego Lodu. Specjalny strój, który Orogastus zawsze wkładał przed wejściem do pieczary, i przygotowany przezeń duplikat dla Haramis, stanowiły część całkowicie zbędnego rytuału. Czarownik starał się bowiem ułagodzić nim ciemnych bogów, w których wierzył. Nie

rozumiał jednak źródeł swojej mocy, myląc starożytną naukę z magią i zbytnio na tej ostatniej polegając, a jednocześnie lekceważąc prawdziwe czarostwo, którego nauczył się od swego mistrza Bondanusa.

— A ja, na Czarny Kwiat, jestem rada, że zaniedbał tę wiedzę — powiedziała do siebie Haramis. — Mógłby zwyciężyć, gdyby zwrócił przeciw nam prawdziwą magię.

Poszła do najniższej części wieży, drugiego tunelu prowadzącego do wnętrza góry Brom. Nierówne ściany podziemnego korytarza, tak jak i resztę wieży, oświetlały cudowne, pozbawione płomieni lampy, nie wydzielając ciepła. Otuliwszy się ciepłym futrem, ciągnąc za sobą mgiełkę oddechu, Haramis szła szybko przed siebie. Nie była w Jaskini Czarnego Lodu od lat, gdyż to miejsce budziło w niej wielki niepokój. Nie odpychała jej wszakże aura czarnej magii, tylko wspomnienie Orogastusa.

Otworzyła masywne, oszronione drzwi na końcu tunelu i weszła do wielkiej pieczary z granitu, przeszycyego żyłkami białego kwarcu. Podłoże pokrywały szkliste płytki tak ciemne i śliskie jak czarny lód, wyrastający ze szczelin w ścianach i suficie. W ścianach znajdowały się nisze z nieznanymi przedmiotami o skomplikowanych kształtach. Szkliste czarne drzwi prowadziły do kolejnych pomieszczeń wypełnionych równie dziwnymi rzeczami. Orogastus powiedział jej, że jaskinia była składem czarodziejskich przyrządów powierzonych mu przez Ciemne Moce. Haramis jednak już wówczas podejrzewała, że są to maszyny Zaginionego Ludu — niektóre czarownik kupił od Odmieńców, inne zaś znalazł na miejscu. Kazał zbudować swoją wieżę, żeby chronić Jaskinię Czarnego Lodu i mieć łatwy dostęp do tej składnicy cudów techniki. Po śmierci Orogastusa Haramis objęła w posiadanie jego dawną siedzibę, nigdy jednak nie korzystała z zawartości pieczary, wzbogacając ją powoli innymi zakazanymi przyrządami, które Lud Bagien znajdował w ruinach. Wśród tych ukrytych w Jaskini Czarnego Lodu przedmiotów było wiele broni.

Ale nie ten, którym Arcymagini zamierzała posłużyć się tego wieczora.

Otworzyła obsydianowe drzwi i weszła do wąskiego pomieszczenia, w którym jedna ściana była pokryta grubą warstwą szronu. Tkwił w niej szary, podobny do zwierciadła krąg, starożytna maszyna mogąca odnaleźć i ukazać każdego mieszkańca Świata Trzech Księżyców. Nie była całkowicie sprawna i ostatnim razem, kiedy Haramis poprosiła o odszukanie glismackiej czarownicy Tio–Ko–Fra, coś zatrzeszczało, a potem instrument się wyłączył, mamrocząc niezrozumiale, że jest wyczerpany. Od owego wszakże czasu wiele lat wypoczywał w spokoju i istniała przynajmniej niewielka szansa, że odzyskał siły. Haramis wiedziała, że będzie zmuszona bardzo ostrożnie i precyzyjnie sformułować pytanie, gdyż jej pierwsza od lat prośba łatwo mogła być ostatnią. Stała naprzeciw okrągłego zwierciadła, odetchnęła głęboko i powiedziała głośno:

— Spełnij moją prośbę!

Zobaczyła w szarym kręgu tylko swoje odbicie i po jakimś czasie powtórzyła prośbę nienaturalnie wysokim tonem.

Maszyna obudziła się! W zwierciadle słaby blask zastąpił odbicie Arcymagini i rozległ się cichy szept:

— Odpowiadam. Pytaj, proszę.

Użyła tego samego tonu, i zredukowanego do najprostszych zwrotów języka, którego nauczył ją Orogastus, kiedy starał się zdobyć jej miłość, zdradzając swoje największe tajemnice.

— Pokaż osobę. Zlokalizuj ją.

Powoli — jakże powoli! — zwierciadło się rozjarzyło.

— Prośba przyjęta. Imię osoby — syknęło.

Arcymagini stworzyła w umyśle obraz Orogastusa i ogarnęło ją przerażenie, że tak łatwo przypomniała sobie jego twarz, surową i piękną, okoloną długimi srebrzystymi włosami. Tym

razem jednak nie odważyła się wymówić jego poprzedniego imienia. Kimkolwiek jest ten nowy czarownik, musi go ujrzyć i dowiedzieć się, kto jest teraz jej największym wrogiem.

— Portolanus z Tuzamenu — powiedziała.

— Szukam — odparło ledwie dosłyszalnie zwierciadło. Na jego powierzchni eksplodowały barwy, jakby parodiując talizman Haramis. Szary krąg powiedział coś sykliwie i niezrozumiale. Arcymagini chciała krzyczeć z rozpaczy i irytacji, powstrzymała się jednak wiedząc, że starożytna maszyna mogłaby uznać za rozkaz każde wypowiedziane słowo. Dałoby to niepożądany rezultat, a może nawet spowodowało samowylączenie urządzenia.

Drgające kłębowisko kolorów uspokoiło się i w zwierciadle pojawiła się ledwie widoczna mapa morza w okolicy wysp Engi. Z dała od kontynentu mrugał świetlny punkcik. Haramis poczuła zawrót głowy. Serce waliło jej jak młotem, jakby chciało wyskoczyć z jej piersi niczym uwięzione w klatce dzikie zwierzę.

Maszyna najpierw zlokalizuje poszukiwanego, a później ukaże jego twarz.

Mapa zniknęła i ukazał się nowy obraz, jeszcze mniej wyraźny niż pierwszy. Z pewnością była to twarz mężczyzny, ale tak zamazana i zaciemniona, że mogła należeć do każdego. Haramis ogarnęła bezsilna wściekłość. Po chwili skarciła samą siebie, nazywając się w myśli głupią idiotką.

Obraz zgasł. Zwierciadło wyszeptało jeszcze kilka niezrozumiałych słów, a potem światło w jego centrum zniknęło. Haramis zrozumiała, że maszyna już nigdy się nie obudzi. Drżała nie tylko z zimna: miały ją mieszane uczucia, nad którymi starała się zapanować.

Portolanus był gdzieś na morzu. Bez wątpienia dążył na południe wraz z tuzameńskim poselstwem do tego samego miejsca, do którego zmierzały też siostry Arcymagini. Władął całym narodem Tuzamenu. Miał dostęp do skarbów Zaginionego Ludu, które mogły być znacznie niebezpieczniejsze dla świata niż maszyny zgromadzone w Jaskini Czarnego Lodu. Zdobył też tajemniczą skrzynię z gwiazdą na wieku. Ten Przyrząd umożliwiał złączenie czarnoksiężnika z każdym talizmanem, jeśli tylko zdołałby odebrać go właścicielowi. Może Portolanus był zwykłym czarownikiem, który przypadkiem znalazł skrytkę Arcymagini Binah? W takim razie był bardzo niebezpieczny. Trzeba będzie starannie zorganizować przeciw niemu kampanię. Jeżeli jednak Portolanus to Orogastus... No cóż, to twardszy orzech do zgryzienia — i nie tylko z powodu uczuć Haramis.

Przypomniała sobie, że Berło Mocy z sobie tylko wiadomego powodu mogło przenieść Orogastusa do Niedostępnego Kimilonu. Niewykluczone, że po dwunastu latach wygnania czarnoksiężnik nauczył się w końcu władać prawdziwą magią. Haramis tego jeszcze nie potrafiła.

ROZDZIAŁ TRZECI

Przygotowanie spotkania Kadiyi i przywódców Aliansów zajęło kilka miesięcy. Kadiya przywiązywała do niego tak wielką wagę, że nawet naradzała się z Nauczycielem w Przybytku Wiedzy, zanim postanowiła, jakiej strategii użyje. Aliansowie, Lud Morza, w niczym nie przypominali posłusznych rozkazom Białej Damy tubylczych plemion Ruwendy, które od razu zaakceptowały przywództwo jej wojowniczej siostry. Dla Aliansów Arcymagini była na poły zapomnianą legendą, a Pani Czarodziejskich Oczu — nieznaną człowieczą niewiastą, której niełatwo zaufają.

Kadiya siedziała teraz po jednej stronie wewnątrz wielkiej chaty na Wyspie Rady, wodzowie Ludu Morza zaś z drugiej. Słaby powiew poruszał lekko liśćmi lownu, z których spleciono ściany. Talizman córki Kraina, Potrójne Płonące Oko, leżał przed nią na macie, owiązany kwiatami i pachnącymi liśćmi winorośli na znak pokoju. Obok spoczywał podobnie ozdobiony miecz Wielkiego Wodza Aliansów.

Siedzący tuż za księżniczką Jagun z plemienia Nyssomu i wyvilscy wojownicy tworzący jej eskortę poruszyli się niespokojnie. Narada ciągnęła się już blisko trzy godziny. Lecz Kadiya gotowa była poświęcić całą uwagę Har-Chissowi i jego trzydziestu wodzom tak długo, jak długo okazywali chęć prowadzenia rokowań. Wyjaśniła już im szczegółowo swoją propozycję. Jako Pani Czarodziejskich Oczu, Wielka Opiekunka i Przedstawicielka Ludu Bagien i Lasów w stosunkach z ludźmi, zaproponowała również Aliansom swoje pośrednictwo w ich długoletnim sporze z królestwem Zinory. Przybyła, żeby doprowadzić do zawarcia pokoju.

Lud Morza wysłuchał jej słów w głuchym milczeniu. Potem Har-Chiss gestem nakazał podległym wodzom wyłuszczyć żale Aliansów na człowieczych mieszkańców Zinory. Wodzowie po kolei opisywali okrucieństwa wyrządzone ich rasie przez zinorańskich kupców. Opowieści te wprowadziły Kadię w konsternację, gdyż diametralnie różniły się od wersji podanej przez króla Yondrimela, który zlekceważył jednakże możliwość jej interwencji w tym sporze. Było jasne, że sprawy wyglądały znacznie gorzej niż mogła przypuszczać.

Kobieta-wódz z plemienia zamieszkującego jedną z mniejszych wysp właśnie kończyła przemowę. Jej wielkie żółte oczy o pionowych źrenicach wysunęły się z oczodołów. Zgrzytała zębami z gniewu. Jej plecie było biedne, miała więc na szyi tylko dwa sznury niekształtnych pereł i niczym nie przyozdobiony kaftan z trawy. Łuski na jej grzbiecie i górnych kończynach nie były pomalowane jak u jej pobratymców. U pasa przywiązała niezgrabną kamienną siekierę z ozdobami z muszli.

— Powiadasz, że powinniśmy zawrzeć pokój z ludźmi z Zinory! — Machnięciem pletwiastej ręki objęła grupę tubylczych przywódców. — My, dumni Aliansowie! Żyliśmy wolni na naszych wyspach od czasów, gdy Wielka Ziemia była jeszcze uwięziona w okowach lodu. Ale dlaczego mielibyśmy cię posłuchać? To Zinoranie przybywają do nas i oszukują nas podczas transakcji handlowych. Jeśli odmawiamy sprzedaży naszych pereł, kiszati i wonnych olejków, kradną je! Palą nasze wioski! Nawet nas zabijają! Zabili mojego syna! Pani Czarodziejskich Oczu, słyszałaś, co powiedzieli inni wodzowie, którzy zaświadczyli o okrucieństwach, do jakich posuwają się zinorańscy kupcy. Nie chcemy dłużej mieć z nimi do czynienia. Nie musimy z nimi handlować. Sprzedamy nasze towary narodom Okamisu i Imlitu, które żyją po drugiej stronie Płytkiego Morza. Powiedz temu nowemu, zapalczywemu królowi Zinory, że plujemy na niego! Ośmiela się twierdzić, że nasze wyspy są częścią jego królestwa! To głupiec i kłamca. Bezwietrzne Wyspy należą do Ludu Morza, który na nich mieszka, a nie do człowieka — chwalił się żyjącego w pięknym pałacu na Wielkiej Ziemi.

Zgromadzeni w chacie Aliansowie głośnym okrzykiem powitali jej słowa.

— Jeżeli kupcy znów przybędą — ciągnęła kobieta — wódz — powiem ci, co z nimi zrobimy! Nasi wojownicy zaczają się w swoich łódkach przy zewnętrznych rafach, a kiedy zinorańskie statki będą się skradać, by uderzyć na nas zniecka, przedziurawimy im kadłuby i zatopimy je bez ostrzeżenia. Kiedy zaś morze wyrzuci na brzeg ciała Zinoran, obdrzemy je ze skóry i zrobimy z niej bębny! Czaszki zaś ułożymy w stosy na przybrzeżnych skałach, a grissy i pothi uwiją na nich gniazda! Ryby objedzą trupy tchórzliwych najeźdźców, a morski potwór Heldo zamieszka w zatopionych korabiach!

Przywódcy Aliansów krzyknęli głośno na znak, że się z nią zgadzają, kiedy niewiasta — Odmieniec skrzyżowała pokryte łuską ramiona i zajęła swoje miejsce.

Na końcu wstał Wielki Wódz Har-Chiss. Wyglądał wspaniale, o głowę przewyższał najwyższego człowieka, aczkolwiek nie sięgał wzrostu Wyvilów. Widok jego twarzy o krótkim pysku, błyszczących kłach i pomalowanych złocistą farbą łusek przestraszyłby najkrwawszego z raktumiańskich piratów. Har-Chiss nosił krótką spódniczkę z pięknego niebieskiego jedwabiu sprowadzonego z Varu, a jego stalowa zbroja, przepasana zdobnym szlachetnymi kamieniami pendentem, mogła powstać tylko w królewskiej kuźni w Zinorze. Ten milczący i srogi mężczyzna wolał, by najpierw pomniejsi wodzowie wyliczyli krzywdy wyrządzone Ludowi Morza. Teraz, kiedy tamci skończyli, zwrócił się do Kadiyi głębokim chrapliwym głosem:

— Pani Czarodziejskich Oczu, Lelemar z Vorinu wyraziła uczucia nas wszystkich. Wysłuchaliśmy tego, co miałaś nam do powiedzenia, i ty nas wysłuchałaś. Mienisz się Opiekunką Ludu Gór, Bagien i Lasów, jednym z Trzech Płatków Żywego Trillium, rodzoną siostrą Białej Damy. Pokazałaś nam swój magiczny talizman nazywany Potrójnym Płonącym Okiem. Wiemy, że niektóre lądowe plemiona — Nyssomu, Uisgu, Wyvilowie i Glismakowie — nazywają cię swoją przywódczynią i słuchają twoich rad. Proponujesz, żebyśmy zrobili to samo. Powiadasz też, iż jesteś rodzoną siostrą królowej Anigel z Laboruwendy, która, pospołu ze swym małżonkiem, królem Antarem, ciemieży naszych nieposlušnych pobratymców... Oprócz tego jesteś człowiekiem...

Aliansowie skinęli głowami, zamruczeli i zawarczeli. Wódz Har-Chiss mówił dalej:

— Nakłaniałaś nas do zawarcia pokoju z Zinorą. Przekonujesz nas, że jesteśmy mniej liczni niż ludzie i nie tak zręczni w prowadzeniu wojny. Powiadasz, że nasze kobiety i dzieci ucierpią, jeżeli będziemy walczyli z Zinoranami, i że lepiej będzie, jeśli zawrzemy z nimi kompromis. Czyż jednak ty i twoje siostry nie rozkazałyście dumnym niegdyś Glismakom wyrzec się dzikich obyczajów? I czy teraz nie cierpią przez to, zmuszeni do budowy dróg na bagnach Ruwendy, zamiast żyć swobodnie w Lesie Tassaleyo? Czyż wraz z Nyssomu, Uisgu i Wyvilami nie są traktowani jak niższe istoty, poddane woli ludzi, którzy wśród nich mieszkają?

Zgromadzeni przywódcy Ludu Morza znów skinęli głowami i wydali okrzyk oburzenia. Wielki Wódz uciszył ich gestem.

— Dlatego powiadam ci, Kadiyo od Czarodziejskich Oczu, że Aliansowie nigdy nie zawrą pokoju z Zinoranami i nigdy nie podporządkują się woli żadnego innego człowieka. Jesteśmy wolni i pozostaniemy wolni!

Rozległy się głośne wiwaty. Kadiya wstała i Odmienicy zamilkli. Zbliżał się zmierzch, panujący w chacie półmrok rozjaśniał tylko ciepły blask bursztynu z kopalnym trillium, osadzonego w rękojeści talizmanu, oraz wielkie, świecące oczy tubylców: wrogich ludziom Aliansów i Wyvilów, wiernych przyjaciół Kadiyi.

— Pozwólcie, że najpierw sprostuję wasze błędne wyobrażenia o sytuacji Glismaków — zaczęła. — Jeśli nie uwierzycie moim słowom, zapytajcie mojego towarzysza Lummomu-Ka, wodza Wyvilów i Pierwszego Mówcy wioski Let, który uczynił mi wielki zaszczyt towarzysząc mi w tej misji. Kiedyś Glismakowie żyli łupiąc Wyvilów, swoich sąsiadów. Gdy wyrzekli się swych niemoralnych obyczajów, musieli znaleźć inne środki utrzymania. Jedni

Glismakowie zostali leśnikami jak Wyvilowie, a drudzy zgodzili się pracować przy budowie królewskiej Bagiennej Drogi przez moczary Ruwendy, finansowanej przez królową Anigel. Moja siostra ofiarowała im godziwą zapłatę. W porze suchej tysiące Glismaków wyruszyło na północ do pracy przy drodze. Jednak podczas ostatniej posuchy niektórym z nich przestał się podobać nowy tryb życia. Zażądali podwojenia zapłaty i innych rzeczy, których ludzie nie mogli im zapewnić. Zbuntowali się więc, zabili kilku ludzi, a ludzie wtedy zabili kilku buntowników. Reszta wróciła do lasu. Dumni i chciwi Glismakowie uniemożliwiają teraz tym swoim pobratymcom, którzy chcą dalej pracować, powrót na budowę. To poważna sprawa i szukam dla niej rozwiązania. Pracuję też nad usunięciem nierówności i niesprawiedliwości, które wciąż istnieją pomiędzy innymi Ludami Półwyspu a ludźmi. Chętnie współpracowałabym także z wami, pośrednicząc w waszych sporach z Zinorą. Mój talizman, Potrójne Płonące Oko, który jest częścią wielkiego Berła Mocy, zapewni zwycięstwo sprawiedliwości.

Har-Chiss odchrząknął wymijająco. Jego towarzysze powitali słowa księżniczki szyderczymi gwizdami i warczeniem. Kadyia jakby tego nie zauważała. Siedziała w pełnej godności postawie przed gromadą przedstawicieli Ludu Bagien i Lasów, ze wrokiem utkwionym w talizmanie. Talizman Kadiyi wyglądał jak zwykły, pozbawiony czubka miecz o stępionych brzegach, a jego właścicielka sprawiała wrażenie zwykłej człowieczej niewiasty średniego wzrostu z kasztanowatymi włosami, w tunice ze złocistych łusek milingala, ozdobionej Potrójnym Okiem. Wszyscy Aliansowie słyszeli opowieści o tym, że rękojeść talizmanu składa się z trzech magicznych Oczu, które mogą zabijać pozbawionym płomieni ogniem nie tylko wrogów księżniczki, ale i każdego, kto choćby tylko dotknął niezwykłego miecza bez jej pozwolenia.

Dlatego Wielki Wódz Har-Chiss uciszył tych spośród swoich ziomków, którzy nie okazali Ruwendiance należnego szacunku, i starannie ukrył pogardę dla tej słabej człowieczej czarownicy. Chciała się mianować opiekunką Aliansów! Kto ją prosił, by wtrącała się w ich sprawy? Na pewno król Zinory, który był człowiekiem jak ona! Nie, nie jest przyjaciółką Ludu Morza. Nigdy nie raczyła ich odwiedzić, zjawiała się dopiero teraz, kiedy młody król Yondrimel wysunął pretensje do Bezwietrznych Wysp. Har-Chiss nie zgłaszał się na to spotkanie póki Kadyia nie obiecała pomóc Aliansom. A teraz stało się jasne, że chodziło jej tylko o to, żeby się poddali. Ta Pani Czarodziejskich Oczu jest jedynie niebezpieczną intrygantką. Trzeba wszakże postępować z nią ostrożnie, gdyż mogłaby siłą narzucić Ludowi Morza swoją wolę. Jej magiczny talizman... Bez niego byłaby nieszkodliwa. Ale sam talizman...

Teraz jednak Har-Chiss musiał odpowiedzieć na mowę Kadiyi, a honor Aliansów wymagał powiedzenia prawdy.

— Pani Czarodziejskich Oczu — rzekł poważnie i uprzejmie Wielki Wódz — dziękujemy ci za twoją troskę o Lud Morza. Jeśli jednak naprawdę chcesz nam pomóc, uprzedź króla Yondrimela, że lepiej, by nas nie molestował. Powiedz mu, że odrzucamy jego pretensje do Bezwietrznych Wysp i że nie będziemy z nim handlować dopóty, dopóki Trzy Księżyce świecą na nocnym niebie. Ostrzeż go, że śmierć spotka jego żeglarzy, jeśli zapuszczą się między rafy i mielizny strzegące naszych wysp. Powiedz mu to i spraw, by ci uwierzył. Wtedy okażesz się prawdziwą przyjaciółką Aliansów. Skończyłem.

Podniósł swój miecz, zerwał zeń kwiaty i ze złowrogim zapachem wsunął na powrót do pochwy.

— Na zewnątrz moi współplemieńcy przygotowują pożegnalną ucztę dla ciebie i twoich towarzyszy. Przybądź na nią o wschodzie trzeciego księżyca. Z szacunkiem, lecz stanowczo żądamy, byś opuściła nasze wyspy przed wschodem słońca i pośpieszyła do Zinory.

Tylko zaciśnięte pięści Kadiyi zdradzały jej reakcję na słowa Har-Chissa. Podniosła talizman i gestem kazała powstać swoim towarzyszom. Wszyscy skłonili głowy przed wodzami Ludu Morza, a potem wyszli z chaty w niebieski zmierzch.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem uszu Aliansów, na brzegu morza pod wysokimi, łagodnie kołyszącymi się na wietrze drzewami lown, księżniczka powiedziała:

— Przyjaciele, doznałam niepowodzenia. Nie byłam dostatecznie przekonująca. Mogłam nawet jeszcze pogorszyć wszystko. Har-Chiss jasno dał do zrozumienia, że odrzuca mnie tak samo, jak odrzuca moją propozycję.

— Zażądał, żebyśmy odpłynęli przed wschodem słońca. — Lummomu-Ko pokiwał głową, przypomniawszy sobie ledwie zawołowany rozkaz Wielkiego Wodza. — My, Wywilowie, uznalibyśmy to za śmiertelną obrazę. Myślę, że nasi kuzyni i Ludu Morza myślą tak samo. Kadiya wydała okrzyk irytacji, a jednocześnie rozpaczy.

— Nie trać ducha, Jasnowidząca Pani — powiedział Jagun, myśliwy z ludu Nyssomu. Był przyjacielem Kadiyi od dzieciństwa i jej najbliższym doradcą. — Konflikt pomiędzy Ludem Morza a Zinorą trwa od dawna. Nie możesz winić siebie za to, że nie zdołałaś go załagodzić już przy pierwszej próbie.

— Gdybym tylko mogła im zaofiarować jakieś ustępstwa ze strony króla Zinory! — powiedziała z goryczą. — Ale Yondrimel jest uparty jak przeciążony ładunkiem volumniał i myśli tylko o zademonstrowaniu swojej odwagi innym władcom Półwyspu, którzy przybędą na jego koronację.

— Zrobiłaś, co mogłaś, żeby go przekonać — nie ustępował Jagun. — W przyszłości, jeśli okaże się, że Aliansowie nie ustąpią w sprawie wznowienia handlu z Zinorą, niewykluczone, że król Yondrimel zechce cię posłuchać. Jest młody i mógłby nauczyć się mądrości. Trunki i różnokolorowe korale z Bezwietrznych Wysp są wysoko cenione w Zinorze, a perły wiele znaczą w zinorańskim handlu z innymi narodami.

Wywilscy wojownicy, jej gwardziści, wyszli z Kadiya, by rozprostować nogi przed ucztą, ale księżniczka wraz z Jagunem i Lummomu-Ko usiadła na piasku i wpatrzyła się w morze. Monsun przestał wiać i wody wokół Wyspy Rady były gładkie jak zwierciadło z ciemnego metalu. Odbijał się w nich pierwszy z księżyców, który właśnie wschodził. Na horyzoncie rysowały się ciemne sylwetki innych, mniejszych wysp oraz samotnych skał i skalnych łuków. Jasno oświetlony varoniański statek, który przywiózł Kadiyę i jej towarzyszy, stał na kotwicy wśród raf, w odległości mili od brzegu. Jego człowieczej załodze zabroniono wyjść na ląd.

— Czy wrócimy do Zinory, jak polecił nam Har-Chiss? — zapytał Lummomu-Ko. Bardzo przypominał Aliansów. Był wysoki, silny, a jego rysy były mniej ludzkie niż rysy Nyssomu, lusgu i Vispi. Miał na sobie piękne szaty laboruwenduńskiego szlachcica, uszyte wedle najnowszej mody, gdyż Wywilowie byli równie próżni jak dzielni i uczciwi.

— Podróż do Zinory nie na wiele się zda, stary przyjacielu — odparła Kadiya. — Dopłyniemy do Taloazinu podczas uroczystości koronacyjnych, a ja wolałabym nie obnosić się ze swoją porażką przed zgromadzonymi tam królami. Nie, lepiej będzie, jeśli po prostu wyślę list do Yondrimela. Później skontaktuję się z nim osobiście. Moje niepowodzenie nie powinno poderwać prestiżu królowej Anigel.

— Ale jak to możliwe, Jasnowidząca Pani? — spytał oszołomiony Jagun. — Przecież nie ma żadnego związku pomiędzy skargami Aliansów a daleką Laboruwendą.

Kadiya roześmiała się ponuro. Gładziła trzy czarne wypukłości zamkniętych teraz czarodziejskich oczu na rękojęści talizmanu. Umieszczony w rękojęści odłamek bursztynu z kopalnym trillium zaświecił jaśniej pulsującym blaskiem.

— Młody król Zinory jest bardzo ambitny, a szczególną przyjemność sprawiłoby mu komentowanie niepowodzenia mojej misji w obecności innych monarchów. Zaznaczyłby, że nie udało mi się pogodzić zbuntowanych Glismaków w Laboruwendzie z jej człowieczymi

mieszkańcami. Opowiedziałyby o swoich dalekosiężnych planach zmiążdżenia Aliansów, tym samym wyrządzając niejawnym afront królowej Anigel i królowi Antarowi, oni bowiem nie postępują równie bezwzględnie z ruwendiańskim Ludem Bagien i Lasów. Król Yondrimel na pewno schlebiałby potężnej królowej–regentce z Raktum, przedstawiając swoją siostrę i jej małżonka jako niekompetentnych, a mnie — jako bezsilną.

— Nadal jednak nie rozumiem, jak ta sprawa mogłaby zaszkodzić twojej siostrze — powiedział wódz Wyvilów.

— Królowa Ganondri z Raktum chciałyby powiększyć swoje królestwo kosztem Laboruwendy — wyjaśniła Kadiya. — Mogłaby nawet obalić Anigel i Antara, gdyby pewne człowiecze ugrupowania w Labornoku uznały ich rządy za słabe. Unia między Labornokiem i Ruwendą opiera się na kruchych podstawach, utrzymuje ją głównie ludzki lęk przed Trzema Płatkami Żywego Trillium. Jeśli dwa Płatki wydadzą się niekompetentne, a trzeci tak odległy, w górskiej twierdzy, zajęty głównie naukami tajemnymi, związek obu królestw może się rozpaść.

— Czy ty i królowa Anigel nie mogłybyście pokonać wszystkich człowieczych wrogów za pomocą magicznych talizmanów? — pytał dalej Lummomu–Ko.

— Nie — zaprzeczyła Kadiya. — Tak jak nie mogłabym zmusić Yondrimela i Aliansów do zawarcia pokoju. Nasze talizmany nie działają w ten sposób.

— Człowiecza polityka! — Wódz Wyvilów aż przewrócił wielkimi oczami. — Któż może ją zrozumieć? Nikt spośród was nie jest taki, na jakiego wygląda. Działania, które wydają się proste i jasne, mają głęboko ukryte motywy. Wasze narody nigdy nie są zadowolone z życia i nie pozwalają innym żyć w spokoju, ale zawsze spiskują przeciw sobie i w oszrukańczy sposób poszukują dodatkowej władzy... Dlaczego ludzie nie mogą postępować względem siebie tak otwarcie i bez udawania jak uczciwy Lud Gór, Bagien i Lasów?

— Często zadaję sobie to pytanie — westchnęła Kadiya — ale nie znam odpowiedzi. — Wstała i otrzępała piasek z szat. — Proszę was teraz, przyjaciele, byście pozostawili mnie samą aż do wschodu ostatniego z Trzech Księżyców, kiedy to razem udamy się na ucztę pożegnalną. — Wskazała na pulsujący światłem bursztyn u swego boku. — Jak sami zauważyliście, talizman sygnalizuje, że któraś z moich sióstr chce się ze mną porozumieć. Jagun i Lummomu–Ko wstali, lecz wódz Wyvilów dodał na odchodnym:

— Pozostaniemy w pobliżu i będziemy cię mieć w zasięgu wzroku. Nie podobał mi się ton przywódcy Aliansów podczas pożegnania.

— Nie ośmieliliby się mnie zaatakować! — odparła Kadiya prostując się i chwytając gałkę talizmanu.

— Oczywiście, że nie. — Lummomu–Ko pochylił głowę. — Proszę cię o wybaczenie, Pani Czarodziejskich Oczu.

Wraz z Jagunem poszli brzegiem morza. Wódz Wyvilów zwolnił kroku, żeby maleńki łowca mógł za nim nadążyć. Zatrzymali się za grupą skał w odległości pięćdziesięciu elli, nie odrywając wzroku od Kadiyi.

— To śmieszne — mruknęła, a potem podniosła Potrójne Płonące Oko i zapytała spokojnie: — Kto mnie wzywa?

Czarna powieka uniosła się, odsłaniając piwne oko o identycznej barwie jak oczy Kadiyi. Natychmiast zobaczyła w myślach swoją siostrę Haramis.

— Na Czarny Kwiat, Kadi, już najwyższy czas! Dlaczego nie odpowiedziałaś od razu? Obawiałam się, że spotkało cię jakieś nieszczęście.

Kadiya odburknęła coś niegrzecznie pod nosem i powiedziała głośniej:

— Czuję się świetnie, ale moja misja zakończyła się całkowitym fiaskiem. — Zrelacjonowała pokrótce to, co się wydarzyło na naradzie, i dodała: — Nie wrócę do Zmory. Moja obecność tylko utrudniłaby sytuację Ani i Antara. Doszliśmy do martwego punktu w sprawie zrównania Ludu Bagien i Lasów w prawach z ludźmi. Ponadto wątpię, czy

mogłabym się zdobyć na uprzejmość wobec obojga. Oburzyła mnie niezręczność, jaką okazali przy tłumieniu rewolty Glismaków. Wiedzą, że trudno nazwać Glismaków naprawdę cywilizowanymi. Gdyby taktowniej postąpili ze zbuntowanymi budowniczymi drogi, tamci nigdy nie uciekliby się do użycia siły. Haramis, słysząc to, machnęła lekceważąco ręką.

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Mam dla ciebie ważne nowiny. Ale najpierw... Zastanów się dobrze nad tym, co ci teraz powiem, siostrze. Zauważyłaś ostatnio — za pośrednictwem talizmanu lub w jakiś inny sposób — oznaki świadczące, że została naruszona wielka równowaga świata?

— Nie — odparła krótko Kadiya. — Pozostawiam to tobie, Arcymagini. Dotychczas martwił mnie brak równowagi w stosunkach ludzi z Aliansami i Glismakami. Niewiele miałam czasu na coś innego. Ponieważ moja misja się nie powiodła, wróć do Krainy Błot przez Var, a potem popłynę Wielkim Mutarem. Spróbuję przejednać Glismaków podczas podróży przez ich terytorium. Później wróć do Przybytku Mądrości i poradzę się Nauczyciela.

— Tak. To oczywiste, że musisz to zrobić. Miałam jednak ważne powody, by cię zapytać o równowagę świata. Kadi... Otrzymałam wieści pozwalające przypuszczać, że Orogastus żyje.

— Co takiego?! To niemożliwe! Berło Mocy unicestwiło go dwanaście lat temu, gdy zwyciężyłyśmy króla Voltrika.

— Tak wszyscy myśleli. Ale przybył do mnie Odmieniec z Tuzamenu, maleńki myśliwy imieniem Sziki. Ryzykował życie, by przynieść mi dziwną wieść. Opowiedział, że jacyś mężczyźni zmusili go do lotu na grzbiecie lammergeiera do miejsca znajdującego się w samym środku Krainy Wiecznych Lodów. Ludzie ci uwolnili czarownika, który spędził tam wiele lat. Ten czarownik nazywa się Portolanus i to właśnie on zdobył tron Tuzamenu.

— Niewiele wart jest ten tron! — roześmiała się szyderczo Kadiya. — Słyszałem o tym Portolanusie z Tuzamenu. Wydaje się, że to tylko parweniusz, który ma pewne zdolności do rzucania pomniejszych czarów. Trójjedyny Bóg wie, że zdobycie tego nędznego gniazda wartów, jakim jest Tuzamen, nie wymaga wielkiej czarodziejskiej mocy. Twój talizman sprawdził, czy ten Władca Magii rzeczywiście jest Orogastusem?

— Nie — przyznała Haramis. — Nie chce mi powiedzieć, czy Orogastus żyje, czy nie. Nie chce mi też ukazać twarzy tego Portolanusa. Nigdy dotąd tak mnie nie zawiódł. Ale jeśli nawet ów Portolanus nie jest Orogastusem, może okazać się bardzo niebezpieczny dla nas i dla naszych poddanych.

Kadię ogarnęło wtedy uczucie, którego nie doznała od wielu lat. Wyłoniło się z głębin jej umysłu jak ohydny Skritek powoli wynurza się z wody. Był to strach. Ledwie jednak zidentyfikowała to uczucie, natychmiast przegnała je wysiłkiem woli.

— Jeżeli Orogastus żyje, rozprawimy się z nim jak poprzednio — oświadczyła. — Złączymy nasze talizmany w Berło Mocy i obrócimy go w nicość, na co sobie zasłużył!

— Chciałabym, żeby było to takie proste. — Smutek zamglili oczy Haramis. Lecz zaraz uśmiechnęła się do Kadiyi. — Jednakże ten Portolanus w końcu będzie musiał stawić nam czoło, a my zostałyśmy uprzedzone o jego pojawieniu się w Tuzamenie. Uważaj na siebie, siostrze, i odezwij się do mnie natychmiast, gdy tylko zauważysz jakieś oznaki braku równowagi na świecie.

— Zrobię to — obiecała Kadiya i obraz Haramis znikł.

Dawno minęła północ, kiedy Kadiya, Jagun, Lummomu-Ko i piętnastu wywilskich wojowników powróciło na brzeg morza, i wsiadło do dwóch łódek, które miały ich zawieźć na statek. Morze było spokojne, a na czarnym niebie świeciły gwiazdy i trzy półksiężycy. Byli ociężały od przejedzenia, a ponadto wypili za dużo znakomitego, acz szybko idącego do głowy trunku zwanego kiszati. Pożegnalna uczta, zamiast podnieść ich na duchu, sprawiła, że poddali się melancholii. Wywilowie pragnęli wrócić do Lasu Tassaleyo, a Kadiya i Jagun

tęsknili za Pałacem Czarodziejskich Oczu, który Nyssomu zbudowali dla swojej człowieczej przywódczyni, jej doradców i służby na wysokim brzegu rzeki Golobar na Zielonych Błotach Ruwendy.

Kadiya czuła zawroty głowy i mdłości. Siedziała przy sterze jednej łodzi, a Jagun sterował drugą. Lummomu–Ko zaś wiosłował wraz ze swymi współplemieńcami i najgłośniej ze wszystkich śpiewał ponurą pieśń wyvilskich wiosłarzy. Niskie, basowe tony pieśni i złe samopoczucie Kadiyi sprawiły, że nie usłyszała cichych, złowrogich dźwięków. Zorientowała się, że grozi im niebezpieczeństwo, dopiero wtedy, gdy szybko przybierająca woda na dnie łódki sięgała już po kostki. Księżniczka krzyknęła. Odpowiedział jej okrzyk Jaguna.

— Jasnowidząca Pani, toniemy! Przybądź nam na pomoc!

— My również toniemy! — zawołała. — Szybko! Skierujcie się do najbliższej rafy!

Ponad pół mili najeżonej ostrymi rafami głębokiej wody dzieliło ich od statku. Wyvilowie wiosłowali tak szybko, że biała piana otoczyła łódkę. Kadiya usłyszała pełen ulgi głos Jaguna:

— Jestem na rafie!

Wszyscy krzyczeli. Kil jej czółna zgrzytnął o coś. Łódka przechyliła się gwałtownie. Wyvilowie porzucili wiosła i z pluskiem wygramolili się na skałę.

— Ze mną wszystko w porządku! — krzyknęła księżniczka. — Ratujcie się sami! — A potem, gdy łódka zniknęła już pod czarną powierzchnią wody, nagle zdała sobie sprawę, że coś mocno trzyma jej stopy. Szamotała się zaciekle, by się uwolnić. Nie przyszło jej do głowy, że powinna wołać o pomoc.

Zareagowała dopiero wtedy, gdy już było za późno. Z jej gardła wydobył się tylko zduszony jęk, a potem musiała wstrzymać oddech. Zanim zanurzyła się w falach, ujrzała Lummomu–Ko, który wraz z innym wyvilskim wojownikiem zeskoczył z rafy. Płynęli ku Kadiyi.

Obciążona zbroją z żelaznych łusek i talizmanem księżniczka opadła w dół ciężko jak kamień. Przez cały czas miała wrażenie, że w jakiś niezrozumiały sposób zaplątała się w tonącej łódce. Rozpaczliwie próbowała uwolnić nogi. Nie wiedziała, co ją uwięziło: nie było to ani drzewo, ani sznur, lecz coś szorstkiego i twardego. Sięgnęła do niewidocznych kajdan, które wciąż ścisnęły jej kostki. Co to mogło być? Gdybyż tylko była trzeźwiejsza i mogła logicznie myśleć! Woda roiła się od świetlnych punkcików — meduz i świecących wodorostów — które falowały wokół. Wyglądało to bardzo pięknie... Nagle Kadiya zdała sobie sprawę, że tonie.

Paliło ją w piersi, jakby wypełniał ją rozpalony metal, ciśnienie wody wypierało powietrze z płuc. W głowie czuła narastający syczący ryk. Nie zdoła dłużej wstrzymać oddechu. Połyskliwe bąbelki trysnęły z jej ust i nosa i pomknęły ku górze, ku świecącym morskim stworzeniom. Ukryty w pochwie talizman również się jarzył, nie złotym, lecz promiennym zielonym blaskiem przywodzącym na myśl korzonek trillium, który przed laty prowadził Kadiję przez Cierniste Piekło.

Kopnij! Kopnij mocno! Oderwij się od tego, co cię więzi... Udało się jej i przez chwilę była wolna. Za moment jednak coś znów ją chwyciło, ciągnąc za nogę w głębinę. Zbyt późno sobie uświadomiła, że ktoś trzyma jej kostkę. Czuła pazury na stopie obutej w rzemienne sandały, potężne mięśnie napięły się, by sparaliżować wszelkie próby uwolnienia się z uścisku niewidocznego przeciwnika.

Zalała ją fala gniewu. To Aliansowie! Lummomu–Ko miał rację przypuszczając, że Lud Morza szykuje zdradę! Kadiya nie mogła logicznie myśleć. Wiła się i szarpała ze wszystkich sił. Dłużej nie wytrzyma palącego bólu w płucach...

Ból nagle ustał. Opuścił ją gniew. Przestała się szamotać i czuła tylko wielki spokój, opadając przez płataninę świecących wodorostów. Oczywiście miała szeroko otwarte, lecz widziała coraz gorzej. Wszystko wokół pociemniało.

W ostatnim przeblýsku świadomości szarpnęła rękojęść Potrójnego Płonącego Oka. Gdybyż mogła się nim posłużyć... pomyśleć, co może z nim zrobić...

Trzymała go w dłoni.

Śmiercionośny uścisk na jej kostce zelżał nagle. Była wolna, dryfowała w mroku.

No, pomyślała z ulgą, teraz lepiej.

Teraz mogę się odprężyć.

Jej palce rozwarły się. Talizman wypadł z jej dłoni. Patrzyła, jak rozjarzony zielony kształt staje się coraz mniejszy i mniejszy, aż wreszcie zniknął w głębi.

Potem runęła w ciemną otchłań.

Kadiya otworzyła oczy. Głowa bolała ją jak ściśnięta imadłem, widziała przed sobą zamazaną kolorową plamę. Zaszło jej w gardle, w ustach czuła gorycz żółci. Księżniczce wydawało się, że nie ma ciała. Dopiero po jakimś czasie odzyskała czucie poniżej szyi i odważyła się poruszyć rękami i nogami. Było jej bardzo zimno, choć miała na sobie koszulę nocną z miękkiej wełnianej tkaniny. Powoli, bardzo powoli rozjaśniało się jej przed oczami. Uświadomiła sobie wreszcie, że leży na koi w swojej kajucie na varoniańskim statku. Słyszając skrzypienie takielunku i syk fal omywających kadłub zrozumiała, iż płyną pod pełnymi żaglami.

Kilkakroć daremnie próbowała przywołać Jaguna. Udało jej się to w końcu i przyjaciel potykając się zbiegł po schodach do kajuty, ukazując w uśmiechu ostre zęby. Za nim podążali Lummomu–Ko i Kyvee Omin, kapitan varoniańskiego statku. Zakrzętnęli się wokół niej, położyli poduszki, by mogła usiąść. Jagun zmusił Kadiyę do wypicia kilku łyków wódki z owoców łądu, żeby nabrała sił.

— Co się stało? — zapytała w końcu.

— To Aliansowie — odparł ponuro wódz Wyvilów. — Te zdradzieckie demony są doskonałymi pływakami, lepszymi nawet od nas. Przedziurawili nasze łódki, a potem ściągnęli cię w głębiny. Zobaczyłem, że się zanurzasz, dałem nurka wraz z młodym Lam–Sa i od razu zrozumieliśmy, co się stało. Kiedy w końcu zaczęłaś wymachiwać swoim talizmanem, Aliansowie puścili cię i odpłynęli, a Lam–Sa i ja złapaliśmy cię i wyciągnęliśmy na powierzchnię wody, pomiędzy rafy. Wydawało się, że spokojnie odeszłaś w zaświaty, ale Jagun uparcie nie przestawał dzielić się z tobą oddechem.

— Dziękuję — powiedziała Kadiya, z uśmiechem wdzięczności zwracając się do łowcy.

— Z czasem Władcy Powietrza odnieśli twoją duszę z powrotem do ciała — dodał Lummomu–Ko. — Ludzie ze statku usłyszeli nasze krzyki i uratowali nas.

Kyvee Omin postąpił do przodu. Ten siwowłosy obywatel Varu miał twarz dociekliwego rachmistrza, a przecież słynął jako jeden z najodważniejszych żeglarzy Morza Południowego. Kadiya musiała mu zapłacić prawie tysiąc platynowych koron, zanim zgodził się zawieźć ją na Bezwietrzne Wyspy, dokąd nikt nie ośmielał się zapuścić.

— Rozkazałem podnieść kotwicę i opuścić to złowrózbnе miejsce tak szybko, jak tylko wiosłarze potrafią wiosłować — powiedział. — Morscy Odmieńcy rozpalili ogniska na plaży i bili w święte bębny wojenne. Gdybyśmy nie odpłynęli, ich wielkie łodzie dogoniłyby nas, zanim zdołalibyśmy opuścić strefę ciszy wokół Bezwietrznych Wysp i wydostać się na pełne morze.

— Jak długo spałam? — zapytała słabym głosem Kadiya.

— Dwadzieścia godzin — odparł Jagun.

— Wiatr jest lekki, ale ciągły, gdyż już pozostawiliśmy za sobą te przeklęte rafy — dodał kapitan. — Za mniej niż siedem dni powinniśmy dopłynąć do portu Taloazin w Zinorze.

— Nie! Musimy zawrócić! — Głos księżniczki załamał się. Kadiya jęknęła i zasłoniła oczy ręką. Głowa pękała jej z bólu. Wiedziała, że z jakiegoś powodu muszą zawrócić! Bardzo ważnego powodu...

— Mamy jeszcze gorsze nowiny, Jasnowidząca Pani. — Jagun podszedł do koi i zobaczyła, że trzyma jej pas i pochwę czarodziejskiego miecza. — Twój talizman... — zaczął i umilkł, bo zabrakło mu słów.

Kadiyi wreszcie rozjaśniło się w głowie. Zdała sobie sprawę, że pochwa jest pusta, i przypomniała sobie wszystko.

— Nie możemy wrócić na Bezwietrzne Wyspy — ciągnął Kyvee Omin. — Nie zaryzykuję bezpieczeństwa mojego statku w bitwie z dzikusami. Jestem kupcem, a nie kapitanem okrętu wojennego. Zgodziłem się tylko zawieźć cię na Wyspę Rady i z powrotem do Varu. Jeżeli z jakiegoś powodu nie chcesz wysiąść na ląd w Taloazynie, zawiniemy do Kurzwe lub innego zinorańskiego portu dla uzupełnienia zapasów żywności i wody przed podróżą na wschód. Nie możemy jednak zawrócić.

Kadiya usiadła. Jej oczy płonęły, a twarz wykrzywił grymas gniewu, kiedy powiedziała cichym, zgrzytliwym głosem:

— Musimy zawrócić. Zgubiłam Potrójne Płonące Oko! Wiesz, co to znaczy?!

Kapitan cofnął się o krok, jakby miał do czynienia z wariatką.

— Nie, nie wiem, pani. Twoi przyjaciele powiedzieli mi, że to prawdziwa katastrofa, ale to twoja wina, nie moja, i ty sama musisz naprawić ten błąd. Nie zaryzykuję mojego statku i życia załogi w daremnej próbie odzyskania twego magicznego miecza. Kiedy leżałaś nieprzytomna, wróciłem na krótko z twoimi wyvilskimi przyjaciółmi do miejsca, gdzie Aliansowie przedziurawili wasze łodzie. Szybko ustaliliśmy, że twój talizman utonął w wielkim rowie pomiędzy dwiema rafami, gdzie woda jest głęboka na ponad trzydzieści sążni. Nawet Aliansowie nie mogą nurkować tak głęboko. Twój talizman zaginął na zawsze.

— Nie — szepnęła z bólem, zamykając oczy. — Och, nie! — Kroplisty pot wystąpił jej na czoło. Milczała długo, Jagun z pochyloną głową ukląkł obok koi, ściskając w dłoniach bezwładną rękę Kadiyi.

Kapitan wymienił spojrzenie z Lummomu–Ko, a potem nieoczekiwanie opuścił kajutę.

Kiedy Kadiya ponownie otworzyła oczy, na jej twarzy malowała się stanowczość.

— Moi drodzy przyjaciele — powiedziała. — Kyvee Omin ma rację. Nie mogę żądać, by mi pomógł. Jeśli nie zechce powrócić na Bezwietrzne Wyspy, będę musiała znaleźć innego kapitana, który się na to zgodzi. Na szczęście mam jeszcze dużo pieniędzy. Poproszę Kyvee Omina, by wysadził mnie na ląd w miejscu zwanym Kurzwe. Wy, oczywiście, możecie kontynuować podróż do Varu, a potem Wielkim Mutarem do Ruwendy...

— Nie! — odparł kategorycznie wódz Wyvilów. Odstające uszy Jaguna zadrżały z oburzenia, a wielkie złote oczy otworzyły się jeszcze szerzej.

— Jasnowidząca Pani, jak mogłaś nawet pomyśleć, że cię opuścimy?!

Kadiya spojrzała najpierw na Lummomu–Ko, a potem na Jaguna.

— Bez mojego talizmanu nie jestem już Panią Czarodziejskich Oczu i nie mam prawa nazywać się Wielką Opiekunką Ludu Gór, Bagien i Lasów. Jestem nikiem. Jestem tylko Kadiją.

Zsunęła nogi na podłogę. Na jej kostkach widać było sińce i ślady pazurów niedoszedłego zabójcy.

— Istnieje niewielka szansa, że zdołam odzyskać mój talizman. Ale znacznie większa jest szansa, że Aliansowie spróbują dokończyć to, co im się nie udało za pierwszym razem, to znaczy zamordować mnie.

— Ja i moi wyvilscy bracia i tak pozostaniemy z tobą — oświadczył Lummomu–Ko.

Łzy zalśniły w oczach Kadiyi. Stanęła chwiejąc się lekko. Wysoki Wyvilo i maleńki Nysomu wzięli ją za ręce. Przy ich pomocy jakoś doszła do stołu umieszczonego naprzeciw bulaja i usiadła na ławce.

— Dziękuję wam, moi drodzy przyjaciele. Za jakiś czas moja siostra Arcymagini dowie się, co się stało, nawet jeśli nie mogę już jej przywołać. Na pewno znajdzie jakiś sposób, by

nam dopomóc. Do tej pory zajmiemy się wydobyciem z umysłów kapitana Kyvee Omina i jego załogi wszystkich wiadomości, które mogą nam się przydać. Oczywiście jak najuprzejmiej. Zacznę od skopiowania jego map tego rejonu morza. Mogę to zrobić, nawet jeśli nie stoję zbyt pewnie na nogach.

Podniosła wzrok na wodza Wyvilów.

— Lummomu, ty i twoi wojownicy wypytaście marynarzy, w jaki sposób można wyżyć na Bezwietrznych Wyspach. Postarajcie się dowiedzieć wszystkiego o jadalnych roślinach rosnących na lądzie, o morskich stworzeniach, które mogą posłużyć za pożywienie, o tym, jakie rośliny lub zwierzęta są trujące albo niebezpieczne. Musimy osiąść całą ich wiedzę o tych wyspach i ich mieszkańcach. Zapłacimy tym żeglarzom, którzy zgodzą się z nami współpracować.

— A ja, Jasnowidząca Pani? — spytał Jagun.

— Dowiedz się wszystkiego, co zdołasz, o żeglarskim rzemiośle, stary przyjacielu. — Kadiya uśmiechnęła się krzywo. — Ja zrobię to samo. Obawiam się, że będziemy musieli powrócić sami na Bezwietrzne Wyspy.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Królewska galera okrążyła cypel w Perłowej Zatoce, a trójka dzieci zręcznie jak drzewne warty natychmiast wdrapała się na maszt. Ich niańka Immu z plemienia Nyssomu podniosła z łękiem wzrok, daremnie próbując je namówić, by zeszyły na dół.

— Więcej statków! Zatoka jest pełna statków. — Jedenastoletni następca tronu, książę Nikalon, z małym teleskopem wdrapał się na najwyższy maszt. — Dwa są z Imlitu, jeden z Sobranii, a na trzech łopoczą chorągwie Galanaru. Spójrzcie! Aż cztery są z Raktum! Widzicie ten czarny, pozłacany trójrzędowiec, na którym powiewa setka sztandarów? Musi to być statek samej Ganondri, złej królowej Raktum!

— Teraz moja kolej na teleskop! — pisał książę Tolivar. — Niki miał go przez cały ranek! Ja też chcę zobaczyć złą królową Ganondri! — Miał osiem lat, ale ze swoją drobną sylwetką sprawiał wrażenie znacznie młodszego. Kiedy brat odmówił mu teleskopu, Tolivar wybuchnął płaczem. — Jan, Jan, zmusz go, żeby dał mi teleskop.

— Wszyscy natychmiast zejście na dół! — zawołała Immu. — Dobrze wiecie, że wasza matka zabroniła wam narażać się na niebezpieczeństwa!

Jednakże królewskie dzieci zignorowały nawoływania niańki. Tak samo lekcewały wysiłki królowej Anigel chcącej powściągnąć ich nieokiełznane wybryki. Cała trójka w niezmiennie wyśmienitych nastrojach przyjmowała później należną karę.

Księżniczka Janeel, która skończyła dziesięć lat i była bardzo poważna jak na swój wiek, powiedziała:

— Nie płacz, Tolo, jak zajmę się Nikim, tym samolubnym wothem! — Dotarła w pobliże starszego brata i zaczęła łaskotać go w żebra. Zatańczyły pod nimi liny rozciągnięte jakieś dziesięć elli nad pokładem, a biedna stara Immu krzyknęła z przerażenia. Zręcznej księżniczce wystarczyła tylko chwila na wyrwanie teleskopu chichoczącemu bezradnie Nikalonowi. Później Janeel wróciła do Tolivara i oboje po kolei patrzyli przez teleskop na zatokę. Książę Niki roześmiał się dobroduszenie i wdrapał na bocianie gniazdo.

Teleskop, o który się sprzeczali, był specjalnym podarunkiem na tę podróż od ich ojca, króla Antara. W niczym nie przypominał żeglarskiej lornetki, był bowiem magicznym wytworem Zaginionego Ludu. Rurę wykonano z czarnej substancji nie będącej ani metalem, ani drzewem. Z boku znajdowały się trzy kolorowe punkty umożliwiające przybliżenie obrazu. Duży srebrny przycisk pozwalał posługiwać się teleskopem w nocy, choć obrazy były wtedy zamazane i widać było tylko zielonkawe kontury. Niezwykły przyrząd sprawiał wrażenie żywej istoty; żeby móc działać, musiał leżeć na słońcu, zupełnie jak roślina. Pewnego razu podczas podróży książę Tolivar schował teleskop do skrzyni i udał, że instrument zaginął. Zrobił to w nadziei, iż będzie mógł bawić się nim zupełnie sam, nie dzieląc się ze starszym rodzeństwem. Kiedy jednak później spróbował przezeń spojrzeć, zobaczył tylko ciemność i z płaczem pobiegł do króla Antara. Ojciec najpierw skarcił go za samolubstwo, a potem wyjaśnił, że teleskop, jak wiele wytworów Zaginionych, żywi się światłem słońca.

Teraz Tolo przyglądał się wielkiemu okrętowi królowej-regentki z Raktum. Okręt miał trzy rzędy wiosł, a nie dwa jak statek flagowy Laboruwendy, i był przynajmniej dwa razy od niego dłuższy, z dużą ostrogą na dziobie, używaną do dziurawienia nieprzyjacielskich korabiów. Na fok i grocie wymalowano godło pirackiego państwa, stylizowany złoty płomień. Tolo z uczuciem zawodu stwierdził, że nie ma tam ani jednej straszliwej maszyny bojowej, czy to rozlewającej roztopioną siarkę, czy to strzelającej rozżarzonymi do czerwoności kamieniami. Na rufie mały książę zobaczył natomiast przechadzających się rycerzy w błyszczących zbrojach i damy w barwnych sukniach. Stał tam też pozłacany tron pod złocistym baldachimem.

— Zła królowa jeszcze śpi — powiedział Tolo do siostry. — Widzę jej tron w tyle statku, ale jest pusty. Sama zobacz, Jan.

Księżniczka Janeel spojrzała w magiczną rurę.

— Jaki piękny statek! Raktumianie muszą być bardzo bogaci.

— Oni są piratami — zwrócił jej uwagę Tolo. — Piraci zawsze są bogaci. Chciałbym zostać piratem.

— Mówisz głupstwa. Piraci zabijają i grabią ludzi. Wszyscy ich nienawidzą. — Zwróciła teleskop ku sobraniańskiemu okrętowi, który przybył z najodleglejszego krańca Dalekiego Zachodu.

— Rabalun, Mistrz Zwierząt, powiada, że kiedy podrośniesz, będziesz musiała poślubić tego wstrętnego garbusa, który jest wnukiem królowej Ganondri. — Tolo roześmiał się ze złośliwą satysfakcją. — Jak zostaniesz królową piratów, będziesz mogła i ze mnie zrobić pirata.

— Nigdy nikogo nie poślubię! — Księżniczka Janeel opuściła teleskop i spojrzała ze złością na młodszego brata. — A jeśli nawet, to na pewno nie wyjdę za mąż za takiego potwora jak Ledvardis. Ciocia Kadiya mówi, że kiedy dorosnę, będę mogła zamieszkać w jej zamku ukrytym na Zielonych Błotach — jeśli tego zechcę. I chcę tego!

— O nie, nie chcesz! Książęta i księżniczki nie mogą robić tego, co pragną, jak zwykli ludzie. Niki zostanie królem Laboruwendy i będzie musiał poślubić jakąś księżniczkę. A ty księcia lub króla. Ale ja jestem dodatkowym księciem i jeśli zechcę, mogę zostać piratem! A teraz oddaj mi teleskop. Chcę zobaczyć, czy Sobranianie naprawdę porośnięci są piórami, jak mówi Rabalun.

Janeel gniewnie wcisnęła mu przyrząd do ręki i zaczęła schodzić w dół po wantach. Wstrętne chłopczyska! Kiedy bezpiecznie zeszła na pokład i znalazła się obok Immu, nie przejęła się wyrzutami piastunki i zlekceważyła jej propozycję wypicia czegoś zimnego w salonie. Zaciągnęła natomiast Immu do nadburcia, za stertę związanych rzemieniami skrzyń. Znalazłszy się w całkowitym odosobnieniu, księżniczka zapytała niańkę:

— Czy to prawda, że kiedy podrosnę, będę musiała poślubić Ledvardisa z Raktum?

Immu wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Oczywiście, że nie! Kto ci nakładł do głowy takich bzdur, moja słodziutka?

— Tolo — mruknęła Janeel. — Usłyszał o tym od Rabaluna. Nieczłowiecze oblicze niańki wykrzywił grymas oburzenia, a wystające uszy zadrżały ponad batystowym czepcem.

— Rabalun, Rabalun, Rabalun! Dostanie tak po uszach, aż mu oczy wyskoczą z orbit! Ten skończony dureń powinien zająć się czyszczeniem stajni królewskich froniali, a politykę pozostawić tym, którzy są do tego powołani!

— Więc to prawda?

Immu delikatnie ujęła twarzyczkę księżniczki w trójpalczaste dłonie. Były niemal równego wzrostu. Niańka spojrzała ogromnymi żółtymi oczami w piwne oczy młodej podopiecznej.

— Przysięgam ci na Władców Powietrza, że twoi kochani rodzice prędzej by umarli, niż wydali cię za królika Raktum, którego wszyscy nazywają Goblinem. Plotkę, którą przekazał ci twój brat, rozpuszczają wrogowie Obu Tronów — pan Osorkon i jemu podobni.

Pocałowała Janeel, a potem zajęła się warkoczami dziewczynki, które rozplotły się podczas wspinaczki. Jan nie dorównywała urodą swej pięknej matce, miała jednak miłe, piegowate liczko i szeroko rozstawione, inteligentne oczy. Niezwykle lśniące, złocistobrazowe jak orzech włosy spadały jej prawie do pasa, chyba że zapleciono je w warkocze, by nie ograniczały dziewczynce swobody ruchów.

— Czy to prawda, że księżniczki nie mogą wybierać sobie małżonków? — pytała dalej Janeel.

— Jedne tak, a drugie nie — odpowiedziała ze zdecydowaniem Immu. — Kiedy twoja ciotka Haramis była następczynią tronu Ruwendy, nim została Białą Damą i zanim Oba

Trony się połączyły, zły król Voltrik starał się o jej rękę. Król Krain i królowa Kalanthe odrzucili jego propozycję, ponieważ to małżeństwo doprowadziłoby do wchłonięcia Ruwendy przez Labornok — a to zupełnie coś innego niż Unia Obu Tronów. Księżniczka Haramis wyraziła zgodę na małżeństwo z księciem Varu, chociaż go nie kochała, gdyż ów książę zgodził się zostać współwładcą Ruwendy. Twoja ciotka przedłożyła więc dobro swego kraju nad własne szczęście, gdyż było to jej obowiązkiem.

— Ależ ciotka Haramis zrzekła się praw do tronu!

— Tak, ale później, i korona przeszła do twojej ciotki Kadiyi, która również się jej wyrzekła, a następnie do twojej kochanej mamy. Księżniczka Anigel znacznie lepiej nadawała się na królową niż jej siostry. Potem zły Voltrik zginął, a twój ojciec Antar został królem Labornoku. Twoi rodzice bardzo się pokochali i wzięli ślub, a teraz rządzą Obu Królestwami, spędzając Porę Suchą na ruwendiańskim dworze w Cytadeli, a Porę Deszczową w królewskim pałacu w Deroroguili w Labornoku.

— Czy Niki będzie mógł wybrać sobie jakąś księżniczkę i poślubić ją? A ja mojego księcia? — zapytała Janeel.

Immu zawahała się.

— Mam nadzieję, że tak się stanie, moja droga. Lecz tylko Trójjedyny i jego słudzy, Władcy Powietrza, znają przyszłość. Lepiej, żeby małe dziewczynki nie martwiły się takimi sprawami. Jeszcze długo... bardzo długo nie wyjdiesz za nikogo za mąż. Chodźmy teraz do ubieralni! Za kilka godzin rzucimy kotwice w zatoce Taloazin. Wybiorę dla ciebie piękną suknię i włożę ci na głowę diadem wysadzany drogimi kamieniami. Musimy pokazać wyniosłym Zinoranom, że królewska rodzina z Laboruwendy jest znacznie wspanialsza od zadufanego władcy ich państewka.

Książę Nikalon dzielił bocianie gniazdo na fokę z młodym żeglarzem Korikiem. Zaprzyjaźnili się podczas trwającej dwa tygodnie podróży z Deroroguili. W przeciwieństwie do innych labornockich marynarzy, którzy kłaniali się następcy tronu aż do ziemi i płaszczyli przed nim nazywając go Wielkim Panem, a za plecami prawdziwym utrapieniem, i zabraniali mu wstępu do najbardziej interesujących zakątków statku — a robili to na wyraźny rozkaz królowej Anigel — Korik zlitował się nad znudzonym chłopcem i pokazał mu cały statek, poczynając od łańcucha kotwicznego zamkniętego w komorze na skrajniku dziobowym, do ucha steru na tylnicy. Po kryjomu nauczył też Nikięgo wspinać się po takielunku (a ten przekazał swoją wiedzę rodzeństwu) i pozwalał mu dzielić ze sobą wachtę w bocianim gnieździe. Wypatrywał bowiem raf, mielizn i innych statków, gdy laboruwendiańska flotylla płynęła między wyspami Eng wzdłuż wybrzeża Varu do Zinory. Korik wyjaśnił księciu, jak działają wszystkie elementy takielunku i żagle, wytłumaczył też, dlaczego statek zmienia hals, gdy wiatr dmie z tej lub innej strony, czemu zwiąja się żagle podczas burzy, dlaczego wolni ludzie są lepszymi marynarzami od niewolników i odpowiedział na mnóstwo innych pytań.

Wdzięczny Niki powiedział Korikowi, że zrobi go admirałem, kiedy zostanie królem. Słyszając to młody żeglarz roześmiał się i oświadczył, że admirałowie spędzają za dużo czasu na dworze, nudzą się na posiedzeniach rady królewskiej i piszą nudne raporty. On sam pragnął być jedynie kapitanem swojego statku.

— Wtedy jako pierwszy popłynę do najdalszych zakątków znanego świata — powiedział Nikiemu. — Poza Sobranię, poza Krainę Upierzonych Barbarzyńców, a nawet jeszcze dalej. Chciałbym opłynąć świat, minąć zamaznięte wyspy straszliwego Morza Zorzy Polarnej, przepłynąć obok Krainy Wiecznych Lodów i dotrzeć do zimnych pustyń za Tuzamenem. Wróciłbym zaś przez Wyspy Ognia, rzucił wyzwanie raktumiańskim piratom i dopłynął bezpiecznie do Deroroguili.

Książę wytrzeszczył oczy.

— Czy nikt tego jeszcze nie zrobił?

— Nikt — odparł dumnie Korik. — Wszyscy obawiają się skutego lodem Morza Zorzy Polarnej i morskich potworów. Ale ja się ich nie boję. — Wbił w Nikiego uważne spojrzenie. — Taka wyprawa badawcza kosztowałaby mnóstwo pieniędzy, ale król, który by ją sfinansował, na zawsze pozostałby w ludzkiej pamięci. Przywiózłbym z tej wyprawy rzadkie rośliny, zwierzęta i inne niezwykłości, a może nawet tajemnicę jakiegoś nie odkrytego dotąd, zrujnowanego miasta Zaginionych, z mnóstwem wspaniałych skarbów.

— Ja sfinansuję tę podróż! — oświadczył Niki, lecz Korik tylko się roześmiał i przypomniał mu, że upłynie wiele lat, zanim odziedziczy po ojcu tron, gdyż król Antar jest młody, cieszy się dobrym zdrowiem, a do czasu, gdy zestarzeje się i umrze, Nikalon na pewno zapomni o swej obietnicy.

— Ja nie zapomnę! — powiedział z naciskiem następca tronu Laboruwendy.

Teraz zaś, spoglądając ponad lśniącymi wodami zatoki w stronę stolicy Zinory, zgadywał jak się czuje Yondrimel, młody władca tej krainy, który jest w stanie sfinansować wielkie odkrycia albo dokonać innych wielkich czynów. Jak się czuje król Zinory w przeddzień koronacji, którą zaszczytą swoją obecnością wszyscy monarchowie świata? Oczywiście osiemnastoletni Yondrimel jest prawowitym władcą swojego narodu, a koronę odziedziczył po przodkach. Obecna ceremonia ma tylko potwierdzić jego prawa i ukazać obcym, że król Zinory jest prawdziwie niezależnym władcą, a nie nędzną marionetką jak Ledvardis z Raktum, który był prawie w tym samym wieku co Yondrimel, ale jego krajem wszechwładnie rządziła królowa Ganondri, babka młodego monarchy. Król Antar wytłumaczył synowi, że zinorański władca miał też nadzieję zawrzeć sojusze, które umocnią jego tron.

Wprawdzie książę Nikolon liczył sobie tylko jedenaście lat, ale dobrze rozumiał wagę sojuszy. Laboruwenda była sprzymierzona z Varem i księstwem wysp Engi położonych w pobliżu Półwyspu. Kraje te ze sobą swobodnie handlowały, wspólnymi siłami zwalczały piratów, zagrażających ich statkom, i odmawiały azylu przestępcom, którzy szukali w nich schronienia. Król Antar i królowa Anigel chcieli zawrzeć podobne przymierze z monarchą Zinory. Ale podobne plany miało też Raktum, największy wróg Laboruwendy, które jako podarki koronacyjne wysłało już Yondrimelowi tysiące platynowych koron i szkatuły pełne klejnotów. Ciekawiło Nikiego, czy młody władca Zinory ulegnie umizgom pirackiej królowej Ganondri. Była przecież taka bogata!

Płynęli teraz w pobliżu raktumiańskiej flotyli. Pożłota na bokach ogromnej triremy błyszczała w słońcu, a setki kolorowych chorągiewek na takielunku dodawały okrętowi piękna. Pozostałe trzy czarne statki były niemal równie bogato ozdobione. O, tak, Raktum było bogate! Po koronacji zapowiedziano wspaniałą ucztę, jakieś niezwykle przedstawienia oraz inne rozrywki. Mówiono, że większość kosztów pokryło właśnie Raktum.

Niki zapytał rodziców, dlaczego inni królowie nie wykluczyli ze swego grona władczyń pirackiego narodu. Ci jednak tylko westchnęli i powiedzieli, że wielka polityka nie może być równie prosta jak sprawy dnia codziennego i że lepiej wszystko zrozumie, kiedy podrośnie.

Następca tronu miał jednak co do tego poważne wątpliwości.

Książę Tolivar w końcu zmęczył się patrzeniem przez magiczny teleskop, przez cały czas wisiał bowiem w niewygodnej pozycji na wantach, i wpadł na wspaniały pomysł: zejść na dół i pożyczyć matce swoją cudowną zabawkę. Przy śniadaniu królowa z jakiegoś powodu sprawiała wrażenie bardzo smutnej i nowa rozrywka mogłaby ją rozweselić. Trzymając w zębach teleskop, chłopczyk zsunął się po drabince sznurowej, zeskoczył na pokład i podskakując pobiegł w stronę rufy. Okrążając pomieszczenia śródokręcia omal nie wpadł na pana Penapata i swego królewskiego ojca, którzy właśnie łowili ryby. Wielkie ramiona wuja Peni pochwytyły go, gdy usiłował uciec, podniosły w powietrze i trzymały wijącego się jak sucabri dopiero co wydłubany z muszli.

— Widziałeś mamę? — zapytał króla mały książę. — Pomyślałem, że może zechciałaby popatrzeć przez mój teleskop na inne statki i na Zinorę.

— Jest na rufie wraz z panią Ellinis. Jak zwykle z samozaparciem pracują nad pewnymi oficjalnymi dokumentami. Możesz dać mamie teleskop, ale nie siedź tam długo i nie zwracaj jej głowy paplaniną.

— Nie będę, Wasza Królewska Mość.

Chłopiec pobiegł w stronę rufy. Jego jasne włosy powiewały na wietrze. Prostuduszny Penapat potrząsnął głową i powiedział z czułością:

— Co za pełen werwy malec! Ta trójka porządnie dała się we znaki załodze, panie mój.

Król ze śmiechem przyznał mu rację. Nasadził znów przynętę na haczyk i ponownie zarzucił wędkę.

— Mam nadzieję, że zabierając ich na koronację nie popełniłszy błędu. Nie chciałem tego robić, lecz Anigel nalegała mówiąc, że powinny spotkać inne królewskie dzieci i nauczyć się obcować z cudzoziemcami... Istnieje jednak pewne niebezpieczeństwo związane z każdą sprawą, w którą zamieszane jest Raktum. A wszyscy wiemy, jak bardzo zaangażowało się w tę koronację.

— Dzięki niech będą Wielkiemu Zoto, że królowa Ganondri ma tylko garbatego wnuka, a nie wnuczkę, którą mogłaby wydać za Yondrimela. — Pan Penapat pokiwał głową. — Wtedy bowiem ich sojusz byłby pewny!

— Raktum leży daleko od Zmory, dlatego takie przymierze niewiele obchodzi Laboruwendę, bez względu na to, jak bardzo Ganondri z nas szydzi. A jednak byłbym spokojniejszy, gdybyśmy dzieci pozostawili w domu.

Penapat oparł łokcie na burcie i spojrzał na raktumiańskie statki, które teraz znajdowały się bliżej niż dwa kable. Na okręcie flagowym królowej-regentki widać było małe postacie marynarzy i pasażerów gapiących się na laboruwendiańską flotyllę.

— Nawet królowa Ganondri nie byłaby tak bezczelna, żeby napadać na nas w obecności władców i szlachty siedmiu innych królestw — powiedział powoli Penapat. — Nie ryzykowałaby też wrogości króla Yondrimela wywołując jakiś incydent podczas jego koronacji.

— Na pewno masz rację, Peni. Powinniśmy bardziej niepokoić się obecnością władcy Tuzamenu.

— Tuzamenu? Więc jednak wysłali poselstwo?!

— Nasz kapitan przyniósł mi tę nowinę przed śniadaniem. — Król skinął głową. — Ten mały, niezwykle szybki engiański kuter, który wyprzedził nas wczesnym rankiem, zasygnalizował, że pojedyncza tuzameńska galera wlecze się za nami. Ma na pokładzie tak zwanego Pana Tuzamenu. Na maszcie powiewa chorągiew z jego godłem w kształcie gwiazdy. Myślę, że ten nieoczekiwany gość zamierza zaszczyścić swoją obecnością koronację młodego króla Yondrimela.

— Na Kamienie Złota! To tłumaczy, czemu królowa Anigel była rano taka przygnębiona.

— Właśnie. Ta nowina bardzo ją zaniepokoiła, zwłaszcza że tuż przedtem dowiedziała się od Arcymagini, iż ich siostra Kadiya straciła Potrójne Płonące Oko. Anigel dręczą złe przecucia. I nie mogę jej tego mieć za złe. Posunęła się aż do tego, że usunęła swój talizman z korony i ukryła w szatach. Mówi, że podczas pobytu w Zinorze nie będzie się z nim rozstawać nawet na chwilę, w dzień i w nocy.

— Królu, czy to możliwe — a przeczą temu nasi szpiedzy — że ten Portolanus z Tuzamenu to zmartwychwstały czarownik Orogastus?

— Oby Bóg zlitował się nad nami i nad naszym ludem, jeśli to prawda. Pamiętasz, jak ten czarnoksiężnik zawładnął moim ojcem? Zamienił go z twardego, lecz uczciwego człowieka, w szaleńca zżeranego wygórowanymi ambicjami? Sam zaś zapewnił sobie urząd Wielkiego Ministra Stanu; myślę jednak, że tak naprawdę, to zamierzał mnie zabić i ogłosić się następcą

Voltrika. Nawet teraz dziedzictwo zdrady i podstępów Orogastusa kryje się w intrygach i sekretnie podsycanych przez pana Osorkona i jego kompanów rewoltach na pomocy Laboruwendy przy granicy z Raktum. Jeżeli uważany dotąd za zmarłego czarownik naprawdę żyje, nie możemy dłużej uważać Tuzamenu za barbarzyńską prowincję. Orogastus pewno posłuży się czarną magią, żeby zamienić swój kraj w potężne państwo...

— ...a królowa Ganondri sprzymierzy się z nim przeciwko nam — dokończył ponuro Penapat.

— Być może. — Antar mrużąc oczy przyjrzał się wielkiej rektumiańskiej galerze. — Ale regentka nie jest głupia i prowadzi tę grę wedle własnych reguł. — Król Laboruwendy wyprostował się, uśmiechnął i klepnął przyjaciela po ramieniu. — Rozchmurz się, Peni. W Taloazynie czekają nas uczy, bale, skomplikowane manewry polityczne i zwyczajne łajdactwa. Ryby nie biorą, chodźmy więc oderwać naszych towarzyszy od gry w kości i kielicha. Sprawdźmy, czy wszyscy mają wypolerowane zbroje i wyostrzone miecze.

Królowa Anigel ciepło podziękowała swemu najmłodszemu synowi za teleskop, a potem pocałowała go i kazała mu pójść do Immu, żeby się wykapał i włożył czyste ubranie. Kiedy zasępiony chłopiec odszedł, westchnęła i odłożyła magiczny przyrząd nawet nie podniósłszy go do oka.

— Tolo zapomina, że nie potrzebuję takich rzeczy, by widzieć, co się dzieje w oddali.

Pani Ellinis, Domowy Minister Obu Tronów, podniosła wzrok znad dokumentu, który właśnie czytała.

— Oczywiście to twój talizman spełnia tę funkcję, tak samo pozostałe — zauważyła. Była to sędziwa dama, obdarzona potężną dozą zdrowego rozsądku, wdowa po panu Manoporo z Królewskich Towarzyszy, który oddał życie w daremnej walce o życie Kalanthe, matki królowej Anigel. Ellinis i jej trzech bystrzy i rozumni synowie byli najbliżsi Anigel ze wszystkich dworzaków, tak jak Penapat, kanclerz Lampiar i marszałek Owanon Antarowi.

Królowa wyciągnęła z fałd skromnej niebieskiej sukni magiczny talizman zwany Trójgłowym Potworem i umieściła go na czepcu. Pomimo budzącej strach nazwy, talizman był tiarą ze srebrzystego metalu o trzech małych i trzech większych szpicach z wrytymi kwiatami, muszlami i trzema groteskowymi twarzami. W środku znajdowało się wykrzywione w okropnym grymasie oblicze, okolone stylizowanymi gwiazdnymi promieniami zamiast włosów, po bokach zaś twarze wyjącego Skriteka i krzyczącego z bólu człowieka. Pod tymi niezwykłymi ozdobami tkwił świecący słabym blaskiem odłamek bursztynu z kopalnym kwiatkiem Czarnego Trillium, które było amuletem ochronnym Anigel od urodzenia aż do chwili, gdy wypełniła zadanie swojego życia znajdując ten talizman.

— Popatrzmy razem na królową piratów? — zaproponowała Anigel swojej towarzyszce. — Talizman podzieli się z tobą wizją, jeśli go o to poproszę. Nie potrwa to jednak długo, gdyż widzenie dla dwóch osób wymaga głębokiej koncentracji.

W ciemnych oczach Pani Minister pojawił się błysk zainteresowania.

— Bardzo chciałabym zobaczyć Ganondri, moja królowo. Widziałam ją na cztery lata przed twoim narodzeniem, kiedy to jej nieżyjący syn, król Ledamot, poślubił nieszczęsną Maszriję z księstwa Engi. Ganondri była wtedy bardzo piękną kobietą, dumną, powściągliwą i zamkniętą w sobie. Wiem, że wydaje się to niemożliwe. Jej obecna reputacja...

— Weź mnie za rękę — rozkazała królowa Anigel. Później zamknęła oczy i przywołała magię talizmanu.

Obie zobaczyły prywatną kajutę na statku, obwieszoną utkanymi z piór kosztownymi gobelinami z Sobranii, wyposażoną w eleganckie krzesła i rzeźbione kufry inkrustowane macią perłową, wypolerowanymi koralami oraz półszlachetnymi kamieniami. Niektóre kufry były otwarte, z nich wysypywały się na gruby kobierzec, kosztowne szaty. Królowa-regentka siedziała przy toaletce z laki, wpatrując się ze zniecierpliwieniem w złocone zwierciadło.

Przymierzała właśnie po kolei piękne naszyjniki podawane przez wystraszoną dworzkę. Mimo podeszłego wieku Ganondri pozostała urodziwą kobietą, choć jej chudą twarz pokrywała siateczka cienkich zmarszczek i gruba warstwa kosmetyków. Zaciśnięte usta świadczyły o drażliwości, a w ocienionych długimi rzęsami zielonych oczach krył się złośliwy błysk. Wciąż bujne włosy uczesane w niezwykle skomplikowaną fryzurę, ulubioną przez mieszkanki na połę barbarzyńskiego Raktum, miały barwę świeżo wypolerowanej miedzi, przeplatanej białymi pasami. Królowa-regentka ubrana była w aksamitną suknię o barwie morza, haftowaną srebrem, złotem i platyną, obramowaną futrem rzadko spotykanych złocistych worramów.

Odrzuciwszy pół tuzina przepięknych klejnotów, klnąc ze zniecierpliwienia (świadczył o tym wyraz jej twarzy i ruch warg, gdyż obraz był niemy), Ganondri wybrała w końcu ciężki złoty naszyjnik; liście gonda imitowały setki drobnych szmaragdów, a gdzieś tam diamenty naśladowały krople rosy. Drżąca dworka podała jej jeszcze pasujące do naszyjnika kolczyki, ale królowa odmówiła i wybrała mniejsze od nich złote klipsy z pojedynczymi diamentami.

W tym momencie Anigel puściła rękę Ellinis i wizja zniknęła.

— Ganondri nadal ma doskonały gust, jeśli chodzi o klejnoty — zauważyła lekkim tonem Ellinis — nie chciałabym jednak spotkać jej sam na sam w ciemnym zakamarku taloazińskiego zamku. Miała taką minę, jakby chciała pożreć tę biedną służkę, gdyby ta zaproponowała jej jeszcze jeden nieodpowiedni naszyjnik.

— Niezależnie od nastroju jest groźną przeciwniczką naszego narodu — powiedziała ponuro Anigel. — Wyrządziła nam wielkie szkody na naszej pomocnej granicy. Zastanawiam się, czy młody Yondrimel będzie tak nierozsądny, że jej zaufa?

— Jeśli to zrobi, pani, dowie się tego samego, co głupiec, który myślał, że może bezpiecznie piec kielbasę nad kraterem wulkanu!

Anigel westchnęła i zebrała razem dokumenty, które właśnie ukończyła.

— Proszę, zanieś je do pana Lampiara, Elli. Przypomnij mu, że Antar i ja musimy jeszcze wysłać list z gratulacjami, który powinien towarzyszyć naszym podarunkom dla Yondrimela. Jeśli skryba nie dokończył listu, dopilnuj, by się pośpieszył. Prezenty muszą zostać wysłane w chwili, gdy przybijemy do brzegu w Taloazynie.

Ellinis widziała, że Anigel jest przygnębiona i głęboko zaniepokojona nadchodzącą wizytą. Położyła więc dłoń na ramieniu młodszej kobiety.

— Mam posłać Szarice po słodkie wino i wafle dla ciebie?

— Nie, dziękuję. Muszę mieć jasną głowę, żeby przemyśleć pewne sprawy.

— Nie uważaj mnie za nudną, pani — stara dama uśmiechnęła się współczująco — muszę jednak ci przypomnieć, że powinnaś się posilić i włożyć piękne szaty przed zejściem na ląd.

— Tak, tak — odparła niecierpliwie Anigel. — Nie przyniosę wstydu naszemu narodowi wyglądając jak stara megiera.

— Byłabyś olśniewająco piękna nawet w podartej koszuli — powiedziała nie zrażona jej słowami Ellinis. — Ale wtedy zawiodłabyś naszych ziomków i ucieszyła wrogów. — Wdowa po panu Manoporo ukloniła się i odeszła, pozostawiając królową przy stoliku pod pasiastym baldachimem.

Z tego miejsca na rufie nie widać było ani żeglarzy, ani pasażerów. Statek znalazł się za cyplem i wiatr zamarł, teraz całą laboruwendiańską flotyllę napędzały rzędy wielkich wiosł. Raktumiańska trirema i towarzyszące jej trzy korabie wysforowały się daleko do przodu.

— A co z tuzameńską galerą? — zapytała samą siebie Anigel. Zamknęła oczy. Tym razem wizja była kompletna, gdyż obejmowała wszystkie naturalne odgłosy. Królowa miała wrażenie, że szybuje nad falami jak ptak zbliżający się do samotnego, białego statku o czterech masztach. Na jego śnieżnobiałych żaglach nie namalowano żadnego godła, tylko na grotmaszcie powiewała czarna flaga z wieloramienną srebrną gwiazdą.

— Pokaż mi Portolanusa! — poprosiła Anigel. Wizja skoncentrowała się na pokładzie rufowym tuzameńskiej galery, gdzie kapitan i kilku oficerów zgromadziło się za sternikiem. Wśród marynarzy królowa dostrzegła niewyraźną sylwetkę mężczyzny. — Pokaż mi Orogastusa! — rozkazała.

Obraz statku znikł. Jego miejsce zajął chaotyczny wir złożony z różnych odcieni szarości. Kiedy Anigel krzyknęła ze zniecierpliwienia, wir rozjaśnił się stopniowo i jał się kurczyć, aż w końcu pozostał z niego tylko oślepiająco biały punkt, który zamrugał i zgasł.

— Pokaż mi Kadię.

Inny statek, tym razem szybka kupiecka jednostka płynąca pod flagą Varu, zbliżał się do zakopconego i brudnego zinorańskiego portu Kurzwe, położonego o jakieś czterysta mil na zachód od Taloazinu. Kadiya leżała na bukszprycie, z liną w dłoni, a morze zdawało się mknąć na wiele elli pod nią. Z bliska siostra Anigel wyglądała bardziej jak biedny rozbitek niż niezwykczona Pani Czarodziejskich Oczu. Miała na sobie poplamiony skórzany kubrak, jej włosy były rozczochrane i sztywne od morskiej wody, a podpuchnięte oczy i wilgotne ślady na policzkach na pewno nie pochodziły od pyłu wodnego. Serce Anigel omal nie pękło z bólu, gdyż tak bardzo współczuła swojej zrozpaczonej siostrze.

Biedna Kadi! Była najodważniejsza i najbardziej zapalczywa z całej trójki. Nigdy nie wahała się i nie wątpiła w swoje zdolności jak Haramis, ani nie poświęcała się pracy i nie objadała łakociami jak sama Anigel. To prawda, że Kadiya często proponowała zbyt proste rozwiązania dla trudnych problemów i czasami dawała się ponieść emocjom. Żaden jednak człowiek nie kochał tubylców całym sercem tak jak ona, ani nie był gotów oddać za nich życia. A teraz czuła się poniżona w oczach wszystkich utratą swego talizmanu, przerażała ją perspektywa powrotu na niebezpieczne wyspy z towarzyszami, którzy wprawdzie byli dzielni, ale mieli niewielkie pojęcie o żeglowaniu i morzu. Nie mogła porozumieć się ze swymi siostrami, nie wątpiła jednak, że dowiedziały się o stracie, jaką poniosła. Nie wiedziała, iż Anigel i Haramis snuły już plany wydobycia talizmanu z morza, kiedy tylko zakończą się uroczystości koronacyjne.

— Odwagi, kochana Kadi! Hara i ja pomożemy ci odzyskać Potrójne Płonące Oko — nadała Anigel.

Czy Kadiya podniosła głowę? Czy jej twarz się rozpogodziła? Czyżby odebrała myśl Anigel? Królowa modliła się w duchu, żeby tak było. Kadiya otarła łzy i usiadła na bukszprycie. Łzy przestały płynąć z oczu zrozpaczonej księżniczki i rozpacz na jej twarzy ustąpiła miejsca zamyśleniu.

— Tak, Kadi, tak! Pamiętaj, że jest nas trzy i że jesteśmy Jednością! — Anigel wydała teraz talizmanowi ostatni rozkaz: — Pokaż mi Haramis!

Podnosząc głowę znad wielkiej mapy leżącej na stole w bibliotece, Arcymagini spojrzała z uśmiechem na swoją najmłodszą siostrę.

— Jesteś smutna, Ani?

— Wyznaję, że właśnie oglądałam Kadię i widok jej rozpaczki przeszył mnie jak miecz. Mam nadzieję, że się nie mylisz, że mój talizman, zawieszony do miejsca, gdzie zatonęło Potrójne Płonące Oko, rozkaże mu powrócić do ręki jego pani.

— Wszystko będzie dobrze — uspokoiła ją Arcymagini. — Nasza siostra nie utraciła swego talizmanu przez lekkomyślność, ale z powodu nieszczęśliwego wypadku. Nie jest niczemu winna, a magia wypełniająca Potrójne Płonące Oko i więzy, które łączą je z Kadi, pozostają nietknięte.

— A jednak niepokoi mnie ta zwłoka. Wolałabym, żebyśmy udały się tam zaraz — powiedziała Anigel.

— Dyskutowałyśmy już na ten temat i ustaliłyśmy, co należy zrobić. Honor twego kraju wymaga, byś była obecna na koronacji. Talizmanowi Kadiyi nic nie grozi w głębinie. Każdy, kto spróbuje go dotknąć bez jej pozwolenia, zginie, a w pobliżu nie ma ani Portolanusa, ani

jego tajemniczej skrzyni. Bardzo możliwe, że czarownik nawet nie wie, że Kadi straciła Płonące Potrójne Oko.

— Tak, pewnie masz rację.

— Powrót na Bezwietrzne Wyspy zajmie Kadiyi trochę czasu, nawet jeśli zdoła wynająć jakiś zinorański statek. Jeśli jednak wyruszy tylko ze swymi towarzyszami, będą musieli płynąć bardzo ostrożnie, trzymając się blisko brzegu, zanim dopłyną do najdalej wysuniętej na północ wyspy archipelagu, a potem skierują się ku Wyspie Rady. Najkrótsza trasa z Kurzwe do Wyspy Rady liczy ponad osiemset mil. Macie bardzo szybkie statki, na pewno więc dogonisz Kadi, nawet jeśli pozostaniesz w Zmorze do końca uroczystości, które zajmą cały tydzień.

— Dobrze, zgoda. Łatwo ją odnajdę z pomocą Trójgłowego Potwora... Zakładam, że nadal nie zdołałaś się z nią porozumieć.

— Niestety, nie — przyznała Haramis. — Próbowалам wielokrotnie, ale bez powodzenia. Binah, moja poprzedniczka, potrafiła kontaktować się z ludźmi i Odmieńcami na duże odległości, miała jednak znacznie dłuższą praktykę ode mnie. Nie mogę porozumieć się z Kadiya, gdy nie ma ona swojego talizmanu, chociaż dobrze widzę ją i słyszę.

— Kiedy teraz patrzyłam na Kadi, rozpaczałam razem z nią i z całego serca życzyłam jej powodzenia — powiedziała z wahaniem Anigel. — Wydawało mi się, że ona... ona w jakiś sposób odebrała moje myśli.

— To prawda! Może wzmocniły je twoja miłość i współczucie. Przyznaję, że Kadi ostatnio mnie irytowała, a to na pewno osłabia koncentrację. Czasami wpadam w rozpacz na myśl, że nigdy nie zostanę prawdziwą Arcymaginią. Uczę się bez wytchnienia, ale kiedy stosuję magię, za często mnie ona zawodzi.

— Nonsens! Przecież stara Biała Dama wybrała właśnie ciebie!

— Może wybrała tylko najlepszy z koszyka brzydkich owoców... Nie powinnam jednak zawracać ci głowy własnymi wątpliwościami. Będę uważnie obserwować wszystkich uczestników przedstawienia i poinformuję cię natychmiast, jeśli odkryję jakieś nikczemne spiski przeciw tobie i twemu krajowi. Błogosławię cię, siostrze, i niech ci się dobrze wiedzie.

Wraz z wizją Haramis znikł dobry nastrój i nadzieje Anigel. Spojrzała na pływające za królewską galerią pozostałe trzy laboruwendiańskie statki, a potem na horyzont i wysoki cypel, który niedawno opłynęli.

Następny korab właśnie wpłynął do szerokiej Perłowej Zatoki. Lśnił bielą, tak że widać go było z odległości pięciu mil. Anigel nie mogła oderwać od niego oczu i śledziła go jak zaczarowana jeszcze przez kwadrans. Dopiero król Antar pocałunkiem przegnał dręczący jego małżonkę niepokój i zaprowadził ją na południowy posiłek.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Mały książe Tolivar, znudzony i rozdrażniony długą zinorańską ceremonią koronacyjną w świątyni Matki Bożej, rozzłościł się i nie pozwolił, by Immu go ubrała. Najbardziej go oburzyła wieść, że jego starszy brat Niko będzie nosił mieczyk na balu koronacyjnym, on zaś nie.

— Niko zawsze dostaje to, co najlepsze, tylko dlatego, że jest następcą tronu — płakał. — To niesprawiedliwe! Nie pójdę, jeśli nie dostanę mieczyka!

Później uciekł, zmuszając służbę do biegania za sobą po schodach i komnatach laboruwendiańskiej ambasady w Taloazynie. Kareta czekała tymczasem na dziedzińcu, a w niej rozniewani opóźnieniem rodzice. Dwaj dzielni lokaje wyciągnęli wreszcie chłopca z kryjówki w piwnicy na wino i trzymali mocno, wrzeszczącego wniebogłosy, kiedy Immu ubierała go w purpurowy brokatowy strój. Antara aż tak to rozzłościło, że oświadczył, iż Tolo nie będzie mógł używać teleskopu w powrotnej drodze.

— Nienawidzisz mnie! — krzyczał rozwścieczony chłopczyk, a łzy jak grad płynęły mu po twarzy. — Zawsze traktujesz Nikięgo lepiej niż mnie. Ucieknę do Raktum i zostanę piratem, a wtedy pożałujesz, że nie pozwoliłeś mi nosić miecza!

Oszołomieni rodzice siłą wepchnęli Tola i pozostałe dzieci do karety i kazali woźnicy smagać biczem froniałe. Byli ostatnią królewską rodziną, która przybyła do nowego, położonego nad rzeką pałacu, w którym miał odbyć się bal. W zatłoczonej sieni Anigel i Antar oddali tymczasowo dzieci pod opiekę panu Penapatowi i jego małżonce, pani Szarice, a potem pośpiesznie odeszli z zaafowanym zinorańskim mistrzem ceremonii na swoje miejsca w Procesji Gratulacyjnej.

— Czemu nie poszliśmy z mamą i tatą? — zapytał z irytacją Tolo.

— Ponieważ jeszcze nie nadeszła nasza kolej — odparł Nikalon. — Przestań się zachowywać jak rozpieszczony bachor.

— Wy troje, jako królewskie dzieci, pójdziecie za królami, królowymi i innymi władcami — powiedziała z promiennym uśmiechem pani Szarice. — A teraz chodźcie ze mną i z wujem Peni. Mamy specjalne miejsce, z którego będziemy mogli patrzeć, jak nowy król Zinory wita swoich najdostojniejszych gości.

— To nie wygląda na zabawę — mruknął Tolo.

— To nie ma być zabawa — wyjaśniła Janeel. — To twój obowiązek. Kiedy procesja się skończy, będziemy mogli jeść, tańczyć i dobrze się bawić. Najpierw jednak musimy być grzeczni, to tylko przez jakiś czas.

Księżniczka wzięła Tola za jedną rękę, pani Szarice za drugą i razem zaciągnęły chłopczyka do miejsca odgrodzonego błękitnymi atłasowymi sznurami. Zgromadziło się tam już dużo wspaniale odzianych królewskich dzieci i szlachty wysokiego rodu, zarówno młodzieży jak i dorosłych. Panował ogólny gwar, słychać było paplaninę i chichoty. Tolo z grobową miną klapnął na marmurową posadzkę w samym środku obojętnego tłumu.

— Posiedzę tutaj! — oświadczył ignorując pełne oburzenia prośby pani Szarice.

Pan Penapat nachylił się i zaczął robić chłopcu wyrzuty. Po chwili jednak zamilkł i wyprostował się, zapomniawszy o niegrzecznym księciu, gdyż ktoś w pobliżu syknął głośno:

— Czarownik! Patrzenie, tam idzie Portolanus z Tuzamenu!

Tolo w jednej chwili zerwał się z podłogi.

— Wuju Peni, podnieś mnie! Chcę zobaczyć tego czarownika!

— Oczywiście, chłopcze! — Penapat posadził malca na ramieniu. — O, jest tam, właśnie stanął w drzwiach. Na wnętrzości Zota! Wygląda imponująco!

— Och! — Tolo z lęku i zdumienia otworzył szerzej oczy. — Czy będzie rzucał czary?

— Pewnie tak — odrzekła pani Szarice śmiejąc się cicho. — O, tak, jestem całkiem pewna, że będzie to robił!

— Chyba dobrze jest być czarownikiem — westchnął Toliver. — Nikt nie może zmusić czarownika, żeby robił to, czego nie chce... Może kiedy dorosnę, zostanę czarownikiem, a nie piratem?

Pan Penapat śmiejąc się postawił chłopca na podłodze.

— Co za dziwaczny pomysł!

— Poczekajcie no, a sami zobaczycie! — burknął malec. Potem jednak, ogarnięty podnieceniem, gdyż bal właśnie się rozpoczął, zapomniał o wszystkim, co powiedział.

Portolanus rozmyślnie nie pojawił się na uroczystościach i zabawach poprzedzających koronację i trzymał się z tyłu podczas samej ceremonii, tak otoczony swoimi pomocnikami i dworzanami, że ciekawscy mogli go zobaczyć tylko przelotnie. Dopiero na tym wspaniałym balu, gdzie władcy różnych państw mieli w uroczystym pochodzie złożyć gratulacje królowi Yondrimelowi, samozwańczy Pan Tuzamenu wreszcie pojawił się publicznie.

Powłócząc nogami, zupełnie sam, ubrany w fantazyjny i całkowicie niestosowny strój, ustawił się na końcu połyskującej feerii barw Procesji Gratulacyjnej. Zdawało się, że nie słyszy podnieconych szeptów i nie dostrzega zaciekawionych spojrzeń dostojników i szlachty zgromadzonej w sali balowej. Wszyscy patrzyli na niego, a nie na króla Yondrimela.

Grała orkiestra złożona ze stu muzyków. Ogromna komnata miała ściany wybite czerwonym jak wino adamaszkiem, połączone pilastry i wielkie zwierciadła w ramach z krwawnika, jaspisu i onyksu. Oświetlały ją gigantyczne kandelabry, w których tkwiły tysiące cienkich świec. Wysokie okna po obu stronach sali były szeroko otwarte, wpuszczając do wnętrza pachnący wietrzyk z pałacowych ogrodów.

Był wczesny wieczór. Prawie tysiąc dostojnych gości przybyło do pałacu na brzegu rzeki Zin, zbudowanego specjalnie na tę okazję. Większość zaproszonych stanowili szlachetnie urodzeni Zinorianie, obwieszani kosztownymi perłami stanowiącymi dumę tego narodu. Wśród cudzoziemskich gości najwięcej było Raktumian. Wielu piratów i piratek nosiło ozdobne hełmy i zbroje wysadzone drogimi kamieniami, a nie uroczyste szaty.

Królowa Anigel i król Antar jako jedni z ostatnich zajęli wyznaczone miejsca w procesji.

— Ten Protolanus w niczym nie przypomina Orogastusa — mruknął Antar do żony, przyglądając się dziwacznej postaci Pana Tuzamenu. — Czarownik, którego znałem przed dwunastu laty, miał urodziwą twarz i był rostry. Ten tutaj jest zgarbiony, porusza się niezręcznie i ma niemal komicznie wykrzywioną twarz. Nie widzę w nim nic władczego ani groźnego. Wygląda raczej na rozbójnika niż na czarownika. A ta śmieszna, spiczasta czapka z diamentową gwiazdą na czubku, wcisnął ją na głowę tak głęboko, że wygina mu uszy!

I rzeczywiście, tuzameński władca nie miał w sobie nic imponującego. Jego jaskrawożółta, rzadka bródka i śmieszne długie wąsy były przesadnie ufryzowane i wypomadowane. Miał na sobie krzykliwą zieloną szatę w pomarańczowe pasy, tak obszerną jak namiot. Połowa zgromadzonych w sali gości podśmiewała się z niego. Portolanus nie zwracał jednak na to uwagi, uśmiechał się od ucha do ucha, puszczał oko do zaproszonych dostojników i wymachiwał koślawymi paluchami na znak powitania.

— Portolanus nie podbił Tuzamenu kuglarskimi sztuczkami — szepnęła szorstko do męża królowa Anigel. — Zgadza się z tobą, że z oddali nie przypomina Orogastusa i nie otacza go aura czarnej magii, której kazała mi wypatrywać Haramis. Uplłynęło wszakże wiele lat i Orogastus — jeśli to on — uwięziony w Krainie Wiecznych Lodów, musiał wiele wycierpieć. Jego wygląd mógł się bardzo zmienić. Muszę lepiej mu się przyjrzeć po rozmowie z królem Yondrimelem. Jak dotąd Portolanus był tak nieuchwytny, jak lingit w oświetlonej lampą szafie.

Odezwały się głośnie fanfary.

— Oj, teraz nasza kolej — westchnęła Anigel. — Czy moja korona się nie przekrzywiła? Jest taka ciężka, że nie mogę doczekać się chwili, kiedy ją zdejmę.

— Jesteś najpiękniejszą królową w całej sali — zapewnił ją Antar. Nie zechciał włożyć ozdobnej paradnej zbroi i wysadzanego drogimi kamieniami hełmu w kształcie głowy potwora, które były tradycyjnymi regaliaми królestwa Labornoku. Jego diadem z platyny i diamentów był niewielki i skromny w porównaniu z wielką koroną królowej Ruwendy, błyszczącą od szmaragdów i rubinów, z diamentowym słońcem, w którego środku tkwiła bryła bursztynu. W bryle zaś znajdował się kwiat kopalnego Czarnego Trillium, godło małego, bagnistego kraju, który tak niespodziewanie pokonał znacznie potężniejszego sąsiada i połączył się z nim, tworząc Unię Obu Tronów. Anigel i Antar ubrani byli na niebiesko — jego szata miała barwę nocnego nieba (szeroki pas ozdobiły szafiry), jej zaś głęboki lazur firmamentu w Porze Suchej. Suknia królowej, zgodnie z tradycją zaopatrzona w długi tren, była plisowana i haftowana, ozdobiona dodatkowo szlachetnymi kamieniami na rękawach i staniku. Anigel nosiła naszyjnik z mniejszych odłamków bursztynu (a w każdym tkwiło kopalne trillium) i szafirów o kształcie kaboszonów, które miały ten sam kolor co jej oczy.

Monarchowie kroczący ku młodemu królowi Zinory byli ustawieni szeregiem, zgodnie ze ściśle ustaloną hierarchią. Na czele szli władcy najstarszego państwa, a na końcu najmłodszego, to znaczy Tuzamenu. Pierwsi złożyli gratulacje Yondrimelowi Wieczny Księżę Widd i jego małżonka, Wieczna Księżna Raviya, z maleńskiego księstwa wysp Engj, tak ubożego i rzadko zaludnionego, że nawet raktumiańscy piraci nie raczyli na niego napadać. Mimo to Engj szczyliło się najstarszym na świecie rodem królewskim. Jego żeglarzy zaliczano do najlepszych synów morza, a Wieczny Księżę, mimo ekscentrycznego zachowania i wyglądu starego niedołęgi, słynął z przebiegłości i niejedną raz występował jako rozjemca w sporach pomiędzy narodami Półwyspu.

Anigel uśmiechnęła się, zauważywszy, że kochana stara Raviya nosi tę samą lekko podniszczoną brązową suknię z brokatu, którą miała na sobie przed ośmiu laty, podczas uroczystości nadania imienia księciu Tolivarowi. Widd zaś zawadiacko przekrzywił koronę. Udzielając Yondrimelowi kilku rad w rubasznych słowach, spokojnie podrapał się w pośladek.

Jako następni podeszli król Fiomadek i królowa Ila z Varu, on — korpulentny i nadęty, ona zaś pełna macierzyńskiego ciepła. Oboje w naszywanych drogimi kamieniami szatach tak sztywnych, że Anigel zdumiała się, jak mogą w nich się poruszać. Jako najbliższy wschodni sąsiad Zinory, zamożny Var spoglądał z obawą na umizgi młodego króla do Raktum i Tuzamenu. Fiomadek, choć zdenerwowany, zachowywał się kordialnie i gderał zbyt długo. Ila zaś, radząc Yondrimelowi jak najszybciej wybrać sobie małżonkę, sprawiła, że uśmiech pozostał na jego twarzy.

Później przyszła kolej Anigel i Antara. Ponieważ Ruwenda była starszym od Labornoku człowieczym państwem, Anigel przemówiła pierwsza, ograniczając się do lakonicznych życzeń wszystkiego najlepszego. Przemowa Antara była bardziej szczegółowa.

— Życzymy d długich i pomyślnych rządów, królewski brade, i niczego bardziej nie pragniemy niż utrzymania dobrych stosunków, jakie łączyły Zmorę i Laboruwendę za żyda twojego ojca. Oba Zjednoczone Trony, wraz ze władcami Engi i Varu, z zadowoleniem powitałyby de w Przymierzu Narodów Półwyspu, gdybyś tego zapragnął.

Yondrimel był wysoki na swój wiek, miał jasnoniebieskie, wodniste, rozbiegane oczy. Wydawało się, że w każdej chwili oczekuje przybycia kogoś ważniejszego od siebie. Miał też irytujący zwyczaj oblizywania cienkich warg. Anigel i Antar poczuli do niego niechęć od pierwszego wejrzenia. Król Zinory powitał ich chłodno sześć dni później i był wyraźnie zawiedziony, że nie obdarowali go znacznie kosztowniejszymi prezentami. Podczas koronacji nosił strój z białej skóry i złotogłowi, złoty diadem wysadzany mnóstwem różnokolorowych

perłę oraz zawieszoną na łańcuszku olśniewającą różową perłę, niemal tak wielką, jak jajko grissa. Perły zdobiły też jego pendent, pochwę miecza i sztyletu.

— Dziękuję za życzliwe słowa — odpowiedział z obojętnością Yondrimel. — Wprawdzie mój dobrej pamięci ojciec nie zechciał przystąpić do waszego sojuszu z powodów, które uznał za ważne, rozważę jednak wasze godne uwagi zaproszenie równie dogłębnie, jak propozycje innych życzliwych Zinorze narodów.

Antar i Anigel z uśmiechem skinęli głowami i skierowali się do małej alkowy, gdzie ofiarowywano zakąski monarchom, którzy już złożyli gratulacje. Za nimi do króla Zinory wielkimi krokami podszedł barbarzyński władca Denombo, który nazywał siebie cesarzem Sobranii, odziany w budzące zdumienie szaty z różnobarwnych piór, i rozpoczął orację do Yondrimela. Muzyka grała rozmyślnie głośno, by pobliscy widzowie nie mogli usłyszeć wymiany zdań między władcą Zinory a jego królewskimi gośćmi.

— Yondrimela niezbyt ucieszyło nasze zaproszenie do Rady Półwyspu — szepnęła do męża Anigel. — Obawiam się, że księżę Widd i król Fiomadek mieli rację mówiąc, że pozerają go wygórowane ambicje i że snuje niebezpieczne plany.

— Jeżeli wrogo usposobieni do Zinoru aborygeni z Bezwietrznych Wysp rzeczywiście zaprzestaną z nią handlu, czekają ją ciężkie czasy. W takiej sytuacji Var byłby łakomym kąskiem.

— Czy Yondrimel okaże się takim głupcem, że rzuci wyzwanie całemu Półwyspowi i napadnie na Var?

— Na pewno nie zrobi tego sam. Ma za mało statków, a łądem nie da się dotrzeć do Varu. Gdyby jednak zawarł sojusz z Raktum...

— ...Wtedy my, członkowie Przymierza Narodów Półwyspu, musielibyśmy walczyć u boku naszego sojusznika. — Anigel zacisnęła palce na ramieniu męża. — Och, Antarze! Tak długo cieszyliśmy się pokojem... Obawiam się, że lud Ruwendy nie zechce wojny po stronie bogatego Varu.

— A jeśli wyślemy naszych wiernych labornockich rycerzy i żołnierzy na południe, wtedy nasza pomocna granica stanie otworem i tylko Osorkon wraz z innymi kresowymi wielmożami o wątpliwej lojalności wobec państwa będzie nas bronić w razie ewentualnej napaści Raktum. Wprawdzie siły lądowe królowej Ganondri są słabe w porównaniu z jej olbrzymią armadą, ale kto wie, jakie armie wyposażone w magiczną broń może oddać do jej dyspozycji Pan Tuzamenu?

— Kochanie, zaraz po powrocie do Derorguili musimy coś zrobić z Osorkonem i jego dwulicowymi poplecznikami — postanowiła Anigel. — Odłożymy wyjazd do Cytadeli do chwili, gdy załatwimy wszystkie niecierpiące zwłoki sprawy w Labornoku.

Dotarli do alkowy z zakąskami, ale zamiast sięgnąć po elegancko podane dania i trunki, przyłączyli się do władców Engi i Varu, którzy bez cienia wstydu gapili się na procesję i szeptali między sobą.

Rudobrody sobraniański cesarz właśnie zakończył długą przemowę gratulacyjną i odszedł ciężkim krokiem. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. Za jego plecami Yondrimel jak szalencie oblizywał wargi i jakby się skulił, gdy stanęła przed nim gruba, życzliwie uśmiechnięta kobieta w średnim wieku. Królowa Jiri z zamożnego, położonego na zachodzie Półwyspu Galanaru, miała sześć niezamężnych córek (trzy już wydała za przywódców Imlitu i Okamisu).

— Teraz wpadł! — szepnął Wieczny Księżę Widd z nieukrywanym zadowoleniem. Król i królowa Varu przyłączyli się do ich szyderczych komentarzy. Zastanawiali się półgłosem, jak długo Yondrimel ostoji się przed tak groźną swatką jak Jiri. Władczyni Galanaru długo przemawiała do młodego króla, który również długo ocierał jedwabną chusteczką pot z czoła, gdy już pocałowała go w policzek i odeszła.

Następnie podeszli dwaj skromnie odziani duumvirowie z Republiki Imlitu i prezydent Okamisu (wszyscy ze swoimi pięknymi galanarskimi małżonkami), których życzenia na szczęście były krótkie. Za nimi kroczyła królowa–regentka; z Raktum i jej wnuk, król Ledvardis, który po raz pierwszy zjawił się na zinorańskiej uroczystości, gdyż przedtem był „niedysponowany”.

— Och, moja droga, on naprawdę jest bardzo brzydki, czyż nie tak? — szepnęła do Anigel królowa Jiri. — Nie mogłam się zdecydować, czy zaszczylić Raktum propozycją małżeństwa z którąś z moich córek. To przecież piraci, a trzeba dbać o utrzymanie pewnych standardów. Widząc jednak tego królika zwanego Goblinem błogosławię moje wahania.

Ledvardis wyglądał przerażająco, zwłaszcza że stał obok swojej wciąż urodziwej babki, odzianej w szkarłatną aksamitną suknię, haftowaną złotem, naszywaną rubinami i diamentami. Na głowie Ganondri nosiła koronę dwukrotnie większą od ruwendiańskiej. Liczący sobie szesnaście lat król Raktum był silny, lecz bardzo niski, o szerokich ramionach i zgarbionych plecach. Jego wielka głowa w prostym złotym diademie kołysała się na cienkiej szyi. W twarzy o grubych rysach świeciły smutne piwne oczy, wielkie i świetliste jak oczy carolera. Ubrany był w strój z przetykanego złotem czarnego jedwabiu, który tylko podkreślał jego brzydotę. Nic nie powiedział, kiedy królowa Ganondri i Yondrimel powitali się wylewnie. Kiedy młody władca Zinory spróbował wyciągnąć z Ledvardisa kilka słów, ten bąknął coś niezręcznie pod nosem, i zaskakująco zwinnie skierował się do alkowy z zakąskami. Wyraźnie rozzłoszczona regentka musiała wbrew swej woli zakończyć rozmowę z gospodarzem i pójść za wnukiem.

Wpłynęła do alkowy z wysoko uniesioną głową, ignorując grupkę innych władców, którzy szybko się przed nią rozstąpili. Podeszła do stołu zastawionego kryształowymi dzbanami i nalała sobie wina do dużego kielicha. Nieokrzesany cesarz Sobranii, który jako jedyny dotąd spróbował zakąski, przestał wypychać do ust nogę pieczonego ptaka i przez chwilę wpatrywał się w spoglądającą na niego pogardliwie Ganondri. Potem, jakby stracił apetyt, przyłączył się do monarchów obserwujących Pana Tuzamenu.

Portolanus rozmyślnie powoli zbliżył się do Yondrimela. Diamenty zdobiące jego spiczastą czapkę połyskiwały w blasku świec, gdy sunął chwiejnym, ciężkim krokiem po białej marmurowej posadzce, rozdając kpiące pozdrowienia i strojąc dziwaczne grymasy do widzów, którzy teraz chichotali otwarcie, nie kryjąc swej radości, iż nudny ceremoniał się zakończył i pojawił się najzabawniejszy z gości.

Król Yondrimel spochmurniał na moment. Nie przestając oblizywać warg uśmiechnął się do zbliżającego się pajaca. Podniósł dłonie w przyjaznym geście. Portolanus nieoczekiwanie wzniósł do góry prawicę. W niezrozumiały sposób muzyka zamilkła w pół nuty. Zgromadzeni jęknęli i aż wstrzymali oddechy. Czarownik wyciągnął złotą różdżkę. Na jej szczycie rzucał opalizujące blaski kryształ. Szczercząc zęby w uśmiechu, Portolanus pchnął różdżkę ku młodemu królowi, jakby parodiując sztych szermierza. Yondrimel cofnął się z lękiem. — Aha! — Pan Tuzamenu zachichotał. — Boisz się, co? Znow udaj pchnięcie. Wszystkich oslepił jaskrawy błysk, któremu towarzyszył słup dymu. Przed zdumionym młodym monarchą pojawił się sięgający kolan stos platynowych piątek. Kilka monet z cichym szczękiem zsunęło się na podłogę. Zgromadzeni w sali władcy, dostojnicy i dworzanie wydali okrzyk zdziwienia.

Yondrimel przełknął słowa oburzenia, które chciał wykrzyknąć w chwili, gdy czarownik zarzucił mu brak odwagi. Mlaskając wargami zaczął dziękować Portolanusowi za hojny dar, ale zamilkł, kiedy wyglądający jak półgłówek Pan Tuzamenu jął wirować niczym bąk. Jego obszerna, zielono–pomarańczowa szata wydeła się na kształt żagla. Kręcący się coraz szybciej czarownik jakby zamienił się w kulę o zamazanych konturach, tylko jego spiczasta czapka pozostała nieruchoma. Później kula splaszczyla się, dziwaczna, szata osunęła na podłogę, a czapka groteskowo osiadła w jej środku. Portolanus zniknął.

— Na zęby Zota! — mruknął Antar. — To tylko jarmarczny kuglarz!

Coś się działo pod pasiastą tkaniną. Spiczasta czapka drgnęła. Szata zafalowała, potem wydeły się w niej wielkie nieregularne bufy, a czapka czarodzieja podskoczyła gwałtownie. Strój Portolanusa zamienił się w wielką kulę dwukrotnie wyższą od rosłego mężczyzny. Tłum krzyknął z uciechy przemieszanej z lękiem. Wewnątrz kuli jakieś światło gasło i rozjarzało się na przemian, a podskakujące nakrycie głowy nagle się przewróciło, tak że iskrząca się diamentowa gwiazda znalazła się ponad wzdętym materiałem. Gwiazda nieoczekiwanie przebiła świecąca kulę. Wszystkich oślepił jaskrawy błysk i ogłuszył głośny wybuch. Widzowie krzyknęli z lęku, a kiedy odzyskali wzrok, ujrzeli znów Portolanusa odzianego tak jak na początku. Pan Tuzamenu klepał się po kolanach i zanosił śmiechem. Po chwili osłupienia król Yondrimel uśmiechnął się i zaklaskał, a szlachta i dworzanie pośpiesznie poszli w jego ślady.

— To sztuczka zwykłego szarlatana — powiedział Antar do Anigel i skierował się do stołu po wino.

Wtedy czarownik zawołał:

— Stop! — I podniósł różdżkę.

Zgromadzeni odprowadzili wzrokiem różdżkę, która zwróciła się w stronę króla Antara. Zapadła nagle cisza. Władca Laboruwendy odwrócił się i spojrzął na Portolanusa z kamienną twarzą. Oparł dłoń na rękojeści miecza.

— Czy do mnie się zwróciłeś, magiku?

— Tak, wielki królu Laboruwendy — odparł przypochlebnym tonem Portolanus. — Gdybyś raczył się zbliżyć, Pan Tuzamenu z radością zademonstrowałby cuda, które wywarłyby wrażenie nawet na tak sceptycznym władcy jak ty.

Anigel chwyciła małżonka za ramię.

— Nie, kochanie. Nie idź tam! — szepnęła z niepokojem.

Antar wszakże uwolnił się z jej uścisku i wielkimi krokami wrócił na środek sali balowej. Yondrimel stał pośród porzrzucanych skarbów z otwartymi ustami. Przynajmniej tym razem jego rozbiegane zwykle oczy znieruchomiały. Gwałtowny podmuch wiatru szarpnął muślinowymi firankami, a w oddali potoczył się daleki pogłos gromu. Jeszcze głośniejszy grzmot rozległ się zaraz potem. Ogromna błyskawica oświetliła nadrzeczne ogrody i pałac zatrzęsł się od uderzenia pioruna.

Czarownik uśmiechnął się.

— Oprócz rozrywek, które już pokazałem, gotów jestem zademonstrować wam bardziej spektakularne możliwości mocy czarodziejskiej. Na przykład burzę, która nie powinna zerwać się o tej porze roku.

Następna seria błyskawic oświetliła ogród i stało się jasno jak w dzień. Wzdłuż alejek podskakiwały niesamowite kule wielkości melona, świecące niebieskim światłem. Więcej ognistych kul tańczyło wokół masztów statków przycumowanych w rzecznej przystani. Zanim zdumiony tłum zdążył zareagować, jedna z takich kul z głośnym sykiem wleciała przez okno, podskoczyła i ulokowała się na czubku różdżki Portolanusa.

— Na Czarny Kwiat! — jęknęła Anigel. — On rozkazuje burzy!

Na wykrzywionej twarzy czarownika, oświetlonej blaskiem ognistej kuli, zaigrał zły uśmiech.

— O, tak. I nie tyko burzy, dumna królowo. Rozdaję nagrody moim przyjaciołom i coś wręcz przeciwnego wrogom i krytykom. Oto moje ostrzeżenie.

Niedbałym gestem cisnął ognistą kulę na Antara. Król zaklął, błyskawicznie wyciągnął miecz i zadał potężny cios niesamowitemu pociskowi. W chwili, gdy brzeszczot uderzył w niebieski ogień, zarówno Antar jak i Portolanus zniknęli w bliźniaczych chmurach dymu.

Anigel z krzykiem rzuciła się do przodu, jednocześnie wyrwała talizman z korony i trzymając go oburącz, wyciągnęła przed siebie.

— Stój, Portolanusie! Rozkazuję ci zostać i zwrócić mi małżonka!

Błyskawica jeszcze raz rozdarła powietrze i pałac znowu zatrząsł się od grzmotu. Zgromadzeni krzyczeli ze strachu i zdumienia. Silny wiatr kołysał kandelabrami i świece zaczęły gasnąć. Anigel powstrzymała szloch, zrozumiałwszy, że talizman nie wyrwie Antara z rąk czarnoksiężnika. Z wściekłością odwróciła się do króla Yondrimela. Młodzieniec zbladł z przerażenia, a dworzanie i gwardziści biegiem rzucili się ku niemu. Anigel stała przed władcą Zinory, trzymając wysoko talizman. Osadzony w tiarze odłamek bursztynu z kopalnym trillium jarzył się jak małe słońce, a bursztyn zdobiony ruwendiańską koroną i bursztynowe paciorki naszyjnika Anigel świeciły niemal równie jasno.

— Rozkaż Portolanusowi sprowadzić z powrotem króla Antara! — krzyknęła groźnym głosem do Yondrimela. — Ty zdraziecki łajdak! Rozkazuję ci!

— Nie mogę go sprowadzić! — jęknął młody władca. — Nie rób mi krzywdy! Nie wiedziałem... nie miałem pojęcia... nic mi nie mówili...

— Spójrzcie na rzekę! — ryknął cesarz Sobranii. — Raktumiańskie statki rozwinęły żagle! Tak samo galera czarownika! Założę się o twoje platynowe korony w zamian za nory plarów, że to oni porwali Antara!

Wszyscy rzucili się do okien. W niemal nieprzerwanym świetle błyskawic ujrzeli pięć galer płynących środkiem rzeki do ujścia. Sztormowy wiatr wydymał żagle. Cztery statki były czarne, a jeden biały. W mgnieniu oka zgromadzeni pojęli, że goście z Raktum i Tuzamenu wymknęli się z sali podczas magicznego przedstawienia.

— Za tymi łajdakami! — zawołała groźna królowa Jiri z Galanoru.

Wielmoże i rycerze Laboruwendy, Varu i Engi podchwycili ten okrzyk. Natychmiast zawtórowali im oburzeni dostojnicy z Imlitu i Okamisu. Zrobiło się wielkie zamieszanie. Cesarz Denombo i jego ozdobieni piórami Sobranianie, wymachując rozwidlonymi mieczami, wyskoczyli przez okna do ogrodu, depcząc kwietne klomby w drodze do portu. Inni wybiegli z pałacu w bardziej konwencjonalny sposób, nie zważając na ulewny deszcz, który moczył im szaty.

Anigel wraz z panią Ellinis i Wieczną Księżną Ravią oraz królową Ilą z Varu, które starały się ją pocieszyć, stała jak osłupiała na środku opustoszałej sali. Król Yondrimel gdzieś zniknął, tak jak większość jego rodaków. Niektóre młodsze królewskie dzieci zanosiły się płaczem. Starsi goście oraz kobiety, które nie towarzyszyły swoim małżonkom, ciasnym kręgiem otoczyli laboruwendniańską królową. Anigel, wciąż trzymając wysoko talizman, rozkazała:

— Pokaż mi mojego małżonka Antara! — Zgromadzeni wokół niej goście krzyknęli z lęku, gdy diadem w jej dłoniach stał się zwierciadłem z wirującego światła. Pojawił się w nim obraz mężczyzny w granatowej szacie. Leżał nieprzytomny na koi w małej kajucie. Był związany, a trzech niezgrabnych piratów, wciąż noszących odświętne szaty, pilnowało go z obnażonymi mieczami.

— Pokaż mi, który statek uwozi Antara! — zawołała znów córka Kraina. Talizman ukazał olbrzymi trójrzędowiec królowej-regentki z Raktum.

— Pokaż mi Portolanusa!

Obraz zmienił się i w rozjarzonym kręgu pojawił się pokład rufowy okrętu królowej Ganondri. Stała tam sama władczyni pirackiego kraju (jej czerwone szaty powiewały na wietrze), kilku oficerów oraz znajoma już Anigel zamazana sylwetka mężczyzny.

— Pokaż mi, w jakim szyku płyną raktumiańskie galery i tuzameński korab — zażądała od talizmanu Anigel.

W świetlistym zwierciadle pokazało się pięć statków płynących szeregiem w dół rzeki. Wielka czarna trirema znajdowała się z tyłu; trzy rzędy wiosł polyskiwały w świetle błyskawic. Chwilę później wizja zgasła.

— Bądź dobrej myśli, dziewczyno — powiedziała sędziwa księżna Raviya, klepiąc Anigel po ramieniu. — Przy takiej wichurze nasze szybkie małe kutry szybko dopędzą tych łajdaków i połamią im wiosła i stery.

— A dobry stary cesarz Denombo i jego barbarzyńcy popłyną tuż za nimi — dodała królowa Ila. — Jego statek prawie dorównuje wielkością pirackiemu flagowcowi i może go staranować.

— W tym deszczu Raktumianie nie będą mogli użyć swoich machin rozlewających płynną siarkę — powiedziała pani Ellinis. — Przy odrobinie szczęścia schwytemy tych łotrów, zanim dotrą do morza.

— Nie — powiedziała smutno Anigel. — Spójrz w talizman!

Obecni zbliżyli się, by ponad ramieniem Anigel popatrzeć! na nowy czarodziejski obraz. Najpierw pojawiły się szybkie; engiańskie kutry, które otaczały raktumiańską triremę. W mgnieniu oka potworny błysk oświetlił rzekę i matowoczarna kolumna, dwukrotnie wyższa od trzech masztów triremy razem wziętych, zawisła nad wodą i zagroziła drogę Engianom. Maleńki stateczek, płynąc pod wiatr, spróbował ominąć niesamowitą kolumnę. Ta wszakże, wijąc się, uderzyła weń i kuter zniknął, jakby nigdy nie istniał. Widzowie krzyknęli z przerażenia.

— Co to takiego? — zapytała jedna z córek królowej Jiri. — Wyczarowany przez Portolanusa wąż morski?

Łzy płynęły po pomarszczonej twarzy Raviyi z Engi, gdy mówiła cicho:

— To trąba wodna, rodzaj tornada, które powstaje nad morzem. Podczas wiosennych monsunów spotykamy je wokół naszych wysp, ale nigdy w porze suchej! Niestety! Nadciąga następna! Nasi dzielni żeglarze wkrótce zostaną zmuszeni przerwać pościg, inne statki też. Żaden korab, choćby nie wiem jak mocny, nie wytrzyma spotkania z tym piekielnym żywiołem.

Po przeciwnej stronie sali znowu powstało zamieszanie wśród zinorańskich gwardzistów strzegących głównego wejścia. Jakiś głos zawołał:

— Pani! Och, Pani, nieszczęście! — Mężczyzna w ociekającym wodą odświętnym labornockim stroju wyrwał się gwardzistom i pobiegł ku Anigel.

Królowa opuściła talizman. Wizja w jego wnętrzu zniknęła, a blask czarodziejskiego bursztynu przygasł. Na twarzy Anigel malował się niepokój, ale milczała do chwili, gdy pan Penapat ciężkimi krokami zbliżył się do niej. Wzrok miał dziki, a jego szeroka twarz poczerwieniała jak przed atakiem apopleksji.

— Och, Pani! — Upadł na kolana przed królową. — Jak mam ci o tym powiedzieć? Co za hańba! Zdrada! Jak ona mogła to zrobić?!

— Uspokój się, Peni. No, uspokój się, stary przyjacielu. Wiemy już, że król został porwany przez czarnoksiężnika...

— Ale to nie wszystko! — Wielki mężczyzna podniósł ręce z rozpacz. — Moja żona! Moja własna żona, Szarice! Podczas Procesji Gratulacyjnej wysłała mnie z sali z bilecikiem mówiąc, że powinienem jak najszybciej oddać go marszałkowi Owanonowi. Ale zawarte w liściku posłanie nie miało sensu. Kiedy wróciłem do mojej żony, powiedziano mi, że odeszła, zabierając ze sobą królewskie dzieci. Nic z tego nie zrozumiałem... Och, Boże! Pobiegłem za nimi, ale było już za późno! Serce Anigel zamarło.

— Moje dzieci — szepnęła głucho. — Moje dzieci.

— Szarice je uprowadziła — powiedział z płaczem królewski szambelan. — Widziano całą trójkę z moją żoną, jak wsiadały na galerę Ganondri.

— Co było w tym liściku do pana Owanona? — zapytała surowo pani Ellinis.

— Tylko dwa słowa — odparł Penapat. — „Twój talizman”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na Wyspach Ognia i Wyspach Dymiących wybuchały morskie wulkany. Drzemiące dotąd ogniste góry na kontynencie również zaczęły groźnie dymić, a ziemia wokół nich trzęsła się bez przerwy. W górach Ohogan i innych niewulkanicznych górskich łańcuchach, graniczących z Krainą Wiecznych Lodów na południu Półwyspu, szalały niespotykane o tej porze roku zamiecie śnieżne. Na nizinach i bagnistych wyżynach Ruwendy srożyły się straszne burze, a na południowych i wschodnich morzach hulały wściekle sztormy.

Zła pogoda i wybuchy z ognistych trzewi świata zaczęły się w noc porwania króla Antara i jego dzieci. Haramis dowiedziała się o tym niemal natychmiast. Wyjątkowa wrażliwość, jaką wykształciła w sobie w minionych latach, niezwykła spostrzegawczość pobudzały czujność Arcymagini, kiedy w jej kraju lub z jej ludem działo się coś złego. Teraz pojawił się w niej głęboki niepokój, którego nie mogła przypisać w pełni wstrząsającym wydarzeniom na koronacji Yondrimela, choć Anigel zaraz powiadomiła ją o wszystkim.

W następnych godzinach, kiedy Haramis upewniła się, że w niczym nie może pomóc Antarowi ani jego porwanym dzieciom, za pomocą talizmanu przeszukała kraje Półwyspu, a potem położone poza nim krainy. Przyjrzała się niezwykłym burzom, trzęsieniom ziemi, lawinom, erupcjom wulkanów, niespokojnemu zachowaniu dzikich zwierząt. Zrozumiała, że nie są to uboczne skutki rozpętanego przez Portolanusa magicznego sztormu, który miał mu dopomóc w ucieczce z Zinory. To było coś innego, coś znacznie groźniejszego.

Zażądała, by Trójskrzydły Krąg wyjaśnił jej, co się dzieje. Talizman ponownie ukazał Arcymagini wizję trillium koloru krwi i przemówił:

— Teraz wielka równowaga świata naprawdę została naruszona, gdyż odrodzony dziedzic Gwiazdnych Ludzi ma w zasięgu ręki dwie części wielkiego Berła Mocy. Strzeż się, Arcymagini Ładu! Poszukaj dobrych rad sobie podobnych i zwalcz swoje wady. Przystąp do działania, porzucając bezcelową naukę i niepotrzebne badania. W przeciwnym bowiem wypadku Gwiazdni Ludzie zatriumfują i wielki czyn uzdrawiania świata, trwający dwanaście razy po dziesięć stuleci pójdzie na marne.

Tajemniczy głos umilkł. Haramis wpatrywała się w obraz Krwawego Trillium z niedowierzaniem tak długo, póki nie zniknął. Później w jej sercu trwoga ustąpiła miejsca oburzeniu. Rozgniewana, wstała od stołu w bibliotece i zaczęła chodzić tam i z powrotem przed kominkiem.

Poszukać dobrych rad? Czyich? Jej głupiutkich sióstr?

Zwalczyć swoje wady?

Lata, które poświęciła na naukę i służbę ludziom i Odmieńcom, na nic się nie zdały?

Jej nie ustająca straż nad ukochaną Laboruwendą i przylegającymi do niej krainami była nieodpowiednia?

Jak talizman śmiał tak ją obrazić! Robiła, co mogła przez dwanaście lat, gdy sprawowała funkcję Arcymagini. Ruwenda i Labornok były zjednoczone i bezpieczne, ludzie żyli w dobrobycie, a aborygeni... No cóż, większości powodziło się znacznie lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Jeśli równowaga świata została zachwiana, to winić za to należało czarnoksiężnika Portolanusa, a nie ją!

I dlaczego talizman, zamiast kazać naradzić się z siostrami, wytknął wady tylko jej, Haramis? Przecież wady jej sióstr były znacznie większe!

Na przykład Kadiya! Zawsze rzucała się niecierpliwie do przodu, zawsze proponowała naiwne rozwiązania dla skomplikowanych problemów dotyczących stosunków między ludźmi a Odmieńcami. Aroganka w swojej prawości, zawsze wtrącająca się w sprawy, które należało pozostawić ich własnemu biegowi. Przez głupotę i nieostrożność straciła swój talizman, który teraz znalazł się w zasięgu ręki Portolanusa.

Anigel, piękna, cnotliwa królowa, rządząca tak ostrożnie i z takim oddaniem, że aż onieśmielała postronnych. Ignorowała malkontentów z Labornoku i rzucające się w oczy niesprawiedliwości w Ruwendzie, głęboko przekonana, że wszystko samo się ułoży. Rozsądniejszy od niej małżonek próbował ją ostrzec przed tymi niebezpieczeństwami, ale raz po raz odrzucała jego przestrogi jako nieuzasadnione. A on, kochając Anigel bez pamięci i nie chcąc się z nią spierać, przekonał sam siebie, że żona ma rację. Biedny król Antar, tak ślepy w swym oddaniu!

I trójka królewskich dzieci, nauczonych, że życie to śliczny gobelin utkany z pokoju i radości, dzieci rozpieszczanych i nadmiernie chronionych — tylko nie wtedy, kiedy najbardziej potrzebowały ochrony! Teraz zaś małżonek i dzieci Anigel zostali uprowadzeni i zginą, jeśli królowa Laboruwendy nie zapłaci za nich okupu, oddając swój magiczny talizman Portolanusowi.

I ona to zrobi! Jest dostatecznie słaba i sentymentalna, by tak postąpić!

Na Władców Powietrza! Jakżeż głupie są jej siostry! Co napadło Arcymaginię Binah, że uznała, iż warte są władzy nad przyrządami o tak wielkiej mocy? Czemu wszystkie trzy talizmany nie zostały powierzone jej, Haramis?

Ona na pewno dobrze by ich strzegła. I dysponując teraz trzema częściami, złożyłaby z nich Berło Mocy i rozprawiła się z Portolanusem tak jak na to zasługuje, gdziekolwiek jest. Ale w obecnej sytuacji... Równie dobrze może poddać się bez walki lub czekać ze strachem na czarownika z Tuzamenu, który przybędzie uzbrojony w pozostałe talizmany.

— Wielki Boże i wy, Władcy Powietrza, brońcie mnie! — szepnęła czując, że oczy pieką ją od łez. — Została zachwiana równowaga całego świata, a nie tylko tego małego Półwyspu, którego strzegłam, ja zaś zachowuję się jak ostatnia idiotka, oskarżając moje siostry, gotowa poddać się Portolanusowi bez walki!

— Przystąp do działania — szepnął talizman.

Haramis zatrzymała się w pół kroku, niemal płacząc z bezsilnej wściekłości.

— Działania? Jakiego działania?! Może mam polecieć na grzbiecie voora na południe i stawić czoło Portolanusowi na pokładzie okrętu Ganondri? Zanim tam dotrę, na pewno będzie miał już talizman Kadiyi, złączony z nim za pomocą tamtej przeklętej skrzyni! Czemu pozwoliłeś, by zawładnął tak niebezpiecznym przyrządem?! Dlaczego pozwoliłeś mu odnaleźć Kimilon?! Czemu pozostawiłeś Orogastusa przy życiu?!

Gwałtowny podmuch wiatru wpadł do kominka, jak boskie ostrzeżenie ciskając obłok iskier na Haramis. Arcymagini z okrzykiem puściła zawieszony na łańcuszku talizman. Oparzenie na ręce było niegroźne. Klnąc pod nosem, zaczęła deptać węgle, które rozsypały się na dywan, jednocześnie starając się opanować. Poprawiła zasuwę w kominie i osunęła się na dywan. Zalawionymi oczami wpatrywała się w płomienie.

Wichura jęczała wokół wieży jak chórzyści śpiewający pogrzebową pieśń. Ta dzika melodia przypomniała Haramis dobrego starego Uzuna, harfistę i flecistę z plemienia Nyssomu, który w młodości był jej serdecznym przyjacielem. Kiedy upadała na duchu, niezmordowanie starał się ją pocieszyć. Zabawny, stary Uzun, niewyczerpana skarbnica wspaniałych opowieści, który tak wytrwale towarzyszył jej podczas poszukiwań talizmanu, póki słabe zdrowie nie zmusiło go do powrotu. Uzun, który pięć lat temu spokojnie odszedł w zaświaty. Nie miała już nikogo, komu mogłaby się zwierzyć, nikogo, kto zaakceptowałby ją i pokochał pomimo jej wad. Nie miała żadnego prawdziwego przyjaciela. Jej jedynymi towarzyszami byli zalęknięci słudzy i służki z plemienia Vispi, którzy nazywali ją Białą Damą i wierzyli, że ma moc i wiedzę Binah, ponieważ nosiła jej płaszcz.

Pożałowania godne... Pomimo lat nauki, tak niewiele wiedziała o mocy swego talizmanu. Wyglądało na to, że jeszcze przez długi czas będzie musiała iść po omacku, powoli, niewiarygodnie długo. Binah władała wielką mocą nawet bez pomocy talizmanu, nie zostawiła jednak podręcznika magii swojej następczyni. Haramis zrobiła wszystko, co mogła,

ale teraz, w chwili wielkiego kryzysu, była bezsilna, a tajemniczy przedmiot, który nosiła na szyi, kpił z jej wysiłków.

— Poszukaj dobrych rad innych takich jak ty.

Innych?

Zmarszczyła czoło, a potem się wypogodziła. Po raz pierwszy dotarły do niej słowa talizmanu i nabrały znaczenia. Inne?

Nie jej siostry, ale.. Przecież to niemożliwe! Binah na pewno powiedziała by jej o innych władczyniach mocy.

A jeśli sama nie wiedziała?

Haramis odwróciła się od kominka, otarła łzy z oczu i drżącymi rękami podniosła znów talizman.

— Czy jestem jedyną Arcymaginią na świecie?

— Nie.

— Szybko! — jęknęła. — Pokaż mi jakąś! Którąkolwiek! Perłowa mgielka wypełniła Trójskrzydły Krąg. Jednak i tym razem we wnętrzu talizmanu pojawiły się świetlne wiry, uznane przedtem przez Haramis za czary Portolanusa, który osłaniał się przed niepożądanymi obserwatorami.

— Oczywiście! — jęknęła. — One także są osłonięte, tak jak ja! — Jeszcze raz zwróciła się do talizmanu. — Ile jest Arcymagii?

— Jest jedna Arcymagini Lądu, jedna Arcymagini Morza i jeden Arcymag Firmamentu.

Więc to tak! Ona sama na pewno była Strażniczką Lądu, tamtych dwoje zaś...

— Czy... któreś z nich porozmawiałoby ze mną? Udzieliło mi pomocy?

— Tylko wtedy, jeśli udasz się do nich.

— Jak mogę ich znaleźć?

— Są dwa sposoby: pierwszy to zaproszenie. Drugi poznasz na Niedostępnym Kimilonie.

— Chwała Trójjedynemu Bogu! — zawołała z radością Haramis. — Zaraz tam wyruszę!

Drzwi biblioteki otworzyły się i Magira niepewnie zajrzała do środka. Stało za nią kilku jej wysokich współplemieńców.

— Wołałaś nas, Biała Damo? Wydało się nam, że usłyszeliśmy okrzyk bólu...

Uradowana Haramis pokręciła przecząco głową.

— To tylko iskra sparzyła mi rękę. Nic poważnego. Ale cieszę się, że tu jesteście. Powiadomcie voorników! Jutro o brzasku polecę na Kimilon. Przyślijcie zaraz naszego gościa Szkiego, bym mogła go zapytać, czy zechce mi towarzyszyć. Przygotujcie sakwy z prowiantem, namioty i wszystko, co potrzebne jest do podróży. To będzie przynajmniej dziesięciodniowy pobyt w Krainie Wiecznych Lodów.

— Ależ, Pani! — zawołała z konsternacją Magira. — Ta magiczna burza! A jeśli nadmorskie wulkany buchają ogniem, czy wulkany na Kimilonie nie robią tego samego?

— Wytrzymam każdą burzę, którą wyczaruje Portolanus — oświadczyła Haramis. — Tyle się nauczyłam podczas badań nad talizmanem. A co do wulkanów, wichrów i innych podobnych przeszkód, pewna jestem, że zdołam je uspokoić, jeśli zagrożą mnie lub mojemu towarzyszowi. Muszę tam dotrzeć, żeby stawić czoło niebezpieczeństwu, jakim dla świata jest Portolanus. Idźcie teraz i wykonajcie moje polecenia.

Usiadła przy stole, trzymając przed sobą talizman. Zanim wyruszy w drogę, musi znów zbadać chaotyczną sytuację na południu i poradzić Anigel, co ma dalej robić. Działając samodzielnie, królowa Laboruwendy na pewno wszystko popsuje! Najpierw jednak trzeba zobaczyć, co się dzieje z trzecią siostrą.

— Pokaż mi Kadię — rozkazała.

Zobaczyła chłostaną deszczem uliczkę w nędznie wyglądającym miasteczku o zinorańskiej architekturze. Niezwykła ilość karczm wskazywała, że jest to port morski, gdyż wiele z nich miało żeglarskie motywy na szyldach. Kadiya, Jagun i z tuzin wysokich, groźnie

wyglądających Wyvilów z ponurymi minami maszerowało po końskich łbach z podróznymi sakwami na plecach. Widać było, że dotąd nie udało im się wynająć statku, który zawiozłby ich na Bezwietrzne Wyspy.

Haramis oparła dwa palce na bursztynie z kopalnym trillium i zamknęła oczy. Wizja Kadiyi i jej przyjaciół wypełniła umysł Arcymagini. Czuła deszcz chłoszczący ich w Kurzwe, słyszała poruszone wiatrem dzwoneczki zawieszane za oknami zajazdów, melancholijne krakanie uwięzionych w kurnikach ptaków potni, chłonęła zapach morskiego wiatru i odór brudnych, portowych uliczek.

— Kadiyo! Kadiyo! To ja, Haramis. Czy mnie słyszysz? Wyraz twarzy Kadiyi nie uległ zmianie. Widać było, że pochłonięta własnymi sprawami siostra Arcymagini nie odbierała jej myśli. Haramis westchnęła, otworzyła oczy i przegnała wizję.

— Może spróbuję porozumieć się z Kadi, gdy będzie spała. Musi istnieć jakiś sposób nawiązania z nią kontaktu.

Powinam teraz rzucić okiem na raktumiańskich piratów i na Anigel, pomyślała Arcymagini. Wzięła do ręki pergaminową mapę wybrzeża Zinory, rozwinęła ją i przycisnęła rogi księgą, kandelabrem, czarnym sześcianem Zaginionych, który śpiewał tajemnicze pieśni, gdy przycisnęło się niewielki występ, oraz pustym kubkiem do herbaty. Później zwróciła się do talizmanu:

— Pokaż mi statek królowej Ganondri z góry, tak bym widziała również znajdujący się w pobliżu łąd stały lub wyspy. Nakieruj obraz południową stroną ku mnie, północną zaś w przeciwnym kierunku.

Ponownie zamknęła oczy. Wizji, która nagle ożyła w jej umyśle, nie można było zrozumieć tak łatwo jak eleganckiej mapy na unieruchomionym już na zawsze lodowym zwierciadle Orogastusa. Początkowo Haramis daremnie próbowała skłonić talizman do pokazywania obrazów w różnej skali i umieszczania napisów identyfikujących góry, rzeki, doliny czy inne punkty orientacyjne. Przed laty już zatem nauczyła się interpretować anonimowe widoki, które ukazywał jej talizman: używając zgromadzonych w bibliotece map rozpoznawała nieznane regiony.

Już po raz drugi tej nocy śledziła pozycję triremy królowej Ganondri. Ponieważ było ciemno i chmury burzowe zasłaniały niebo, w obrazie dominowała szarość i czerń. Raktumiański flagowiec był ledwie widoczną kroplą pomiędzy dwiema wysepkami. Już dawno wyprzedził cztery statki, które towarzyszyły mu wieczorem. Z lewej był widoczny skrawek łądu. Haramis zapamiętała jego kontury, by potem na mapie ustalić położenie pirackiego okrętu.

— A tuś mi! Mam cię! — wykrzyknęła po chwili. Trirema znajdowała się ponad sto mil na południowy zachód od Taloazinu. Tak jak obawiała się Arcymagini, piracki korab nie skierował się do Raktum, lecz płynął prosto na Bezwietrzne Wyspy z Portolanusem i zakładnikami na pokładzie. Haramis zaznaczyła na mapie pozycję raktumiańskiego flagowca, a potem kazała sobie pokazać pozostałe pirackie statki i tuzameńską galerę Portolanusa, wreszcie liczącą cztery okręty flotyllę Anigel, która je ścigała. Śmiercionośne trąby wodne zniechęciły żeglarzy innych państw, którzy nie przyłączyli się do pościgu.

Powolniejsze raktumiańskie statki i samotna tuzameńską galera znajdowały się jakieś dwadzieścia mil za triemą Ganondri i odległość ta wciąż się powiększała, gdyż statek królowej-regentki mknął na skrzydłach sztormowej wichury. Piętnaście lub szesnaście mil dzieliło okręt flagowy Anigel od ściganej flotylli, a pozostałe statki eskorty płynęły za nim. — Pokaż mi teraz króla Antara — poleciła Arcymagini. Widok niewiele się zmienił od tego sprzed trzech godzin. Mążzonek Anigel nadal leżał bez zmysłów na twardej żeglarskiej koi w brudnej kajucie pod pokładem triremy, ze związanymi rękami i nogami. Pilnowało go dwóch opryszków. Kiwając głową ze współczuciem, Arcymagini zapragnęła zobaczyć trójkę swoich siostrzeńców.

Dzieci już nie przebywały w kajucie przydzielonej perfidnej pani Szarice, ale zostały uwięzione w ciasnej komórce z zamkniętymi na sztabę drzwiami. Obraz kołysał się równie gwałtownie jak płynący podczas burzy statek. Co jakiś czas nieustające skrzypienie belek przerywał głośny łoskot. Wielkie zwoje mokrych, zardzewiałych łańcuchów zwisały nad cienkimi matami, na których spali Nikalon, Janeel i Tolivar. Ich odświętne ubranka były pobrudzone błotem i rdzą.

— Uwięziono je w komorze na dziobie statku, w której trzymany jest łańcuch kotwicy. Biedne maleństwa! Nieszczęsnej Ani serce pęka, gdy patrzy na nie z pomocą swego talizmanu. Wydaje się jednak, że nie zrobiono im krzywdy.

Arcymagini przywołała obraz swojej siostry. Królowa, owinięta w żeglarski płaszcz, wyglądała żałośnie. Uczepiona balustrady na rufie laboruwendiańskiego flagowca, zwróciła się twarzą ku burzy. Na głowie miała swój talizman, Trójgłowego Potwora. Widać było, że Haramis przeszkodziła jej w śledzeniu porwanych członków rodziny.

— Haro! Jak daleko od nich jesteśmy? — zapytała Anigel. — Nie mogę się zorientować, mimo że pokazuje mi to mój talizman.

— Rozkaż kapitanowi zmienić nieco kurs — odparła Arcymagini. Podała dokładną pozycję i kurs raktumiańskiej flotyli. — Czarnoksiężnik i piraci śpieszą na Bezwietrzne Wyspy, a nie do swoich krajów, jak początkowo sądziłyśmy. Chcą odnaleźć talizman Kadi. Jeśli przywołany przez Portolanusa piekielny wiatr nie ucichnie, zapędzi ich na Wyspę Rady najwyższej za trzy dni.

— Nigdy ich nie dogonimy. — Smutne oczy Anigel zdradzały, że czuje się bezradna.

— Jest pewna szansa. Kiedy piracka trirema przepłynie pomiędzy lądem stałym a Bezwietrznymi Wyspami, trafi ciszę morską, która panuje tam przez większą część roku. Wyspy te nie bez powodu otrzymały taką nazwę! Wątpię, żeby nawet czarami można było wywołać wiatr w tym labiryncie samotnych skał, wysp i raf. Twój statek jest lżejszy od raktumiańskiej triremy, a wiosłarze są wolni i chętni do pracy. Dogonicie ich na wiosłach.

— Czy Kadi już wypłynęła z Kurzwe?

— Niestety, nie. Nadal próbuje wynająć jakiś statek. Usiłowałam się z nią porozumieć, ale bez powodzenia. Ani, ty musisz spróbować. Jesteś bliższa jej sercu niż ja...

— Nie mów tak! Kocha cię tak samo jak mnie. Wiem, że twoja miłość do niej jest równie silna.

— W każdym razie, próbuj do końca — westchnęła Haramis. — Gdyby zaraz opuściła Kurzwe na szybkim statku, mogłaby dotrzeć przed Portolanusem do miejsca, w którym zgubiła swój talizman.

— Początkowo zamierzałyśmy użyć mego talizmanu, by przywołać talizman Kadi z głębi morza. Jak go wydobydzie bez mojej pomocy?

— Nie wiem. Ale dość będzie, jak znajdzie sposób, który uniemożliwi Portolanusowi wydobyć zguby do twojego przybycia. Spróbuj rozmawiać z Kadi we śnie. Może wtedy będzie bardziej podatna na kontakt. Musi dotrzeć do talizmanu przed czarnoksiężnikiem!

— Dobrze. Wyteżę wszystkie siły. Ale obserwuj nas i kieruj nami, Haro.

Arcymagini zawahała się.

— Mam pomysł, jak wprowadzić Portolanusa w błąd, jednak nie chcę jeszcze o tym mówić. Nie przestrasz się, jeżeli po tej rozmowie będę się rzadziej kontaktowała z tobą. Gdybyś wszakże naprawdę potrzebowała mojej rady, wezwij mnie natychmiast.

— Masz pomysł? — Twarz Anigel się rozpromieniła. — Och, powiedz mi, Haro!

— Na nic się nie zda, jeśli Portolanus przechwyci talizman Kadiyi albo twój. — Arcymagini pokręciła głową. — Przypomnij sobie, że czarownik wrócił na Kimilon i zabrał stamtąd tajemniczą skrzynię. Zapytałam mój talizman, co może zrobić ta skrzynia. Odpowiedział mi, że potrafi zrywać więzi łączące talizmany z ich właścicielami. Wystarczy tylko umieścić je w magicznym kufrze i rzucić odpowiedni czar.

— Chcesz powiedzieć, że Portolanus zdołałby bezkarnie dotknąć naszych talizmanów?!
— Coś znacznie gorszego: mógłby złączyć je z sobą i posłużyć się nimi, gdy wpadną mu w ręce.

— Na Czarny Kwiat!

— Ani, moja droga, wiem, że bolejesz nad losem twego ukochanego małżonka i dzieci. Nie wolno ci jednak ulec pokusie zapłacenia za nich tego okupu, jakiego żąda Portolanus. On kłamie obiecując uwolnić zakładników w zamian za twój talizman. Naszą jedyną nadzieją jest odbicie więźniów. Przysięgnij mi, że nie usłuchasz czarnoksiężnika!

— Ja... będę nieugięta. Pan Owanon i jego dzielni rycerze w jakiś sposób pomogą mi wyrwać Antara i dzieci z rąk piratów. Ach, gdybym zdołała zbliżyć się do tego drania tak, żeby Trójgłowy Potwór mógł go unicestwić!

Haramis jeszcze przez jakiś czas pocieszała siostrę, a potem przerwała kontakt. Wstała od stołu, podeszła do przegródek z mapami i poleciała swemu talizmanowi odnaleźć mapę przedstawiającą pokryty lodem obszar na zachód od Tuzamenu. Najwyraźniej jednak taka mapa nie istniała. Przeszukała wszystkie, liczne przecież, przegródki, odkryła mapę Tuzamenu (choć żadna nie była zbyt szczegółowa) i jedyną mapę z naniesionym łańcuchem górskim, zamieszkanym przez plemię Doroków. Nie znalazła wszakże ani jednej mapy Niedostępnego Kimilonu.

Arcymagini obejrzała tajemniczą wyspę za pośrednictwem talizmanu. Wzdrygnęła się widząc otoczoną lodowcami ciepłą enklawę pełną dymiących wulkanów. W żaden jednak sposób nie zdołała ustalić jej dokładnego położenia. Żadna księga w ogromnej bibliotece nie zawierała najmniejszej choćby wzmianki o Kimilonie. Wyglądało na to, że wbrew przypuszczeniom Haramis Arcymagini Binah nie używała tej wyspy jako składnicy niebezpiecznych wytworów Zaginionego Ludu. Może robiły to jej poprzedniczki, za niepamiętnych czasów. Możliwe też, że Kimilon należał do Arcymagini Morza lub Arcymaga Firmamentu...

Usłyszała ciche skrobanie w drzwi biblioteki.

— Wejść — powiedziała. Porzuciła mapy i wyszła Szikiemu na spotkanie.

Mały, silny aborygen niemal odzyskał siły po ciężkich przejściach sprzed tygodnia. Jego ogromne oczy znów przybrały jasnożółtą barwę, szpecące je przedtem krwawe żyłki zniknęły, a odmrożona twarz o prawie że człowieczych rysach i trójpalczaste ręce goiły się dobrze. Stracił jednak czubki wystających uszu, które wciąż jeszcze były zabandażowane. Słudzy Haramis uszyli mu nową odzież i Sziki z dumą nosił na łańcuszku medalion z godłem Arcymagini, Czarnym Trillium, gdyż przyjął u niej służbę.

— Magira mówi, że pragniesz udać się na Kimilon, Biała Damo.

— Jeśli zechcesz być moim przewodnikiem, Sziki. Moje mapy i sztuka magiczna nie pozwoliły mi określić położenia tego miejsca. Jakiś czar musi go strzec równie skutecznie jak lodowe pola.

Odmieniec skinał głową.

— Zaprowadzę cię tam z radością i oddam za ciebie życie, jeśli zażądają tego Władcy Powietrza — powiedział z powagą. — Nic by mnie tak nie uszczęśliwiło, jak to, że mogę ci pomóc przy ukaraniu czarnoksiężnika, który zamordował moją rodzinę i mych przyjaciół. Czy inni twoi słudzy z Ludu Gór będą nam towarzyszyć?

— Nie. Polecimy tylko we dwoje. Może będziemy... zmuszeni zawędrować jeszcze dalej niż na Kimilon. Do miejsc, których nigdy nie widział nikt z Ludu Gór, Bagien i Lasów i do których nie trafił też żaden człowiek. Przeróżających miejsc.

Sziki z uśmiechem wyciągnął trójpalczastą dłoń.

— Jestem gotów, Biała Damo. Oboje jesteśmy silni. Udamy się tam, dokąd musimy się udać i razem bezpiecznie wrócimy. Wiem o tym.

Haramis w odpowiedzi uściśnęła rękę Odmienca i uśmiechnęła się do niego.

— Dokładnie wiesz, czego potrzebujemy. Czy pójdziesz do voorników i dopilnujesz, by wszystko było gotowe na jutro rano?

— Dopilnuję — odrzekł wesoło Dorok, schylił z szacunkiem głowę i odszedł.

— Przystąp do działania! — Arcymagini usłyszała rozkaz talizmanu.

Precz ze studiami, obserwacjami, rozważaniami. W młodości życie zmusiło Haramis do dużego wysiłku fizycznego, gdy wędrowała przez niebezpieczne góry w ślad za ziarenkiem Czarnego Trillium, które prowadziło ją do talizmanu zwanego Trójskrzydłym Kręgiem. Teraz jednak nie będzie jej pomagać czarodziejskie nasienie, tylko samotny mężczyzna z Ludu Gór, który szczęśliwym zrzędzeniem losu trafił do jej wieży.

— Zrzędzeniem losu? Och, Haramis... — usłyszała bezgłośnie słowa.

— Milcz! — powiedziała stanowczo. Włożyła talizman za pazuchę, wyłączyła kandelabr i ruszyła w stronę drzwi.

Nagle jakaś myśl przyszła jej do głowy. Jak porozumieć się z Kadiyą? Ależ to oczywiste!

— Haramis, ty głupia kobieto! — zawołała głośno. Później podniosła talizman i zaczęła wydawać mu rozkazy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Zbili się w gromadkę naprzeciw przedostatniej karczmy, o której jeszcze nie zajrzeli: Kadiya, Jagun i piętnastu wysokich Odmieńców z Lasu Tassaleyo. Wokoło były pioruny, błyskawice rozdzierały powietrze, a bambusowe dzwoneczki zwisające w oknach zajazdu dzwoniły i uderzały o siebie w podmuchach wichury, zawiadamiając każdego podróżnego, nawet niepiśmiennego, że w środku czekają nań jadło i trunki.

— Może szczęście dopisze nam w tej norze milingala — powiedziała Kadiya. — Za wszelką cenę musimy wynająć jakiś statek. Mam złe przeczucia i one każą mi jak najszybciej wyruszyć po mój talizman. Jagunie, jak zawsze pójdziesz na końcu i będziesz wypatrywał straży miejskiej. Nasza reputacja mogła nas wyprzedzić. Lummomu–Ko, rozkaż, proszę, swoim wojownikom, by panowali nad sobą, jeśli hałastrą w karczmie będzie z nas kpić lub nas obrażać. A przynajmniej niech nie rozpoczynają bójki, dopóki nie wypytam wszystkich kapitanów, którzy tam będą.

Najcieńszy z Wyvilów, którego eleganckie kiedyś szaty ociekały teraz wodą, odpowiedział:

— Jeśli ci zinorańscy pożeracze błota nadal będą odmawiali wynajęcia nam statku, możemy przystąpić do realizacji alternatywnego planu i odpłynąć sami.

— Wolałabym tego nie robić — odrzekła Kadiya. — W tej niesamowitej sztormowej pogodzie, bez doświadczonych żeglarzy na pokładzie, mamy nikłe szansę na bezpieczne dotarcie do Bezwietrznych Wysp.

— Można ich do tego przekonać — oświadczył młody Wyvilo imieniem Lam–Sa, który pomógł Lummomu–Ko uratować Kadiyę, gdy tonęła. Jego ostre kły zalśniły w świetle błyskawic, a pozostali wojownicy roześmieli się groźnie.

— Nie — przestrzegła ich Kadiya. — Zabranie statku i pozostawienie zapłaty to jedno, ale porwanie załogi to zupełnie inna sprawa. Wolałabym na zawsze utracić mój talizman, niż odzyskać go w tak podły sposób. Modliłam się do Władców Powietrza o pomoc. Wiem, że znajdziemy jakiś korab.

Wtem Jagun wydał ostry okrzyk. Zesztywniał cały, otworzył szerzej żółte oczy i wpatrzył się w niebo, choć ulewny deszcz chłostał jego szeroką, płaską twarz.

— Co się dzieje, stary przyjacielu? — zawołała Kadiya. Lecz mały Odmieniec stał jak sparaliżowany, utkwivszy spojrzenie w czymś, co tylko on jeden widział. Wreszcie po kilku minutach powoli przyszedł do siebie, jego oczy oprzytomniały, a mięśnie zwiotczały. Spojrzał na księżniczkę z wielkim zdziwieniem i szepnął:

— Biała Dama! Przemówiła do mnie!

— Co takiego?! — krzyknęła z konsternacją Kadiya.

Jagun złapał się oburącz za głowę, jakby chciał uniemożliwić ucieczkę myśli.

— Jasnowidząca Pani, ona przemówiła! Wiesz, że my, mieszkańcy Krainy Błot, potrafimy porozumiewać się bez słów na odległość, choć nie jesteśmy w tym tak biegli jak Uisgu i Vispi. Ty z pomocą swojego talizmanu wielokrotnie ze mną rozmawiałaś, gdy byliśmy daleko od siebie. Ale teraz po raz pierwszy usłyszałem Białą Damę.

— Co ona powiedziała?! — Kadiya omal nie wyskoczyła ze skóry.

— Ona... oskarżyła swą świętą osobę o to, że jest głupia. Chciała porozumieć się z tobą, ale nie mogła, gdyż straciłaś swój talizman. Dopiero teraz pomyślała o rozmowie ze mną, żebym mógł ci przekazać jej posłanie. Zapomniała, że jestem z tobą. Myślała bowiem, iż podróżujesz tylko z Wyvilami, którzy słabiej władają mową bez słów na większe odległości.

— Tak, tak... O co jej chodziło?!

— Niestety, mam złe wieści, Jasnowidząca Pani! Czarownik Portolanus płynie szybkim statkiem na południe, by zabrać twój talizman.

— Trójjedyny Boże!

— Biała Pani mówi, że jeśli wypłyniemy z Kurzwe natychmiast, może uda nam się dotrzeć do talizmanu przed Portolanusem.

— Czy powiedziała, jak mogę go wydobyć? — spytała żywo i Kadiya.

— Twoja siostra, królowa Anigel, również ściga czarnoksiężnika. Biała Dama uważa, że gdybyście obie jednocześnie dotarły na miejsce, gdzie zaginał twój talizman, to talizman królowej mógłby przywołać go do ciebie.

— Jagunie, czy to możliwe... — zaczęła Kadiya.

Ale w tej właśnie chwili otworzyły się szeroko drzwi zajazdu po drugiej stronie ulicy. Wylało się z nich jasne światło, zgiełk niemelodyjnej muzyki, pijackie śmiechy i wrzaski. Moment później w drzwiach zjawili się dwóch barczystych mężczyzn w brudnych fartuchach, trzymających szamoczącego się i krzyczącego klienta. Nieszczęśnik odziany był z cudzoziemska w czarne jedwabne spodnie wsunięte w wysokie czerwone buty, kaftan z różnokolorowych kawałków skóry, piękny czerwony płaszcz i ozdobiony czarnymi piórami kapelusz o szerokim skrzydle, związany pod brodą szkarłatnymi wstążkami. Kapelusz zsunął się do przodu, oślepiając właściciela i zasłaniając mu twarz, podczas gdy daremnie próbował się wyrwać dręczycielom.

— Złodzieje! Pomocy! — wrzasnął. — O... oszuści! Puśćcie mnie! Mówię, że kości są obciążone!

Dwóch służących wrzuciło go w błoto ulicy, a potem zatrzęsęło za sobą drzwi. Mężczyzna upadł na twarz. Kapelusz uchronił go przed połknięciem garści błota. Leżał tam, jęcząc żałośnie, a deszcz smagał mu płaszcz i moczył pióra zdobiące kapelusz.

Kadiya uklękła obok, przewróciła nieznajomego na plecy i uwolniła od kapelusza. Przesycony alkoholem oddech uderzył ją w twarz. Mężczyzna otworzył zamglone oczy.

— Cześć, ślicznotko. Co taka dziewczyna jak ty robi na dworze w taką wstrętną noc? — Kadiya z trudem rozumiała jego pijacki bełkot. Kiedy jednak dostrzegł za Kadiya grupę Wyvilów, począł wrzeszczeć przepitym głosem: — Ratunku! Pomocy! Bandyci! Potwory! Najeźdźcy! Morscy Odmieńcy! Pomocy!

Kadiya spokojnie wepchnęła mu do ust skraj jego płaszcza, pijak zakrztusił się i zamilkł.

— Uspokój się. Nie zrobimy ci krzywdy. Jesteśmy tylko podróżnymi z Ruwendy, a tamci to nie są dzicy morscy Odmieńcy, tylko cywilizowani Wyvilowie, moi przyjaciele. Nic ci się nie stało?

Nieznajomy odchrząknął. Jego rozbiegane, zaczerwienione oczy znieruchomiały. Potrząsnął głową.

Kadiya skinieniem dała znak Lummomu–Ko. Wspólnymi siłami postawili pijanego mężczyznę na nogi. Zaimprovizowany knebel wypadł mu z ust. Stał chwiejąc się i mamrocząc coś niezrozumiale pod nosem. Jagun w ostatniej chwili wyłowił z rynsztoka przemoczony kapelusz, który właśnie odpływał, i podał go właścicielowi.

— Jestem Kadiya, zwana Panią Czarodziejskich Oczu. To jest Jagun z Ludu Bagien, a to Mówca Lummomu–Ko z Ludu Lasu Tassaleyo i jego wojownicy, którzy są moimi przyjaciółmi. Właśnie zamierzaliśmy wejść do karczmy, którą opuściłeś w tak gwałtowny sposób.

Przybysz prychnął z goryczą i wcisnął kapelusz na głowę. Potem wyciągnął z rękawa dużą chustkę i zaczął wycierać nią twarz. Głos tak mu zgrubiał i ochrypl od alkoholu, że ledwie rozumieli jego słowa.

— Kiedy... te wredne łajdaki mnie wyrzuciły, chciałaś powiedzieć! Obdarli mnie ze skóry jak nunczika... oszukiwali w grze w tańczące kości... oszukaństwem zabrali mi moją nię, po tym, jak odebrali mi zapłatę za ładunek! Och... mdli mnie...

Lummomu–Ko i któryś z wojowników podtrzymywali głowę żeglarza, gdy wymiotował. Wiatr zawył, deszcz smagnął ich jak biczem, a wietrzne dzwoneczki nad drzwiami zajazdu zadzwoniły wesoło. Kiedy ofiara nadmiaru trunku przyszła trochę do siebie, Kadiya zapytała:

— Kim jesteś i co to takiego jest ta niha, którą ci oszukańczo odebrano?

— Nazywam się Ly Woonly... uczciwy żeglarz z Okamisu. — Przyjrzał się jej podejrzliwie. — Znasz Okamis? Największy naród w znanym świecie! Republika, a nie pokąsane przez zacy królestwo jak Zinora. Przekłety dzień, kiedy przypląnąłem do Zinory. Powinienem zabrać wszystko do Imlitu, choć nie płacą tak dużo.

— Więc jesteś żeglarzem! — rozpromieniła się Kadiya.

Ly Woonly wyprostował się i dumnym gestem otulił mokrym płaszczem.

— Prawdziwym marynarzem! Kapitanem dobrego statku „Lyath”, handlujemy trochę. Nazwałem go imieniem mojej drugiej żony. — Czknął i wybuchnął pijackim płaczem. — Ona mnie zabije! Lyath mnie zabije! Natrze solą moje jaja i sprzeda mnie sobranijskim handlarzom niewolników!

Oczy Kadiyi napotkały wzrok Lummomu–Ko. Wódz skinął głową, a potem omiół spojrzeniem twarze swoich towarzyszy, którzy uśmiechali się radośnie.

— Nasz nowy przyjaciel Ly Woonly został oszukany w nieuczciwej grze w tańczące kości — powiedziała uroczyście Kadiya. — Tak, to smutna historia. W takiej podejrzanej dziurze jak Kurzwe, władze prawdopodobnie staną po stronie karczmarza, a nie poszkodowanego cudzoziemca. Nie mógłby więc liczyć na sprawiedliwy wyrok.

— Z pewnością nie. — Głos Lummomu–Ko zahuczał jak daleki grom. — To hańba, która woła o pomstę do Władców Powietrza. — Jego wojownicy mruknęli na znak zgody. Ich oczy o pionowych źrenicach wskazujących na domieszkę krwi Skriteków zaświeciły w nocnym mroku jak złociste węgle.

Kadiya ujęła w dłonie zabłocone ręce nowego znajomego.

— Kapitanie Ly Woonly — powiedziała poważnie — chcielibyśmy ci pomóc. Ale i ty musisz nam pomóc. Chcemy wynająć statek... Mamy do przepłynięcia około ośmiuset mil. Tchórzliwi zinorańscy kapitanowie boją się wyruszać w taką pogodę. Jeżeli odbierzemy twoją nihę i pieniądze, które od ciebie wyłudżono, czy wynajmiesz nam swój statek? Zapłacimy ci tysiąc laboruwendiańskich platynowych koron.

Okamisanin wybałuszył oczy.

— Tysiąc? Spierzecie tych zinorańskich oszustów i w dodatku zwrócicie mi moje pieniądze?

— Tak — odparła Kadiya.

Ly Woonly zachwiał się na nogach, a potem z trudem ukląkł w kałuży przed księżniczką.

— Pani, jeśli to zrobisz, zabiorę cię na zamrożone Morze Zorzy Polarnej albo do wrót piekła... i jeszcze dalej.

— Dobrze. Zechcesz nam towarzyszyć do karczmy, gdy wystąpimy z twoimi sprawiedliwymi pretensjami?

— Za nic na świecie nie chciałbym tego opuścić! — Ly Woonly powstał z trudem i zawiązał wstążki kapelusza.

Ku wielkiemu niezadowoleniu wyvilskich wojowników i wielkiej uldze Jaguna, nie doszło do bójki. Sam widok groźnych leśnych Odmieńców o rozwartych paszczach, w których połyskiwały wielkie kły, i pazurzastych dłoniach, które trzymali w pobliżu broni, natychmiast przypomniał oszustom o uczciwości. Przerzucając obciążone kości z ręki do ręki, Kadiya smutno pokiwała głową trzem przerażonym zinorańskim graczom, którzy siedzieli przy tylnym stoliku. Przyłapała ich w chwili, gdy dzielili przegraną Ly Woonly.

— Zacy ludzie — zwróciła się do nich — widzę, choć może wy tego nie zauważyliście, że jakiś łajdak podrzucił wam kości w chytry sposób obciążone ołowiem, zabierając wasze,

zgodne ze wszystkimi zasadami gry, którymi należy się posługiwać w takim porządnym zajeździe jak ten.

— To... to możliwe, pani — mruknął najlepiej odziany łotrzyk, chudy mężczyzna o stalowym spojrzeniu. — Może tego nie zauważyliśmy.

Pozostali gracze skwapliwie skinęli głowami. Ich twarze stężały w uśmiechu, podczas gdy wyvilscy wojownicy obmacywali gałki mieczy i trzonki toporów bojowych, które nosili na plecach.

Kadiya obdarzyła trójkę oszustów ufnym uśmiechem, a później rzuciła kości na stół, między stosiki złotych monet.

— Jakże się cieszę, słysząc to! Jestem pewna, że tacy uczciwi gracze jak wy nie wykorzystaliby biednego przybysza z Okamisu, który przebrał miarę w piciu. Rozumiecie, że ja i moi wyvilscy towarzysze bardzo byśmy się zmartwili, gdyby kapitan Ly Woonly nie mógł odpłynąć dziś w nocy, trzeba wam bowiem wiedzieć, że wynajęliśmy jego statek.

— Proszę! Oto jest akt własności nihy! — oświadczył prowodyr, wyciągając pośpiesznie jakiś dokument z sakiewki u pasa i kładąc go na stole. — Weź go razem z naszymi najlepszymi życzeniami, pani. Życzymy pomyślnej podróży tobie i twoim przyjaciółom.

— A zapłata za ładunek? — wtrącił uparcie Ly Woonly. — Siedem setek i szesnaście złotych zinorańskich marek.

Kiedy gracz zawahał się, Lummomu–Ko delikatnie ujął go za ramię pazurzastą, trójpalczastą dłońią i począł je ścisnąć coraz mocniej.

— Zapłata za ładunek! — zagrział.

Łotrzyk z okrzykiem zaskoczenia przesunął stosiki monet w stronę kapitana i rzekł:

— Bierz to i bądź przeklęty!

Ly Woonly zachichotał, wrzucając złoto do własnej sakiewki.

Karczmarz zbliżył się pośpiesznie, uniżenie przepraszając Okamisanina za złe traktowanie. Powiedział, że słudzy, którzy go wyrzucili na ulicę, zostaną surowo ukarani.

— Bylibyśmy bardziej pewni twojej dobrej woli — powiedziała słodko Kadiya, patrząc mu prosto w oczy — gdybyś podał nam smaczną wieczerzę i dobre trunki. Wtedy wyniesiemy tylko miłe wspomnienia z pięknego portu Kurzwe. Właściciele innych zajazdów, które odwiedziliśmy tej nocy, zachowali się nieprzyjaźnie. Obrażono moich tubylczych towarzyszy i obawiam się, że odpłacili zgodnie ze swoim zwyczajem.

Wyvilowie jak jeden warknęli i wykrzywili się, dotykając oręża.

— Co za hańba! — zawołał karczmarz. Kroplisty pot pokrył jego łysinę. — Gościnność Kurzwe znana jest na całym Morzu Południowym! Siadajcie, siadajcie, zaraz przyniosę wieczerzę, że palce lizać!

— Na twój rachunek — oświadczył Lummomu–Ko.

— A jakżeby inaczej? — odpowiedział właściciel zajazdu.

Był to ich pierwszy suty posiłek od wielu dni. Ly Woonly błogo spał, gdy Kadiya i jej towarzysze jedli. Z trudem go dobudzili i prawie ponieśli do portu, gdzie była przycumowana „Lyath”. W ulewnym deszczu odnaleźli mały dwumasztowiec o zawiadym, ostrym dziobie i rufie, kołyszący się na falach i uderzający sznurowymi odbijaczami o nabrzeże. Drogę do chwiejnej kładki zagroziło im dwóch uzbrojonych mężczyzn o ponurych minach.

— Jesteśmy urzędnikami kurzwiańskiego portu, pani — powiedział jeden z nich do Kadiyi. — Nikt nie opuści tego statku ani na niego nie wsiądzie, aż zostaną uiszczone opłaty portowe i zaległy rachunek dla portowego dostawcy.

Kadiya przejrzała rachunki w migotliwym świetle lampy portowej.

— Wyglądają na uczciwe — oświadczyła. Wzięła sakiewkę chrapiącego kapitana i wyliczyła sto pięćdziesiąt trzy złote monety. Urzędnicy pożegnali ich i pośpieszyli ukryć się przed deszczem. Lummomu–Ko przerzucił Ly Woonly’ego przez ramię i ruszył na pokład.

Odrapany statek już dawno należało pomalować. Był niewielki, o połowę mniejszy od varoniańskiego korabia, który zawiózł Kadiyę i jej towarzyszy na Bezwietrzne Wyspy. Metalowe części kadłuba powinno się wypolerować, a pokład wymienić — deski były nierówne i łupliwe. Całość robiła jednak dobre wrażenie, gdyż takielunek i zwinięte żagle, starannie przywiązane do bomu, były nowe i połyskiwały bielą w nocnym mroku. Na pokładzie nie było żywej duszy. W jedynej kabinie na śródokręciu nie paliło się światło. Zejściówka prowadziła pod pokład, a przez oszklony bulaj sączył się słaby blask jedynej latarni. Kadiya otworzyła prowadzące pod pokład drzwi.

— Jest tam kto? — zawołała. Kiedy krzyknęła po raz drugi, u podnóża drabiny pojawił się odziany tylko w podarte spodnie młodzieniec, przecierając oczy.

— Kapitanie Ly? To pan? Mielśmy już zrezygnować z poszukiwań... Och! — Otworzył szeroko oczy, gdy błyskawica oświetliła przerażającą postać Lummomu–Ko dzwigającego nieprzytomnego kapitana. — Na Boskie Kiszki! Coście za jedni?! Co się stało kapitanowi?

— Twój kapitan jest cały i zdrowy — odparła Kadiya. — Przyprawiliśmy go z nocnej wyprawy. Jestem Kadiya, Pani Czarodziejskich Oczu, a to Mówca Lummomu–Ko z ludu Wyvilów. Wynajęliśmy ten statek i Ly Woonly zgodził się, żebyśmy razem odpłynęli...

— Nie, nie, to niemożliwe! — zaprzeczył marynarz, kręcąc j rozczochraną głową. Miał około dwudziestu pięciu lat, ciemne kędzierzawe włosy i sympatyczną twarz. — Nigdzie nie popłyniemy bez załogi, pani. Na pokładzie, oprócz mnie, pozostali Bari i stary Lendoon. Reszta odpłynęła na varoniańskim statku handlowym, który przybył dziś po południu.

Kadiya i Lummomu–Ko spojrzeli po sobie.

— To statek Kyvee Omina, który nas tutaj przywiózł.

Młody mężczyzna wyszedł na pokład, nie zważając na ulewę. Ruchem ręki zaprosił Kadiyę i wyvilskiego wodza do kajuty kapitana.

— Powinniście wiedzieć, że kapitan Ly niewiele płaci marynarzom, którzy nie są z nim spokrewnieni tak jak ja, Bari i stary Lendoon. Ten varoniański statek na gwałt potrzebował marynarzy i od razu zabrał dziesięciu naszych chłopców. Odeszli zadowoleni, gdyż obiecano im sutą zapłatę po dotarciu do wschodnich portów. Kapitana o mało szlag nie trafił, kiedy go opuścili. Oświadczył, że jutro spróbuje zwerbować kilku ludzi, ale dzisiaj postanowił się zabawić.

Lummomu–Ko położył chrapiącego Ly Woonly’ego na koi. Młody marynarz ściągnął z nóg kapitana przemoczone buty, zdjął zabloconą wierzchnią odzież, wziął ciężką sakiewkę, a potem zaprowadził Kadiyę i wodza Wyvilów pod pokład. Postawił na stole butlę ilisso oraz trzy szklanki. Powiedział, że nazywa się Ly Tyry i jest siostrzeńcem kapitana i pierwszym oficerem pokładowym.

— No, a o co chodzi z tym wynajmem „Lyath”?

— Bardzo nam zależy na opuszczeniu tego miejsca jeszcze dzisiejszej nocy — odparła Kadiya. Wypiła łyżeczek ognistego trunku ze szklanki. Ly Tyry pociągnął z drugiej, Jagun z trzeciej, a Wyvilowie podzielili się zawartością butelki. — Czy istnieje szansa, że uda nam się zwerbować innych marynarzy?

— Praktycznie żadna — przyznał Tyry. — To dlatego kapitan był taki wściekły. W tej dziurze są tylko zinorańskie śmiecie. Żaden nie chciał popłynąć do kochanego starego Okamisu. Nie rozumiem, dlaczego.

— Moich piętnastu towarzyszy i ja mamy jakie takie pojęcie o żeglarskim rzemiośle — oświadczyła Ruwendianka. — Wyvilowie, którzy zamieszkują Las Tassaleyo, przyzwyczajeni są do żeglugi na wielkich tratwach z pni drzewnych po jeziorze Wum podczas zimowych zamieci w Ruwendzie, a wszyscy nauczyliśmy się czegoś w drodze na południe Półwyspu. Pomożemy wam w obsłudze „Lyath”. Zapłacimy też za wynajem cenę uzgodnioną z twoim wujem, to znaczy tysiąc platynowych monet.

— Dokąd płyniecie?

— Na Wyspę Rady w archipelagu Bezwietrznych Wysp. Młodzieniec zaklął i zerwał się na równe nogi.

— Oszalałaś, pani?! Nie dość, że chcesz wypłynąć w taką niespotykaną o tej porze roku burzę?! Ale udać się na Bezwietrzne Wyspy.

— Morscy Odmieńcy, Aliansowie, nie będą wrogo do nas nastawieni — wyjaśniła księżniczka. — Właśnie wróciłam z narady z ich Wielkim Wodzem Har-Chissem. Zaprzestał on handlu z Zinorą mówiąc, że Zinorianie go oszukali. Oświadczył, że odtąd będzie handlował tylko z Okamisem i Imlitem.

— To prawda? — Oczy młodego oficera zaświeciły radością.

— Przysięgam na święte Czarne Trillium, godło mojego narodu — powiedziała Kadiya. — Zawieziesz nas tam?

Ly Tyry zamyślił się głęboko.

— Kapitan oprzytomnieje dopiero jutro. Ale Bari jest sternikiem, a Lindoon — drugim oficerem. Ci Od... no, ci twoi wszyscy chłopcy wyglądają na silnych i chętnych do pracy, a ten niski jegomość też może się na coś przydać. Do licha, myślę, że możemy wypłynąć! — Potem jednak spojrzał niespokojnie na Ruwendiankę. — Tylko że...

— O co chodzi?

— Nie obraż się, pani. Ale czy umiesz gotować?

— Tak. I Jagun również.

— Kamień spadł mi z serca — odparł Ly Tyry. — Albo z żołądka. Stary Lindoon jest jedynym spośród nas, który potrafi odróżnić garnek od bulaja, ale jego papki zmusiłyby Skriteka do samobójstwa. Karm nas dobrze ze swoim małym przyjacielem, a wszystko będzie w porządku.

Kadiya tylko westchnęła ciężko.

Młody marynarz wypił resztę ilisso, odstawił szklankę na stół i dopiero teraz zauważył, że jest półnagi. Zarumienił się po uszy.

— Włóż coś na siebie. Obudzę też Bana i Lindoona. Jeśli ty, pani, i twoi towarzysze potraficie słuchać rozkazów odpłyniemy za godzinę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Troje dzieci króla Antara i królowej Anigel najpierw zostało uwięzionych w okazałej kajucie raktumiańskiego flagowca pod nadzorem pani Szarice. Strzegło ich dwóch tuzameńskich wojowników i Czarny Głos Portolanusa. Kiedy pani Szarice przyznała, że więźniem jest też ich ojciec, księżę Nikalon i księżniczka Janeel zażądali widzenia z królem Antarem. Ponieważ nie uwzględniono tego żądania, choć wciąż je ponawiali, cała trójka odmówiła przyjmowania pokarmu i zajęła się obrzydzeniem życia zdradzieckiej dworcy, wymyślając jej bez przerwy i nie dając spokoju, gdy tymczasem piracka trirema mknęła po wzburzonym morzu na południe.

Wreszcie pani Szarice wtargnęła z płaczem do wielkiej kajuty oddanej do dyspozycji Portolanusa.

— Wielki Panie! Muszę z tobą porozmawiać. Och...

Pomimo rozpaczki dworka natychmiast zauważyła, że siedzący przy stole mężczyzna w stroju czarownika w niczym nie przypomina znanego jej komicznego starca. Był Portolanusem, a jednocześnie nim nie był. Mrugając zażawionymi oczami Szarice zastanowiła się, czy nie traci rozumu. Czarownik zajmował się jakimś dziwnym urządzeniem, które rozebrał i rozłożył przed sobą. Polerował pociemniałe metalowe części maszyny. Palce miał czerwone, jakby unurzał je we krwi.

— Czy to... to ty, Panie Tuzamenu? — wyjąkała wreszcie Szarice.

Mężczyzna podniósł wzrok. Jego oczy były nieczłowiecze, srebrzystoniebieskie. W wielkich źrenicach świeciły złociste punkciki. Biła od niego prawie namacalna złośliwość. Dworka miała wrażenie, że zajrzał do jej duszy, wyczytał w niej wstyd i smutek, i odwrócił się od niej z pogardą. Czują, że powinna uciekać. Zebrała jednak resztki odwagi i wyszeptła:

— Panie... Księżę Nikalon i księżniczka Janeel nie chcą jeść. I... Oni robią mi wymówki, gardzą mną i już nie mogę dłużej z nimi wytrzymać!

— Jeśli nie chcą jeść, niech głodują — odparł krótko Portolanus. — Zaprzeszają uporu, gdy rozboleją ich żołądki.

— Nie, Wielki Panie. — Szarice jak mokrą szmatkę skręcała w dłoniach piękną koronkową chusteczkę. — Następca zaciął się w uporze, a jego siostra niemal mu w tym dorównuje. Raczej zagłodzą się na śmierć niż ulegną. I... oni tak mi dokuczają, obrzucają mnie obelgami! Bez końca wyrzucają mi zdradę, a przez ostatnie dwa dni ledwie tylko udało mi się zdrzemnąć, jedno lub drugie podstępnie budziło mnie szczygnięciami. Cierpię na morską chorobę, jestem niewyspana... Dłużej tego nie wytrzymam, Panie!

— Głupia idiotka. Po prostu damy ci osobną kajutę na noc. Ale za dnia będziesz strzegła dzieci i dopilnujesz, by niczego im nie brakowało. A teraz wynoś się stąd i daj mi pracować.

— Nie mogę z nimi pozostać! — zawołała z rozpaczą Szarice. — Słusznie nazywają mnie złą i zdradziecką babą. Ich wyrzuty przeszywają mnie do głębi! Och, jakaż byłam głupia, że uległam namowom twego Czarnego Głosu i pomogłam porwać królewskie dzieci! Żadne bogactwo, które ty i mój brat Osorkon możecie mi ofiarować, nie naprawi wyrządzonego przeze mnie zła.

Czarownik wstał i wycelował palec w rozczochną kobietę w wymiętej sukni.

— Wynoś się! — zagrzmiął. — Albo każę piratom królowej-regentki tak cię sprać, że nauczysz się rozumu!

Szarice wymknęła się z jękiem.

Przez godzinę lub dwie czarownik pracował w spokoju, naprawiając magiczny przyrząd, który — jak liczył — pozwoli mu zajrzeć pod wodę i zlokalizować zatopiony talizman Kadiyi. Potem rozległo się pukanie do drzwi i do kajuty wszedł niski, chudy pomocnik Portolanusa zwany Czarnym Głosem. Jego twarz poczerwieniała z gniewu.

— Panie, ta wstrętna baba Szarice wyskoczyła za burtę. Obserwator ją zauważył, ale przy tej burzy nie mogliśmy jej ratować. Musiała utonąć prawie natychmiast.

Portolanus zaklął głośno.

— W takim razie oddaj te królewskie bachory pod opiekę jakiejś piratce.

— Mam jeszcze gorsze wieści. Podczas nieobecności Szarice księżę Nikalon lampą olejną podpalił poduszkę, a kiedy wraz ze strażnikami wszedłem do kajuty, by sprawdzić, skąd się wziął dym, on i księżniczka Janeel podstawili nam nogi i uciekli. Oczywiście zaraz zostali złapani, ale musimy być bardzo ostrożni, gdyż niezwykle trudno upilnować te wstrętne bachory.

— Dobrze. — W głosie czarownika zabrzmiała groźba. — A ponieważ ty, mój pierwszy Głosie, nie zdołałeś załatwić tak błahej sprawy, sam się tym zajmę przed naradą z królową-regentką.

Kiedy Portolanus w towarzystwie Czarnego Głosu opuścił kajutę, wyglądał już całkowicie inaczej. Ciało czarownika, które jeszcze przed chwilą należało do normalnie zbudowanego mężczyzny, jakby skurczyło się i zgarbiło ze starości. Silne, zręczne palce zakrzywiły się, a paznokcie zrogowaciały i rozwarstwiły. Oczy stały się kaprawe. Gładką twarz pokryły głębokie zmarszczki i ohydne narośle, wydawała się teraz obrzydliwa jak bagienny grzyb. Kulejąc włókł się korytarzem do kajuty, w której uwięziono królewskie dzieci, opierając się o ściany, gdyż statek kołysał się gwałtownie na falach.

Po wejściu do cuchnącej spalonym pierzem kajuty zastał Nikalona i Janeel przywiązanych do krzesel. Tuzameńscy gwardziści nadzorowali przerażonego lokaja, który zmieniał mokrą, zakopconą pościel. Mały księżę Tolivar, nie związany jak jego starsze rodzeństwo, siedział na posłaniu, jedząc słodkie jagody hala. Zobaczywszy czarownika, zapomniał o jagodach i wpatrzył się w niego z otwartymi ustami.

— Co to ma znaczyć? — zapytał płaczliwym tonem Portolanus. — Podpalacie poduszki? Nie chcecie jeść? Wiecie, że na to nie pozwolimy. Po otrzymaniu okupu chcę was zwrócić waszej matce zdrowych i szczęśliwych.

— Żądamy widzenia z naszym ojcem — oświadczył księżę Nikalon.

Portolanus podniósł ręce i przewrócił oczami.

— Niestety, to niemożliwe, księżę. Nie ma go już na tym statku. Przeniesiono go na inny okręt, który płynie do Raktum. Ale zaraz po zapłaceniu okupu wróci razem z wami bezpiecznie do swego kraju.

— Myślę, że kłamiesz — odparł Nikalon. — Zdrajczyni Szarice powiedziała nam, że pojmałeś naszego ojca w tym samym czasie, gdy ona zwabiła nas na ten okręt. Dodała, że jest skuty pod pokładem razem z galernikami i traktowany nie lepiej od nich. Jeżeli zgodzisz się potraktować naszego ojca z szacunkiem należnym osobie królewskiego rodu, ja i moja siostra będziemy jeść i damy ci słowo honoru, że nie spróbujemy ucieczki.

Portolanus wszystkiemu zaprzeczył, wyrażając dezaprobatę dla postępowania Nikalona i Janeel i wskazując, jak rozsądnie postępuje ich brat, księżę Tolivar, który nie przestał jeść. Słyszając to Tolo zawstydzził się i odstawił talerz z jagodami.

— Jest za mały, żeby zrozumieć naszą sytuację — powiedziała księżniczka Janeel. — Ale my dobrze wiemy, że chcesz odebrać naszej matce jej magiczny talizman i użyć go do złych celów.

— Jakichże głupstw i kłamstw naopowiadała wam pani Szarice! — Czarownik roześmiał się wesoło. — To prawda, że okupem za was jest talizman, ale nie zamierzam posłużyć się nim do czynienia zła. Nie, młoda damo! Użyję go do odtworzenia zakłóconej równowagi świata, a wasza matka tego nie potrafi. Tak naprawdę, to nigdy nie rozumiała swego talizmanu, podobnie jak jej siostry. Dlatego nasz biedny świat znalazł się na skraju wielkiej katastrofy, gdyż ludzie spiskują przeciw innym ludziom, ciemieżą Lud Gór, Bagien i Lasów, a straszliwe czary grożą rozbiciem lądów i ściągnięciem z nieba Trzech Księżyców!

— A ty możesz temu zaradzić? — spytał z lękiem książę Tolivar.

Czarnoksiężnik skinął głową i skrzyżował ramiona z ważną miną.

— Moja wiedza jest wielka, a moce jeszcze większe niż waszej ciotki Haramis. Arcymagini usiłuje przywrócić tę równowagę, ale sama nie zdoła tego uczynić. I tylko ja mogę jej w tym pomóc.

— Nie słyszałem żadnych pogłosek o wojnie — odparł sceptycznie książę Nikalon. — Wiem też, że jedynymi uciemienionymi Odmieńcami są tylko buntownicy lub mąciwody.

— A równowaga świata została przywrócona — dodała księżniczka Janeel — kiedy nasza matka i jej siostry pokonały złego czarownika Orogastusa. One są Trzema Płatkami Żywego Trillium. Trzy magiczne talizmany zaś, które im powierzono, zapewnią wieczny pokój na świecie.

— Ale wasza ciotka Kadiya straciła swój talizman! — syknął Portolanus, wybałuszając przekrwione oczy. — Nie wiedzieliście o tym?

— Nie — przyznał Nikalon. Po raz pierwszy stracił pewność siebie.

— Czy to dlatego szaleje ta okropna burza? — spytał niepewnie Tolo.

Portolanus uśmiechnął się do chłopczyka.

— Bystry z ciebie malec! Ach, jakiś ty mądry! To oczywiste, że burza jest oznaką utraconej równowagi świata. Ty się tego domyśliłeś, a twoje starsze rodzeństwo nie!

Na wargi Tola wypłynął nieśmiały uśmiech. Lecz wówczas czarownik błyskawicznie się odwrócił i spojrzał ze złością na Nikiego i Jan.

— Nie będę tracił więcej czasu na waszą dwójkę. Jeśli nie dacie mi uroczystego słowa, że zaprzestaniecie tej głupiej głodówki i będziecie dobrze się zachowywać, każę was zamknąć w ciemnym miejscu pełnym wariantów okrętowych.

— Mnie też?! — Tolo był przerażony.

Portolanus poklepał malca po główce.

— Niestety! Ciebie też, drogi chłopcze, jeżeli twoje rodzeństwo nie zaprzestanie grubiańskiego zachowania.

— Ale ja się boję wariantów! — zajęczał chłopczyk. — One gryzą! Niki, Jan, powiedzcie, że zrobicie to, czego on chce.

Książę Nikalon wyprostował się na całą swoją wysokość.

— Uspokój się, Tolo! Pamiętaj, że jesteś księciem Laboruwendy! — skarcił brata, a potem zwrócił się do Portolanusa: — Jeśli nasz królewski ojciec cierpi, zaszczytem dla nas będzie dzielić jego cierpienia.

— Ja też tak uważam. — Księżniczka Janeel zbladła jak płótno. Zaciśnęła jednak wargi i trzymała wysoko głowę nawet wtedy, gdy Tolo rozpląkał się ze strachu.

— Zabierz ich do komory kotwicznej — rozkazał Portolanus Czarnemu Głosowi. — Mogą wziąć tylko to, co mają na sobie. Karmcie ich wyłącznie chlebem i wodą. Mogą nie jeść, jeśli nie chcą. Potem wróci im rozum.

Dwaj rycerze o zzieleniałych twarzach, którzy w korytarzu na rufie pilnowali drzwi z herbem władców Raktum, niechętnie wyciągnęli miecze z pochew, kiedy Portolanus: nadszedł chwiejnym krokiem, zgięty niemal w pół, zataczający się od ściany do ściany i wymachujący rękami dla zachowania równowagi, gdyż statek kołysał się gwałtownie na boki.

— Królowa nie może cię zobaczyć, czarodzieju — powiedział z napięciem jeden z rycerzy. — Czy dworka nie przekazała ci jej posłania?

— Ojoj, ojoj! — zabecztał Portolanus. — Ale ja muszę porozmawiać z królową-regentką! Mam do niej bardzo pilną sprawę!

Nie nosił swego spiczastego kapelusza, lecz głęboki kaptur oraz purpurową szatę w różowe paski i srebrne gwiazdy.

— W takim razie wróć, kiedy pogoda się poprawi — rozkazał mu drugi rycerz. Oczy miał zapadnięte, wargi zsiniałe. — Królowa Ganondri leży w łożu pod opieką królewskiej lekarki, gdyż żołądek dokucza jej jeszcze bardziej niż nam. Stracimy głowy, jeśli kogokolwiek wpuścimy.

— Już straciliśmy obiad — dodał pierwszy, ruchem głowy wskazując na stojące w pobliżu wiadro.

— Ojoj, ojoj! Macie morską chorobę, co? — Czarownik zaczął grzebać w dużej purpurowej sakiewce u pasa. — Mam na nią dobre lekarstwo, które szybko wyleczy i was, i biedną królową Ganondri...

Pierwszy rycerz spochmurniał.

— Nie chcemy twoich wstrętnych napojów, Panie Tuzamenu, i Wielka Królowa też ich nie chce. Idź sobie!

Portolanus wyciągnął z sakiewki krótką różdżkę z ciemnego metalu, ozdobioną wyrytymi wzorami i kilkoma drogimi kamieniami. Uśmiechając się entuzjastycznie, podszedł do rycerzy z różdżką na złączonych dłoniach.

— Żadnych napojów! Widzicie? Jedno dotknięcie tym uzdrawiającym przyrządem, a skończą się wasze cierpienia.

Zaniepokojeni, dręczeni mdłościami piraci odrzucili propozycję czarownika i nadal odmawiali mu wstępu do królewskiej kajuty, zagradzając drzwi skrzyżowanymi mieczami. Kaleki starzec jęknął, zgarbił się i odwrócił do nich plecami, jakby zrezygnował z dalszych prób dotarcia do królowej Raktum.

Dlatego całkowicie zaskoczył obu wartowników, kiedy po chwili ponownie się odwrócił. Skoczył na nich zręcznie niczym fedok, dotykając ich po kolei różdżką w policzki. Miecze z głuchym łoskotem upadły na dywan. Rycerze wywrócili oczy, tak że ukazały się białka. Powoli, bardzo powoli osuwali się po obu stronach drzwi, aż usiedli ze zwieszonymi głowami, z wyprostowanymi przed sobą nogami. Byli nieprzytomni. Czarownik pogroził im palcem.

— Mówiłem, że mam pilną sprawę — powiedział z wyrzutem. Później wyjął z sakiewki przedmiot podobny do złotego klucza bez bródki i otworzył nim drzwi.

Wszedł do elegancko umeblowanego salonu królowej-regentki, pustego i słabo oświetlonego. Iluminatory były zamknięte, by zasłonić widok gigantycznych fal. Portolanus zaskakująco łatwo wciągnął do środka nieprzytomnych piratów w ciężkich zbrojach i ponownie zamknął drzwi. Wysoka kobieta w czerni pojawiła się nagle w drzwiach prowadzących do kajuty reprezentacyjnej pirackiej królowej.

— Co to znaczy? — krzyknęła ostro. — Co tu robisz?

— Ojoj, ojoj! — pisnął czarownik. — Wielkie nieszczęście, królewska lekarko! Chodź i zobacz! Ujrzałem tych dwóch rycerzy śpiących na posterunku i nie mogłem się ich dobudzić.

Obrócił się wymachując rękami. Lekarka uklękła, by zbadać leżącego najbliżej pirata. Gdy podnosiła mu powiekę, Portolanus dotknął różdżką jej nie chronioną czepcem głowy. Upadła na ciała jego wcześniejszych ofiar.

— Koriandro! Co się dzieje? — zawołał wzburzony głos. Czarownik przemknął do kajuty reprezentacyjnej i uklonił się niedbale.

— To ty?! Co zrobiłeś moim sługom?! — krzyknęła oburzona władczyni.

— Musimy się naradzić, wielka królowo. Twój słudzy śpią spokojnie. Nie zrobiłem im krzywdy, tylko lekko ich uspiłem swoją różdżką. Obudzi ich jedno dotknięcie — kiedy już porozmawiamy.

Ganondri leżała w wielkim łożu, wsparta na koronkowych poduszkach, i przykryta szalem z pięknego pikowanego jedwabiu. Zaplecione w warkoczyki włosy o barwie miedzi rozsypały się w nieładzie, a twarz miała śmiertelnie bladą. Mimo złego samopoczucia zielone oczy

królowej płonęły wściekłością. Sięgnęła po taśmę dzwonka. Portolanus odsunął taśmę różdżką, kiwając głową i cmokając.

— Nikt nie może przeszkodzić nam w naradzie — powiedział z naciskiem.

— Ty wstrętny prostaku! — wychrypiąła piratka. — Jak śmiałeś wedrzeć się do moich komnat?! — Statek zakołysał się gwałtownie i królowa osunęła się na poduszki, przyciskając dłoń do czoła.

Portolanus spokojnie przeciął taśmę dzwonka małym sztyletem. Następnie przystawił do łoża krzesło i zsunął kaptur. Jego mokre włosy i broda zwisały w strąkach. Wyglądał dziwnie: nos skrzywiony jak korzeń, wargi zaś obwisłe i pomarszczone niczym otwór starej skórzanej sakiewki.

— Łaskawa pani, musimy dokończyć rozmowę rozpoczętą dwa dni temu, na samym początku naszej ucieczki z Taloazinu. Niestety, byliśmy zmuszeni przerwać tę pogawędkę, gdyż poczułaś się źle. Zastanawiałem się nad tą naszą rozmową, zaniepokoiły mnie bowiem pewne jej implikacje. Nalegam, żebyś wyjaśniła wypowiedziane przez siebie tajemnicze uwagi i zrobiła to tu i teraz.

Ganondri odwróciła głowę.

— Jestem bliska śmierci z powodu tej przeklętej burzy, którą rozpętałeś, czarowniku. Przepędź ją, a wtedy z tobą porozmawiam.

— Nie. Dzięki tej burzy dotrzemy na Bezwietrzne Wyspy przed królową Anigel i będę mógł zdobyć talizman jej siostry Kadiyi. Dobrze o tym wiesz, wielka królowo.

— Wiem! — jęknęła Ganondri. — Teraz o tym wiem, ty oszuście! Ale tego nie było w umowie, którą zawarliśmy. Dowiedziałam się o tej przeklętej podróży dopiero wtedy, kiedy przybyliśmy na pokład z naszymi więźniami. Zastanawiałam się nad tym przez cały ten czas! Nasza umowa początkowo dotyczyła jedynie porwania króla Antara i jego dzieci, żebyś mógł zdobyć talizman królowej Anigel. Zawarliśmy to przymierze jako równi partnerzy, mimo że twój nieliczny narodek nie jest bogaty, ma słabą armię i niewiele towarów do zaoferowania. Wielkie Raktum wzięło cię pod opiekę, ponieważ zapewniłeś mi, że razem podbijemy świat, kiedy tylko dostaniesz talizman królowej Anigel jako okup. A ja, skończona idiotka, uwierzyłam ci!

— Możesz wierzyć mi teraz. Nic się nie zmieniło.

— Kłamca! W naszym układzie nie było mowy o pomocy w zdobyciu drugiego talizmanu!

Portolanus wzruszył ramionami i uśmiechnął się rozbrajająco.

— Kiedy po raz pierwszy wystąpiłeś z tą propozycją — ciągnęła królowa — kazałam naszym mędrcom we Frangine określić, jakiego rodzaju magiczny przyrząd pragniesz osiąść. Powiedzieli, że talizman Anigel jest jednym z trzech, które razem tworzą niezwykłe Berło Mocy. Mając jeden talizman, uczyniłbyś naród Anigel bezsilnym i Raktum podbiłoby go wraz z Tuzamenem. Mając jednak dwa talizmany, bez wątpienia użyłbyś ich, żeby zdobyć trzeci.

— Nie...

— Nie zaprzeczaj! Pożądasz tego wszechmocnego Berła Mocy. A kiedy już będziesz je miał, wielkie Raktum wkrótce stanie się wasalem Tuzamenu, a jego królowa — twoją niewolnicą.

— Źle mnie zrozumiałaś... — Czarownik z konsternacją zamachał rękami.

— Milcz, łajdaku! Nie waż się traktować mnie protekcyjnie. Gdyby nie choroba, już dawno bym cię przejrzała. Teraz, skoro zrozumiałam, o co ci chodzi, przedsięwzięłam środki ostrożności, by zabezpieczyć Raktum przed twoimi piekielnymi czarami.

— Nie, nie! — Portolanus załamał ręce. — Jesteśmy sojusznikami! Nigdy nie zamyślałbym takiej zdrady! Źle mnie osądzasz!

— Osądzam cię właściwie i uważam za winnego — wyszeptala twardo królowa. Jej zielone oczy płonęły. — To, że ty i trójka twoich pomagierów jeszcze żyjecie, zawdzięczacie

mojej łasce. Moi rycerze mieli rozkaz zabić was podczas snu ostatniej nocy, ale zmieniłam zdanie. Postanowiłam dotrzymać naszej początkowej umowy: dopomóc ci w uzyskaniu talizmanu Anigel. — Zmożona słabością Ganondri opadła znów na poduszki, ale po chwili podjęła: — I nie myśl, że zwyciężysz zabijając mnie lub okaleczając. Ułożyłam plany na wypadek takiego biegu wydarzeń jeszcze przed podróżą do Zinory. Wielka piracka flota Raktum otrzymała odpowiednie rozkazy. Jeżeli zrobisz mi coś złego, nasze statki zablokują wszystkie tuzameńskie porty. Nigdy nie zdołasz wrócić morzem do swego kraju, a jeśli dotrzesz tam lądem, nasza armada spuści ci takie manto, że twoje marzenia o podboju świata rozwiną się jak poranne mgły.

— Jesteś wielkim strategiem, królowo. — Portolanus schylił głowę.

— Kpij sobie ze mnie, jeśli musisz — odparowała — ale zapamiętaj moje słowa. Jeżeli każdego ranka nie wydam admirałowi rozkazu, byśmy dalej płynęli na południe, ten statek natychmiast zawróci do Raktum, nawet jeśli będę martwa lub nieprzytomna. A wtedy utracisz talizman Kadiyi. Królowa Anigel nas ściga i zna twoje zamiary. Na pewno wie, jak z pomocą własnego talizmanu uniemożliwić ci wydobycie talizmanu jej siostry.

— Skąd twoja pewność, że nie zdołam zmusić załogi tego statku do posłuszeństwa, gdy umrzesz lub stracisz przytomność? — Portolanus zapytał dźwięcznym, nie słyszonym dotąd przez Ganondri głosem. — Mogę zmusić każdego do wykonywania moich rozkazów.

Iluzja starczego ciała zniknęła, a twarz czarownika, choć pozostała groteskowa, bardzo się zmieniła. Otaczała go tak groźna aura magii, że królowa Raktum o mało nie zemdląła ze strachu. Powiedziała jednak stanowczym tonem:

— Gdybyś nie potrzebował wielkiego Raktum, nigdy byś nie zawarł z nami przymierza. A co do dowodzenia moim flagowcem, może i zdołałbyś nim zawładnąć. Przypominam ci wszakże, że za nami płyną trzy inne raktumiańskie galery i twój własny statek. Przed opuszczeniem Taloazinu nie rozumiałam w pełni twojego planu, wiedziałam jednak dostatecznie dużo, by nie dać ci wolnej ręki. Kapitanowie moich pozostałych statków nie pozwolą ci wrócić na twoją galeryę bez mojego rozkazu. Jeżeli zrobisz to potajemnie i spróbujesz ucieczki, dogonią twój powolniejszy korab i ostrzelają go ognistymi pociskami z katapult.

Czarownik nic nie odpowiedział. Oczy Ganondri zabłyśły triumfalnie.

— Władasz mocą, czarodzieju, ale nie jesteś niezwyciężony. Stanie się nim ten, kto połączy trzy magiczne talizmany ruwendiańskich trojaczków w Berło Mocy. Możesz sobie wziąć talizman Kadiyi. Moi poddani i ja pomożemy ci go zdobyć. Kiedy jednak znajdzie się w twoich rękach, złączony z tobą za pomocą twej magicznej skrzyni, wysadzimy cię na którejś z Bezwietrznych Wysp, byś tam czekał na swą galeryę. Zostawisz u mnie swój gwiazdny kufer. Król Antar i jego bachory również pozostaną pod moją strażą i to ja zażądam okupu od Anigel. Jej talizman należy do mnie!

— Zdaje się, że pomyślałaś o wszystkim.

Królowa roześmiała się cicho, z widocznym trudem.

— Dzięki mojej inteligencji przeżyłam wiele lat, czarodzieju. A jak inaczej, twoim zdaniem, biedna stara wdowa mogła zostać władczynią Królestwa Piratów? A teraz wynoś się. Wychodząc, obudź moje sługi!

Błyszczące zielone oczy zamknęły się powoli. Portolanus długo stał przy łożu, wpatrując się w chorą kobietę. Jedną ręką ścisnął swoją różdżkę, drugą zaś dotykał obtłuczonego medalionu w kształcie gwiazdy, ukrytego pod śmieszoną szatą. Wreszcie pokręcił głową i wyszedł, dotykając po drodze różdżką nieprzytomnej lekarki i rycerzy, którzy jęknęli i powoli odzyskali zmysły.

Istniała możliwość rozwiązania tej sprawy. Nie dokona jednak tego królowa Ganondri, lecz ktoś zupełnie inny. Czarownik wyruszył pośpiesznie na poszukiwania tej osoby.

Deszcz wreszcie przestał padać. Pod ołowianym niebem Portolanus szedł bokiem po kołyszącym się pokładzie, mocno trzymając się lin zabezpieczających przed wypadnięciem za burtę. Przemókł do suchej nitki od pyłu wodnego. Ogromna raktumiańska trirema zachowywała się jak wijące się, wielkie, cierpiące zwierzę. Mknęła pod wiatr z olbrzymią szybkością, choć z żagli pozostało jej tylko kilka strzępów. Oczywiście galernicy nie musieli wiosłować. Podczas takiej wichury wiosła tylko spowalniałyby statek, a nie pomagały mu płynąć. Zresztą wielu cierpiało na chorobę morską, tak jak większość pasażerów, a wśród nich Żółty i Purpurowy Głos.

Niemoc tych ostatnich szczególnie irytowała Portolanusa. Potrzebował przynajmniej dwóch swoich akolitów jako dodatkowych źródeł energii psychicznej, by móc z dużej odległości poszukiwać nieprzyjacielskich okrętów. Sam mógł jedynie lustrować pobliskie wodne przestworza z pomocą małej maszyny Zaginionego Ludu. Był to wspaniały przyrząd, ukazujący pozycje innych statków lub wygląd lądów aż po horyzont, działający zarówno w dzień, jak i w nocy. Nie pozwalał jednak sięgnąć poza linie horyzontu tak jak magiczny wzrok.

Czarownikowi ani razu nawet nie wpadło do głowy, by osłabić rozpętaną przez siebie burzę. Znajdzie czas na szpiegowanie Anigel, gdy dotrą do pasa wiecznej ciszy otaczającego Bezwietrzne Wyspy i rozpocznie się decydujący wyścig po zatopiony talizman.

Kiedy Portolanus dowlókl się wreszcie do sterowni, chwiejnym krokiem wszedł do środka, chichocząc i plotąc głupstwa o strasznej pogodzie. Stojący obok sternika admirał Jorot obrzucił tylko czarownika szybkim, pogardliwym spojrzeniem. Jednakże dwaj inni oficerowie pomogli usiąść dostojnemu pasażerowi na krzesło przed stołem z mapami. Podali mu ręczniki na otarcie twarzy i włosów oraz ciepły, suchy płaszcz. O dziwo, młody król Ledvardis również był w sterowni. Stał z boku i patrzył z mieszaniną niepokoju i fascynacji na dziwnie wyglądającego, przemoczonego do suchej nitki czarownika.

— Wielki panie, nie powinieneś narażać się na niebezpieczeństwo chodząc po pokładzie podczas burzy! — powiedział któryś oficer.

Portolanus uspokoił go machnięciem ręki i odpowiedział z głupawym uśmiechem:

— Muszę koniecznie przekazać admirałowi nagłące posłanie, które właśnie otrzymałem z ust królowej Ganondri. Proszę, by wszyscy opuścili nas na jakiś czas. — Skinął głową i uśmiechnął się służalczo do młodego króla. — Nawet Wasza Królewska Mość.

— Mój sternik zostanie! — warknął Jorot. Miał śnieżnobiałe włosy i brodę, twarz ogorzałą od słońca, pomarszczoną i ciemną jak stary but. Był wysoki i chudy. Mówiono, iż cierpi na śmiertelną chorobę. Cieszył się jednak wielkim autorytetem u podwładnych i nawet królowa Ganondri zwracała się do niego z szacunkiem, a nie wyniośle, jak to miała w zwyczaju.

— Sternik także musi odejść, chyba że nie umiesz sterować swoim statkiem, szlachetny admirał — odpowiedział śpiewnie, rozkazującym tonem czarownik na zastrzeżenia starego żeglarza.

— Umiem, Panie Tuzamenu — wycedził przez zęby Jorot. Poleciał wszystkim odejść i stanął przy sterze, odwrócony plecami do Portolanusa. — A teraz powiedz mi, co to za brednie o posłaniu od wielkiej królowej? Ganondri nie zwierza się podejrzanym cudzoziemcom. Czarownik roześmiał się cicho.

— A jednak wydajesz się zainteresowany tym, co ów podejrzanym cudzoziemiec ma ci do powiedzenia na osobności.

— Mów i wynoś się.

— Nie bądź taki obcesowy, admirał. Od jakiegoś czasu mam cię na oku. Jesteś silnym, inteligentnym człowiekiem, obdarzonym w dodatku sporą dozą pirackiej przebiegłości. Są to cenne zalety, dlatego chciałbym podzielić się z tobą moimi myślami i może przedyskutować sprawę ważne dla nas obu.

— Zachowaj swoje głupie żarty dla naiwnych Laboruwendian. Tracisz tylko czas.

— Myślę, że nie. Dla zademonstrowania mojej dobrej woli pokażę ci, jak naprawdę wyglądam, a nie widział mnie takim nikt poza trzema moimi wiernymi pomocnikami.

Portolanus zrzucił pożyczony marynarski płaszcz i swoją obszerną szatę. Stał teraz prosto, pozbawiony śladu starczego niedołęstwa, które zawsze pokazywał światu. Jorot obrzucił zdziwionym spojrzeniem przemienionego czarownika i zaklął szpetnie, gdyż Portolanus znacznie przewyższał go wzrostem. Odziany w obcisłe spodnie i skromną koszulę, z zawieszoną na szyi obtłuczoną wieloramienną gwiazdą, Pan Tuzamenu wydawał się silny jak atleta. Jego okolona zmierzwionymi jasnymi włosami i zniekształcona przez skąpe wąsy twarz zmieniała się nie do poznania. Nie było to oblicze sędziwego starca, lecz mężczyzny w sile wieku, nawet urodziwe, gdyż jego rysy nie były już groteskowo wykrzywione.

— Więc to tak! — powiedział Jorot. — Masz w rękawie więcej tanich sztuczek niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

— Wierz w to, jeśli chcesz, admirale. — Głos Portolanusa również się zmienił i był teraz dźwięczny i mocny. — Nie wątp jednak w moje magiczne moce, gdyż są potężniejsze niż sądzisz. To ja rozpętałem tę straszną burzę i gdybym zechciał, mógłbym ją uciszyć w jednej chwili albo nasilić, a wtedy zatopiłaby twój okręt.

— A co z tobą? — zapytał drwiąco Jorot.

— Nic by mi się nie stało, tak jak moim trzem pomocnikom i królewskim jeńcom, których oddam za okupem. Zginąłbyś tylko ty, twoja załoga i pasażerowie, łącznie z królową Ganondri i jej wnukiem, królem–Goblinem. Stałoby się to, gdybym tylko zechciał.

— A chcesz?

Czarownik obszedł koło sterowe, by Jorot mógł lepiej go widzieć.

— To zależy wyłącznie od ciebie, admirale. Czy służysz królowej–regentce tak wiernie, że oddałbyś za nią życie?

— Za tę zarozumiałą wiedźmę? — Stary pirat wybuchnął głośnym śmiechem. — Od siedmiu lat nie daje żyć naszemu narodowi i w całej mojej załodze nie ma takiego, kto nie chciałby, żeby wreszcie odetchnęła morską wodą. Lojalni wobec niej są tylko rycerze ze straży przybocznej i frakcja krewnych królowej w Raktum. — Zerknął z ukosa na czarownika i spochmurniał. — Ale uprzedzam cię, magiku, że jeśli odważysz się tknąć młodego króla Ledo, to żeglarze Morza Północnego będą cię ścigali aż po najdalsze zakątki znanego świata, poddadzą cię torturom i nakarmią twoim ścierwem morskiego potwora Heldo.

— Świetnie, świetnie! — zachichotał Portolanus. — Wiec ten chłopak jest twoim ulubieńcem, prawda? Zastanawiałem się, dlaczego tak rzadko widzujemy tego brzydkiego młodego qubara w pobliżu królewskich komnat.

— Choroba zniekształciła jego twarz i ciało — odparł spokojnie Jorot — ale ma on duszę wielkiego władcy. Pewnego dnia świat pozna go lepiej i już nie będzie nim pogardzał — jeśli tylko Ledvardis dożyje pełnoletności.

— A dlaczego miałby nie dożyć? — zainteresował się czarownik.

— Jego królewska babka ma sześćdziesiąt dwa lata i cieszy się dobrym zdrowiem. Nie zamierza oddać rządów za dwa lata, jak powinna zgodnie z naszym prawem. Nie wtedy, kiedy mogłaby rządzić sama jeszcze przez dwadzieścia lat, gdyby król został uznany za niekompetentnego lub uległ tragicznemu wypadkowi.

— Słusznie oceniasz ambicje Ganondri, admirale. Jest inteligentną i odważną przeciwniczką. Nie doceniła mnie jednak i dlatego przyszedłem tu dzisiejszej nocy, by się z tobą naradzić.

— Rozumiem! — Oczy Jorota nagle zabłyśły. — Królowa nie boi się ciebie! Stawiła ci czoło i w jakiś sposób zagraża twoim podstępny knowaniom.

— To prawda — przyznał Portolanus. — Chociaż jestem największym władcą mocy w znanym świecie, jeszcze nie mam licznych zwolenników, a mój mały naród nie dysponuje tak wielką armią i flotą, żeby dorównać raktumiańskim. Ganondri i ja zawarliśmy przymierze

przed wyruszeniem do Zinory, ostatnio jednak zdałem sobie sprawę, że nie mogę ufać waszej władczyni. Będę z tobą całkiem szczerzy, admirale. Wsiadłem w Taloazynie z moimi więźniami na waszą triemę, zamiast na moją własną galerę, ponieważ królowa przekonała mnie w ostatniej chwili, że jest to najszybszy i najlepiej uzbrojony okręt, który zdoła odeprzeć atak Laboruwendian. To prawda, ale nie wziąłem pod uwagę możliwości, że Ganondri okaże się tak głupia, żeby odrzucić warunki naszego porozumienia i domagać się ode mnie dodatkowych ustępstw.

— Prawda, że my, piraci, mamy własne, oryginalne pojmowanie honoru. Nikt z nas jednak nie pływa między rafami różnych machinacji jak królowa–regentka! Jeżeli ci zagraża, czemu po prostu nie porazisz jej śmiertelnie swymi czarami?

— A gdybym to zrobił, czy ty i dowódcy pozostałych raktumiańskich okrętów słuchalibyście moich rozkazów?

— Ani przez chwilę, oszuście — roześmiał się Jorot. — Czarna magia ma swoje granice. Zatop nas wszystkich, jeśli masz odwagę. Myślę, że twój wywrotny tuzameński stateczek również poszedłby na dno, ponieważ nie został przystosowany do podróży podczas sztormu. Ty i twoi cenni więźniowie dryfowałibyście na otwartym morzu, ponad sześć tysięcy mil od twego kraju. Umarłbyś wkrótce, nawet podczas ciszy morskiej, chyba że umiesz latać jak ptaki potbi.

— Niestety, nie umiem — przyznał kwaśno Portolanus. — Gdyby tak było, nie sterczałbym w tej chwili na pokładzie waszej łajby.

Twarz Jorota zszarzała, a mięśnie karku napięły się z wysiłku, gdy usiłował utrzymać utrzymać na kursie ciężką triemę. Ścisnął koło sterowe tak mocno, że aż zbieleły mu dłonie.

— Czarowniku, męczy mnie ten słowny pojedynek z tobą. Jestem też wyczerpany fizycznie. Dawno opuściła mnie młodość i zdrowie, i powinienem wydawać rozkazy sternikowi, a nie mocować się podczas sztormu z tym nieporęcznym kołem. Będę musiał wkrótce zawołać sternika, albo ryzykować utratę kontroli nad statkiem, co może źle się dla nas skończyć przy tym wietrze. Przyszedłeś tu z jakiegoś powodu. Wyduś to z siebie lub wracaj i dalej prowadź swoją grę z królową–regentką.

— Więc dobrze. — Portolanus zaczął wdziawać swoją mokrą szatę. — Gdyby królowa Ganondri umarła i król Ledvardis naprawdę objął rządy, czy ty i cała piracka flota uznalibyście jego zwierzchnictwo? Słuchalibyście jego rozkazów?

— Z całego serca — odrzekł admirał Jorot. — Jeśli jednak sądzisz, że zdołasz narzucić swoją wolę chłopcu, przemyśl sobie wszystko jeszcze raz. On tylko udaje głupca, żeby nie prowokować swojej babki.

— Podejrzywałem to. Jeżeli jest bystry, tym lepiej. Może uniknie zgubnych błędów Ganondri.

— Zgubnych?

— Zamierzam wysłać królową–regentkę w zaświaty, gdy tylko przestanie mi być potrzebna.

— Mógłbym ją przestrzec przed tobą.

— Mógłbyś, ale tego nie zrobisz — roześmiał się Portolanus. — Powiedz natomiast o wszystkim twemu królewskiemu bachorowi. Jeśli będzie ze mną współpracował, kiedy włoży raktumiańską koronę, posiadzie niebawem bogactwa równe tysiącletnim pirackim łupom i więcej silnych galerników, niż zdoła policzyć. A ty, admirale, możesz otrzymać wszystko, czego zapagniesz, łącznie z urzędem wicekróla Laboruwendy.

— Ale kiedy okup zostanie zapłacony...

— Król Antar i jego dzieci nigdy nie wrócą żywi do swego kraju, bez względu na okup lub jego brak. A niebawem podbiję moimi czarami i połączonymi siłami Tuzamenu i Raktum kraj królowej Anigel, pozbawionej talizmanu i rodziny. O, tak. Nastąpi to bardzo szybko, gdy złamię jej serce i wolę...

Odziany na powrót w swą obszerną szatę Portolanus jakby się skurczył, jego ciało zgarbiło się i wykrzywiło od starości, a twarz przybrała odrażający wygląd. Otworzył wewnętrzne drzwi sterowni i drżącym głosem wezwał wyproszonych przez siebie Raktumian. Sternik i dwaj oficerowie pośpieszyli do środka, ale król Ledvardis odszedł już wcześniej do siebie.

— Przekaż temu drogiemu chłopcu moje najlepsze życzenia, gdy znów go zobaczysz — powiedział czarownik do admirała. — Dodaj też, że już niedługo chciałbym z nim pogawędzić.

Naciągnął kaptur i wyszedł na pokład. Tym razem Portolanus nie udawał, że walczy z wicherą, ale szedł powoli, bez trudu utrzymując równowagę, jakby okręt stał na kotwicy w jakiejś spokojnej zatoce, a on sam spacerował po pokładzie w ciepłe popołudnie.

— Widzicie coś? — zawołał głęboko pod pokładem księżę Tolivar.

— Ogromne fale, słońce zachodzące krwawo i gnane wiatrem chmury — odparł księżę Nikalon. — Najpierw to pierwsze, a potem drugie, zależy, czy statek unosi się, czy opada na fali.

— Nigdzie nie widać lądu, tylko ocean — dodała księżniczka Janeel.

— To dziwne — rzekł Tolo. — Jeśli wracamy na Półwysep, powinieneś z twojej strony zobaczyć brzeg. Może jednak piraci wcale nie wiozą nas do Raktum.

Ich nowe więzienie oświetlały tylko dwa bliźniacze otwory znajdujące się na wysokości ośmiu elli ponad śliską podłogą komory przeznaczonej na łańcuch kotwiczny. Całe wyposażenie stanowiły trzy cienkie posłania ze zbutwiałych koców, kubek z pokrywką, dzbanek z letnią wodą i mały koszyk z czerstwymi bułkami. Niki i Jan zdecydowali, że głódówka nie pomoże ich sprawie i zjedli połowę bułek.

Kiedy starsi z rodzeństwa upewnili się, że strażnicy już nie wrócą, wdrapali się na dwa wielkie zwoje łańcuchów zajmujące większą część wysokiego pomieszczenia. Wgramolili się po zwisających ogromnych ogniwach, minęli żelazne przekładnie gigantycznej maszyny, która opuszczała lub podnosiła kotwice. Dotarli aż do kluz, przez które łańcuchy wysuwały się na dziób statku. Małemu Tolivarowi zakazali pójść ich śladem. Kiedy trirema zanurzała się w wyjątkowo wysokiej fali, rozległ się donośny huk i woda wlewała się przez otwory mocząc Nikię i Jan. Woda, tak jak powietrze, była ciepła, dlatego dzieci już nie krzyczały, gdy zlewała je od stóp do głów.

— Kotwice na zewnątrz są tak potwornie wielkie, że zasłaniają prawie cały widok — oświadczył Niki.

— Myślisz, że te dziury są dostatecznie duże, żebyśmy mogli nimi uciec? — zapytała Jan.

— Otwory są za ciasne, kotwice przeszkadzają — odparł Niki. — A nawet gdyby nam się to udało, wpadlibyśmy prosto do wody i wessałoby nas pod okręt.

— Zejdźcie na dół — poprosił Tolo. — Chyba znów słyszę te wstrętne warty okrętowe drapiące w jednym z ciemnych kątów.

— Bojaźliwy cusz — odparł Niki bardziej żartobliwie niż pogardliwie. — Tak naprawdę warty nie mogą zrobić ci nic złego.

— Ale ja ich nienawidzę. Są brzydkie i brudne. Zejdź na dół i przegoń je, Niki. Proszę!

Następca tronu zaczął schodzić. Po chwili wahania jego siostra zrobiła to samo. Łańcuchy były bardzo śliskie, gdyż pokrywał je mokry, śmierdzący muł rzeczny i wplotły się w nie gnijące zinozańskie wodorosty.

— Zamierzam uciec, kiedy statek w końcu zatrzyma się w jakimś porcie i marynarze opuszczą kotwicę! — rzekł Niki do Jan. — Którymś z tych otworów, a potem, po łańcuchu do wody.

— Piraci nie są głupcami — odparła jego siostra. — Przedtem nas stąd zabiorą.

Szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w półmrok. Bez lęku przywarła do wielkiego żelaznego ogniwa, gdy statek skoczył do przodu jak rzucony kamień, a potem uniósł dziób i

pomknął ku niebu. Ciężkie łańcuchy, owinięte wokół bębnow, zachwiały się lekko. Kiedy Jan znów się odezwała, szepnęła tak cicho, by nie usłyszał jej stojący w dole malec.

— Niki, myślisz, że nas zabiją?

— Nie, jeśli mama zapłaci okup.

— A co z tatą?

Niki odwrócił twarz. Jego siostra była dzielną i rozsądną istotą i zazwyczaj zwierzał się jej ze wszystkiego, teraz jednak czuł, że nie zdoła podzielić się z nią swymi podejrzeniami co do losu, jaki czeka ich ojca. Bez Antara na tronie Laboruwendy Raktum może bezkarnie zaatakować bogatego południowego sąsiada i podbić go, a nie, jak dotąd, grabić li tylko jego statki na morzach. Niki często słyszał, jak rodzice rozmawiali o niebezpiecznych ambicjach królowej piratów. Teraz jednak starał się pocieszyć Jan.

— Piraci na pewno zażądadają okupu również i za tatę. Może całego statku platyny i diamentów oprócz talizmanu mamy, ale za nas to chyba tylko kilku skrzyń złota.

— I nocnik srebra za Tola — uśmiechnęła się Jan.

W dole mały ksiądz znów zapiszczał.

— Znowu coś słyszę, ale to nie są varty! Ktoś tu idzie. Schodźcie szybko!

Niki i Jan poczęli się zsuwać, kalecząc w pośpiechu dłonie i drąc ubrania na chropawym metalu. Ledwie zdążyli zeskoczyć na nędzne posłania, kiedy rozległy się głuchoe odgłosy świadczące, że ktoś odmyka sztaby. Drzwi otworzyły się. Dzieci zobaczyły w głębi pomieszczenie wypełnione zwojami lin, drzewem, metalem, zniszczonymi żaglami i beczkami smoły. Stał tam jakiś mężczyzna trzymając wysoko latarnię w jednym ręku, w drugim zaś obnażony krótki miecz. Nie był to żaden z zakapturzonych łotrzyków, którzy ich tutaj uwięzili, wyglądał raczej na żeglarza.

— Cofnij się! — rozkazał księciu Nikalonowi, który zerwał się z posłania i rzucił do przodu. — Z dała od drzwi, szczeniaku. — Wsunął latarnię do komórki i rozejrzał się dokoła z obrzydzeniem. — Wstrętne miejsce dla trójki dzieciaków, nawet jeśli to tylko labornockie śmiecie.

— Laboruwendiańskie śmiecie — zimno poprawił go Niki. — Kim jesteś i czego chcesz?

— Jestem kwatermistrzem i nazywam się Boblen. Przyprowadziłem wam gościa. — Zrobił krok w bok, nadal trzymając wysoko latarnię. W półmroku zmaterializowała się niska postać w czerni i weszła do więzienia małych Laboruwendian.

— Król–Goblin! — wrzasnął Tolo. — Przyszedłeś nas torturować!

Jan szybko szturchnęła brata w bok.

Młody król Ledvardis poczerwieniał słysząc bezmyślną obelgę Tola, ale nic nie powiedział, tylko po kolei przyjrzał się rodzeństwu, jakby nigdy nie oglądał podobnych istot.

— No, więc ich zobaczyłeś, Wasza Królewska Mość — burknął kwatermistrz. — A teraz chodźmy stąd, zanim ktoś nas nakryje. Jeśli królowa–regentka dowie się, że tu byłeś, ryzykujesz jedynie burę i pójdziecie do łoża bez kolacji, ale jeśli o mnie chodzi, to nasza władczyni każe posiekać moją wątrobę na karmę dla ryb.

— Doskonale! — zawołał Tolo. — Mam nadzieję, że zabije was obu! — I pokazał im język.

— Cicho bądź! — rozkazał Niki i zwrócił się do Ledvardisa: — Mój brat jest niegrzecznym dzieckiem. Przepraszam za jego grubiańskie zachowanie. Nie przywykł jednak, by traktowano go jak zwierze w królewskim zoo, moja siostra i ja też nie przywykliśmy. A może w raktumiańskich statkach pasażerowie królewskiego rodu zawsze podróżują w takich pomieszczeniach?

— Nie — odparł cicho Ledvardis. Z wahaniem podał księżniczce Janeel niewielki worek. — Boblen powiedział mi, że trzymają was teraz o chlebie i wodzie. Jest mi przykro z tego powodu. Przyniosłem wam pieczonego ptaka i kilka pasztecików z orzechami.

Jan bez słowa wzięła worek.

— Dziękuję ci, królu — powiedział Niki.
— No cóż, lepiej już sobie pójdę — mruknął odwracając się Ledvardis.
— Zaczekaj! — zatrzymał go Niki. — Możesz nam coś powiedzieć o naszym ojcu, królu Antarze? Czy... czy on żyje?
— Tak. Nie widziałem go, ale wiem, że skuli go razem z galernikami.
— Słyszeliśmy o tym od pani Szarice.
— Wasz ojciec na pewno nie musi wiosłować — pośpiesznie zapewnił go Ledvardis. — W taką wicherę nie używa się wiosł.
— Czy będziemy więzieni w Raktum? — spytał Niki.
— Nie wiem. Najpierw musimy popłynąć na południe, na Bezwietrzne Wyspy, z jakąś tajemniczą misją dla Portolanusa.
— Na południe?! — zawołał Niki.
— Chodź już i nic więcej nie mów! — odezwał się kwatermistrz z głębi sąsiedniego pomieszczenia. — A co będzie, jeśli Czarny Głos, ten bękart lothoka, znajdzie nas i doniesie czarownikowi?

— Milcz, Boblenie. Nic nam się nie stanie. — Młody władca pominął milczeniem przestrogi kwatermistrza i zaczął wypytywać małych więźniów o życie, jakie prowadzili na dworze w Laboruwendzie. Chciał wiedzieć, jak traktowali ich dworzanie, czy wolno im było opuszczać pałac i podróżować po kraju, jakie pobierali lekcje, czy mieli przyjaciół w tym samym wieku i czy kiedykolwiek zazdrościli dzieciom, które nie pochodziły z królewskiego rodu.

Nikalon i Janeel szybko zapomnieli o podejrzliwości i traktowali Ledvardisa uprzejmie, nawet z sympatią, nie tylko odpowiadając na jego pytania, lecz także zadając mu własne. Jednakże mały Tolivar nie potrafił przemóc w sobie obrzydzenia, które budził w nim brzydki raktumiański młodzian, i nie chciał z nim rozmawiać. Tylko raz zapytał go, czy podoba mu się, że jest królem piratów.

Ledvardis jakby nie zauważał wrogości malca. Odpowiedział, że był szczęśliwy za życia swego ojca, srogiego króla Ledamota. Ten raktumiański monarcha uczynił swoją flotę biczem Morza Pomocnego i ze wszystkimi, którzy mu zagrażali, postępował bezlitośnie. Jednakże bardzo kochał swego syna i okrutnie rozprawiał się z każdym szlachcicem, który odważył się zauważyć, że może Ledvardis nie nadaje się na następcę tronu. Jednak Ledamot zginął przedwcześnie w katastrofie morskiej, a królowa—matka Ganondri szybko udowodniła, że zniszczy wszystkich rywali do regencji w imieniu swego małoletniego wnuka. Kilku wysokich dowódców floty, którzy się jej sprzeciwili, umarło na tajemniczą chorobę. Innych zaś, powiedział Ledvardis, szybko pokonała dzięki sprytnym machinacjom, pozbawiając ich majątku i władzy. Matka młodego władcy, królowa Maszriya, stała się godną pożałowania kaleką, która nigdy nie wstała z łoża.

Ledvardis spokojnym, rzeczowym tonem opowiadał, jak jego życie zmieniło się na gorsze podczas ostatnich siedmiu lat regencji jego babki. Ale choć młody król usiłował pomniejszać swoje nieszczęścia, widać było, że jest samotny i że pogardza raktumiańskim dworem. Dopiero kiedy pozwolono mu wyruszyć na morze, znalazł pomoc i współczucie u kilku starszych kapitanów, którzy umknęli czystki przeprowadzonej przez królową—regentkę, i pozostali jego przyjaciółmi. Na morzu jego kalekie ciało nabrało sił. Czuł tam, że naprawdę jest królem, a nie bezsilnym dzieckiem.

Kiedy Ledvardis w końcu odszedł, Niki i Jan wyznali sobie, że wstyd im, iż nazywali go goblinem. Tolo wszakże naśladował dziwny chód garbusa i robił miny, kpiąc z jego brzydoty. Nazwał go płaksą i tchórzem, aż wreszcie stwierdził, że raktumiański królik nie jest prawdziwym piratem. Janeel otworzyła worek z żywnością.

— Kogo to obchodzi? To miłe z jego strony, że przyniósł nam coś do jedzenia.

— To na pewno trucizna — odrzekł krzywiąc się Tolo. — Nie ufam temu przekłętemu królowi–Goblinowi!

Niki podniósł piezzonego ptaszka i powąchał.

— Nie, wydaje się świeży. — Rozłożył serwetkę jak obrus na brudnej podłodze i położył na niej jadło. — Dziwi mnie jednak, że Ledvardis nas odwiedził i że otworzył przed nami serce. — Podniósł wzrok na siostrę, która stała trzymając wciąż pusty worek. — Co o tym myślisz, Jan?

— Ja... ja myślę, że król Raktum jest bardzo nieszczęśliwy — odparła. — Nic więcej nie mogę powiedzieć.

Niki podzielił pieczeń na trzy części i wszyscy z zapalem zabrali się do jedzenia.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Anigel była w swojej kajucie, sama ze swoim smutkiem i obawami. Kapitan laboruwendiańskiego flagowca wraz z Owanonem, Lampiarem, Penapatem i innymi wyższymi rangą dworzanami wymogli na niej, by nie prowadziła poszukiwań za pomocą talizmanu na pokładzie, chociaż tam, pod gołym niebem czuła się bliżej uwięzionego męża i dzieci. Było to bowiem zbyt niebezpieczne: pogażoną w transie wielkie fale mogły zmyć do morza. Od czterech już dni niemal nic nie jadła i kiepsko spała, pozwalając, by obsługiwała ją tylko Immu. Nieustannie obserwowała najbliższych w magicznym diademie, zapewniając samą siebie, że tylko tak ich skrzywdzono. Od czasu do czasu podglądała Portolanusa, nie obejrzała jednak jego rozstrzygających spotkań z królową-regentką i admirałem Jorotem. Nie wiedziała też nic o planach czarownika, który zamierzał zamordować więźniów zaraz po otrzymaniu okupu.

Anigel zobaczyła pierwszą wizytę króla Ledvardisa u swoich dzieci. Niespodziewana życzliwość młodego władcy dla małych więźniów zaskoczyła ją i wzruszyła. Widziała, jak przyszedł jeszcze raz, zupełnie sam, czwartego dnia podróży, przynosząc więcej jadła. Pozostał ponad godzinę, wypytując Nikię i Jan, w jaki sposób zostali podstępnie wywabieni z sali balowej, i pytając, co myślą o Portolanusie. Mimo swoich szesnastu lat, Ledvardis był dość naiwny. Anigel zdawała sobie sprawę, że raktumiański monarcha nie ufa tuzameńskiemu sprzymierzeńcowi swojej babki i że przeraża go własna przyszłość.

Ledvardis wspominał też mimochodem o tym, jak to czarownik swoją różdżką sparaliżował królewskich gwardzistów i lekarzę, budząc ich potem ponownym dotknięciem. Królowa Laboruwendy wysłuchiwała tej opowieści z podnieceniem, gdyż uznała, że Portolanus użył tego samego przyrzędu przeciw jej małżonkowi. Znaczyło to, że Antar, który od chwili porwania wciąż nie odzyskiwał przytomności, nie zapadł w śpiączkę, ale został zaczarowany i tylko Pan Tuzamenu mógł zdjąć z niego czar.

Król Ledvardis chętnie rozmawiał z trójką małych więźniów. Życie królewskiego dziecka jest nienaturalne nawet w najlepszych warunkach, lecz ten garbaty chłopiec o brzydkiej twarzy miał wyjątkowego pecha.

Anigel ze smutkiem i irytacją patrzyła na Tolivara, który nie przestawał kpić z Ledvardisa i nazywać go królem-Goblinem. Tolo był jednak małym dzieckiem, miał drobną budowę ciała i brakowało mu pewności siebie. Wprawdzie nigdy nie został tak okrutnie odtrącony przez najbliższych jak raktumiański władca, ale zazdrościł swemu silnemu, urodziwemu, starszemu bratu. Okazując pogardę Ledvardisowi Tolo lepiej znosił własne wady.

Kiedy odzyskam Tola, powiedziała sobie królowa, muszę dłużej trzymać mojego małego synka przy sobie, mówić mu, że go kocham, pocieszać i dodawać mu wiary we własne siły. Nakłonię Antara, żeby robił to samo...

Antar...

Miłość do małżonka i strach o jego życie przegnały z jej umysłu wszelkie myśli o księciu Tolivarze. Kazała talizmanowi pokazać sobie Antara. Król wciąż spał na drewnianym wyrku w ohydny pomieszczeniu dla galerników. Jak zawsze Anigel modliła się o jego życie i szczęśliwy powrót. Teraz, gdy miała pewność, iż nie pogażył się w śmiertelnej śpiączce, dziękowała losowi, że jej mąż nie zdaje sobie sprawy z tragicznej sytuacji, w jakiej się znalazł wraz ze swymi dziećmi. Gdyby dumny i porywczy Antar był przytomny, targalaby nim wściekłość i czułby się poniżony. Kto wie, co mogliby zrobić z nim piraci, gdyby wzbudził ich wrogość lub spróbował ucieczki?

Albo gdyby odmówiła zapłacenia okupu.

Co zrobię, zapytała siebie, jeśli Portolanus zagrozi, że wyrzuci Antarowi jakąś straszną krzywdę albo go zabije?

Wielokrotnie rozmyślała o tej przerażającej możliwości. Wracała do tego z takim uczuciem, jakby dotykała chorego zęba, wiedząc, iż będzie bolało, ale nie mogła się powstrzymać. Łzy popłynęły jej z oczu, choć usiłowała je pohamować. I znów stanęła przed dylematem, którego nie mogła rozstrzygnąć od chwili, gdy przeczytała dwa słowa określające cenę wolności jej najbliższych:

„Twój talizman”.

Czy pozostanie nieugięta, jak obiecała Haramis, jeżeli ceną zatrzymania Trójgłowego Potwora będą krzyki torturowanego Antara i jego haniebna śmierć? Jeśli jednak ugnie się przed żądaniem Portolanusa, czyż nie okaże się złą władczynią? Przecież bez talizmanu jej kraj będzie bezbronny wobec czarnej magii. W najskrytszym zakątku serca wiedziała jednak, że jeśli Antar umrze, ona też pójdzie za nim w zaświaty i nich lichy porwie Laboruwendę. Długo przyglądała się twarzy swego małżonka i łzy płynęły z jej oczu. Później obraz się zaćmił, choć usiłowała go zatrzymać, i usłyszała w myśli zniecierpliwiony głos Haramis:

— Ani! Posłuchaj mnie! Spójrzj do tyłu i ciesz się!

Anigel narzuciła na ramiona skórzany żeglarski płaszcz i pomknęła na pokład, nawet nie odpowiedziawszy siostrze.

Deszcz przestał padać, lecz silny wiatr nadal dął z północy. Wydawało się, że gnające od tyłu wielkie jak góry fale zaleją i zatopią cztery laboruwendiańskie statki. Jednakże jakoś nigdy do tego nie dochodziło i galery unosiły się i opadały na falach niczym wozy jadące wśród wzgórz. Wcześniej kołysanie fal budziło w Anigel mdłości, teraz jednak prawie się do tego przyzwyczaiła. Uczepiła się mocno balustrady na rufie i kazała talizmanowi ukazać sobie pomocną połąć morza.

Doganiał ich jakiś statek. Anigel bez tchu rozkazała Trójgłowemu Potworowi pokazać tajemniczy korab z bliska. Nieznany statek, znacznie mniejszy niż królewska birema, miał zawadiacko przechylone do tyłu dwa maszty, na których rozpięto tylko cztery bardzo małe żagle. Mknął po morzu jak strzała i prawie osiągał trawers ostatniej laboruwendiańskiej galery. Niektóre z poruszających się po pokładzie postaci były jakieś dziwaczne. Kiedy Anigel przyjrzała im się bliżej, rozpoznała w nich Odmieńców z plemienia Wyvilów. Wśród ludzi dostrzegła smukłą kobietę z rozwianymi kasztanowatymi włosami, noszącą na kaftanie obraz Potrójnego Oka.

— Kadi! — zawołała królowa. — Przybyłaś! Och, dzięki niech będą Władcom Powietrza!

Obraz Kadiyi zniknął i Anigel ujrzała na tle burzliwego nieba twarz swojej drugiej siostry, Haramis, okoloną futrem kaptura.

— Posłuchaj mnie, Ani! Teraz ty i Kadiya musicie ściśle ze sobą współpracować. Zarówno twoje, jak i nieprzyjacielskie statki prawie dotarły już na wysokość Wyspy Rady. Jutro koło południa piracka trirema skręci na zachód do archipelagu Bezwietrznych Wysp, by odszukać miejsce, w którym zaginął talizman Kadi. Portolanus wyprzedza cię znacznie i obawiam się, że twój flagowiec nigdy go nie dogoni. Będziesz musiała się przesiać na mniejszy statek Kadiyi. Jest bardzo szybki i powinien dogonić raktumiańską triremę, zanim wiatry ucihną między wyspami.

— Ale w pasie ciszy napędzana wiosłami piracka trirema będzie mogła płynąć szybciej... — zaprotestowała Anigel.

— Większość galerników z okrętu królowej Ganondri cierpi na morską chorobę. Raktumiańscy korsarze zazwyczaj lawirują na przybrzeżnych wodach, a Półwysep osłania Morze Północne przed najgorszymi zniszczeniami powodowanymi przez monsuny. Podejrzewam, że ludzie pirackiej władczyni nigdy nie zetknęli się z burzą tak straszną jak ta, którą rozpętał Portolanus.

— Nasz dzielny kapitan Velinikar powiada, że jeszcze nigdy nie widział czegoś podobnego. Mimo olbrzymich fal, wiatr utrzymuje się dokładnie na cienkiej granicy — pcha statki z dużą szybkością, a jeszcze nie zrywa żagli i nie łamie masztów.

— To nieważne — oświadczyła niecierpliwie Haramis. — Najważniejsze, że wiosłarze na raktumiańskiej galerze nie od razu przyjdą do siebie po tak silnym ataku morskiej choroby. Upłynie trochę czasu, zanim będą w stanie sprawnie wiosłować. Tymczasem ty i Kadiya ich wyprzedzicie na mniejszym statku. Przy złym oświetleniu i słabych, zmiennych wiatrach, które dominują wokół Bezwietrznych Wysp, będziecie miały nad nimi przewagę — przez jakiś czas.

— Więc nie jesteś pewna, że Kadi i ja pierwsze dotrzemy do talizmanu?

— Nie — odparła Haramis. — Musisz jednak błagać swój talizman o pomoc i modlić się gorąco do Władców Powietrza, by dodali szybkości twemu okrętowi.

— Nie mogę rozkazywać mojemu talizmanowi tak jak ty swojemu! — Anigel z irytacją rozłożyła ręce. — Czasami słucha mnie w sprawach nie związanych z magicznym wzrokiem, ale robi to bardzo rzadko. Ja nie jestem Arcymaginią!

— Wiem, że działanie talizmanów pozostaje tajemnicą dla ciebie i Kadi. Mój własny Trójskrzydły Krąg jest niewiele bardziej chętny do współpracy. Właśnie podróżuję do pewnego miejsca, by rozwiązać ten problem dla nas wszystkich...

— Haro, musisz mi powiedzieć, co zamierzasz! Widziałam cię lecącą na grzbiecie lammergeiera ponad wysokimi górami...

— Siostrzyczko, nie zdołam zrobić na czas nic, co mogłoby wam dopomóc w odzyskaniu talizmanu Kadi. Zapomnij o mnie. Użyj całej swojej inteligencji i siły, by wydobyć z głębi morza Potrójne Płonące Oko. Z każdą godziną zwłoki równowaga świata staje się coraz bardziej rozchwiana. Żegnaj teraz i oby Trójjjedyny Bóg i Władcy Powietrza bronili cię przed Portolanusem.

Załoga laboruwendiańskiego flagowca usiłowała spuścić na wodę czółno, które przewiozłoby Anigel na „Lyath”. Lecz na olbrzymiej fali przy porywistym wietrze łódka wyróciła się, zanim została całkowicie uwolniona od lin na bomach, i zatoniła prawie natychmiast. Jeden z marynarzy (a wszyscy zgłosili się na ochotnika) utonął.

— To beznadziejne, pani — powiedział kapitan Velinikar, kiedy uratowano pozostałych żeglarzy. „Lyath” znajdowała się o ćwierć mili od laboruwendiańskiej biremy i tylko momentami można ją było dostrzec za potwornymi falami.

Anigel wyjaśniła swoje plany lagunowi, a ten przekazał jej Kadiyi i kapitanowi Ly Woonly.

— W takim razie muszę w inny sposób przedostać się na statek Kadiyi — odparowała Anigel. Ubrała się w nieprzemakalny żeglarski strój i włożyła swój talizman bezpośrednio na jasne warkocze oplecione wokół głowy.

— Nie wiem jak, pani. — Labornocki kapitan pokręcił głową.

— Poprośmy więc Jaguna, żeby naradził się z kapitanem „Lyath” — odparła Anigel. Zamknęła oczy, znowu posłużyła się talizmanem i gdy po kilku minutach uniosła powieki, powiedziała: — Okamisański kapitan proponuje spodnie ratunkowe, cokolwiek to może być.

Stojący w pobliżu marynarze wydali okrzyk przerażenia. Velinikar zaś brzydko zaklął, a potem niezdarnie przeprosił królową.

— Pani, słyszałem o takim wynalazku, ale to czyste szaleństwo nawet proponować, byś się nim posłużyła.

— Opisz to.

— Musielibyśmy znów ruszyć w drogę, uciekając przed wiatrem prawie bez żagli. Ten okamisański stateczek musiałby skrócić żagle z największą precyzją, by mknąć z taką samą szybkością jak my, a potem podpłynąć do nas bokiem tak blisko, jak tylko się odważy. Wystrzelilibyśmy z katapulty linę. Użylibyśmy jej do przerwania na „Lyath” drugiej, mocniejszej, do której przymocowalibyśmy wielokrążek z blokiem. Kiedy połączylibyśmy w ten sposób bezpiecznie oba statki, ty musiałabyś włożyć coś w rodzaju koła ratunkowego

przymocowanego do innego bloku złączonego z wielokrążkiem. Wówczas załoga „Lyath”, ciągnąc za pierwszą linię, przetransportowałaby cię nad wodą.

Anigel zbladła podczas wyjaśnień kapitana, teraz jednak zdołała się uśmiechnąć.

— Chcę spróbować.

— Nie, nie zrobisz tego, królowo! — zawołał Velinikar. — Gdyby niespodziewany podmuch wiatru oddalił od siebie oba statki, liny pękłyby, a ty wpadłabyś do morza. A gdyby nagle je do siebie zbliżył, również znalazłabyś się w wodzie, gdyż liny by się obluźowały. A nawet mogłabyś zostać zmiażdżona między kadłubami.

— Muszę to zrobić — powiedziała po prostu. — To jedyna szansa uratowania mojego małżonka i dzieci. Poczyń odpowiednie przygotowania, kapitanie, ja zaś porozumiem się z Jagunem, żeby załoga „Lyath” zrobiła to samo.

Przedtem jednak cieśla laboruwendiańskiego flagowca musiał skonstruować spodnie ratunkowe. Najpierw wykonał koło z kory drzewa korkowego, liczące mniej niż jeden ell średnicy, a potem przybił do niego spodnie z płótna żaglowego i liny, którymi miano całość przymocować do bloku. Ustawienie obu statków w odpowiedniej pozycji zabrało załogom prawie godzinę, a wtedy było już prawie ciemno. Velinikar sam stanął przy sterze królewskiej biremy. „Lyath” zatrzymała się w odległości około dwudziestu ell od większego statku, kołyszając się gwałtownie na falach, ale nie zdołała dokładnie wyrównać szybkości.

Wtedy starsi oficerowie z obu statków porozumieli się przez tuby, choć wichura niemal zagłuszyła ich głosy. Zaczęło się instalowanie całego urządzenia. Kadiya podeszła do barierki niżej z Jagunem i którymś z Wyvilów. Rzuciła siostrze tylko kilka dodających otuchy okrzyków. Nie miały czasu na porozumiewanie się w mowie bez słów.

Anigel patrzyła, stojąc obok Immu, Ellinis i Owanona, jak wystrzelono z katapulty pierwszą linię. Później ostrożnie ustawiono na miejscu resztę ekwipunku: ręczny kołowrót i linię mającą poruszać ciężki blok, a potem drugi, lżejszy blok i wielokrążek, który miał przeciągnąć królową ponad wodą. Pierwszy oficer flagowca zapewnił Anigel, że ta maszyna zniweluje różnice w odległości między statkami. Tylko nagle, gwałtowne i jednocześnie ruchy obu jednostek mogą narazić królową na niebezpieczeństwo. Trzej silni marynarze uklękli przed Anigel prosząc ją o błogosławieństwo, a potem odeszli do kołowrotu, który mógł napiąć lub obluźować linię, gdyby doszło do jakiejś groźnej sytuacji.

Na „Lyath”, której pokład znajdował się niżej od pokładu wysokiej biremy, przywiązano mocno drugi koniec liny do grotmasztu. Blok i wielokrążek umocowano pod nim. Liny skrzypiały, a obsługa kołowrotu starała się utrzymać je w napięciu. Wiatr nieco osłabł i wreszcie pierwszy oficer biremy uznał, że można zaczynać. Anigel ucałowała i uściskała Immu, Ellinis i Owanona. Później weszła w spodnie, z całej siły przycisnęła krąg do pasa i została podniesiona w powietrze, ponad balustradą flagowca.

Birema zanurzyła się, a „Lyath” uniósł się na fali. Przez chwilę lina, na której zawieszono były spodnie, biegła prawie poziomo. Anigel sunęła nad falami, opryskiwana pyłem wodnym, przerzucana z boku na bok jak lalka zwisająca na sznurze do bielizny. Później birema się podniosła, „Lyath” zaś znalazła się w dolinie fali. Napięta lina nad głową królowej brzęknęła, a potem się obluźowała. Anigel zatrzymała się nagle, po czym znów ruszyła powoli do przodu. O dziwo, pomimo ogromnych fal oba statki płynęły teraz z jednakową szybkością i w tym samym kierunku, jak para niedobrych wzrostem, lecz doświadczonych tancerzy.

Spodnie ratunkowe poruszały się coraz szybciej i Anigel przebyła już ponad połowę odległości dzielącej ją od „Lyath”. Zdołała pomachać ręką do zgromadzonych przy balustradzie ludzi. Powierzchnia morza między korabiami nieoczekiwanie się spłaszczyła, gdy oba znalazły się na dnie pomiędzy ogromnymi falami. Anigel łatwo zsuwała się po biegnącej ukosem linie, przyciągana nie tylko przez obsługującego kołowrót na „Lyath” niezwykle silnego Lummomu–Ko, ale i siłą grawitacji.

I właśnie wtedy wiatr raptownie zmienił kierunek. Anigel wydało się, że „Lyath” mknie ku niej. Jednocześnie lina podtrzymująca spodnie ratunkowe nagle zwisła luźno i królowa, zamiast zsuwać się po niej, zaczęła opadać ku wodzie. Anigel dostała mdłości. Usłyszała krzyki z mniejszego statku i przeraźliwy okrzyk tubylczej kobiety ze swojego flagowca. Oba korabie, gnane zmieniającym wciąż kierunek wiatrem, coraz bardziej zbliżały się do siebie. Za moment zawieszona na linie królowa znajdzie się w wodzie.

— Ratuj mnie, talizmanie! — zawołała.

Wiatr zahuczał i ponownie zmienił kierunek. Lina pękła z głośnym trzaskiem i wyrwała się z rąk Lummomu–Ko, który rozciągnął się jak długi na pokładzie. Anigel, jak wystrzelona z katapulty, pomknęła w stronę „Lyath”. Zrozumiała, że za chwilę uderzy w burtę i zginie...

I nagle się zatrzymała.

Wiatr ucichł.

Morze zastygło, a mała niha znieruchomiała, jakby zamieniona w kamień.

Anigel zawisła w powietrzu, splątane nad jej głowami liny ani drgnęły. Królowa nie miała odwagi nawet odetchnąć. Wydało się jej, że wszystko, co żyje, zamarło w bezruchu. A potem tylko jej jednej w całym świecie pozwolono się poruszać. Spłynęła na „Lyath” ponad balustradą i łagodnie opadła na pokład, nadal ściskając w dłoniach krąg spodni ratunkowych. Dotknęła stopami desek. Okrążali ją skamieniali Wyvilowie, Jagun podobny do małego posągu z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami i ustami, a obok Kadiya...

Niesamowite przeżycie minęło tak szybko, jak się zaczęło. Owinięta liną i uwięziona w spodniach ratunkowych Anigel ciężko osunęła się na kolana. Kadiya i jej towarzysze aż zakrzyczeli z ulgą, a z królewskiej biremy dobiegły ledwie dosłyszalne wiwaty.

Uwolniona od kłębowiska lin i płótna Anigel rzuciła się siostrze w ramiona. Płakała z radości.

— To był mój talizman! Uratował mnie! Kadi... Kadi...

— Tak — potwierdziła Kadiya. — Bez wątplenia właśnie on to zrobił. W jednej chwili spadałaś do wody, a w następnej już byłaś tutaj.

Stojący w tyle Ly Tyry, pierwszy oficer „Lyath”, polecił załodze szybko przeciąć liny łączące nię z laboruwendiańskim flagowcem. Oba statki natychmiast zaczęły się od siebie oddalać. Dotychczas „Lyath” płynęła pod dwoma małymi żaglami. Rozwinięto teraz trzeci. Wiatr szarpnął nim mocno i niha popłynęła znacznie szybciej od królewskiej biremy. Pomknęła jak na skrzydłach, gdy rozpięto czwarty żagielek.

— Zejdźmy pod pokład — zaproponowała Kadiya, prowadząc siostrę za rękę jak małe dziecko.

Królowa drżała na całym ciele, przemoknięta do suchej nitki pomimo marynarskiego stroju. Jej twarz i ręce były tak blade, jakby nie pozostała w nich nawet kropla krwi

— To talizman! — powtórzyła. — Mój talizman mnie uratował!

Kadiya otworzyła drzwi zejściówki.

— Miejmy nadzieję — powiedziała bezbarwnie — że i mnie uratuje.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Arcymagini Haramis i Sziki z plemienia Doroków lecieli na zachód ponad podgórzem gór Ohogan. Był to pierwszy odcinek ich podróży na Kimilon. Każde dosiadało ogromnego, czarno-białego lammergeiera. Dwa inne ptaki niosły bagaże. Arcymagini złagodziła szalejącą wokół nich burzę jeszcze sprawniej niż zrobił to Portolanus. Sziki dziwił się, że tak mu ciepło i wygodnie, i że tak szybko voory lecą w magicznej bańce spokoju, którą czarodziejka utkała za pomocą swego talizmanu.

Początkowo Sziki tak bardzo lękał się Arcymagini, że ledwie śmiał z nią rozmawiać. Podczas lotu milczał z szacunkiem, by nie przerwać jej medytacji. Kiedy wieczorem osiedli na ziemi, by spędzić tam noc, zachowywał się pokornie i skromnie. Haramis wyjęła z magicznego przyrzędu ciepłe jadlo dla nich obojga, a później, gdy wielkie lammergeiery skupiły się wokół maleńkich namiotów, talizman osłonił wszystkich, ludzi i ptaki, przed żywiołami.

Sziki obudził się w środku nocy. Wydawało mu się, że słyszy dziwne dźwięki podobne do tych, jakie wydaje zrozpaczony człowiek. Kiedy zawołał, ledwie dosłyszalne odgłosy ucichły. Powiedział sobie więc, że mu się to przywidziało, że usłyszał jedynie lęk wiatru. Rano zapomniał o wszystkim i smacznie spał podczas następnych nocy, które spędzili w górach.

Do czasu, kiedy przelecieli nad raktumiańskimi górami Latoosz i dotarli do granicy Krainy Wiecznych Lodów, nienaturalna burza rozpętana przez Portolanusa wreszcie ustała i niebo się wypogodziło. Latające „rumaki” niestrudzenie machały skrzydłami, niosąc jeźdźców ponad oślepiającymi polami śniegowymi, przez które z rzadka przebijały się urwiste turnie, nad pograżonym w martwej ciszy, ogromnym wnętrzem jedyne kontynentu świata.

Arcymagini kierowała swoim voorem równie sprawnie jak Sziki swym nowym ptakiem, który zastąpił mu nieżyjącego przyjaciela. Pod wpływem nagłego impulsu młody Dorok pogratulował Haramis tej umiejętności. Arcymagini nie obraziła ta poufałość, wręcz przeciwnie, okazała chęć do rozmowy. Powiedziała, że składając rzadkie wizyty swym siostronom lubi udając się na naradę z ludźmi czy z Ludem Gór, Bagien i Lasów, podróżuje na grzbiecie voora. Dodała, że nauczyła się tej sztuki dawno temu, jeszcze nim została Arcymaginią, od kobiety imieniem Magira z plemienia Vispi, która teraz była jej ochmistrzynią.

Słowa te zaskoczyły Szikiego, który dotąd uważał Białą Damę za wszechwiedzącą boginię. Kiedy wykrztusił to z siebie, Haramis roześmiała się wesoło i opowiedziała mu pokrótce o swoim życiu: że sprawuje urząd Arcymagini dopiero od dwunastu lat i że nadal się uczy właściwie wypełniać swoje obowiązki. Wówczas Odmieniec zapytał nieśmiało, na czym polega jej zadanie. Odpowiedziała mu szczerze, że rozstrzyga spory, pomaga odnaleźć zaginione osoby, doradza mającym kłopoty przywódcom, ostrzega przed naturalnymi katastrofami i nieszczęściami i że na mnóstwo innych sposobów strzeże i kieruje tymi, którzy zwracają się do niej o pomoc i darzą ją zaufaniem.

Dorok zdziwił się, gdy Haramis przyznała, że są problemy, których nie potrafi rozwikłać (to wyznanie zdumiało go niemal tak samo, jak odkrycie, że Arcymagini je i pije jak normalni ludzie, dba o swoje ciało i czasami nawet śpi za długo). Jeszcze bardziej wstrząsnęło nim to, że tak naprawdę nie wie, co znajdzie na Niedostępnym Kimilonie, czuje tylko, iż będzie to coś bardzo ważnego. Arcymagini wyjawiała mu też, że obawia się tej podróży i że bardzo ją cieszy towarzystwo młodego tubylca.

Sziki zrozumiał, że jego wcześniejsze opinie i sądy o Białej Damie były błędne. Haramis rzeczywiście władała mocą, nie była jednak ani groźną boginią, ani nawet nie należała do legendarnych Sindonów, zbyt dumnych, by odczuwać strach czy obawy jak zwyczajni śmiertelnicy. Arcymagini okazała się istotą z krwi i kości, a jej uczucia nie różniły się zbytnio

od jego własnych. Brakowało jej pewności siebie, dlatego potrzebowała otuchy i przyjaźni. Od tej pory gawędził z nią jak z równą sobie i nawet opowiadał żarciki. Ona z kolei wypytywała go szczegółowo o życie w górach Tuzamenu. Opowiedział jej więc o swojej wiosce położonej w ogrzewanej przez gejzery dolinie, o tym, jak z żoną uprawiał na rozrzuconych w sporej odległości poletkach rośliny zwane ferolami. Dostarczały one zarówno pożywnych bulw, jak i owoców, z których warzono rozweselający napitek. Zimą Sziki zastawiał pułapki na wooramy i inne zwierzęta futerkowe, a jego żona przędła wełnę owiec zuch i tkala z niej piękne szarfy i szale, które wraz z futrami sprzedawano żyjącym na nizinach ludziom. Ze smutkiem wspominał, jak w niepamiętnych czasach jego współplemieńcy zaprzyjaźnili się z wielkimi lammergeierami, porozumiewając się z nimi w mowie bez słów i dosiadając ich, kiedy pragnęli odwiedzić inne dorockie wioski w górach Tuzamenu.

— Teraz jednak, tak jak już ci mówiłem, my, Dorokowie, nie możemy dłużej przyjaźnić się z woorami przez tego wstrętnego czarnoksiężnika — dodał.

Spodziewał się, że Arcymagini zapewni go, iż naprawi tę sytuację pokonując Portolanusa. Haramis jednakże nic nie powiedziała, tylko dotknęła swego talizmanu i ponuro spojrzała w dół, na bezludną krainę, nad którą przelatywali. Tej nocy Sziki znowu usłyszał ciche dźwięki podobne do łkania, ale trudno mu było uwierzyć, że to płacz Arcymagini.

Siódmego dnia od opuszczenia wieży na zboczu góry Brom podróżni ujrzeli coś przypominającego wysokie, dziwnie zaokrąglone ciemne wzgórze, wznoszące się na horyzoncie daleko za bezmiarem lodu i śniegu. Kiedy podlecieli bliżej, szaroczarna, kłębiąca się masa wydała im się bardziej podobna do chmur burzowych, była wszakże od nich gęstsza. Od czasu do czasu pojawiały się w jej głębi szkarłatne błyski.

— To Kimilon — powiedział Sziki do Arcymagini — miejsce, które my, Dorokowie, nazywamy Krainą Ognia i Lodu. Wielka chmura przesłaniająca wyżynę składa się głównie z pary wodnej, obawiam się jednak, że wiele wulkanów właśnie teraz wybucha. Musimy się modlić, Biała Damo, żeby płynna lava nie zalała zagłębienia w centrum wyżyny. W nim bowiem znajduje się dziwna budowla, w której mieszkał czarownik Portolanus. Czy twój talizman powie ci, że możemy tam bezpiecznie wylądować? Haramis wyciągnęła zza pazuchy Trójskrzydły Krąg i poleciła mu ukazać wyraźnie Niedostępny Kimilon. Kiedy próbowała obejrzeć to tajemnicze miejsce w swojej wieży, gęste chmury zawsze zasłaniały wnętrze otoczonej lodem wulkanicznej enklawy i nie mogła dostrzec żadnych szczegółów. Teraz także talizman ukazywał niewiele więcej niż mogła dostrzec własnymi oczami, przez kłęby dymu.

— Obawiam się, że będziemy musieli poczekać, aż dotrzemy na miejsce, by zobaczyć, co się stało z tą starożytną składnicą — odparła Arcymagini. — Niedostępny Kimilon osłaniają potężne czary. Zdumiewa mnie, że twoje plemię dowiedziało się o jego istnieniu.

Mały Odmieniec wzruszył ramionami.

— Nasze najstarsze legendy mówią o Krainie Ognia i Lodu jako o świętym miejscu Zaginionych. Od czasu do czasu jakiś przemożny wewnętrzny rozkaz nakazywał któremuś z naszych bohaterów odwiedzić Kimilon na grzbiecie woor; wiedzieli oni jednak, że nie wolno niczego tam dotykać, gdyż inaczej nigdy się nie ujrzy domu. Ci, którzy oparli się tej pokusie, bezpiecznie wrócili. Pozostałych nikt już nigdy nie zobaczył. Powiadano, że ulegli czarowi zakazanej magii tego miejsca i pozostali tam na zawsze, zamienieni w lodowe posągi. W ten sposób stare opowieści ożywały w pamięci Doroków, a wraz z nimi znajomość drogi na Niedostępny Kimilon.

— Zastanawiam się — rozmyślała głośno Haramis — czy twoje plemię mogło niegdyś służyć jakiejś dawno zapomnianej Arcymagini i na jej rozkaz przeniosło na Kimilon niebezpieczne wytwory Zaginionego Ludu. Jesteście blisko spokrewnieni z ludem Vispi z gór

Ohogan, który od niepamiętnych czasów był na służbie mojej poprzedniczki, Arcymagini Binah.

— Nic nie wiem o takim obowiązku, Biała Damo. My, Dorokowie, wierzymy, że Arcymagini żyje z dala od naszych ziem i nie ma z nami do czynienia. To mój nieżyjący, ukochany voor Nunusio przypomniał mi, że to ty jesteś strażniczką i opiekunką całego Ludu Gór, Bagien i Lasów, i skłonił mnie, bym szukał u ciebie pomocy.

Haramis poczuła złowrogie mrowienie u podstawy czaszki. To lammergeiery! Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się ich poradzić...

— Hiluro! — wykrzyknęła w myśli.

— Słyszę cię, Biała Damo, i odpowiadam — odrzekł bezgłośnie wielki ptak.

— Przemów do mnie tak, żeby Szikli i pozostałe voory cię nie usłyszały.

— Dobrze.

— Hiluro, czy wiesz coś o innych Arcymaginiach lub o Arcymagach poza mną?

— Tak. Jest Pani Morza, która żyje w Twierdzy Zorzy Polarnej, i Pan Firmamentu, którego dom jest w niebie. Tylko ty i tamtych dwoje pozostaliście z założonego przez Zaginionych wielkiego Kolegium Arcymagów, którzy mieli przeciwstawić się złym Gwiezdnym Ludziom. Nie wiem nic więcej o tamtych Arcymagach, znam tylko ich tytuły i wiem, gdzie mieszkają. Mogę tylko dodać, że Pani Morza i Pan Firmamentu będą żyli i kontynuowali swoją misję dopóty, dopóki Gwiezdni Ludzie nie przestaną zagrażać wielkiej równowadze świata.

— Dziękuję ci, Hiluro.

Lammergeier powiedział Haramis niewiele więcej, niż dowiedziała się od swego talizmanu. Arcymagini rozważała te skąpe wiadomości, a tymczasem coraz bardziej zbliżali się do Kimilonu. Przybyli tam, gdy zachodzące słońce rozpostarło różową zasłonę nad Krainą Wiecznego Lodu, tworząc niezwykle tło dla chmur popiołu wiszących nad wulkaniczną enklawą.

Niedostępny Kimilon był niewielką wyżyną o średnicy jakichś trzech mil, otoczoną tuzinem wysokich wulkanów. Pięć wulkanów, stojących obok siebie na zachodzie, wypluwało czarny dym i od czasu do czasu chlustało w niebo szkarłatną lawą. Wąskie strumyki roztopionej skały spływały po ich zboczach. Dwa inne po prostu wyrzucały z siebie parę wodną i ich białe opary mieszały się z czarnym dymem sąsiednich gór ognistych. Pozostałe były nieczynne. Widok wybuchających wulkanów budził przerażenie, a nieprzerwany huk brzmiał jak odgłos gromu. Sziki z zaskoczeniem spostrzegli drzenie dłoni Arcymagini trzymającej talizman.

— Wiatr zwiewa dym i popiół na zewnątrz Kimilonu — powiedziała Haramis. — To przynajmniej dobra nowina.

Cztery lammergeiery przeleciały przez stromą szczelinę na wschodzie, gdzie pokryte smugami popiołu i sadzy masywnej lodowce wpełzły na wygasłe wulkany. Dno doliny stanowiła zakrzepła lava: miejscami potrzaskana na bloki i pełna dziur jak żużel, miejscami zaś gładka, podobna do wielkich i ciemnych zwojów lin, stosów poduszek albo ciasta zamienionego w czarną skałę. Środek zagłębienia zajmowało duże jezioro, w którym odbijało się pociemniałe niebo. Zasilala je woda z lodowców na nieznacznym sopkach. Fumarole z sykiem tryskały poza zachodnim brzegiem jeziora, gdzie popękana ziemia dymiła, a gorące błotne kałuże kipiały jak kotły wypełnione różnokolorową mazią. Na wschodnim brzegu grunt wydawał się twardy, choć przykrywały go zasy popiołu. Podróżni dostrzegli na skałach porosty, kilka karłowatych krzewów oraz inne rośliny, których zielone liście wyschły i odbarwiły się pod działaniem trujących wulkanicznych wyziewów.

U podnóża wielkiej czarnej turni stał dom, w którym kiedyś mieszkał Portolanus. Cztery voory okrążyły jezioro, a potem osiadły na ziemi w pobliżu budynku. Wilgotne, bardzo ciepłe powietrze przenikał nieprzyjemny, ostry smród siarki. Popiół padał bez przerwy deszczem,

wirując nad ziemią w podmuchach wiatru. Niewielkie buły pumeksu skrzypnęły pod stopami Arcymagini i jej towarzysza, gdy zsiadli z voorów.

— Nie możemy długo tu pozostać, Sziki — oświadczyła Haramis. — Postaram się najszybciej wszystko zbadać.

— Czy... czy chciałabyś, żebym ci towarzyszył? — zaproponował młody Dorok. — Jeśli demony strzegą tego miejsca, jak mówią nasze legendy, z radością oddam za ciebie życie. — Wyciągnął z pochwy długi nóż i podniósł go oburącz, tak że brzeszczot zaślnił czerwienią w blasku lawy.

Głęboko wzruszona Arcymagini spojrzała na swego towarzysza. Prawie jej nie znał i na pewno był bardziej przerażony od niej. A przecież wystąpił z tą propozycją, gdyż bez wątpienia darzył ją przyjaźnią, nie zaś z poczucia obowiązku.

— Drogi Sziki, w swej dobroci odkryłeś, że boję się tego, co mogę tu znaleźć. — Położyła mu rękę na ramieniu. — Musisz jednak zrozumieć, że nie obawiam się potworów ani demonów czy jakiegokolwiek innego zewnętrznego niebezpieczeństwa. Ten budynek zbudowała przecież jakaś Arcymagini lub Arcymag. Mam prawo tam wejść i przeszukać go. Nie wiem, czego szukam. Zorientuję się, gdy to zobaczę. To nieznanne budzi we mnie przerażenie, ponieważ odnosi się do treści najskrytszych zakamarków mojego serca i duszy, a nikt nie może mi towarzyszyć w wędrówce do mego wewnętrznego królestwa. Ucieszę się wszakże, jeśli pozostaniesz ze mną tak długo, jak będzie to możliwe. Odłóż jednak broń, przyjacielu.

Sziki na powrót schował nóż.

— My, Dorokowie, mamy takie przysłowie: „Potwór, z którym walczysz w towarzystwie przyjaciela, jest mniejszy niż wtedy, gdybyś spotkał go sam”.

Haramis uśmiechnęła się tylko i z małym Odmieńcem u boku zbliżyła się do tajemniczej budowli.

Budynek zbudowano z bloków takiej samej czarnej lawy jak skała, z którą się łączył. Był wielkości stodoły, miał stromy dach z kamiennych płyt, z których zsuwał się zarówno śnieg, jak i popiół. Tylko od frontu, po obu stronach drzwi, w grubych niemal na ell ścianach wybito okna. Połyskiwały w nich oprawne w ołów szybki. Metalowe drzwi nie miały ani klamki, ani gałki i nie otworzyły się, gdy Arcymagini ich dotknęła.

Haramis wyciągnęła więc swój talizman i zastukała nim w drzwi mówiąc: — Talizmanie, chroń nas oboje od złego i daj nam dostęp do tego miejsca.

Drzwi natychmiast się otwarły. We wnętrzu domu panował gęsty mrok. Haramis weszła do środka i przywołała w myśli oświecenie. Na ścianach zaraz zapłonęły lampy, w których źródłem światła były takie same kryształy, jak w wieży na zboczu góry Brom. Sziki poszedł za Arcymaginią. Widać było, że właśnie to pomieszczenie musiał zamieszkiwać Portolanus. Szata ze sztywnego włókna i para zniszczonych sandałów nadal leżały porzucone na podłodze, w kącie niedbale ciśnięta peleryna i szeroki stożkowaty kapelusz z tego samego materiału. Komnata była niezwykle pięknie wyposażona. Stół, dwa krzesła, łoże oraz kilka szafek i kufrów z nieznannej, połyskującej jak miedź substancji, w stylu, jakiego Haramis nigdy dotąd nie widziała: wszystkie składały się z pełnych wdzięku krzywych linii i płaszczyzn bez śladu złącz, jakby wyrosły przybierając pożądany kształt, a nie zostały wykonane przez rzemieślnika. Na łożu leżały poduszki podobne do dwóch wielkich baniek mydlanych i koce z niezwykle wytrzymałej, przezroczystej, cienkiej jak pajęczyna tkaniny, bardzo zmysłowej w dotyku, w jakiś sposób przymocowane do posłania, tak że nie można było ich zdjąć. Obok stała dziwna, wąska szafka z gładkiej jak kość, lecz twardej niczym metal substancji. Na lekko skośnej górnej powierzchni szafki znajdował się duży szary kwadrat i wiele mniejszych, wielobarwnych; w każdym wryto nieznan symbol. Z drugiej strony komnaty, obok stołu i krzesła, stał sięgający pasa masywny przedmiot, na którym narysowano mnóstwo prostokątów różnej wielkości. Z przodu w niewielkiej ramce

znajdowało się dziesięć kół mniejszych od platynowej korony, umieszczono w nich jakiś tajemniczy znak.

— Te cudowne rzeczy muszą być dziełem Zaginionych! — szepnął Sziki.

— Na pewno masz rację. A teraz przekonamy się, do czego służą te tajemnicze urządzenia.

— Dotknęła talizmanem niezwyklej nocnej szafki, jednocześnie zadając w myśli pytanie.

— To jest biblioteka — przemówił talizman. — Korzysta się z niej w następujący sposób...

— Zaczekaj — powstrzymała go Haramis, dotykając masywnego urządzenia przy stole.

— To jest kuchnia. Zawiera pełny asortyment naczyń i przyborów. Może ugotować pożywienie, podgrzać je lub oziębic i przechowywać w zdatnej do spożycia postaci nieskończenie długo. Otwiera się przegródkę z utensyliami...

— Zaczekaj — przerwała mu Arcymagini. Dotknęła obiektu wielkości sporej skrzyni. Jego wieko natychmiast odskoczyło, odsłaniając błyszczące wieloboki i kręgi ułożone w niezrozumiałe wzory.

— To syntezator muzyki, który może odtworzyć dźwięk każdego instrumentu i zagrać zgodnie z wolą kompozytora...

— Zaczekaj — powiedziała po raz trzeci Haramis. Podeszła do wewnętrznych drzwi, które same otworzyły się przed nią. Gdy weszła do olbrzymiej komnaty, która najwidoczniej zajmowała większą część tajemniczej budowli, zapaliły się światła. Szeregi otwartych półek, oddzielone wąskimi przejściami, sięgały wysokiego sufitu. Wypełnione były mechanizmami o dziwnych kształtach i skrzynkami wszelkich rozmiarów. Wszędzie panoszyła się gruba na palec warstwa kurzu, ale tu i ówdzie czyste i puste miejsca wskazywały, że niedawno usunięto z nich jakieś przedmioty.

Haramis i Sziki zaczęli spacerować pomiędzy półkami oglądając z podziwem nieznanne urządzenia. Od czasu do czasu Arcymagini dotykała któregoś talizmanem i w ten sposób zidentyfikowała zdumiewające przedmioty wszystkich rodzajów — najróżniejsze narzędzia, przerażającą broń, dziwne aparaty naukowe, przyrządy do wykonywania różnych rzeczy (brakowało do nich surowców, na nic się więc nie przydały czarownikowi), maszyny, które potrafiły uczyć, zabawiać i nawet uzdrawiać.

— Jakie to cudowne! — zawołał Sziki. — Portolanus musiał bardzo żałować, że nie mógł zabrać ze sobą tego wszystkiego.

— Myślę, że powinniśmy za to podziękować Władcom Powietrza — zauważyła ponuro Haramis. — Tylko Niebiosa wiedzą, w jaki sposób dostarczono tutaj te wielkie maszyny.

Kiedy Haramis i Sziki skierowali się w stronę skały tworzącej tylną ścianę budynku, Arcymagini znowu zapytała Potrójny Skrzydlaty Krąg:

— Czy to rzeczywiście jest tajemna skrytka jakiegoś Arcymaga lub Arcymagini?

— Tak — odparł bezgłośnie talizman.

— Kto ją zbudował?

— Drianro, Arcymag Łądu, kazał ją zbudować, kiedy składnicę używaną przez jego poprzedników zalała lawa i już nie nadawała się do użytku.

— Powiedz mi, kiedy żył Drianro i czemu Arcymagini Binah nie używała tego schowka.

— Drianro urodził się dwa tysiące trzysta sześć lat temu. Umarł nagle, zapomniawszy poinformować swoją następczynię, Arcymaginię Binah, o lokalizacji tego magazynu starożytnych artefaktów na Niedostępnym Kimilonie.

Haramis zaparło dech z wrażenia. Talizman, czytając w myślach najstarszej córki króla Kraina, a robił to często, odpowiedział na jej następne pytanie, którego nie wypowiedziała głośno.

— Arcymagini Binah żyła tysiąc czterysta osiemdziesiąt sześć lat i sprawowała swój urząd przez tysiąc czterysta sześćdziesiąt cztery lata.

— Na Czarny Kwiat! Czy i ja będę żyła tak długo?

— To impertynenckie pytanie.

Haramis zacisnęła usta. Jakże często talizman wypowiadał to nieszczęsne zdanie, kiedy zadawała mu pytanie, na które nie mógł odpowiedzieć! Po chwili jednak zapomniała o irytacji. Ogarnęło ją znów zdumienie, gdy omiotła spojrzeniem tysiące tajemniczych urządzeń.

— Czy te wszystkie rzeczy... były uważane za potencjalnie niebezpieczne i dlatego zostały tutaj ukryte? — zapytała po chwili.

— Arcymag Driandro uznał jedne za nieodpowiednie dla tubylczej kultury, a inne za niebezpieczne.

— Czy te przyrządy naprawdę są magiczne, czy też są tylko maszynami? — pytała dalej Arcymagini.

— Stworzono je z pomocą nauki, którą wielu uznałoby za magię.

— Ale czy prawdziwa magia istnieje?

— To impertynenckie pytanie.

— Phi! — zawołała Haramis. — Przystaniesz wreszcie ze mnie kpić, gdy staram się dotrzeć do sedna sprawy?! Do samej głębi moich obowiązków Arcymagini?

— Te pytania są...

— Proszę, zamilcz! — przerwała mu z irytacją i opuściła srebrną różdżkę na piersi.

Sziki przysłuchiwał się temu dialogowi z szeroko otwartymi ustami i szklistymi z niedowierzania oczami.

— Niech cię to nie gorszy, przyjacielu — zauważyła kwaśno Arcymagini. — Magia może przerażać, ale bywa też ponura i irytująca, zwłaszcza dla tych, którzy muszą się jej uczyć bez nauczyciela. Przybyłam tutaj z nadzieją, że temu zaradzę.

Sziki uśmiechnął się z pewnym niepokojem.

— Miałaś nadzieję, że znajdziesz tu magiczną księgę albo maszynę, która będzie cię kształcić?

— Nie. Szukam czegoś zupełnie innego. Ponieważ jednak to nie raczyło mi się objawić, będę musiała wydać odpowiedni rozkaz. — Podniosła znowu talizman i powiedziała głośno: — Jeśli w tym miejscu jest jakieś urządzenie, które pozwoli mi skomunikować się z innymi Arcymagami lub Arcymaginiami, niech się ujawni!

Usłyszeli cichy dźwięk, wysoki, czysty i melodyjny jak wibracja kryształu uderzonego paznokciem. Haramis powiodła zaskoczonym wzrokiem po rzędach półek wyładowanych tajemniczymi przedmiotami. Skąd dobiegało to dzwonienie? Cichło, gdy daremnie próbowała znaleźć jego źródło. Sziki zerwał z głowy skórzaną czapkę, by lepiej słyszeć.

— Tędy! — zawołał i pomknął przed siebie, a Arcymagini za nim. Biegli wzdłuż tylnej ściany, a raczej chropowatej skały będącej częścią wielkiej turni. Sziki dotarł wreszcie do miejsca, które pozornie niczym nie różniło się od innych, wskazał palcem na podłogę i rzekł:

— To tutaj!

Haramis postukała talizmanem w zakurzoną skalną powierzchnię. Znów rozbrzmiała wysoka nuta i fragment podłogi stał się półprzezroczysty jak rzadki dym, a potem zniknął, odsłaniając ciemny otwór o średnicy przekraczającej jeden ell, w którym zalegał gęsty mrok. Buchnęło z niego stęchłe powietrze, wzbijając tumany kurzu w składnicy. Haramis i Sziki jednocześnie kichnęli. Arcymagini rozkazała, by wewnątrz otworu zostało oświetlone, ale dziura pozostała całkiem ciemna i martwa, nie wypadł z niej żaden podmuch, tylko w powietrzu nadal dźwięczała krystaliczna nuta.

Haramis zwróciła się do talizmanu:

— Co to za otwór? Dokąd prowadzi?

— To wiadukt, a prowadzi do miejsca, gdzie cię wzywają.

— Zostałam wezwana i mam wejść do tego wiaduktu? — upewniła się córka Kraina.

— Tak. Arcymagini Morza wzywa Arcymaginię Łądu na naukę, która potrwa trzydzieści dni i trzydzieści nocy — wyjaśnił Potrójny Skrzydlaty Krąg.

Haramis odetchnęła głęboko. Jej twarz promieniała.

— Tego właśnie oczekiwałam, to chciałam znaleźć! Dzięki niech będą Trójjedynemu Bogu!

Od razu weszły do otworu, gdyby Sziki milczał.

— A co ze mną? Mam tutaj czekać na twój powrót, Biała Damo? — Głos Szikiego był pełen smutku.

Haramis zawstydziała się, zrozumiawszy swoją bezmyślność. Surowym głosem zwróciła się do talizmanu:

— Nie mogę pozostawić mojego dobrego sługi samego w tym strasznym miejscu na trzydzieści dni. Muszę też pamiętać o naszych wiernych lammergeierach.

— Dorok Sziki został wezwany tam, gdzie jego obecność jest konieczna, i wejdzie do wiaduktu przed Arcymaginią Łądu.

Cztery voory, które was tu przyniosły, odleciały już do domu.

— Och! — zawołał Sziki. — Zostaliśmy uwięzieni tak jak tamten czarnoksiężnik!

— Cicho! — powiedziała z wyrzutem Haramis. — Wcale tak nie jest. Talizmanie, dokąd posyłaś Szikiego?

— Tam, dokąd musi pójść.

— Doprowadzasz mnie do szaleństwa! — zakrzyknęła Arcymagini. Potem jednak uspokoiła się i zwróciła się do małego Odmieńca: — Postaraj się nie lękać. Jestem pewna, że mój talizman nie chce nas skrzywdzić. Ja... mogę tylko przypuszczać, że istnieje miejsce, w którym pożytecznie spędzisz czas, podczas gdy ja zajmę się nauką. Miejsce to nie jest przeznaczone dla mnie i dlatego musimy się rozstać. Czy wejdiesz odważnie do środka i wykonasz polecenia talizmanu?

Dorok pochylił głowę.

— To twój talizman, a ja jestem twym sługą, Biała Damo. — Zdecydowanym ruchem nałożył na głowę czapkę i wszedł do ciemnego otworu.

Rozległo się głośnie dzwonięcie i Sziki zniknął. Haramis zawołała go, ale nie usłyszała nawet echa swego głosu, tylko dźwięczącą wciąż krystaliczną nutę. Teraz moja kolej, powiedziała do siebie. Później nagle przyszła jej do głowy straszna myśl. Może Portolanus również został wezwany... Czy wezwano go dwukrotnie? Czy Potrójne Berło i tworzące je talizmany miały jakiś cel, którego Haramis nawet nie potrafiła sobie wyobrazić? Z całej duszy zapragnęła poradzić się z siostrami, opowiedzieć im o wszystkim, poprosić, by użyczyły jej sił i odwagi w obliczu nieznanego. Dzielną Kadiya! Kochającą, nieugiętą Anigel! A ja, która powinnam im przewodzić, wciąż się waham. Nie, postanowiła. Nie powiększę brzemia, jakie już dźwigają, by ulżyć sobie. Zapomnę o tych przeklętych wahaniach i pójdę za przykładem dobrego, starego Szikiego...

Ścisnęła oburącz talizman i weszła do otworu zwanego wiaduktem. Otoczyła ją dusząca ciemność. Haramis zawisała w próżni. W jej mózgu pulsował bezboleśnie głośny, melodyjny dźwięk. Poczowała coś twardego pod nogami. Ruchome kamyki. Wokół nadal panował mrok, ale Haramis skądś wiedziała, że to tylko ciemności nocy, a nie spowodowany czarami brak światła. Kiedy jej oczy powoli przywykły do mroku, dostrzegła gwiazdy słabo migocące na niebie zalanym niesamowitą ciemnoczerwoną poświatą. Usłyszała też szum fal liżących kamienistą plażę, z cichym grzechotem przesuwających żwir. Ostry, zimny podmuch musnął jej twarz.

Znajdowała się na brzegu morza.

Na wodzie unosiły się gigantyczne bryły, połyskujące niczym widmowe statki, ale znacznie większe od wszystkiego, co stworzyły ludzkie ręce. Były ogromne jak wyspy, jak

małe góry, a każda świeciła słabym zielonkawym lub niebieskawym blaskiem. Obrzeżone pianą niewielkie fale lśniły w mroku.

Czerwono–czarne niebo zmieniło się. Daleko na horyzoncie strzeliła smuga perłowego, opalizującego światła. Później zmaterializowały się jeszcze cztery, poruszając się jak widmowe palce. Rozszerzyły się, zamieniły w jaskrawe wachlarze różowego, białego i zielonego blasku, a potem rozlały w świetliste zasłony. To niesamowite światło padało na unoszące się na morzu gigantyczne góry lodowe, oświetlało dziwny krajobraz za plecami Haramis: ciągnące się bez końca nagie, bezdrzewne wzgórza, gdzieniegdzie upstrzone łachami połyskliwego śniegu. Wiatr nasilał się coraz bardziej.

— Gdzie jestem? — szepnęła Haramis.

— Na brzegu Morza Zorzy Polarnej.

Więc tak nazywały się te fantastyczne światła na niebie! Była to zorza polarna, niezwykle rzadkie, ale naturalne zjawisko, o którym Haramis słyszała, lecz którego nigdy nie spodziewała się zobaczyć, gdyż występowało wyłącznie na dalekiej północy. Wciąż zmieniające się kolorowe zasłony były tak piękne, że Arcymagini prawie zapomniała, po co tu przybyła...

— Nie wolno ci o tym zapominać, Haramis. Tak wiele musisz się nauczyć.

Haramis krzyknęła głośno. To nie był głos jej talizmanu.

— Czy to ty, Arcymagini Morza? — zawołała. — Gdzie jesteś?

— Idź Świetlną Drogą.

Wspaniałe blaski zorzy polarnej odbijały się teraz w morzu. Wydawało się, że niedaleko miejsca, w którym stała Haramis, woda zastyga, zamienia się w twardą powierzchnię iskrzącą się jak przezroczysty lód usiany miriadami diamentów. Zaczarowana ścieżka wydłużyła się w stronę najwyższej z rozjarzonych różnokolorowym blaskiem gór lodowych.

Czy ta droga utrzyma mój ciężar? — zapytała się w duchu Arcymagini. Zadrżała w zimnych podmuchach wiatru, a potem weszła na magiczną drogę. Lód wydał cichy, dźwięczny odgłos, lecz nie pękł. Haramis zrobiła drugi krok. Po obu stronach lśniącej ścieżki falowała czarna woda, ale Świetlna Droga pozostała twarda jak żelazo. Otuliwszy się płaszczem, Arcymagini Lądu poszła do zastygłej powierzchni morza, nie wiedząc, dokąd idzie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jeżeli mapa, którą narysowałaś, pani, jest prawdziwa — powiedział do Kadiyi kapitan Ly Woonly — tylko parę mil dzieli nas od miejsca, w którym utonął twój magiczny talizman.

Kadiya i Anigel, które właśnie się obudziły, pośpieszyły na pokład „Lyath” na wezwanie kapitana. Stateczek płynął powoli na południe wzdłuż poszarpanego wybrzeża Wyspy Rady, trzymając się z dala od lądu. Przez ostatnie trzy dni, odkąd niha zaczęła kluczyć pomiędzy Bezwietrznymi Wyspami, obserwator w bocianim gnieździe wypatrywał raktumiańskich piratów lub wrogo nastawionych tubylców. Dotąd jednak nie zauważono na przybrzeżnych wodach żadnego korabia, choć widać było dymy licznych wiosek Morskich Odmieńców. Dostrzeżono też niewielką grupę Aliansów łowiących ryby na płycznach.

Talizman Anigel okazał się mało przydatny w tropieniu pirackiej triremy w labiryncie wysp i wysepek. Królowa widziała dość dobrze wielki okręt i jego otoczenie, ale nie zdołała ustalić jego pozycji na mapie. Nie potrafiła bowiem odróżnić od siebie wysp, które wydawały się jej identyczne, a i mapa nie była zbyt dokładna. Ścigający nie dowiedzieli się więc, czy piraci ich wyprzedzili, czy też znajdują się za nimi.

Talizman potwierdził, że mnóstwo tubylców z ukrycia obserwowało „Lyath”. Ponieważ zamieszkujący wyspy Lud Morza porozumiewał się w mowie bez słów, na pewno dobrze wiedział, gdzie znajduje się piracki okręt. Aliansowie wszakże nie odpowiedzieli, gdy towarzyszący Kadiyi Wyvilowie przemówili do nich. A królowa Anigel, choć talizman pozwalał jej podsłuchiwać ich rozmowy, ku swej konsternacji przekonała się, że Lud Morza rozmawiał między sobą we własnym niezrozumiałym języku, a nie w opartym na człowieczej mowie kupieckim dialekcie, którego jego przywódcy używali podczas; nieudanej narady z Kadiją.

Nie mając żadnych wieści o nieprzyjacielu, obie siostry mogły namawiać kapitana Ly Voonly, by płynął jak najszybciej przy wciąż zmieniającym kierunku wietrze, i modlić się, żeby przed Portolanusem zdołały dotrzeć do miejsca, w którym zatonął talizman.

— Dopłynąłeś do Wyspy Rady tak szybko, kapitanie — powiedziała ciepło Anigel. — Zdumiało mnie, że potrafiłeś płynąć w nocy przez otaczający ją labirynt skał i raf.

Spojrząwszy przez ramię na zwijającego żagiel wyvilskiego wojownika, Ly Woonly szepnął:

— Zawdzięczamy to tym leśnym Odmieńcom, wielka królowo. Te wielkookie straszydła mają specjalny zmysł, który pomaga im omijać przeszkody w wodzie. Dzień i noc są dla nich prawie takie same, a żeglowanie po płytkim morzu niewiele różni się od pływania po ich ojczystych rzekach.

— Zatoka, nad którą leży wieś Wielkiego Wodza Har-Chissa, prawdopodobnie znajduje się tuż za tym przylądkiem — odezwała się Kadiya, wpatrując się w pomiętą mapę. — Nie mogę zrozumieć, dlaczego żadna tubylcza łódź do nas nie dotarła. Kiedy przybyłam tu po raz pierwszy, dużo kajaków z dwudziestoma lub więcej wiosłarzami wypłynęło nam na spotkanie i eskortowały nas do miejsca zakotwiczenia, a byliśmy wtedy znacznie dalej od wyspy niż jesteśmy teraz.

— Może morscy Odmieńcy mają ważne powody, by pozostać na brzegu — zauważył Ly Woonly. Jego jowialna zwykle twarz sposepniała pod ozdobionym piórami kapeluszem. — Wielka królowo, spojrzysz znów przez swój dalekowiedzący diadem i powiedz, co się dzieje z drugiej strony tego cypla.

— Dobrze. — Anigel zamknęła oczy i dotknęła srebrnego diademu wplecionego w jasne włosy. — Och, tam jest piracka trirema z opuszczonymi żaglami! Widzę, że zarzuciła obie kotwice.

— Do stu piorunów! — zawołał Ly Woonly. — Cała załoga na pokład! Sternik! Przygotować się do zatrzymania statku! — Pobiegł wykrzykując rozkazy i w ciągu kilku minut stateczek zwolnił, a potem się zatrzymał.

— Szybko! — odezwała się Kadiya. — Przyjrzyj się uważnie pirackiemu okrętowi. Czy spuszczają łodzie z chwyதாகami, albo robią coś, co wygląda na próbę wydobywania mojego talizmanu?

Anigel milczała chwilę, patrząc w dal pustym spojrzeniem.

— Nie, nic takiego nie widzę, tylko marynarzy zwijających liny i przywiązujących spuszczone żagle oraz raktumiańskiego admirała rozmawiającego z jakimś oficerem. Admirał mówi, że właśnie przybyli do Zatoki Rady. Nie mogli wpłynąć nocą z obawy, że osiadną na mieliźnie. Wydaje się, że Portolanus ma magiczny przyrząd, który wskazuje głębokość wody w danym miejscu. Jednakże owo urządzenie zawiodło i trirema musiała spędzić nocę na kotwicy. Na Czarny Kwiat! Sam Portolanus i jego akolici wkrótce mają wyjść na pokład!

— Pokaż mi! — zażądała Kadiya.

Anigel poprosiła swój talizman, by przekazał wizję jej siostrze. Obraz nieco pociemniał i nie przekazywał naturalnych odgłosów. Mimo to Kadiya zobaczyła wyraźnie trzy postacie wychodzące ze sterowni: mężczyznę średniego wzrostu w purpurowej szacie z kapturem, nieco bardziej krępego jegomościa w podobnej żółtej odzieży i trzeciego, całkiem niskiego, w czerni. Za nimi pojawiła się dobrze znajoma obu siostrzom zamazana sylwetka Portolanusa. Na końcu zaś przybyła królowa— regentka Ganondri w zielonych jak morze jedwabnych sukniach (najwidoczniej przyszła do siebie po trzech dniach ładnej pogody), w towarzystwie bladego i zasępionego króla Raktum.

Pomocnicy czarownika ustawili się obok siebie wzdłuż ozdobnej balustrady na rufie, wydawało się, że patrzą prosto na Anigel i Kadiyę. Portolanus stanął za swymi sługami i nagle zrzucił magiczną osłonę. Nosił lśniącą białą szatę, był bez czapki, a lekki wiatr rozwiewał jego żółtawe włosy i brodę. Kiedy obie siostry jęknęły z zaskoczenia, czarownik podniósł dłoń i pomachał palcami w kpiarskim geście. Wiedział, że jest obserwowany. Królowa Ganondri i jej wnuk odsunęli się jak najdalej od groźnej czwórki, nie odrywali jednak od niej oczu.

Z twarzy Portolanusa zniknął głupawy uśmiech. Czarnoksiężnik wyprostował się. Stał się wyższy i szerszy w barach, a jego rysy — mniej groteskowe. Rzucił krótki rozkaz i jego trzech pomocnicy padli na kolana. Ze zdumiewającą siłą Portolanus zdarł z nich kaptury, odsłaniając ogolone głowy, które zbliżył do siebie jak kupiec melony. Później rozwarł kościste dłonie tak szeroko, że palcami dotykał trzech łysin jednocześnie i zamknął oczy.

— Wielki Boże! — szepnęła Kadiya. — Jego słudzy! Czy widzisz ich, siostrzo?

Zdziwiona Anigel mogła tylko skinąć głową. Oczodoły trzech klęczących mężczyzn, którzy znieruchomieli jak posągi, zamieniły się w puste, ciemne jamy. Stojący za nimi czarownik otworzył oczy i opuścił dłonie. Pod jego zmierzwionymi żółtawymi brwiami jarzyły się dwie oślepiająco białe gwiazdeczki.

— Witajcie, królowo Anigel i pani Kadiyo! — powiedział i siostry usłyszały go tak wyraźne, jakby stał tuż obok.

— On nas widzi! — zawołała Anigel.

— Oczywiście, że was widzę — odparł śmiejąc się Portolanus. — Przy pomocy moich trzech potężnych Głosów potrafię dostrzec najdalsze zakątki świata, zobaczyć dosłownie wszystko i wszystkich, i porozumieć się z każdym! Prawda, że mamy śliczny ranek? Wyznaję, że osobiście lubię ładną pogodę i z prawdziwą ulgą skończyłem z rozpętywaniem burz. Pozwólcie, że pogratuluję wam i waszemu kapitanowi szybkości, jaką zdołał osiągnąć wasz stateczek. Nasi raktumiańscy galernicy zupełnie opadli z sił, gdyż wiosłowali od świtu, by umożliwić nam wyprzedzenie was na skrót.

— Powinieneś był utrzymać swoją magiczną wichurę — odparowała Kadiya.

— Niestety — Portolanus wzruszył ramionami. — Nie mam tak subtelnej władzy nad burzami, żebym mógł wpływać na kapryśne wiatery, które dominują w archipelagu Bezwietrznych Wysp. A jednak zwyciężyliśmy — i to dzięki naturalnym środkom. Ostrzegam was teraz, żebyście trzymały się od nas z daleka. Nie próbujcie wpłynąć do tej zatoki ani zbliżać się do miejsca, w którym zatonął talizman, bo gorzko tego pożałujecie.

Czarownik strzelił palcami. Ze sterówki wyszło dwóch piratów w zbrojach, podtrzymując bezwładne ciało. Trzeci łotrzyk szedł za nimi, niosąc obnażony miecz.

— To Antar! — zawołała Anigel.

— Piękny z niego król, prawda? — Mężczyzna o gwiazdzistych oczach roześmiał się kpiąco. — I niezły leń, gdyż przespał te siedem dni podróży. Teraz jednak powinien się obudzić. Możecie z nim porozmawiać.

Dotknął króla Laboruwendy małą różdżką. Nieprzytomny mężczyzna poruszył się w ramionach piratów i podniósł głowę. Kiedy zdał sobie sprawę, że jest więźniem, zaczął się szamotać i obrzucać przekleństwami Portolanusa.

— Oj, nieładnie, nieładnie. — Czarownik drwiąco pokiwał głową. — Królewski gość płaci nam za gościnę ostrymi słowami. Trzeba go nauczyć lepszych manier.

Wycelował koślawy paluch w twarz Antara. Z czubka palca buchnął pomarańczowy płomień. Potem Portolanus cicho coś powiedział do raktumiańskiego wojownika z mieczem. Anigel i jej małżonek krzyknęli jednocześnie, gdy pirat chwycił króla Laboruwendy za włosy i odchylił do tyłu jego głowę, tak że czarodziejski płomień liznął brodę Antara. Rozległ się syk, buchnął kłęb dymu i przerażona królowa wybuchnęła głośnym płaczem. Kiedy jednak czarodziej cofnął paluch, okazało się, że spaliły się tylko włosy króla, ale jego ciało nie zostało poparzone.

— Ty brudny bękarcie! — krzyknęła Kadiya biorąc w ramiona zapłakaną siostrę.

— To możliwe, gdyż nie znałem ani ojca, ani matki. — Portolanus niedbale wzruszył ramionami. — A na raktumiańskich statkach jest mnóstwo ozdób, ale nie ma wanien. Radzę ci jednak, trzymaj język za zębami, Pani Czarodziejskich Oczu, gdyż moje następne posunięcie może być bardziej bolesne dla twojego szwagra.

— Nie rób mu krzywdy! — jęknęła błagalnie Anigel. Bliźniacze gwiazdy w oczach czarnoksiężnika rozbłysły, a jego głos zahuczał w umyśle królowej:

— Uwolnię go od razu, i wasze dzieci, jeśli oddasz mi swój talizman zwany Trójgłowym Potworem.

— Nie! Jesteś wstrętnym łgarzem. Ja... ja nie wierzę, że ich uwolnisz! Pragniesz śmierci nas wszystkich!

— Głupia kobieto — westchnął Portolanus. — Kto ci to powiedział? Twoja siostra Haramis? Ona jest tylko całkowicie niekompetentną ignorantką, po amatorsku bawiącą się tajemnicami, których nigdy nie zrozumie. Nic nie wie o moich planach. Zapłać okup! Twój diadem nie jest ci potrzebny: to po prostu przyrząd do szpiegowania i symbol... tylko niebo wie, czego.

— Nie słuchaj go, kochanie! — zawołał król Antar. — Rozkaż swemu talizmanowi, by zabił tego łotra! — W tym momencie przyłożono mu miecz do gardła, żeby zmusić go do milczenia, ale na rozkazujący gest Portolanusa pirat niechętnie opuścił broń.

— Pomyśl tylko o tym, królowo Anigel — powiedział poważnie czarownik. — Do czego naprawdę był ci potrzebny Trójgłowy Potwór w ciągu ostatnich dwunastu lat? Tak, pozwolił ci porozumieć się z siostrami na duże odległości. Mogę jednak dać wam trzy małe maszyny Zaginionych, które oddadzą wam te same usługi!

— A mnie co dasz, oszuście, w zamian za moje Potrójne Płonące Oko?! — zapytała z gniewem Kadiya. — I czy Arcymagini Haramis również zamieni swój talizman na jakieś magiczne świecełko?

Portolanus przestał się uśmiechać i spojrzał na Kadiyę spode łba.

— Zwracam się do królowej, a nie do ciebie, pani! Anigel, jeśli nie zapłacisz mi okupu, twój małżonek i dzieci na pewno zginą. A oto jak możesz ich ocalić: umieść swój diadem w małej łódce i puść ją na fale. Ja zaś w tej samej chwili pozwolę zejść do czółna Antarowi i waszym dzieciom. Król wiosłując opłynie ten przylądek i dotrze do was w ciągu dwóch godzin. Ja tymczasem czarami przyciągnę do siebie łódkę z talizmanem. I jeśli wtedy od razu odpłyniecie do domu, przysięgam na Ciemne Moce, że nie będę was ścigał i nie uczynię wam nic złego.

Anigel zawahała się. Pełnymi łez oczami wpatrywała się w Antara, kręcąc odmownie głową. Król wyglądał żałośnie: oczy miał zapadnięte i twarz wychudłą od przymusowego siedmiodniowego postu. Talizman wydał się królowej niską ceną za bezpieczny powrót małżonka i dzieci. Antar powiedział jej jednak, by nie uległa woli czarnoksiężnika i żeby spróbowała go zabić. Anigel nigdy wszakże nie wydała rozmyślnie takiego rozkazu temu magicznemu przyrządowi i wahała się nawet teraz, gdy chodziło o życie jej męża.

Kadiya wyczuła walkę, jaka toczyła się w umyśle siostry.

— Zrób to, co uznasz za stosowane — powiedziała z naciskiem, dając Anigel do zrozumienia, że powinna posłuchać Antara.

Królowa Laboruwendy zamknęła oczy.

— Talizmanie! Na Władców Powietrza rozkazuję ci porazić śmiertelnie tego złego człowieka, który więzi mego małżonka i nasze dzieci! Rozkazuję ci! Rozkazuję!

Otworzyła oczy. Portolanusowi nic się nie stało. Zupełnie nic się nie wydarzyło.

Kadiya spojrzała w oczy siostrze, która nieznacznie pokręciła głową. Kadiya zacisnęła zęby, by powstrzymać pełen goryczy okrzyk. Winiła bowiem Anigel w takim samym stopniu, co jej talizman, za nieudaną próbę zabicia czarnoksiężnika.

Starając się ukryć ból i zawód, królowa powiedziała ledwie dosłyszalnie:

— Nie mogę ci oddać mego talizmanu.

Portolanus nie sprawiał wrażenia zawiedzionego.

— To niefortunna decyzja, królowo. Może z czasem zmienisz zdanie. Teraz, na dowód mojej dobrej woli, nie uczynię królowi Antarowi żadnej krzywdy, ale musisz trzymać się ode mnie z daleka. Czy przysięgniesz mi na Czarne Trillium, że ty i twoja siostra Kadiya nie zbliżycie się do miejsca, w którym teraz przebywam?

— Nie przysięgam! — krzyknął Antar, szarpiąc się bezradnie w rękach krzepkich rycerzy — piratów.

— Tak! — zawołała Anigel. — Przysięgam!

— Tak! — burknęła po dłuższej chwili Kadiya z wyraźną niechęcią. — Przysięgamy ci na Czarny Kwiat, że się stąd nie ruszymy. Jeśli jednak wyrządzisz Antarowi choćby najmniejszą krzywdę, nasza przysięga straci ważność. Będziemy go obserwowały bez przerwy.

— Zróbcie to koniecznie! — Czarownik wybuchnął śmiechem, a potem powiedział do raktumiańskich rycerzy: — Przykucicie go znów z galernikami i dajcie mu małą porcję lury, którą się żywią. Uważajcie, gdyż po tak długiej głodówce jego żołądek nie może przyjąć wiele.

Piraci zawlekli Antara pod pokład. Portolanus ziewnął szeroko i przeciągnął się leniwie. Kiedy usiadł wygodnie, Anigel i Kadiya zobaczyły, że jego oczy odzyskały normalny wygląd. W tej samej chwili trzej słudzy czarownika jęknęli i dostali drgawek. Ich twarze również zrobiły się normalne. Przewrócili oczami, ukazując białka, i osunęli się na pokład.

Czarownik odwrócił się i złożył zamaszty ukłon królowej! Ganondri i królowi Ledvardisowi, a potem opuścił rufę.; Regentka przemówiła ostrym tonem do swego wnuka, który z lękiem i zdumieniem słuchał rozmowy czarownika z niewidocznymi siostrami. Później i tych dwoje odeszło, a kilku marynarzy zabrało z pokładu nieprzytomnych pomocnikowi Portolanusa.

Anigel przegnała obraz.

— Co mamy robić? — Otarła łzy i usiadła na beczce z wodą, gdyż była wstrząśnięta tym, co się stało.

Kadiya przez kilka minut stała milcząc przy balustradzie i patrząc w stronę wybrzeża Wyspy Rady. Wyspa była duża, gęsto zalesiona; oślepiającą biel jej piaszczystych plaż pstrzyły czerwono-czarne skupiska skał. Lśniące lazurowe morze w pobliżu lądu przybierało jasnozieloną barwę. Spienione fale, przepływając ponad ukrytymi rafami, tworzyły skomplikowane wzory na powierzchni wody. Nic nie wskazywało, że z tej strony wysokiego cypla istnieje jakaś tubylcza osada.

— Pierwotny plan Haramis przewidywał, że przywołasz mój talizman z pomocą swojego — przemówiła Kadiya odwracając się w końcu do siostry. — Spróbuj to zrobić, choć dzieli nas od niego duża odległość!

— Nigdy mi to nie przyszło do głowy! — przyznała Anigel. — Zaraz to zrobię. — Jednakże na jej twarzy malowało się powątpiewanie, a nie nadzieja, gdy zamknęła oczy i przycisnęła dłonie do tkwiącej w diademie bryły bursztynu z kopalnym trillium.

— Talizmanie — szepnęła. — Dostarcz mi zaginione Potrójne Płonące Oko.

Minęła krótka chwila, ale nic się nie wydarzyło. Potem jednak magiczny przyrząd przemówił do Anigel:

— Nie mogę tego zrobić, chyba że umieścisz mnie dokładnie nad miejscem, w którym znajduje się Potrójne Płonące Oko.

— Och! — krzyknęła królowa. — Słyszałaś to, Kadi?

— Tak. — Na twarzy Pani Czarodziejskich Oczu malowała się teraz stanowczość i determinacja. — Mogłabyś to zrobić, gdybyś stała się niewidzialna i w jakiś sposób zbliżyła się do pirackiej triremy. Wystarczy, że złamiesz przysięgę...

— Nawet o tym nie myśl! — skarciła ją Anigel. Choć ubrana była w strój prostego marynarza i miała umorusaną twarz, nadal wyglądała jak królowa. — Nie złamię mojej przysięgi ani nie pozwolę, żebyś ty złamała swoją.

— Nie bądź głupia, Ani! — Piwne oczy Kadiyi błyszczały wojowniczo. — Jeżeli nie odzyskamy talizmanu, zanim wpadnie w ręce Portolanusa, zaprzepaścimy wszelkie szanse ocalenia Antara i waszych dzieci. Naprawdę myślisz, że czarownik po prostu puści ich wolno, gdy złączy ze sobą mój talizman?

— Ja nie...

— A może mimo wszystko zamierzasz pokornie oddać mu swój talizman jako okup za męża i dzieci?

— Oczywiście, że nie! Musi jednak istnieć jakiś honorowy sposób uratowania ich wszystkich.

— Honor! Jesteś taka naiwna jak cielak volumniala! Jak możesz gadać o honorze, kiedy chodzi o życie twojej rodziny?! I o mój talizman?!

— Twój talizman! — Anigel zerwała się na równe nogi. — To o to naprawdę ci chodzi, prawda? Bez niego nie masz władzy. Lud Bagien i inni tubylcy już nie będą oddawali ci czci, słuchali cię i nazywali swoją Wielką Opiekunką, jeśli przestaniesz być Panią Czarodziejskich Oczu. I dobrze! Nie będziesz mogła więcej siać między nimi niezgody...

— Nie byłoby między nimi niezgody, gdyby człowieczy władcy tacy jak ty nie zamykali oczu na niesprawiedliwości wyrządzane Ludowi Gór, Bagien i Lasów! Ty i Antar uparcie ignorowaliście moje prośby o nadanie aborygenom pełnych praw obywatelskich.

— I mieliśmy ważne powody! — odpowiedziała rozwścieczona Anigel. — Nasza gospodarka zostałaby zniszczona, gdyby Odmieńcom pozwolono handlować z innymi narodami bez naszego pośrednictwa. Bardzo dobrze o tym wiesz, a przecież nie ustawałaś w popieraniu buntowniczych knoń i machinacji Wyvilów i Glismaków. Zachęcałaś też Nyssomu i Uisgu do wstrzymywania sprzedaży towarów, by mogli wymusić wyższe ceny.

— A dlaczego mieliby nie otrzymać wyższych cen? Pracują bardzo ciężko za żałośnie niską zapłatę. Nazywasz ich Odmieńcami! Ja zaś powiadam, że są istotami rozumnymi, wartymi tyle samo, co ludzie. Nie macie wrodzonego prawa do wykorzystywania ich!

— A kto im powiedział, że są wykorzystywani?! — zapytała królowa. — Kto napełnił niezadowolaniem ich proste serca? Ty! Ich tak zwana opiekunka! Och, nie chciałam wierzyć w to, co mówili o tobie Owanon, Ellinis i inni: że w głębi duszy bardzo żałujesz, iż wyrzekłaś się korony, że pozazdrościłaś mi władzy i dlatego posiałaś zamęt w umysłach tubylców, by zyskać na znaczeniu. Ale oni mieli rację!

— Cóż za potworny wymysł! — zawołała Kadiya. — To ty stałaś się arogancka i fałszywa! Zapomniałaś, że Lud Bagien i Lasów pomógł nam pokonać króla Voltrika i Orogastusa! Myślisz tylko o pomyślności swoich człowieczych poddanych i po prostu wykorzystujesz nieszczęsne tubylcze plemiona, które szukają u ciebie sprawiedliwości! Ulegasz swemu labornockiemu małżonkowi, którego wychowano w przekonaniu, że aborygeni są zwierzętami! On zatruł twój umysł...

— Jak śmiesz tak mówić o moim ukochanym Antarze?! Nie masz serca i nic nie wiesz o prawdziwej miłości! Zznałaś w życiu tylko pochlebstw żalosego tłumu tych twoich dzikusów. Oni są jak dzieci i ty także masz umysł dziecka! Rozpiera cię ten sam bezmyślny gniew, który popycha niegrzeczne dzieci do głupich psikusów. Dla ciebie najprostsze rozwiązanie problemu zawsze jest jedynym możliwym! Co ty wiesz o sztuce rządzenia i ochraniającego narodów przed niebezpieczeństwem?!

— Wiem, co jest słuszne, a co nie — odparła Kadiya spokojnym głosem, w którym nagle zabrzmiała groźna nuta — i znam różnicę pomiędzy prawdziwą przysięgą a przysięgą fałszywą, która została złożona pod przymusem. Rób, co chcesz, siostrze. Nie pomagaj mi, jeżeli sądzisz, że tego ci nie wolno. Jeśli jednak spróbujesz mnie powstrzymać przed odzyskaniem mojego talizmanu w sposób, który uznaję za słuszny, wtedy niech Władcy Powietrza zlitują się nad tobą, bo ja nie będę miała dla ciebie litości!

Odeszła wielkimi krokami, przywołując Jaguna i Lummomu-Ko. Nie zareagowała, choć Anigel głośno przeprosiła ją za gniewne słowa, wołając błagalnym tonem, by do niej wróciła.

Zbyt przygnębiona, żeby nawet płakać, Anigel potykając się weszła na dziób „Lyath” i usiadła wśród zwojów lin. Przez resztę dnia obserwowała z pomocą talizmanu króla Antara i swoje dzieci. Szpiegowała też Portolanusa, choć znów widziała go tylko jako zamazaną plamę. Z całkowitym brakiem zainteresowania patrzyła na czarownika i jego akolitów, którzy śpiewali, rzucali zaklęcia i odprawiali niezrozumiałe obrzędy w luksusowej kabinie. Nic nie wskazywało jednak, że próbują wydobyć z morza talizman Kadiyi.

Kadiya również nie podjęła takiej próby. Po naradzie ze swymi tubylczymi przyjaciółmi (Anigel nie raczyła ich podsłuchiwać) Pani Czarodziejskich Oczu odeszła do swojej kajuty i przespalała cały dzień.

Przed wieczorem, znudzona brakiem aktywności na pirackiej triemie i ukołysana do snu ciepłym słońcem i łagodnym kołysaniem statku, Anigel zaprzestała obserwacji. Jagun przyniósł jej orzeźwiający napój z owoców łądu i królowa zapadła w drzemkę. Obudziła się dopiero w nocy, a wtedy było już za późno, by zapobiec nieszczęściu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Na pokładzie dzieje się coś dziwnego! — zawołał książę Nikalon do swego rodzeństwa. Była noc i tylko sącząca się przez kotwiczne kluzy księżycowa poświata rozjaśniała mrok panujący w więzieniu królewskich dzieci. Niki do połowy wsunął się do jednej z kluz. — Słyszę śpiewy w języku, którego nie rozumiem — dodał po chwili.

— To na pewno czarnoksiężnik — powiedział Tolo z niestosownym w ich położeniu zachwytem — rzucający czary na tych, którzy nas ścigają. Jakże chciałbym zobaczyć go ciskającego pioruny albo wyczarowującego potwory!

— Głupi fujara! — krzyknęła do Tola księżniczka Janeel, a potem zwróciła się do starszego brata: — Widzisz coś na brzegu?

— Pojedyncze ognisko palące się między drzewami. Na wodzie nie ma żadnych łodzi. Dwa z Trzech Księżyców świecą jasno i piraci zobaczyliby nas, gdybyśmy teraz spróbowali ucieczki.

— Jeśli będziemy czekać, statek odpłynie! — powiedziała Jan. — Uciekajmy, póki możemy.

— To prawda, że trirema tym razem zarzuciła kotwicę znacznie bliżej brzegu — myślał głośno Niki. — Musielibyśmy przepłynąć tylko pół mili.

— Czy to daleko? — zapytał z lękiem Tolo.

— To tysiąc elli — odparła Jan. — Ale nie musiałbyś się bać, mały sprogu. Niki i ja będziemy cię holować, kiedy się zmęczysz.

— Nie chcę uciekać! — jęknął chłopczyk. — Nienawidzę pływania. Woda zawsze wlewa mi się do nosa.

— Na pewno nie chciałbyś, żeby piraci przywiązali cię do masztu i rzucali w ciebie nożami! — odrzekł obojętnie Niki.

Tolo wybuchnął płaczem i Jan pośpiesznie zaczęła go pocieszać, rzucając gniewne spojżenia na starszego brata.

— Coś ty narobił, Niki! No, no... maleńki, Niki tylko żartował. Nikt cię nie skrzywdzi.

— Nie chcę być tutaj — szlochał mały książę. — Dlaczego nikt nas nie ratuje?

— Jestem pewna, że mama próbuje... — zaczęła Jan, ale w tej samej chwili usłyszała jakieś odgłosy za drzwiami i syknęła do Nikalona: — Zsuń się, szybko! Ktoś idzie!

Następca tronu Laboruwendy ledwie zdołał ześlizgnąć się na znacznie niższy niż podczas podróży kłęb łańcuchów kotwicznych, kiedy odemknięto sztaby. W drzwiach pojawił się kwatermistrz Boblen z podniesioną wysoko latarnią, a stojący obok młody król Raktum trzymał drugą. Ledvardis przepchnął się do więzienia młodych Laboruwendian. Niósł duży, wypchany worek.

— Zamknij drzwi i zaczekaj na zewnątrz, Boblenie. Chcę na osobności porozmawiać z tymi nieszczęsnymi dziećmi.

— Posłuchaj mnie, Wasza Wysokość! Nie dość, że wykorzystujesz mój dobry charakter i zakradasz się tutaj...

— Zamilcz, człowieku! Naprawdę myślisz, że te dzieci mogłyby mi zrobić coś złego? Zaczekaj na zewnątrz, tak jak ci kazałem!

Boblen wyszedł utyskując. Kiedy drzwi się zamknęły, Ledvardis powiesił swoją latarnię na gwoździu, a potem szybko wyrzucił zawartość worka na podłogę. Było tam korkowe koło ratunkowe, nóż w pochwie, toporek, torba z płótna żaglowego, skórzany worek do połowy wypełniony czymś bryłowatym, bukłak na wodę i obwiązany szmatą mały garnek.

— Na Czarny Kwiat! — wykrzyknął cicho książę Nikalon. — Co znaczy?

— Dzisiejszej nocy musicie spróbować ucieczki — powiedział bez wstępów Ledvardis. — Czarownik spędził cały dzień pracując nad jakimś niezwykle potężnym czarem, który ma mu

posłużyć do wydobywania z tych wód zatopionego magicznego miecza. Wszyscy na statku będą się przyglądać, gdy wraz ze swymi pacholkami będzie śpiewał ostatnie zaklęcia za jakiegoś pół godziny, o wschodzie Trzeciego Księżyca. Właśnie wtedy musicie uciec. Kiedy miecz zostanie wydobyty, podniesiemy kotwicę i natychmiast skierujemy się do Raktum.

— Ja nie chcę uciekać! — Tolo znów się rozplakał. — Prawie! nie umiem pływać.

— Koło ratunkowe ci pomoże — zapewnił go król Ledvardis. — W razie potrzeby chwycicie się go wszyscy troje i kopiąc nogami pod wodą cicho dopłyniecie na brzeg. W tym ni przemakalnym worku jest jedzenie. Możecie też włożyć do worka ubrania, żeby były suche, kiedy znajdziecie się na wyspie. W torbie z płótna żaglowego jest linka do wędki, haczyki i komplet muszli zapalających. Mając to wszystko, będziecie mogli zdobyć pożywienie i schronić się do czasu, aż wyratują was wasi rodacy.

— Mama na pewno znalazłaby nas szybko z pomocą swego talizmanu — powiedziała żywo Jan.

— Czy nie ma sposobu, żeby ocalić naszego królewskiego ojca? — spytał Niki.

— To beznadziejna sprawa — odpowiedział Ledvardis. — Jest przykuty łańcuchami do wiosłarskiej ławki, otoczony niewolnikami i strażnicy nie spuszczają z niego oka. Musicie ratować się sami. Przypadkowo podsłuchałem spór mojej babki z Portolanusem. W jakiś sposób wymusiła na czarowniku obietnicę, że jeśli wydobędzie on zatopiony talizman, ona weźmie drugi od królowej Anigel jako okup za was i za waszego ojca.

— Mama nigdy nie odda swego talizmanu! — oświadczył śmiało Niki. — A ona i jej rycerze na pewno ścigają ten statek, są już blisko i niebawem uratują nas wszystkich.

— To możliwe — odparł król Raktum. — Wiem jednak, i to jest prawda, że Ganondri zamierza zmusić waszą matkę do oddania jej talizmanu. Portolanus bez powodzenia zamierzał to zrobić, poddając lekkim torturom króla Antara...

— Och! — zawołała z przerażeniem Jan.

— ...ale moja babka jest bardziej surowa — ciągnął Ledvardis. — Zamierza zdobyć drugi talizman... torturując ciebie, Nikalonie, i ciebie, Janeel, na oczach waszych rodziców.

— Mnie nie? — zapytał z ulgą Tolivar.

— Tolo! — zawołała oburzona Jan. — Powinieneś się wstydzić!

— Wystarczy, Jan — uciał następcę tronu Laboruwendy. — Nie mamy czasu na dziecinne szaleństwa. — Potem zwrócił się do Ledvardisa: — Jeśli zdołamy uciec, na zawsze pozostaniemy twymi dróźnikami, królu. Powiesz nam, dlaczego to robisz?

— Sam nie wiem — wyznał z nieszczęśliwą miną Ledvardis. — Czuję tylko, że powinienem to zrobić. Obawiam się, że waszego ojca nic nie uratuje, a ja w niczym nie mogę mu pomóc. Mogę jednak pomóc wam. — Zdjął latarnię z gwoźdźca. — Teraz wszakże muszę wracać, zanim zauważą moją nieobecność. Oczekują, że będę asystował przy rzucaniu czarów przez Portolanusa. Uciekajcie o wschodzie Trzeciego Księżyca. W tym słoiczku jest czarna pasta do butów. Posmarujcie nią odsłonięte części ciała, żeby bladeść was nie zdradziła, gdy odpłyniecie. A teraz żegnajcie.

Ledvardis wyslizgnął się z pomieszczenia, zamykając cicho drzwi. Chwilę później trójka więźniów usłyszała, że ponownie założono sztaby. Niki osunął się na kolana i zbadał zawartość nieprzemakalnego worka.

— Są tu okrętowe suchary, cukierki z orzechami i kielbasa. Powinno wystarczyć, jeśli będziemy mogli łowić ryby i znajdziemy jadalne owoce. Włożymy do tego worka nasze buty i płaszcze. Będzie unosił się na wodzie. Pociągniemy go za sobą za sznurki. Przywiążę nóż za pazuchę, a ty, Jan, przymocujesz toporek do pasa swojej sukni. Teraz pospieszmy się, trzeba się przygotować na czas.

— Ja nie pójdę! — Tolo cofnął się i oparł o wilgotną drewnianą ścianę.

— Pójdziesz! — powiedział zawzięcie Nikalon. — Jestem zarówno następcą tronu, jak i twoim bratem i rozkazuję ci iść!

— Mam w nosie ciebie i twoje głupie rozkazy! W wodzie są różne stwory. Niebezpieczne stwory! Rabalun mówi, że...

— Rabalun! — Niki i Jan jęknęli chórem. — On ma w głowie mnóstwo nieprawdopodobnych historii i tubylczych przesądów — prychnął Niki.

— Rabalun mówi, że w wodzie są wielkie ryby trzykrotnie droższe od człowieka — upierał się malec — z pyskami wielkimi jak otwarte drzwi. Mają trzy rzędy zębów drugich jak rzeźnicze noże. Są też wielkie bryły pływającej galarety, których ukłucie zabija. A tutaj na południu mieszka potwór Heldo i jego oczy są wielkie jak talerze i ramiona jak mocne liny, z pazurami na końcach. Owijają się wokół ciebie i ściskają, aż krew tryska z uszu i z ust...

— Nie, nie! Nie ma takich stworów! — Jan podeszła do Tola i wzięła go za rękę. — Większe niebezpieczeństwo grozi nam tutaj, na statku, ze strony pirackiej królowej i złego czarownika.

— Król-Goblin powiedział, że królowa Ganondri zamierza torturować tylko ciebie i Nikiego, a mnie nie — odparował Tolo. Na jego twarzyczce malował się upór i wyrachowanie.

— To złe słowa! — skarciła go siostra. — A teraz przestań się spierać i zdejmij buty.

— Nie! Nie pójdę! Morskie potwory mnie pożrą!

— Niech лихо porwie tego Rabaluna! — mruknął Niki. Otworzył słoik z pastą do butów i zaczął rozsmarowywać ją na twarzy. — Spójrz, Tolo. Czy nie wyglądam okropnie? Nie chciałbyś sam sobie poczernić twarzy? Wszyscy będziemy wyglądali tak przerażająco, że morskie stwory uciekną na sam nasz widok!

— Nie! — wrzasnął ośmiolatek. — Nie, nie, nie!

— Słuchajcie! — Janeel nasłuchując przechyliła głowę. — Czy nie śpiewają głośniejsze na pokładzie?

— Masz rację — przyznał Niki. Przechwycił jej spojrzenie. — Chodź, Jan. Przygotuj się. Jeśli ten uparty dzieciak nadal będzie udawał bałwana, po prostu będziemy musieli go tu zostawić.

— Dobrze — odparła udając, że się z nim zgadza.

Starsze dzieci zdjęły buty i włożyły do skórzanego worka. Jan podwinęła suknię, przeciągnęła ją między nogami i przywiązała do paska wraz z toporkiem. Oboje z Nikim uczernili sobie twarze, ręce i białe stopy. Na szczęście ich podarte i pobrudzone stroje, które nosili na zinozańskim koronacji, miały ciemne barwy. Później Niki wdrapał się po łańcuchu, wciągnął worek i koło ratunkowe i wsadził je do kluzy. Jan tymczasem próbowała przekonać Tola, który jednak uciekł za dwa zwoje łańcuchów.

— Trzeci Księżyc zaraz wzejdzie! — zawołał cicho Niki. Pośpieszcie się!

— Nie mogę go złapać! — powiedziała rozwścieczona Jan.

— Nie pójdę z wami! — zawołał Tolo. — Trzymajcie się ode mnie z daleka!

— Zejdę i zmuszę go do posłuszeństwa — postanowił Niki.

— Jeśli to zrobisz, będę kopał, wrzeszczał i gryzł, kiedy będziesz mnie niósł, a piraci was złapią i będą torturować!

— Zwariowany smarkacz! — Niki przestraszył się, ale starannie ukrył przerażenie przed rodzeństwem. Opór brata odbierał mu resztki odwagi. — Będziesz miał za swoje, jeśli zostawimy cię tutaj!

— Tak! Zostawcie mnie! Piraci mnie nie skrzywdzą. Król-Goblin tak powiedział. Wy dwoje uciekajcie. Nie martwcie się o mnie. Jestem tylko drugim księciem. Sam mówiłeś, że nie zażądamy za mnie dużego okupu.

— Nie możemy go opuścić! — jęknęła Jan.

— Raczej nie możemy go zabrać — odparł ponuro Niki. — Mamy więc zostać i poświęcić się dla niego? Ledvardis powiedział, że królowa-regentka go oszczędzi, choć tylko Niebios

wiedzą, dlaczego. Wyznam ci szczerze, Jan: od jakiegoś czasu myślałem, że żadne z nas nie opuści tego statku żywe, bez względu na to, czy mama odda swój talizman jako okup, czy też nie. Raktum odniosłoby wielką korzyść, gdyby zarówno tata, jak i prawowici następcy Dwu Tronów Laboruwendy zostali zabici.

— I... i myślisz, że naszym obowiązkiem jest spróbować ucieczki? — Księżniczka drżała teraz na całym ciele. W uczernionej twarzy jej szeroko otwarte oczy świeciły jak dwa krążki z białymi obwódkami.

— Tak — odparł Niki.

— Ja również! — pisnął Tolo. — Uciekajcie! Uciekajcie!

— Pocałuj mnie na pożegnanie, kochanie. — Jan wyciągnęła rękę do braciszka.

— Nie! — odrzekł Tolo. — Bo tylko byś mnie złapała! Łzy napłynęły do oczu księżniczki.

— Więc żegnaj — szepnęła i zaczęła się wspinać po łańcuchu. Tolo obserwował ich z bezpiecznej odległości, dopóki oboje nie wydostali się przez kluzę. Później z pewnym trudem sam wdrapał się na górę i wyjrzał na zewnątrz. Trzeci Księżyc właśnie wstawał nad horyzontem; z rufy dobiegał hałas: głośny śpiew, sykliwy dźwięk przypominający puszczenie fajerwerków i skrzyp kabestanu lub innej maszyny żeglarskiej. Chłopiec spojrzał w dół, tam gdzie opadał prawy łańcuch kotwiczny, i zobaczył dwie niewyraźne sylwetki zsuwające się coraz niżej i niżej po wielkich ogniach. Wreszcie obie dotarły do wody. Poświata Trzech Księżyców lśniła na drobnych falach, utrudniając dostrzeżenie głów Nikiego i Jan, którzy płynęli powoli w stronę wyspy i wkrótce zniknęli Tolowi z oczu.

— Świetnie — powiedział do siebie z zadowoleniem książę Tolivar. — Dobrze, że sobie poszli! Wiem, co o mnie myślą: że jestem tylko bachorem, utrapieniem i do niczego się nie nadaję. Ale pewnego dnia pokażę im, co jestem wart!

Ostrożnie zszedł na dół. Ułożył trzy posłania w jedno, grubsze i wygodniejsze. Jan pozostawiła mu trochę jedzenia, położył się więc i żując kielbasę przysłuchiwał się niesamowitej muzyce wibrującej w kadłubie statku.

— Myślałem, że zostanę piratem — rozmyślał głośno. — Ale zmieniłem zdanie. Piraci są bogaci i potężni, muszą jednak być cały czas na morzu, wyrzucają kolację podczas sztormu i staczają bitwy z innymi statkami. Kiedy dorosnę, chciałbym być kimś lepszym niż pirat. — Uśmiechnął się w ciemności. — Kiedy przyjdzie strażnik, powiem mu, żeby przekazał czarownikowi moją propozycję. Na pewno zechce mieć za ucznia prawdziwego księcia.

Trzymając się mocno koła ratunkowego, Jan i Niki bez przerwy machali nogami, mieli jednak wrażenie, że brzeg wyspy wcale się nie zbliża, choć piracka ttrirema pozostała w oddali. Po jakimś czasie, zupełnie wyczerpani, mogli tylko ścisnąć koło ratunkowe, przysłuchując się echem obrzędu odprawianego przez Portolanusa i jego pomocników. Zdawało się, że monotony śpiew trwa całą wieczność. Królewskie dzieci nie widziały, co się dzieje na pokładzie raktumiańskiego flagowca. Od czasu do czasu strzelały z niego czerwone lub niebieskie płomienie i gasy w wodzie.

— Odpoczęłaś już? — spytał siostrę Niki.

— Tak — odrzekła. — Płynmy dalej.

Znowu zaczęli płynąć, uważając jednak, by ich stopy nie wynurzały się z wody i nie pluskały. Z czasem rozbolały ich mięśnie ud, a palce ścierpły od czepiania się lin koła ratunkowego. Płynęli coraz wolniej. Do przodu... do przodu... do przodu. Słyszeli teraz własne ciężkie oddechy i bijące młotem zmęczone serca.

Już nawet nie patrzyli, dokąd płyną. Oparli policzki o szorstkie płótno pokrywające koło ratunkowe i tylko z największym trudem poruszali nogami. Jan mimowolnie rozluźniła uchwyt, zachłysnęła się wodą i zaczęła się dusić. Szamotała się z pluskiem, łapiąc powietrze. Kiedy przyszła do siebie, Niki pocieszył ją mówiąc, że są już zbyt daleko od pirackiego okrętu, żeby ich słyszano. Siostra jednak zaszlochała z wyczerpania.

— Nie mogę dłużej płynąć. Umrę, Niki. Płyn dalej beze mnie.

Młody książę ostrożnie wynurzył się z wody, chwycił mocniej koło ratunkowe i z całej siły uderzył siostrę w twarz.

— Ach, tu wstrętny qubarze! — krzyknęła.

— Ruszaj nogami! — zawołał do niej. — Ruszaj nogami, Jan! I mocno trzymaj się koła. Bo znowu cię uderzę!

Posłuchała go, nie przestając szlochać.

Nagle powierzchnia wody, którą dotąd marszczyły tylko niewielkie fale, gwałtownie się pofałdowała, to podnosząc, to opuszczając pływaków, aż wreszcie wielki bałwan wyniósł ich wysoko, i jeszcze wyżej... Jan zaczęła krzyczeć z przerażenia, a Niki zawołał:

— Trzymaj się koła! Tylko trzymaj!

Ogromna fala mknęła w stronę brzegu i królewskie dzieci znalazły się na jej szczycie. Z przodu dobiegał rytmiczny huk, zewsząd słyszeli przeciągły syk, który stawał się coraz głośniejszy. Fala wyrwała koło ze zdrętwiałych rąk księżniczki. Janeel chciała krzyknąć, lecz woda zalała jej usta i przewróciła ją w zielonkawym mroku. Dziewczynka zdołała jakoś wstrzymać oddech i zaczęła przebierać rękami i nogami, choć jeszcze przed chwilą nie mogła nimi poruszyć.

Do góry! Z powrotem na powierzchnię! Zamachnęła się silnie ramionami i z całej siły kopnęła nogami. Wynurzyła się z wody. Otaczały ją spienione fale. Usłyszała powolne, rytmiczne uderzenia fal o brzeg...

Dotknęła stopami dna.

Zalała ją olbrzymia fala, znowu wtłoczyła pod wodę, ale jednocześnie popchnęła do przodu. Janeel szurnęła kolanami o piasek. Z trudem podniosła głowę, odetchnęła głęboko i popęzła przed siebie. Morze było bardzo ciepłe i teraz tylko niewielkie fale pluskały wokół dziewczynki, dodając jej otuchy. Znalazła się na płyciźnie. Wreszcie wyczołgała się z wody i osunęła na piasek.

Minęło sporo czasu, zanim pomyślała o Nikim. Wyrzuty sumienia dodały jej sił. Uderzając jawnie twarz, brat uratował jej życie. Okazała się tchórzem, gotowa była się poddać, a on zmusił ją, by dalej żyła. Jan usiadła. Fale nadal omywały jej stopy. Omiotła spojrzeniem wybrzeże wyspy. Poświata Trzech Księżyców wprowadzała ją w błąd i kilkakrotnie wzięła ciemne skały lub kupki wodorostów za ciało swego brata. W końcu dostrzegła wyraźnie białe koło ratunkowe w odległości około dwunastu elli i podpełzła do niego. Niki leżał tuż obok. Oddychał, ale nie otworzył oczu, kiedy siostra potrząsnęła go za ramię. Skórzany worek nadal był przywiązany do koła ratunkowego. Jan po omacku wyjęła nóż zza pazuchy Nikiego, rozcięła worek i wyjęła zeń suchy płaszcz. Później położyła się obok brata, okryła siebie i jego płaszczem i pogрузzyła się we wszechobecną ciemność.

Obudził ją ból.

— Przestańcie bić moją siostrę!

To był głos Nikiego. Jan jęknęła, a potem krzyknęła głośniejsze, kiedy poczuła mocniejsze uderzenie w obolałe żebra. Niki krzyczał z wściekłością. Odpowiedział mu chrapliwy śmiech. Oszołomiona otworzyła oczy i zaraz je zamknęła, nie chcąc widzieć przerażającego obrazu.

To koszmar! Na pewno jej się to śni! Kiedy jednak uderzono ją po raz trzeci, zrozumiała, że to nie sen, lecz straszna jawa.

Blask pochodni oświetlał trzy wysokie istoty o świecących żółtych oczach i ohydnych pyskach, szczerzące odbarwione kły. Aborygeni. Przypominali nieco dzikich Glismaków, ale byli znacznie od tamtych brzydsi i wyglądali na jeszcze okrutniejszych. Dwóch nosiło nazywane perłami krótkie spódniczki i liczne naszyjniki z muszli. Trzymali grube, drewniane maczugi nabijane trójkątnymi zębami nieznanego zwierzęcia. Jeden z tej dwójki przyświecał pozostałym pochodnią. Trzeci tubylec, który był od nich znacznie wyższy i wspanialej przyozdobiony, miał u boku piękny miecz wykonany w człowieczym stylu i

wielką perłę na szyi. Skrzyżowawszy ramiona, stał patrząc na dwoje przemokniętych do suchej nitki ludzkich dzieci.

Wojownik, który obudził Jan kopniakami pazurzystych, pletwiastych nóg, wskazał na nią i na Nikiego, mówiąc coś z zadowoleniem w swoim języku. Później pokazał na morze, gdzie stała na kotwicy raktumiańska galera, oświetlona jak podczas wielkich uroczystości, ze strzelającymi w górę fajerwerkami. Najwyższy z tubylców spojrział ze złością na dzieci i zapytał o coś szczekliwie.

— Nie rozumiem cię — odpowiedział Niki, który zdążył już się uspokoić. — Czy mówisz w języku ludzi?

— Tak — wychrypiał tubylec. — Jestem Har-Chiss, Wielki Wódz Aliansów. Kim jesteście i co tu robicie? Zabroniliśmy ludziom przybywać na nasze wyspy. A mimo to dwa wasze statki odważyły się zarzucić kotwice tuż przy naszej świętej Wyspie Rady, a jeszcze inne zbliżają się powoli. Czy przybyliście na którymś z nich?

— Tak. — Niki otarł piasek z twarzy i starał się mówić tak, jak przystało na dziedzica Dwu Tronów. — Jestem Nikalon, następca tronu Laboruwendy, a to moja siostra, księżniczka Janeel. Uciekliśmy wrogom, którzy nas więzili.

— Czyj jest ten wielki statek? — pytał dalej Har-Chiss.

— Należy do raktumiańskich piratów. Jest ciężko uzbrojony i ma na pokładzie potężnego czarownika.

Wódz Aliansów powiedział coś nagłym tonem w swoim języku do pozostałych wojowników, a potem znów zwrócił się do Nikiego:

— A ten drugi, mniejszy statek, który stoi na kotwicy tuż za przylądkiem? Do kogo należy?

Jan poczuła mrowienie na skórze. Do kogo? Czyżby to była dawno oczekiwana odsiecz? Czy to mogła być ich matka?

— Nie wiem, czyj to statek — odrzekł Niki. — Może należeć do mojego ludu. Możliwe, że przybył, by uratować nas z rąk piratów. Jeżeli przybył z Laboruwendy, dostaniecie wysoką nagrodę, jeśli nas do niego zawieziecie.

Har-Chiss ryknął śmiechem i zwrócił się do swoich wojowników, a ci również się roześmieli. Później wódz Aliansów chwycił Nikalona za włosy i postawił na nogi. Przerazone królewskie dzieci zobaczyły w blasku Trzech Księżyców ociekające śliną zęby morskiego Odmieńca.

— Zawieźć was tam? Zuchwały z ciebie szczeniak! Zanim zaświta ranek, oba statki zostaną zatopione przez naszych wojowników, a ich załogi posłużą za obiad rybom. Tak postępują Aliansowie z zuchwałymi najeźdźcami! A co do was, to ugościmy was szczególnie.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Niki, nadal starając się mówić z godnością.

— Mamy pewien zwyczaj — odparł Har-Chiss. — Nieproszeni goście, którzy ośmielili się postawić nogę na naszych wyspach, muszą przyłączyć się do bębnow.

— Do... do bębnow? — wyjąkała Jan.

Wódz tak nagle puścił Nikiego, że książę omal nie upadł na siostrę. Później Har-Chiss wydał jakiś rozkaz i dwaj wojownicy zaczęli wiązać dzieci sznurami z jakiegoś włosia.

— Co miałeś na myśli mówiąc o... o przyłączeniu się do bębnow? — zawołał Niki. — Co chcecie z nami zrobić?

— Obedrzeć was ze skóry — odpowiedział Wielki Wódz Aliansów. — Będą z was raczej małe bębny, ale może ich dźwięk okaże się interesujący.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Królowa Anigel zbudziła się późnym wieczorem ze strasznym bólem głowy. Trzy Księżycy stały wysoko na niebie, a na „Lyath” panował wielki spokój. Anigel zeszła pod pokład, żeby coś zjeść i poszukać siostry. Nie znalazła jej jednak w maleńkim saloniku, nikt też nie odpowiedział na wołanie królowej.

Czując ucisk w dołku, Anigel poszła na dziób, żeby wypytać Jaguna. Jej najgorsze przecucia się potwierdziły, gdy Nyssomu niechętnie przyznał, że Kadiya przed godziną opuściła statek w towarzystwie Lummomu–Ko i dwóch innych Wyvilów, Mok–La i Huri–Kami. Królowa jak szalona wybiegła na pokład, żądając rozpaczliwie od talizmanu:

— Pokaż mi Kadi!

Zobaczyła potrójną księżycową poświatę srebrzącą spokojną powierzchnię morza. Unosiła się na niej tratwa ratunkowa z „Lyath”, zwykła bambusowa platforma pokryta stosami wodorostów, których plechy ciągnęły się za nią w wodzie, co sprawiło, że przypominała pływającą wyspę. Anigel najpierw uznała, że na tratwie nie ma żywej duszy. Potem jednak dostrzegła w gęstwinie wodorostów trzy pary żółtych, błyszczących oczu. Tratwa istotnie była pusta, bo Wyvilowie zsunęli się do wody i z trudem można było tylko dostrzec czubki ich głów, ukryte wśród wlokących się w wodzie roślin. Pomimo ciszy morskiej, tratwa płynęła szybko. Popychali ją wyvilscy wojownicy, a byli znakomitymi pływakami. Anigel nie zobaczyła Kadiyi, była jednak pewna, że siostra jest między nimi.

— Co ona zamierza tym osiągnąć?! — wykrzyknęła rozwścieczona królowa Laboruwendy.

— Wielka królowo, Jasnowidząca Pani ma nadzieję zatopić piracki okręt i uwięzić Portolanusa na nieprzyjacielskim terytorium, by zyskać czas na wydobycie swego talizmanu — wyjaśnił Jagun.

Głos myśliwego rozproszył uwagę Anigel i obraz zniknął.

— Na Władców Powietrza! Czy Kadi nie rozumie, że czarnoksiężnik korzysta z ochrony tych swoich przeklętych magicznych maszyn?! Ona i jej towarzysze zostaną odkryci, a wtedy zginą!

— Jasnowidząca Pani i jej wojownicy zamierzają zbliżyć się do raktumiańskiej triremy pod osłoną tratwy, a dalej popłynąć pod wodą. Prosiłem, żeby tego nie robiła, ale ona pozostała nieugięta.

— Gdybym tylko obudziła się w porę!

Jagun zwiesił głowę.

— Wielka królowo, z bólem wyznaję, że w napoju, który dałem ci dziś po południu, było kilka kropel ekstraktu z tylo, który spowodował na ciebie krótki, głęboki sen. Zrobiłem to na rozkaz mojej pani. Posłuchałem jej, bo wiedziałem, że to ci nie zaszkodzi.

— Być może wydałeś na Kadię wyrok śmierci — odrzekła surowo Anigel.

— Tak — powiedział Jagun łamiącym się głosem. — Kazała mi to zrobić, jeśli ją kocham. Powiedziała, że jest to jedyna szansa na odzyskanie talizmanu. A bez niego wołałaby nie żyć...

— A to idiotka! — zawołała królowa. — Jeśli zatopi piracki okręt, to co stanie się z Antarem i naszymi dziećmi, którzy są tam uwięzieni?! W zamieszaniu piraci mogą o nich zapomnieć!

— Obawiam się, że Jasnowidząca Pani nie pomyślała o tym... — Zrozpaczony Jagun wybałuszył oczy.

— Oczywiście, że nie! — stwierdziła ponuro Anigel. — Nie pomyślałaby o nich. Dla niej liczy się tylko ten jej talizman. — Królowa zastanawiała się chwilę, a potem dodała: — Jagunie, porozum się z towarzyszami mojej siostry i każ im przypomnieć Kadiyi o

niebezpieczeństwie grożącym moim bliskim. Powiedz też, że jeśli nie porzuci swego szalonego planu, będę zmuszona uprzedzić Portolanusa o jej przybyciu.

— Nie zrobiłabyś tego, wielka królowo!

— Nie wiem, czy zrobiłabym, czy nie! Módlmy się, żeby już sama ta groźba przywróciła rozsądek tej głupiej dziewczynie! A teraz porozum się z nią jak najprędzej. Ja zaś zobaczę, co się dzieje na raktumiańskim statku.

Anigel poprosiła talizman, by ukazał jej komorę na dziobie, w której były uwięzione jej dzieci. Obraz był bardzo ciemny. Zobaczyła uczeplonego łańcucha Tolivara, wyglądającego przez szeroko otwartą kluzę kotwiczną. Na podłodze dostrzegła zamazane kontury posłania. Pomyślała więc, że Niki i Jan zasnęli. Przywołała później obraz Antara. Król siedział w oświetlonym migotliwym blaskiem jedynej świecy ciasnym pomieszczeniu pod pokładem, rozmawiając uprzejmie z grupą galerników. Wyraził przypuszczenie, że będzie musiał wiosłować razem z nimi w powrotnej drodze do Raktum. Przykuto go za kostkę do ławki. Zdarto zeń królewski strój i od innych niewolników różnił się tylko tym, że ciało miał czyste i jeszcze nie pokryte bliznami od bicia nadzorcy.

Zadowolona, że jej rodzina jest bezpieczna, Anigel zapragnęła ujrzeć Portolanusa.

Czarownik znajdował się na rufie, w tylnej części wysokiego pokładu zwanego królewskim. Anigel widziała go dobrze. Albo Portolanus nie zważał na to, że jest obserwowany, albo czary, które właśnie rzucał, absorbowały całą jego magiczną energię. Nie osłaniał się więc przed jasnowidzącym wzrokiem królowej Laboruwendy. Jego oczy znów się rozjarzyły. Śpiewał w jakimś dziwnym języku. Trzech pogrążonych w transie akolitów klęczało obok siebie jak kukły odziane w żółte, purpurowe i czarne szaty. U stóp czarownika, na poduszce z platynogłowiu, leżała magiczna skrzynia z gwiazdą na wieku.

Dwaj śmiertelnie przerażeni marynarze stali obok żurawia bombowego, który wyglądał groteskowo na pozłacanej i bogato ozdobionej królewskiej części pokładu. Z wysuniętej poza rufę belki żurawia zwisała lina z hakiem. Na haku, zaledwie dwa elle nad powierzchnią morza, wisiał jeszcze bardziej prozaiczny przedmiot: szeroka łopata. Większość załogi i oficerów, podobnie jak królowa Ganondri, król Ledvardis i tłum dworzan zgromadzonych na głównym pokładzie, obserwowali działania Portolanusa.

Jagun nieśmiało poklepał Anigel po ramieniu. Królowa ocknęła się i zapytała:

— Czy moja siostra wyrzeka się swoich planów?

— Wielka królowo, Jasnowidzącą Panią ogarnęły wyrzuty sumienia, kiedy przypomniałem jej o wielkim niebezpieczeństwie grożącym królowi Antarowi i waszym dzieciom. Przysięga teraz na Czarny Kwiat, że nie zrobi nic, co mogłoby im zagrozić. Zrezygnowała z zatopienia pirackiego okrętu.

— Dzięki Bogu! Więc wraca?

Myśliwy Nyssomu zawahał się, a potem pokręcił głową.

— Mówi, że będzie obserwowana Portolanusa, a jeśli znajdzie jakiś sposób niedopuszczenia go do talizmanu bez narażania życia królewskiej rodziny, posłuży się tym sposobem. Poleciłem Wyvilom zaprotestować w twoim imieniu, lecz nie chciała ich słuchać.

Anigel zagryzła wargi. To będzie musiało wystarczyć — ale niech będzie przeklęty upór Kadiyi!

Jagun wzdrygnął się, widząc gniew w jej oczach. Zlitowała się nad małym Odmieńcem, rozdartym pomiędzy lojalnością wobec swojej pani a poczuciem, że jej wszystkie działania nie dość, iż na nic się nie zdadzą, to mogą jeszcze ściągnąć nieszczęście. To nie jego wina, że Kadiya jest egoistyczna i porywcza.

— Jagunie, czy chciałbyś dzielić ze mną wizję pirackiej triremy?

— O, tak, wielka królowo!

— Więc weź mnie za rękę i będziemy razem patrzyli na to, co się stanie.

Zakotwiczona na głębokiej wodzie trirema odcinała się na tle nocnego nieba jak pływający zamek przygotowany do wspaniałego balu. Liczne iluminatory jarzyły się światłem, wielopoziomowe pokłady oblewał blask latarni, nawet takielunek był obwieszony lampionami. Pozłacane i jaskrawo pomalowane drewniane ozdoby lśniły wspaniale w ich blasku. Ukryci w wodzie obserwatorzy doskonale widzieli zgromadzonych na pokładzie krzykliwie ubranych Raktumian.

— Światła oślepiają — szepnął do Kadiyi Lummomu–Ko — i nikt nas nie zobaczy, jeśli ostrożnie podpłyniemy do statku.

Trzech wielkich Wyvilów i człowiecza niewiasta zaczęli popychać przed sobą zamaskowaną tratwę. Zbliżali się do triremy od strony dziobu, a załoga i pasażerowie całą uwagę skupili na rufie. Śpiew Portolanusa osiągnął najwyższy ton. Czarownik wykrzykiwał wciąż to samo słowo. Głos miał już tak zachrypnięty i zmęczony, że ukrywający się nie rozumieli, co mówi.

— Dzieci są uwięzione na dziobie, w komorze kotwicznej — powiedziała cicho Kadiya. — W tym hałasie łatwo moglibyśmy wspiąć się po łańcuchu i uratować je. Trudniej będzie z królem Antarem. Jeżeli piraci gdzieś go nie przeniesli, nadal znajduje się wśród galerników na dolnym pokładzie. Nie wiem jednak, jak do niego dotrzeć. Otwory na wiosła są na to za małe.

— W burcie muszą być specjalne drzwi do załadowywania prowiantu i wyrzucania odpadków — odrzekł Lummomu–Ko. — Na pewno nie noszą tego przez całą długość statku.

— Każde drzwi burtowe będą szczelnie zamknięte i na pewno znajdują się zbyt wysoko, żebyśmy mogli do nich się dostać — zauważył Mok–La. Ten wyvilski olbrzym niemal dorównywał siłą swemu wodzowi. — Moglibyśmy dotrzeć do pomieszczeń galerników przez kluzy i komory kotwiczne.

— Przydadzą się nam topory bojowe, o ile zachowamy ostrożność — dodał Huri–Kami, trzeci Wyvilo, słyszący z pomysłowości i znajomości mechaniki. To właśnie z nim naradzała się Kadiya nad sposobem zatopienia pirackiego okrętu. Huri–Kami wymyślił dobry plan, którego jednak musieli się wyrzec po interwencji Jaguna.

— Większość marynarzy będzie się na pokładzie przyglądać, jak czarownik wydobywa z wody zatopiony talizman — powiedział Mok–La. — Jeśli dopisze nam szczęście, bez wielkiego hałasu zdołamy wdrzeć się do pomieszczenia, w którym uwięziony jest król Antar, pokonać strażników i uwolnić go.

— To może się udać — osądził Lummomu–Ko. — Spróbujemy ich uratować, Pani Czarodziejskich Oczu?

— Nie mogę sobie wybaczyć, że wyruszając na tę wyprawę, nie pomyślałam o niebezpieczeństwie grożącym rodzinie Anigel. Mogę odpokutować za moją bezmyślność tylko w jeden sposób: próbując ich uwolnić. Jeżeli mi się to uda z waszą pomocą, przyjaciele, ucieszę serce mojej siostry i uratuję jej talizman przed złym czarnoksiężnikiem. Jeśli nam się nie powiedzie... No cóż, może zginiemy, ale sytuacja Anigel i jej bliskich pozostanie taka sama.

— Jesteśmy na twoje usługi, pani, nawet jeśli miałabyś nasi poprowadzić w zaświaty — oświadczył wódz Wyvilów. Pozostali wojownicy mruknęli na znak zgody.

— Dobrze wiec — powiedziała Kadiya. — Zrobimy tak: rozbierzemy tratwę na części. Liny przydadzą się tym, którzy będą uciekali z królem Antarem. Stąd dopłyniemy bez trudu do brzegu. Kiedy wdrapiemy się po łańcuchu kotwicznym, Lummomu i Huri wezmą Uny i spróbują uwolnić męża mojej siostry. Miejmy nadzieję, że zdołacie opuścić statek zsuwając się po linie z burty. Ja tymczasem zniosę Tola po jednym łańcuchu, a Mok sprowadzi Niklego i Jan po drugim. Popłyniemy z dziećmi jak najszybciej na brzeg Wyspy Rady. Jeśli Lummomu i Huri zdołają uwolnić Antara, popłyną na wyspę razem z nim. Jeżeli jednak go nie odnajdą lub wpadną w ręce wrogów, ci, którzy dotrą do wyspy, będą się ukrywali aż do

świtu, a potem spróbują przedrzeć się przez las do miejsca, gdzie „Lyath” stoi na kotwicy. Zwrócimy na siebie uwagę Anigel i przy odrobinie szczęścia odpłyniemy, zanim raktumiańska trirema ruszy w pogoń. Zgoda?

Wyvilowie odchrząknęli w odpowiedzi.

Podpłynęli więc ostrożnie tratwą pod dziób gigantycznego okrętu, gdzie nikt nie mógł dojrzeć jej z góry. Związali w jedną wszystkie liny, podkradli się do łańcuchów kotwicznych i zaczęli się po nich wspinać.

Z pokładu w górze dobiegł ich głośny krzyk. Kadiya i Wyvilowie złękli się, że ich dostrzeżono, ale po chwili usłyszeli wielki plusk w tyle statku i jeszcze donośniejsze krzyki i wrzaski. Zrozumieli, że jest to reakcja widzów na czary Portolanusa. Porzucili więc ostrożność i szybko wspięli się po wielkich ogniach. Po kilku minutach Kadiya dotarła do kluzy i znalazła się twarzą w twarz z małym księciem Tolivarem.

— Ciocia Kadiya! — pisnął malec. Lecz na jego twarzy malowała się konsternacja, a nie radość.

— Przybyliśmy wam na ratunek — odparła cicho. — Najlepiej będzie, jeśli zejdziesz na dół i zaczekasz z Nikim i Jan. Pośpiesz się!

— Ale ja nie chcę iść...

— Nie bądź śmieszny! — warknęła Kadiya. — No, szybko! — Nie mamy czasu do stracenia. Moi wyvilscy przyjaciele muszą znaleźć twego ojca i uratować go, zanim odkryje nas czarnoksiężnik.

Z wyrazem panicznego strachu na buzi Tolo zniknął z kluzy. Kadiya bez trudu wdrapała się do środka. Mok-La ruszył za nią, przeklinając pod nosem ciasny otwór, w którym z trudem mieściło się jego potężne ciało. Lummomu-Ko i Huri przeszli przez drugą kluzę i zsunęli się po łańcuchu.

— Na Święte Księżyce! — zagrzmiął w dole głos wodza Wyvilów. — Gdzie się podziało tamtych dwoje?!

Kadiya zeskoczyła na podłogę, a potem błyskawicznie złapała Tola, który usiłował się schować za wielkim zwojem łańcucha.

— Gdzie jest twoje rodzeństwo? — zapytała gwałtownie.

— O...oni uciekli i popłynęli na brzeg. — Przerażony malec wybuchnął płaczem. — Ja nie poszedłem... bo chciałem zostać uczniem czarownika i przestać być nędznym drugim księciem.

Kadiya zaniemówiła na chwilę. Potem zwróciła się do Wyvilów:

— Ruszajcie na poszukiwanie króla Antara! Ja zajmę się tym głupiutkim, tchórzliwym vartem. Oby Władcy Powietrza czuwali nad wami. — A do Tolivara powiedziała: — Dość tych bzdur! Wdrapuj mi się na plecy i trzymaj się mocno. Popłyniemy na brzeg.

— Nie chcę! — krzyknął ze szlochem mały książę.

Huri-Kami zdążył już rozwalić drzwi toporem bojowym, tradycyjną bronią Wyvilów. Pomieszczenie za drzwiami było ciemne i puste. Dwaj inni Wyvilowie, których wielkie oczy świeciły w mroku, wyciągnęli broń z pochew noszonych na plecach i wymknęli się w milczeniu.

Kadiya zdjęła z szyi mokrą żeglarską chustę i potrząsnęła nią przed nosem Tola.

— Jeśli będzie trzeba, wepchnę ci ją do ust i paskiem przywiążę cię sobie do pleców. Najpierw jednak tak spiorę twój królewski tyłek, że przez miesiąc będziesz jadł na stojąco! A teraz... pójdziesz spokojnie, czy nie?

— Tak — odparł smutnie Tolo, ocierając łzy brudnymi piąstkami. Potem jednak złośliwy uśmiešek wykrzywił jego usta. — Ale to będzie twoja wina, jeśli morscy Odmieńcy złapią nas jak złapali Nikiego i Jan.

— Co takiego?! Kto?!

— Morscy Odmieńcy. Widziałem ich pochodnie na plaży.

Kadiya zrozumiała, w jaki sposób Portolanus zamierzał wydobyć jej talizman z głębin morza, dopiero wtedy, gdy z księciem Tolivarem oddaliła się znacznie od statku. Zauważyła wówczas, że woda wokół burt jest zmacona, a fale pienia się i załamują. Czarownik, nachylony przez balustradę, wymachiwał pięścią i wrzeszczał. Jego oczy świeciły niczym białe latarnie, a zawieszona na haku łopata kołysała się gwałtownie. Zgromadzeni na głównym pokładzie widzowie uciekli z krzykiem na dziób statku.

Na oczach zdumionej księżniczki i jej siostrzeńca wielka trirema zaczęła się kołysać na boki i dygotać. Portolanus wpadł we wściekłość. Wyciągnął spod szaty jakiś mały przedmiot i rzucił go w powietrze. Wielkiemu wybuchowi towarzyszył oślepiający błysk. Morze natychmiast się uspokoiło, a statek znieruchomiał. Przerażeni ludzie na pokładzie zaniemówili na chwilę, tak że Kadiya usłyszała w końcu wrzask czarownika.

— Heldo! Bądź przeklęty, Heldo, masz zaraz wypłynąć! Przestań się buntować! Rzuciłem na ciebie czar i musisz mnie słuchać. Nie uwolnię cię, aż zrobisz to, co ci każę! Heldo, władco morskich głębin, masz mi służyć!

Jakieś dwanaście elli od rufy ciemne morze jakby się wybrzuszyło. Kadiya i Tolo zobaczyli, jak z wody wynurza się ogromna bryła, połyskująca w poświacie Trzech Księżyców. Unosiła się coraz wyżej, przybierając smukły, wydłużony kształt, zaokrąglony z wierzchu, aż wreszcie wzniosła się wysoko nad pokładem rufowym, była bowiem wielka jak pół bezanmasztu i szeroka na ponad siedem elli. Kadiya pomyślała najpierw, że pewnie to jest wybuch jakiegoś podmorskiego wulkanu, potem jednak zobaczyła parę świecących szkarłatnym blaskiem ślepi.

— To ten morski potwór — odezwał się z przekąsem, lecz i z satysfakcją Tolo. — Wygląda dokładnie tak, jak opowiadał Rabalun. Teraz pożre wszystkich na pirackim statku, a potem zje nas.

— Milcz, gówniarzu! — odgryzła się Kadiya. — Czarnoksiężnik przywołał tego stwora, żeby ukraść mój talizman! Władcy Powietrza, nie pozwólcie mu na to!

— Wielki Heldo! — zaintonował Portolanus. — Weź to narzędzie — wskazał na zwisającą z żurawia łopatę — i wykonaj rozkaz!

Stwór zwany Heldem odchylił się do tyłu. Z wody wynurzyły się cztery wijące się olbrzymie macki. Na ich końcach błyszczały wielkie pazury, a spodnią część porastały dziwaczne frędzle, ociekające iskrzącymi się kroplami wody. Heldo wydał niesamowity, triumfalny okrzyk. Kadiya nigdy w życiu nie słyszała nic podobnego — przypominało to zew gigantycznej trąbki. Straszliwy dźwięk sparaliżował księżniczkę i zapomniała o poruszaniu kończynami. Ocknęła się, kiedy Tolo zawołał, że toną.

— Weź to narzędzie! — rozkazał ponownie czarownik. Wreszcie jedna z macek bardzo delikatnie zdjęła szeroką łopatę z haka. Druga macka zwisała tuż nad Portolanusem, a trzecia zagroziła obsługującym żuraw piratom, którzy na jej widok wrzasnęli ze strachu i uciekli po schodach na pokład główny. Czarownik i jego pomocnicy zostali sami z morskim potworem.

— Wykonaj mój rozkaz, Heldo! Zostaniesz uwolniony od czaru, gdy wykonasz coś dla mnie. Bezpośrednio pod tym statkiem znajduje się magiczny przyrząd, który wygląda jak ciemny, pozbawiony czubka miecz z rękojeścią o trzech gałkach. W głębinie świeci zielonym blaskiem. Znajdź go narzędziem, które ci dostarczyłem, i wynieś ostrożnie na powierzchnię. Nie dotykaj tego magicznego miecza, gdyż cię zabije! Rozumiesz?

Heldo zatępił.

Portolanus ukląkł i otworzył skrzynię z gwiazdą na wieku.

— Potem włóż miecz do tej skrzyni. Uwolnię cię, gdy to zrobisz. A teraz szukaj!

Potwór zniknął z głośnym pluskiem. Trirema zakołysała się na falach.

— O, Boże, błagam, nie dopuść do tego! — jęknęła Kadiya. — Haramis! Anigel! Usłyszcie mnie, pomóżcie! Błagajcie Trójjedynego, by zwrócił mi Potrójne Płonące Oko! Niech tylko nie wpadnie w ręce tego łotra...

Morze znów się rozwarło i lśniąca piana rozprysła się na wszystkie strony, kiedy Heldo wyrwał się na powierzchnię. Wyciągnięta do góry macka potwora majaczyła na tle nieba. Na jej końcu, balansując na szerokiej łopacie, jakiś podłużny przedmiot świecił szmaragdowym światłem. Macka nachyliła się w stronę raktumiańskiego okrętu.

— Nie, nie! Wróc do mnie, talizmanie! Należysz do mnie! — zapłakała Kadiya.

Gwiazdzistooki czarodziej czekał. Wielka cisza nappełniła noc, gdy wzburzone przez potwora morze uspokoiło się już, a bolesny krzyk Kadiyi ucichł w oddali. Świecący talizman jakby oddzielił się od macki i spadał powoli niczym piórko.

— Wróc do mnie — szepnęła Kadiya zalewając się łzami. Podniosła błagalnie dłoni.

Na rufie pirackiej triremy rozbłysła złocista iskra. Portolanus zaklął z zaskoczenia. Zaraz potem Potrójne Płonące Oko ze szczękiem wpadło do skrzyni Zaginionych. Czarownik wydał okrzyk triumfu.

Kadiya trzymała w dłoni świecącą bryłkę bursztynu. Usłyszała w myśli znajomy głos, który brzmiał jak zatarte wspomnienie z odległej przeszłości:

— Lata przychodzą i szybko przemijają. To, co wyniosłe, może upaść. Możemy stracić to, co kochamy. To, co jest ukryte, z czasem musi wyjść na jaw. A przecież powiadam ci, że wszystko dobrze się skończy. Teraz jednak musisz uciekać, Płatku Żywego Trillium, i dotrzeć do lądu, zanim czarnoksiężnik zrozumie, co się stało, i poszuka zemsty. Śpiesz się! Płyń, gdyż idzie o twoje życie, i błagaj swój amulet o pomoc!

Jej amulet... Nosiła go całe życie, dopóki nie odleciał, by utkwic w talizmanie. A teraz do niej powrócił. Lecz jego moc była bardzo słaba w porównaniu z mocą Potrójnego Płonącego Oka...

— Płyń!

Rozkaz, który zabrzmiał w umyśle Kadiyi, przywołał ją do rzeczywistości, przypomniał o groźnym niebezpieczeństwie. Ściskając w dłoni amulet, księżniczka skierowała się w stronę wyspy.

— Trzymaj się mocno, Tolo! — zawołała.

Z tyłu, poza triremą, pojawił się jakiś wysoki kształt. Kadiya najpierw pomyślała, że to Heldo, potem jednak zdała sobie sprawę, że morski potwór wrócił w głąbiny, a to tutaj było znacznie wyższe, cieńsze i kołysało się na tle nieba jak gigantyczny wąż. Napłynęły szybko chmury, zasłaniając Trzy Księżyce i gwiazdy. Ciemnoszkarlatna błyskawica, której towarzyszył grzmot, rozdarła powietrze. Portolanus znowu przywoływał burzę, zapewne po to, by odegnąć Helda. Piracki okręt kołysał się jak zabawka na rozhukanych falach. Kadiya poczuła silny podmuch wiatru. Tolo wybuchnął płaczem. Rozległo się brzęczenie, które stawało się coraz głośniejsze. Księżniczka w końcu zrozumiała, że czarownik stworzył trąbę wodną, która przez przypadek kierowała się ku niej.

— Ratuj mnie, Czarne Trillium! — zawołała zaciskając powieki. Ścisnęła w jednej dłoni przeguby Tola, a w drugiej amulet. Wtem jakaś siła pochwyciła oboje i cisnęła w górę. Koziołkowali, wirowali jak liście na wietrze, aż wreszcie znieruchomieli. Wszystko stało się tak nagle, że nie zdążyli oprzytomnieć z zaskoczenia. Tolo puścił „szyję Kadiyi i z cichym pojękiwaniem zsunął się z jej pleców. Siedzieli na mokrym piasku w ulewnym deszczu.

Na Wyspie Rady.

Deszcz lał jak z cebra. Mieli wrażenie, że rozwarły się wrota niebios. Po prawdziwym wodnym tornado z nieba spadło nawet kilka ryb. Na morzu widać było tylko olbrzymie fale, które wyskakiwały ku chmurom i rozbijały się na brzegu. Nieustające błyskawice i grzmoty oslepiały i ogłuszały. Kadiya zachowała dość przytomności umysłu, żeby mocno trzymać trzęsącego się ze strachu malca. Tulili się do siebie, w swoich objęciach daremnie szukając osłony przed tym potopem.

Niska, krępa postać wybiegła ku nim z rozkołysanego wichurą zagajnika. Kadiya najpierw pomyślała, że Czarny Kwiat w cudowny sposób przysłał jej na pomoc laguna. Kiedy jednak

mężczyzna podbiegł bliżej, okazało się, że należy do nieznannej rasy Odmieńców. Miał bardziej człowiecze rysy niż myśliwy Nyssomu i silniejsze ciało. Odziany był w gruby strój mieszkańca Północy.

— Chodźcie ze mną szybko! — zawołał mały Odmieniec, przekrzykując ryk burzy. — W pobliżu kryją się okrutni tubylcy, którzy na pewno was schwytyją, jeśli zostanieie na otwartej przestrzeni.

Kadiya wstała z trudem, walcząc ze zmęczeniem, które przyćmiewało jej umysł. Nieznajomy chwycił Tola na ręce i pobiegł do gaju. Po kilku chwilach wszyscy, ukryci już w gęstym poszyciu, dysząc ciężko upadli pod wielkimi liśćmi.

— Innym człowieczym dzieciom, znajdującym się w pobliżu, grozi prawdziwe niebezpieczeństwo — powiedział Odmieniec, gdy złapał oddech. — Widziałem ich niedawno przywiązanych do pali, czekają na jakieś straszne tortury. Ponieważ byłem sam, a wypiarzy wielu, nie wiedziałem, jak ocalić te biedactwa. Ukryłem się tutaj. Teraz jednak, kiedy jest nas więcej, może razem coś wymyślimy.

— To Niki i Jan! — zawołała Kadiya. — W rękach Aliansów! Litościwy Boże, co mamy robić? — Siedziała jakiś czas bez ruchu, zbierając siły. Wreszcie powiedziała: — Przyjacielu, ci mali jeńcy to dzieci mojej siostry, królowej Laboruwendy. Błogosławię cię za to, że zaoferowałeś nam pomoc w uratowaniu ich. Ale jak się tu znalazłeś? Po twoim stroju widzę, że nie pochodzisz z Bezwietrznych Wysp.

Nieczłowiecze oczy maleńkiego Odmieńca świeciły słabym blaskiem, a amulet Kadiyi rozlewał delikatną złocistą poświatę. Księżę Tolivar milczał. Oparł głowę o pierś ciotki i patrzył na wybawcę szeroko otwartymi oczami.

— Więc to są Bezwietrzne Wyspy? — Odmieniec pokręcił ze zdziwieniem głową. — A gdzie one leżą?

— Daleko na Morzu Południowym, poniżej Zinory.

— Ach, tak! Niewiele mi to jednak mówi, ponieważ nigdy nie słyszałem ani o tym morzu, ani o Zmorze. Magiczny wiadukt przeniósł mnie tutaj w mgnieniu oka. Dziwny głos powiedział, że udam się tam, gdzie będę potrzebny — oto jak się tu znalazłem!

— Kim jesteś i z jakiego plemienia Ludu Gór, Bagien i Lasów pochodzisz?

— Nazywam się Sziki. Byłem kiedyś zwyczajnym górskim przewodnikiem z plemienia Doroków, które mieszka w Tuzamenie. Ostatnio jednak wstąpiłem na służbę do Arcymagini Haramis.

— To moja siostra! Jestem Kadiya, nazywana przez niektórych Panią Czarodziejskich Oczu. Arcymagini naprawdę posłała cię tam, gdzie byłeś potrzebny!

Księżniczka spojrzała na siostrzeńca, którego drobne ciało drżało z przerażenia i z zimna. Sziki bez słowa zdjął swój gruby, obramowany futrem kaftan i otulił nim chłopca. Deszcz nadal padał, lecz gęste liście dość dobrze chroniły przed nim zbiegów.

— Tolo, czy zostaniesz tutaj i będziesz się grzecznie zachowywał, kiedy my pójdziemy na ratunek twojemu rodzeństwu? — zapytała surowo Kadiya. — Dość wygłupów, bo inaczej narazisz nas na niebezpieczeństwo. Zrozumiano?!

— Tak, ciociu — szepnął potulnie chłopczyk.

— To dobrze. — Kadiya czuła, że wracają jej siły. Nie mieli czasu do stracenia. Zerwała kawałek liany, usunęła liście, nanizła nań swój amulet i zawiesiła na szyi. Potem wyciągnęła sztylet i naostrzyła go o pochwę, przewiązała włosy mokrą chustką. — Teraz jestem gotowa — powiedziała. — Prowadź mnie tam, gdzie Aliansowie przetrzymują pojmane dzieci. Zrobimy wszystko, żeby je uratować.

Sziki głową wskazał kierunek i oboje wypełzli ukradkiem na deszcz.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Trąby wodne zniknęły i trirema spokojnie płynęła przed siebie w szalejącym sztormie. Magiczne burze Portolanusa szybko się zaczynały, ale cichły powoli. Zadowolony z siebie czarownik przywrócił do przytomności pomocników i zaprowadził ich do swojej kajuty, zabierając ze sobą skrzynię z gwiazdą na wieku, w której ukrył Potrójne Płonące Oko. Po wymówieniu odpowiedniego zaklęcia, Portolanus otworzył skrzynię i pozwolił załężnikom akolitom spojrzeć na swój wielki skarb. Krople wody nadal iskrzyły się na oplecionym wodorostami talizmanie.

— Czy można bezpiecznie go dotknąć, Wielki Panie? — zapytał Żółty Głos.

— Jeszcze nie. Najpierw muszę dokonać pewnego obrzędu, używając tych kolorowych przedmiotów we wnętrzu skrzyni. Wtedy talizman złączy się ze mną i będę mógł się nim bezpiecznie posługiwać.

Mówiąc to przebiegł palcami po błyszczących jak drogie kamienie akcesoriach. Zadzźwięczały serie melodyjnych tonów i klejnoty we wnętrzu skrzyni rozjarzyły się różnokolorowym blaskiem. Potem wszystkie zgasły, a Portolanus podniósł talizman.

— Ach! — zakrzyknęli chórem jego pomocnicy.

— Teraz Potrójne Płonące Oko jest złączone z moim ciałem i duszą — oświadczył czarownik. — Nikt nie może go dotknąć bez mojego pozwolenia, gdyż zginie w płomieniach!

— Jakich magicznych czynów dokona ten talizman, Wielki Panie? — spytał Purpurowy Głos.

— Porazi moich wrogów, zapewni mi dalekowidzenie i dalekosłyszenie, dzięki niemu będę już musiał czerpać energii z waszych mózgów, podzieli się ze mną tajemną wiedzą, która zapewni mi władzę nad światem... gdy tylko zrozumie w pełni jej działanie. Słudzy znowu zakrzyknęli jak jeden mąż ze zdumieniem.

— Pozwalam wam dotykać talizmanu bez uszczerbku dla zdrowia — mówił dalej Portolanus. — To pozwolenie będzie ważne do czasu, aż je cofnę lub jeśli mnie zdradzicie.

— Nigdy tego nie zrobimy! — zapewnił Czarny Głos, a pozostali pośpiesznie przytaknęli.

— Zdajecie sobie sprawę, że sami nie możecie rozkazywać talizmanowi. Ja jednak będę wydawał mu rozkazy za waszym pośrednictwem, tak jak mogę poprzez was słuchać i przemawiać z oddali.

Czarny Głos, który nachylił się, by lepiej przyjrzeć się Potrójnemu Płonącemu Oku, wskazał na zagłębienie w miejscu, gdzie stykały się trzy ciemne gałki rękojeści.

— Panie, wydaje się, że kiedyś tkwił tu jakiś przedmiot. Może klejnot?

Portolanus krzyknął tak głośno, jakby przeszył go niewidzialny miecz.

— Amulet z Czarnym Trillium! Zniknął! Teraz wiem, czym była złota iskra, która odpłynęła, gdy Heldo trzymał talizman! Amulet wrócił do swojej właścicielki!

Przeklął szpetnie Kadię i Ciemne Moce. Alkolici cofnęli się z zakłopotaniem. Odzyskawszy panowanie nad sobą, czarownik mruknął:

— Możliwe, że utrata amuletu nie wpłynie na działanie talizmanu. A może...

Wyraz jego twarzy zmienił się nagle i odmalowało się na niej wielkie podniecenie. Wyjął zza pazuchy obtłuczoną i poczerniałą gwiazdę, którą nosił przez cały czas na platynowym łańcuszku.

— A może... — powtórzył cicho i zbliżył rękojeść talizmanu do swego medalionu.

Trzy ciemne gałki otworzyły się, odsłaniając duże, błyszczące oczy. Jedno było złocistym okiem Odmieńca, drugie było brązowe i niczym nie różniło się od ludzkich oczu, a w głębi trzeciego, srebrzystoniebieskiego, płonęła złota iskierka, jak w oczach Portolanusa.

Wydawało się, że talizman gromi wzrokiem wieloramienną zmatowiałą gwiazdę. Rozbłysło jaskrawe światło i po chwili medalion tkwił już między trzema gałkami rękojeści

magicznego miecza. Odzyskał dawny wygląd i błyszczał tak jak wtedy, gdy jego właściciel otrzymał go przed laty od starego czarownika Bondanusa z Tuzamenu.

— Chwała niech będzie Ciemnym Mocom! — wykrzyknął radośnie Portolanus. — Teraz naprawdę należysz do mnie, talizmanie.

— Naprawdę należę do ciebie — odparło bezgłośnie Potrójne Płonące Oko.

Czarownik śmiał się na całe gardło, ściskając talizman w garści i wymachując nim nad głową. Magiczna osłona zgrzybiałej starości zniknęła. Portolanus znów stał się wysokim, silnym mężczyzną z pomarszczoną od ciężkich przeżyć, lecz urodziwą twarzą, o lśniących białych włosach i brodzie.

— Słyszeliście? Słyszeliście, co powiedział talizman? — krzyknął.

— Nie, panie — wyznali akolici.

— Powiedział, że należy do mnie! Do mnie! Talizmanie! Pokaż mi tę arogancką sukę Kadiyę.

Talizman posłusznie ukazał mu Panią Czarodziejskich Oczu w towarzystwie nieznanego Odmieńca przekradającą się przez chłostany ulewą las.

— Aha! Udała się na brzeg i na pewno chce napuścić na nas miejscowych dzikusów... Żółty Głosie! Pośpiesz do admirała Jorota i rozkaż mu w moim imieniu podnieść kotwicę i obudzić wioślarzy. Musimy natychmiast oddalić się od tej wyspy. Powiedz mu, że później zawiadomię go, jakim kursem mamy popłynąć na spotkanie z resztą naszych statków.

Kiedy Żółty Głos odszedł, Portolanus rozkazał Potrójnemu Płonącemu Oku:

— Teraz pokaż mi dokładnie, w którym miejscu znajduje się Kadiya.

Zobaczył wyspę z lotu ptaka, a na niej błyszczący biały punkcik w pobliżu głównej osady Aliansów.

— Jest tak, jak myślałem. Ukaż mi, gdzie jest obecnie królowa Anigel, a potem pokaż mi ją z bliska.

Ponownie pojawiła się Wyspa Rady, lecz tym razem biała kropka świeciła na wysepce położonej na pomoc od zatoki, w której stała na kotwicy raktumiańska trirema. Później obraz się zmienił. Portolanus zobaczył Anigel stojącą spokojnie na dziobie swego siateczka. Trzymała w dłoniach swój talizman i zdawało się, że patrzy na Pana Tuzamenu.

— Tak, wiem, że mnie obserwujesz, Portolanusie — powiedziała — chociaż zasłaniasz się przede mną. Widziałam, jak morski potwór pomógł ci ukraść talizman Kadiyi i jak złączyłeś go ze sobą. A mimo to nie zwyciężysz.

— Ejże! Zobaczymy, czy będziesz przemawiała równie śmiało, kiedy na twych oczach twój małżonek i dzieci zostaną poddani torturom! Nie zatrzymasz długo swego talizmanu, dumna królowo! Jeśli zaraz nie pošlesz go na morze, każę piratom zająć się twoimi bliskimi, a oni to lubią.

— Rzeczywiście? — Anigel uśmiechnęła się dziwnie i zniknęła.

Zaintrygowany jej pozorną obojętnością, Portolanus spróbował znów przywołać jej obraz, ale zobaczył tylko pusty dziób nihy. To pewno talizman chronił Anigel przed magicznym wzrokiem Pana Tuzamenu, tak jak on sam czarami osłaniał się przed nią. A zresztą nieważne, jaką grę prowadzi ta Ruwendianka, pomyślał czarownik.

— Purpurowy Głosie! Idź do kwatermistrza i każ mu sprowadzić te królewskie łobuzy pod strażą do wielkiego salonu. Zobaczymy, czy królowa Laboruwendy wytrwa w uporze, gdy po kolei będziemy odrąbywać palce u rąk jej syna i przypieczemy na rozżarzonych węglach stopy jej córki.

Zanim jednak Purpurowy Głos zdołał opuścić kajutę Portolanusa, rozległo się głośnie walenie do drzwi. Akolita otworzył je jednym szarpnięciem. Za drzwiami stał pierwszy oficer raktumiańskiej triremy, wysoki pirat imieniem Kalardis o wiecznie ponurej twarzy.

— Twoi więźniowie uciekli! — powiedział szorstko. — Kiedy zabawiałeś się z morskim potworem, trzech Odmieńców z plemienia Wyvilów wtargnęło do pomieszczenia galerników,

uwolniło króla Antara i uciekło z nim przez drzwi burtowe, używane do wyrzucania odpadków. Prawie pięćdziesięciu wiosłarzy z trzeciego pokładu również zbiegło i zdaje się, że większość z nich utonęła w morzu podczas tego cholernego sztormu, który rozpętałeś!

— Królewskie dzieci także uciekły? — wychrypiął Portolanus. Przybrał dawny wygląd w chwili pojawienia się oficera.

— Tak — odparł Kalardis. — Moi ludzie natychmiast przeszukali komorę kotwiczną. Jej drzwi zostały rozbite od wewnątrz, tak samo jak drzwi sąsiednich pomieszczeń i drzwi w korytarzach prowadzących do kwater niewolników. Te łotry musiały wspiąć się po łańcuchach kotwicznych.

— Czy pozostało dość galerników, żebyśmy mogli opuścić to miejsce? — zapytał cichym, pełnym niepokoju głosem czarownik. — Musimy się stąd oddalić, zanim zaatakują nas wrogo nastawieni morskcy Odmieńcy. Nie sądzę, by mój sztorm na długo ich powstrzymał. Teraz, skoro rodzina królowej Anigel stąd uciekła, mogłaby ona nam wyrządzić jakieś szkody; ma jeszcze swój talizman.

— Spotkałem po drodze twego sługę, który przekazał mi rozkaz odpłynięcia. Pozostałe dwa rzędy wiosł nadal są obsadzone. Odpłyniemy, ale nie tak szybko, jak to robiliśmy przedtem. Zresztą nawet w najlepszych warunkach nie moglibyśmy nabrać szybkości. Twój sztorm będzie przeszkadzał obserwatorom w bocianim gnieździe, tak samo jak ciemności. Będziemy też musieli bez przerwy sondować morze, żeby nie osiaść na mieliźnie ani nie wpaść na rafę.

— Sztorm wkrótce ucichnie i zapewni nam bezpieczeństwo dzięki talizmanowi... — zaczął Portolanus.

— Najpierw zaczekasz na łaskę królowej-regentki — przerwał mu Kalardis, odsłaniając w uśmiechu odbarwione i połamane zęby. — A raczej na jej niełaskę. Masz się zaraz stawić w królewskim salonie i za wszystkie łupy Taloazinu nie chciałbym być na twoim miejscu.

Królowa Ganondri, której strzegło sześciu ciężkozbrojnych rycerzy-piratów, siedziała przy pozłacanym stole, na którym rozpostarła mapę Bezwietrznych Wysp. Kiedy tylko Portolanus wszedł do środka, dwóch wielkich Raktumian chwyciło go za ramiona. Całkowicie zaskoczony, nie zdążył wyciągnąć zza pasa Potrójnego Płonącego Oka.

— Podaj mi powód, dla którego nie miałabym kazać moim ludziom poderżnąć ci gardło, skoro pozwoliłeś uciec więźniom! — powiedziała z jadowitą słodyczą w głosie Ganondri.

Czarownik odetchnął głęboko.

— Talizmanie! Rozkazuję ci uśmiercić łotrów, którzy mnie schwyтали.

Dwaj piraci zakłęli. Puścili natychmiast Portolanusa i wyciągnęli miecze. Królowa Ganondri z posiniałą twarzą zerwała się z krzesła.

Nic się jednak nie stało.

Zrozpaczony czarnoksiężnik chwycił talizman i nakreślił nim łuk w powietrzu.

— Talizmanie, spał swym niszczycielskim ogniem moich wrogów zgromadzonych w tym salonie!

I znów nic się nie stało.

Ganondri opadła na krzesło, śmiejąc się z ulgą. Rycerze rzucili się na Portolanusa. Któryś wyrwał czarownikowi talizman, chwytając go za tępy brzeszczot.

Wówczas troje oczu na rękojeści otwarło się i patrzyło chwilę na nieszczęsnego Raktumianina. Później z ludzkiego oka strzelił snop złocistego światła, z oka Odmieńca — zielonawego, a z dziwnego, srebrzystoniebieskiego oka — parzący biały promień.

Pulsująca poświata natychmiast oblała pirata od stóp do głów. Wypuścił talizman z ręki, ale magiczne płomienie tylko się jeszcze bardziej rozjarzyły, otulając rycerza trójkolorowym świetlnym całunem. Nieszczęśnik nie wydał żadnego dźwięku, lecz jego towarzysze krzyknęli ze strachu i obrzydzenia, twarz pirata poczerniała bowiem i zwęgliła się, a gęsty

dym buchnął spod zbroi. Rozległ się przeraźliwy trzask i przygłuszony huk ognia. Płonący żywcem rycerz runął na dywan. Dwóch piratów zerwało ze ściany gobelin i narzuciło na towarzysza, lecz żaden nie ośmielił się go dotknąć. Portolanus, który cofnął się pod ścianę, obserwował całą scenę z takim samym zdumieniem i strachem jak królowa Ganondri i jej ludzie.

Nagle dobiegające spod gobelinu okropne odgłosy ucichły. Dym i smród rozwiały się, pozostawiając w salonie czyste, świeże powietrze. Czarownik wyprostował się, przybrał ważną minę i zajrzał pod gobelin.

Rzemyki łączące zbroję ofiary spaliły się i osmalone kawałki metalu leżały rozrzucone na podłodze. Po ciele nie pozostał żaden ślad. W samym środku pogiętej od gorąca zbroi spoczywał nietknięty talizman, który znów wyglądał jak pozbawiona czubka i tępa mizerykordia z ciemnego metalu.

Portolanus wsadził go za pas, po czym opuścił gobelin.

— Zostawcie nas samych — rozkazał rycerzom.

— Nie! — zawołała Ganondri. — Miej się na bacności, czarowniku! Zapomniałeś o moim ostrzeżeniu? Nawet gdyby wszyscy na tym statku zginęli, będziesz musiał zrezygnować ze swoich ambicji, gdyż nic nie zdziałasz bez pomocy wielkiego Raktum. Tylko do spółki ze mną osiągniesz swoje cele!

Portolanus oparł obie ręce na stole. Twarz miał teraz ściągniętą i zmęczoną.

— Masz rację: teraz, gdy wiem, że nie dostanę talizmanu Anigel, potrzebuję twojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek dotąd. Jeśli jednak nie chcesz, żeby te draby przysłuchiwały się rozmowie, która powinna zostać naszą tajemnicą, odeślij ich.

Przysunął pozłacane krzesło, opadł na nie ciężko i uśmiechnął się krzywo.

— Jesteś ze mną bezpieczna, wielka królowo. Widziałas, że nie w pełni władam moim talizmanem. Zabija on tylko tę osobę, która próbuje mi go odebrać. Tylko to może zrobić! Przysięgam na Ciemne Moce, którym służę, i na mój talizman, że nie zrobię ci nic złego.

Ręka królowej–regentki drżała, gdy w końcu nakazała gestem swoim rycerzom, by zabrali resztki spalonego żywcem towarzysza i odeszli. Wzięła potem karafkę, nalała wódki do dużego kielicha i z trudem doniosła go do ust. Wypiwszy jego zawartość jednym haustem, uspokoiła się trochę, choć jej oczy nadal płonęły nienawiścią i strachem. Widać było, że panuje nad sobą ogromnym wysiłkiem woli.

— Nie mogę zaakceptować tej sytuacji, czarowniku. Musimy renegecować nasze przymierze. Ty masz swój talizman, ale ja nie dostałem mojego i raczej nie dostanę — powiedziała z naciskiem.

— Niekoniecznie! Zobaczmy, czy ten nieporęczny magiczny miecz potrafi coś więcej prócz robienia pieczeni z nieostrożnych złodziejasków. — Zanim królowa zdołała zaprotestować, podniósł Potrójne Płonące Oko, trzymając go za ostrze. — Talizmanie, pokaż nam obojgu króla Antara.

Ganondri krzyknęła z zaskoczenia ujrawszy wizję. Rzadki deszcz padał na ciemne, wzburzone morze. Wśród fal pojawiały się i znikwały trzy groteskowe głowy Odmieńców, otaczające mniejszą, ludzką głowę. Antar i wyvilscy wojownicy płynęli powoli w stronę lśniących przybrzeżnych wód Wyspy Rady.

— Ach, więc to tak! — wykrzyknął Portolanus. — Uciekli pomimo mojego sztormu i obecności potwora Heldo. Nietrudno będzie ponownie schwytać naszego królewskiego gościa! A teraz, talizmanie, pokaż nam księcia Nikalona, księżniczkę Janeel i księcia Tolivara.

Czarownik i królowa–regentka ujrzeni Nikiego i Jan leżących w błocie za palisadą tubylczej wioski. Byli przywiązani do pali i wyglądali na nieprzytomnych. Ponieważ deszcz zmienił się w mżawkę, kilku Aliansów wyjrzało z chat, nawołując się głośno.

— No, no! Wydaje się, że starsze dzieciaki zostały gościnnie przyjęte przez miejscowych Odmieńców. Nie sądzę, by obchodził nas ich los. A co z trzecim księciem?

Talizman posłusznie ukazał Tolivara, który przedzierał się przez poszycie dżungli, mamrocząc coś pod nosem. Portolanus i Ganondri zrozumieli tylko kilka zdań:

— ...Ciotka Kadiya nie może mnie zmusić... nie obchodzi mnie, że piraci mnie znajdują... wolałbym być czarownikiem niż nędznym drugim księciem... Będzie mi brakowało Rabaluna, ale nikogo z nich...

Czarownik odegnał obraz i zmarszczył brwi w zamyśleniu. Wreszcie rozkazał:

— Talizmanie, pokaż mi dokładnie, w którym miejscu znajdują się teraz król Antar i jego troje dzieci... a także Kadiya.

W jego umyśle powstał obraz Wyspy Rady ze świecącymi białym światłem punkcikami. Natychmiast zrozumiał, co oznacza każde światełko. Król Antar wciąż przebywa prawie o milę od brzegu, gdyż sztormowe wiatry zepchnęły go na południe. Mały Tolivar znajduje się na skraju lasu w pobliżu wybrzeża, naprzeciwko raktumiańskiego okrętu. Dwoje starszych dzieci więżą Aliansowie w dużej wiosce położonej o milę od morza, nieco dalej na północ. Kadiya zaś najwidoczniej nie ruszyła się z miejsca.

— Ukaż mi ponownie księcia Tolivara — polecił Portolanus. Przez otwarte iluminatory dobiegły głośne rozkazy i tupot nóg. Cała trirema zawibrowała, gdy podniesiono obie kotwice.

— Kto rozkazał ruszyć w drogę?! — Królowa zerwała się z krzesła. — Musimy wysłać zbrojne oddziały na brzeg i to zaraz! Jeśli schwytamy choć jednego ze zbiegłych więźniów, zmusimy Anigel do oddania mi talizmanu. — Rzuciła się do drzwi, otworzyła je i zaczęła wołać admirała Jorota.

Portolanus tymczasem rozmyślał o słowach księcia Tolivara i mówił do siebie:

— Cóż to za mały diabełek! Więc chciałby zostać czarownikiem, co? A to zuchwalec! Ale bardzo mu się spodobałem, co? Wydaje się też, że wyczułem w nim słabiutką aurę magicznego potencjału! To dlatego chyba nie chciałem go torturować. Tak, można by zrobić z niego czarownika... Zastanawiam się, czy jest dostatecznie duży, by rozumieć sprawy państwowe? Może we własnej osobie pomogłby nam w obaleniu Dwu Tronów?

Ganondri wróciła do salonu.

— Rozkazałam, by okręt flagowy pozostał w zatoce z podniesionymi kotwicami. Sześć łodzi z uzbrojonymi żołnierzami wyruszy na poszukiwanie króla Antara i księcia Tolivara. Możemy zapomnieć o dwójce dzieci uwięzionych przez morskich Odmieńców. Na pewno królowa Anigel już je odszukała. Poświęci nam niewiele uwagi, bo dzikusy zagrażają jej ukochanym bachorom. Ty zaś musisz...

— Nie wyjdę na brzeg! — oświadczył Portolanus.

— Ależ morscy Odmieńcy nie są niebezpieczni dla takiego potężnego czarownika jak ty — powiedziała łobuzersko królowa. Później dodała ostrzejszym tonem: — Musisz z pomocą swego talizmanu zaprowadzić żołnierzy prosto do Antara i księcia Tolivara. Nie mamy czasu do stracenia!

— Mój Czarny Głos będzie towarzyszył oddziałowi wysłanemu po króla, a Purpurowy Głos poprowadzi tych, którzy będą szukać Tolivara. Przekażę im dokładną lokalizację miejsca, w którym znajdują obu zbiegów. Nie ma powodu, żebym sam opuszczał flagowiec.

— Popłyniesz na wyspę, ponieważ tak ci rozkazuję!

— Nie! To niepotrzebne.

Portolanus i królowa Ganondri w milczeniu piorunowali się spojrzeniami. Po chwili czarownik rzekł cicho:

— Nie uwięzisz mnie na zamieszkałej przez Odmieńców wyspie, piracka królowo. Wybij to sobie z głowy. Pozostaniemy sojusznikami na dobre i na złe. Zobaczysz, że przynajmniej jeden królewski zakładnik zostanie ponownie schwytany, żebyś mogła prehandlować go na

talizman królowej Anigel. Radzę ci jednak, żebyś nie próbowała dokonywać wymiany tutaj. Anigel nie okaże rozsądku, kiedy Aliansowie poddadzą torturom i uśmiercą jej starsze dzieci. Powinniśmy podnieść żagle, gdy tylko schwytemy Antara lub Tolivara.

— A co wtedy? — warknęła Ganondri.

— Mnie i moich ludzi odeślesz bezpiecznie na mój statek. Talizman pozwoli mi szybko go tu ściągnąć, jak też trzy inne galery z twojej floty. Są zaledwie o kilka dni drogi stąd. Później, jeśli zechcesz utrzymać nasze przymierze, wrócimy do domu razem. Tak jak poprzednio możesz trzymać królewskich więźniów na swoim okręcie...

— I gwiazdną skrzynię! — odparła stanowczym tonem królowa-regentka. — Dasz mi ją teraz albo twoje przymierze z wielkim Raktum się skończy, i będziesz mógł pożegnać się z zamiarem podboju Laboruwendy!

Portolanus wyciągnął talizman zza pasa i powoli zbliżył pozbawiony czubka brzeszczot do gardła Ganondri. Władczyni zesztyniała, ale nawet nie drgnęła ani nie krzyknęła, gdy metal dotknął jej ciała. Nic się jej nie stało. Jeśli czarownik nakazywał w myśli talizmanowi, by zabił królową Raktum, magiczny przyrząd go nie posłuchał.

— Dasz mi gwiazdną skrzynię — powtórzyła z chłodnym uśmiechem Ganondri. — Zaraz. I pokażesz mi, jak się nią posługiwać.

Pan Tuzamenu odsunął miecz od szyi królowej, wstał z krzesła i uklonił się lekko.

— Wydaje się, że doprowadziliśmy sprawę do martwego punktu. Spróbujmy więc oboje zapomnieć o urazach, które nas dzielą w tej chwili. Zamiast tego pomyślmy o powodach, które pierwotnie nas połączyły. Nie musimy się kochać, by pracować dla wspólnego celu. Dobrze wiesz, że moje ambicje są większe, podbój Laboruwendy to drobiazg. Ten dumny Kraj Dwu Tronów będzie twój.

— Talizman królowej Anigel też. — Uśmiech Ganondri zamienił się we wściekły grymas. Postukała palcami prawej ręki w stół, tak że jej liczne pierścienie zabłyśły w blasku lampy. — Powiedz mi teraz, jakie mają być warunki naszej nowej umowy, czarowniku. Wielkie Raktum pozostanie twoim lojalnym sojusznikiem tak długo, jak długo nie będziesz knuł zdrady przeciw niemu i jego królowej-regentce. Ale to ja zatrzymam talizman Anigel aż do śmierci, a ty nauczysz mnie, jak się nim posługiwać.

Zdesperowany Portolanus podniósł rękę do głowy.

— Ja sam jeszcze nie wiem, jak używać właściwie mojego własnego talizmanu!

— Nie wątpię, że się tego nauczysz.

— Dobrze... — westchnął czarownik. — Przysięgam na Ciemne Moce i na ten talizman — oby zniszczył mnie, jeśli złamię tę przysięgę — że będę wiernie dochowywał warunków, które zaproponowałaś. Natychmiast wyślę do ciebie mojego pomocnika z gwiazdną skrzynią, a potem zajmę się schwytem zbiegłych więźniów.

Ganondri władczo skinęła głową. Portolanus wyszedł z salonu, cicho zamykając za sobą drzwi. Wtedy królowa-regentka wybuchnęła triumfalnym śmiechem. Przestała się śmiać dopiero po wypiciu jeszcze jednego kielicha wódki.

Kiedy Żółty Głos zjawił się niebawem z gwiazdną skrzynią, Ganondri brutalnie mu ją wyrwała i wypchnęła go za drzwi. Później znowu zaczęła się śmiać.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Niespiesznie szła Świetlną Drogą. Kroczyła ponad zimnymi, głębokimi wodami Morza Zorzy Polarnej rozmyślnie powoli, jakby iskrząca się powierzchnia pod jej stopami była brukiem. Arktyczna bryza niesła charakterystyczny zapach morskiego lodu, a zorza polarna rozplomieniała całe niebo, przesłaniając gwiazdy i Trzy Księżycy, jednocześnie oświetlając bladym niebieskim i czerwonym blaskiem gigantyczne góry lodowe.

Największa góra lodowa, do której prowadziła Świetlna Droga, świeciła własnym światłem. Haramis nie widziała tego, gdy zaczęła wędrówkę po przezroczystej ścieżce. Jednak w miarę jak Arcymagini Łądu zbliżała się do celu podróży, wielka góra rozjarzała się coraz bardziej, aż wreszcie przybrała wygląd tytanicznego, niebieskozielonego berylu o tysiącu odcieni, osadzonego w czarnych lodach pomocnego oceanu. Góra świeciła też spod wody, choć jej blask słabł wyraźnie w głębinie. Haramis zrozumiała, że górująca nad falami wielka masa lodu jest niewielką częścią niewiarygodnie wielkiej bryły ukrytej pod powierzchnią morza.

Przeszła dwie mile, zanim dotarła do niezwyklej góry lodowej. Świetlna Droga zaprowadziła ją najpierw do widocznej w zboczu jaskini o łukowym sklepieniu, a później do korytarza o podłodze z zastygłej wody, posypanej gwiazdnym pyłem, który czynił ją twardą jak ciemnoniebieski kamień. Nieregularne, lśniące ściany korytarza były miejscami wklęsłe, pokryte fasetami i rzeźbione, tak że ich wewnętrzny blask przebijał się przez fantastyczne kształty barwy bladego szmaragdu i jaskrawoniebieskiej akwamaryny.

Haramis odruchowo dotknęła najbliższej ściany.

— Na Czarny Kwiat! To wcale nie jest lód!

Ściana była gładka i mokra, dość chłodna, ale cieplejsza niż morska woda. Czy to mogło być szkło? Arcymagini spróbowała zrobić rysę w ścianie. Wydawała się jej bardziej giętka od kryształu, niepodobna do żadnej znanej substancji. To był magiczny budulec, na pewno stworzony przez Panią Morza i tylko udawał lód.

Później Haramis zdała sobie sprawę, że za przezroczystą ścianą płyną ku niej ryby i inne morskie zwierzęta. Tłoczyły się niezliczoną gromadą po obu stronach korytarza tak wysoko, jak księżniczka mogła sięgnąć okiem w niebieski półmrok. Sztuczna góra lodowa była pusta w środku i tętniła życiem.

Arcymagini Łądu nie odrywała wzroku od ściany, a morskie stworzenia również na nią patrzyły. Wydało się jej, że otwały szerzej oczy ze zdziwienia. Większość była srebrzysta, szaroniebieska lub biała, niektóre były przezroczyste, i księżniczka widziała ich wnętrzości. Pojawiały się niekiedy ogromne ryby o połyskliwych, zwierciadlanych łuskach i zębatych pyskach, podobne do śmiertelnie niebezpiecznych milingali żyjących w rzekach Błotnego Labiryntu. Ławice mniejszych rybek z jaskrawoniebieskimi oczami przemykały jak kierowane jednym mózgiem. Świejące słabym blaskiem ryby podobne do szerokich białych wstęg wyszywanych srebrną nicią, ryby w kształcie mieczy i jeszcze inne, tak dziwaczne, że trudno było uznać je za ryby, najeżone wyrostkami, kolcami i naroślami. Przypominały giętkie lance z powiewającymi na końcu chorągiewkami. Były tam również wielkie, bierne stulbiopławy wyglądające jak strzępiaste jaja z galarety mieniającej się wszystkimi barwami tęczy i mniejsze, podobne do pływających kwiatów z ruchliwymi, pastelowymi płatkami. Śnieżnobiałe stworzenia o długich mackach, z dziwnymi pyskami, przesmykiwały pomiędzy powolniejszymi pływakami, a ławice przezroczystych mięczaków wędrowały majestatycznie, z godnością, ścigane przez jakiegoś niekształtnego srebrzystego drapieznika, który od czasu do czasu pochłaniał nieostrożną ofiarę i znikał na chwilę z oczu. Szkliste, kanciaste, małe skorupiaki widać było wszędzie: wisiały jak kryształowe pszczoły wokół podobnych do kwiatów zwierząt, wpływały i wypływały bez lęku z rozwartych paszczy srebrzystych

milingali i nawet dosiadały stworzeń o mniej groźnym wyglądzie. Haramis nie mogła powstrzymać okrzyku zachwytu.

— Cieszę się, że podobają ci się moi ulubieńcy — powiedział kobiecy głos.

Zaskoczona, rozejrzała się wokoło. Lecz w podobnym do akwarium korytarzu nie było innych ludzi.

— Czy to ty, Arcymagini Morza? — szepnęła.

— Oczywiście! Pośpiesz się, moje dziecko. Czekam niecierpliwie na spotkanie z tobą. Później, jeśli zechcesz, będziesz mogła obejrzeć innych mieszkańców mojego domu. Ale nasza kolacja stygnie, a ja jestem taka głodna!

Haramis powstrzymała uśmiech. Najwidoczniej ta Arcymagini nie znosiła ceremonii. Jej głos nie brzmiał napuszenie czy protekcyjnie. Córka króla Kraina nie chciała zastanawiać się, kim właściwie jest osoba, którą miała wkrótce spotkać. Formalnie były sobie równe; w istocie jednak — nauczycielką i uczennicą. Modliła się w duchu, by ta Arcymagini była szczerą i prostolinijną, a nie słabą i tajemniczą jak Binah. Potrzebowała praktycznej pomocy, nie zaś jeszcze więcej sekretów. Talizman Kadiyi prawie na pewno wpadł w ręce Portolanusa. Bardzo możliwe, że Anigel odda też czarownikowi jako okup Trójgłowego Potwora. Jeśli ona, Haramis, nie nauczy się posługiwać swoim talizmanem, Portolanus zawładnie światem.

— Denby uważa to za przesądne. Ale ty i ja pokażemy mu to i owo! A co do praktyczności... to zależy wyłącznie od ciebie, moja droga. Ja na pewno nie stracę głowy dla pełnego uroku czarownika. Nie mam jednak pewności, czy tobie się to nie przydarzy.

Haramis krzyknęła cicho z oburzenia. Później wyprostowała się i z ponurą miną podjęła dalszą wędrówkę.

— Widzę, Pani Morza, że czytasz w moich myślach — zwróciła się do niewidocznej gospodyni. — Wątpię jednak, czy potrafisz czytać w moim sumieniu. To prawda, że przybywam do ciebie jako petentka, i jeśli chcesz udzielić mi nauk dopiero po zdruzgotaniu mojej godności, to niech tak będzie. Miałam jednak nadzieję, że nasze stosunki będą bardziej przyjazne. A przecież wiem, iż choć w porównaniu z tobą jestem młoda, to nikt nie nazwie mnie dzieckiem i nie uzna za głupią. Spełniałam moje obowiązki Arcymagini najlepiej jak umiałam, nie pozwalając, by ktoś lub coś mnie od nich oderwało...

— ...jeszcze! Ale to może się stać! Tak jak dwanaście lat temu, zanim włożyłaś płaszcz Arcymagini Łądu. Nie tylko mogłabyś zaniedbać swoje obowiązki, ale masz też silne skłonności do złego. Przyznaj to!

Haramis zatrzymała się w pół kroku.

— Nie będę starała się usprawiedliwić. To prawda, że kiedyś pokochałam czarownika Orogastusa i że zwiedziona jego demonstracją mocy zboczyłam z drogi prawdy. Odrzuciłam go jednak. Jeśli, jak przypuszczam, nadal żyje, z całego serca i duszy spróbuję ponownie go odrzucić i pokrzyżować jego złe plany... Rozpaczliwie potrzebuję twojej pomocy. Czy mi pomożesz?

— Inaczej nie przywołałabym cię tutaj. Lecąc na Kimilon udowodniłaś, że jesteś zdecydowana na wszystko. Postanowiłam więc, że zasługujesz na szczególne względy, niezależnie od tego, co sądzi o tym Denby. Powrót tej obrzydliwej Gwiazdy zagraża nie tylko równowadze naszego świata, ale samemu istnieniu! Beznadziejne sytuacje wymagają drastycznych środków! Denby uważał Binah za wariatkę, gdyż odważyła się uwolnić Potrójne Berło Mocy, które miało pokonać to zagrożenie, i o mało nie dostał kręcka, kiedy twoja poprzedniczka doprowadziła do narodzin waszej trójki. Musiał jednak przyznać, że potomek Gwiezdnych Ludzi wcześniej czy później zawładnąłby Berłem, bez względu na błędy popełnione przez was, Trzy Płatki Żywego Trillium. Binah miała nadzieję, że z czasem, choć jesteście nowicjuszkami w dziedzinie magii, zdołacie zlikwidować to zagrożenie raz na zawsze. Świeża, młoda krew, świeże, młode umysły, które miały energicznie zabrać się do rozwiązywania odwiecznego problemu. Rozumiesz?

— Nie! Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz. — Haramis nagle przejął zimny dreszcz, choć we wnętrzu sztucznej góry lodowej było całkiem ciepło. Otuliła się szczelniej białym futrem i powiedziała ostro: — Wytłumacz się, Arcymagini! Powiedz mi dokładnie, jakie niebezpieczeństwo zagraża światu i jaką rolę mamy odegrać, ja i moje siostry. Ostrzegam cię, że nie mam zamiaru pozwolić się dłużej oszukiwać mistycznymi bzdurami albo wykrętami.

— Ha, ha! Nie brak ci animuszu! To mi się podoba. Idź dalej, Haramis—która—nie—ściępi—bzdur! Świetnie będziemy do siebie pasowały.

Świetlna Droga skończyła się, gdy wciąż zwązający się niezwykle korytarz zaprowadził Haramis do świecącej platformy. Odchodziły od niej trzy tunele, lecz tylko jeden był oświetlony. Księżniczka szła nim długo. Kręciło jej się w głowie, gdyż miała wrażenie, że wisi w pełnej kawałków lodu, lśniącej wodzie. Morskie stworzenia odpłynęły, widocznie już znudzone jej widokiem. Teraz tylko od czasu do czasu dostrzegała w wodzie za przezroczystymi ścianami przepływający niewyraźny kształt. Poświata przygasła, jak gdyby Arcymagini Łądu coraz bardziej oddalała się od jej źródła. Barwy wody również pociemniały — ciemna ultramaryna zastąpiła błękit, a ocieniona fioletem barwa jaspisu — szmaragdową zieleń.

A potem Haramis zobaczyła drzwi, białe, nieprzezroczyste, z wielką, okrągłą klamką ze srebra. Nie otwarły się, gdy za nią szarpnęła. Wtedy dotknęła ich talizmanem. Znowu usłyszała taki sam melodyjny dźwięk, który na Kimilonie pozwolił jej zlokalizować ów tajemniczy wiadukt. Drzwi otwarły się. Za nimi panowały gęste ciemności.

Haramis odważnie weszła do środka. Zmartwiała, gdy drzwi się zatrzasnęły i tylko jasnożółty blask tkwiącego w jej talizmanie bursztynu upewnił ją, że nie oślepla.

Usłyszała cichy chichot.

— Za chwilę twoje oczy przystosują się do braku światła. Moje stare oczy nie są tak bystre jak niegdyś, dlatego najlepiej mi odpowiada półmrok. Podaj mi rękę...

Haramis nieobowiązkowo podniosła ramię. Wilgotne, lecz miłe w dotyku palce chwyciły jej dłoń, przeprowadziły przez tuzin stopni. W powietrzu poczuła słonawy zapach. Pogłos niewidzialnego dzwonka zdawał się wywoływać z mroku inne melodyjne dźwięki.

— Jesteśmy na miejscu. Wymacasz krzesło? Usiądź, a ja przyniosę kolację.

Szukając na oślep, Haramis znalazła dziwnie ukształtowany szeroki stołek bez oparcia i osunęła się nań bezsilnie. Ciepła i miękka poduszka musiała być wypełniona jakąś cieczą. Była bardzo wygodna.

Siedząc tak w ciemnościach, córka Kraina zorientowała się, że odzyskuje wzrok. Znajdowała się w dużej komnacie wyposażonej w świecące meble. Stół i krzesła wykonano ze spojonych czymś muszli, a każdą zdołała spirala z zielonych punkcików. Na stole zobaczyła talerze i kielichy z wielkich muszli lśniących różowym i topazowym blaskiem. Lazurowe i szkarłatne plamki układały się w świecące wzory na podłodze. W komnacie rozstawiono wielkie wazony z nakrapianych zielenią muszli, a w nich tkwiły pierzaste rośliny podobne do gigantycznych paproci. Spody liści połyskiwały bladą, pomarańczową poświatą. Pod jedną ze ścian umieszczono wielki fresk przedstawiający mieszkańców morza, gdzie stworzenia o świecących oczach, płetwach i ognistych wzorach na ciele jakby zawisły w ciemnej wodzie lub osiadły na formacjach koralu przyprószonych białymi gwiazdeczkami. Jedna z usadowionych w pełnej wdzięku pozie istot poruszyła się i Haramis zrozumiała, że nie jest to fresk, lecz ogromne okno wychodzące na morskie głębiny.

Kiedy oczy Arcymagini Łądu już całkowicie przywykły do półmroku, odniosła wrażenie, że wokół niej materializują się świecące delikatnym blaskiem przedmioty. W jednym rogu podmorskiej komnaty Haramis zobaczyła szerokie biurko z mnóstwem dziwnych, połyskliwych metalicznych przedmiotów. W innym kącie znajdowała się kula niemal tak

wielka jak ruwendiańska księżniczka. Haramis nagle zdała sobie sprawę, że jest to model ich świata: morza świeciły indygowym błękitem, a lądy zielenią lub bielą.

Mnóstwo oprawnych w płótno i skórę ksiąg stało rzędami na licznych półkach. Na ich grzbietach lśniły napisy. Księgi leżały też w stosach na podłodze, a jedna, otwarta, spoczywała na czytniku, przed którym stało wygodne krzesło. Haramis bez zaskoczenia spostrzegła, że litery w książce również świecą. Pikowany podnózek stał przed krzesłem. Obok na podłodze wyciągnęła się biaława, wielonoga istota o ciele składającym się z licznych pierścieni. Kiedy nieznaną stworzenie wyczuło spojrzenie nowo przybyłej, zwrócił na nią spojrzenie złośliwych czerwonych oczu, otworzył paszczę, odsłaniając żółtawe wnętrze z kilkoma rzędami groźnych zębów, i syknął głośno.

— Spokój, Grigri! Bądź uprzejmy dla naszego gościa!

Purpurowe zasłony, których Haramis nie zauważyła, rozchyliły się i do komnaty weszła Arcymagini Morza niosąc tacę z wielką dymiącą wazą i kilkoma talerzami, przykrytymi pokrywkami. Postawiła tacę na stole i z uśmiechem zwróciła się do Haramis.

— Czy teraz widzisz mnie dobrze?

— Tak, dziękuję.

— Nazywam się Iriane. Niektórzy nazywają mnie Błękitną Damą. Witaj w moim domu, Arcymagini Łądu.

Haramis z ulgą stwierdziła, że Pani Morza ma ludzką, a nie rybią postać. Ta średniego wzrostu kobieta była bardzo gruba, o okrągłej jak melon twarzy świecącej słabym niebieskim blaskiem. Miała niezwykle piękne rysy, zwłaszcza oczy — wielkie, czarne, okolone długimi, gęstymi rzęsami. Jej włosy również były czarne, a może ciemnogrnatowe. Wykonane z muszli i ozdobione ogromnymi perłami grzebienie i spinki podtrzymywały skomplikowaną fryzurę, składającą się z mnóstwa loków i pukli. Iriane nosiła długą, luźną suknię bez rękawów o barwie indygo, naszywaną błyskotkami w kształcie stylizowanych morskich roślin. Dwie perłowe brosze spinały na jej ramionach przejrzysty granatowy płaszcz, też świecący słabym blaskiem.

Iriane wyciągnęła rękę do Haramis, która ujęła dłoń gospodyni, pochylając spokojnie głowę. Otyła Arcymagini usiadła z zaskakującą gracją. Odmówiła krótką modlitwę do Trójjedynego Boga i Władców Powietrza i nalała sobie pełen talerz zupy.

— Jedz, dziecko, jedz. Musisz umierać z głodu po podróży z Kimilonu. Wiesz, że wędrowałaś całe trzy godziny?

— Podróż wydała mi się krótsza. Powiedz mi, jak daleko jest z Kimilonu do wybrzeża Morza Zorzy Polarnej, na które przeniósł mnie wiadukt?

— Około trzech tysięcy waszych mil.

— To zdumiewające! A zostałam przeniesiona w mgnieniu oka. Twoje czary są bardzo potężne, pani.

— Owszem — przyznała Iriane. — Ale wiadukt do nich nie należy. Przybyłaś tu z pomocą starożytnej maszyny nie mającej nic wspólnego z magią.

— Ach! Czy to przyrząd Zaginionych?

— Tak. Niegdyś takie wiadukty były rozrzucone po całym świecie. W starożytności używano ich do przenoszenia zwykłych ludzi z miejsca na miejsce. Teraz tylko kilka nadaje się do użytku.

Haramis nałożyła sobie skromną porcję potrawy. Wyglądała bardzo dziwnie, ale smacznie pachniała. W złotym dzbanie był jakiś napój o słodkim, korzennym zapachu. Nalała go do czary z wielkiej muszli i wypila spory łyk, zanim znów się odezwała.

— Pani Iriane, wiesz, dlaczego tu przybyłam. Muszę nauczyć się biegle posługiwać moim talizmanem, Trójskrzydłym Kręgiem. Potrzebuję też twojej rady, jak pokonać czarownika Portolanusa, który ukradł talizman mojej siostry Kadiyi i zamierza odebrać talizman Anigel. Chciałabym też, żebyś mi powiedziała, co wiesz o Zaginionych i o ich Berle Mocy,

składającym się z trzech wspomnianych talizmanów. Mam też nadzieję, że wyjaśnisz mi różnicę pomiędzy prawdziwą magią a bardzo zaawansowaną nauką, która umożliwiła stworzenie tych cudownych starożytnych przyrządów. Wytłumacz mi też, jaki jest udział magii i nauki w konflikcie pomiędzy Portolanusem i Trzema Płatkami Żywego Trillium.

Iriane westchnęła i odłożyła łyżkę. Wysączyła kilka łyżek ze swojej czary, a potem rzekła:

— Nie mogę udzielić odpowiedzi na niektóre twoje pytania, Haramis. Inne zaś wymagają długich wyjaśnień, dlatego muszę odłożyć je na później. Odpowiem najpierw na najłatwiejsze z nich: zapoznam cię z historią Zaginionych. Dwanaście razy po dziesięć wieków temu — zaczęła Arcymagini Morza — Świat Trzech Księżyców zamieszkiwała liczna ludzka populacja. Ludzie przybyli z zewnątrz, z jakiegoś miejsca poza firmamentem. Użyli swojej ogromnej wiedzy do przekształcenia tego świata tak, by bardziej odpowiadał ich potrzebom. Z czasem powstała wśród nich frakcja żądnych władzy egoistów, nazywających siebie Gwiazdą Gildią. Znali się na nauce i sztukach magicznych, mających swe źródło w ludzkich umysłach i w samej naturze wszechrzeczy. Gwiazdni Ludzie i ich stronnicy wywołali niszczycielską wojnę, która trwała ponad dwieście lat. Podczas wojny ich broń i złe czary nie tylko uśmierciły prawie połowę ludności świata, ale zmieniły też jego klimat, sprowadzając Erę Zwycięskiego Lodu.

Jak wiesz, nawet dzisiaj jedyny kontynent świata jest zakuty w lodowy pancerz zwany Krainą Wiecznych Lodów. Tylko na jego krańcach i na samym południu nie ma lodowców. Lecz zanim nastąpiła Era Lodowcowa, lód pokrywał jedynie najwyższe szczyty. Na kontynencie panował wtedy łagodny klimat. Były tam liczne wielkie jeziora z pięknymi wyspami, na których wybudowano wspaniałe miasta. Kiedy rozszalały się nie kończące się burze śnieżne, wszystkie te miasta zostały opuszczone. Ludzie pozostali tylko w miastach położonych nad morzem, w morskich głębinach lub w niższej części firmamentu.

Gwiazdna Gildia, po utracie poparcia zwykłych ludzi, kiedy nawet jej najgorętsi zwolennicy zrozumieli, że jej sprawa jest stracona, walczyła jeszcze zacieklej. A gdy wydawało się, że Gwiazdni Ludzie raczej całkowicie zniszczą świat niż skapitulują, Kolegium Arcymagów stworzyło Berło Mocy, które miało zwrócić przeciw Gwiazdnym Ludziom ich własne straszliwe czary. Posługiwanie się Berłem Mocy było jednak bardzo niebezpieczne i w końcu jego twórcy nie odważyli się użyć go w walce.

Główna kwatera Gwiazdnych Ludzi została wreszcie zniszczona przez jednego z największych bohaterów naszego świata, Arcymaga Varcoura, a pozostali przy życiu złoczyńcy rozproszeni na cztery wiatry. Tak zakończyła się ta straszna wojna. Ale Świat Trzech Księżyców był już zniszczony. Ani nauka, ani czary Arcymagów i Arcymagiń nie mogły przywrócić łagodnego klimatu na niegdyś pięknym, szczęśliwym lądzie. Kontynent nie był już w stanie wyżywić dużej liczby ludzi, tak samo jak zamrożone morze czy wnętrze firmamentu.

Większość ocalałych przygotowała się do opuszczenia naszego świata. Mieli zamiar poszukać innej ojczyzny, daleko poza zewnętrznym firmamentem. Jednakże trzydziestu inteligentnych altruistów z Kolegium Arcymagów, łącznie z Arcymagiem Varcourem, postanowiło pozostać i spróbować naprawić straszliwe szkody wyrządzone przez ludzkość. Stworzyli więc nową rasę, bardziej wytrzymałą od ludzkiej, która miała się rozmnożyć i ponownie zasiedlić zniszczony Świat Trzech Księżyców po tysiącach lat, gdy lód wreszcie zaczął topnieć.

Kiedy ludzie przybyli tutaj, najbardziej rozwiniętymi istotami byli prymitywni i niezwykle dzicy Skritekowie. Te ciepło–krwiste, łuskowate stwory miały minimalną świadomość i bardzo niską inteligencję, potrafiły jednak porozumiewać się słowami i w mowie bez słów. Nic nie wiedzieli o miłości, nie mieli sztuki ani kultury i żyli jak drapieżne zwierzęta.

Rozmnażali się w obrzydliwy sposób: ich wygłodzone potomstwo najczęściej pożerało swoją matkę zaraz po urodzeniu.

Wykorzystując zarówno naukę, jak i magię, uczeni z Kolegium Arcymagów złączyli krew tych prymitywnych stworów z ludzką, stwarzając urodziwe i inteligentne istoty, które znacie jako Vispi. W tym samym czasie powstały też obdarzone telepatycznymi zdolnościami olbrzymie ptaki zwane lammergeierami, które miały dopomóc Vispi w przeżyciu. Rozmieszczono kolonie Vispi i lammergeierów na krańcach kontynentu, zanim większa część ludzkości opuściła Świat Trzech Księżyców, stając się Zaginionymi.

W ostatniej chwili przed odejściem kilka tysięcy zwyczajnych ludzi również postanowiło zostać i pomóc Arcymagom oraz miejscowemu życiu, które przetrwało wśród Zwycięskiego Lodu. Dali oni początek ludzkiej populacji naszego świata.

Mijały wieki. Burze śnieżne wreszcie ucichły i klimat powoli znów się ocieplił. Łądolód topił się po trochu, uwalniając ziemię, która ponownie mogła zostać zasiedlona. Kierowani dyskretnie przez Arcymagów i Arcymaginie Vispi mnożyli się — tak samo jak pozostali przy życiu Skritekowie. Od czasu do czasu te dwa gatunki mieszały się ze sobą i w ten sposób powstały inne tubylcze rasy, mniej lub bardziej podobne do ludzi. W dodatku ludzie od czasu do czasu zawierali związki małżeńskie z Vispi, tak że teraz wszyscy mamy w żyłach trochę tubylczej krwi.

Ponieważ ludzie są bardziej płodni od tubylców, nasz gatunek rozmnożył się szybciej niż oni. Po tysiącach lat najżyźniejsze i najzdrowsze tereny zostały całkowicie zajęte przez ludzkość. Tubylcy zaś skolonizowali obrzeża znanego świata: wysokie góry, bagna, gęste lasy i odległe wyspy. Członkowie Kolegium Arcymagów opuścili zbudowany przez Varcoura tajemny Przybytek Wiedzy i zamieszkali osobno, nie przestając opiekować się zarówno ludźmi, jak i tubylcami i kierując ich losami. Dzięki naszej starożytnej nauce możemy żyć bardzo długo. Czasem umierającemu Arcymagowi lub Arcymaginie udaje się znaleźć i wykształcić swego następcę. Nie zawsze jest to możliwe, dlatego z czasem nasze szeregi bardzo się przerzedziły. Nie musieliśmy też w takim stopniu jak dawniej pomagać mieszkańcom Świata Trzech Księżyców. A teraz, moja droga, pozostało nas tylko troje: ty, ja i Denby. Twoja praca jako Arcymaginie Łądu jest najbardziej potrzebna i męcząca. Mnie przypadło łatwiejsze zadanie, a Denby ma najmniej do roboty, dlatego zdziwaczał, stał się samolubny i zrobił się z niego odludek. Przez większość czasu ignoruje zarówno ludzi, jak i tubylców, zajmując się badaniem tajemnic nieba. I żeby to chociaż na coś mu się przydało!

Twoja poprzedniczka, Binah, wybrała na swoją siedzibę Półwysep, ponieważ mieszka tam teraz najwięcej inteligentnych tubylców. Pozostałe rozrzucone po świecie skupiska Ludu Gór, Bagien, Lasów i Mórz albo wystarczająco dobrze dawały sobie radę bez arcymagicznego przewodnika, albo były nadzorowane przeze mnie. Większość moich podopiecznych zamieszkuje archipelagi położone na dalekim pomocnym zachodzie naszego świata, gdzie dociera niewielu ludzi.

W niedalekiej przeszłości jednym z podstawowych zadań Arcymagów była ochrona tubylców, którym groziło wyniszczenie przez wrogo nastawionych ludzi oraz zbieranie i usuwanie niebezpiecznych wytworów Zaginionych, które znajdowano w ruinach starożytnych miast. Dopiero ostatnio wyłonił się całkowicie nowy problem: zagrożenie równowagi Świata Trzech Księżyców. Chodzi mi o ponowne pojawienie się Gwiazdnych Ludzi.

Ta ich Gildia wcale nie zniknęła wraz z ucieczką ostatnich jej członków, jak przypuszczało Kolegium. W jakiś sposób przeżyli, przekazując swoją wiedzę o Ciemnych Mocach z pokolenia na pokolenie. Nigdy nie było ich wielu, gdyż ze swej natury są zazdrośni i skryci. Ich twierdze znajdowały się głównie tam, gdzie w ludziach płynęła tylko niewielka domieszka tubylczej krwi. Wielu z nich odznaczało się silną postacją, włosami o barwie platyny i srebrzystoniebieskimi oczami owej zbrodniczej frakcji Zaginionych...

Aha, widzę, że coś ci to przypomina. Tak, moje dziecko, daleki, niegościnnie Tuzamen był jedną z takich placówek Gwiezdných Ludzi. A czarownik, którego znasz pod imieniem Orogastusa i Portolanusa, jest pierwszym ze swego rodzaju, który podjął próbę odzyskania starożytnego dziedzictwa Gwiezdnej Gildi: panowania nad światem.

Tak, Orogastus żyje. Denby, Arcymag Nieba już dawno przepowiedział jego przybycie. Ale wolał nic nie robić w tej sprawie oprócz zwrócenia naszej — mojej i Binah — uwagi na to przyszłe straszne wydarzenie. Obie pracowałyśmy przez prawie dziewięćset lat nad ukształtowaniem człowieka, którego kwintesencją jesteś ty i twoje siostry, Trzy Płatki Żywego Trillium. Robiłyśmy to z nadzieją, że będziecie miały dość sił, by zneutralizować tego najniebezpieczniejszego z Gwiezdných Ludzi.

Wasze godło, kwiat trillium, które jest symbolem Trójjedynego Boga oraz fizycznej, duchowej i magicznej natury wszechświata, pochodzi z czasów Zaginionych, podobnie jak wieloramienna gwiazda ich przeciwników. Jednakże Czarne Trillium naprawdę istnieje, choć niemal wyginęło, podczas gdy Gwiazda zbrodniczej Gildii, jakkolwiek piękna, jest martwa i niszczycielska jak śmierć.

Tobie i twoim siostram, wyposażonym w magiczne amulety, które wykonała dla was Binah, pozwolono znaleźć talizmany tworzące straszliwe starożytne Potrójne Berło Mocy. I znów to właśnie Denby ustalił, że ten magiczny przyrząd daje jedyną możliwość uratowania świata, nawet jeśli wiąże się to z wielkim niebezpieczeństwem. Potem jednak, przecząc samemu sobie, Denby doszedł do wniosku, że nie powinnyśmy wam pozwolić na złączenie owych trzech talizmanów. Bardzo usilnie nam to odradzał, gdyż uznał, że lepiej się stanie, jeśli rządy nad światem obejmie zbrodnicza Gwiezdna Gildia, niż gdyby miał on zostać zniszczony przez Potrójne Berło Mocy. Binah i ja nie zgodziłyśmy się z nim. Dlatego wszystkie trzy wyruszyłyście na poszukiwania i znalazłyście owe trzy magiczne talizmany. A w najważniejszej chwili Władcy Powietrza podpowiedzieli wam, jak macie użyć Berła Mocy.

Orogastus został wygnany do miejsca, w którym pewien dawno zapomniany Arcymag przechowywał tajemny przyrząd zwany Gwiazdą Przewodnią Gwiezdnej Gildii. Medalion w kształcie gwiazdy, który Orogastus nosił na szyi, uratował mu życie, inaczej bowiem zginąłby w płomieniach, które Berło Mocy zwróciło przeciw niemu. Tymczasem owa Gwiazda Przewodnia przyciągnęła czarownika i jego medalion do siebie. Bardzo mnie to zaskoczyło, gdyż nigdy nie przypuszczałam, że Gwiezdni Ludzie zdołali stworzyć przeciwwagę dla Berła Mocy.

Kiedy Orogastus leżał nieprzytomny, pośpieszyłam wiaduktem na Kimilon i zabrałam stamtąd ów niebezpieczny przyrząd. Obawiam się, że ma on jeszcze jakieś inne nieznanne właściwości, które umożliwią ucieczkę wygnanemu czarownikowi. W tej chwili Gwiazda Przewodnia leży na moim biurku w rogu komnaty. Badałam ją przez wiele lat i nie znalazłam dla niej innego zastosowania niż to, które zademonstrowała w przypadku Orogastusa.

Orogastus nie zrozumiał, w jaki sposób ani dlaczego ocalał. I nadal nie rozumie. Podczas dwunastoletniego wygnania na Niedostępnym Kimilonie ślęczał nad skarbnicą zakazanej wiedzy, którą tam ukryli nasi poprzednicy, szukając sposobu ucieczki z Krainy Ognia i Lodu, by ponowić próbę podboju świata. I przez cały ten czas mocą moich czarów ukrywałam przed nim istnienie wiaduktu. Nie mogłam jednak przeszkodzić mu w posłużeniu się mechanicznym komunikatorem mowy bez słów, którym wezwał swoich pomocników. Zniszczone urządzenie zadziałało tylko raz. To jednak wystarczyło, żeby sprowadzić sługi czarownika do krainy Doroków, gdzie zmusili myśliwego imieniem Sziki do zorganizowania ucieczki Orogastusa. Czarownik zabrał ze sobą z Kimilonu wiele starożytnych broni i innych urządzeń, które później pomogły mu podbić Tuzamen. Po dalszych badaniach znalazł gwiazdną skrzynię, inną przeciwwagę Berła Mocy, o której istnieniu ani Binah, ani ja nie miałyśmy pojęcia. Może Denby coś o tym wiedział, ale nie powiedział nam nic.

Nie wiem, czy Binah i ja odważyłybyśmy się wskrzesić Berło Mocy, gdybyśmy przewidziały, że Orogastus zdoła wam odebrać elementy tej strasznej broni i złączyć ze sobą. Ale co się stało, to się nie odstanie. Orogastus już przywłaszczył sobie jeden talizman. Jeszcze nie wie, jak się nim posługiwać, ale nauczy się dzięki przypadkowi, eksperymentom i naukom samego talizmanu, tak jak uczyłyście się ty i twoje siostry.

Jednakże pełną wiedzę o Berle Mocy i talizmanach, które są jego częściami, można uzyskać tylko wtedy, gdy się je połączy w jedną całość. Nikt z obecnie żyjących na świecie nie zna wszystkich możliwości tej straszliwej broni. Waszej trójce nie pozwolono na zdobycie tej niebezpiecznej wiedzy. Denby i ja skłoniliśmy was do rozdzielenia Berła zaraz po wygnaniu Orogastusa, żeby zminimalizować niebezpieczeństwo grożące światu. Byłyście wtedy bardzo niedojrzałe i łatwo uległyście naszej woli. Ale to się zmieniło. Na dobre lub złe, same kontrolujecie wasze życie i los Świata Trzech Księżyców zależy tylko od was.

Gdyby Orogastus otrzymał wszystkie trzy talizmany — choćby tylko dwa — ty i ja nie zdołałybyśmy mu przeszkodzić w odkryciu większości ich sekretów. Jest on dojrzałym czarownikiem, zahartowanym przez długie lata wyrzeczeń i ma niezwykle silną wolę. Nawet połączona moc trojga Arcymagów tylko z najwyższym trudem mogłaby przekształcić wolę tego Gwiezdnego Człowieka, tak silnie skoncentrował ją na swoich podłych i niecznych planach. Arcymag Nieba naprawdę boi się Orogastusa. Obawiam się, że Denby nie będzie miał odwagi mu się przeciwstawić. Ciemnego Pana Niebios niewiele obchodzi, że równowaga świata została zachwiana i że zarówno ludźmi, jak i aborygenami rządzić będzie złowieszcza Gwiazda. Nie wywrze to większego wpływu na jego własne wygodne otoczenie...

Ale nie rozwódźmy się nad takimi strasznymi ewentualnościami. Jesteś tu wreszcie i chociaż nie potrafię udzielić ci informacji o działaniu całego Berła Mocy, nauczę cię posługiwać się twoim własnym talizmanem, który jest najważniejszy ze wszystkich. Jeśli taka będzie wola Trójjedynego Boga, użyjesz go do pokonania Orogastusa raz na zawsze. Trzydzieści dni i nocy powinno wystarczyć na zakończenie twojej edukacji. Lekcje będą trudne, wymagają bowiem od ciebie większej dyscypliny wewnętrznej niż wiedzy. Mam jednak do ciebie zaufanie, Haramis—która—nie—ścierpi—bzdur. Na pewno przewyciężysz wszystkie trudności...

A teraz idę po deser, który specjalnie przygotowałam na twoją cześć: wyśmienity krem z ikry!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Kadiya i Sziki ukryli się w zaroślach na brzegu strumienia będącego granicą wioski Aliansów. Zachmurzone dotąd niebo przecierało się, a małe leśne stworzenia niepewnie podejmowały przerwane przez burzę nocne pieśni. Wezbrany potok szemrał w ciemności po skałach. Kadiya i Sziki przekroczyli go bardzo ostrożnie. W tubylczej wiosce, gdzie centralny plac otaczało mnóstwo wysokich pochodni, ponad trzystu morskich Odmieńców tańczyło wokół dzieci rozciągniętych na błotnistej ziemi i przywiązanych do kołków. Śpiewali głębokimi głosami i grali na swych prymitywnych instrumentach, głównie bębnach.

Hałas muzyki, szum strumienia i zwierzęce dźwięki głużyły wszystkie odgłosy pełzania i przedzierania się poprzez krzaki. Sziki był uzbrojony w ręczną katapultę o dużym zasięgu, tradycyjną broń Doroków, oraz w sztylet szeroki i drugi prawie jak miecz. Jedynym orężem ruwendiańskiej księżniczki był mały sztylecik.

— Wkroczę między nich, kiedy rozpocznie się ceremonia składania ofiar — oświadczyła Kadiya. — Aliansowie pamiętają mnie z nieudanej narady i myślą, że wciąż mam Potrójne Płonące Oko. Jeżeli mi się to uda, uwolnię dzieci, chwycę je i powrócę do ciebie. Ty zajmiesz się naszymi tyłami... Jeżeli ten podstęp zawiedzie, postaram się narobić zamieszania i zabić jak najwięcej tych bydlaków, żebyś mógł sam uwolnić dzieci.

— Ależ wtedy na pewno zginiesz! — szepnął Sziki.

— Jeśli do tego dojdzie, zabierz stąd dzieci i ukryjcie się gdzieś. — Kadiya niecierpliwie machnęła ręką. — Moja siostra Anigel odnajdzie was czarami i w końcu pośpieszy na pomoc... Spójrz! Coś się dzieje w wielkim domu rady. Nie będziemy musieli długo czekać.

— Pani, weź przynajmniej mój nóż — poprosił Sziki.

— Nie. Jest za duży, nie da się go ukryć pod ubraniem. Muszę śmiało wejść między nich — oświadczyła Ruwendianka. Ścisnęła dłoń wieszący na szyi amulet, odłamek bursztynu, w którym tkwił kopalny kwiatek trillium. Dodała z uśmiechem niewiary: — Może ten amulet mnie obroni, tak jak zaprowadził mnie i tamtego malca bezpiecznie na brzeg wyspy.

— Sądzisz, że twój amulet obroni cię przed napastnikami... może nawet ich pozabija? — Twarz Szikiego rozpromienił błysk nadziei. Plan Pani Czarodziejskich Oczu wydawał mu się zbyt prosty i w istocie miał niewielkie szanse powodzenia, ale mały Dorok nie ośmielił się wypowiedzieć na głos swoich wątpliwości. Jeśli jednak rzeczywiście jest to magiczny amulet...

— On na pewno nikogo nie zabije. — Kadiya z westchnieniem opuściła bursztynowy wisior na piersi. — A co do pomocy, to zawsze zachowywał się kapryśnie. Musiałam głęboko wierzyć, że mi pomoże, i wtedy rzeczywiście mi pomagał. Tak naprawdę nie wiem, czy teraz jestem do tego zdolną, powinnam przecież zachować zimną krew, jak przystało na dorosłą osobę, a nie wpadać w panikę, czy ufać mu jak dziecko. Kiedy byłam jeszcze naiwną dziewczyną, ten bursztyn z kopalnym trillium osłonił mnie przed magicznym wzrokiem złego czarownika, pozwolił mi bezpiecznie skoczyć z dużej wysokości, no i przeprowadził przez dzikie bagienne bezdroża. Dzisiaj znów jakby mnie niósł w powietrzu, z dala od trąby wodnej. Nie panowałam nad sobą i prosiłam go o pomoc, ale takiego rozkazu mu nie wydałam. Zresztą... może tylko sobie wyobraziłam, że stał się cud. Możliwe, że to wielka fala, a nie magia wyrzuciła na brzeg mnie i Tola.

— Było takie zamieszanie, że nie dostrzegłem, jak tam się znaleźliście — przyznał Dorok.

— Kiedy ja i mój siostrzeniec byliśmy jeszcze na morzu, wydało mi się także, że słyszę głos dawno zmarłej kobiety... Tej, która dała mi ten amulet i wysłała w najważniejszą podróż mojego życia. Ale może to też sobie wyobraziłam...?

— Niewiele wiem o magii — odrzekł powoli Sziki. — Wiem jednak, że przede wszystkim trzeba ufać we własne siły, by odnieść sukces. Postaraj się wzbudzić w sobie głęboką ufność w siłę swojego amuletu, a wtedy na pewno uratujesz dzieci.

— To dobra rada — powiedziała Kadiya. — Inna sprawa, czy zdołam się nią kierować. Przyzwyczyłam się polegać na sobie... i na pewnym cennym przedmiocie, który mi niedawno ukradziono. Bez tego przedmiotu, bez mojego talizmanu, nie jestem tym, kim byłam kiedyś.

Opowiedziała pokrótce małemu Odmieńcowi, jak straciła swój talizman, jak Portolanus wydobyl z głębin morza Potrójne Płonące Oko i co utrata części wielkiego Berła Mocy znaczy dla niej samej i dla jej sióstr, a może nawet dla całego świata. Zakończyła tak:

— Musisz zrozumieć, przyjacielu, jak marną namiastką tego, co utraciłam, jest ów odłamek bursztynu.

Sziki delikatnie położył trójpalczystą dłoń na ramieniu Ruwendianki.

— Amulet na pewno zachował swoją moc. Czyż nie przyleciał do ciebie, swej pani, kiedy zły czarownik chciał go zagarnąć?

— To prawda... Od moich narodzin, od chwili, gdy Arcymagini Binah mi go dała, nigdy się z nim nie rozstawałam. Kiedy Potrójne Płonące Oko stało się moją własnością — wtopił się weń. W chwili jego utraty poczułam się tak, jakby wydzierano mi serce z piersi!

— Ale przecież to ten odłamek bursztynu, a nie tamten talizman, tak naprawdę jest twój od urodzenia. Czy zastanowiłaś się, pani, że najważniejszą stratą byłyby dla ciebie utrata właśnie tego amuletu?

Kadiya jakby zaniemówiła, wbiła w Szikiego oszołomione spojrzenie.

— A teraz amulet wrócił do ciebie. — Sziki uśmiechnął się, by dodać jej otuchy. — Nie masz powodu, by nie ufać w jego moc. Ani w siebie.

— Jeśli masz rację... — Księżniczka namyślała się gorączkowo, nie odrywając wzroku od Aliansów skaczących na wioskowym placu. Odmieńcy tańczyli jak szaleni, a warkot bębnow stał się tak szybki, że zlewał się w ciągły ryk, zagłuszający śpiew i dźwięki innych instrumentów.

— Pani Kadiyo, dobrze jest zadawać sobie samemu pytania i nie ufać zbyt we własne zdolności rozpoznania prawdy, gdyż prowadzi to do arogancji. Nie należy jednak nadmiernie dręczyć się wątpliwościami ani używać ich jako wytłumaczenia dla swej beczynności lub bezmyślnych czynów. To rodzaj złej dumy. Rozumiesz, o co mi chodzi? Każdy otrzymuje przy narodzinach jakieś dary i musi wykorzystywać je najlepiej, jak potrafi. Skoro urodziłaś się na przywódczynię, to przewodź tym, którzy ci zaufali. Jeżeli utraciłaś przywództwo, pogódź się z losem. Jeśli zaś twoja rola polega na tym, że poprzez ciebie będzie działać magia, zaakceptuj to, ale bez pysznej myśli, że na to zasłużyłaś. Poznaj swoje ograniczenia, pani, miej jednak odwagę je przekroczyć, jeśli to dobro wspólne, a nie twoje własne, popycha cię do działania. Tak, może ci się nie uda. Nie będzie to wszakże hańbą, lecz próbą najwyższego rzędu.

Bębny ucichły.

Kadiya objęła Doroka i pocałowała go w czoło.

— Dzięki Bogu, że zostałeś tu przysłany. — Wzięła głęboki oddech i mówiła dalej: — Kiedyś moja siostra Anigel dzięki swemu amuletowi stała się niewidzialna i uciekła wrogom, którzy ją pojмали. Innym razem w ten sam sposób rozbroiła nieprzyjacielskich wartowników. Ja sama nigdy nie miałam serca do takich przebiegłych podstępów, gdyż zawsze działałam śmiało i otwarcie. Teraz jednak posłucham twojej rady... i otworzę się dla mojego amuletu. Jeśli rzeczywiście mam być zwykłym pośrednikiem dla magii, błagam Władców Powietrza, by użyli mnie wedle swej woli. Moje wątpliwości i zniecierpliwienie są bez znaczenia. JJczy się tylko ocalenie tych biednych maleństw, Nikalona i Janeel. Sziki, jesteś gotów?

— Tak — odparł Dorok.

— Zapomnij o moim wcześniejszym planie. — Oczy Kadiyi zabłyły w blasku pochodni.
— Bądź czujny i w odpowiedniej chwili zabierz dzieci.

Księżniczka zniknęła.

Wokół dwóch ochlapanych błotem maleńkich postaci, przywiązanych do pali na środku wioskowego placu, zgromadziło się około pięćdziesięciu uzbrojonych tubylczych wojowników. Pozostali Aliansowie stali nieco dalej, między wbitymi w ziemię pochodniami. Od momentu, gdy Kadiya i Sziki po raz pierwszy zbliżyli się do placu, Nikalon i Janeel leżeli nieruchomo jak nieprzytomni. Teraz jednak, kiedy barbarzyńska muzyka umilkła, poruszyli się lekko.

Następca tronu Laboruwendy zwrócił głowę ku siostrze i powiedział coś. Odpowiedziała mu niepewnym uśmiechem. Później oboje znów zamarli w bezruchu, utkwivszy wzrok w rozgwieżdżonym niebie. Dziesięcioletnia Janeel miała na sobie tylko brudną koszulę, a jej brat ubrany był jedynie w przepaskę biodrową.

Z największej chaty wyszedł wódz Aliansów Har-Chiss. Tuż za nim szła tubylcza kobieta z dużym tobołem. Wielki Wódz wystroił się w naszywaną perłami spódniczkę ze złotogłowiu i takiż serdak oraz w naszyjnik ze złotej siateczki wysadzanej perłami i drogocennymi koralami. Jego kosmate członki okręcone były sznurami pereł. Każdą łuskę na jego plecach, piersiach, ramionach i udach ozdobił złoty lub szkarłatny rysunek. Wyłupiaste żółte oczy Odmieńca okalały szkarłatne kręgi, w samym środku wysadzanej szlachetnymi kamieniami obręczy na czole tkwił zakrzywiony róg z pereł w złotej oprawie.

Har-Chiss wypowiedział jakieś pytanie, a tłum wojowników i innych morskich Odmieńców zaśpiewał entuzjastycznie w odpowiedzi. Później bębny znowu poczęły wybijać powolny, skomplikowany rytm: głębokie, grzmiące tony płynęły z największych, wyższe, o złowrogim brzmieniu z bębnow średnich rozmiarów, i przenikliwe, podobne do brzęku owadów nuty z najmniejszych. Wódz wielkimi krokami wyszedł na środek placu. Pochylił się nad księżniczką Janeel i jednym zamachem zdarł z niej cienką koszulę. Dziewczynka nie mogła powstrzymać okrzyku zaskoczenia, umilkła jednak widząc, że oczy leżącego obok Nikalona, który nadal uparcie wpatrywał się w niebo, napełniły się łzami.

Kiedy dudnienie bębnow stało się szybsze i głośniejsze, Har-Chiss przywołał gestem stojącą opodal pomocnicę. Była to starsza niewiasta, odziana niemal tak wspaniale jak on sam. Uklękła teraz przed nim i rozwinęła swój tłumok.

Był pełen noży.

Tłum wydał zachęcający okrzyk.

Har-Chiss skinieniem ręki nakazał milczenie. Po chwili namysłu, a odgłos werbli dodawał dramatyzmu jego powolnym ruchom, pochylił się i przyjrzał równym rzędom lśniących brzeszczotów ułożonych wedle wielkości. W końcu wyjął maleńki nożyk o wysadzanej perłami rękojeści, który zaśnił w blasku pochodni. Poruszając się w skomplikowanym rytmie bębnow, zaczął wymachiwać nim nad księżniczką, naśladując ruchami zdzieranie skóry z ciała. Lud Morza wył z aprobatą po każdym rytualnym geście.

Wreszcie bębny ucichły.

Har-Chiss podniósł smukłe ramię Janeel i nachylił się, mierząc w nie ostrzem.

Sziki podniósł swą katapultę i przygotował się do wystrzelenia ołowianej kuli. Na nieszczęście pokryta łuskami głowa wodza Aliansów, osłonięta dodatkowo metalową obręczą z rogiem, znajdowała się poza zasięgiem celnego strzału.

Wtem...

Długa szyja Har-Chissa wygięła się do tyłu. Z otwartego pyska, spomiędzy długich kłów, wysunął się czarny język. Wódz wrzasnął. Nóż wypadł mu z ręki, i o dziwo, zatoczył łuk w powietrzu, a światło pochodni sprawiło, że wyglądał jak mały płomyk. Nożyk nieoczekiwanie zawisł tuż za Har-Chissem. Odmieniec gorączkowo próbował zerwać z czoła przepaskę. Ku osłupieniu widzów ceremonialna ozdoba jakby ożyła, odciągając coraz silniej głowę ich

przywódcy, aż odsłoniła pozbawioną łusek, porośniętą płowym futrem szyję. Lśniące ostrze, zniżając się błyskawicznie, zabłysło jak meteor. Szyję Har-Chissa przecięła cienka szkarłatna linia, która rozszerzyła się, tryskając ciemną krwią. Rozpaczliwy krzyk wodza zamienił się w przerażający, sykliwy jęk. Wysoki Odmieniec zachwiał się. Jego krew bryznęła na nagie ciało księżniczki Janeel. Dziewczynka zamknęła oczy, ale nie wydała żadnego dźwięku.

Har-Chiss runął w szybko powiększającą się czerwoną kałużę. Sziki zauważył ze zdumieniem, że na ziemi pojawiły się krwawe ślady stóp. Odgarniając ostrożnie zarośla przysunął się bliżej, pewny, że żaden z wrzeszczących, przerażonych Aliansów nie będzie obserwował lasu. Zdezorientowany tłum znieruchomiał, gdy unoszący się w powietrzu ozdobny brzeszczot przeciął więzy księżniczki. Lecz pomocnica Har-Chissa okazała się bystrzejsza od swoich współplemieńców. Pochwyciła z rozłożonego na ziemi arsenału straszliwą broń podobną do ząbkowanego topora rzeźniczego i rzuciła się ku księciu Nikalonowi.

Sziki wymierzył w płonące złością żółte oko. Ołowiana kula trafiła w cel i kobieta z Ludu Morza runęła martwa na ziemię.

Chwilę później Nikalon i Janeel byli wolni. Wówczas krwawe ślady oddaliły się szybko od dzieci i przez otaczający je pierścień uzbrojonych tubylców przemknęły na skraj placu. Niewidzialny przeciwnik wyrwał z ziemi dwie wysokie pochodnie i począł nimi wymachiwać i uderzać wojowników, odciągając ich od uwolnionych więźniów. Odmienicy zaczęli się z krzykiem cofać, a wielu z tych, którzy się ociągali, zostało poparzonych. Niektórzy wojownicy bezradnie próbowali ciąć mieczami niewidocznego demona, inni rzucali włóczniami we wszystkie strony. Trafiali jednak tylko swoich współplemieńców. W końcu niewidoczny demon cisnął obie pochodnie na najśmielszych Aliansów, wyrwał z ziemi następne płonące drągi i po kolei cisnął je między tubylców. Ukryty na skraju placu Sziki słał w tłum kulę za kulą z taką siłą, że roztrzaskiwały kości nieprzyjaciół.

Nie minęło wiele czasu, a niemal wszyscy nie uzbrojeni Aliansowie i liczni wojownicy rzucili się do ucieczki pomiędzy chatami w stronę ciemnego lasu. Ci, którzy próbowali walczyć, albo padli od kul Szikiego, albo z płonąca sierścią, niczym żywe pochodnie, z krzykiem bólu i wściekłości, na pół oślepli jak szaleni cięli mieczami powietrze. Nikt nie zauważył, że jakaś mała postać wybiegła z lasu, pochwyciła Nikalona i Janeel i zniknęła w mroku.

Tajemniczy przeciwnik wreszcie rzucił między pozostałych na placu tubylców resztę pochodni, które padły na ziemię i zgasły. Na plac płynął teraz tylko blask od domowych ognisk wydobywający się przez otwarte drzwi opustoszałych chat i błada poświata Trzech Księżyców stojących wysoko na niebie. Leśne zwierzęta podjęły chóralną pieśń.

Kiedy stało się jasne, że niewidzialny demon odszedł, zabierając ze sobą więźniów, wojownicy Ludu Morza zgromadzili się w chacie rady. Jedni zdołali się z trudem wczołgać, inni podtrzymywali się wzajemnie. We wnętrzu rozbrzmiewały głośne protesty, jęki i płacz po śmierci Wielkiego Wodza. Ci, którym smutek i żal nie zmałyły umysłów, w mowie bez słów uprzedzili inne wioski na Wyspie Rady i sąsiednich wyspach o obecności znenawidzonych cudzoziemców i pojawieniu się niewidzialnego demona. Pocieszyła ich trochę wieść, że ich pobratymcy natychmiast wyruszyli lądem i morzem, by zaatakować oba statki należące do najeźdźców.

Jednakże powracający z głębi lasu załęcznieni mieszkańcy natrafili na coś jeszcze strasniejszego: oto wrogowie dopuścili się tak przerażającego świętokradztwa, że Lud Morza zapalał zemstą i znów chwycił za broń. Wszyscy zdolni do walki wojownicy, zapomniawszy o wcześniejszych strachach, pobiegli ścieżką nad morze, przysięgając w duchu, że żaden człowiek nie opuści żywy Bezwietrznych Wysp. Okazało się bowiem, że niewidoczny demon pociął wszystkie obrzędowe bębny narodu Aliansów tak, że już nigdy nie zadźwięczą.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Po zakończeniu rozmowy Anigel z Portolanusem ona sama, Jagun z plemienia Nyssumu i trzynastu wyvilskich wojowników, którzy pozostali na pokładzie „Lyath”, popłynęli na Wyspę Rady w dwóch małych łódkach. Trzeba było działać natychmiast, gdyż Nikiemu i Jan groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, a Anigel była przekonana, że Kadyia będzie potrzebowała pomocy. Kiedy sztorm ucichł, królowa wraz z dobrze uzbrojoną eskortą wylądowała na brzegu zatoczki przylegającej do Zatoki Rady i pośpiesznie ruszyła ścieżką w stronę wioski Har-Chissa.

— To tylko dwie mile stąd — powiedział Jagun. — Weź mnie za rękę, Wielka Królowo. Poprowadź cię, a ty będziesz mogła obserwować swoje dzieci z pomocą talizmanu.

Anigel szła potykając się i z coraz większym niepokojem przypatrywała się straszliwemu obrzędowi Aliansów.

— Oni znów zapalili pochodnie i zaczęli tańczyć! Nie zdążymy na czas! Och, gdybyż moja siostra mogła coś zrobić!

Kiedy Har-Chiss przystąpił do obdzierania ze skóry biednej Janeel, a Kadię spowiła niewidzialność pozwalająca go zabić, wstrząśnięta Anigel zatrzymała się w pół kroku, wpatrzyła w przestrzeń nie widzącymi oczami i stała tak niemal sparaliżowana, niezdolna wykrztusić nawet słowa.

Jagun i Wyvilowie otoczyli znieruchomiłą postać królowej. Byli przerażeni, gdyż aż do tej strasznej chwili Anigel przekazywała im wszystko, co widziała w wiosce Aliansów. Teraz żaden nie ośmielił się odezwać. Bali się, że księżniczka Janeel została zabita, albo że spotkał ją los jeszcze gorszy. Jagun, wciąż trzymając lodowatą dłoń Anigel, ukląkł przed nią z pochyloną głową. Wysocy Wyvilowie w błagalnej milczącej modlitwie wzniesli ramiona ku Trzem Księżycom. Wreszcie Anigel wzdrygnęła się i odetchnęła głęboko.

— Przyjaciele — szepnęła. — Kadyia uratowała dzieci.

Jagun i Wyvilowie krzyknęli z ulgą. Anigel przywołała ich bliżej i pokazała tę zdumiewającą scenę z pomocą swego magicznego diademu. Zobaczyli martwego Har-Chissa i przerażonych Aliansów, których walił pochodniami niewidoczny przeciwnik. Ujrzeni, jak ich mały pobratymiec z nieznanego plemienia wziął w ramiona zakrwawione dzieci i zaniósł je bezpiecznie do lasu.

— Dzięki niech będą Władcom Powietrza i mojej Jasnowidzącej Pani! — zawołał Jagun. — Ale kim jest ten obcy, który jej pomaga?

— Kadiya nazwała go Sziki — odparła Anigel. — Ale dość oglądania, nie mamy już czasu. Musimy śpieszyć na spotkanie Kadi, zanim Aliansowie przyjdą do siebie.

Pobiegli przez ciemny las, słysząc zewsząd gwizdy, świsty i śpiewy niewidocznych mieszkańców, jakieś trzaski w krzakach czy łaskoty. Dobrze widzący nocą Wyvilowie stwierdzili, że to tylko zwierzęta, a nie wrogo nastawieni tubylcy. Anigel zobaczyła w swoim talizmanie, że Kadiya, Sziki i dzieci uciekają boczną ścieżką biegnącą niemal równolegle do tej, którą sami wędrowali. Wyvilowie wyciągnęli topory i zaczęli wyrąbywać drogę w gęstym poszyciu dżungli. Jagun wydał przenikliwy, melodyjny okrzyk, dobrze znany jego pani, jak powiedział. Kiedy więc wszyscy dotarli przesieką do owej bocznej ścieżki, uciekinierzy już na nich czekali.

Królowa, szlochając z radości, przygarnęła mocno Nikalona i Janeel. Dzieci były oszołomione i nie pamiętały, co się z nimi działo. Janeel nosiła haftowany kaftan Szikiego, a Nikalon jego wełnianą koszulę. Dorok pozostał tylko w skórzanych spodniach i butach. Anigel otarła łzy i objęła siostrę.

— Niech cię błogosławi Trójjedyny, droga Kadi — i ciebie, dzielny Sziki! Nie możemy tu pozostać. Antar płynie do brzegu w Zatoce Rady, a Tolo ukrywa się wśród drzew na skraju

lasu. Musimy ich stamtąd zabrać. Rozdzielimy się. Część zaniesie Nikiego i Jan z powrotem na „Lyath”, a pozostali ruszą do Zatoki Rady.

— Niech Jagun i dwóch wyvilskich wojowników zabierze dzieci na statek — odparła Kadiya. — Pomogę ci w ratowaniu Antara i Tola. — Podniosła zawieszony na kawałku liany bursztynowy medalion i ponury uśmiech rozjaśnił jej zakrwawioną twarz. — Wprawdzie czarnoksiężnik odebrał mi talizman, ale pozostał mi amulet. A jest on groźny, wymierzył sprawiedliwość złym Aliansom. Siostró, we dwie zdołamy stawić czoło Portolanusowi!

— Oby tak się stało — odparła cicho Anigel, lecz twarz miała smutną i widać było, że dręczy ją niepewność. Królowa przemówiła uspokajająco do Nikiego i Jan, pocałowała na pożegnanie i dzieci odeszły ze swoją eskortą. Wtedy Anigel dotknęła diadem, rozkazując pokazać sobie wydarzenia w Zatoce Rady.

— Czarownik posyła łodzie po Antara i Tola! — Anigel krzyknęła z konsternacją.

— Szybko, moi przyjaciele! — zawołała Kadiya do Wyvilów. — Prowadźcie nas jak najszybciej na brzeg Zatoki Rady!

Ruszyli wszyscy biegiem, a tupot ich nóg zagłuszył słabe okrzyki dochodzące teraz z wioski Har-Chissa.

— Są tam! — wykrzyknął Czarny Głos.

Stał na dziobie łodzi, za którą tuż-tuż płynęły rzędem cztery następne. Z jego oczu strzeliły bliźniacze wiązki białego światła. Akolita przemówił głosem Portolanusa, który z pomocą swego talizmanu zlokalizował zbiegów i prowadził pościg. Wiosłując na trzy zmiany, piraci dogonili króla Antara i jego wyvilskich towarzyszy, gdy ci znajdowali się niedaleko brzegu. Nagle cztery głowy, widoczne z oddali na spokojnych wodach zatoki, zniknęły!

— Oni nurkują, Wielki Panie! — ostrzegł któryś Raktumianin.

— Król jest za słaby, żeby pozostać długo pod wodą. Szybko, wy i wy! — Sługa Portolanusa wskazał na dwa czółna. — Płyńcie jak najszybciej do brzegu i odetnijcie im drogę ucieczki łądem. Reszta przygotowuje linki z hakami! Podwoić czujność!

We wszystkich łodziach podniesiono zwinięte liny, z których każda kończyła się trzema małymi, lecz piekielnie ostrymi haczykami. Przez kilka minut panującą wokół ciszę mąciło tylko oddalające się ku brzegowi skrzypienie wiosł. Morze było niezwykle spokojne, odbijały się w nim miniaturowe Trzy Księżycy. Jakieś ćwierć mili na pomoc szósta piracka łódź, kierowana przez drugiego pomocnika czarnoksiężnika, zwanego Purpurowym Głosem, zbliżyła się do brzegu. Jej załoga przygotowywała się do poszukiwań księcia Tolivara. Nagle rozległ się głośny plusk i bolesny jęk.

— To król! Jest tam! — Wiązki światła strzelające z oczu Czarnego Głosu wyłowiły mokre jasne włosy Antara i jego na pół zanurzoną w wodzie twarz tuż niedaleko łodzi. Jeden z piratów zarzucił linkę. Król krzyknął głośno, kiedy pierwszy hak musnął głowę i wbił się w nagi bark. Antar jeszcze bardziej zaplątał się w sieci i o mało się nie utopił. Wkrótce poniechał walki i leżał nieruchomo z głową pod wodą. Czarny Głos w obawie o jego życie rozkazał szybko wciągnąć króla do łodzi. Skoro tylko Antar znalazł się w środku, czółno zakołysało się gwałtownie. Piraci zaczęli przeklinać na całe gardło, a jeden wrzasnął:

— Odmieńcy są w wodzie! Zatopią nas! Lummomu-Ko, przywódca Wyvilów, wynurzył się nagle ponad brzegiem czółna Czarnego Głosu. Cały ociekał wodą, jego oczy błyszczały ze złości, w rozwartym pysku lśniły białe zęby. Pochwyił dwóch piratów i wyciągnął z łodzi, szarpiąc kłami w chwili, gdy wpadli do morza. Dwaj inni Wyvilowie, Huri-Kamo i Mok-La, rozkołysali pierwsze czółno i usiłovali je zatopić, a piraci walili ich z góry wiosłami.

— Miecze, wy idioci! — zawołał Czarny Głos. — Użyjcie mieczy! — Przykucnął nad nieprzytomnym królem, własnym ciałem osłaniając go przed niedoszłymi ratownikami.

Lummomu-Ko znowu wyskoczył z wody z głośnym pluskiem i wciągnął do morza następnych dwóch piratów. Czwarty Raktumianin stracił równowagę na chyboczącej się

gwałtownie łodzi i wypadł za burtę w chwili, gdy próbował ciąć mieczem wodza Wyvilów. Czarny Głos, Antar i dwaj pozostali w czółnie piraci przewalali się bezsilnie w plątaninie ciał i oręża. Trzej Wyvilowie ryknęli triumfalnie.

Jednakże zbliżyły się inne łodzie, podobnie uczyniły tamte dwie, którym polecono skierować się do brzegu, a które zawróciły, gdy rozpoczęła się walka o króla Laboruwendy. Ich załogi zaatakowały włóczniami i drugimi mieczami kryjących się w wodzie trzech Odmieńców. Huri-Kamo krzyknął z bólu, kiedy raktumiański brzeszczot odrąbał mu pazurzystą dłoń, i ześlizgnął się do wody. Piraci bezlitośnie cięli mieczami i kłuli włóczniami Lummomu-Ko i Mok-La dopóty, dopóki i oni nie zniknęli w morzu. Musieli się wycofać, przedtem zdołali wszakże wciągnąć do wody sześciu ludzi z łodzi Czarnego Głosu. Jeden z pozostałych w niej jęczał boleśnie, zraniony przez własnego towarzysza.

— Holujcie nas do okrętu flagowego! — wychrypiał Czarny Głos. — Pośpieszcie się!

Jedyny nietknięty członek załogi czółna rzucił linę do najbliższej łodzi, a potem usiadł ostrożnie na ławce.

— Uważasz, Panie, że te łuskowate czorty się potopiły?

Pomocnik czarownika milczał. Bliźniacze słupy światła bijącego z jego oczu przesuwają się po wodzie, gdy kręcił głową na wszystkie strony.

— W każdym razie już ich tu nie ma — odparł po chwili. Następnie krzyknął do załóg pozostałych czółen: — Wiosłujcie szybciej! Muszę dostarczyć króla na flagowiec, by opatrzyć mu rany. Jeśli umrze, zapłacicie za to życiem!

Z pozostałych łodzi dobiegł szept rozmów. Któryś z marynarzy zwrócił się z niepokojem do Czarnego Głosu:

— Panie, Yokilowi się wydaje, że widzi jakieś światła na morzu. Tuż za południowym cyplem.

— Yokil ma bystre oczy — odparł sługa czarnoksiężnika. — To Aliansowie. Morscy Odmieńcy z pobliskich wysp. Płyną tu, żeby nas zaatakować. Dopadną nas za jakieś z górą pół godziny. A teraz, na czarta, zamknij się i wiosłuj!

Powiedziawszy to, Portolanus wycofał się z umysłu swego akolity, którego oczy nagle się zamgliły, i skupił całą uwagę na księciu Tolivarze.

— Mój talizman pokazuje, że dzieciak ukrywa się w tej kępie drzew. — Purpurowy Głos zwrócił się do idących za nim po piasku ośmiu piratów. — Rozdzielcie się i nasłuchiwać uważnie!

Raktumianie zakłęli ordynarnie, kiedy dwie jaskrawe gwiazdy rozjarzyły się nagle pod kapturem akolity, przesywając mroczne zarośla. Purpurowy Głos przemówił tonem swego pana:

— Nie macie najmniejszego powodu do niepokoju. To jestem ja, Portolanus, działam za pośrednictwem mojego pomocnika. Trzymajcie w pogotowiu sieci, gdy wejdziecie między drzewa. Małemu księciu nie może stać się nic złego...

Zanim jednak zdążył dokończyć, ciepły nocny wietrzyk przyniósł z oddali cichy śpiew i mnóstwo tańczących żółtych światełek pojawiło się nagle na plaży na południowym krańcu zatoki. To przybyli z położonych w głębi wyspy wiosk Aliansowie wyroili się z dżungli.

— Morscy Odmieńcy! — krzyknął jakiś pirat pokazując na nich palcem. — Idą prosto na nas!

— Spójrzcie tam! — Inny Raktumianin wskazał na morze. — Tam jest jeszcze więcej tych obrzydliwych bękartów! Purpurowy Panie, wracajmy na flagowiec! Nie ma czasu na szukanie królewskich bachorów! Admirał musi odpłynąć na pełne morze, zanim te dzikusy zrobią sito z kadłubu triremy.

Poparł go ogólny pomruk.

— Zdążymy odnaleźć tego dzieciaka — upierał się pomocnik Portolanusa. — Wyczaruję burzę, która powstrzyma wojenne łodzie tych nisko urodzonych łajdaków.

— Niech zaraza porwie ich łodzie! — burknął jakiś opryszek. — A co z tą gromadą, która zbliża się do plaży? Są już blisko! Ja się stąd wynoszę!

Reszta Raktumian z okrzykami poparcia jak jeden mąż odwróciła się i pobiegła z powrotem do czółen, zanim Purpurowy Głos zdołał ich powstrzymać. Rozzłoszczony akolita ruszył za nimi, na próżno usiłując ich dogonić. Nagle od tyłu dobiegł przeraźliwy krzyk. Raktumianie nawet się nie zawahali w biegu, ale Purpurowy Głos odwrócił się błyskawicznie. Jego oczy oświetliły małą postać, która wynurzyła się z krzaków i z płaczem pomknęła ku niemu przez zalany księżycową poświatą piasek.

— Idą od strony wioski! Słyszę ich! Nie pozwólcie, by mnie schwytali ci morscy Odmieńcy! Zabierzcie mnie ze sobą! — wołał w biegu.

— Na Kości Bondanusa... toż to księżę Tolivar! — zawołał Purpurowy Głos. — Pośpiesz się, chłopcze!

— Tolo, nie! — zabrzmiał w oddali czyjś okrzyk. — Nie rób tego! Mały księżę zwolnił kroku i spojrzał przez ramię w stronę ciemnego lasu. Zawahał się.

— Pośpiesz się, bo będę musiał cię zostawić — ostrzegł Purpurowy Głos.

Tolivar co sił pomknął do przodu i rzucił się w otwarte ramiona akolity. Ścisnął go za szyję, gdy ten skokami biegł do czółna.

— Trzymaj się mocno, chłopcze!

— Mówisz tak jak Portolanus — zauważył Tolo.

— Bo teraz jestem nim! — wystękał Purpurowy Głos. Wygramolił się niezdarnie do środka, a chłopiec omal go przy tym nie udusił. Łódka natychmiast odbiła się od brzegu.

— Chcesz powiedzieć, że ukrywasz się w ciele tego mężczyzny? — spytał zafascynowany Tolivar.

— Można to tak ująć... Ale teraz muszę go opuścić, żeby zająć się innymi sprawami.

— Czy znów schwytałeś mojego ojca? — zapytał księżę.

— Tak. I tym razem żaden z was nie ucieknie, póki nie dostanę okupu. Ale nie bój się, Tolo. Czuję, że zostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

— Czarownika? Czy muszę wracać do domu? A jeśli nie chcę? — spytał cicho Tolivar.

Jednakże w tej chwili świecące jak gwiazdy oczy akolity zamgliły się, a gdy całkiem zgasły, Purpurowy Głos westchnął głęboko.

— Usiądź tutaj, na dziobie, księżę, i trzymaj się z dala od wiosłarzy — polecił. Jego głos brzmiał teraz zupełnie inaczej.

— Już nie jesteś czarownikiem, prawda?

— Milcz — odparł zimno Purpurowy Głos. — Wkrótce spotkasz mojego pana.

Piraci wiosłowali tak szybko, jakby serca chciały im pęknąć z wysiłku; łódka wprost szybowała nad szklistą powierzchnią morza. Aliansowie błyskawicznie zbliżali się do brzegu, a na wodzie wokół południowego cypla pływało tak wiele tubylczych łódek, że nikt nie zdołałby ich policzyć. Jakiś ludzki głos wołał, zagłuszając śpiew morskich Odmieńców:

— Tolo! Tolo!

Księżę Tolivar wstał i wyżejając wzrok wpatrzył się w pobliską wyspę. Purpurowy Głos z przekleństwem chwycił go wpół.

— To woła moja matka — powiedział spokojnie malec. — Spójrz: właśnie wychodzi z lasu. Widzi mnie z pomocą swego talizmanu.

— Tolo! — rozległ się znów rozpaczliwy okrzyk. Chłopiec zawahał się. Zwrócił się do trzymającego go akolity:

— Ona też może mnie słyszeć... Do widzenia, mamó!

Później usiadł i patrzył, jak marynarze rozwijają żagle na wielkiej raktumiańskiej triremie. Gromadzące się chmury burzowe przesłoniły Trzy Księżyce.

— Tolo! Mój biedny synku, coś ty zrobił? Och, Boże, nie! Portolanus znów pojmał ich obu! Talizmanie! Rozkazuję ci sprowadzić do mnie mojego małżonka i syna! Uśmierć porywaczy! Zabij ich, mówię ci! Zrób to, talizmanie. Zrób to...

Rozdzierające krzyki Anigel nie wywołały żadnego skutku — talizman nie reagował. Królowa wpadła w gniew i pobiegłaby nad morze, gdyby Kadiya jej siłą nie powstrzymała. Obie siostry i towarzyszący im Wyvilowie stali na skraju lasku, patrząc bezradnie, jak pirackie łodzie mkną do triremy. Wiatr wzmagął się, szarpiąc długimi, sztywnymi liśćmi drzew lown, a niosący pochodnie tłum Aliansów był już tak blisko, że uciekinierzy widzieli wymachujących bronią poszczególnych wojowników. Najwidoczniej tubylcy dostrzegli człowiecze niewiasty i ich eskortę. Kadiya próbowała uspokoić zrozpaczoną siostrę.

— Ani, to nic nie pomoże. Uspokój się. Pomyśl o jakimś... jakimś pozytywnym rozkazie dla twojego talizmanu.

Z wykrzywioną grymasem rozpaczy piękną twarzą królowa szarpała się jak szalona w uścisku Kadiyi.

— Pozytywnym rozkazie? — krzyknęła. — Mówisz jak skończona idiotka! Jak mogę myśleć o czymkolwiek poza tym, że moi bliscy znów są w rękach tego czorta?! Zamęczy ich na śmierć! A ten bzdurny talizman nie może zrobić nic, żeby ich uratować! Nic...

Kadiya uderzyła ją w twarz.

Anigel najpierw otworzyła usta z oburzenia i bólu, lecz potem wyraz jej twarzy zmienił się nagle. Determinacja zastąpiła urażoną godność.

— Nie, to ja jestem idiotką! Dziękuję ci za ten cios, Kadi. Wróciła mi przytomność umysłu. To oczywiste, że mój talizman może ich ocalić! — Królowa podniosła twarz ku niebu i zawołała na całe gardło: — Posłuchaj mnie, Portolanusie!

— Słyszę cię, królowo Anigel — odparł bezgłośnie czarownik.

— Mój talizman należy do ciebie! — Zerwała z głowy Trójgłowego Potwora i podniosła go wysoko. — Tylko oddaj mi Antara i Tola, a zrobię wszystko, co zechcesz!

— Ani, nie! — krzyknęła Kadiya i znów chwyciła siostrę za ramiona.

Zaczerwienione od łez oczy Anigel świeciły gorączkowym blaskiem.

— Uważaj, siostro! Pamiętaj, że jeśli dotkniesz tego talizmanu bez mojego pozwolenia, zginiesz tak samo jak zginąłby najędźniejszy raktumiański pirat! Słyszysz mnie, Portolanusie? Oddam ci teraz mój talizman!

— Niestety, królowo. Nie mogę przyjąć twego okupu.

— Nie... nie możesz go przyjąć? — zawahała się Anigel.

— Nie.

— Ale dlaczego nie?!

— Nie jest to odpowiednia chwila. — W myślowym głosie czarownika wyraźnie zadźwięczała ironia. — Naprawdę nie. Jeżeli cenisz życie swoje i swoich towarzyszy, uciekaj na swój statek, zanim dostarczycie tubylczym rzemieślnikom doskonałego surowca na obrzędowe bębny. Z wioski nadciąga właśnie wielka cizba Aliansów.

— Możemy dokonać wymiany na morzu — błagała Anigel. — Wszędzie, o każdej porze. Portolanusie, oddaj mi mego małżonka i moje dziecko!

— Nie. Król Antar i książę Tolivar pozostaną przez pewien czas moimi gośćmi. Dopiero potem będziemy mogli ponownie rozpocząć negocjacje. Zabieram ich do Frangine, stolicy Raktum. Nic im nie grozi, nie obawiaj się o nich. Będą dobrze traktowani, chyba że sama nie powstrzymasz się od nierozważnych czynów.

— Nie! Nie! Błagam cię, weź talizman teraz!

— W stosownym czasie skomunikuję się z tobą w sprawie okupu. Do tej pory nie oczekuj ode mnie wiadomości. Zegnaj, królowo.

— Słyszałaś? — szepnęła oszołomiona Anigel.

— Tak — odparła lodowatym tonem Kadiya. — Słyszałam, że próbowałaś zawrzeć nikczemną umowę! Oprócz tego przekonałam się, że brak ci charakteru i jesteś skończoną idiotką! Dzięki Bogu, czarownik nie przyjął twojej propozycji! Kto wie, co zrobiłby z naszym światem mając oba talizmany?!

— Pani Czarodziejских Oczu, musimy stąd uciekać — powiedział nagłym tonem któryś z Wyvilów, przerywając rozmowę sióstr. — Chodź! Nie mamy czasu. Może wojownicy Aliansów dotarli już do „Layth” przed nami i zniszczyli statek.

Kadiya odwróciła się plecami do siostry.

— Masz rację, Wummiko. Chodźmy stąd. — I biegiem poprowadziła Wyvilów między drzewa.

Po chwili wahania Anigel pośpieszyła za nimi. Miała wrażenie, że w środku jest martwa. W rękę trzymała zapomniany, zimny diadem. Dopiero dużo później odkryła, że kwiatek trillium tkwiący w bursztynowym amulecie na przodzie talizmanu zmienił barwę z czarnej na czerwoną jak krew.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Praca była rzeczywiście niezwykle trudna. I im więcej Haramis się uczyła — i lepiej uświadamiała sobie, jak niekompetentną była Arcymaginią — tym słabszą miała nadzieję, że kiedykolwiek zdoła kontrolować siebie i swój talizman. Poznała teraz beznamiętną, całkowicie obiektywną konstrukcję umysłu, niezbędną do rozkazywania największym mocom, ale wiedza i praktyka to przecież dwie całkowicie różne sprawy. Ćwiczenia umysłowe, mające wzmocnić i zdyscyplinować niedojrzałe procesy myślowe młodej czarodziejki (bez końca powtarzała je z nią Iriane), były wyczerpujące i nudne. Co gorsza, wydawały się bezcelowe, gdyż Haramis nie mogła zrozumieć, dlaczego godzinami musi uprawiać medytacyjną gimnastykę zamiast praktykować magię z samym talizmanem. Niebieska Dama powtarzała z uporem i naciskiem, że kształcenie umysłu musi poprzedzać ćwiczenia z magią. Postawa Arcymagini Morza najpierw irytowała ruwendiańską księżniczkę, potem doprowadziła na skraj rozpacz, w końcu obudziła w Haramis nadzieję, że może pozwoli jej osiągnąć cel.

Po piętnastu dniach takiej nauki uzyskała podstawy do rozkazywania wielkim mocom. To samo dzieje się z początkującym flecistą, który wreszcie nauczył się czytać nuty i wydobywać ze swego instrumentu czyste dźwięki, ale jeszcze nie potrafi bezbłędnie odegrać melodii. Haramis poznała myślowe impulsy przywołujące magię, lecz nie dostawało jej doświadczenia i pewności, że zastosowane przez nią techniki doprowadzą do zamierzonych rezultatów. Iriane surowo zabroniła jej rzucania potężnych czarów i ostrzegła, że ryzykuje kalectwo lub nawet śmierć, jeśli źle zastosuje nowo zdobytą wiedzę.

Haramis miała czasami wrażenie, że nigdy nie zdoła zmusić swego kapryśnego umysłu do myślenia w harmonijny i precyzyjny sposób, którego wymagała Arcymagini Morza. Podejmowane przez młodą czarodziejkę próby głębokiej koncentracji i osiągnięcia całkowitego obiektywizmu zawsze były niweczone przez przyпіływy przygnębienia lub nagłe napady buntu. Haramis niepokoiła się też o swoje siostry — Niebieska Dama zabroniła jej posługiwania się magicznym wzrokiem, dopóki się nie skończy pierwszy okres nauki. Najbardziej jednak złościły ją zdradliwe myśli o Orogastusie. Teraz, kiedy wiedziała na pewno, że dawny wróg żyje, wspomnienia jego twarzy i głosu powracały bez końca, a w dodatku prawie zawsze śniła o nim podczas krótkich godzin odpoczynku, na jaki pozwalała jej Iriane.

Pewnego dnia, pogrążywszy się w bagnie zniechęcenia, Haramis poprosiła Arcymaginię Morza, by sprawdziła, czy to aby nie Orogastus odpowiada za jej cierpienia i niekompetencję. Niebieska Dama odpowiedziała zimno, że żadna nieproszona myśl nie mogłaby przeniknąć do jej siedziby. Te słowa jeszcze bardziej przygnębiły młodą kobietę. Jeśli nie mogła winić czarownika za swoje roztargnienie, sama była wszystkiemu winna.

Prawie każdą wolną od snu chwilę Haramis spędzała ćwicząc swój umysł. Początkowo pracowała pod bezlitosnym nadzorem Iriane. Później coraz częściej zamykała się w „konnacie medytacji” o całkowicie czarnych ścianach i podłodze, nie odrywając boleśnie piekących oczu od rozjarzonego bursztynu tkwiącego w Trójskrzydłym Kręgu, usiłując nie poddać się zmęczeniu, nie rozpraszać uwagi, lecz zjednoczyć się ze swym talizmanem. Muszę go kontrolować, powtarzała sobie raz po raz. Tylko jeden Płatek Żywego Trillium może być kluczem do odnowienia równowagi świata, inicjatorem uzdrowienia. Ja nim jestem! Ja inicjuję. Kadiya daje impet i wytrzymałość. Anigel zaś intuicję i bezinteresowną miłość niezbędną do wypełnienia naszej misji...

Starożytna pieśń Ludu Uisgu ze Złotych Błot potwierdzała te role talizmanów i ich władczyń:

Jedno, dwa, trzy: trzy w jednym.
Jedno — Korona Łajdaków, dar mądrości, siła myśli.
Drugie — Miecz Trojga Oczu, sprawiedliwości i łaski oręż.
Trzecie — Trójskrzydła Różdzka, klucz i łącznik.
Jedno, dwa, trzy: trzy w jednym.
Przybądź, Trillium. Przybądź, Wszechmocne.

Jak mogę znów to wszystko połączyć! — pomyślała Haramis. Gdybym tylko naprawdę umiała posługiwać się swoim talizmanem, który jest kluczem i łączem dla pozostałych. Pomóżcie mi, Władcy Powietrza! Pomóżcie mi!

— Pomogą ci — powiedział głos Iriane. — Nigdy nie trać ufności, że ci pomogą.

Gęsty mrok komnaty przybrał ciemnoniebieską barwę i zmaterializowała się w nim pulchna postać Arcymagini Morza. Iriane uśmiechnęła się przyjaźnie. Jedną ręką przytrzymała zakryty koszyk z giętkich łodyg piórka morskiego, a drugą stworzenie zwane Grigri. — Czas na wytchnienie, moje dziecko. Za długo przebywasz w moim świecie i krótka zmiana otoczenia doda ci sił. Idź za moim małym przyjacielem. Zaprowadzi cię na dach tej siedziby. Odpocznij tam na powietrzu, w promieniach słońca. Posił się i ugaś pragnienie tym, co znajdziesz w koszyku. Poobserwuj siostry i uwięzionego szwagra z pomocą swego talizmanu i zapewnij ich o swoim oddaniu i miłości. Posługując się tak słabymi mocami nie zrobisz sobie nic złego. Możesz też popatrzeć na niego, jeśli poczujesz, że nie potrafisz się od tego powstrzymać... a potem wróć do mnie. Wiem, że ogarnęło cię zniechęcenie, ale w jakiś sposób wyczuwam, że jesteś bardzo bliska otwarcia ostatnich drzwi, które do tej pory stały przed tobą zamknięte. Zaatakujemy je razem, ty i ja. I zwyciężymy.

Haramis z trudem wstała z klęczek, postawy przewidzianej przy ćwiczeniach umysłu. Bez słowa wzięła koszyk. Wielonogi Grigri o segmentowatym ciele, którego od worrama różniła rzadka biała sierść oraz czerwone oczy, syknął i ruszył przed siebie, obejrzawszy się raz, czy Haramis idzie za nim.

Wyszli z apartamentów Niebieskiej Damy do przezroczystej części sztucznej góry lodowej, gdzie ciekawskie ryby i wszelakie morskie stwory podplły do szklistych, nieregularnych ścian korytarza, aby przyjrzeć się gościowi ich pani. Korytarz o niskich stopniach wił się spiralnie wciąż wyżej i wyżej, a jednocześnie dookoła robiło się coraz jaśniej. Haramis zrozumiała w końcu, że to najprawdziwsze słoneczne światło oświetla magiczne akwarium, a nie jakaś czarodziejska poświata, i poczuła się lepiej. Zdała sobie sprawę, że prawie biegnie za Grigri, któremu promienie słońca również dodały sił. Kiedy wyszli na wierzchołek góry, na olśniewający dzienny blask, dziwne stworzenie zamruczało dźwięcznie, stanęło na ostatniej parze nóg, odsłaniając nagi brzuch i zamykając z rozkoszą oczy.

— Biedny Grigri! Więc i tobie brak słońca!

Zwierzę jakby westchnęło z zadowoleniem. Na oczach Haramis jego ciało pociemniało: sierść przybrała jaskrawozieloną barwę, a dwanaście białych nóg ogarnęła czerń. Kiedy otworzyło oczy, okazało się, iż nie są już czerwone, lecz ciemnoniebieskie, jak u zwyczajnych worramów z Krainy Błot.

— Zatem ty też prowadzisz nienaturalne życie w tej zaczarowanej górze lodowej — powiedziała w zamyśleniu Haramis, głaskając Grigri po grzbiecie. — Zastanawiam się, dlaczego twoja pani nie zlituje się nad tobą i cię nie uwolni?

Grigri odwrócił się od niej i syknął z oburzeniem. Wyślizgnął się spod głaszczącej go dłoni i z komicznie gniewną miną podreptał, by grzać się na słońcu w pewnej odległości od Haramis.

— Proszę cię o wybaczenie, Grigri. Powinna była wiedzieć, że twoja miłość do Arcymagini Morza jest silniejsza niż wymagania twej natury.

Dziwne stworzenie zignorowało słowa Ruwendianki, ale znowu zaczęło mruczeć.

Ze szczytu gigantycznej sztucznej góry lodowej rozciągał się niezwykle piękny widok. Bezchmurne niebo o najczystszej barwie kobaltowego błękitu spływało ku dalekiemu horyzontowi, przerywanemu wysokimi wyspami o pokrytych lodem wierzchołkach. Odległy o kilka mil kontynent miał łagodnie pofałdowaną, brunatną powierzchnię, pozbawioną najmniejszych nawet drzew; jednakże większa jego część opadała ku morzu malowniczymi klifami, a odsłonięte warstwy skalne przyciągały wzrok wspaniałą różową, pomarańczową, a nawet purpurową jak wino barwą. Równie kolorowe skały sterczały samotnie w morzu. Białe ptaki szybowały i nurkowały w powietrzu. Jeżeli równowaga świata została w jakiś sposób zakłócona, na pewno nie stało się to na tych spokojnych wodach pomocnego Oceanu.

Haramis usiadła na suchej, nierównej powierzchni. Przezroczystość tego sztucznego lodu denerwowała ją nieco, podobnie ryby, które najwyraźniej pływały tuż pod nią. Otworzyła koszyk i ze wzruszeniem spostrzegła, że Arcymagini Morza napełniła go jabłkiem, które księżniczka dobrze знаła z dzieciństwa, a nie owymi szczególniejszymi morskimi przysmakami, które Haramis z grzeczności zjadała na początku swej wizyty u Iriane. Uśmiechając się wzięła do ręki różowy owoc lądu i wbiła zęby w chrupiącą skórkę. Ale o czym ja myślę...? skarciła się w duchu. Zawstydzona, odłożyła owoc, przełknęła ugryziony kąsek i dotknęła dłonią wiszącego na szyi talizmanu. — Anigel! Siostrze, odpowiedz mi! Ukazała się wizja i Haramis krzyknęła ze zdziwienia. Tym razem nie był to obraz okolony srebrzystym kręgiem talizmanu ani nawet widok czyniący ją ślepą na to, co się wokół niej działo, kiedy wewnętrznym wzrokiem oglądała daleką scenę. Oto we własnej osobie stanęła obok Anigel na osłoniętej baldachimem rufie laboruwendiańskiego flagowca, który mknął pod pełnymi żaglami na wschód, zaledwie o kilka mil od lądu. Poczula słone powietrze, wiatr dmący w twarz i deski pokładu pod nogami. Pani Ellinis oraz panowie Penapat, Owanon i Lampiar siedzieli z królową Anigel przy stole zarzuconym mapami i dokumentami. A na dywanie obok stołu grali w klasy książę Nikalon i księżniczka Janeel.

— Hura! — krzyknęła poblada Anigel i zerwała się na równe nogi. — Jesteś tutaj?

Nie tylko Anigel zaskoczyła zjawą Arcymagini Lądu. Haramis pośpiesznie wyjaśniła pozostałym, że to jedynie jej podobizna.

— Nawet nie zrobiłam tego świadomie — wyznała śmiejąc się z zakłopotaniem. — Wydaje się, że lekcje, które pobieram u Arcymagini Morza, są skuteczniejsze, niż przypuszczałam.

Z okrzykami podziwu i zaskoczenia poproszono Haramis, by usiadła. Księżniczka Janeel podeszła ukradkiem i spróbowała dotknąć sukni ciotki; krzyknęła zawiedziona, gdy jej ręka napotkała jedynie powietrze.

— Ciociu Haro, tak naprawdę, to wcale cię tu nie ma! — powiedziała dziewczynka. — Czy widzimy twój duch?

— Coś w tym rodzaju, kochanie — odrzekła Haramis. — Przykro mi z tego powodu. Pozwól, że pocałuję cię, Nikiego i waszą mamę. Wy nie możecie mnie poczuć, ale ja mogę was dotknąć! Moi drodzy, tak się cieszę, że jesteście bezpieczni.

I z ogromną ulgą widząc talizman zwany Trójgłowym Potworem leżący bezpiecznie na stole, na pory zasłonięty dokumentami, dodała w myśli.

— Nie wszyscy jesteśmy bezpieczni — powiedziała Anigel patrząc w dal i zaciskając usta po bezcielesnym uścisku siostry. Królowa odetchnęła głęboko i zwróciła się do swoich towarzyszy: — Muszę porozmawiać z siostrą na osobności. Czy zechcielibyście oddalić się wraz z dziećmi i wrócić, gdy was zawołam?

Czwórka urzędników wstała, ukloniła się i odeszła. Ellinis odprowadziła Nikiego i Jan. Kiedy siostry zostały same, Anigel ponownie usiadła przy stole naprzeciw widmowej postaci Haramis. Na twarzy królowej malował się wyrzut.

— Haro, tyle razy próbowałam opowiedzieć ci o tym, co się stało, zasięgnąć twojej rady, poszukać u ciebie pociechy, ale ty mi nigdy nie odpowiedziałaś!

— Nie mogłam nawiązać z tobą kontaktu. Wyjaśnię ci dlaczego. Najpierw jednak opowiedz mi o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd Orogastus zabrał talizman Kadi.

— Orogastus?! — Anigel otworzyła szeroko oczy z przerażenia. — Wiec to on udaje tego hochszaplera Portolanusa?!

— Tak. Ale nie wiem, po co. Nie został zabity przez Berło Mocy dwanaście lat temu, tylko wygnany w pewne oddalone miejsce w głębi Krainy Wiecznych Lodów. Uciekł stamtąd i stał się Panem Tuzamenu. Niezmiernie się cieszę, że nie oddałaś mu swego talizmanu jako okupu...

— Zgodziłam się już. Nawet mu to sama zaproponowałam! On jednak odmówił. Antar i mały Tolo nadal są uwięzieni w wielkiej triremie królowej–regentki z Raktum. Teraz zapewne zbliżają się do Frangine, gnani czarodziejskimi wiatrami.

— Orogastus nie chciał zaakceptować talizmanu jako okupu? Dlaczego?

— Nie wiem — odparła głuchym głosem królowa. Nie chciała spojrzeć siostrze w oczy. — Powiedział, że nie jest to odpowiednia pora i że skomunikuje się ze mną później. Kiedy to zrobi, dobrowolnie ofiaruję mu magiczny diadem — i żadne argumenty, ani twoje, ani Kadi nie odwiodą mnie od tego zamiaru.

Arcymagini Łądu w ostatniej chwili powstrzymała okrzyk przerażenia. Jeżeli Antar i Tolo nadal są więźniami Orogastusa, żadne błagania ani słowa o dobru powszechnym nie odniosą skutku, dopóki Anigel w pełni nie zrozumie groźby, jaka zawisła nad światem.

— Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło — powiedziała spokojnie Haramis.

Anigel opisała, jak Kadiya uratowała Nikalona i Janeel, jak wrogowie ponownie schwytali Antara i jak Tolo dobrowolnie poszedł ze sługami czarnoksiężnika. Ona sama, Kadiya i reszta przyjaciół ledwie zdążyli wrócić na „Lyath”, kiedy zaczęły ich doganiać łodzie pełne rozwścieczonych Aliansów. Uratowała wszystkich tylko następna wielka burza, na pewno rozpętana przez Portolanusa dla umożliwienia mu ucieczki. Wyvilski wojownik Huri–Kamo został zabity podczas próby ocalenia króla Antara, ale Mówca Lummomu–Ko i jego towarzysz Mok–La, choć ranni, zdołali dopłynąć z powrotem na „Lyath”.

— Spotkaliśmy się z naszą flotyllą po ucichnięciu burzy — dodała Anigel. — Dzielny kapitan tego małego okamiskiego stateczku otrzymał sowitą nagrodę za ocalenie nas i ruszył dalej w swoją drogę. Nasze cztery laboruwendiańskie okręty popłynęły wtedy na północ. Dogoniliśmy tuzameńską galerę Portolanusa, która była dużo powolniejsza od pirackich statków. Zaatakowaliśmy ją i zatopiliśmy wraz z całą załogą. Niestety, Portolanus przebywał na szybszym raktumiańskim flagowcu, był wiec całkiem bezpieczny. Nie próbował pomóc swoim skazanym na śmierć rodakom. Kiedy go ścigaliśmy, odległość między pirackimi okrętami i naszymi wciąż się zwiększała. Raktumianie zaprowiantowali się w Zinorze i odpłynęli stamtąd na dwa dni przed naszym przybyciem. Król Yondrimel odmówił mojej prośbie wysłania szybkich kutrów w pościg za piratami. Podał oryginalne wyjaśnienie: że cała jego flota wypłynęła ze specjalną misją do Galanaru, eskortując królewskiego wysłannika, który miał poprosić o rękę jednej z córek królowej Jiri dla Yondrimela. Kiedy jednak sześć nocy później przybyliśmy do Mutavari, dowiedzieliśmy się, że zinorańska flota zajmowała się grammi wojennymi, szykując się do inwazji na Var. W stolicy Varu kotłowało się, a biednego króla Fiomadeka i królową Ilę sparaliżowały straszne pogłoski o sojuszu Zinory z raktumiańskimi piratami. Oczywiście wiesz, że Rada Półwyspu żąda od nas, abyśmy ruszyli na pomoc Varowi. Kadiya, Jagun i jej wyvilscy wojownicy natychmiast wyruszyli na północ, by zaalarmować garnizony w Ruwendzie. Przy odrobinie szczęścia nasi rycerze i żołnierze przybędą na czas, żeby obronić Mutavari i odeprzeć inwazję. Jednakże marszałek Owanon i moi doradcy wojskowi obawiają się, że posyłając ruwendiańskie siły na południe narazimy Labornok na zmasowany atak z północy. Inwazja na Var może być tylko manewrem mającym

wprowadzić nas w błąd, osłaniającym prawdziwy cel królowej Ganondri i Portolanusa: bylibyśmy nim my. Raktum ma tak dużo statków, że może spokojnie posłać niewielką flotę, która zaatakuje Var. Pozostanie mu jeszcze dostatecznie dużo okrętów wojennych do napaści na Triolę, Lakanę i inne nasze północne porty, nawet na samą Derorguilę. Plany raktumiańskiej regentki mogą się udać, zwłaszcza jeśli pan Osorkon nas zdradził, co wydaje się prawdopodobne, zważywszy na udział jego siostry w porwaniu naszych dzieci. A jeśli Labornok padnie, Ruwendę czeka taki sam los. Musisz zrozumieć, Haro, że bez Antara unia Dwu Tronów na pewno się zachwieje. Ja sama nie mogę liczyć na poparcie lojalnych wielmożów z Labornoku przeciwko połączonej potędze frakcji Osorkona, Raktum i Tuzamenu. To jeszcze jeden powód, dla którego zdecydowałam się oddać mój talizman — w ten sposób zapewnię powrót mego małżonka, co umożliwi obronę naszego narodu.

Haramis słuchała tej opowieści, dręczona coraz poważniejszymi obawami.

— A co zamierza zrobić Kadiya? Poprowadzić ruwendiańskie oddziały do obrony Varu? — zapytała.

— Nie. Ona... ona i ja strasznie się pokłóciłyśmy w sprawie okupu. Myślę, że gdyby miała dość odwagi, zabiłaby mnie, by uniemożliwić mi oddanie talizmanu. Powiedziała, że zwoła Ruwendian i pośle ich na południe. Potem chce wyruszyć do Przybytku Mądrości i zapytać sindońskiego Nauczyciela o to, w jaki sposób można mnie powstrzymać przed wymianą talizmanu za Antara. Nie uda się jej to, póki żyję.

Niebieskie oczy królowej napełniły się łzami, ale usta miała mocno zaciśnięte. Haramis zrozumiała, że teraz nie powinna robić wymówek siostrze. Bardzo więc łagodnie opowiedziała Anigel o swoich przygodach na Kimilonie i o dziwnej siedzibie Arcymagini Morza. Ucieszyła się, że Sziki pomógł w uratowaniu Nikłego i Jan, i zaczęła namawiać Anigel, by przyjęła lojalnego Doroka na służbę, zanim będzie mógł powrócić do swej właściwej pani, czyli do niej.

— Już niedługo, jeśli pozwoli na to Trójjedyny i Władcy Powietrza, zakończę naukę u Arcymagini Morza — dodała Haramis. — Gdybyś tylko powstrzymała się z oddaniem swojego talizmanu, aż ja nauczę się kontrolować mój własny...

Anigel powoli wzięła do ręki leżący wśród papierów magiczny diadem. Uniosła go nad stołem, między sobą a widmem siostry, i powiedziała twardo, nieugięta jak kamień:

— Oddam Trójgłowego Potwora Portolanusowi, kiedy tylko tego zażąda, jeśli zapewni to bezpieczny powrót Antara. Niech Trójjedyny Bóg będzie mi świadkiem.

Haramis zmartwiała, patrząc z niedowierzaniem na talizman siostry. Małeńki kwiatek kopalnego trillium tkwiący w bursztynie na przodzie diademum był czerwony jak krew. W milczeniu wskazała go Anigel.

— Tak — odparła nie przejęta tym królowa. — Kwiat Kadi także jest czerwony. Oba zmieniły kolor w chwili, gdy rozstałyśmy się w gniewie. Ale to nic nie znaczy. Nic się nie liczy poza bezpiecznym powrotem mego małżonka do mnie i króla do naszego kraju.

— Kadiyo! To ja, Haramis.

— Wielki Boże! — zawołała Pani Czarodziejskich Oczu, gdyż Haramis stała na wzburzonych wodach Mutaru, naprzeciwko dziobu wielkiej wyvilskiej łodzi. Dwa takie canoe płynęły szybko w górę rzeki, a strugi deszczu chłostały pasażerów, chociaż była już Pora Sucha.

Zdumieni Wyvilowie wiosłowali teraz wolniej i obie łodzie zatrzymały się na środku niespokojnej rzeki.

— Haro, czy nauczyłaś się chodzić po wodzie?! — wykrzyknęła Kadiya.

— Nie, stałam się jedynie bardziej biegła w posługiwaniu się talizmanem — odparła Arcymagini Łądu. — Widzisz tylko mój niematerialny obraz. Zważ, że mogę rozmawiać z

tobą bezpośrednio, choć ty nie masz już swego talizmanu. Potrafię porozumiewać się na duże odległości ze wszystkimi istotami.

— To dobrze — odparła zgryźliwie Kadiya. — Porozmawiaj więc z tą idiotką Ani i przekonaj ją, żeby nie oddawała swego talizmanu czarnoksiężnikowi!

— Już próbowałam i znów spróbuję. Martwi mnie antagonizm między wami. Widzę, że Ani się nie myliła mówiąc, że trillium w twoim amulecie przybrało barwę krwi. Powiedz mi jednak, że się myli sądząc, iż zabiłabyś ją, by uniemożliwić jej wykupienie Antara.

Twarz Kadiyi była tak chmurna jak niebo nad Lasem Tassaleyo.

— Ty i ja dobrze wiemy, co by się stało, gdyby Portolanus zagarnął oba talizmany. — Wojownicza księżniczka wskazała na niezwykłą o tej porze roku burzę. — To on naruszył wielką równowagę świata! Czy wiesz, że na pomocy Tassaleyo były trzęsienia ziemi? Lud Lummomu—Ko powiadomił go o tym! A współplemieńcy Jaguna mówią, że straszliwy niepokój zawładnął Skritekami, którzy miotali się jak szaleni po całych Czarnych Błotach, naruszając mój rozejm. Na pomocy wśród Uisgu wybuchła epidemia dusznicy. Całą Krainę Bagien trapią nieszczęścia — i to wszystko z winy Portolanusa! Jeżeli Anigel odda mu swój talizman jako okup za męża, sytuacja jeszcze bardziej się pogorszy. Tylko kaprys czarnoksiężnika powstrzymał naszą siostrę od oddania mu wcześniej talizmanu. Zachowała się jak uległy togar kładący głowę na pieńku rzeźnickim! Ani przedkłada miłość do męża i obowiązki względem Dwu Tronów ponad dobro świata. Jej szaleństwo jest zbrodnią...

— Tak samo jak twoje groźby skierowane przeciwko niej... Kadiyo, zastanów się! Miałyśmy być Trzema Płatkami Żywego Trillium, złączonymi siostrzaną miłością. To Święty Kwiat nas łączy, a nie Berło Mocy.

Przez chwilę na zaciętej, ociekającej wodą twarzy Kadiyi malowało się zwątpienie.

— To samo powiedział Dorok Sziki, którego wysłałaś, żeby pomógł mi ocalić Nikiego i Jan... Jestem jednak przekonana, że jeżeli Portolanus zdobędzie dwa talizmany, na pewno nie spocznie, póki nie uzyska trzeciego. Zresztą nawet z dwoma może podporządkować sobie Półwysep, jeśli niecały znany świat.

— Być może. — Haramis wytrzymała spojrzenie siostry. — Ja jednak staram się do tego nie dopuścić, a to mój talizman jest kluczem do pozostałych. Dowiedziałam się tego oraz jeszcze innych pożytecznych rzeczy od pewnej życzliwej nauczycielki, która wprowadza mnie w arkana magii.

Najstarsza księżniczka pokrótce opowiedziała o swoim odkryciu, że nie jest jedyną Arcymaginią, i o swojej nauce u Iriane, Niebieskiej Damy.

— Arcymagini Morza, jak dotychczas, trzymała się z dala od spraw naszego kontynentu, ale nie zamierza dłużej tego czynić. Będzie potężnym sprzymierzeńcem w naszej walce z Orogastusem.

— Orogastusem?! — wykrzyknęła Kadiya.

— On żyje i nazywa siebie Portolanusem. — Haramis skinęła głową. — Nie zabiłyśmy go Berłem Mocy. Jest jednym z Gwiezdnym Ludzi, dziedzicem potężnej frakcji, która dawno temu walczyła przeciw Zaginionym.

— I mężczyzną, którego nadal kochasz — oświadczyła gniewnie Kadiya. — Brońcie nas, Władcy Powietrza! Wątpię, czy nawet Nauczyciel z Przybytku Mądrości może teraz pomóc mi ocalić świat!

Haramis przez strugi deszczu wyciągnęła ku niej rękę.

— Nie wszystko zależy od ciebie, siostro. Na pewno powinnaś naradzić się z Sindoną. Nie potępiaj jednak pochopnie ani Anigel, ani mnie. Wiem, że ów Nauczyciel nakłoni cię do większej wyrozumiałości...

— Nie pozwolę, by mój ukochany Lud Bagien, Gór i Lasów stał się niewolnikiem złego czarownika! — wybuchnęła Kadiya. — Ani przez wzgląd na Anigel i Antara, ani na ciebie.

Znajdź sposób zniszczenia Orogastusa raz na zawsze! Znajdź go, zanim Anigel zapłaci mu okup! A potem mów do mnie o miłości i wyrozumiałości...

— Spróbuję. — Haramis pochyliła głowę. — I porozmawiam znów z tobą po zakończeniu nauki. Zegnaj.

Kiedy zacięta twarz Kadiyi zniknęła, Haramis ogarnęła chęć potrząśnięcia siostrą i wrzucenia jej do wody. Najgorsze z tego, co powiedziała ta porywczą siostra, to bezlitosna prawda: trzeba przeszkodzić Anigel w oddaniu talizmanu Orogastusowi.

Jeżeli Ani jest głucha na głos rozsądku, może da się ją przekonać w jakiś inny sposób? Czy królowa Laboruwendy posłucha swego małżonka?

— Talizmanie, chciałabym zobaczyć króla Antara i porozmawiać z nim potajemnie, tak by nie pojawił się mój obraz.

Natychmiast ujrzała króla i był to straszny widok, gdyż Antara uwięziono w klatce na kołach, którą wolumnie ciągnęły po wąskiej uliczce jakiegoś miasta. Otaczał go drwiący tłum obdartusów, czterech szeroko uśmiechniętych raktumiańskich rycerzy z obnażonymi mieczami w dłoniach nie pozwalało co śmielszym gapiom zbliżyć się do więźnia. Haramis zrozumiała, że piracka flotylla wreszcie przybyła do Frangine, stolicy Raktum, i że zaimprovizowany pochód triumfalny podążał z portu do pałacu królewskiego. Towarzyszyły mu ogólne wiwaty. Kilka szeregów ciężkozbrojnych wojowników tworzyło awangardę niezwyklego orszaku. Więcej rycerzy otaczało królową-regentkę Ganondri, odzianą w naszywany klejnotami złoto— zielony podróżny strój i dosiadającą ognistego froniała o złożonych rogach i w rzędzie z jedwabiu o barwie szmaragdu. Obok niej młody król Ledvardis siedział na pięknym czarnym rumaku. W siodle jego kalestwo było mniej widoczne, sprawiał też wrażenie starszego i wyglądał bardziej majestatycznie w lśniącej paradnej zbroi oraz w hełmie z pióropuszem i otwartą przyłbicą. Ledvardis ani razu nie odwrócił głowy, nie zmienił też wyrazu twarzy w odpowiedzi na wiwaty mieszkańców stolicy. Widać jednak było, że lud kocha swego młodego, nie koronowanego władcę. Kilka głosów wzniosło okrzyki na cześć królowej-regentki, która jakby się nie przejmowała chłodnym przyjęciem i jechała z dumnym uśmiechem przylepionym do twarzy. Za królewską parą jechał admirał Jorot i kapitanowie pozostałych trzech galer, dalej klatka z uwięzionym królem Laboruwendy i barwny tłum konnych wielmożów i rycerzy. Na samym końcu pochodu, otoczony maszerującymi żołnierzami, włókł się rozklekotany, otwarty powóz z Portolanuem, cudacznie wyglądającym Panem Tuzamenu. Czarownik zdawał się nie dostrzegać, że tłum po kryjomu szydzi i śmieje się z niego, ale machał ręką, mrugał, chichotał do gapiów. Od czasu do czasu wyczarowywał bukiet kwiatów dla jakiejś ładnej dziewczki lub garść cukierków, które rzucał dzieciom. Dosiadający nędznych chabet trzej słudzy Portolanusa jechali za powozem, lecz obok czarownika siedział odziany w brokaty mały książę Tolivar ze szczęśliwym uśmiechem na ustach.

— Antarze, słyszysz mnie? — przemówiła cicho Arcymagini Łądu. — To ja, Haramis.

Król podniósł głowę i otworzył usta ze zdziwienia. Odziano go w bogate szaty, w których został porwany, ale — dla kontrastu — posadzono na słomie.

— Drogi szwagrze, nie otwieraj ust i nie daj nic po sobie poznać, tylko odpowiadaj mi w myślach. W ostatnich tygodniach moje moce znacznie się powiększyły, widzę więc i słyszę cię bardzo dobrze. Po pierwsze: czy jesteś zdrowy?

— Tak, tylko melancholia wypełnia mi serce. Ostre haki poszarpały mi ciało, kiedy ponownie mnie schwytano, ale Portolanus użył jakichś magicznych maści i moje rany zagoiły się, nie pozostawiając blizn. W powrotnej drodze nie zamknięto mnie razem z niewolnikami, ale traktowano całkiem nieźle. Karmiono dobrze i miałem wygodne łoże w pilnie strzeżonej kajucie... Tolo, jak sama widzisz, nie tylko jest zdrowy, ale stał się wielkim przyjacielem tego przekłętą czarownika! Nie rozumiem, co strzeliło do głowy temu głupiutkiemu sprogowi! Może rzucono na niego jakiś zły czar...

— Jestem całkowicie pewna, że nie padł on ofiarą dych czarów, więc się uspokój. Czy wiesz, jakie plany ma królowa–regentka i Portolanus względem was obu?

— Nie, wiem tylko, że mam być więziony tutaj, w pałacu... Haramis, coś bardzo dziwnego dzieje się między Ganondri i Portolanusem. Może ta para łajdaków się pokłóciła? Królowa Ganondri odwiedzała mnie od czasu do czasu, kiedy wracałem do zdrowia na pokładzie jej flagowca, okazując niezwykłą troskę o moje dobro i wygodę. Najwidoczniej chciała się upewnić, że zabiegi lecznicze Portolanusa rzeczywiście mi pomagają, a nie szkodzą. Była bardzo troskliwa i możesz sobie wyobrazić, jak zdumiała mnie ta zmiana w jej zachowaniu. Oświadczyłem jej, że moja królewska małżonka nie da się nakłonić do oddania swego talizmanu jako okupu za mnie nie bardziej niż ja sam, czy to pieszczotami, czy torturami. Wtedy Ganondri tylko się roześmiała. Później usłyszałem, jak rozkazywała strażnikom trzymać się blisko mnie za każdym razem, gdy Portolanus będzie wchodził do mojej kajuty. Zagroziła im, że zginą straszną śmiercią, jeżeli czarownik zrobi mi coś złego.

— To bardzo dziwne! Antarze, wiesz, że Anigel ofiarowała swój talizman w zamian za twoją wolność? Ale Portolanus nie chciał go przyjąć.

— Na Czarny Kwiat! Nie, nie wiedziałem... Haramis, nie pozwól, by Ani oddała swój magiczny diadem. Ubłagaj ją, niech pomyśli, jakie straszne klęski ściągnie na mieszkańców całego świata! Powiedz jej, że się nie zgadzam, że zabraniam, że wolałbym umrzeć, aniżeli dopuścić, by dla mnie wyrzekła się talizmanu.

— Powiem. Ale ty też musisz jej to powiedzieć.

— Jak? Przecież teraz i tutaj nie mogę z nią rozmawiać, a ona nie potrafi tak jak ty porozumiewać się w mowie bez słów.

— Sformułuj to przesłanie w głębi serca i wypowiedz je do mnie tak, jakbym była samą Anigel. Umieszczę twój obraz i twoje słowa w jej snach, będzie cię widziała i słyszała co noc.

— Wielki Boże... Ty umiesz zrobić coś takiego?!

— Pewna Arcymagini uczy mnie najpotężniejszych czarów. Odkryłam, że nie tylko ja pełnię taki urząd. Oprócz mnie jest jeszcze dwoje innych strażników i przewodników świata, mężczyzna i kobieta, którzy posługują się białą, dobroczynną magią. Arcymagini, która uczy mnie kontrolować mój talizman, nazywa się Iriane i żyje daleko na pomocy, na Morzu Zorzy Polarnej. Za jakieś dwa tygodnie, jeśli zadowolająco ukończę naukę, spróbuję uratować ciebie i Tola. Mam też nadzieję, że pokrzyżuję plany czarownika i królowej Ganondri.

— Niech Bóg ci w tym dopomoże! Z pogłosek zasłyszanych na raktumiańskim statku dowiedziałem się, iż Raktum i Tuzamen zamierzają zaatakować Dwa Trony, możliwe że w porozumieniu z Osorkonem i jego frakcją niezadowolonych.

— Anigel również tak myśli. Zrobię, co tylko zdołam, żeby obronić wasz naród, muszę tylko zdobyć pełną kontrolę nad swoim talizmanem.

— A co z Portolanusem i Płonącym Okiem Kadi, które ukradł? Czy nie stanie się przeciwnikiem, którego nikt nie zdoła pokonać?

— Nie wiem. Mam tylko nadzieję, że Portolanus jeszcze nie wie, jak się nim posługiwać, i że w jakiś sposób zdołam mu go odebrać. Módl się za mnie! A teraz, Antarze, wypowiedz swoje posłanie do Anigel. Nalegaj, by nieugięcie odmawiała zapłacenia okupu, gdyż jeśli czarownik otrzyma drugi talizman, zawładnie całym światem.

Kiedy Haramis ukryła w swym sercu pełne miłości przesłanie Antara i obraz uwięzionego króla zniknął jej z oczu, znowu ocknęła się na szczycie lodowej góry. Najpierw wysłała sen do umysłu Anigel, a potem westchnęła głęboko i wypuściła z rąk talizman. Z jaką pewnością siebie oświadczyła siostrze i szwagrowi, że będzie kontrolowała Trójskrzydły Krąg! A jeśli te nadzieje to tylko zwykłe zadufanie w sobie?

Grigri podpełzł do Haramis, najwidoczniej już wybaczywszy jej wcześniejszy brak wrażliwości. Liznął zwisającą bezwładnie rękę i zaczął grzebać w koszyku.

— Ach, maluchu! Jakież jesteś szczęśliwy, że masz tylko takie proste problemy! — Księżniczka wyjęła ćwiartkę jakiegoś pieczonego ptaka, przełamała i nakarmiła ulubienca Iriane. — Nie mogłam dopuścić, by Ani, Kadi i Antar poznali moje troski i obawy, iż nawet po naukach Iriane nie zdołam efektywnie posługiwać się moim talizmanem. To prawda, że teraz znacznie lepiej porozumiewam się na duże odległości, ale jest to najslabsza z mocy Trójskrzydłego Kręgu. Czy istotnie zdołam czarami zwyciężyć Orogastusa i raktumiańskich piratów? Co zrobię, jeśli okaże się, że jedna część Berła Mocy nie może walczyć z drugą? Jeżeli moje przypuszczenie jest słuszne, to Orogastus i ja staniemy do walki praktycznie bezbronni, jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy; mężczyzna i kobieta, śmiertelni wrogowie, których zarazem łączy miłość i którzy mogą odwołać się wyłącznie do zasobów własnych dusz i serc... Och, Grigri! Czy będę w stanie go skrzywdzić, nawet dla ocalenia świata?

Podobne do worrama zwierzę łapczywie chrupało kości, ignorując młodą czarodziejkę.

— Wiem, że nie powinnam na niego patrzeć, gdyż osłabi to moją wolę odtrącenia go. — Haramis podniosła talizman. — A przecież tak pragnę zobaczyć go jeszcze raz! Wiem, że teraz nie zdoła się przede mną ukryć. Tym razem zobaczę nie zamazaną plamę, lecz jego prawdziwą twarz. Jego twarz...

Talizman grzał lekko jej dłoń w oczekiwaniu na rozkazy. W odłamku bursztynu pomiędzy trzema srebrzystymi skrzydłami tkwił czarny kopalny kwiatek, który na oczach Arcymagini Łądu stał się szkarłatny jak krew.

— Och, Boże! — szepnęła zamykając oczy na ten widok. — Czy to cena, którą muszę zapłacić? Czy nawet przelotne, kochające spojrzenie na Orogastusa narazi na niebezpieczeństwo moją duszę? Na pewno nie! A może to jeszcze jeden z przeklętych testów Iriane, która poddaje próbie moją wytrzymałość? Najpierw pozwala mi spojrzeć na Orogastusa, a później ukazuje mi konsekwencje ulegania pokusie? Wierzę! Tym razem ustąpię, skoro moje pragnienie ujżenia go ma być tylko osobistą słabością! Nie będę podsycala mojej miłości, ale spróbuję ją ugasić! Jesteś zadowolony, talizmanie? Oddaj mi moje Czarne Trillium! A ty, Święty Kwiecie, dodaj mi sił do wypełniania moich obowiązków, żebym zawsze wybierała największe dobro, a nie własne samolubne pragnienia.

Haramis powtórnie otworzyła oczy.

Kwiatek był znów czarny.

Księżniczka wstała. Zebrała resztki pozostawione przez Grigri i starannie zawinęła w serwetkę.

— Chodź, mały przyjacielu! Najadłeś się już, a na mnie czekają. Pora wracać do pracy, za długo próżnowałam.

Ruszyła z powrotem. Grigri prowadził ją przez głębiny sztucznej lodowej góry. W oddali gęste chmury jęły gromadzić się nad lądem i zerwał się zimny wiatr.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Co dwa dni pozwalano księciu Tolivarowi odwiedzać ojca w jego wygodnej celi, znajdującej się w samym środku Zachodniej Wieży królewskiego pałacu we Frangine. Życzliwy Tolowi czarownik zawsze mu dawał jakiś smaczny kąsek dla królewskiego więźnia, a czasem nawet księgę z ciekawymi opowieściami, by czas szybciej jeńcowi płynął. Mały książę przyniósł właśnie talerz smacznych, kandyzowanych owoców i księgę o piratach. Dozorca więzienny imieniem Edruk chwycił klucze, gdy tylko Tolo zjawił się w przedpokoju, gdzie przebywali strażnicy.

— Jak się czuje mój królewski ojciec? — zapytał uprzejmie chłopiec. Szedł wraz z Edrukiem oświetlonym pochodniami korytarzem prowadzącym do komnaty, w której przebywał więzień. Po obu stronach znajdowały się pozamykane żelazne drzwi. Za nimi przebywali wrogowie królowej–regentki, których Ganondri nie ośmieliła się skazać na śmierć.

— W miarę upływu dni, król staje się coraz weselszy, młody panie. — Edruk otworzył drzwi do celi Antara. — Cóż za ogromny kontrast w porównaniu z większością więźniów... Wejdz. Wrócę za pół godziny, by cię wypuścić.

Tolo z powagą podziękował dozorcę i wszedł do komnaty. Drzwi zatrzęsły się za nim i cicho zgrzytnął dobrze naoliwiony zamek. Antar podniósł oczy znad listu, który właśnie pisał, i uśmiechnął się do swego najmłodszego syna. Był skromnie odziany, przycięto mu też brode i włosy od czasu, gdy Tolo widział go po raz ostatni. Król wyglądał na całkiem zadowolonego ze swego położenia. Za wąskim oszklonym okienkiem celi padał śnieg, ale więzienna komnata była ciepła i przytulna. Kiedy Tolo powitał ojca i postawił dary na stole, Antar przytulił syna do piersi i ucałował go.

— No i co? Nadal ciężko pracujesz, by zostać uczniem czarownika?

— Wolałbym, żebyś ze mnie nie kpił, tato. — Chłopiec odsunął się o krok. — Mistrz Portolanus nigdy tego nie robi. Mówi, że mam naturalną aurę urodzonego thoo...no, taumaturga!

— Przepraszam cię. — Niebieskie oczy Antara błyszcząły wesoło. — Ufam jednak, że aż tak się nie przywiązałeś do sztuczek tego szarlatana, byś przedłożył pobyt z nim nad powrót do domu.

— Do domu? — Twarz Tola wydłużyła się. — Więc jednak mama przysłała talizman jako okup? Czarownik powiedział, że odmówiła! Myślałem, że pozostaniesz tu w zamknięciu jakiś czas. Portolanus posłał do Tuzamenu po swoją kolekcję magicznych maszyn i mówi, że wkrótce tu będą. A jeśli zostaniemy teraz wykupieni, to nigdy ich nie zobaczę!

Pogodne i żartobliwe zachowanie króla zmieniło się. Antar chwycił Tola za ramiona, a w jego głosie brzmiał zawód i surowy wyrzut.

— Synu, czy zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?! Nie, oczywiście, że nie. Wiem, że polubiłeś tego czarownika. Nie jest on jednak dobrotliwym cudotwórcą, za jakiego go uważasz. To zły człowiek, który zamierza zniszczyć Dwa Trony.

— To właśnie mówi piracka królowa. — Mały książę odwrócił się z nachmurzoną miną. — Ale to nieprawda. To ona chce podbić nasz kraj, a nie Portolanus.

— To on ci tak powiedział — odrzekł łagodniejszym tonem Antar. — Ale Portolanus kłamie, Tolo. Gdyby otrzymał talizman twojej matki, mógłby podbić świat. On i jego raktumiańscy przyjaciele napadliby na Labornok i Ruwendę, zabili naszych ludzi i ukradli nasze bogactwa. Z czasem uległyby mu wszystkie inne miłujące pokój narody.

— Ależ on wcale nie chce maminego talizmanu! — zawołał chłopiec. — Ma talizman ciotki Kadi i mówi, że to wystarczy. Ona nie wiedziała, jak używać go do wielkich rzeczy, a Portolanus poznaje jego sekrety! Tak mi powiedział! Zamierza przekształcić Tuzamen z

biednego kraju w wielkie mocarstwo! Chce zamienić jego jałową ziemię w płodną, sprawi, że zwierzęta domowe będą się rozmnażać i staną się tłuste, a z gór popłynię strumień drogich kamieni, złota i platyny!

— Dobry Boże! Tak ci powiedział? — spytał król.

— Portolanus wcale nie musi podbijać innych krajów — ciągnął Tolo. — Talizman ciotki daje mu wszystko, czego tylko zapagnie! To dlatego powiedział mamie, że nie chce jej talizmanu, kiedy mu go dawała. Tak, porwał nas wszystkich, żeby go zdobyć, kiedy jednak zamiast niego zdobył talizman ciotki Kadi, nie potrzebował już maminego.

— On kłamie, Tolu. Wiem, że odmówił przyjęcia talizmanu twojej matki podczas pobytu w pobliżu Bezwietrznych Wysp, gdy zaproponowała mu go jako okup za nas. Nie wiem, czemu to zrobił. Ale zastanów się, chłopcze! Jeśli Portolanus rzeczywiście już nie pożąda talizmanu mamy, to dlaczego ty i ja jesteśmy więźniami?

— To wina pirackiej królowej — odszepnął Tolo. — Portolanus obiecał mi, że pomoże ci uciec od niej.

— To kłamstwa... kłamstwa! — Antar pokręcił głową. — Jesteś dostatecznie duży, aby wiedzieć, że dorośli myślą zupełnie inaczej niż dzieci i nie zawsze mówią to, co myślą. Portolanus nie pragnie bogactw, synu, on pragnie władzy. Chce rozkazywać królom, królowym i całemu narodowi, a nie mieszkać spokojnie w Tenebrose, grać z tobą w magiczne gry i obsypywać swój lud złotem i diamentami.

— On mówi, że któregoś dnia będę mógł zostać Panem Tuzamenu!

— Co takiego?!

— Mówi, że uczyni mnie swoim następcą — oświadczył chłopiec. — Poczuję do mnie wielką sympatię. Nie będę już bezużytecznym drugim księciem. Nauczę się być czarownikiem, tak jak on, a kiedy Portolanus się usunie, żeby studiować starożytną magię, ja będę rządził jego krajem! On nie może mieć dzieci. Powiada, że prawdziwie wielki czarownik nie może ich mieć. Oni muszą adoptować swoich następców... I on chce mnie adoptować!

— Wyrzekłbyś się swojej własnej rodziny na rzecz tego nikczemnego oszusta?! — zawołał król, zaciskając palce na ramionach syna. Tolo zwinął się jak oszalone zwierzę, wyrwał z rąk ojca i pobiegł do drzwi celi.

— Nie wiesz, co robisz! — wykrzyknął Antar. — Jesteś tylko małym dzieckiem! Głupiutkim dzieckiem!

Drzwi celi otwały się bezszelestnie.

— Ja chcę stąd wyjść! — wrzasnął Tolo wybiegając na korytarz. — Nie chcę cię więcej widzieć, tato!

— Wróć, synu! Nie powinienem mówić do ciebie tak ostro! — Król wielkimi krokami skierował się do drzwi, ale Edruk zastąpił mu drogę i po chwili rozległ się szcęk klucza przekręcanego w zamku.

— Tolu! — Żelazne drzwi i kamienne ściany przygłuszyły głos Antara. — Tolu, nie odchódź!

Chłopiec otarł twarz rękawem, a potem poszedł za dozorcą do przedpokoju. Czekali tam dwaj mężczyźni o okrutnych twarzach, noszący liberię osobistych sług królowej Ganondri.

— Oto on — powiedział z westchnieniem Edruk. — Zillak i ja podsłuchaliśmy jego rozmowę z ojcem. Było tak, jak podejrzewała królowa.

Silne dłonie chwyciły Tola za ramiona.

— Pójdiesz z nami! — warknął jeden ze sług. Słyszając przerażony pisk malca, Raktumianin roześmiał się głośno. — I idź szybko. Jej Wysokość nie lubi czekać.

Głośne okrzyki dobiegały spoza zamkniętych drzwi salonu królowej Ganondri. Dwaj szlachcice skrzyżowali miecze przed drzwiami, uniemożliwiając eskortie Tola wejście do środka.

— Przecież królowa–regentka kazała jak najprędzej sprowadzić tego królewskiego bachora! — zaprotestował jeden z krzepkich sług w liberii. — Ma on bardzo ważną informację do przekazania!

— Królowa rozmawia z naszym najlaskawszym panem, królem Ledvardisem — powiedział nagle któryś ze szlachciców. On i jego towarzysz nosili godło młodego monarchy. — A wy zaczekacie.

Czwórka królewskich sług mierzyła się gniewnym wzrokiem, a z salonu wciąż dobiegały głośne krzyki. Strach Tola ustąpił miejsca fascynacji. Piracka królowa i jej wnuk, Król–Goblin, kłócili się zażarcie! Nie sposób było zrozumieć, co mówili. Po kilku minutach drzwi otwały się gwałtownie i wyszedł z nich blady z wściekłości Ledvardis.

— Nie, nie będziesz odwracał się do mnie plecami! — zawołała za nim Ganondri. — Wracaj, ty arogancki niewdzięczniku!

Ignorując jej krzyki, młody garbus gestem nakazał swoim ludziom iść za sobą i udał się w głąb korytarza.

Ganondri zbliżyła się do drzwi. Grymas wściekłości wykrzywił jej twarz, a kunsztowna fryzura przekrzywiła się i kasztanowate włosy rozsypały się na wszystkie strony. Miała na sobie purpurową suknię i lekki płaszcz tej samej barwy obramowany złotą koronką. Na widok Tola i jego eskorty uspokoiła się z wyraźnym wysiłkiem i skinieniem ręki kazała wprowadzić chłopca do salonu. Na biurku królowej ktoś przewrócił kałamarz na stos oficjalnych dokumentów i atrament kapał powoli na bezcenny dywan. Strzępy jakiegoś dokumentu leżały na podłodze wraz ze złamanym na pół piórem. Nie zwracając uwagi na nieporządek, królowa–regentka podeszła do stolika i napełniła wódką kryształowy kielich. Wypiwszy go do dna, odwróciła się raptownie i utkwiała błyszczące zielone oczy w księciu Tolivarze.

— Czy to prawda — zapytała spokojnie, ochryplym głosem — że twoja matka, królowa Anigel, zaproponowała swój talizman Portolanusowi, kiedy byliśmy jeszcze w archipelagu Bezwietrznych Wysp?

— Tak — wymamrotał chłopiec wpatrując się w czubki swoich butów. — Tak sędzę.

— Mów głośniej!

— Mój... mój ojciec mi mówił. On nigdy nie kłamie.

— A Portolanus ci powiedział, że odmówił przyjęcia talizmanu Anigel. Tak było?

— On... nie. On nigdy tak nie powiedział.

Ganondri nagle skoczyła do przodu, chwyciła chłopca za ucho i wykręciła je tak mocno, że Tolo krzyknął z bólu.

— Mów prawdę!

— Mówię! — wyszlochał malec. — Au... to boli!

— Czy Portolanus powiedział, że nie potrzebuje talizmanu twojej matki? Wykrztuś to, ty mały szcurze błotny! Albo każę odciąć ci nos i wrzucić cię do najgłębszego lochu!

Płacząc i trzęsąc się ze strachu, Tolo osunął się na podłogę.

— Nie sprawiaj mi więcej bólu! Tak! Powiedział tak! Powiedział.

Ganondri puściła chłopca i spojrzała na niego ze wstrętem,

— Tak lepiej... Co z ciebie za tchórzliwy, godny pogardy bachor! Nie jesteś bardziej lojalny w stosunku do tego kuglarza, twojego dobroczyńcy, niż wobec własnego ojca. Brrr! Brzydzę się tobą. Nawet mój kaleki wnuk jest przyzwoitszy od ciebie.

— Nie sprawiaj mi bólu! — zaszlochał Tolo, osłaniając głowę ramionami. Dwaj słudzy postawili go na nogi.

— Weźcie tego małego łajdaka, zamknijcie go w jego komnacie i dobrze pilnujcie! — rozkazała Ganondri.

Mężczyźni ukłonili się głęboko i wyciągnęli z salonu księcia Tolivara, który znów się rozpłakał.

— Jest gorzej, niż myślałam — powiedziała do siebie królowa. — Mogę jednak naprawić sytuację jednym śmiałym posunięciem, pod warunkiem, że Portolanus nie osiągnął nagle wielkiej biegłości w posługiwaniu się tym przeklętym Płonącym Okiem.

Pociągnęła za sznur od dzwonka i wezwanej dworce poleciła wezwać kapitana gwardii pałacowej i dwudziestu gwardzistów. Później skierowała się do apartamentów, które przydzieliła Portolanusowi.

— Cóż to za nieoczekiwany zaszczyt, Wielka Królowo! — Pocierając nerwowo koślawymi dłońmi, zgrzybiały czarownik wstał zza zawalonego księgami stołu. Ganondri towarzyszyła mała armia — oddział gwardii. Czarny, Żółty i Purpurowy Głos wyjrżeli z wewnętrznego pomieszczenia, źle ukrywając zaniepokojenie.

— Łapcie jego pomagierów! — rozkazała regentka. Kapitan dał znak ręką i sześciu ciężkozbrojnych gwardzistów pochwyliło akolitów czarownika. Portolanus najpierw zaskrzeczał z zaskoczenia, a potem pogalopował przez komnatę, kłapiąc pantoflami, do wielkiej rzeźbionej skrzyni z polerowanego drewna.

— Zatrzymać go! — zawołała królowa-regentka. — On chce dostać się do talizmanu!

Kapitan i czterech gwardzistów z wyciągniętymi mieczami skoczyło za Portolanusem i chwyciło go za obszerną szatę.

Czarownik z wyciem wyślizgnął się z odzienia i dał susa ku skrzyni już tylko w opasce na chudych łądźwiach. Jednakże któryś z gwardzistów kopnął skrzynię tak mocno, że znalazła się poza zasięgiem rąk Portolanusa.

— Dobra robota! — pochwaliła go Ganondri z lekkim uśmiechem na ustach. Trzech żołnierzy trzymało szamoczącego się starca, który nagle zwiśł bezwładnie, dysząc ciężko i wystękał:

— Wielka Królowo, to najbardziej godne pożałowania nieporozumienie. Byłbym szczęśliwy, gdyby...

— Milcz, magiku!

Królowa usiadła na wyściełanej ławie, a gwardziści zmusili czarownika, by stał przed nią.

— Zaczniemy naszą dyskusję od Ledvardisa. Zapewniłeś mnie, że rzucisz czar potulności na mojego nieposłusznego wnuka. A przecież, kiedy dziś wieczorem podsunęłam mu do podpisania pewien ważny dokument, nie tylko odmówił kategorycznie podpisu, ale zelżył mnie i oświadczył, że moje rządy wkrótce się skończą.

— Nie mogę tego zrozumieć! — zaskomlał czarownik. — Moi słudzy podawali ów napój młodemu królowi codziennie od powrotu do Frangine. Powinien być teraz uległy jak nowo narodzony woth!

Ganondri parsknęła pogardliwie.

— Jesteś niekompetentny! A może, pomimo mojego ostrzeżenia, postanowiłeś zerwać nasze przymierze? Czy o to chodzi? Myślisz, że teraz, kiedy wróciliśmy na ląd, będziesz mógł knuć kolejny spisek przeciwko mnie? Czyżbyś był tak głupi, by sadzić, że mój niedorozwinięty umysłowo wnuk może się stać twoim narzędziem?

— Nic podobnego! Mylisz się, Wielka Królowo!

— Mylę się? Bo wierzę, że Anigel z Laboruwendy zaferowała ci swój talizman jako okup przed kilkoma tygodniami, gdy byliśmy w pobliżu Bezwietrznych Wysp? A ty nie chciałeś go przyjąć?

— Nie, temu nie zaprzeczę. Obawiałem się, że jeśli powiadomię cię o ofercie Anigel, ty, w swojej żądzy posiadania tej niewiele wartej błyskotki, natychmiast uwolnisz jej małżonka. A to byłoby fatalne dla naszych celów. Musimy więzić króla Antara, jeśli nasze plany podboju Laboruwendy mają się powieść! Tylko on mógłby zjednoczyć wokół siebie podzieloną łabornocką szlachtę. Jego ziomkowie nigdy nie będą szczerze walczyli pod sztandarem Dwu Tronów, chyba że dowództwo obejmie sam Antar. Jeżeli Antar pozostanie więźniem, nasza inwazja pozwoli panu Osorkonowi, naszemu zwolennikowi, przechwycić kontrolę nad

Labornokiem. Podbój Ruwendy nastąpi po kapitulacji Labornoku tak nieuchronnie jak noc następuje po dniu, zwłaszcza gdy większa część ruwendiańskiej armii odejdzie na południe, by bronić Varu.

— Jakież to prawdopodobne — powiedziała lekko Ganondri. — I to z tego powodu odmówiłeś przyjęcia mojego talizmanu? — Dwa ostatnie słowa wprost wyskrzeczwała z wściekłością.

— Przysięgam, że tak było! Na cóż ci się zda ten przedmiot, kobieto? Czy jesteś czarodziejką? Zawładnięcie nim byłoby czczym gestem.

— To ja miałam o tym zdecydować, a nie ty! — krzyknęła królowa. — A ty śmiałeś mi uniemożliwić podjęcie tej decyzji! Bałeś się tego, co mogłoby się stać, gdybyśmy byli równi sobie we władaniu mocą czarodziejską!

— Nonsens. Robisz z siebie pośmiewisko.

— Jak śmiesz! — wrzasnęła Ganondri. — Ty... ty...

Nie panując nad sobą, królowa zerwała się z ławy. Wyrwawszy z pochwy ozdobiony drogimi kamieniami sztylet, rzuciła się na Portolanusa.

— Dość tej komedii! — powiedział czarownik.

Wtedy Ganondri zatrzymała się przed nim, nie wierząc własnym oczom. Portolanus przybrał swój prawdziwy wygląd. Jego obnażone ciało stało się wysokie i silne, broda i włosy lśniące białe, a srebrzystoniebieskie oczy rozjarzyły się jak gwiazdy. Wysoko w prawej dłoni trzymał Potrójne Płonące Oko. Wydawało się, że piracka królowa zamieniła się w posąg, oparta nogą o ziemię, z uniesionym do ciosu sztyletem. Pałacowi gwardziści również znieruchomieli, a w ich martwych twarzach poruszały się tylko oczy.

Śludzy Portolanusa wyslizgnęli się z rąk skamieniałych piratów i pośpiesznie przynieśli swemu panu czystą białą szatę. Czarny Głos otworzył rzeźbioną skrzynię, z czcią wyjął z niej posrebrzany skórzany pas z pochwą, które niedawno zrobiono dla Potrójnego Płonącego Oka, i zapiął go wokół wąskiej talii czarownika. Inni śludzy Portolanusa krążyli wokół, rozbrajając gwardzistów. Najpierw jednak odebrali Ganondri jej śmiertelnie niebezpieczną zabawkę. Potem cofnęli się pod ściany. Czarownik schował do pochwy swój talizman i niedbałym gestem uwolnił królową od magicznego paraliżu.

— Oczywiście miałaś rację uważając, że cię oszukałem — powiedział aksamitnym głosem. — Nigdy bym nie dopuścił, żeby Anigel dała ci swój talizman! Kiedy byliśmy na pokładzie okrętu, powstrzymywały mnie od działania twoje środki ostrożności. Teraz czas udawania skończył się wreszcie. Ledo! Chodź tutaj!

Młody król Ledvardis wyszedł z wewnętrznej komnaty, zbliżył się do swojej babki i spojrział na nią obojętnie. Trzymał oburącz jakiś niewielki przedmiot.

— Byłaś bardzo przebiegła, królowo-regentko — ciągnął czarownik — uważałaś, że zapędziłaś mnie w pułapkę. Że nie mógłbym uciec, bo zerwałbym sojusz z Raktum. Uważałaś się za zabezpieczoną przed moimi intrygami, ponieważ rządysz Raktum i każde moje wystąpienie przeciw tobie — jestem przecież cudzoziemcem o bardzo wątpliwej reputacji! — wyda się twemu ludowi zagrożeniem samego Raktum. Istotnie, trafnie to zauważyłaś: potrzebuję dobrej woli Raktum! Ale nie twojej... tylko jego osoby. — Portolanus wskazał na Ledvardisa. — A on ma ważne powody, żeby cię nienawidzić.

Zielone oczy królowej przemknęły z zaciętej twarzy jej wnuka na uśmiechnięte oblicze czarownika, a potem znów zatrzymały się na Ledvardisie.

— Nie odważysz się mnie zabić!

— To prawda. — Portolanus skinął głową. — Nie odważę się też cię wygnać ani uwięzić. Na szczęście obyczaj twojego własnego pirackiego królestwa dostarczyły mi rozwiązanie tego dylematu. Ci świadkowie — czarownik wskazał na sparaliżowanych gwardzistów — zachowali pełną przytomność umysłu. Sprawię, że zobaczą i zapamiętają wszystko, co się wydarzy.

Portolanus skinieniem głowy dał znak młodemu królowi, który zbliżył się do swej babki i pokazał jej małą złotą szkatułkę. Z największą ostrożnością podniósł wieczko. Wnętrze przesłaniała siateczka z cienkich złotych drucików. Ganondri zajrzała do szkatułki i wydała piskliwy krzyk. Jej twarz zszarzała. Odwróciwszy się plecami do regentki, Ledvardis pokazał zawartość tajemniczej skrzyneczki unieruchomionym czarami gwardzistom. W szkatułce podniosło się coś małego, ciemnego, błyszczącego od szlamu. Rodzaj maleńkiej macki z dwoma cienkimi jak igły żądlami na końcu wysunął się przez oko siateczki. Z żądeł zwisały kropelki jadu, połyskujące niczym kryształki.

— Wiecie, co to takiego — powiedział garbaty król do sparaliżowanych żołnierzy. — W dawnych czasach, kiedy oskarżono kogoś z naszych korsarzy o zdradę, mógł on wybierać pomiędzy przyznaniem się do winy i samobójstwem a poddaniem się próbie szareeków. Czasami szareeki uznawały oskarżonego za niewinnego.

— Nie! — szepnęła Ganondri. — Nie możesz zrobić tego twojej własnej babce! Jesteśmy tej samej krwi!

— Królowo-regentko — powiedział młodzieniec. — Oskarżam cię o pozbawienie mnie tronu, który mi się prawnie należy. Oskarżam cię o spisek mający na celu oskarżenie mnie o niekompetencję, co pozwoliłoby ci dalej rządzić Raktum. Oskarżam cię o zamordowanie, torturowanie i uwięzienie ponad trzystu ludzi, którzy byli moimi wiernymi j stronnikami... A teraz zostaniesz osądzona. — Chwyił prawy przegub królowej i odwrócił szkatułkę, przykładając złotą siateczkę do ręki swej babki. — Niech szareek zdecyduje o twoim losie, a stanie się to zgodnie ze starożytnym raktumiańskim prawem, gdy będę liczył do trzech. Raz... Zapanowało milczenie.

— Dwa...

Żrenice Ganondri były tak rozszerzone w zsiniałej twarzy regentki, że przesłoniły zielone tęczęwki. Nie próbowała się bronić.

— Trzy...

Królowa wydała ohydny, nieludzki wrzask, brzmiał jak wycie płonącej żywcem bestii. Kiedy Ledvardis odsunął złotą szkatułkę od jej ręki, widzowie zobaczyli na przegubie Ganondri dwa niewielkie ukłucia. Skóra wokół nich natychmiast spurpurowiała, a potem szerniała. Czerń rozprzestrzeniła się na palce i górę ręki. Odziana w fałdzistą jedwabną suknię i płaszcz regentka skuliła się i przewróciła na ziemię, wyróciła oczy, tak że widać było tylko białka, jej wargi rozchyliły się i zamknęły. Zdrową rękę Ganondri również ogarnęła czerń. Popęzła w górę szyi regentki, aż wreszcie zalała całą twarz. Lecz wtedy królowa już nie oddychała.

Zduszone okrzyki wyrwały się z piersi kilku gwardzistów. Król Ledvardis ostrożnie zamknął szkatułkę i wsadził ją do sakiewki u pasa. Skinieniem głowy dał znak Portolanusowi.

— Raktumiańscy mężowie — zaintonował śpiewnie czarownik. — Zdejmuję magiczne więzy krępujące wasze ciała.

Wszyscy gwardziści jęknęli, zachwiali się na nogach i rozprostowali stawy i mięśnie.

— Zapamiętajcie to, co zobaczyliście — powiedział Ledvardis. — A teraz, kapitanie, każ przynieść lektykę. Powiadom też dworki zmarłej królowej, by zajęły się jej ciałem. Odbędzie się bardzo skromny pogrzeb... I jeszcze skromniejsza koronacja.

— Tak jest, Wielki Królu — odparł kapitan i wyszedł razem ze swymi ludźmi.

Ledvardis spojrział na zwłoki babki, jeszcze żywej kilka minut temu, a potem podniósł swą niekształtną głowę i w zamyśleniu popatrzył na odmienionego czarownika.

— Tamten brzydki wygląd był widać chwilowy, ten jest przyjemniejszy dla oka. Umiesz zmieniać oblicze, Portolanusie. Czy mogę żywić nadzieję, że potrafiłbyś zmienić także i moje wstretne ciało?

— To jest moja naturalna postać — odrzekł czarownik. — Tamta była iluzją, mającą sprawić, by moi wrogowie mnie lekceważyli. Z żalem muszę stwierdzić, że nie władam

magicznymi sztukami w stopniu pozwalającym zmienić twoją postać, Wielki Królu. Jesteś jednak silny i krzepki i, jeśli chcesz, mogę stworzyć dla ciebie iluzję męskiej urody.

— Nie. Nie będę nosił maski. — Ledvardis machnął odmownie ręką. — Mój lud zaakceptuje mnie takim, jakim naprawdę jestem.

— I uszanujesz pierwotny pakt o przymierzu zawarty między Tuzamenem i Raktum? — spytał cicho Portolanus. — Ganondri próbowała go złamać, choć ja zawarłem go w dobrej wierze. Ofiarowuję go tobie: będziesz rządził wszystkimi narodami Półwyspu i Mórz Południowych, jeżeli dasz mi prymat w sprawach związanych z magią.

— Łącznie z talizmanem królowej Anigel?

— Tak. A z czasem także z talizmanem Arcymagini Haramis. Ja w zamian przysięgam na Ciemne Moce, że nigdy nie wyrządę ci krzywdy czarami, ale użyję ich, by ci pomóc i wesprzeć wszystkie twoje ambicje, które uznam za słuszne i prawnie uzasadnione.

— Ale to ty będziesz miał najwyższą władzę — odparł młody król.

— Tak. Lecz o tym będziemy wiedzieli tylko my dwaj i moi wierni słudzy. To niska cena za twój tron. Interesują mnie sprawy tak odległe od królewskich rządów i handlu jak Trzy Księżyce od powierzchni świata. Będę twoim przewodnikiem i dobroczyńcą, nie zaś ciemniwcą.

— Dobrze. Przyjmuję twoje warunki. — Ledvardis skinął głową.

Portolanus wyjął z pochwy i podniósł do góry Potrójne Płonące Oko.

— I niech ten talizman przypieczętuje nasz pakt. Pozwalam ci go dotknąć... ale tylko raz, dla potwierdzenia twojej przysięgi.

Kroplisty pot wystąpił na niskie czoło młodego króla. Ledvardis wyciągnął jednak odważnie rękę i oparł ją na ciemnych, zamkniętych oczach talizmanu.

— A jednak! Zrobiłem to! — uśmiechnął się z ulgą. — Przypuszczam, że gdybym cię zdradził, talizman poraziłby mnie na śmierć.

— Ujmijmy to w ten sposób: szareek nie byłby potrzebny — roześmiał się czarownik. — A teraz zajmijmy się przyjemniejszymi sprawami. Jak ci się zdaje, gdzie Ganondri ukryła koronę twego zmarłego ojca? Pewnie zechcesz ją przywdziać na swoje pierwsze oficjalne spotkanie.

— A kim będzie mój gość? — zainteresował się Ledvardis.

— To Anigel z Laboruwendy — odrzekł Portolanus. — Jeżeli gwizdnięciem przywołam moje magiczne wiatry, przygonią jej spóźnioną flotyllę do Frangine za trzy dni. Może zechcesz łaskawie ją przyjąć i oddasz jej męża... W zamian za talizman... A potem ty i ja przygotujemy się do odebrania im Laboruwendy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Pierwszy wyszedł na brzeg z laboruwendiańskiego flagowca Dorok Sziki, niosący niebiesko–złoto–czerwony sztandar Dwu Tronów. Królowa Anigel podążała za nim po wyściełanej dywanem kładce, nie zwracając uwagi na padający śnieg, który zamieniał raktumiańską stolicę Frangine w egzotyczne, baśniowe miasto. Ubrana była w królewskie szaty, które nosiła na koronacji zinorańskiego władcy. Na jej złocistych włosach błyszczała wspaniała ruwendiańska korona. Tuż za nią szli marszałek Owanon i szambelan Penapat, a dalej szlachetnie urodzeni gwardziści w pełnych zbrojach, niosący oburącz wielkie miecze, wreszcie odziani w czerni kanclerz Lampiar oraz pani Ellinis, Domowy Minister Laboruwendy. Pozostali rycerze i wielmoże, którzy towarzyszyli Anigel w nieszczęsnej podróży do Zinory, maszerowali w ponurej procesji z czarnymi piórami na hełmach i w czarnych płaszczach.

Sam dzień był ponury i niemiły — płatki śniegu tańczyły na zimnym, ostrym wietrze dmącym od wzburzonych wód zatoki pod ołowianym niebem. Pory roku całkiem się pomieszały, ale żaden z mieszkańców Frangine nie przejmował się tym. Stłoczyli się we wszystkich alejach i bocznych uliczkach, przypatrując się w milczeniu pochodowi Laboruwendian.

Król Ledvardis i jego dworzanie czekali na brukowanym kocimi łbami szczycie wzgórza wznoszącego się tuż nad portem. Anigel nie zgodziła się przyjść do pałacu królewskiego. To, co ma się stać, dokona się pod gołym niebem. Na podwyższeniu z baldachimem stał tron młodego monarchy. Ledvardis siedział w otoczeniu roześmianych rycerzy–piratów z obnażonymi mieczami, a pozostali raktumiańscy wojownicy trzymali w pogotowiu włócznie i halabardy. Król Raktum nosił wspaniałe szaty i koronę wysadzaną dużymi diamentami. Na szczycie jego berła znajdował się diament wielkości męskiej pięści zwany Sercem Zota, ukradziony pięćset lat temu królewskiemu Domowi z Labornoku.

Pan Tuzamenu w białym, bramowanym futrem płaszczu, z kapturem osłaniającym całkowicie jego twarz, stał na prawo od młodego króla. Z lewej zajął miejsce admirał Jorot z godłem premiera. Tłum obdartych Raktumian szczelnie wypełniał plac na wzgórzu, udekorowany jaskrawymi sztandarami łopoczącymi na wietrze. W głuchej ciszy Laboruwendianie wspięli się po stromej, śliskiej od błota uliczce i ustawili przed podwyższeniem.

Trąbki zagrały, gdy Sziki odszedł na bok ze sztandarem, a królowa Anigel zbliżyła się do tronu pod baldachimem. Ledvardis wstał, powitał ją uprzejmym skinieniem głowy, na który odpowiedziała w taki sam sposób.

— Przybyłam, by zapłacić okup za mojego męża i syna — powiedziała po prostu.

— Masz oddać swój talizman! — zażądał zakapturzony czarownik.

Anigel nawet nie raczyła na niego spojrzeć; nie odrywała oczu od bladej twarzy Ledvardisa, spoconej, pomimo lodowatego wiatru.

— Okup zostanie okazany i przekazany tobie, królewski bracie, kiedy zobaczę, że moi bliscy są cali i zdrowi.

— Oczywiście.

Król Raktum zrobił nieznaczny gest i tłum zbrojnych z prawej strony podwyższenia natychmiast się rozstał. Anigel nie powstrzymała żalosego okrzyku na widok pomalowanej jaskrawymi barwami, połączanej klatki. Kapitan gwardii pałacowej otworzył klatkę i uklonił się z szacunkiem, kiedy wyszedł z niej Antar, a za nim mały Tolivar. Obaj wspaniale wystrojeni, w płaszczach z futra złocistych worramów. Na ich urękawicznionych dłoniach błyszczały platynowe kajdany.

Na twarzy królowej Laboruwendy malował się smutek i rezygnacja. Tolo się nachmurzył. Kapitan raktumiańskiej gwardii eskortował Antara i jego syna do podnóża tronu i podał swemu władcy platynowy klucz. Ledvardis wręczył go Anigel.

— Pani, możesz uwolnić więźniów.

— Talizman! — warknął czarownik.

Ledvardis jakby go nie słyszał. Ponieważ królowa stała nie odrywając wzroku od swego małżonka, Ledvardis sam otworzył najpierw kajdany Antara, a potem Tola.

— Idźcie. Jesteście wolni.

Król Laboruwendy podniósł bladą jak wosk dłoń żony i pocałował ją czule, a potem stanął obok marszałka Owanona, swego starego przyjaciela.

Anigel uniosła zawieszoną u pasa torebkę ze złotego brokatu, wyjęła z niej wąski, srebrzysty diadem zwany Trójgłowym Potworem i wyciągnęła przed siebie drżącą rękę. Zanim Ledvardis zdołał dotknąć talizmanu, czarownik szybko zrobił trzy kroki do przodu.

— Ledo! Strzeż się! Ona mogła rozkazać, by cię zabił! Anigel pokręciła głową.

— Nie zrobiłby mu żadnej krzywdy — powiedziała zmęczonym głosem.

Wtedy wyskoczył zza tronu Czarny Głos, niosąc skrzynkę z gwiazdą na wieku. Z głupim uśmiechem postawił ją u stóp Anigel i otworzył. Czarownik rozkazał:

— Pani, włóż talizman do środka.

Anigel uklękła na zdeptanym śniegu i wykonała polecenie. Nagle wszystkich oślepił jaskrawy błysk. Młody król się wzdrygnął, gwardziści z krzykiem zamachnęli się bronią, a wśród tłuszczy raktumiańskich obywateli rozległy się wrzaski, wycia i posypały się ordynarne przekleństwa. Królowa zaś Laboruwendy cofnęła się tylko o krok, na pozór całkowicie obojętna.

— Nie lękajcie się! — Czarownik szybko sięgnął do skrzyni, poruszając palcami w skomplikowanym rytmie. Po chwili wstał, odrzucił kaptur, włożył na głowę magiczny diadem i wyciągnął z pochwy Potrójne Płonące Oko. Nie miał teraz brody, a jego długie białe włosy powiewały na wietrze. Ciężkie przeżycia wyryły się zmarszczkami na jego twarzy, która mimo to zachowała urodę. Ukoronowany talizmanem Anigel, unosząc wysoko talizman Kadiyi wśród wirujących płatków śniegu, otoczył się aurą swojej mocy. Wtedy dopiero Anigel rozpoznała w nim dawnego przeciwnika, który omal nie pokonał jej i jej sióstr przed dwunastu laty.

— Orogastus! — zawołała ze zdumieniem i przerażeniem. — Więc to ty! Och, przeklęty łajdaku, oby Władcy Powietrza ukarali cię tak, jak na to zasługujesz! Ty złodzieju! Ukradłeś te talizmany.

Orogastus uśmiechnął się pobłaźliwie. W diademie teraz tkwiła wieloramienna gwiazda zamiast bursztynowego amuletu poprzedniej właścicielki.

— Kradzież? Ależ skąd! Jesteś niesprawiedliwa w stosunku do mnie, Pani. Pierwszy talizman należy do mnie, gdyż go znalazłem i uratowałem, a drugi otrzymałem jako okup zgodnie z prawami wielkiego Raktum. A co do tej ostatniej sprawy, otrzymałaś odpowiednią rekompensatę. Rozewrzyj dłoń! Nie tylko twój mąż i syn powrócili do ciebie.

Anigel bez słowa patrzyła na świecący amulet leżący w zagłębieniu jej ręki. W jego wnętrzu jarzył się maleńki szkarłatny kwiatek.

— Powiedz swojej siostrze Haramis, że będę na nią czekał — dodał uśmiechnięty wciąż czarownik. — A teraz będzie lepiej, jeżeli odpłyniesz wraz ze swymi ziomkami do Derorguili. Ta burza śnieżna wkrótce zamieni się w północno-wschodni wiatr, który ułatwi wam podróż do domu... Chodź, Tolu.

Odwrócił się na pięcie. Mały książę Tolivar, który stał obok z naburmuszoną miną, rozpromienił się wyraźnie.

— Mogę, Mistrzu? Pozwolisz mi ze sobą zostać?

— Jeśli tego chcesz — odparł Orogastus patrząc przez ramię.

— Chcę!

— Tolu, nie! — zawołała Anigel.

— Chciałbyś ponieść dla mnie gwiazdną skrzynię? — spytał chłopca czarownik, ignorując przerażenie i zmieszanie, które nagle wykrzywiły twarz Czarnego Głosu.

— O, tak! — Mały książę wyrwał skrzynkę z rąk rozszoszczonego akolity i podniósł ją wysoko jak zdobycz, żeby wszyscy mogli to zobaczyć.

— Tolu — Anigel płakała otwarcie. — Nie możesz odejść z tym okropnym człowiekiem! Skąd ci to przyszło do głowy?! Wracaj do mnie, mój biedny synku!

Książę Tolivar, stojąc u boku wysokiego czarownika, tylko patrzył na nią w milczeniu poprzez gęstniejącą zasłonę śniegu.

— Chłopiec może zrobić, co zechce — oświadczył król Ledvardis. — Wybór należy do niego.

— Antarze! — zawołała bezradnie królowa. — Przemów do swego syna!

— Już z nim rozmawiałem — odparł bez cienia nadziei w głosie król Laboruwendy. Ujął żonę pod ramię, gdyż Anigel zrobiło się słabo, kiedy uświadomiła sobie całą potworność tego stwierdzenia, a Owanon pod drugie. — Chodź, moja droga. Nic więcej nie możemy teraz zrobić.

Królowa Anigel nie odezwała się ani słowem, kiedy prowadzili ją z powrotem na statek, oszołomioną i zapłakaną. Za nimi szli pełni smutku dworzanie i rycerze. Po pół godzinie podniesiono kotwice, a wolni obywatele Laboruwendy chwycili za wiosła i skierowali cztery okręty na pełne morze, w stronę ojczyzny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Skomplikowany tęczyowy wzór promieni wypełnił umysł Haramis, był jak gobelin utkany z zorzy polarnej. Wydawało się jej, że rozkazuje tym wiązkom świetlnym dzień za dniem, siłą woli zmieniając je w konkretne obrazy na polecenie Arcymagini Morza. Najpierw pojawił się małeńki kryształowy zamek, a potem zmaterializował na jej oczach. Wtedy przegrała go, a następnie poleciła promieniom ukształtować osiodłanego wierzchowca. Ujrzała przed sobą froniąca połyskującego tęczowymi fasetami. Zamienił się w materialną istotę i patrzył na Haramis z jakby komicznym zakłopotaniem, potrząsając rogami, póki nie odesłała go do próżni, z której wyszedł. Arcymagini Łądu tworzyła coraz to nowe rzeczy oraz istoty i wywoływała z niebytu miejsce za miejscem, gdyż odpowiednio sterowany Trójskrzydły Krąg był niczym wiadukt, który w mgnieniu oka mógł przenieść swoją właścicielkę wszędzie, dokądkolwiek zapragnęła się udać. Iriane jednakże pozwalała swojej uczennicy podróżować tylko do dzikich, bezludnych zakątków świata, które sama wskazała. Lekcje te były naprawdę trudne i ani ludzie, ani widok znajomych miejsc nie powinien był rozpraszać uwagi Haramis. Na początku tak nieudolnie tworzyła iskrzące się wizje i przywoływała miejsca, które chciała odwiedzić, że nie stawały się rzeczywistością. Dopiero po długich godzinach ćwiczeń pod kierunkiem Niebieskiej Damy nauczyła się kontrolować moc swego talizmanu. Teraz nawet nieźle sobie z tym radziła, zrozumiała, że jeżeli uniknie pułapki nadmiernego zaufania we własne siły, może zdoła opanować Trójskrzydły Krąg!

— Daleko ci jeszcze do pełnej kontroli nad talizmanem — zauważyła cierpko niewidzialna Iriane. — Nie jesteś wszakże już taką kompletną ignorantką jak wtedy, gdy przybyłaś do mojej siedziby! Wystrzegaj się tylko arogancji i skłonności do ryzyka, a z honorem wypełnisz swój obowiązek.

— Modlę się o to — odparła Haramis z całą pokorą, do jakiej była zdolna.

Cudowna paleta podatnego na czary barwnego światła przygasła, zamieniając się w mrok. Haramis ocknęła się znów w komnacie medytacji, na klęczkach, cała obolała. Arcymagini Morza wstała ze stolka, przeciągnęła się i ziewnęła.

— Ach, jakże się zmęczyłam, moje dziecko — i zgłodniałam. Chodźmy na kolację. Przygotowałam smaczny gulasz ze suo bri, świeżo dostarczonych z Zielonych Błot twojej ojczyzny, i znany ci już placek z mgławiczkami.

Haramis wstała z trudem, układając fałdy swego płaszcza.

— Obawiam się, że nie będę mogła dużo zjeść. Jestem zbyt zmęczona. Marzę tylko o śnie! Gdybyś nie była taką wymagającą nauczycielką i pozwoliła mi dłużej poleżeć w łożu...

— Dziś w nocy możesz spać tak długo, jak zechcesz. Twoja nauka dobiegła końca.

— Ależ tak naprawdę jeszcze się nie nauczyłam władać wysoką magią! — Zawód i lęk brzmiały w głosie Haramis.

Iriane machnęła lekceważąco ręką.

— Twój trzydziestodniowy pobyt się skończył. Niczego więcej nie mogę cię nauczyć. Władasz większymi mocami niż ja kiedykolwiek potrafiłam, z pomocą talizmanu i bez niego też. Resztę z czasem poznasz sama.

— Ale jak to możliwe?

— Uwierz mi. — Okrąglą, sympatyczną twarz Iriane o niebieskawej karnacji rozpromienił słodki, tajemniczy uśmiech. Obie kobiety przebyły świecący, przezroczysty korytarz i dotarły do mrocznej komnaty z żywym morskim freskiem.

— Od czasów Zaginionych żaden Arcymag czy Arcymagini — oprócz ciebie — nie posiadał nawet jednej części Berła Mocy ani nic nie wiedział o jego działaniu — ciągnęła Niebieska Dama. — Zaginieni obawiali się go, ale ty nie możesz sobie na to pozwolić. Teraz spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność: musisz tak użyć czarodziejskiej mocy, by

przywrócić utraconą równowagę świata i sprawić, żeby pozostałe części Berła nie posłużyły złu.

Haramis próbowała ukryć dręczący ją głęboki niepokój. Usiadła przy stole, gdy Iriane poszła po przygotowaną w tajemniczy sposób kolację (młodej kobiecie nigdy nie przyszło do głowy zapytać, w jaki). Kiedy Arcymagini Morza wróciła ze smakowicie pachnącymi potrawami, dziewczyna prawie ich nie tknęła.

— To nie dlatego, że jestem zmęczona — odrzekła w odpowiedzi na wyrzuty Iriane. — Mam bardzo złe przeczucia... Czy pozwolisz mi porozmawiać z siostrami?

— Już nie musisz pytać mnie o pozwolenie, Arcymagini Łądu — powiedziała uroczyście Niebieska Dama. — Odpowiem jednak na pytanie, które najbardziej niepokoi twoje serce: tak, talizman zwany Trójgłowym Potworem został oddany jako okup za króla Antara. Jest teraz w posiadaniu czarownika Orogastusa, który złączył go ze sobą.

— Wielki Boże! Tego najbardziej się obawiałam! Dlaczego mi nie powiedziałaś, co się dzieje?! Mogłam do tego nie dopuścić!

— Nie powstrzymałabyś siostry, a przerwanie nauki w krytycznym punkcie nieodwołalnie rozproszyłoby twoją uwagę w chwili, gdy zrozumiałaś jej mechanizm — odparła spokojnie Iriane, pogryzając placek z jagodami.

Zaczerwieniona z podniecenia Haramis zerwała się na równe nogi.

— Jeżeli Orogastus ma dwa talizmany, a ja tylko jeden, to czy nie zyskał już nade mną przewagi?!

— Tylko wtedy, jeśli pozna oba tak dobrze jak ty swój. Zresztą, jak ci już powiedziałam, to twój talizman jest kluczem do Berła Mocy.

— Moje siostry dokonały zabójstw z pomocą talizmanów, ale myślę, że stało się to przypadkiem, gdyż tak naprawdę tego nie chciały. Zakładam, że Orogastus również może niechcący spowodować czyjąś śmierć. Czy jednak mógłby zabić mnie z rozmysłem?

— Jak dotychczas nie poznał wiedzy tajemnej, niezbędnej do uśmiercenia ciebie tamtymi talizmanami. — Iriane potrząsnęła przecząco głową.

— Ale... a czy ja mam moc zabicia go?

— Żaden Arcymag czy Arcymagini nie może rozmyślnie spowodować śmierci innej istoty rozumnej. Nie wiem, czy będziesz mogła zabić go w pośredni sposób. Tego nie ma w moich księgach. Zaginieni zachowywali wielką ostrożność w takich sprawach. Denby twierdzi, że też nic o tym nie wie, ale on może kłamać. Istnieje jednak miejsce, gdzie mogłabyś się tego dowiedzieć: starożytny Przybytek Wiedzy, który niegdyś był największym uniwersytetem Zaginionego Ludu. Gwiazdni Ludzie próbowali go zniszczyć swoją straszliwą bronią, lecz zanim to się stało, bohaterski Arcymag Varcour zdołał ich pokonać i rozproszyc. Budynek na powierzchni zostały zrównane z ziemią, podziemny labirynt jednak przetrwał, strzeżony przez nieludzkie istoty zwane Sindonami.

— Słyszałam o nich i o tym Przybytku Mądrości. Moja siostra Kadiya otrzymała tam swój talizman — i właśnie tam się zamierzała udać, kiedy ostatni raz z nią rozmawiałam. Jest tam pewien Sindona zwany Nauczycielem...

— Zwróć się do niego. — Iriane skinęła głową. — Może będzie mógł ci powiedzieć coś więcej o Berle Mocy. To właśnie Sindonom dwanaście tysięcy lat temu powierzono rozdzielenie Berła na części składowe i ukrycie ich. Ponieważ nie są to istoty z krwi i kości, wiadano, iż nie ulegną pokusie zatrzymania trzech talizmanów na własny użytek, ani nie podzielą się swą wiedzą z tymi, którzy nie są tego godni.

Haramis powstrzymała dreszcz, otulając się ciasniej płaszczem.

— Iriane, czy bardzo byś się rozgniewała, gdybym już zaraz udała się do owego Przybytku Wiedzy?

Arcymagini Morza dotknęła ust niebieską serwetką i wstała.

— Oczywiście, że nie. Jest jednak coś, co powinnaś zabrać ze sobą. — Podeszła do biurka w kącie komnaty. — Czy pamiętasz moją opowieść o tym, jak Orogastus uniknął śmierci i został wysłany na Niedostępny Kimilon?

— Dzięki jakiemuś urządzeniu zwanemu Gwiazdą Przewodnią.

— Właśnie! A oto i ona.

Niebieska Dama grzebała wśród zatrzęsienia przedziwnych przedmiotów na biurku. Wreszcie znalazła sześciokątną płytkę jakiego ciemnego metalu z wieloramienną gwiazdą w centrum.

— Zabrałam to z Kimilonu natychmiast, jak tylko przybył tam nieprzytomny Orogastus, który zresztą nawet nie wie o istnieniu tego urządzenia. Ukrywałam go odtąd w obawie, by nie został użyty w złym celu. Haramis patrzyła na Iriane nic nie rozumiejąc.

— Chcesz powiedzieć, że Orogastus nie posłużył się nim, by uciec z Kimilonu?

— Nie, nie... zresztą to nieważne! — Iriane była dziwnie podniecona. — Przypomnij sobie, jak to wszystko działa: jeśli Berło Mocy w jakiś sposób zwraca moc i siłę duszy któregokolwiek z Gwiezdných Ludzi przeciw niemu samemu i właśnie w ten sposób zabija, to ta Gwiazda Przewodnia przyciąga do siebie niedoszłą ofiarę wydobywając ją z magicznych płomieni i ratuje życie. — Arcymagini Morza podała Haramis płaski sześciokąt.

— Ale co ja mam z tym począć? — zapytała zdziwiona księżniczka.

— Na początek, ukryj to przed nim — oświadczyła ostro Iriane. — Gdyby kiedykolwiek ta broń wpadła mu w ręce i gdyby poznał jej działanie, stałby się niemal niezwyknięzony! Może sindoński Nauczyciel zna bezpieczne miejsce, w którym można ukryć Gwiazdę. W każdym razie teraz ty jesteś za nią odpowiedzialna.

— Czyż najprościej nie byłoby po prostu ją zniszczyć?

— Spróbuj — zachęciła ją Niebieska Dama. — Ja próbowałam i Gwiazda odparła wszelkie moje ataki! Może ty, skoro kontrolujesz swój tak potężny talizman, będziesz miała więcej szczęścia.

Haramis rozkazała Gwiazdzie zawisnąć przed sobą w powietrzu. Urządzenie posłuchało. Później poleciła mu rozpaść się, zamienić w proch. Jednakże Gwiazda, nie zmieniona, nadal wisiała w niebieskawym półmroku. Arcymagini Łądu ponowiła próbę, ale uparty sześciokąt pozostał cały, a wieloramienną gwiazdą połyskiwała w jego centrum.

— Widzisz? — Iriane wzruszyła ramionami. — Gwiazdne godło chroni je magią odpornościową. Będziesz musiała znaleźć inny sposób na unieszkodliwienie tego urządzenia.

— Może Nauczyciel w Przybytku Mądrości podsunie mi jakiś pomysł... Ale teraz muszę już iść. — Haramis wzięła sześciokąt do ręki.

Obie kobiety, jedna wysoka, czarnowłosa, odziana w biel, a druga niska i pulchna, otulona połyskliwymi lazurowymi draperiami, spojrzały na siebie w zapadłym nagle milczeniu. Później Iriane ujęła dłoń Haramis, przyciągnęła ją do siebie i złożyła serdeczny pocałunek na jej czole.

— Pamiętaj o mnie, droga Haramis, Arcymagini Łądu! Zawsze pozostanę twoją dobrą przyjaciółką i siostrą w wypełnianiu naszych obowiązków. Gdybyś kiedykolwiek znalazła się w niebezpieczeństwie, wezwij mnie na pomoc, a ja zrobię co będę mogła.

— Wdzięczna ci jestem za to, co już zrobiłaś. — odwzajemniła uścisk. — Dziękuję. Mam nadzieję, że znów się spotkamy, ale w szczęśliwszych okolicznościach.

Cofnęła się o krok, trzymając Gwiazdę pod ramieniem. Prawą ręką ścisnęła swój talizman. Skinąwszy głową po raz ostatni, zniknęła.

Iriane westchnęła i pokiwała głową. Później przywołała Grigri do stołu i podzieliła się z nim resztką placków.

Melodyjna nuta towarzysząca podróży przez wiadukt zadźwięczała w umyśle Haramis. Arcymagini Łądu mignął tylko jak wyrzeźbiony w ogromnym diamencie wzorzec, który za

moment stał się rzeczywistością. Znalazła się w dużej, jasno oświetlonej komnacie, zaskakująco cichej. Odwróciwszy się, ujrzała głęboki basen ujęty w niski murek z białego marmuru. Posadzkę pod jej stopami wyłożono kamiennymi płytkami o metalicznym, niebieskim odcieniu. Naprzeciwko basenu ujrzała marmurowe schody prowadzące w górę do źródła światła. Na każdym stopniu stały kamienne figury. Byli to Sindonowie.

Haramis podeszła do najbliższej pary, o głowę wyższej od niej, wyglądającej jak wyrzeźbieni ręką mistrza człowiecza kobieta i mężczyzna. Na ich ciałach nie dostrzegła żadnych śladów włosów, porów, zmarszczek czy plam. Były doskonale gładkie, o barwie kości słoniowej i przypominały wypolerowaną kość. Ciemne oczy Sindonów sprawiały wrażenie inkrustowanych kamieniami; w źrenicach połyskiwały złociste iskierki, które Haramis nauczyła się już kojarzyć z Zaginionymi. Wymyślne korony–hełmy z podniesionymi przyłbicami ocieniały ich blade, spokojne twarze. Mieli na sobie tylko trzy pasy — dwa skrzyżowane na piersi, trzeci wokół talii. Pasy i hełmy zdobiły małe, połyskliwe haski, mieniające się różnymi odcieniami błękitu, akwamaryny i zieleni. Złote łuski biegły wzdłuż krawędzi tego skąpego odzienia, układając się w wyrafinowane wzory.

Haramis dotknęła talizmanem jednego z posągów. Rzeźbione wargi rozwarły się i przemówiły w człowieczym języku dźwięcznym tonem przywodzącym na myśl jakiś instrument muzyczny.

— Witaj w Przybytku Mądrości, Arcymagini. Czego sobie życzysz?

— Naradzić się z Nauczycielem — odparła Haramis. Sindona skinął głową i wskazał ręką na schody. Nawet gdy się poruszał, jego ciało wydawało się twarde jak kamień. Haramis zdumiała wiedza tych, którzy go stworzyli.

— Nauczyciel czeka w ogrodzie na dole, Arcymagini.

— Dziękuję — odrzekła i zeszła powoli po schodach, przyglądając się po drodze nieludzkim istotom. Ich twarze choć nieznacznie, ale różniły się od siebie. Nie były to ani maszyny, ani istoty z ciała i krwi, lecz coś zupełnie innego.

— Po co was stworzono? — zapytała.

— Żebyśmy mogli służyć — odparł chór łagodnych głosów, tak pięknych, że aż serce zamierało z zachwytu. — Jesteśmy strażnikami, posłańcami i przekaźnikami. Jedni z nas nauczają, drudzy pocieszają, a jeszcze inni odbierają życie zgodnie z Wyrokiem Śmierci.

— Wy zabijacie?!

— Niektórzy strażnicy mają tę zdolność.

— Wielki Boże! — mruknęła Haramis schodząc szybciej. Zaskakujące nowe myśli przemknęły przez jej umysł niczym barwne motyle. Czy ci dziwni Sindonowie mogą być jej sojusznikami w walce z Orogastusem?

— Stworzono nas, abyśmy przeciwstawiali się Złej Gwieździe. — Żywe posągi zdawały się czytać jej myśli. — Większość nas zginęła podczas jej pierwszego upadku przed wiekami. Ci, którzy pozostali, bronią Przybytku Wiedzy.

Haramis stanęła jak wryta, nowy pomysł bowiem przyszedł jej do głowy.

— I poszlibyście ze mną, gdybym rozkazała wam jeszcze raz obronić świat przed dzisiejszym Gwiezdnym Człowiekiem?

— Tylko całe Arcymagiczne Kolegium mogłoby nałożyć na nas nowe obowiązki — westchnęli nieruchomi strażnicy.

Arcymagini zdała sobie sprawę, że jej nowy pomysł umarł, zanim się jeszcze w pełni ukształtował. Umarła też obudzona nadzieja. Całe Arcymagiczne Kolegium?! Ależ oni wszyscy od dawna już nie istnieją! No cóż, to był tylko taki sobie pomysł, jeden z wielu.

Wreszcie wyszła na zalaną światłem otwartą przestrzeń, gdzie białe dróżki wiły się wśród powodzi kwiatów, kwitnących krzewów i pełnych wdzięku ozdobnych drzew. To tu, to tam połyskiwały sadzawki jak klejnoty osadzone wśród niskiej trawy. Sączyły się z nich strumyki, przepasane pięknymi marmurowymi mostkami. Wśród zieleni białawy rozrzucone ławki,

okolone kwiatami grotty, otwarte altany i kraty podtrzymujące owocujące pędy winorośli. Jedna dróżka jakby szczególnie wabiła Haramis, która poszła nią do pięknego belwederu o kopulastym dachu wspartym na smukłych kolumnach. Otaczały go krzewy obsypane purpurowymi, białymi i jaskraworóżowymi kwiatami, roztrącającymi słodki zapach.

W ogrodzie Przybytku Mądrości nie było jednak owadów szukających nektaru ani ptaków śpiewających wśród drzew, ani żadnych zwierząt przemykających w poszukiwaniu jedzenia. Wokół panowała niesamowita cisza, słychać było jedynie szmer strumyków i cichy szelest liści na wietrze. Haramis podniosła wzrok na oślepiająco jasne niebo — i nie zobaczyła słońca. Nagle przypomniała sobie słowa Iriane, że Przybytek znajduje się pod ziemią.

— Czy to możliwe? — zapytała samą siebie. Ukłękła, by przyjrzeć się niezwykle barwnej rabacie i nie rozpoznała żadnego kwiatu. Sylwetki drzew także wydały się jej nieznaną, a sama murawa wyglądała obco, była bowiem niezwykle delikatna, a zarazem gęsta i sprężysta jak dywan. Każde źdźbło miało gładki, równy brzeg; trawa, którą знаła, miała nierówne krawędzie...

— Witaj, Córko Potrójnego Kwiatu.

Haramis drgnęła na dźwięk głosu, jego ludzkiego brzmienia. Podniosła wzrok znad trawnika i spostrzegła kogoś, kto siedł ku niej od belwederu.

Kobieta? Młody chłopiec? Nie potrafiła tego określić. Istota wyglądała jak człowiek i odziana była w barwne, powiewne szaty. Nagie ramiona i twarz miały nieludzką barwę kości słoniowej, a głowę okrywał ciasno przylegający metaliczny hełm, wyglądający jak krótkie, kędzierzawe włosy. Tak jak strażnicy schodów, postać należała do Sindonów.

— Jestem Nauczycielem — powiedziała, a jej twarz uśmiechnęła się, zachowując jednocześnie sztywność kamienia. — Jestem na twoje usługi, Arcymagini Haramis. Jeśli zechcesz mi towarzyszyć, usiądziemy w cieniu i będziesz mogła wypytywać mnie do woli.

Haramis poszła za Sindoną kamienną dróżką. We wnętrzu kopulastej budowli stał biały marmurowy stół i dwa plecione krzesła z rudawymi aksamitnymi poduszkami. Kryształowy dzbanek z jakimś różowym napojem oraz wypełniony kostkami lodu kielich czekały na stole. Nauczyciel gestem poprosił Arcymaginię, by usiadła, napelnił kielich z lodem i podał go Haramis.

— Może ten sposób podawania soku owocowego wyda ci się dziwny, ale nasi dawni władcy, Zaginiony, bardzo to lubili.

— Dziękuję ci za twoją uprzejmość, Nauczycielu.

Haramis spróbowała napoju. Dotyk lodu na wargach z jednoczesnym smakiem zimnego soku owocowego — to było niezwykle, rozkosznie odświeżające doznanie. Haramis mimowolnie pomyślała, że musi poszukać wśród starożytnych maszyn w Jaskini Czarnego Lodu, kiedy w końcu wróci do domu na górze Brom, maszynki do wyrobu lodu.

Przypomniała sobie powagę sytuacji i spojrzała w spokojną twarz siedzącej naprzeciw niej istoty. Zaczęła pytać.

— Czy to prawda, że ty i twoi pobratymcy zostaliście stworzeni przez Zaginionych i tak naprawdę nie jesteście żywi?

— Stworzyli nas członkowie pierwszego Arcymagicznego Kolegium. Żyjemy, ale nie tak jak obdarzeni duszami ludzie i Odmieńcy. Nie mamy dzieci, a kiedy umieramy, nasze dusze łączą się z duszami tych, którzy wciąż żyją. Jestem jedynym żywym Nauczycielem, lecz przebywają we mnie dusze dwustu Nauczycieli, którzy żyli krócej ode mnie. Kiedy umrę, przejdę do jakiegoś strażnika, wysłannika lub pocieszyciela i będę dzielić jego obowiązki. Będzie to trwało dopóty, dopóki pozostanie przy życiu choć jeden Sindona. Po jego śmierci wszyscy zginiemy — jak ostatni węgiel wielkiego ogniska, które w końcu zamieniło się w popiół.

— Ilu strażników pozostało? — spytała Haramis.

— Trzystu dwudziestu jeden. Jest też siedemnastu służących, dwunastu przekazujących, pięciu posłańców i dwóch pocieszycieli. Lecz ci ostatni przebywają z Arcymagiem Niebios i nie mogą bez jego pozwolenia pomagać Arcymagom Lądu i Morza.

— Arcymag Niebios! — wykrzyknęła z zainteresowaniem Haramis. — Co możesz mi o nim powiedzieć? Moja przyjaciółka, Arcymagini Morza, wyjawiała mi, że ma on na imię Denby, i nie chciała powiedzieć nic ponad to, iż jest samotnikiem,; którego niewiele obchodzi sprawy tego świata. Ale sądzę, że jeśli jest prawdziwym Arcymagiem, to jego obowiązkiem jest strzec ludzkości i udzielać jej rad. Gdybym go poprosiła, czy udzieliłby mi pomocy?

— Nie wiem. Nie mogę nic o nim powiedzieć bez jego wyraźnego zezwolenia... a tego nie udziela. Nie zamierza też obecnie mieszać się do spraw lądu i morza. A przynajmniej tak mówi.

Haramis zmierzyła Nauczyciela ostrym spojrzeniem.

— Czy właśnie teraz porozumiałeś się z nim w tej sprawie?

— Tak.

Ruwendianka uniosła się gniewem, lecz nic nie dała po sobie poznać. Jeszcze jedna nadzieja zduszona w zarodku! Czy nikt się do niej otwarcie nie przyłączy? Czy będzie musiała sama stoczyć bój z Orogastusem?

— Są tacy — odpowiedział nieoczekiwanie Nauczyciel. — Ludzie i Odmieńcy, Sindonowie i Arcymagowie, rośliny i zwierzęta, samo powietrze, woda, skały i ciała niebieskie, wszyscy mogą odpowiedzieć na twoją prośbę o pomoc, jeżeli zwrócisz się do nich w odpowiedni sposób i we właściwym czasie.

— Możesz mnie nauczyć, jak prosić o pomoc?

— Niestety, nie. Tylko ty sama możesz zdobyć tę wiedzę. Twój talizman musi cię oświecić.

— Rozumiem. — Haramis wpadała w coraz większy gniew, ale nie przestała wypytywać Nauczyciela. — Powiedz mi, proszę, czy Orogastus ma nade mną przewagę, teraz, gdy zawładnął dwoma talizmanami Berła Mocy, a ja mam tylko jeden?

— Nie talizmany dają przewagę Orogastusowi, ale jego wrodzone zdolności.

— Chcesz powiedzieć, że jest inteligentniejszy ode mnie?! — wykrzyknęła zaskoczona Haramis.

— Nie inteligentniejszy, lecz mądrzejszy i bardziej doświadczony. Jego myśli są chłodne i logiczne, a to wynika z jego oddania Ciemnym Mocom. Lecz ty, o Arcymagini Lądu, masz większe możliwości jako Córka Potrójnego Kwiatu.

— Moje siostry, tak... Ale ich kwiaty stały się czerwone jak krew!

— Kiedy w ich amuletach znów znajdzie się Czarne Trillium, ponownie staną się zdolne do wielkich bezinteresownych czynów. I będą mogły przyłączyć się do ciebie jako córki Potrójnego Kwiatu. Do tego czasu nic nie działają, tak jak reszta niewtajemniczonych.

— Dlatego Orogastus i ja jesteśmy w zasadzie równi sobie mocą? — Haramis pokiwała głową.

— Niezupełnie. Lecz kiedy dwie części Potrójnego Berła Mocy przyłgnęły do Złej Gwiazdy, a jedna do Czarnego Kwiatu, świat nie może wrócić do równowagi. To bardzo niebezpieczne... A będzie tak do chwili, kiedy zagarnięte bezprawnie talizmany zostaną odebrane Orogastusowi i Trzy Płatki Żywego Trillium połączą się, by zwrócić przeciw niemu jego Ciemne Moce.

— Ale jak można tego dokonać?

— W tej sprawie nie mogę ci dać żadnej rady. Zbyt wiele zależy od zwykłego przypadku. Podejrzewam jednak, że nie będzie w to włączona wysoka magia, tylko jakiś bardziej ludzki czyn.

— Więc nie możesz mi pomóc w znalezieniu najlepszego sposobu pokonania Orogastusa?
— zapytała błagalnie Haramis. — Czy nie mogę... jakoś odciągnąć go od jego Ciemnych Mocy?

— Miłość jest dozwolona — odparł enigmatycznie Nauczyciel. — Poświęcenie — nie. Co się zaś tyczy nawrócenia, nie mam żadnych informacji na ten temat. Orogastus służy Gwieździe, a jego poprzednicy pozostali wierni złu aż do śmierci. Nie znam jego serca.

— Ja też nie — mruknęła Haramis. — Ale i nie znam swojego. Pomóż mi, Boże! — Po czym nagle porzuciła niebezpieczne rozczulanie się nad sobą, groziło bowiem odwróceniem uwagi od podstawowego celu, i znów odzyskała spokój i rozwagę. — Nauczycielu, wiem, że kiedy stąd odejdę, moja siostra Anigel poprosi mnie o pomoc, ona musi bronić kraju przed najeźdźcą. Ustaliłam już, że niebawem wypłynie z Raktum wielka armada okrętów wojennych. Orogastus i król Ledvardis zamierzają oblegać północną stolicę Laboruwendy. Powiadomiłam Anigel o tym niebezpieczeństwie, a ona błagała mnie, bym wspomogła ją czarami. Czy powinnam pomóc jej od razu, i też skoncentrować się wyłącznie na problemie Orogastusa i skradzionych talizmanów?

— Ani to, ani to. Powinnaś się natychmiast zająć swoją drugą siostrą, Kadiją. Przybyła tu przed kilkoma dniami, zapytała mnie, w jaki sposób uniemożliwić Anigel zapłacenie okupu za Antara — odpowiedział Sindona. — Kiedy usłyszała ode mnie, że okup na pewno zostanie złożony, wpadła we wściekłość. Poradziłem jej, by pogodziła się z Anigel i oddała się na twoje usługi. Kadiya odrzuciła moją radę.

Podąża teraz do pewnej tubylczej wioski położonej nad Górnym Mutarem. Kiedy tam przybędzie, spróbuje skupić wokół siebie dzielnych małych Uisgu z Ciernistego Piekła i Złotych Błot. Zamierza też skłonić Uisgu do wysłania Wielkiego Zewu zwołującego Wyvilów i Glismaków. Ba, ma nawet nadzieję, że pozyska dla swojej sprawy ohydnych Skriteków. Zgromadziwszy wielką hordę Ludu Bagien i Lasów, Kadiją, Pani Czarodziejskich Oczu, chce zagarnąć całą Ruwendę i uczynić z niej ojczyznę wszystkich tubylczych plemion.

— Zamierza prowadzić wojnę przeciwko człowieczym mieszkańcom Ruwendy?! — spytała z przerażeniem Haramis. — Och, nie! Nie teraz, gdy Dwa Trony muszą wspomóc Var i jednocześnie bronić się przed Raktum i Tuzamenem...

— Kadiya liczy, że ta niepewna sytuacja umożliwi jej zwycięstwo.

— Och, cóż za porywczą idiotka! Będę najpierw musiała przemówić jej do rozsądku, a dopiero potem zobaczę, w jaki sposób dopomóc Anigel i Antarowi. Może wtedy znajdę czas na walkę z Orogastusem...

— Nadal nic nie rozumiesz, Arcymagini! Nie zdołasz w żaden sposób pokonać Gwiezdnego Człowieka bez pomocy obu swoich sióstr, Kadiyi i Anigel, wiernie stojących u twego boku.

— Na Czarny Kwiat! Powinnam była się tego domyślić! — Haramis zacisnęła pięści i pochyliła głowę, a kaptur opadł na jej twarz, ukrywając smutek i ból, który nią zawładnął.

Były Trzema Płatkami Żywego Trillium i na zawsze pozostaną Jednością. Ani jej talizman, ani nowo uzyskane magiczne moce Arcymagini nie pokonają Złej Gwiazdy... Może to uczynić tylko połączone Czarne Trillium.

Opanowała się wysiłkiem woli i znów spojrzała w cierpliwe, nieludzkie oczy Nauczyciela.

— Dziękuję ci. Teraz wiem, co muszę zrobić. Zaraz udam się do Kadiyi.

Wstała z krzesła, a wtedy sześciokątna płytką zwana Gwiazdą Przewodnią ze szczękiem upadła na marmurową posadzkę. Haramis zupełnie o niej zapomniała. Podnosząc ją zapytała:

— Na pewno wiesz, co to jest. Możesz mi powiedzieć, jak to zniszczyć?

— Ty nie zdołasz tego zrobić. Ani Sindonowie. Może to uczynić jedynie Gwiezdna Rada albo całe Arcymagiczne Kolegium.

Znów spotkał ją zawód. Wydęła wargi.

— W takim razie, powiedz mi, jak ukryć tę Gwiazdę, żeby Orogastus znów się nią nie posłużył i nie uniknął kary za swoje zbrodnie. Wtedy Nauczyciel zawahał się po raz pierwszy.

— Gdybyś umieściła ją na dnie morza lub wrzuciła do czynnego wulkanu lub lodowej szczeliny, ten, kogo Gwiazda przyciągnęłaby mocą swej magii, zginąłby niemal na pewno.

Haramis poczuła ucisk w gardle.

— Miałam nadzieję... że znasz miejsce, w którym mogłabym umieścić Gwiazdę tak, by uwięzić żywego Orogastusa. Może tutaj, w tej twierdzy potężnej magii, gdzie sindońscy strażnicy strzegliby Gwiazdy przed akolitami Gwiezdnego

Człowieka... Nauczyciel wahał się przez chwilę.

— Jest takie miejsce. Chodź ze mną!

Ruszył szybkim krokiem kamienną dróżką, Haramis zaś pośpieszyła za nim niemal biegiem, trzymając mocno Gwiazdę w ręce. Dotarli do kępy drzew z opadającymi, jakby płaczącymi gałęziami o jasnozielonych liściach. Pod nimi znajdował się skalny ogródek porośnięty lubiącymi cień egzotycznymi roślinami. Ich kwiaty miały dziwaczne kształty, niesamowicie jaskrawe barwy i niemal świeciły w zielonym półmroku. Po przeciwnej stronie skalnego ogródka Haramis dostrzegła ciemną jamę otoczoną dużymi białymi kamieniami.

— To jest Więzienna Przepaść — powiedział Nauczyciel[^] wskazując ręką jamę. — Można tam wejść jedynie przez podziemny szyb o ścianach gładkich jak szkło, przesiąkniętych J najpotężniejszą magią Przybytku Mądrości. Podczas wojen między Gwiezdnymi Ludźmi i naszymi Zaginionymi władcami Arcymagiczne Kolegium więziło niektórych jeńców w jaskini na samym dole szybu aż do czasu, kiedy stawali przed sądem i albo bywali ułaskawiani, albo zabijani przez strażników.

— Właśnie o takie miejsce mi chodzi! — szepnęła Ruwendianka. — Czy uwięzi ono Orogastusa?

— Tak, jeśli ten straci zrabowane talizmany. Pod naszą strażą może żyć w Więziennej Przepaści nieskończenie długo.

— Zbadam to miejsce — oświadczyła Arcymagini — i jeśli okaże się tak przydatne, jak mówisz, umieszczę tam Gwiazdę Przewodnią.

Nauczyciel skinął głową.

— Masz jeszcze do mnie jakieś pytania, Arcymagini?

Haramis uśmiechnęła się ponuro.

— Tylko jedno i już zaczęłam rozpaczać, że nigdy nie otrzymam na nie odpowiedzi: czy to prawdziwa magia, czy też jakaś tajemna nauka kieruje Czarnym Trillium i Potrójnym Berłem?

— Magia.

— Ach! A czym jest magia?

— Tym, co wyposaża rzeczywistość w prawdę i piękno i łączy w jedno dwa wszechświaty, fizyczny i duchowy.

— Ja... przemyślę to — powiedziała Haramis. Oparła dłoń na piersi tak, że dotknęła różdżki Trójskrzydłego Kręgu, który nosiła na szyi na platynowym łańcuszku. Tkwiący wśród srebrzystych skrzydełek bursztynowy amulet z Czarnym Trillium rozjarzył się nagle. — W tej chwili nie mam już do ciebie więcej pytań, Nauczycielu. Dziękuję ci za pomoc.

Sindona uklonił się uprzejmie, odszedł bez słowa i skrył się wśród płaczących drzew.

— Zabierz mnie na dno Więziennej Przepaści — Haramis zwróciła się do swego talizmanu.

Rozbrzmiała melodyjna nuta. Znany już krystaliczny obraz trwał przez chwilę, a potem zamienił się w rzeczywistość. Haramis znalazła się w wielkiej jaskini, bardzo ciepłej i wilgotnej. Bliższą część sklepienia pieczary stanowiła lita skała, ociekająca stalaktytami jak przezroczystymi kamiennymi soplami i kolumnami. Dalej była czarna próżnia, w której centrum słabo migotała nieskończenie maleńka gwiazdka. Haramis odgadła od razu, że jest to

stromy szyb prowadzący na powierzchnię, a świetlny punkcik oznacza górny otwór Więziennej Przepaści.

Migotliwy ciemnoszkarłatny blask oświecał czarną jaskinię, wylewając się z niewidocznych zakątków i szczelin. Haramis podeszła do najbliższej świecącej szczeliny i zajrzała w głąb. Zobaczyła sąsiednią pieczarę, znacznie mniejszą i głębszą. Jej dnem była rzeka rozpalonej lawy. Arcymagini cofnęła się i zbadała pobieżnie wzrokiem samą Więzienną Przepaść, znajdując ciemne jeziora i ciekawe formacje skalne. Dostrzegła też rozpadające się dowody ludzkiej bytności: szerniałe kamienne kręgi, w których niegdyś płonęły ogniska, rozbite gliniane dzbany, lampy tłuszczowe, jakieś butwiejące prycze i gnijącą księgę, która rozpadła się w proch, gdy jej dotknęła.

Na jednej, gładziej od innych ścianie, ktoś wyzywająco narysował sadzą wieloramienną Gwiazdę.

Po więźniach sprzed dwunastu tysięcy lat nie pozostały żadne inne ślady. Czy któryś z nich zakończył tutaj życie? Haramis sięgnęła dalej swym magicznym wzrokiem. Podziemne więzienie było ogromne, z licznymi wnękami świadczącymi, iż niegdyś były czyjąś prywatną przestrzenią. Nie znalazła ani kości, ani grobów. Mimo to odmówiła modlitwę za tych, którzy żyli i cierpieli w tym straszliwym lochu, choć w pełni zasłużyli na taki los. Rozmyślając o tych starożytnych nieszczęśnikach, przypomniała sobie swoje własne kłopoty. Stała samotna w ponurej przepaści, modląc się również i za siebie. — Drogi Boże, daj mi siły i mądrość potrzebną do pokonania Orogastusa! Już raz omal mu nie uległam: pozwól mi teraz stawić mu skuteczny opór! Nic nie mogę poradzić na to, że go kocham, a przecież muszę znaleźć jakiś sposób na pokrzyżowanie jego złych ambicji. Pomóż mi!

Ta modlitwa wydała się jej daremna, nie przyniosła też pocieszenia. W głębi serca wiedziała bowiem, że czarnoksiężnika może powstrzymać tylko śmierć lub ostateczne wygnanie z tego świata. Zdała też sobie sprawę, że jako Arcymagini nie będzie mogła go zabić. Czy zdoła go uwięzić w tym strasznym miejscu, w porównaniu z którym Niedostępny Kimilon wydał się rajem?

Przypomniała sobie dwie sceny z młodości: wizję matki, królowej Kalanthe, przeszytej mieczem, który rozlał jej krew u stóp Orogastusa, a potem ojca, króla Kraina, siekanego na strzępy w jego własnej sali tronowej na rozkaz tego czarnoksiężnika.

Czy zdoła uwięzić tutaj Orogastusa...?

— Tak! — powiedziała głośno. Położyła Gwiazdę Przewodnią na zimnej skale, ścisnęła talizman i poleciła zanieść się do Kadiyi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Magiczna gra „Wojny Orzechowe” osiągnęła punkt kulminacyjny. Armia księcia Tolivara, złożona z pomalowanych na czerwono orzechów blok, poniosła ciężkie straty w ostatniej bitwie, jednak nierozważnie poganiał on swych żołnierzy do ostatniej walki o skarb. Broniące skarbu bataliony niebieskich orzechów kifer nadbiegły na maleńkich nóżkach, wymachując wyciągniętymi lancami i wykrzywiając w bezgłośnym okrzyku twarze. Tolo ustawił swoje oddziały w klin i wycelował w środek sił wroga, gdzie znajdował się skarb. Potrzebował desperackiego manewru, jeśli jego czerwone orzechy miały tym razem zwyciężyć, a już kilka razy zostały pokonane.

— Naprzód, żołnierze! — wołał książę, uderzając piąstkami w dywan. Leżał na brzuchu i jego oczy znajdowały się prawie na poziomie pola walki.

Orzechy blok uderzyły w nieprzyjacielski szereg. Bezgłośne rozbłyski światła oznaczały pojedynki pomiędzy indywidualnymi żołnierzami. Odziani w czerwien wojownicy, powaleni lancami niebieskich, padli zwyciężeni. Ich nogi schowały się w korpusach, twarze zniknęły, a maleńkie ciała potoczyły się bezwładnie, gdy zakończyli magiczny „żywot”. Niebiescy woje również ponieśli straty, największa jednak dokonywała się wśród orzechów blok.

— Nie zatrzymujcie się! — upomniął Tolo swe wciąż zmniejszające się oddziały. — Nie zawracajcie! Musicie zdobyć skarb właśnie teraz, gdyż inaczej wszystko będzie stracone!

Dzielni żołnierze z jego armii podjęli jeszcze jedną próbę. Stępiony czerwony klin przegrupował się, choć teraz otaczały go zewsząd niebieskie orzechy kifer. Parł do przodu, lecz słabł coraz bardziej, gdyż walczący na jego skrajach wojownicy padali martwi. Klin zbliżał się powoli do cytadeli, którą był trójnogi stołek przed kominkiem. Skarb połyskiwał w ciemnościach. Przy życiu pozostało mniej niż dwadzieścia orzechów blok! Stojący na czele czerwoni woje coraz szybciej i szybciej zadawali lancami ciosy. Niebieskie orzechy ginęły! Przed atakującymi otworzyła się niewielka przestrzeń.

— Teraz! — rozkazał książę.

Jego zdziesiątkowane oddziały ruszyły do przodu tak szybko, że aż migotały im nogi. Rozproszyły wrogów, zabijając; tych, którzy próbowali stawić im opór. Biegący z tyłu; biedacy w czerwonych mundurach ginęli, ale wciąż topniejąca; grupka żołnierzy Tola parła odważnie do celu. Z setki orzechów blok pozostało zaledwie pięć. Skarb znajdował się zaledwie o dwie dłonie od nich.

— Prawie go zdobyliście! — zawołał Tolo. — Naprzód! Naprzód!

Padło jeszcze dwóch czerwonych żołnierzy. Pozostali wymachiwali lancami jak szaleni i błyski towarzyszące śmierci nieprzyjaciół oślepiły księcia. Potem — o, nie! Najpierw padł jeden orzech blok, a potem drugi. Ostatni bohater nie zatrzymał się jednak... i jego lanca dotknęła skarbu.

Natychmiast wszystkie jeszcze żywe orzechy kifer wyzionęły ducha w szaleńczym tańcu iskierek i potoczyły się bezładnie po dywanie. Zwycięski żołnierz w czerwonym kubraku rozżarzył się na chwilę jak węgiel, lokując się przy jajowatym orzechu rusa, który odgrywał rolę skarbu. Wielki złocisty orzech upiekł się niemal natychmiast, jego mocna skorupka pękła, rozsypując słodkie jądro gotowe do zjedzenia. Ostatni pozostały przy życiu czerwony wojownik uśmiechnął się do swego człowieczego dowódcy. Potem i on skonał.

— Zwyciężyliśmy! — zaśpiewał Tolo podnosząc smaczny skarb. — Wreszcie zwyciężyliśmy! — Wepchnął do buzi zawartość orzecha i zaczął jeść ze smakiem. — Co o tym myślisz, Żółty Głosie? A sam mówiłeś, że nigdy nie zrozumiesz, o co w tej grze chodzi!

Akolita nie odpowiedział. Naprawiał właśnie ciężki, biały; but Orogastusa i, choć niechętnie, opiekował się małym księciem. Mistrz rozkazał mu, by nigdy nie pozostawiał Tolivara samego na wypadek, gdyby zdrazieccy Raktumianie spróbowali porwać chłopca i

posłużyć się nim podstępnie. Ostrzegł też wszystkich trzech pomocników, by podczas pobytu we Frangjne dbali o swoje bezpieczeństwo, nie rozstawali się z bronią i sprawdzali, czy jedzenie nie jest zatrute. Zdrada była jednak tylko jedną z wielu możliwości, a żaden z nich, nawet sam Orogastus, nie będzie pewien swego bezpieczeństwa, póki nie przybędzie tuzameńska armia wraz z zapasami magicznego oręża i póki nie rozpocznie się wojna z Laboruwendą.

Młody król Ledvardis okazał się mniej uległy niż spodziewał się Pan Tuzamenu. Na pewno nie był lęklwym gamoniem, za jakiego uchodził pod złymi rządami swej zmarłej babki. Wręcz przeciwnie, stopniowo sprawiał coraz więcej kłopotów, a ostatnio zaczął się nawet domagać pełnej kontroli nad raktumiańskimi siłami zbrojnymi i nie chciał ich oddać pod dowództwo tuzameńskiego generała Zokumonusa, na co nalegał Orogastus. Trzeba wymyślić jakiś nowy fortel, by utrzymać Ledvardisa na jego miejscu. Z jaką ulgą wszyscy opuściliby to mrowisko dekadentkich, nadętych rzezimieszków...

— Prawda, że dobrze się spisałem, Żółty Głosie? — spytał księżę Tolivar.

— Gdyby to była prawdziwa wojna, a nie walka pomiędzy zaczarowanymi orzechami, jej wynik okazałby się straszną klęską — odpowiedział akolita, wydymając wargi. — Przecież wszyscy twoi żołnierze, prócz jednego, zginęli.

Tolo schował do sakiewki magiczne czerwone i niebieskie orzechy, a potem wrzucił skorupkę orzecha rusa do ognia.

— Phi! Co ty o tym wiesz? Mistrz zrobił tę grę dla mnie. Odnoszenie zwycięstw w bitwie to zajęcie dla księcia, a nie... — Malec zamilkł przezornie, patrząc ze złością na krępego mężczyznę o ogolonej głowie, odzianego w zmiętą szatę barwy szafranu.

— Jeżeli nazywasz ten żalony wyczyn zwycięstwem — odgryzł się Żółty Głos, przeciągając grubą igłę ze zwierzęcym ścięgnem przez przyszwę buta.

Tolo przyjrzał mu się z chytrym uśmieszkiem na ustach.

— Jesteś zazdrosny. To dlatego ty i pozostali wyśmiewacie się ze mnie.

— Nie bądź głupi. — Akolita zacisnął wargi i marszcząc brwi przyjrzał się swemu dziełu.

— Jesteś! Wszyscy trzej jesteście zazdrośni! Nie możecie znieść, że Mistrz wybrał na swego następcę właśnie mnie, a nie któregoś z was! — Chłopczyk wstał, otrzepał z kurzu kolana i wygładził kaftan. — Zabierz mnie teraz do Portolanusa.

— Pracuje w bibliotece. Ostatnią potrzebną mu rzeczą je rozpieszczony dzieciak kręcący się pod nogami.

— Zabierz mnie — powtórzył bardzo spokojnie Tolo. Żółty Głos z ciężkim westchnieniem odłożył but. Wziął małego księcia za rękę i wyprowadził z obszernej komnaty, w której mieszkali. Biblioteka znajdowała się na przeciwległym krańcu ogromnego królewskiego pałacu i obaj, mężczyzna i chłopiec, musieli przejść przynajmniej pół mili: korytarz za korytarzem, sala za salą pełną ech. Na każdym kroku spotykali wyniosłych piratów i ich odziane w jaskrawe suknie kobiety o ostrych głosach — jedni wałęsali się po pałacu, drudzy plotkowali, a jeszcze inni nerwowo czekali na audiencję u jakiegoś królewskiego urzędnika. Tylko nieliczni naprawdę pracowali. Nadęci lokaje odkurzali poślaczane meble i ramy obrazów, czyścili wspaniałe dywany zrabowane na wyspach Engi, dokładali drewna do ognia, napełniali pachnącym olejem przymocowane do ścian srebrne lampy i przemykali tam i z powrotem wykonując najróżniejsze polecenia. Barczyści gwardziści nie spuszczaali oczu z mieszkańców pałacu. Chmurzyli się i ściskali mocniej halabardy, gdy Żółty Głos i Tolo ich mijali.

Wreszcie mężczyzna i chłopiec przeszli przez pusty salon wypełniony varoniańskimi rzeźbami, obwieszony gobelinami z Zinory, i dotarli do korytarza zakończonego masywnymi drzwiami z drzewa gonda, dodatkowo wzmocnionymi metalowymi sztabami. Przed drzwiami stał raktumiański gwardzista, a obok niego siedział na stołku Czarny Głos i przeglądał rozpadającą się księgę. Na widok zbliżających się uniósł pytająco brwi.

— Książę Tolivar chciał porozmawiać z naszym Panem — powiedział oficjalnym tonem Żółty Głos.

— Pan Osorkon ma się niedługo z nim spotkać — odparł Czarny akolita. — Chłopiec będzie musiał się pośpieszyć.

— To długo nie potrwa. — Tolo spojrział mu prosto w oczy, a potem zwrócił się do Żółtego Głosu. — Możesz poczekać na mnie tutaj.

Tamten przyklęknął z udawaną służalczością, a potem uchylił drzwi biblioteki. Książę wślizgnął się do środka.

Biblioteka była wysoką, ponurą, kopulastą komnatą z umieszczonymi w suficie brudnymi świetlikami. Chwiejne schody bez poręczy, obwieszane zakurzonymi sieciami lingitów, dawały dostęp do trzech okrążających wielką salę galeryjek. Wyższe partie biblioteki wypełniały półki z książkami, na dole, w samym środku stało jeszcze kilka półek. Mocne stoły i ławy, ustawione wokół ścian, przykrywała warstwa kurzu, który gromadził się tam przez lata. Jedyne czyste stół musiała oświetlać magiczna lampa czarnoksiężnika, gdyż w bibliotece panował półmrok, którego nie mogło rozproszyć kilka białych promieni słonecznych wpadających przez wąskie okna z zachodniej strony. Tańczyły w nich drobinki kurzu. Wielka burza śnieżna wreszcie się skończyła.

Orogastus odnosił właśnie na półkę trzy opasłe woluminy w butwiejących skórzanych oprawach. Uśmiechnął się na widok Tola i wsunął księgi na miejsce.

— Witaj, chłopcze! Pomożesz mi odnaleźć w tym gnieździe wartów kilka orzechów pożytecznej wiedzy magicznej? Po panującym tu brudzie i nieporządku widać, że raktumiańskich piratów nauka zupełnie nie obchodzi. Mogli wszakże ukraść coś pożytecznego, skoro zadali sobie trud, by przywieźć tutaj te księgi. Uznałem więc za stosowne przejrzeć pałacową bibliotekę. Dotąd odkryłem jedynie siedem ksiąg wartych zabrania do Tenebrose i żadna z nich nie jest szczególnie cenna. Chcesz zobaczyć, jak to robię? Posługuję się Potrójnym Płonącym Okiem jak różdżkarz magiczną witką. Wiesz, co to jest różdżkarstwo?

— Znajdowanie wody lub cennych minerałów za pomocą czarów — odpowiedział uprzejmie Tolo.

— Nie mylisz się. — Biała kiedyś szata czarownika zszarzała od kurzu i brudu, a w jego jasnych włosach tkwiły strzępy sieci lingitów i okruchy butwiejącej skóry. Ruchem ręki polecił chłopcu podejść do następnej półki i wskazał na rząd rozpadających się woluminów. — Poleciałem Płonącemu Oku wskazać mi każdą księgę zawierającą wiedzę magiczną. O, w taki sposób!

Przesunął ciemnym, pozbawionym czubka mieczem wzdłuż półki. Małeńka książeczka oprawiona w szkarłatną skórę i wielki wolumin ściśnięty matowymi mosiężnymi sztabami zapłonęły w półmroku zielenią.

— Aha! Widzisz to? — Orogastus włożył znów talizman do pochwy i wziął w ramiona opasłe tomisko. — Ja poniosę do stołu tę księgę, a ty tamtą. Zobaczymy, czym raczyły nas obdarzyć Ciemne Moce.

Tolo posłusznie wziął szkarłatną książeczkę i poszedł za Orogastusem. Czarownik wytarł obie książki brudną już szmatą, a następnie ponownie wyjął talizman. Otworzył wielki wolumin, położył ciemny brzeszczot na stronie tytułowej i zamknął oczy.

— O, talizmanie, wyjaw mi pokrótce zawartość tego tomu. Tolivar drgnął ze zdziwienia, gdy jakiś nienaturalny głos zaintonował w odpowiedzi na polecenie czarnoksiężnika:

— Zawiera on zaklęcia sobraniańskiej czarownicy Achy Tulumie. Pochodzi z łupów ze statku tego narodu wziętych przed osiemdziesięciu siedmiu laty. Księga ta, spisana w sobraniańskim języku, zawiera podstawy szamanizmu, w większości niewiele warte. Najważniejsze czary przydatne są przy kontrolowaniu plagi zachów w płaszczach z piór,

leczeniu swędzących pach, zapewnianiu pomyślnych łowów na ptaki oraz uniemożliwianiu porzuconym kochankom i odrzuconym małżonkom szkodenie poprzednim partnerom.

Orogastus prychnął pogardliwie i zamknął z hukiem wolumin.

— Jest bezwartościowy, chyba że ktoś zamierza otworzyć sklep w Krainie Upierzonych Barbarzyńców! Przejrzyjmy teraz drugą księgę, Tolo. Może, choć taka cienka, okaże się przydatna... Znasz powiedzenie: „Najmniejsze zawiniątko często zawiera najcenniejszy dar”?

— Tak, Mistrzu.

Orogastus wziął do ręki postrzępioną książeczkę. Na okładce widniały wyblakłe złocene litery.

— Napisano ją w języku, w którym mówi większość ludzi, ale ortografia jest archaiczna. Znaczy to, że ta książka jest bardzo stara. Hm! „Historia wojny”. Zastanawiam się, której wojny?

Czarownik ostrożnie położył talizman na stronie tytułowej i jak poprzednio poprosił o przekazanie treści dzieła.

— Zawarta jest w nim historia wielkiego magicznego konfliktu pomiędzy Zaginionymi a Gwiezdnymi Ludźmi, spisana jakieś dziewięć tysięcy lat po tym fakcie przez potomka rodu zbieraczy informacji, którzy przeżyli Epokę Zwycięskiego Lodu i przebywali na Dymiących Wyspach...

— Dość! — zawołał Orogastus. Otworzył szerzej oczy z podniecenia. Podniósł niepozorną książeczkę i przewertował ją z największą ostrożnością. — Tak! Och, tak! I, a to wielka rzadkość, spisano ją tu, w samym Raktum, zanim mieszkańcy zajęli się piractwem. To prawdziwy skarb, Tolu! Będę musiał przeczytać ją bardzo uważnie.

Mały książę, który z trudem ukrywał zdumienie, przemówił teraz z zapalem.

— Ja również zdobyłem dzisiaj skarb, Mistrzu! W grze zwanej „Wojną Orzechów”, którą dla mnie zrobiłeś. To był wielki triumf. Orogastus roześmiał się pobłaźliwie, przebiegając wzrokiem niewyraźny spis treści.

— Przedtem, z moimi ograniczonymi mocami, nie mógłbym jej zrobić. Lecz dwa talizmany z Berła Mocy nauczyły mnie wszystkiego w mgnieniu oka! Oczywiście jest to tylko dziecinna zabawka.

— Żółty Głos kpił z mojego zwycięstwa — powiedział płaczliwie Tolo. — Mistrzu, on i inni twoi pomocnicy są o mnie zazdrośni. Kiedy nie ma cię w pobliżu, przemawiają do mnie grubiańsko, jak do osoby niskiego rodu, i nie okazują mi szacunku należnego księciu. Żałują, że mianowałeś mnie swoim następcą. Jestem pewien, że myśleli, iż jeden z nich zostanie następnym Panem Tuzamenu.

— Och, tak się zachowują? — Orogastus wybuchnął śmiechem i zamknął niepozorny wolumin. — A czy zrobili ci coś złego, chłopcze? Oprócz tego, że nie okazywali ci szacunku należnego królewskiemu dziecku?

Tolo odwrócił spojrzenie. Przestał udawać, że czuje się skrzywdzony i przybrał nagle zawzięty wyraz twarzy.

— Nie, ale...

— A jak ty traktujesz moich akolitów? — powiedział poważnie czarownik. — Czy jesteś uprzejmy, jak przystało na prawdziwego księcia, który zawsze powinien być grzeczny wobec niżej postawionych od siebie, czy też zarozumiały i gburowaty? Zdajesz sobie sprawę, że moi trzej słudzy są moimi najbardziej lojalnymi przyjaciółmi? Uratowali mnie z więzienia w Krainie Wiecznego Lodu, ponieważ ich wrażliwe umysły zdołały odebrać moje magiczne wołanie, i od tamtej pory wiernie mi służą. To z ich pomocą zdołałem odnieść większość moich sukcesów.

Książę Tolivar podniósł na Orogastusa niewinne spojrzenie niebieskich oczu.

— Ale teraz, kiedy masz dwa talizmany, nie będziesz tak bardzo potrzebował ich pomocy. Słyszałem, jak mówili o tym między sobą. Nie wiedzieli, że jestem w pobliżu.

Czarownik spochmurniał na moment, ale potem jego twarz się rozjaśniła i znów się roześmiał.

— Nie rozumiesz zwyczajów dorosłych, Tolu. Jeśli chcesz mi się przypodobać, traktuj moich akolitów jak kochających starszych braci. Bądź dla nich uprzejmy, grzeczny i zachowuj się skromnie. Wtedy przekonasz się, że ich zachowanie wobec ciebie też się poprawi.

— Jeśli tego pragniesz, Mistrzu — westchnął Tolivar. — Myślę jednak, że...

— Będziesz mi posłuszny! — Orogastus odrzucił uprzejmy ton jak niepotrzebny płaszcz. — A teraz musisz stąd odejść. Chcę, żebyś zagrał w nową grę. Poproś Żółty Głos o dobrą mapę Zachodniego Świata i przyglądaj się jej uważnie przez resztę popołudnia i cały wieczór. Szczególnie pilnie przyjrzyj się Raktum i sąsiadującym z nim wybrzeżom Labornoku. Zdecyduj, w jaki sposób zaatakowałbyś Krainę Dwu Tronów, gdybyś dowodził piracką armadą. Pracuj nad tym pilnie. Przyjdiesz do mnie jutro rano i razem zagramy w tę grę.

— Inwazja! — rozpromienił się malec. — To na pewno będzie bardzo zabawne!

Orogastus odprawił go ruchem ręki. Chłopiec pochylił głowę i odszedł posłusznie. Czarownik zakłębieniem otworzył przed nim drzwi i zamyślił się głęboko, gdy został znów sam.

Pozwalając małemu księciu pozostać, Orogastus nie kierował się logiką, zdawał sobie bowiem dobrze sprawę, że była to pochopna, a może nawet niebezpieczna decyzja. Lecz na raktumiańskim statku Tolivar wydawał się taki zagubiony... Drobny i niepozorny, choć inteligentny, tak odmienny od swego krzepkiego starszego rodzeństwa, i najwyraźniej nie przejmował się rozstaniem z rodzicami. Słaba magiczna aura chłopca i prawdziwe uwielbienie, jakie żywił dla czarownika nawet wtedy, gdy ten nosił postać odpychającego starca, dotknęły jakiegoś słabego punktu w duszy Orogastusa. Czarnoksiężnik nie czuł się tak od pierwszego spotkania z Haramis... Nigdy przedtem i nigdy potem nie postąpił tak nielogicznie...

W samotnym, niezadowolonym z życia małym książątku Orogastus rozpoznał inne, dawno zapomniane trudne dziecko. Przypomniał sobie nagiego znaleźć niechętnie przyjętego do domu czcigodnego Bondanusa, który był największym czarownikiem w całym znanym świecie i Gwiazdny Panem na zamku Tenebrose w nadmorskim mieście Merika. Tamten nieszczęsny chłopiec, wykarmiony mlekiem pijaczki, odziany w brudne łachmany, mimo wszystko wyrósł na krzepkiego młodzika, który zarabiał na życie jako pasterz trogarów i pomywacz. Zawsze źle go traktowano i wciąż przymierał głodem, aż do owego niezapomnianego dnia, kiedy jego inteligencja i nie ukształtowana, lecz potężna psychiczna aura zwróciły uwagę Gwiazdnego Pana Tuzamenu.

Orogastus również miał osiem lat, gdy został uczniem Bondanusa. Stary czarownik był surowym, choć sprawiedliwym nauczycielem. Nigdy nie okazał swemu młodemu protegowanemu miłości ani przywiązania. Dał jednak wyraźnie do zrozumienia, że uczeń odziedziczy po nim wszystkie magiczne tajemnice i zostanie jego następcą jako Pan małego, pomocnego narodu. Orogastus stał się jednocześnie pupilem i osobistym sługą starzejącego się czarownika. Pracując i z naiwnym entuzjazmem pochłaniając wiedzę chłopiec nie zauważał, że jego mistrz coraz silniej izolował się od spraw swego kraju, przekazując ster rządów gromadzie drapieżnych, wojowniczych wielmożów, którzy zamienili Tuzamen w zbieraninę maleńkich, wrogich wobec siebie lenn, połączonych jedynie wspólnym antagonizmem wobec władcy.

Tuzameńscy wieśniacy prowadzili nędzny, coraz bardziej beznadziejny żywot, a kupcy puciekali do zamożniejszych krajów, podczas gdy Bondanus spędzał ostatnie lata życia na rozmyślaniach o starożytnej gwiazdnej filozofii, której był jedynym wyznawcą. Dopiero na łożu śmierci Pan Tuzamenu przekazał swemu następcy zamek Tenebrose (wtedy niemal nie nadająca się do zamieszkania ruina), nieco magicznych aparatów, do których nie przywiązywał większej wagi, oraz najcenniejszą rzecz, jaką posiadał: platynowy medalion w

kształcie wieloramiennej gwiazdy. Ten symbol zawisł na szyi Orogastusa w kulminacyjnej chwili obrzędu inicjacji, gdy został on pełnoprawnym członkiem starożytnego Gwiezdnego Bractwa. Miał wtedy dwadzieścia osiem lat. Inicjacja była tak przerażająca, że po jej zakończeniu włosy młodego mężczyzny stały się białe jak mleko.

Następca Bondanusa wkrótce przekonał się, że zdeprawowani tuzameńscy wielmoże nie zaakceptują go jako swego suzerena. Zmarły Pan Tuzamenu ignorował ich zbyt długo. Orogastus próbował czarami zmusić do posłuszeństwa poddanych, zwłaszcza zaś przywoływaniem burz, w czym celował. Jednakże uparci baronowie zabarykadowali się w swoich twierdzach, a prości ludzie byli zbyt ciemni, uciemiężeni wszelakimi ciężarami i za biedni, żeby coś znaczyć dla ambitnego czarownika.

Przez trzy lata Orogastus badał kolekcję starożytnych maszyn, które Bondanus zawsze uważał za bezwartościowe, i doszedł do zupełnie odmiennego wniosku. Z czasem zdał sobie sprawę, że przedkłada bardziej praktyczne Ciemne Moce zwane Aysee Lyne, Inturnal Bataree i Bahkup nad ezoteryczną, niepewną i często kapryśną magię Gwiezdnego Bractwa. Te trzy bóstwa rządziły cudownymi przyrządami Zaginionych i jeśli zostały przywołane w odpowiedni sposób, pozwalały swemu jednemu wyznawcy czynić cuda nieskończenie pożyteczne. Niczym były przy tym tajemnice Gwiazdy. Najważniejsza z tych maszyn zawierała informacje, które pozwoliły w końcu Orogastusowi odnaleźć skrytkę Zaginionych w odległym zrujnowanym mieście położonym w pobliżu górnych dopływów Białej Rzeki, daleko na zachodzie, w krainie Doro—ków. Odkrył tam magiczną broń oraz liczne urządzenia, które mogły wyrzucić wielkie wrażenie i oszołomić łatwowiernych mieszkańców biednej pomocnej krainy. Sprowadziwszy tę zdobycz do zamku Tenebrose, Orogastus znów podjął walkę o pozycję prawdziwego Pana Tuzamenu. I niewątpliwie by to osiągnął, gdyby właśnie wtedy nie odwiedził go Voltrik, następca tronu Labornoku, a to całkowicie zmieniło życie następcy Bondanusa.

Voltrik okazał się pokrewnym, niespokojnym duchem, rozgoryczonym długim oczekiwaniem na śmierć starego wuja, po którym miał przejąć rządy. Labornocki księżę zaproponował, by Orogastus przestał widzieć jedynie nędzny, wyludniony Tuzamen i przeniósł spojrzenie na południe, na bogaty Półwysep, Podbiją go razem i stworzą wielkie imperium!

Ponadto uczeni z Labornoku znali wiele innych zrujnowanych miast, gdzie młody czarownik mógł znaleźć więcej magicznych urządzeń, których tak pożądał...

W taki oto sposób Orogastus opuścił swe rodzinne strony. Po siedemnastu latach, jako Wielki Minister Stanu niedawno koronowanego króla Voltrika, wziął udział w podboju Ruwendy. Lecz interwencja trzech młodych ruwendiańskich księżniczek obróciła wniwecz jego ambitne plany. Chronione przez starsze jeszcze od gwiazdy magiczne Czarne Trillium, dziewczęta wyruszyły na poszukiwanie tajemniczego talizmanu. Trzy znalezione przez nie talizmany, połączone w jedno straszliwe Berło Mocy, zwróciły przeciw Orogastusowi jego władną magię. W jakiś niezrozumiały sposób został tylko wygnany do Krainy Ognia i Lodu, a nie zabity przez tajemnicze Berło.

— Jak? — zastanawiał się, leniwie przewracając kruche stronicę czerwonej książeczki. — Jak to się stało? Księżniczki chciały mnie zniszczyć. Wiem, że miały taki zamiar! A przecież nie umarłem...

Z roztargnieniem dotknął wciśniętego na czoło srebrnego diademu, ozdobionego trzema groteskowymi twarzami talizmanu zwanego Trójgłowym Potworem.

— Jakież to nieznanne bóg zlitował się nade mną i ocalił mi życie, żebym mógł wrócić do świata i pochwycić znów wodze ambicji, którą unieszkodliwiono tak dawno temu? Pan Tuzamenu! Jestem nim teraz i mój naród, który wyśmiewano jako barbarzyński, cieszy się obecnie względną zamożnością i prestiżem. Przygotowuję realizację największego z moich planów, który zakończy się podbojem świata. Zdobyłem dwa magiczne talizmany, a pewnego

dnia będę miał wszystkie trzy i uzyskam bezgraniczną władzę! Ale jak wyjaśnić moje przeżycie na Kimilonie?

— Zjrzyj do czerwonej książeczki — szepnął jakiś głos.

Orogastus drgnął gwałtownie i zacisnął dłoń na rękojeści Potrójnego Płonące Oka wiszącego u jego pasa. Lecz to nie ten talizman przemówił. Czarownik nie znał głosu, który zabrzmiał w jego umyśle. Na pewno pochodził od diademu królowej Anigel.

Drżącymi lekko palcami wertował rozpadające się pergaminowe stronicę, aż dostrzegł fragment tekstu, który świecił nawet w jaskrawym blasku magicznej lampy.

— Gwiazda Przewodnia?

To dziwne słowo jakby wskoczyło do mózgu czarownika, który czytał z przejęciem przez wiele minut. Kiedy wreszcie wszystko zrozumiał, podniósł oczy i dotknął diademu.

— Talizmanie! Ukaż mi tę cudowną Gwiazdę Przewodnią, która ocaliła mi życie i przyciągnęła mnie do Kimilonu!

W jego umyśle pojawił się obraz czarnego sześciokąta.

— To jest Wielka Gwiazda Przewodnia, stworzona przez Gwiazdnych Ludzi przed dwunastoma tysiącami lat, by przeciwdziałać Potrójnemu Berłu Mocy.

— Ach! Pamiętam! — krzyknął Orogastus z podnieceniem. — Teraz wszystko pamiętam. Wydało mi się, że świat wybuchnął, kiedy poraziło mnie Berło Mocy i pomyślałem, że umarłem. Lecz zanim straciłem przytomność, dostrzegłem ją! Ona ocaliła mi życie, prawda? Nie zobaczyłem jej po przebudzeniu. Gdzie była ukryta? Czy znów przyciągnie mnie bezpiecznie do Krainy Ognia i Lodu, jeśli Haramis użyje przeciwko mnie mocy swego talizmanu?

— Nie. Arcymagini Iriana zabrała Wielką Gwiazdę Przewodnią z Kimilonu i dała ją Arcymagini Haramis, która umieściła ją w Więziennej Przepaści za namową sidońskiego Nauczyciela — odparł talizman.

Orogastus był wstrząśnięty. Co to wszystko miało znaczyć? Jeszcze jedna Arcymagini? I Sindonowie? Wszystkie magiczne księgi, które przeczytał, twierdziły, że cudowne żywe posągi Zaginionych zostały zniszczone podczas wojny przed epoką Zwycięskiego Lodu.

— Czytaj dalej — westchnął głos w jego mózgu. Czarownik opuścił oczy na świecące stronicę czerwonej książeczki i dostrzegł tam wszystko; informacje o przeżyciu pewnych członków Arcymagicznego Kolegium, o podziemnym Przybytku Mądrości, którego strzegli sidońscy strażnicy, znajdującym się w odległym Lamarilu, na pomoc od Ciernistego Piekła w bagnach Ruwendy, i nawet o Więziennej Przepaści.

Zrobiło mu się zimno koło serca, gdy czytał o tym strasznym miejscu, w którym niegdyś więziono starożytnych Gwiazdnych Ludzi. A Haramis umieściła tam Wielką Gwiazdę Przewodnią!

— Czy mogę ją wydostać — spytał talizmanu. — Mogę zabrać ją z przepaści i ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu?

— Tylko Arcymag lub Arcymagini może wejść do Przybytku Wiedzy bez zaproszenia. Jest on bowiem tak przesiąknięty starożytną magią, że nie może jej się przeciwstawić nawet połączona moc dwóch talizmanów.

Orogastus zaklął głośno, bluźniąc przeciw Ciemnym Mocom.

— Czy można zniszczyć Gwiazdę w jakiś inny sposób? — wykrztusił po chwili.

— Może to uczynić działające wspólnie Arcymagiczne Kolegium. Tak samo Gwiazdna Rada, która stworzyła Gwiazdę Przewodnią. Lecz Rada nie istnieje od dawna. Ty jesteś jedynym Gwiazdnym Człowiekiem, a ponieważ nie ma innych, nie masz takiej mocy.

— A gdybym... Gdybym mógł wtajemniczyć jeszcze kilka osób do Gwiazdnego Bractwa, ilu powinno nas być, żeby zniszczyć Gwiazdę?

— Co najmniej trzech — odparł talizman.

— Trzech... — Orogastus odetchnął głęboko. Zgarbił się, jakby zmęczył go długi pościg za wiedzą, i brudnym rękawem otarł pot z czoła. — Trzech — powtórzył cicho.

Czerwona książeczka straciła swój nadprzyrodzony blask. Czarownik długo wpatrywał się w nią nie widzącym spojrzeniem, a wspomnienia chaotycznie krążyły w jego mózgu. Nawet teraz, po tylu latach, drżał na samą myśl o inicjacji do Gwiezdnego Bractwa. Lecz starożytne księgi i niezbędne do przeprowadzenia tego obrzędu przedmioty wciąż istniały. Orogastus nie zabrał ich, gdy opuszczał Tenebrose i przyłączył się do Voltrika. Przez dwadzieścia siedem lat leżały ukryte w starożytnej kryjówce. Po powrocie z Kimilonu przekonał się, że nadal tam są i że nic im nie grozi.

Mógł stworzyć więcej Gwiezdných Ludzi! Wtajemniczyć swoich akolitów! Będzie to wymagało intensywnych przygotowań, gdyż ceremonia inicjacji była tak przerażająca, że nowicjusze mogli stracić zmysły, a nawet umrzeć ze strachu. Lecz jego obecni słudzy byli silni i inteligentni, znacznie więcej wari niż pierwsi trzej akolici, którzy zginęli z rąk ruwendiańskich księżniczek. Ile czasu potrzeba na przygotowanie Głosów? Dziesięć dni? Dwadzieścia? Ale przedtem wybuchnie ta przeklęta wojna i na niej trzeba skupić całą uwagę! Nie ma czasu na powrót do Tenebrose...

Nagle uświadomił sobie, że ktoś coraz energiczniej kopie w drzwi biblioteki. Wszechpotężny Bahkupie! Zapomniał na śmierć o spotkaniu z labornockim wielmożą, zdrajcą Osorkonem!

Orogastus poruszył palcami i wielkie drzwi otworzyły się na oścież. Do biblioteki wszedł mężczyzna w czarnej emaliowanej zbroi i ciężkim płaszczu ze skóry raffina. Na jebnie ponad otwartą przyłbicą nosił wizerunek loora z rozpostartymi skrzydłami i ten sam herb, wyszywany złotą i purpurową nicią, zdobił jego czarny, jedwabny tabard. W urękawicznionej dłoni trzymał nagi miecz prawie tak długi, jak sam był wysoki.

— Cóż to za wielki niepokój tak cię dręczy w mojej obecności, panie Osorkonie? — zapytał z uśmiechem czarnoksiężnik. — To prawda, że nie widzieliśmy się przez dwanaście lat, a i wtedy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi. Ale czasy się zmieniły. Obaj potrzebujemy siebie nawzajem. — Orogastus zamknął czerwony wolumin i wskazał gościom fotel. Osorkon z westchnieniem schował miecz do pochwy, a potem zdjął hełm i położył go na stole.

— Nie dowierzam tym piratom, czarowniku! Co krok na drodze z portu do pałacu osaczały mnie i moich ludzi bandy prostaków o niewyparzonych gębach, którzy sztydzili z nas, obrzucali śnieżkami — i czymś znacznie gorszym — i ani razu nie przeszkodziła im w tym nasza tak zwana eskorta rycerzy–piratów! Czyż nie przybyliśmy tutaj na twoje wyraźne zaproszenie? A przecież, gdy weszliśmy do tej nory wystrojonych rzezimieszków, przyjęto nas niegrzecznie, kazano czekać godzinami w zimnym przedpokoju i ani nie zaproponowano nam poczęstunku, ani nawet nie poproszono, byśmy skorzystali z ustępu!

Orogastus pokiwał współczująco głową i wskazał palcem.

— To te drzwiczki na prawo, pomiędzy dwiema kolumnami.

— Nieważne! Ten ponury łajdak Jorot w końcu raczył przyjąć nasze poselstwo. Moi towarzysze Soratik, Vitar, Pomizel i Nunkaleyn z Wum naradzają się teraz z Jaretem i jego admirałami. Mają dopilnować, by nasz atak na lądzie nastąpił jednocześnie z inwazją od morza. A ja, tak jak zażądałeś, przybyłem tutaj, żeby się z tobą spotkać.

Czarownik strzelił palcami i na stole pojawił się najpierw dzban z parującym mocnym trunkiem zwanym ilisso i dwa duże kubki. Potem bochenek gorącego jeszcze chleba, talerz świeżo upieczonych kiełbasek, słoik kiszonych ogórków i tacka z pokrojonym ciastem orzechowym powlekanym serkiem śmietankowym.

— Pozwól, że cię przeproszę za brak raktumiańskiej gościnności — powiedział Orogastus. — Obawiam się, że jeśli chodzi o dyplomację, to ci piraci są żalonymi amatorami. Samo pojęcie przymierza obce jest ich kulturze.

— Chcesz powiedzieć, że są bandą prostackich bandytów. — Osorkon zdjął metalowe rękawice, ze szczękiem rzucił je na kamienną posadzkę, dmuchając na sine z zimna dłonie. Wypił łyk gorącego napoju, a potem sięgnął po jedzenie. — Nie rozumiem, dlaczego wciągnęliśmy w to wszystko Raktum. Z trzema tysiącami moich ludzi i twoją armią — mając do dyspozycji nadprzyrodzone ognie takie jak te, po które nas posłałeś po inwazji na Ruwendę — bez trudu zdołamy pokonać lojalistów z Derorguili. Niepotrzebna nam pomoc tych wystrojonych opryszków.

Orogastus powąchał ogórek i zmiażdżył go mocnymi białymi zębami. W żaden sposób nie mógł się przyznać, że jego tuzameńska armia składa się tylko z tysiąca sześciuset żołnierzy dowodzonych przez dziewięciu wielmożów, których doświadczenie wojskowe wzięło się głównie z zastawiania zasadzek na nieostrożnych handlarzy, porywania bydła i napadów na wioski sąsiadów.

— Potrzebujemy pirackiej floty do szybkiego przetransportowania moich ludzi i magicznych machin — wyjaśnił gościowi czarownik. — Rakrumiańskie okręty wojenne nie pozwolą, by jakiegokolwiek posiłki napłynęły morzem do Derorguili. Rakrumiańskie katapulty ogniste zneutralizują forty u wejścia do nieprzyjacielskiego portu, a osiem tysięcy pirackich wojowników wymusi szybką kapitulację Dwu Tronów. Derorguila musi paść tak szybko, jak to możliwe. W razie przedłużania się walk, Arcymagini Haramis może w jakiś sposób dopomóc swojej siostrze.

Osorkon zmrugał oczy.

— Chcesz powiedzieć, że Arcymagini mogłaby unieszkodliwić czary twoich dwóch talizmanów?

— Moje moce przewyższają jej moce — oświadczył wyniośle czarownik. — Mogłaby jednak wielce zaszkodzić naszym planom wykradając rodzinę królewską lub przeprowadzając jakąś inną nieoczekiwaną akcję. Musimy zaatakować siłami tak wielkimi, że nic nie zdoła stawić im oporu, i właśnie teraz, kiedy Antar i Anigel jeszcze łudzą się nadzieją, że odeprą naszą inwazję, i zanim Arcymagini przekona swoją siostrę, iż powinna uciekać.

— To ma sens — przyznał niechętnie Osorkon.

— Po skierowaniu do Varu głównych sił Laboruwendy, składających się w większości z Ruwedian, Dwu Tronom pozostało tylko cztery tysiące lojalnych żołnierzy... oraz nasza trzytysięczna prowincjonalna armia. Wszystko to wystarczy, by uwierzyli, że mają jakieś szansę pokonania nas.

— Aż się przekonają, że przeciwko nim wystąpili moi zwolennicy! — Osorkon wybuchnął ochryplym śmiechem. — Ta dywersja w Varze to świetny pomysł, czarowniku, pod warunkiem, że zabawa na południu nie zakończy się przedwcześnie. — Spochmurniał i dodał: — Tak się obecnie rzeczy mają, że będziemy musieli ponownie najechać Ruwendę, by zaprowadzić tam porządek.

— Powracający z Varu ruwendiańscy lojaliści przekonają się, że w Mglistych Błotach czeka na nich następny problem. — Orogastus uśmiechnął się ponad krawędzią swego kubka. — Groźna Pani Czarodziejskich Oczu postanowiła skłonić ruwendiańskich Odmieńców do buntu. Wszystkich! Zamierza wygnać ludzi z Ruwendy, by Odmieńcy sami nią rządzą.

— No, no! — gwizdnął stary żołnierz. — Nieźle zamieszałeś w tym garnku, co? Przypuszczam, że pozwolisz, by Odmieńcy i ruwendiańscy lojaliści wyrznęli się nawzajem.

— Tubylcy na pewno szybko skończą się z ludźmi, jeśli ta nietypowa pogoda dłużej się utrzyma. Podczas deszczów mają ogromną przewagę na Mglistych Błotach.

— Myślę, że to ty jesteś odpowiedzialny za te burze, trzęsienia ziemi i całą resztę, co? — Osorkon puścił oko do czarownika.

Ten zaprotestował skromnym gestem i napełnił znów trunkiem kubek labornockiego wielmoży.

— Jest to częścią mojego wielkiego planu.

— Jak odbierzemy Ruwendę po zwycięstwie Odmieńców? — spytał Osorkon. — Nadal potrzebujemy jej bogactw naturalnych: drzewa na statki, a zwłaszcza minerałów.

— To całkiem proste. Wystarczy tylko zabić ich przywódczynię, Panią Czarodziejskich Oczu. Bez niej tubylcze wojsko pójdzie w rozsypkę.

— Ha. Masz rację! Pomyślałeś o wszystkim, czarowniku. — Osorkon zaczął zajadać kielbaski. — Wiesz, że twoja propozycja sojuszu nadeszła w najlepszym momencie. My, wielmoże z zachodnich prowincji Labornoku, zbyt długo znosiliśmy nieudolne rządy Dwu Tronów. Jakiś kryzys musiał nastąpić. Wszyscy moi starzy towarzysze broni zgodzili się ze mną, że twój plan porwania Antara i jego dzieci podczas zinorańskiej koronacji był wspaniały.

— Przykro mi z powodu śmierci twojej siostry Szarice.

— Dość chętnie zgodziła się wziąć w tym udział. — Osorkon wzruszył ramionami. — Miała już powyżej uszu tego safandudy Penapata, ale bała się z nim rozwieść z obawy przed utratą łask króla i królowej. Moim pierwszym obowiązkiem po objęciu rządów w Laboruwendzie będzie ścięcie tłustego łba mojemu drogiemu szwagrowi.

— Jeśli wszystko dobrze pójdzie, będziesz miał ku temu okazję za jakieś siedem dni. — Czarownik roześmiał się głośno. — Tuzameńskie statki wiozące mój magiczny ekwipunek i armię powinny jutro przybyć do Frangine. Skoordynujemy działanie sił inwazyjnych, a potem ruszymy na południe na szybkich, ciężiej uzbrojonych pirackich statkach, które popędzi przywołany przeze mnie czarodziejski sztorm. Wysadzimy potajemnie na brzeg ciebie i twoich czterech przyjaciół w pobliżu portu Lakana, a potem ukryjemy się do dnia inwazji w gęstej mgle, którą wyczaruję. Ty i twoje oddziały zaatakujecie Derorguilę ze strony lądu, a my w tym samym czasie napadniemy ją z morza...

— I zmiażdżymy Antara jak lingita między dwiema cegłami!

Czarownik podniósł kubek z dymiącym ilisso w ironicznym pozdrowieniu.

— Przewiduję szybkie i decydujące zwycięstwo.

— Dobrze jest widzieć przyszłość — zauważył kpiąco Osorkon. Potem jednak grymas żalu przemknął przez jego grubo ciosane rysy. — Szkoda tylko, że Anigel uległa tak szybko i zapłaciła okup. Kiedy Antar obejmie dowództwo nad lojalistami, o wiele trudniej będzie ich pokonać. Nie będą się liczyć z naszą przewagą, będą walczyć jak szaleńcy, jeśli Antar ich do tego nakłoni.

— Próbowałem opóźnić jego uwolnienie, ale było to bardzo trudne. Miałem ostrą sprzeczkę z królową-regentką, a po jej usunięciu Król-Goblin uparł się i nie chciał dłużej więzić Antara. Ledo jest moim dobrym przyjacielem, lecz to niezwykle rycerski młodzieniec i nie mogłem mu wyperswadować, żeby nie przyjmował od razu okupu, kiedy Anigel zaferowała go po raz drugi. Ale ostatecznie mam zarówno jej talizman, jak i talizman Kadiyi, a to powinno przechylić szalę zwycięstwa na naszą stronę. Zwrócimy przeciwko Antarowi magię i siły zbrojne. Kiedy zaatakujemy Derorguilę, nasza przewaga liczebna będzie jak trzy do jednego. Jeśli dopisze nam szczęście, zdobędziemy twierdzę w jeden dzień.

Pan Osorkon zatonął w myślach, zlizując słodki serek z kawałka ciasta.

— Myślę o królowej Ganondri, tej diablcy! Jak to dobrze, że już nie musimy jej znosić. Kiedy przybyliśmy do Frangine, w porcie wszyscy mówili o jej spotkaniu z szarekiem. Mam nadzieję, że Król-Goblin tańczy tak, jak mu zagrasz?

— Poradzę sobie z Ledo — zapewnił Orogastus. .

— Mam nadzieję. — Labornocki wielmoża oblizał lepkie palce. — Byłaby to prawdziwa klęska, gdybyś odniósłszy zwycięstwo utracił kontrolę nad piratami. Mogliby zaatakować inne portowe miasta, a tam mieszkają moi zwolennicy. Niech piraci złupią Derorguilę i wracają do domu, a moi ludzie będą zadowoleni. Pamiętaj jednak, czarowniku, że nasza umowa nie przewiduje zamiany mojego przyszłego królestwa w spalone pustkowie!

— Nigdy do tego nie dojdzie — oświadczył Orogastus. — Przysięgam na Ciemne Moce i na świętą Gwiazdę, która dodaje mocy moim talizmanom.

Czarnoksiężnik wstał, machnął ręką i trunek oraz jedzenie zniknęły ze stołu. Po namyśle oczyścił też szatę, a potem wsadził do kieszeni cenną czerwoną książeczkę.

— Już skończyłem tu pracę. Moja magia pokazuje mi, że Jorot, jego admirałowie i twoi wierni przyjaciele kłócą się zaciekle o to, kto będzie miał prawo złupić derorguilski pałac. Weź broń, pójdziemy razem, by wynegocjować zawieszenie broni. Dopiero potem będziemy mogli rozpocząć prawdziwą naradę wojenną.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Haramis odnalazła Kadię wiosłującą po wezbranych wodach Górnego Mutaru w towarzystwie Joguna i Lummomu–Ko. Druga łódź pełna była wyvilskich wojowników. Arcymagini zmaterializowała się w łodzi pomiędzy Panią Czarodziejskich Oczu i Jagunem i spokojnie podniosła magiczny parasol dla osłony przed ulewnym deszczem. Kadiya popatrzyła na siostrę w milczeniu. Na jej twarzy malował się smutek.

— Znam twoje plany — powiedziała Haramis. — Przybyłam, by ci je wyperswadować.

— Co chcesz powiedzieć? — Kadiya na chwilę odwróciła spojrzenie.

— Nauczyciel w Przybytku Mądrości wyjawiał mi twoje zamiary. To niewiarygodna głupota, nie mówiąc już o haniebnej nielojalności wobec Anigel. Musisz zrezygnować.

— Mój plan nie jest głupi! — zakrzyknęła Kadiya. — Cóż ty wiesz o stosunkach pomiędzy ludźmi a Ludem Bagien, Gór i Lasów? Ukrywałaś się w swojej wieży ucząc się magii, kiedy klęska za klęską spadały na nasz nieszczęsny Półwysep! Nic nie zrobiłaś, by pomóc mi uratować mój talizman przed Orogastusem! Nie zrobiłaś nic, żeby przeszkodzić tej idiotce Anigel w zapłaceniu mu okupu! A teraz znów masz czelność mieszać się do moich spraw?!

— Przybyłam, gdyż kierują mną miłość i troska...

— Odejdź! Żadne twoje słowa nie odwiodą mnie od zrobienia tego, co muszę zrobić. Mogłabyś powstrzymać mnie tylko wtedy, gdybyś mnie zabiła!

— Jasnowidząca Pani, nie mów w taki sposób do Białej Damy! — zawołał Jagun, nieświadomy planów Kadiyi.

— Milcz! To sprawa między mną a moją siostrą! — Kadiya rzuciła się na niego jak gradolik, któremu odebrano jego zdobycz.

— Właśnie, że nie — wtrąciła Arcymagini, na której twarzy malował się wielki smutek. — Dotyczy ona plemienia laguna, Lummomu–Ko i całego Ludu Bagien, Gór i Lasów. Jestem ich opiekunką i strażniczką...

— To mnie wybrali na swoją przywódczynię, a nie ciebie! — zaprzeczyła zapalczywie Kadiya. — Czyż nie mam prawa przedstawić im mojej propozycji, tak by mogli osądzić ją — i mnie — i dobrowolnie podjąć decyzję?

Zaskoczona Haramis milczała.

— Sama wiesz, że mam rację! — zawołała tryumfująco Kadiya. — I jak chciałabyś narzucić swoją wolę Ludowi Bagien, Gór i Lasów? Tubylcy są wolnymi istotami, a nie twoimi niewolnikami. Zostaw nas w spokoju!

— Pozwól sobie tylko wytłumaczyć...

— Odejdź stąd, Arcymagini — powiedziała cicho, groźnie, Kadiya. — Chyba że jesteś gotowa użyć przemocy, by zwrócić moją uwagę.

— Dobrze. Widzę, że teraz nic cię nie przekona. Ale niebawem do ciebie wrócę. — Haramis pochyliliła głowę.

Zniknęła i deszcz jeszcze mocniej niż przedtem smagał obie łodzie.

— Coś ty zrobiła, Jasnowidząca Pani?! — jęknął Jagun. — Powinnaś była przynajmniej wysłuchać, co Biała Dama miała ci do powiedzenia.

— Tak — mruknął Lummomu, a jego przerażeni wyvilscy towarzysze poparli go zgodnym pomrukiem.

— Ja wiedziałam, co ona powie! — odparowała Kadiya. — A gadanina nic by jej nie pomogła. Słuchanie jej byłoby bezcelowe.

— Przecież to Biała Dama! — zaprotestował Jagun.

— A ja jestem Panią Czarodziejskich Oczu! — Kadiya uderzyła w przypięte na piersi godło, nad którym wisiał jej bursztynowy amulet z purpurowym kwiatem trillium. Jeśli nie

chcecie mnie opuścić i pójść swoją drogą; nie irytujcie mnie! Wiosłujcie, bo musimy dotrzeć do celu przed nocą.

Nadeszła w końcu odpowiednia chwila. Arcymagini siedziała samotnie w swoim gabinecie w Wieży na górze Brom, która niegdyś była domem Orogastusa, a teraz należała do niej. Niewiarygodnie silna burza śnieżna szalała na zewnątrz, ale Haramis nawet jej nie zauważyła. Podeszła do swojego ulubionego miejsca przy kominku (to tu usiedli oboje, dopiero co się poznawszy) i podniosła talizman, wpatrując się w pusty krąg. Odłamek bursztynu tkwiący pomiędzy trzema skrzydełkami na szczycie różdżki świecił równomiernym blaskiem, a miniaturowy kwiatek trillium w jego wnętrzu był czarny... czarny...

Teraz, pomyślała, teraz naprawdę czuję wielką potrzebę popatrzenia na niego i wysłuchania jego słów. Muszę się dowiedzieć, co zamierza i czy zagraża Królestwu Dwu Tronów mojej siostry Anigel i reszcie świata. Talizmanie, czy pozwolisz, bym mu się przyjrzała, nie tracąc mej duszy? Nadal go kocham. Nic nie mogę na to poradzić. Wiem, że sam jego widok jest niebezpieczny, ale zaniedbałabym moje obowiązki, gdybym się cofnęła. Więc to zrobię.

— Pokaż mi Orogastusa! — powiedziała głośno.

I zobaczyła go. Pewny siebie, wielkimi krokami przemierzał pokład wielkiego raktumiańskiego okrętu, który mknął po wzburzonym morzu. Jego białe włosy powiewały na wietrze, a mokre szaty przylgnęły do wysokiego, wspaniale umięśnionego ciała. Twarz czarownika niewiele się zmieniła, tylko zmarszczki stały się głębsze. Wąskie, pięknie wykrojone wargi, wysokie kości policzkowe, jasnoniebieskie jak lód oczy pod śnieżnobiałymi brwiami. Na gładko ogolonym obliczu malowała się radość, jakby Orogastus czerpał energię z szalejącego sztormu. Nie miał przy sobie żadnego z ukradzionych talizmanów. Zatrzymawszy się przed wejściem do wysokiej sterówki uchwycił się balustrady i powiódł spojrzeniem ponad wielkimi falami. Uśmiechnął się...

Haramis zaparło dech w piersi. W jakiś sposób — sposób, który nie miał nic wspólnego ani z Czarnym Trillium, ani z Trójskrzydłym Kręgiem — wiedziała, o czym on myśli. Nie o podboju świata czy triumfie Gwiezdnego Bractwa. Nie o Ciemnych Mocach ani nawet o Berle Mocy, którego pożądał.

Myślał o niej.

Serce jej się ścisnęło i z najwyższym trudem powstrzymała płacz. Zapragnęła wezwać ukochanego poprzez dzielącą ich odległość, wypowiedzieć jego imię, usłyszeć odpowiedź, pójść do niego, dotknąć go...

Otoczony skrzydełkami talizmanu kwiatek trillium pulsował jak serce. Nadal był ciemny jak noc, ale za chwilę zmieni barwę...

— Nie! Nie, nie, nie! — wyszlochała głośno Haramis i odrzuciła od siebie talizman, który zawisł na platynowym łańcuszku. Wizja w magicznym kręgu zniknęła.

Arcymagini Łądu siedziała długo, modląc się w duchu. Potem, z nową determinacją, odetchnęła głęboko i powtórzyła:

— Pokaż mi Orogastusa.

Czarownik znajdował się we wspaniałym salonie. Szaty miał suche, włosy uczesane, i właśnie prowadził żywą rozmowę ze swymi trzema akolitami. Odziany w czerń niski sługa trzymał diadem Anigel. Pomocnik w żółtej szacie dzierżył ciemny, tępy, pozbawiony czubka miecz noszący imię Potrójnego Płonącego Oka, talizman Kadiyi.

...musisz pilnować władców Laboruwendy dzień i noc — mówił Orogastus. — A ty, mój Żółty Głosie, musisz śledzić intrygi Pani Czarodziejskich Oczu. A co do ciebie, mój Purpurowy Głosie...

Haramis, czując chłód w sercu, usiadła wygodniej, by przysłuchiwać się naradzie wrogów.

Kadiya zamierzała ogłosić swój plan przeistoczenia Ruwendy w ojczyznę wszystkich tubylców w Dezaras, w osiedlu Uisgu położonym w głębi Ciernistego Piekła. Pierwszą Mówczynią Prawa była tam nadal Nessak, jej stara przyjaciółka, której życie uratowała podczas wyprawy po talizman. I to właśnie z Dezaras zabrzmiał przed dwunastu laty pierwszy Zew zwołujący Uisgu i Nyssomu do boku Kadiyi. Wzięli oni później udział w wielkiej bitwie z królem Voltrikiem o wyzwolenie Ruwendy.

Przez większą część podróży w dół rzeki Kadiya była milcząca i zamyślona, nie powiedziała nic lagunowi ani innym tubylcom o swojej rozmowie z Nauczycielem w Przybytku Mądrości ani o utracie talizmanu przez Anigel. Nowe radykalne plany Kadiyi, ujawnione po dotarciu do Dezaras, na równi więc zaskoczyły jej eskortę jak samą Nessak i innych Uisgu.

Księżniczka przedstawiła swoją propozycję z gorączkową elokwencją, przytaczając liczne krzywdy wyrządzone tubylcom w przeszłości i podkreślając, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, zwłaszcza gdyby przyłączyli się do nich Skritekowie. Jej strategia opierała się na atakowaniu tylko ludzkich sił zbrojnych. Nikt nie miał niepokoić cywilów. Zamierzała zaatakować powracające z Varu laboruwendiańskie oddziały w pobliżu naturalnej zapory, jaką był wodospad Tass, i wyprzeć je w dół rzeki. W samej Ruwendzie miały zostać oblężone Cytadela i inne ludzkie osiedla. Odcięci od dostaw żywności, odizolowani przez nienaturalne deszcze, ludzie będą musieli poddać się bez przelewu krwi. Po wygnaniu z Ruwendy wszystkich jej ludzkich mieszkańców, królewska Błotna Droga prowadząca z Cytadeli do granicy Labornoku zostanie całkowicie zniszczona, a odgradzona od reszty świata wyżyna Mglistych Błot stanie się ojczyzną tubylców, którzy sami będą nią rządzić.

Ona zaś, Pani Czarodziejskich Oczu, przysięgła, że wynegocjuje traktat, w którym zostaną zaakceptowane jej warunki. I jeśli taka będzie wola Ludu Bagien, Gór i Lasów, Kadiya będzie również reprezentowała jego interesy w przyszłych kontaktach z ludzkością. W punkcie kulminacyjnym swej przemowy opowiedziała o zdumiewającym posłaniu przekazanym jej potajemnie przez czarownika Orogastusa. Złożył on uroczystą przysięgę, że Mgliste Błota zawsze będą należały do Odmieńców po wygnaniu stamtąd ludzkich osadników.

Tubylcy jednakże nie zareagowali na plan Kadiyi z takim entuzjazmem, jakiego się spodziewała. Słuchali jej, nie kryjąc zdumienia i przerażenia. To wezwanie do broni wstrząsnęło nimi głęboko, gdyż od wstąpienia na tron Antara i Anigel i połączenia Dwu Tronów, na Mglistych Błotach niespodziewanie zapanował pokój. Tylko krnąbrni Glismakowie z Lasu Tassaleyo oraz Skritekowie, których krwiożerczości nawet Arcymagini Haramis ani Kadiya nie mogły w pełni pohamować, naruszali pokój w ostatnich dwunastu latach. A teraz sama Pani Czarodziejskich Oczu wzywa ich na wojnę z ludzkością!

Nessak z Dezaras wysłuchiwała długiego, pełnego pasji przemówienia Kadiyi z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Kiedy Ruwendianka skończyła, Mówczyni zgodziła się poinformować o jej propozycji wszystkich Uisgu. A ponieważ to leśne plemię miało większe telepatyczne zdolności niż Jagun czy Lummomu–Ko, Nessak wyraziła też zgodę, by starsi z jej wioski zwołali przywódców Nyssomu i Wyvilów i zapytali o ich decyzję. Obiecała również skontaktować się z Glismakami. Ale, pomimo usilnych nalegań Kadiyi, Mówczyni nie zgodziła się na przekazanie wezwania Skritekom. Jeżeli Pani Czarodziejskich Oczu pragnie wciągnąć do wojny dzikich Topielców, będzie musiała sama z nimi o tym porozmawiać.

Kadiya ustąpiła przed uporem Mówczyni. Później Nessak, Jagun, Lummomu i reszta pozostawili ją samą. Miała czekać w skromnej, przeznaczonej dla gości chacie, gdzie odbyło się to ważne spotkanie.

Czekała pięć dni.

Ulewny deszcz padał nieprzerwanie i Ruwendianka czuła się źle w tym wilgotnym, nieprzyjemnym miejscu. Kiedy Górny Mutar wylał z powodu nie spotykanych o tej porze

roku deszczów, w całej wiosce Dezaras nie było nawet skrawka suchego łądu. Pięćdziesiąt uplecionych z trawy domostw stało się wyspami na wezbranych, brązowych od mułu wodach jeziora. Przy wszystkich chatach Uisgu, prócz tej, w której przebywała Kadiya, znajdowały się wiklinowe łodzie z pustymi uprzężami dla rimorików. Dwie wielkie dłubanki należące do jej wywilskiej eskorty przywiązano przy domu, w którym mieszkała Nessak z rodziną. Od czasu do czasu Kadiyi przynoszono posiłki, ale osoba, która to robiła, nie chciała nic powiedzieć o decyzji swoich współplemieńców. Wreszcie zapadła piąta noc i wraz z ciemnościami okolicę zasnęła gęsta mgła. Ruwendianka co pewien czas podchodziła do otwartych drzwi chaty, by popatrzeć, czy ktoś się nie zbliża. Widziała jednak tylko zamglone światła najbliższych domostw i słyszała jedynie plusk deszczu, z którym zlewało się przytłumione brzęczenie owadów i odgłosy nocnych zwierząt.

— Oni muszą wyrazić zgodę, przecież chodzi o własny kraj — dla nich! — powiedziała sobie w duchu Pani Czarodziejskich Oczu. — Muszą! — Zamknęła oczy, modląc się z rozpaczą. Skończywszy modlitwę zdała sobie sprawę, że odruchowo sięga prawą ręką do pustej pochwy u pasa, szukając magicznego talizmanu. Ale Potrójnego Płonącego Oka już tam nie było. Zamiast niego był zwyczajny miecz. — Oni muszą walczyć u mego boku, albo wszystko będzie stracone — jęknęła.

— Mylisz się — powiedział cichy głos.

Kadiya otworzyła szeroko oczy i krzyknęła gniewnie na widok Haramis, która właśnie się materializowała na odkrytej werandzie.

— To znowu ty! — zawołała Kadiya. Jej siostra patrzyła na nią ponuro, otulona płaszczem, który pozostał suchy pomimo potopu zalewającego świat. — Nie pozwolę ci się wtrącać do moich spraw! Nie masz prawa odbierać swobody decyzji mojemu ludowi!

— Nie przybyłam tutaj, by się wtrącać, nie rozmawiałam też z twoim ludem. Po prostu chcę porozmawiać z tobą. Mogę wejść?

Kadiya obrzuciła siostrę wrogim spojrzeniem i nic nie odpowiedziała. Haramis weszła do chaty i zbliżyła się do małego ogniska płonącego w wypełnionym piaskiem glinianym naczyniu. Dym unosił się leniwie w wilgotnym powietrzu i gromadził pod krokwiami, chwilami przenikał na zewnątrz poprzez otwory w szerniałej strzesze lub wirował we wnętrzu domostwa. Odpędzał krwiożercze owady Ciernistego Piekła, a jednocześnie niemilosiernie gryzł w oczy.

Wieczór był chłodny, lecz Kadiya pociła się w ceremonialnej zbroi z twardych złotych łusek. Zawiesiła amulet na sznurku na szyi, kasztanowate warkocze związała ciasno przy głowie. Teraz usiadła sztywno na wiklinowym stołku przy ognisku. Kiedy Haramis spokojnie zajęła miejsce obok, Kadiya zajęła się wyciąganiem suchych paproci ze znajdującego się w pobliżu kosza, udając, że pochłania ją to całkowicie. Łamała łądygi i wrzucała do ognia, dmuchając w płomienie, by zbytnio nie dymiły.

Haramis czekała.

Kadiya uparcie milczała przez dłuższy czas, wreszcie zapytała:

— Czy to Nauczyciel znów cię przysłał? A może tym razem to Anigel?

— Nauczyciel powiedział mi, co zamierzasz. Nie rozmawiałam z Ani o twoim strasznym planie, ale ostrzegłam ją, że Orogastus i raktumiańscy piraci zaatakują Derorguilę.

— Wiedziałam, że tak się stanie. Żał mi Ani i Antara, ale tubylcy i ja zrobimy to, co musimy zrobić. Orogastus zawładnął już dwoma talizmanami, wkrótce na pewno podporządkuje sobie całą ludzkość, choćbyś nie wiem jak starała się do tego nie dopuścić. Nie interesuje go jednak mój lud. Jeśli będziemy żyli spokojnie na Mglistych Błotach, Orogastus nas nie tknie, bez względu na to, jakich potworności dopuści się wobec reszty narodów.

— Skąd o tym wiesz? — zapytała z powątpiewaniem Haramis.

— Orogastus pojawił mi się w wizji i powiedział o tym.

— A ty mu uwierzyłaś?! Straciłaś rozum?!

Ponury uśmieszek przemknął przez usta Kadiyi, która nie przestała dokładać do ognia. Płomienie barwiły szkarłatem jej twarz i czerwony kwiat zapłonął na jej piersi.

— Nasz dawny wróg jest nadal przystojny i życzliwy! No i może sobie teraz rozmawiać ze wszystkimi na świecie dzięki talizmanom. Och, przecież na pewno odbyliście już poufną pogawędkę we dwoje, rozstrzygając o losie świata.

— O nie, ja z nim nie rozmawiałam — zaprzeczyła chłodno Haramis. — I nie zrobię tego dopóty, dopóki nie będę mogła ukarać go tak, jak na to zasługuje. Mój talizman osłania mnie przed jego oczami i głosem.

— Lecz nadal go kochasz. Zaprzecz, jeśli potrafisz!

— Nie zaprzeczam. Ale zrobię wszystko, by moje uczucia nie wpłynęły na moje postępowanie.

— Uwierzę ci, jeśli będziesz szukała sprawiedliwości dla Odmieńców z takim samym zapałem, z jakim mieszasz się w sprawy ludzi!

— Jestem strażniczką i przewodniczką dla wszystkich mieszkańców tej krainy, obojętne — ludzi, Skriteków czy Odmieńców. I jako strażniczka przybyłam, żeby cię ostrzec przed konsekwencjami błędu, jaki zamierzasz popełnić...

— To mnie, a nie ciebie Odmieńcy uważają za swoją przywódczynię! — Kadiya wyzywająco uniosła głowę. — Kiedy przebywałaś samotnie w swojej Wieży, ja żyłam wśród nich i pracowałam z nimi przez dwanaście lat, i szukałam dla nich sprawiedliwości w stosunkach z naszą własną rasą. Mówisz, że ich kochasz. Ale czy zrobiłaś coś, by to udowodnić?

Haramis zachowała spokój.

— To Arcymagiczne Kolegium stworzyło Lud Bagien, Gór, Lasów i Mórz. Na długo przed pojawieniem się Pani Czarodziejskich Oczu zawsze był Arcymag lub Arcymagini Łądu czuwający nad aborygenami. Niestety, muszę zgodzić się z toba, że nie byłam tak efektywna jak powinnam. — Dotknęła Trójskrzydłego Kręgu i bursztyn z trillium zapłonął nagle złocistym blaskiem. — Teraz jednakże wszystko się zmieni.

— Zamierzasz zająć moje miejsce, tak? — wykrzyknęła Kadiya.

— Nie, tylko cię przekonać.

— Więc zrób wszystko, na co cię stać! — Kadiya zerwała się na równe nogi. — Pokaż, jak porazisz mnie swoją mocą, jeśli rzucę ci wyzwanie!

Lecz Haramis tylko pokiwała z politowaniem głową.

— Na pewno nie pozwolisz, by takie uczucie jak siostrzana miłość przeszkodziło ci w wypełnieniu twoich obowiązków! — Kadiya uśmiechała się drwiąco. — A może coś innego zmusza cię, byś traktowała mnie łagodniej niż się spodziewałam? Powiedz mi, wszechpotężna Arcymagini: naprawdę tu jesteś, czy znów rozmawiam tylko z twoim duchem?

— Naprawdę tu jestem. Potrafię teraz dotrzeć wszędzie z pomocą mojego talizmanu i mogę zabrać cię ze sobą...

Nagle w dłoni Kadiyi znalazł się miecz.

— Nie rękę za siebie, jeśli mnie dotkniesz, Haro. Jeżeli spróbujesz zabrać mnie stąd siłą, zabiję cię, przysięgam na Władców Powietrza i na Trzy Księżyce!

— Kadi, Kadi! — Haramis nadal siedziała, z rękami spoczywającymi spokojnie na kolanach. Pochyliła głowę, żeby siostra nie dostrzegła łez smutku, które napłynęły jej do oczu. — Nigdy nie zrobiłabym ci nic złego, ani do niczego bym cię nie zmusiła. Och, droga siostrzo! Dlaczego nie możesz tego zrozumieć? Jest nas Trzy i jesteśmy Jednością! Tylko współpracujące ze sobą Płatki Żywego Trillium mogą pokonać Orogastusa i pokrzyżować jego plany. Sindoński Nauczyciel próbował ci to powiedzieć. Właśnie z nim rozmawiałam. Dał mi cenną radę, która umożliwi nam rozwiązanie wszystkich naszych problemów... Odłóż broń i wysłuchaj mnie, proszę.

— Opuść to miejsce! Tylko w ten sposób mi udowodnisz, że celem twego przybycia nie jest oczernienie mnie przed moim ludem. Nie pozwolę, żebyś wpłynęła na decyzję, jaką podejmie.

— Kadi, już jest za późno. — Arcymagini podniosła głowę i wskazała na otwarte drzwi chaty. — Spójrz!

Kadiya wielkimi krokami wyszła na werandę, nie zważając na ulewny deszcz. Konstelacja nikłych światełek zbliżała się we mgle: były to cztery łodzie wypełnione trzymającymi pochodnie tubylcami.

— Płyną tutaj. — Kadiya spojrzała na siostrę, która pozostała w chacie. — Przemówisz do nich? A może oszołomisz ich czarami, jeśli nie zechcą być ci posłuszni?

— Nie, nie zrobię nic podobnego... będę za to patrzeć i słuchać.

Powiedziawszy to, Arcymagini zniknęła.

Trzęsąc się z wściekłości, Pani Czarodziejskich Oczu wsunęła miecz do pochwy i zesłała po drabinie na pływającą przystań. Chwyciła rzucone jej cumy i mocno je przywiązała. Mówczyni Nessak i wioskowa starszyzna zajmowali trzy pierwsze łodzie. W ostatniej siedział Jagun, Lummomu–Ko i kilku starszych Wyvilów. Kadiya poczekała, aż wszyscy wysiedli z czółen, a potem zaprosiła ich do chaty.

Żaden z Uisgu nie był wyższy od ośmioletniego człowieczego dziecka. Pod pewnym względem przypominali Jaguna z plemienia Nyssomu, ale byli niżsi i drobniejsi, mieli szersze, bardziej wystające uszy, większe złociste oczy oraz ostrzejsze zęby w szerokich ustach. Sierść porastająca ich twarze i ciała sprawiała wrażenie natłuszczonej, a dłonie były śliskie od ochronnego śluzu. Wszyscy, z wyjątkiem Nessak, nosili proste spódniczki z trawy, a barwne namalowane koła otaczały ich oczy. Pierwsza Mówczyni miała na sobie strojną spódnicę z kupionego od ludzi materiału, mały, ozdobiony drogimi kamieniami złoty naszyjnik oraz dwie cienkie złote bransoletki. Wokół oczu namalowała potrójne białe pierścienie. Pozdrowiła Kadiyę podnosząc pazurzaste dłonie i zwróciła się do niej w dialekcie Uisgu:

— Pani Czarodziejskich Oczu, spędziłam wiele godzin naradzając się z naszymi krewnymi z Krainy Błot. Ten tu Honebb rozmawiał z Frolotu, przywódczynią Nyssomu. Kramassak skontaktowała się z Sasstu–Cha, wodzem Wyvilów, a Gurebb zrobił, co mógł, by porozumieć się z Glismakami. Posłaliśmy myślowy Zew do wszystkich tych ludów. A teraz wysłuchamy ich odpowiedzi... Gurebbie! Czcigodny starzec Uisgu podszedł do Kadiyi i pozdrowił ją.

— Miałem ciężkie zadanie — rzekł — usiłując zrozumieć sens przewlekłych tyrad tamtych leśnych włóczęgów. Wydaje się jednak, pani, że bardzo pragną przyłączyć się do ciebie w wojnie przeciwko ludziom.

— Dzięki ci, Gurebbie. — Oczy Kadiyi zabłyśły. Wyprostowała się.

— Kramassak! — zawołała Mówczyni.

W odpowiedzi zabrzmiały wyraźnie słowa kobiety Uisgu:

— Starszy Sasstu–Cha, który przewodzi swemu ludowi w zastępstwie nieobecnego Mówcy Lummomu–Ko, stwierdził, że Wyvilowie pójdą w bój za Panią Czarodziejskich Oczu, jeśli przyłączą się do niej inne plemiona Ludu Bagien, Gór i Lasów poza Glismakami.

Kadiya uśmiechnęła się promiennie do Lummomu i jego wojowników. Ale wódz Wyvilów nie odwzajemnił jej uśmiechu, tylko beznamiętnie wpatrzył się w płomienie.

— Honebbie, teraz twoja kolej — zawołała Nessak. — A co z Nyssomu?

— Mówczyni Frolotu — stwierdził inny tubylec — po naradzie ze swymi współplemieńcami oświadcza, że Lud Nyssomu nie wypowie wojny ludzkości.

Twarz Kadiyi stężała jak maska. Zwróciła się do Nessak:

— A co z Uisgu, stara przyjaciółko? Co z Ludem, który od samego początku walczył u mego boku przeciwko najeźdźcom z Labornoku? Tym, który pierwszy nazwał mnie Panią Czarodziejskich Oczu, Nosicielką Światła i Nadziei?

— Muszę ci wyznać całą prawdę — powiedziała uprzejmie, lecz stanowczo Nessak. — Wiemy, że Glismakowie pokłócili się z ludźmi i że niektórzy Nyssomu bywali źle traktowani przez twoją rasę. Wiemy też, że Wyvilowie woleliby sprzedawać część swych cennych leśnych produktów mieszkańcom Varu, którzy obiecują wyższe ceny, niż Dwu Tronom, co teraz czynią. Jednakże owe krzywdy można naprawić w pokojowy sposób... Dlatego nie wyruszymy na wojnę. Sami Uisgu nie mają nic do zarzucenia ludziom. Nasze wioski znajdują się w najodleglejszych zakątkach Mglistych Błot, a naszymi jedynymi wrogami są wstrętnei Skritekowie, którzy obecnie nękają nas bardzo rzadko.

Wszyscy zgromadzeni w chacie Uisgu skinęli głowami i mruknęli na znak zgody.

— Ale źli ludzie przyjdą do was! — zawołała Kadiya. — Dwa Trony są skazane na zagładę, ulegną połączonym armiom Raktum i Tuzamenu. Labornok będzie miał nowego króla — jest nim Osorkon, jeden ze złych ludzi, którzy spalili wasze wioski i zabili wasze dzieci przed dwunastu laty. Zamieni on w niewolników wszystkich mieszkańców Ruwendy, chyba że mnie poprzecie i będziecie walczyć o uczynienie z niej waszej ojczyzny. Czarownik Orogastus przyrzekł mi uroczyście, że wtedy zostawi nas w spokoju...

— My nie wierzymy Orogastusowi — odparła łagodnie Nessak. — Nie wierzymy też tobie, kiedy twierdzisz, że wojna to jedyna droga, jaka nam pozostała.

— To najlepsza droga! — zawołała rozpaczliwie Kadiya. — Nigdy bym wam nie skłamała! Poświęciłam wam całe moje życie! Kocham was...

Nessak podeszła blisko do Pani Czarodziejskich Oczu i podniosła na nią zasmucony wzrok.

— Nie sądzimy, że celowo mówisz nam nieprawdę. I zawsze będziemy cię kochali. Nie możemy jednak pozwolić, żebyś dłużej nam przewodziła. Oby Święty Kwiat obdarzył cię mądrością! — Wskazała na płonący szkarłatem kwiatek w amulecie Kadiyi. — Nie mówię o tym krwawym kwiecie, ale o tamtym, którego się wyparłaś. — Odwróciła się i wyszła w smaganą strugami deszczu ciemność. Pozostali Uisgu poszli za nią,

Kadiya oszołomionym spojrzeniem powiodła po tych, którzy zostali w chacie.

— A co ty mi powiesz, Lummomu-Ko?

Wysoki wódz Wyvilów podszedł i przyklęknął u jej stóp.

— Pani, wiernie ci towarzyszyliśmy, a przez cały ten czas Trzech Księżyców po trzykroć przybyło i ubyło. Prosimy cię teraz, abyś nas zwolniła, gdyż inne plemiona podjęły decyzję i czyniąc to, wymusiły ją na nas.

— Ja... ja... — Słowa uwięzły Kadiyi w gardle. Nie chciała jednak płakać ani w jakikolwiek sposób stracić nad sobą panowania. — Odejdźcie — wykrztusiła w końcu.

Lummomu-Ko wstał, uklonił się, a potem wyprowadził swoich wojowników. Kadiya patrzyła za nimi niedowierzająco. Potem potrząsnęła głową i osunęła się na stół. Znowu poczęła wrzucać do ognia suche łodygi paproci.

— A ty, Jagunie? Czy i ty mnie porzucisz? — zapytała martwym głosem.

Stary Nyssomu wyszedł z cienia, gdzie stał do tej chwili, i wgramolił się na sąsiedni zydel. Otworzywszy sakiewkę u pasa, zaczął w niej grzebać. Kadiya czekała na jego odpowiedź.

— Nie mamy nic do jedzenia oprócz korzeni adop — poskarżył się. — Cóż to był za dzień! — Odciął nożem kawałek twardego, koślawego korzenia i podał Ruwendiance.

Przyjęła podarek i zaczęła go żuć w zadumie.

— Kiedy po raz pierwszy zabrałeś mnie na bagna, a byłam wtedy małą dziewczynką, nauczyłeś mnie go jeść. A ile razy posilaliśmy się nim skromnie podczas ucieczki przed żołnierzami króla Voltrika?

— Przyjaźnimy się od wielu lat, Jasnowidząca Pani. — Jagun skinął głową. — Jak mógłbym teraz cię opuścić? — Uśmiechnął się i podał jej następny kawałek jadalnego korzenia.

Wziąwszy go, Kadiya szybko odwróciła twarz, by przyjaciel nie zobaczył łez, które wreszcie popłynęły jej z oczu.

— Dziękuję ci, Jagunie — szepnęła.

Przez jakiś czas jedli w milczeniu. Myśliwy podzielił się też z nią swym zapasem wody.

— Czyżbym nie miała racji, jak twierdzi moja siostra Haramis? Powiedz mi prawdę, przyjacielu — zapytała w końcu.

Jagun namyślał się długo.

— Nie miałaś racji — odezwał się wreszcie. — Ta wojna, cały twój plan był źle przemyślany. Gdybyś zajrzała głęboko w swoje serce, dowiedziałabyś się, że kierowały tobą złe motywy, do których nie chciałaś się przyznać nawet sama przed sobą.

— Co ty mówisz!? Powiedz mi szczerze, o co ci chodzi!

— Nie mogę, Jasnowidząca Pani. Uwierzysz w to tylko wtedy, jeśli sama się wszystkiego domyślisz. Myślę jednak, że wszystko zaczęło się od utraty twego talizmanu.

— Zgadza się. — Kadiya skinęła głową. — Bez niego nie jestem już taką przywódczynią, jaką byłam kiedyś.

— Bzdura! — odrzekł szorstko Nyssomu.

Ruwendianka aż zamrugła ze zdziwienia oczami. Nigdy dotąd Jagun nie ośmielił się podnieść na nią głos. Zawsze zwracał się z wyjątkowym szacunkiem.

— Przecież sam powiedziałeś, że przyczyną moich kłopotów była utrata talizmanu!

— Źle mnie zrozumiałaś. W twoim talizmanie kryła się wielka moc, moc czarodziejska, która jednak nie była częścią ciebie. Nie miała nic wspólnego z twoją prawdziwą siłą, ani z twoim życiem, czy z jego sensem. Dorok Sziki próbował ci to powiedzieć, a teraz ja ci to mówię.

— Obaj się mylicie!

Jagun pokręcił głową. Odkroił ponownie kawałek korzenia i włożył go do ust. Minęło kilka minut, zanim znów się odezwał:

— Trójjedyny obdarza mocą czarodziejską tylko nielicznych. Nie jest ona ani zła, ani dobra, może wszakże stać się jednym lub drugim, zależnie od tego, do czego zostanie użyta. Można się jej wyrzec z ważnych powodów i nadal pozostać sobą. Trudniej jednak jest znieść jej utratę, gdyż taka osoba może czuć się poniżona, choć nie utraciła honoru.

— Anigel, oddając swój talizman Orogastusowi, okazała haniebne tchórzostwo! — zawołała Kadiya.

— Nie! — zaprzeczył stary myśliwy. — Twoja siostra kierowała się miłością, ponad którą nie ma ważniejszego motywu. Wyrzekając się talizmanu, królowa ani się nie zhańbiła, ani nie wystawiła na wstyd.

— Ale ja tak! Dowodem jest to, że mój lud mnie odtrącił, odrzucając moje przywództwo. — Podniosła amulet. — To tego dowodzi!

— Właśnie, że nie. Myślę, że nie chodzi tu o samą stratę, ale o to, że nie mogłaś się z nią pogodzić. Przecież ten talizman tak naprawdę nie był częścią ciebie, dopiero sama go nią uczyniłaś.

— Wciąż nie rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. Wiem tylko, że straciłam cel mojego życia, stałam się bezużyteczna i że serce zaraz pęknie mi z bólu. Co mam robić, Jagunie? Nie wiem, co się teraz ze mną stanie...

— Królowa Anigel bardzo potrzebuje twojej pomocy — odrzekł Nyssomu. — Grozi jej wewnętrzna rebelia i napaść z zewnątrz. Jej własne trillium jest szkarłatne jak twoje, gdyż miłość, jaką do ciebie żywiła, zamieniła się w nienawiść. Nie możesz zapomnieć o waszej klótni i stanąć u jej boku?

— Czy Ani zaakceptowałyby moją pomoc po tych strasznych słowach, które do niej zwróciłam? Wątpię... Masz jednak rację, lagunie. Osądziłam zbyt surowo moją siostrę, może dlatego, że tak mało wiem o miłości między kobietą a mężczyzną. Ona szczerze wierzyła, że

placąc okup za Antara najlepiej przysłuży się swojemu krajowi i jednocześnie ulży swemu sercu, gdyż w ten sposób przywróci króla jego ludowi w chwili wielkiego zagrożenia. Po prostu nie rozumiała, że nasze trzy talizmany są ważniejsze dla bezpieczeństwa świata, niż spokojny byt jej rodziny i narodu. Był to nierozsądny i sentymentalny uczynek, ale nie miałam prawa tak okrutnie jej wymyślać.

Jagun przytaknął.

— I ta wojna, do której chciałaś nakłonić Lud Bagien, Gór i Lasów... Nie zdajesz sobie sprawy, że i pod tym względem się pomyliłaś?

Patrzyła na niego długo i dopiero po jakimś czasie przemówiła z wahaniem, niedowierzająco:

— Czyżbym... czyżbym pragnęła tej wojny tylko dlatego, że chciałam odzyskać utraconą moc? Och, Jagunie! Czy mogłam być taka nikczemna i małostkowa?

— Tylko ty wiesz, czy dążyłaś do tego świadomie.

— Nie, nigdy! — zawołała z rozpaczą. — Z całego serca przysięgam, że nie dążyłam do tego... świadomie i celowo. — Odwróciła od niego wzrok. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie i przerażenie. — Czasami nie rozumiemy swoich najskrytszych motywów, jakie nami kierują w głębi ducha. Jest jednak możliwe, że... Och, Boże, że zrobiłam to nieświadomie, że poniosły mnie uczucia. Sam wiesz, jak bywam porywcza, jak łatwo wybucham, zapalam się niczym hubka, na którą padnie iskra. Zlitujcie się nade mną, Władcy Powietrza! Teraz rozumiem wszystko... Ale co mam zrobić?

— Możesz poprawić swe postępowanie — odrzekł Jagun. — Jest to możliwe, jeśli zechcesz zapomnieć o zranionej dumie i pamiętać tylko o miłości. Miłości do Ludu, który się od ciebie odwrócił! Miłości do twoich sióstr!

— Ja kocham mój Lud bez zastrzeżeń! Wiesz o tym. — Kadiya nie posiadała się z rozpacz. — I... tak... dobrowolnie pójdę teraz do Anigel. Pomogę mojej siostrze. Jeśli będzie to możliwe, wynagrodzę zło, które jej wyrządziłam, swój brak miłości. Myślę jednak, że to niemożliwe. W taką straszną pogodę dotarłabym łodem do Derorguili dopiero za dwadzieścia dni.

— To nie będzie konieczne — rozległ się niespodzianie głos Arcymagini.

— Haro! Mówiłaś, że będziesz się przysłuchiwać... — Kadiya szarpała sprzeczne uczucia: dawna uraza i świeża skrucha. — W takim razie wiesz o wszystkim. Powiedz mi, czy właściwie osądziłam sama siebie?

— Sama sobie odpowiedz na to pytanie, droga siostrze. Kadiya zacisnęła w dłoni swój amulet.

— Wyrządziłam krzywdę zarówno Anigel, jak i mojemu ludowi... i tobie również, Haro. Bardzo tego żałuję i jeśli taka będzie wola Trójjedynego, zrobię wszystko, by wam to wynagrodzić.

Jej twarz przybrała beznamiętny wyraz, kiedy wypuściła amulet.

— Jasnowidząca Pani, spójrz! — zawołał Jagun wskazując palcem.

Kadiya opuściła wzrok i oniemiała. We wnętrzu spoczywającego na jej piersi bursztynowego wisioru tkwił maleńki kwiatek o barwie nocy.

Haramis uniosła swój płaszcz. Gestem przywołała Kadiyę i Jaguna i otoczyła ich białymi połami.

— Dwa Płatki Żywego Trillium znów się połączyły — stwierdziła Arcymagini. — Nastął czas, by odszukać trzeci.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Czarny Głos ocknął się z transu z szarą jak popiół twarzą. Kiedy tylko Arcymagini ponownie zjawiała się w Dezaras, przestał widzieć Kadiyę. Zobaczył jednak i usłyszał dostatecznie dużo. Ostrożnie zdjął z głowy Trójgłowego Potwora, ukrył go w tajemnej kieszeni i opuścił kajutę. Pan Tuzamenu musi się natychmiast dowiedzieć o klęsce swych nadziei związanych z udziałem w wojnie Pani Czarodziejskich Oczu i Odmieńców z Ruwendy.

Orogastus przebywał w wielkim salonie raktumiańskiego flagowca i grał z księciem Tolivarem w nową grę zwaną „Inwazja”. Siedzieli przy stole na środku komnaty. Stół miał zawieszenie kardanowe, pozostawał więc w tej samej pozycji nawet podczas przechyłu wielkiej triremy, wykorzystującej potężny sztorm, który pędził na południe flotę z armią najeźdźców. Obaj gracze siedzieli na niewidzialnych stołkach i wyglądali jak zawieszoni w powietrzu. Kiedy Czarny Głos chwiejnym krokiem wszedł do salonu przynosząc ze sobą kłęb morskiej piany, czarownik od razu odczytał jego myśli.

— Wiem, co się stało — powiedział powstrzymując sługę przed wykrzyknięciem złych wieści w obecności chłopca i odbierając talizman. — To niepowodzenie, ale wcale nie takie fatalne. Nie wspominaj o tym naszym szlachetnym sprzymierzeńcom. Idź i zastąp Żółtego, on obserwuje nasz port przeznaczenia, i przejmij pieczę nad Potrójnym Płonącym Okiem. Zwróć szczególną uwagę na nowych graczy, którzy mogą pojawić się na scenie, jeśli uda ci się ich dostrzec. Nawet na chwilę nie rozstawaj się z talizmanem. Każ Żółtemu przyłączyć się do Purpurowego, który uczy naszych ludzi obsługi magicznych maszyn.

— Słucham cię, Wielki Panie. — Szczępyły, niski akolita uklonił się i wyszedł z salonu.

Orogastus położył talizman na stole obok mapy. Książę Tolivar z zainteresowaniem spojrzał na srebrzysty diadem.

— Moja matka, gdy jeszcze nim władała, nigdy nie pozwalała nikomu go dotykać. Ostrzegła nas wszystkich, że talizman jest złączony tylko z nią i że ten, kto choćby dotknie go palcem, zginie.

— Udzieliłem pozwolenia moim Głosom na posługiwanie się obu talizmanami przy oglądaniu i przysłuchiwaniu się wydarzeniom mającym miejsce na świecie. Nie mam czasu ani chęci na spędzanie całych dni i nocy na osobistej obserwacji.

Chłopiec ostrożnie wyciągnął rękę ku talizmanowi.

— Czy pozwolisz, Mistrzu? Byłby to dla mnie wielki zaszczyt.

— Może kiedyś. — Orogastus odsunął diadem z zasięgu ręki chłopca. — Ale nie teraz. Nawet nie myśl o dotykaniu talizmanów, Tolo. Są bowiem bardzo potężne i niebezpieczne! Twoja matka, królowa Anigel, nie miała pojęcia, jak bardzo! Źle sformułowane życzenie, z roztargnieniem skierowane do talizmanu, może mieć straszne konsekwencje. Jeśli wyda się nieodpowiednie rozkazy, czary mogą zwrócić się nawet przeciw samemu talizmanowi.

— A czy nie możesz rozkazać mu, żeby zrobił po prostu coś niezwykłego?

— Nie. Rozkaz musi być sformułowany bardzo precyzyjnie, w odpowiedni sposób. Inaczej ryzykuje się nieszczęście. Pozwalam moim Głosom posługiwać się talizmanami w bardzo prostych sprawach, takich jak magiczne widzenie na odległość. Bardzo dobrze wiedzą, że nie wolno im przekraczać moich rozkazów.

— Oni nie zawsze ciebie słuchają — odrzekł pozornie niedbale chłopiec. — Czarny Głos czytał tamtą czerwoną książeczkę, mimo że zabroniłeś ją otwierać.

— Naprawdę? — Orogastus spochmurniał.

— Bierze ją wtedy, kiedy ty śpisz. Widziałem, jak robił to kilkakrotnie, odkąd wsiedliśmy na statek. Zabiera ją do kajuty, w której mieszka razem z Purpurowym Głosem. Może czytają ją obaj?

— To bardzo niegrzeczne z ich strony — odparł lekko czarownik. — Może będę musiał rzucić czar na tę książeczkę, by strzegł jej tajemnic. To niezwykła książka, już ci to mówiłem. Twarz malca przybrała przymilny wyraz.

— Ja nigdy nie przeczytałbym jej bez twego pozwolenia, Mistrzu — zapewnił gorąco.

— To dobrze. — Orogastus nieznacznym gestem wskazał na rozpostartą na blacie stołu mapę. — Skończmy grę. Niebawem będę musiał zająć się innymi sprawami.

Książę Tolivar przysunął bliżej niewidzialny taboret, potrząsnął kostkami i odczytał ich znaczenie. Później zbliżył czerwony pionek z kości słoniowej, wyobrażający okręt wojenny, do Lakany, dużego portowego miasta, położonego najbliżej Derorguili na wybrzeżu Labornoku.

— Wiem, o czym myślisz — powiedział z uśmiechem czarownik. — Chcesz dać zajęcie posiłkom z Lakany, które mogłyby przyjść na pomoc oblężonej stolicy.

— Tak. Lakana ma szybkie statki. Jeśli się dowie, że moje okręty otoczyły stolicę, pośpieszy jej z pomocą.

— Rozumiem. Ale chociaż twój ruch byłby dobry pod względem taktycznym, okazałby się złym posunięciem strategicznym. Czy znasz różnicę między tymi dwoma terminami?

— Nie, Mistrzu.

— Taktyka to manewry mające zapewnić zwycięstwo w bitwie. Służą do osiągnięcia bliskich celów. Strategia dotyczy celów dalekosiężnych...

— Takich jak zwycięstwo na wojnie?

— Właśnie! Ostrzegłem cię na początku gry, że twoi laboruwendiańscy zdrajcy nie są prawdziwymi przyjaciółmi twych raktumiańskich najeźdźców. Jeżeli piraci zaatakują Lakanę, niektórzy buntownicy — a może nawet wszyscy — szybko znów zmienią sojusze, ponieważ wielu z nich ma rodziny w tym portowym mieście.

— Może jednak tego nie zrobią! — zawołał Tolo z lekkomyślnym błyskiem w oku.

Orogastus potrząsnął kośćmi i rozsywał je na stole.

— Zobaczmy. Mam taką samą kontrolę nad buntownikami jak ty... Aha! Mam cię!

Ponaglone wynikiem tego rzutu, wszystkie podporządkowane Tolivarowi siły rebeliantów zawróciły spod Derorguili, by bronić Lakany. Lojaliści Orogastusa mogli więc odeprzeć atak podzielonej floty skonsternowanego chłopca. Jeszcze pięć ruchów i raktumiańscy najeźdźcy Tola zostali pokonani. Stolica Labornoku, której bronił czarownik, była bezpieczna.

— Następnym razem ja zwyciężę! — przepowiedział Tolivar. — Kiedy to ja będę bronił Derorguili. Przecież to mój dom. To znaczy... to jest mój dom, zanim przeniosę się do Tuzamenu.

— I lepiej się do tego przyłożysz, gdy sam będziesz go bronił — roześmiał się Orogastus. — Tak. To jedna z tych spraw, których nie można przewidzieć na wojnie. Obie strony są odważne, pełne ducha bojowego. Nawet źle uzbrojona armia, walcząca z przeważającymi siłami wroga może zwyciężyć, jeśli ma mężniejsze serce.

Tolo spojrział bystro na czarownika.

— Gdybyś naprawdę chciał zwyciężyć... Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek w życiu, co byś zrobił?

— Nielatwo jest odpowiedzieć na to pytanie, chłopcze. Nie dowodzę armią. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, powiem ci, że najcenniejszą bronią na wojnie jest zaskoczenie. Gdybym za wszelką cenę chciał odnieść zwycięstwo w prawdziwej wojnie, zrobiłbym coś nieoczekiwanego.

— Chcesz powiedzieć, że oszukiwałbyś? — zapytał z wahaniem chłopiec.

— Oczywiście. W prawdziwej wojnie zasady nie są takie ograniczone jak w grze. Czasami w ogóle ich nie ma. — Orogastus zmiotł ręką ze stołu kości oraz czerwone i niebieskie pionki do rzeźbionej skrzynki zrobionej z rogu horika. Mapa, na której prowadzili grę, pozostała na miejscu. — Teraz musisz mnie zostawić. Idź na jakiś czas do salonu na rufie. Przeczytaj te

książki, które ci dałem. Muszę zająć się poważnymi sprawami. Zbliżamy się do końca podróży i niebawem poznasz wielką niespodziankę, którą ci obiecałem.

— Och, proszę, powiedz mi, dokąd płyniemy! — poprosił mały książę. — Tylko sternik wie, gdzie jesteśmy, ale nie chce mi nic powiedzieć. Czy płyniemy do zamku Tenebrose w Tuzamenie? Mam nadzieję, że tak! Chcę zobaczyć wszystkie twoje magiczne maszyny! A może kierujemy się do Bezwietrznych Wysp, by ukarać złych tubylców i odebrać im ich skarby?

— Cierpliwości! Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie. A teraz idź już sobie.

Chłopiec opadł z niewidzialnego stołka na przechyloną, osłoniętą dywanem podłogę i ostrożnie przedostał się przez drzwi prowadzące do mniejszego saloniku na rufie, który czarnoksiężnik zamienił w tymczasową bibliotekę i gabinet.

Orogastus strzelił palcami, by zamknąć za nim drzwi, i jakiś czas siedział w milczeniu. Później włożył na głowę diadem Trójgłowego Potwora.

— Pokaż mi Arcymaginię Haramis — szepnął.

Przed oczami Pana Tuzamenu pojawił się wirujący kłęb światła, tęczyowy wir, który przesłonił wnętrze salonu. Czarownik wyteżył wolę do ostatnich granic, nakazując talizmanowi, by ukazał mu Arcymaginię. Sięgając ku niej myślą, błagał, żeby ich umysły w końcu się spotkały. Ale kiedy Trójgłowy Potwór wreszcie do niego przemówił, użył tych samych zniechęcających sformułowań, co przedtem:

— Arcymagini Haramis nie chce, byś ją widział ani żebyś z nią rozmawiał.

— Więc niech ona do mnie przemówi! — zażądał Orogastus. — Powiedz jej, że może nie dopuścić do strasznego rozlewu krwi, który rozpocznie się pojutrze w Derorguili. Od niej zależy pokój, niech tylko wysłucha, co mam do powiedzenia...

— Ona wie, co masz jej do powiedzenia, i odrzuca wszelkie ugody między wami.

— Niech będzie przeklęta! Nie może czytać w moich myślach! Nie zna moich nowych propozycji! Talizmanie, poproś ją, żeby przynajmniej mnie wysłuchała. Potem może mnie odtrącić, ale patrzac mi w twarz! .

— Arcymagini Haramis nie pozwoli ci się zobaczyć, nie będzie z tobą rozmawiać ani nie spotka się twarzą w twarz, dopóki sama tego nie zechce.

Orogastus jęknął i zaklął, zdzierając talizman z czoła. Wirujące tęczyowe blaski zniknęły i znów zobaczył poślacane i malowane jaskrawymi barwami ściany salonu na raktumiańskiej triremie. Westchnął.

Zwyczajny pejzaż zastąpił portret królowej-regentki, który przedtem wisiał na honorowym miejscu w największej komnacie na flagowcu. Król Ledvardis nie chciał, by jego brzydkie oblicze zdobiło miejsca publiczne. Orogastus spoehmurniał przypomniawszy sobie, jak młody władca odmówił przekazania dowództwa nad swymi piratami tuzameńskiemu generałowi Zokomonusowi. Zamierzał bowiem osobiście poprowadzić do walki swoje osiem brygad podczas ataku na Derorguilę. Będę musiał czujnie obserwować Króla-Goblina, pomyślał Orogastus — i nie tylko wypatrywać zdrady lub słabości. Gdyby Ledvardis zginął lub został poważnie ranny, Raktumianie całkowicie wymkną mi się spod kontroli. Inwazja będzie bardzo ryzykownym przedsięwzięciem, gdyż wezmą w niej udział zarówno korsarze o chwiejnym usposobieniu, jak i chytry labornoccy zdrajcy. Czarnoksiężnik zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie potrafi wiele zdziałać za pomocą obu talizmanów. Owszem, mógł użyć ich do obrony swych oddziałów i obserwacji ruchów nieprzyjaciela; mniej jednak zaufania miał do ich potencjału ofensywnego. Nie zwycięży w tej wojnie, dysponując tylko Trójgłowym Potworem i Potrójnym Płonącym Okiem. Mimo to nie wątpił w końcowy rezultat. Mieli zbyt wielką przewagę liczebną nad obrońcami, by ci mogli zwyciężyć, a on sam władał magicznym orężem, podczas gdy Dwu Tronom mogła pomóc tylko Haramis. Niech będzie przeklęta! Dlaczego nie potrafił przegnać jej ze swych myśli raz na zawsze? W jego wielkich planach nie ma dla niej miejsca. On jej nie potrzebuje!

— Jeżeli nie zechce przyłączyć się do mnie, będzie musiała zginąć razem z pozostałymi — powiedział do siebie na głos. Siedział kilka minut, starając się opanować. Później poprosił diadem, by ukazał mu pozycje ruwendiańskich oddziałów, które wyruszyły na pomoc Varowi. Ten konflikt już się zakończył i zwycięscy ruwendiańscy wojownicy wracali do domu. Na rozłożonej na stole mapie zmateriałizowało się skupisko świecących punktów — wzdłuż Wielkiego Mutaru i na południe od wielkiego Lasu Tassaleyo, który tworzył niezbyt dokładnie wyznaczoną granicę pomiędzy Ruwendą i Varem. Świetnie. Nie mają nawet nikłej szansy przyjscia z pomocą Derorguili.

Następnie czarownik przyjrzał się panu Osorkonowi i jego rebeliantom. Z zadowoleniem stwierdził, że ukryli się w lesie oddalonym o jakieś szesnaście mil od stolicy Labornoku. Utrzymali w tajemnicy swą obecność wyłącznie dlatego, że zamordowali biednych smolarzy, którzy tam mieszkali, oraz kilku pechowych wędrowców, którzy przypadkiem podróżowali boczną drogą przez ten las. Jednak obecność ukrytej armii nie pozostanie długo tajemnicą. Jeśli nawet nie odkryje ich Haramis, to król Antar zauważy wkrótce nieobecność Osorkona i jego wasalów w tłumie rycerzy i żołnierzy śpieszących na pomoc Derorguili. To tylko kwestia czasu.

No cóż, wygląda na to, że sprawy toczą się tak dobrze, jak to tylko możliwe. Trzeba będzie ostrzec Raktumian, że statki lojalistów mogą zaatakować ich z flanki, od strony Lukany, ale to nic trudnego. Orogastus roześmiał się głośno. To jeszcze jedna przydatna informacja uzyskana od nic nie podejrzewającego Tola! Chłopiec zdradził też pewne cenne szczegóły o fortyfikacjach otaczających pałac w Derorguili. Haramis na pewno spróbuje użyć czarów w obronie siostry, ale w końcu królowa Anigel, następca tronu księżę Nikalon i księżniczka Janeel albo zostaną schwytani, albo zginą, tak samo Kadiya, jeśli zechce walczyć u boku władczyni Laboruwendy.

Po wytraceniu jeńców i śmierci Antara w bitwie i odpowiedniej odprawie dla tego wstrętnego Osorkona (nigdy nie pozwala się żyć zdrajcom), mały księżę Tolivar zostanie jedynym dziedzicem tronu Laboruwendy, która stanie się uległym państwem wasalnym Raktum... Na tak długo, jak długo Orogastus zechce dogadzać Królowi–Goblinowi. Wszystko skończy się dobrze. I nawet będzie zgodne z prawem.

Orogastus skinął głową z zadowoleniem, gdy te i inne myśli przyszyły mu do głowy. Świat nigdy bardziej nie był gotów na przyjęcie jego władzy. Nieletni królowie w Raktum, Zinorze i niebawem także w Laboruwendzie. Zgrzybiali monarchowie na Wyspach Engi i trzęsący się przygłup na tronie Varu. Imlit i Okamis to republiki rządzone przez nieudolnych kupców, a na tronie bogatego Galanaru zasiada kobieta, której następczyniami są głupiutkie córki. Sobrania, ojczyzna dumnych barbarzyńców, będzie trudniejszym orzechem do zgryzienia, ale z czasem ona też padnie... I cały znany świat wreszcie znajdzie się u jego stóp. Wtedy będzie mógł dokonać wszystkiego, czego tylko zapragnie! Rzuci potężne czary, dokona z ich pomocą czynów, jakich świat nie widział. A jeśli nawet nie od razu zdobędzie trzeci talizman... Weześniej czy później i tak wpadnie mu w ręce. Po dwunastu tysiącach lat oczekiwania Gwiazdne Bractwo wreszcie obejmie rządy.

Gwiazdne Bractwo...

Jego nowi członkowie będą musieli być całkowicie lojalni wobec swego Mistrza.

Orogastus ściągnął brwi, przypomniawszy sobie, co powiedział Tolo: Czarny Głos po kryjomu czytał czerwoną książeczkę. Chociaż w rozmowie z małym księciem czarnoksiężnik potraktował tę sprawę lekko, bardzo go zaniepokoiła niesubordynacja głównego akolity. Czarny, pomimo drobnej postaci, był najzdolniejszym z Głosów, tym, który najbardziej się nadawał na członka Gwiazdnego Bractwa. Ale czy rzeczywiście był szczerze uległy wobec swego Pana? A co z lojalnością Żółtego i Purpurowego?

Po namyśle Orogastus niechętnie podjął pewną decyzję. Nie mógł dłużej odkładać tego, co należało zrobić. Przed wybuchem wojny musi się dowiedzieć raz na zawsze, czy cała trójka

akolitów jest mu naprawdę wierna, czy też pozwolili, by niezadowolenie i zazdrość zatręły im dusze? Włożył diadem na głowę i wezwał swych pomocników. Czarny, Żółty i Purpurowy Głos pośpiesznie weszli do salonu. Wiatr osłabł i wielki raktumiański statek przestał się kołysać. Czarny Głos, który za pomocą Potrójnego Płonącego Oka obserwował zarówno Dezaraz, jak i Derorguilę, opowiedział swemu panu, że wieśniacy z plemienia Uisgu są bardzo poruszeni tajemniczym zniknięciem Kadyi i Jaguna.

— Niektórzy obawiają się, że to ty ich porwałś, Panie — powiedział Czarny. — My wiemy, że to niemożliwe. W takim razie nasuwa się tylko jeden wniosek — to Arcymagini Haramis w jakiś sposób zabrała ich stamtąd.

Orogastus wstał zza stołu i zaczął chodzić po salonie, rozważając tę niepożądaną ewentualność. Czy Haramis mogła się nauczyć takiej wspaniałej sztuczki? Nie miał pojęcia, czym się zajmowała przez minione dwanaście lat. Jeśli jednak umiała czarami przenosić ludzi z miejsca na miejsce, czemu wcześniej nie uratowała Antara i jego dzieci? Czemu nie przeniosła ruwendiańskich żołnierzy, by pomogli w obronie Derorguili? Czarownik wiedział, że nie powinien zadawać talizmanom tych pytań. Milczały nieugięte, gdy pytał o Arcymaginię i jej sprawy, i wszystko, co miało z nią jakikolwiek związek.

— Nie dostrzegłem żadnego śladu pobytu pani Kadiyi w Derorguili — meldował dalej Czarny Głos. — Ale, oczywiście, jeśli znajduje się ona pod osłoną czarów Arcymagini, bedzk dla mnie niewidzialna, tak jak sama Biała Dama. Panie, ten incydent może być bardzo ważny. Jeśli Arcymagini umie porywać ludzi za pomocą czarów, czy nie zabierze królowej i jej starszych dzieci podczas naszego ataku na Derorguilę? Pokrzyżowałoby to twoje plany uczynienia z księcia Tolivara dziedzica Dwu Tronów i poddania ci Ruwendy i Labornoku po uśmierceniu pozostałych członków rodziny królewskiej.

— Chyba nie — odparł po namyśle czarownik. — Nawet jeśli Anigel uniknie śmierci, nie zdoła przeszkodzić naszemu zwycięstwu. Nie jest wojowniczką jak jej siostra Kadiya. Zawsze możemy ogłosić, że zginęła wraz z dziećmi, a Laboruwenda skapitułuje wcześniej, zanim królowa Anigel wyda odpowiednie oświadczenie w tej sprawie lub zgromadzi nową armię.

— Bez wątpienia masz rację, Panie — powiedział Purpurowy Głos. — Nawet Arcymagini nie może zawrócić trzynastotysięcznej armii.

— Gdyby mogła — odrzekł czarodziej z uśmiechem — dawno by to zrobiła. Za godzinę nasza flota zajmie pozycje naprzeciw wybrzeża Labornoku. Ludzie pana Osorkona już szykują się do ataku. Musimy tylko poczekać na nasze tuzameńskie okręty, które użyją w walce maszyn Zaginionych. Pojutrze, zgodnie z pierwotnym planem, zaatakujemy Derorguilę... I właśnie dlatego wezwałem was do siebie, moi ukochani pomocnicy.

Wyciągnął rękę po Potrójne Płonące Oko i Czarny Głos oddał mu talizman z niskim ukłonem. Słudzy stanęli rzędem, czekając. Orogastus trzymał talizman za brzeszczot, tak że rękojeść z trojgiem oczu znajdowała się w pionie. Na czole czarownika błyszczał Trójgłowy Potwór.

— Moi akolici, niedawno dowiedziałem się, że okazujecie zazdrość o małego księcia Tolivara i jesteście niechętnie nastawieni wobec moich planów w stosunku do niego; że obawiacie się, iż przestaniecie być mi potrzebni teraz, gdy mam dwa talizmany wzmacniające moje magiczne moce; że nie posłuchaliście moich rozkazów, choć wyraźnie zabroniłem wam dotykać czerwonej książeczki zatytułowanej „Historia wojny”. Co gorsza, kiedy dwukrotnie szukałem gwiazdnej skrzynki, zdołałem ją odnaleźć dopiero za pomocą talizmanów. I znalazłem ją tam, gdzie ktoś ją ukrył... najwidoczniej chcąc ją sobie obejrzyć cichaczem.

Słudzy wybuchnęli potokiem żarliwym zaprzeczeń i deklaracji wierności. Orogastus uciszył ich podnosząc dłonie.

— Nie potrzebuję waszych słów, gdyż ten talizman — wskazał na pozbawiony czubka miecz — umożliwi mi sprawdzenie, jak naprawdę rzeczy się mają.

Akolici wpatrzyli się w potrójną gałkę rękojeści. Zrozumieli wszystko. Krople potu wystąpiły na czołach i ogolonych głowach Żółtego i Purpurowego. Czarny Głos zbladł i wyglądał jak trup w swych żałobnych szatach.

— Niektóre grzechy można wybaczyć — ciągnął Orogastus. — Takie jak nierozważna ciekawość, małostkowość albo złośliwe pomruki — można je wyznać, a zostaną wybaczone. Są jednak inne grzechy, które tak plamią duszę, iż tylko śmierć jest odpowiednią karą za nie. Może niebiosa je wybaczą — ale nie ja! Mam na myśli przewrotną zazdrość, która mogłaby skłonić kogoś do wyrządzenia krzywdy temu, komu zazdrości, niełojalność wobec swego pana i pragnienie odebrania mu jego władzy.

Czarownik zbliżył talizman do Purpurowego Głosu.

— Oprzyj rękę na gałce i przysięgnij, że nie kryjesz w duszy żadnego z grzechów śmiertelnych, które przed chwilą wyuczyłem.

Purpurowy drżącą ręką dotknął trojga oczu. Łzy strachu popłynęły mu po policzkach.

— Ja... przysięgam — szepnął.

Ciemne powieki podniosły się i troje magicznych oczu patrzyło przez chwilę na Purpurowego akolita. Później oczy się zamknęły. Sługa zwiotczał jak przekłuty balon.

— Nie zabiły mnie! — zawołał piskliwie, a potem wybuchnął płaczem i ukrył twarz w dłoniach.

— Opanuj się, mój Purpurowy Głosie — powiedział z litością Orogastus. — Pomyślnie przeszedłeś próbę i już wkrótce zostaniesz przyjęty do potężnego Gwiezdnego Bractwa.

Akolita przełknął ślinę i przestał płakać, jakby ktoś zakręcił w nim kurek z łzami.

— A teraz ty, mój Żółty Głosie.

Krzepki sługa w szatach o barwie szafranu był odważniejszy lub cnotliwszy od swego brata. Nie zawahał się przed dotknięciem magicznych oczu. Oczy Odmieńca, człowieka i Zaginionego otworzyły się szeroko, przyjrzały mu się uważnie, a potem ponownie zamknęły. Żółty odetchnął głęboko.

— Ty również się sprawdziłeś — powiedział Orogastus. A teraz ostatnia próba.

Zbliżył talizman do Czarnego Głosu.

Przez chwilę główny akolita wahał się, patrząc głęboko w oczy swego pana. lekki grymas żalu przemknął przez jego bladą jak pergamin twarz, a potem Czarny rzekł beznamyślnie:

— Pograżyliśmy nasze życie — nawet nasze osobowości — w tobie, Panie. Służyliśmy ci ze wszystkich sił. A przecież, gdy nadszedł czas wyboru twego następcy, nie wybrałeś żadnego z nas. Chciałeś dać wszystko temu nieznośnemu bachorowi... ale nie nam, którzy tak bardzo cię kochaliśmy.

Wyzywającym gestem uderzył w rękojeść magicznego miecza. Kiedy oczy talizmanu się rozwarły, spojrzały na niego ze złością. Trysnął z nich słup niebieskobiałego światła i uderzył w środek czoła Czarnego, który bez słowa osunął się na dywan. Jego szaty pozostały nie tknięte, ale ciało spaliło się na popiół.

Orogastus odwrócił się, by dwaj ocaleli pomocnicy nie widzieli jego twarzy.

— Usuńcie te resztki i wyrzućcie je do morza. Później ty, Żółty Głosie, możesz wrócić tutaj po Potrójne Płonące Oko. Obserwuj uważnie Derorguilę, podczas gdy Purpurowy Głos nadal będzie uczył naszych żołnierzy obsługi magicznych maszyn.

— Słuchamy cię, Panie. — Oślupiali, zszokowani akolici zgarnęli szczątki swego niedawnego kolegi.

Ta gra, w którą uszczęśliwiony grał z Orogastusem, wcale nie była grą! Czarownik płynął do Derorguili! Zamierzał wraz z piratami naprawdę napaść na stolicę Labornoku. Zabić mamę, ojca, Nikiego i Jan... I użyć jego, Tola, jak marionetki. Piracka królowa Ganondri tak samo używała swego wnuka, Króla-Goblina.

— Byłem głupi — powiedział sobie Tolivar. — Ojciec miał słusność. — Bardzo chciał się rozpłakać, ale coś mu szeptało, że jeśli wyda choćby najcichszy dźwięk, albo da po sobie poznać, że podsłuchiwał, umrze równie szybko jak Czarny Głos. Dlatego wdrapał się na kozetkę, otworzył iluminator i zaczął głęboko wdychać zimne, słone powietrze. Kiedy trochę się uspokoił, usiadł z książką, którą dał mu Orogastus i zmusił się do czytania, poruszając wargami, gdy bezdźwięcznie wypowiadał każde słowo.

Godzinę później czarownik otworzył drzwi i powiedział, że czas na kolację.

— Dużo się dziś nauczyłeś? — zapytał.

— Nie tyle, ile chciałbym, Mistrzu. — Tolo uśmiechnął się nieśmiało. — Przykro mi, ale zasnąłem. Czytanie takich poważnych słów jest bardzo trudne, a nasza podniecająca gra bardzo mnie zmęczyła.

— Nieważne — powiedział łagodnie Orogastus. — Później będziesz miał dość czasu na czytanie.

Wziął chłopca za rękę i razem poszli do królewskiej mesy, gdzie czekał na Orogastusa król Ledvardis, generał Zokumonus oraz wielmoże z Raktum i Tuzamenu.

Drżący książkę Tolivar odszedł od dziurki od klucza. Skulił się w najciemniejszym kącie salonu z kciukiem w ustach. Był śmiertelnie przerażony. Czyż sam nie pragnął zawładnąć talizmanami? Czyż nie popełnił jeszcze cięższego grzechu? Och, czemu uległ pokusie?! Gdyby Mistrz pomyślał o poddaniu go próbie, talizman poraziłby go na śmierć jak Czarnego akolitę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

No! Poczuleś to teraz?

W wysokim głosie królowej Anigel wyczuwało się zmęczenie. Odruchowo sięgnęła ręką do amuletu ukrytego na piersi w fałdach grubej wełnianej szaty. Stała wraz z królem Antarem przy oknie salonu na najwyższym piętrze Zotopaniońskiej Wieży w pałacu w Derorguili. Właśnie zjedli kolację i obserwowali słabnącą aktywność na dziedzińcach w dole, kiedy wstrząs się powtórzył. Tym razem ziemia drgnęła tak mocno, że szklane naczynia na stole zabrzęczały cicho i zaczęły się kołysać wiszące, pozłacane lampy. Król ujął lodowatą dłoń swej małżonki. Mimo wielkiego ognia płonącego na kominku, w komnacie panował chłód.

— Tak, poczułem. To na pewno lekkie trzęsienie ziemi, nic groźnego, kochanie. Kiedy byłem chłopcem, ziemia trzęsła się od czasu do czasu, ale nigdy nie stało się nic złego.

— Teraz jest inaczej — upierała się królowa. W jej szafirowych oczach czaił się strach. — Coś we mnie wyczuwa straszliwą katastrofę, która wkrótce ma się wydarzyć. I nie chodzi tu tylko o Orogastusa i jego piracką flotę! To coś gorszego. Myślę, że to jeszcze jedna oznaka rosnącego zakłócenia równowagi świata, za które ja jestem odpowiedzialna.

— Uspokój się, kochanie. Nic dziwnego, że jesteś przemęczona, przecież Raktumianie lada chwila nas zaatakują.

Antar delikatnie przyłożył palec do pobladłych ust żony i wziął ją w ramiona. Ubrany był w grubo watowany skórzany strój noszony zwykle pod zbroją, gdyż planował obejść wieczorem fortyfikacje Derorguili. Twarz miał ściągniętą i podkrążone z bezsenności oczy. Przez ostatnie sześć dni oboje ciężko pracowali, odkąd Arcymagini Haramis opowiedziała im o planach Orogastusa, lecz zmęczenie nie tłumaczyło bliskiego hysterii stanu królowej i Antar bardzo się o nią niepokoił.

— Prawie dziesięć tysięcy piratów! — szepnęła Anigel, tuląc się mocniej do męża. — Może właśnie w tej chwili, pod osłoną sztormu, zbliżają się do Derorguili!

— Przecież twoja siostra Arcymagini kolejny raz zapewniła, że inwazja rozpocznie się dopiero pojutrze. Obiecała też, że pomoże nam zwalczyć czary Orogastusa. Chodzi o to, żeby walka toczyła się wyłącznie pomiędzy ludźmi i bez udziału magii.

— Haramis obiecuje nam pomoc, ale nie mówi, jak to zrobi! Czemu nie chciała sprecyzować natury swoich nowych mocy? Kiedy błagałam ją, żeby zniszczyła piracką flotę, powiedziała, że to się nie uda! Poinformowałam ją, że tylko cztery tysiące doświadczonych wojowników odpowiedziało na nasze wezwanie do broni, a ona mówi, że nie jest w stanie przetransportować czarami do Derorguili powracających z Varu ruwendiańskich oddziałów...

— Anigel, jeżeli pan Osorkon i jego armia pozostanie lojalna, na co liczę, sami będziemy mieli dość sił, by zmusić wroga do odwrotu, nawet jeśli przewyższa nas liczebnie. Fortyfikacje Derorguili są mocne. Raktum pięciokrotnie atakowało nas bez powodzenia przez ostatnie sto lat. Nawet jeśli blokada Cieśniny Dera zawiedzie, nasze bombardy na ufortyfikowanych wzgórzach po obu stronach wejścia do zatoki nie pozwolą najeźdźcom wyjść na brzeg. A co do natury pomocy, jakiej mogłaby udzielić nam Biała Dama — zmuszeni jesteśmy tylko czekać. Powiedziała, że przybędzie do nas tak szybko, jak zdoła. A do tego czasu pozostaje nam poczynić wszystkie możliwe przygotowania do obrony i modlić się do Trójjedynego i Władców Powietrza. — Ujął w dłonie twarz Anigel. — Módl się, najdroższa. Módl się także, bym nie stracił odwagi i sił.

— Przepraszam — szepnęła królowa, obejmując go mocno. — Jakaż jestem głupia, utrudniam ci tylko zadanie swymi chorobliwymi majakami.

— Kocham cię. Pamiętaj o tym. — Pocałował ją.

Nadal padał ulewny deszcz i od czasu do czasu grudki lodu bębniły o szyby. Deszcz ze śniegiem i gradem w miejsca położonym tak daleko na południu — a w dodatku podczas Pory

Suchej! Król powstrzymał dreszcz przerażenia. Dziwne przeczucia Anigel o grożącej całemu światu katastrofie mogą okazać się prawdziwe...

W spowitym lodowatą mgłą mieście było ciemno jak w nocy, choć słońce dopiero co zaszło. Palily się już lampy na ulicach i ogień straży na parapetach królewskiego pałacu, dołączając dym do wiszących nad miastem wyziewów. Derorguila, największe i najbogatsze miasto Półwyspu, znajdowała się w ostatnim stadium przygotowań do odparcia raktumiańskiej inwazji. Otoczenie pałacu roilo się od nowo przybyłych żołnierzy, rycerzy dosiadających froniali bojowych i szwadronów gwardzistów. Kilka spóźnionych wozów wyładowanych prowiantem, drzewem i amunicją do katapult wjechało na królewską promenadę. Wymachujący pochodniami oficerowie utrzymywali wozy w ruchu i pilnowali porządku wśród rzednących strumieni powozów i pieszych. Większość cywilów, którym polecono opuścić stolicę, zrobiła już to. W położonych w pobliżu pałacu królewskiego rezydencjach, których właściciele nie opuścili w panice, służba właśnie zamykała okiennice na niższych kondygnacjach.

Niebo nad przystanią płonęło szkarłatem od wielkich ogni rozpalonych wzdłuż basenów portowych. Większe okręty z laboruwendiańskiej floty już dawno wypłynęły na morze, by stawić czoło pirackiej armadzie, gdy ta w końcu zbliży się do brzegu. Teraz mniejsze jednostki, które połączone łańcuchami miały zablokować wejście do zatoki, brały na pokład ludzi oraz prowiant, szykując się do odpłynięcia na wyznaczone pozycje. Wiatr zawył i deszcz ze śniegiem zabębnił o szyby niczym garść żwiru.

— Ta przekłeta pogoda! — Anigel mocniej otuliła się grubym szalem. — Nasi wojownicy nie są odpowiednio wyposażeni do walki w takim chłdzie, a mieszkańcy, którzy uciekli na wieś, bardzo ucierpią, jeśli oblężenie miasta się przedłuży.

— Jeżeli Osorkon i inni wielmoże z prowincji zachowają się lojalnie, jest nadzieja na zwycięstwo. Mogą zgromadzić co najmniej trzy tysiące ludzi, a tego wystarczy do skutecznej obrony. Zła pogoda bardziej się da we znaki naszym wrogom niż nam.

— Jesteś pewien, że Osorkon przybędzie z odsieczą? — powiedziała z powątpiewaniem królowa. — Zapewniał wprawdzie o swojej lojalności i zaprzeczał, iżby spiskował wraz ze swoją siostrą Szarice. Jednakże i on, i jego zwolennicy zawsze byli przeciwni obecności Ruwendian w rządzie Dwu Tronów.

— Osorkon na pewno się zjawi — upierał się król. — Zaledwie kilka godzin temu przybył posłaniec z Kritamy z wieścią, że jego oddziały są w drodze. Musieli wyruszyć wcześniej, zanim burze uniemożliwiły przejście przez góry w zachodnich prowincjach.

— Gdybym tylko miała swój talizman! — westchnęła Anigel. — Odnalazłabym wtedy Osorkona i dowiedziała się, czy rzeczywiście przyłączył się do wrogów, jak twierdzą Owanon i Lampiar... Talizman umożliwiłby mi też potwierdzenie lub odrzucenie pewnych niepokojących pogłosek, które pani Ellinis usłyszała dzisiaj od jakiegoś woźnicy.

— Jakich pogłosek?

Anigel zawahała się z odpowiedzią i król zorientował się, że dręczą ją złe przeczucia.

— Mówi się, że Odmieńcy przybyli ze swoich odległych dolin daleko na zachodzie, skąd wypędziły ich te niespotykane chłody. Powiedzieli wieśniakom, że Zwycięski Lód znów atakuje i że pochłonie świat, jeśli równowaga nie zostanie przywrócona...

— Bzdura! — prychnął szyderczo Antar. — Te straszne burze to na pewno sprawa czarnoksiężnika. Posługuje się pogodą jak bronią. Już dawno temu chełpi się, że rządzi burzami. Nie może jednak przedłużać tej zabawy, bo narazi na niebezpieczeństwo swój własny lud... Wielki Zoto!

Masywne kamienne mury pałacu znów zadrżały. Tym razem wstrząs był tak silny, że kłęb sadzy wypadł z komina i omal nie zgasił ognia. Dwie szybki w oknie pękły, a królewska zbroja, która leżała na kufrze gotowa do włożenia, spadła ze szczękiem na posadzkę. Anigel ukryła twarz na piersi męża; nie krzyczała, choć budynek nadal się trząsał.

Wreszcie zapanował spokój.

— Skończyło się — powiedział król. — Powinniśmy zrobić szybką inspekcję...

Ktoś zaczął walić do drzwi.

— Wejść! — zawołał Antar.

Na progu stał szambelan, pan Penapat. Jego okrągła twarz była blada jak płótno. Tuż za nim tłoczyły się trzy postacie w płaszczach i kapturach.

— Wasza... Wasza Królewska Mość, te wielkie damy i ich towarzysze proszą o audiencję obie Wasze Królewskie Mości. Dopiero co przybyli...

Kobieta w białym płaszczu minęła szambelana i weszła do komnaty.

— Nie oczekiwaliśmy jednak, że powita nas trzęsienie ziemi.

— Hara! — zawołała radośnie królowa Anigel, rozpoznawszy swoją siostrę. — Dzięki Bogu! I naprawdę tu jesteś, to nie twój wizerunek! To cudowne! — Objęły się mocno. — Czy przyleciałeś tutaj na lammergeierze?

— Nie. Mój talizman może teraz zabrać mnie w każde miejsce na świecie, razem z tymi, których dotykam. — Kadiya i Jagun również weszli do środka. Anigel patrzyła na nich ze zdumieniem.

— Ich mogłaś przenieść tutaj, a nie potrafisz dostarczyć do Derorguili posiłków z Ruwendy?

— Niestety, nie zdołam przenieść tylu żołnierzy, ilu naprawdę potrzebujecie — wyjaśniła Arcymagini. — Zresztą ruwendiańscy żołnierze są bardzo zmęczeni, wielu dopiero wraca do zdrowia z ran, jakie odnieśli w Varze. Uznałam, że będzie lepiej, jeśli użyję mojej magii w bardziej wydajny sposób.

— Opowiedz nam, jak... Och, Boże! To znów się dzieje! Pałac ponownie zadrżał, lecz tym razem lekko. Haramis uniosła swój talizman, wymruczała coś, czego nikt nie mógł dosłyszeć, a potem rzekła:

— Zbadałam ziemię pod Derorguilą. W najbliższym czasie nie grożą wam silne wstrząsy.

— Musimy uspokoić naszych ludzi — zdecydował król. — Penapacie, idź zaraz i rozgłoś, że Arcymagini jest tutaj i nas obroni...

— Nie! — zakrzyknęła Haramis. — Nikt nie może wiedzieć, że tu jestem! Musicie uważać, by mnie nie zdradzić. Orogastus bez przerwy was szpieguje za pomocą talizmanów. Moja pomoc okaże się najbardziej skuteczna, jeśli nie będzie miał pojęcia, gdzie się znajduję ani co zamierzam.

— Czy nie możemy dodać ludziom otuchy? Boją się dalszych wstrząsów — zaproponował Antar.

Haramis zastanawiała się chwilę, a potem jej twarz się rozjaśniła.

— Panie Penapacie, idź do uczonego Lampiara. Niech ogłosi, iż jego geometryści ustalili, że wstrząsy ustały i już się nie powtórzą. Bacz jednak, byś nie wspomniał ani o mnie, ani o pani Kadiyi czy Jagunie.

Szambelan uklonił się i wyszedł zamykając za sobą drzwi. Do Anigel zbliżyła się Kadiya z wyciągniętymi rękami i nieśmiałym uśmiechem. Twarz królowej natychmiast zastygła. Anigel skinęła lekko głową na powitanie, a potem odwróciła się plecami do Pani Czarodziejskich Oczu i zapytała Arcymaginię:

— Jakie masz nowiny o Orogastusie i raktumiańskich piratach? Czy nadal zamierzają zaatakować Derorguilę za dwa dni?

— Raktumiańska flota będzie to za jakieś trzy godziny — odparła Haramis. — Czają się na otwartym morzu, ukryci w gęstej mgłę. Czekają z atakiem tylko na rozkaz czarownika. Podglądając ich co jakiś czas usłyszałam, że nadal mają zamiar uderzyć pojutrze. Chodzi bowiem o nauczenie wojowników obsługi niezwyklej broni, którą dostarczył Orogastus.

— A co z Osorkonem i jego zwolennikami? — spytał nagłym tonem król. — Śpieszą na pomoc Derorguili, tak jak obiecali, czy planują zdradę?

— Mogę ich odnaleźć — odparła Arcymagini, marszcząc brwi — nie potrafię jednak odczytać tego, co kryje się w ich sercach. Możliwe, że obserwując Osorkona i jego ludzi, odgadnę ich zamiary, gdyż czymś się zdradzą. Dajcie mi chwilę na ich lokalizację...

Antar i Anigel czekali z niepokojem. Haramis znów chwyciła talizman, a jej twarz znieruchomiała. Stała jak skamieniała długi czas, a kiedy trans się przedłużał, Kadiya odważyła się zapytać:

— Rozumiem twoją niechęć, Anigel. Zachowałam się bardzo źle w stosunku do ciebie. Nie miałam prawa wyrzucać ci dania okupu za męża i dzieci. Decyzja należała do ciebie. Ja naprawdę z całego serca żałuję tego, co zrobiłam, i proszę i o wybaczenie.

— Wybaczam ci — odpowiedziała zimno królowa. Nie szła jednak do siostry.

— Chętnie ci pomogę, w miarę moich możliwości, w obronie twego kraju — dodała Kadiya.

— Jeszcze jeden żołnierz nie na wiele się przyda, gdy Raktum i Orogastus zaatakują nas przeważającymi siłami — rzekła Anigel. — Jeśli jednak mój mąż pozwoli ci przyłączyć do obrońców Derorguili, nie będę się temu sprzeciwiać. — Odwróciła się i pochyliła po leżącą na podłodze zbroję Antara. Jagun, nie chcąc zwracać na siebie uwagi, podkradł się do kominka i zaczął porządkować palenisko, podsycając przy sposobności ogień.

— Przykro mi, że moje przeprosiny nie mogą zasypać przepaści, jaka nas dzieli — powiedziała cicho, gorąco Kadiya. — Jeżeli moja obecność budzi twój gniew, poproszę Harę, przeniosła mnie gdzie indziej. Przysięgam jednak, iż oddałabym życie za ciebie i twoje dzieci.

— Dziękuję ci, ale to nie będzie konieczne. Ponieważ już od dawna związałaś swój los z Odmieńcami, zrobisz lepiej, jeśli; do nich powrócisz. Jeżeli bowiem pewne pogłoski, które do nas dotarły są prawdziwe, będą oni wkrótce bardzo potrzebowali twojej pomocy.

— O co ci chodzi? — zawołała Kadiya.

Anigel odwróciła się błyskawicznie, trzymając w dłoniach stalową rękawicę. Łzy popłynęły jej z oczu.

— Jesteśmy zgubieni — o to mi chodzi! Zarówno ludzie, jak i Odmieńcy. Nie mówię o napaści na nasze miasto i o upadku Dwu Tronów, ale o zagładzie całego świata! I to wszystko moja wina i twoja, gdyż pozwoliłyśmy, by nasze talizmany wpadły w ręce tego przeklętnika Orogastusa!

— Czy ona oszalała? — zapytała Antara przerażona Kadiya. — Przecież to nie może być prawdą! — Podniosła bursztynowy amulet, który nosiła na szyi. — Ani, najdroższa siostrze, spójrz! Mój kwiatek znów stał się czarny, tak jak być powinno. To jest znak pomyślności, a nie zbliżającej się zagłady.

Łzy nadal płynęły po policzkach królowej, która odłożyła rękawicę i wyjęła zza pazuchy swój amulet. Szkarłatne trillium zapłonęło jak krwawa plama na jej piersi.

— Możliwe, że się myliłam co do losu Odmieńców i może to tylko ludzkość zginie, kiedy Zwycięski Lód pokryje nasz biedny świat! — Anigel wskazała ręką na okno. — Słyszysz stuk deszczu ze śniegiem o szyby i wycie lodowatego wiatru? Taka pogoda jest naturalna wysoko w górach i na pomocy Tuzamenu, ale za ludzkiej pamięci podobnej aury nie było w Labor—noku. Świat wywrócił się do góry nogami z powodu naszych przeklętych talizmanów! Ani ty, ani ja nigdy nie umiałyśmy ich kontrolować. Jestem przekonana, że Orogastus też tego nie potrafi. Zsyła na nas Bóg wie co, a trzęsienia ziemi i ta straszna pogoda są tylko zapowiedzią zbliżającego się wielkiego kataklizmu! Niech Haramis temu zaprzeczy, jeśli potrafi! Antar i Kadiya popatrzyli na Arcymaginię, która wciąż była pogrążona w transie.

— Co ona ma na myśli mówiąc o Zwycięskim Lodzie? — spytała króla Kadiya.

— To tylko pogłoski, pogłoski o Odmieńcach uciekających ze swoich dolin. — Antar podniósł ręce do góry. — Ale kto wie, może to prawda? Lampiar, nasz największy uczonec, twierdzi, że w czasach historycznych w naszym kraju nigdy tak długo nie trwała taka okropna pogoda. Została już zniszczona prawie trzecia część labornockich płonów. Rzeki zalały pola,

które nie zdążyły zamarznąć, a zboże, które jeszcze pozostało, jest zagrożone. Jakie to ma znaczenie, czy te klęski są nadprzyrodzone, czy nie? Nawet gdybyśmy nie musieli walczyć z najazdem, naszemu krajowi grozi ruina.

— Znalazłam Osorkona — powiedziała nagle Arcymagini. Antar i Kadiya odwrócili się ku niej z nową nadzieją i nawet królowa podniosła zasmuconą twarz. — Obozuje z armią liczącą około trzech tysięcy żołnierzy. Są w Lesie Atakum, oddalonym o szesnaście mil na południowy zachód stąd.

— To cudownie! — zawołał król. — Z łatwością dotrą tu jutro!

— Obawiam się, że nie — odparła Arcymagini. — Siedzą w Lesie Atakum co najmniej od dwóch dni i nic nie wskazuje na ich gotowość do wymarszu. Zrobiłam szybki przegląd obozowiska, nie mogłam więc zdobyć żadnej konkretnej informacji o planach Osorkona... Mam tylko pewność, że jego armia nie ruszy się z miejsca do chwili, póki raktumiańscy najeźdźcy nie wylądują w Derorguili i na dobre rozgorzeje walka. Dopiero wtedy Osorkon wyruszy do stolicy.

— Na zęby Zota! — jęknął Antar. — Więc on rzeczywiście zdradził! I nie tylko Dwa Trony, swoich pirackich sojuszników także. Pewnie zamierza się trzymać z daleka, aż nasi obrońcy i Raktumianie zdziesiątkują się wzajemnie. Dopiero wtedy spróbuje opanować miasto.

— A to zdradziecki wypierdek qubara! — zawołała Kadiya.

— Biała Damo — król Antar zwrócił się do Arcymagini — wygląda teraz na to, że ty i twoja magia jesteście naszą jedyną nadzieją. Z czterema tysiącami wojowników nie obronimy Derorguili przed atakiem z lądu i morza.

— Jestem sama i niezbyt znam się na strategii — odparła Haramis. — Na pewno spróbuję wam pomóc najlepiej, jak potrafię, ale Orogastus równie dobrze może unieszkodliwić moje czary swymi własnymi mocami... Oprócz tego nie wolno mi rozmyślnie spowodować śmierci najeźdźców. Byłoby to bowiem sprzeczne z prawami mojej funkcji. Mam być opiekunką i strażniczką wszystkich, którzy zamieszkują tę ziemię, obojętne, do jakiego narodu czy rasy należą.

— Ty... ty nie użyłabyś swojej magii do zabicia tych przeklętych agresorów?! — zawołała z oburzeniem królowa Anigel.

— Nie — odrzekła Arcymagini. — Nawet po to, by ocalić wasze państwo.

— Haro, ale jeśli Ani ma rację i sam świat jest zagrożony? To co wtedy? — wtrąciła spokojnie Kadiya. — Nie zabiłabyś Orogastusa, by ocalić nasz świat przed zagładą?

— To sporna sprawa. — Haramis opuściła oczy. — Jeżeli zdołam zniweczyć jego czary, nie będę musiała zabijać Orogastusa. Jest... pewne miejsce, w którym można bezpiecznie go uwięzić.

— Jeśli on najpierw ciebie nie zniszczy! — zawołała Anigel. — Jeśli nie zniszczy świata!

— Orogastus nie rozumie śmiertelnego niebezpieczeństwa nierozzerwalnie związanego z Berłem Mocy. Nawet ja nie rozumiem tego do końca. Będę musiała się naradzić z moją przyjaciółką, Arcymaginią Morza, żeby znaleźć najlepszy sposób na naprawę zakłóceń w naturalnym porządku rzeczy.

— Lepiej zrób to szybko — krzyknęła Anigel — zanim piraci zrównają Derorguile z ziemią, a Orogastus ściągnie nam na głowy Trzy Księżycy!

— Ani... jak możesz tak mówić? — spytała Kadiya zdumiona gorczą brzmącą w głosie królowej.

— Uspokój się żono, uspokój! — Król był wstrząśnięty reakcją żony. — Twoje siostry przybyły tutaj, gdyż chcą nam pomóc. Nie możesz okazać im wdzięczności zamiast obsypywać niezasłużonymi wyrzutami?

Anigel powiodła dzikim wzrokiem od Haramis do Kadiyi, a potem wybuchnęła głośnym płaczem. Całe jej ciało dygotało z bólu i rozpacz.

Arcymagini objęła królową. Przytuliła ją do siebie, szepcząc słowa pociechy, jak to robiła lata temu, kiedy wszystkie trzy były jeszcze młodziankami księżniczkami, a ona sama była najstarsza i najrozsądniejsza, Anigel zaś najmłodsza i najbardziej nieśmiała. Kadiya przysunęła krzesło. Anigel osunęła się na nie i powoli zaczęła przychodzić do siebie.

— Zachowuję się jak idiotka — szepnęła. — Jak dziecko, a nie monarchini, władczyni Dwu Tronów. Odkąd moje trillium zmieniło barwę na szkarłatną, dręcą mnie nocne koszmary i złe przecucia. Całkiem straciłam odwagę i widzę przed sobą tylko mrok.

— Gdybyś odzyskała swój Czarny Kwiat — odparła Kadiya — twoja dusza również by wyzdrowiała.

— Nie wątpię w to — powiedziała niespokojnie królowa. — Ponieważ twoje trillium wróciło do ciebie, może byś mi powiedziała, jak ci się to udało.

— Wiem tylko, że kiedy wyrzekłam się nienawiści i pogardy, jaką do ciebie żywiłam, i doszłam do wniosku, że mój Lud słusznie odrzucił wezwanie do wojny z ludźmi, krwawe trillium zmieniło barwę.

— Mówiłam ci już, że przyjmuję twoje przeprosiny — rzuciła Anigel. — Sama widziałas, iż to w niczym nie zmieniło mojego amuletu.

— Widziałam i serce mi zamarło — odrzekła Kadiya. — Ale tylko ty znasz lekarstwo na tę chorobę, siostrzyczko. — Pani Czarodziejskich Oczu odwróciła wzrok od królowej i zwróciła się do króla: — Pozwolisz mi odejść, szwagrze, czy też mogę ci się na coś przydać?

Antar stał dotąd w milczeniu, bezsilny wobec cierpienia swej małżonki. Teraz jednak zmarszczył czoło w zamyśleniu i nowy błysk stanowczości pojawił się w jego oczach.

— Pozwól, że zamiast odpowiedzieć na to pytanie, przedstawię ci pomysł, który właśnie przyszedł mi do głowy. Sposób, który mógłby zneutralizować zdradzieckiego Osorkona. To zuchwały i niebezpieczny plan, może nawet się nie udać. Wszystkie trzy pomożecie mi podjąć decyzję.

Haramis i Kadiya z powagą skinęły głowami. Anigel jakby skurczyła się w krześle, ogarnięta nowym lękiem. Nic jednak nie powiedziała.

— Nie wierzę, że prowincjonalni wielmoże, którzy poszli za Osorkonem, są mu oddani bez reszty — zaczął król. — Gdybyśmy dzisiaj nocy zrobili wypad do Lasu Atakum z małym oddziałkiem moich najdzielniejszych rycerzy, gdybym wyzwiał Osorkona na pojedynek i go zwyciężył, jestem pewny, iż jego zwolennicy przeszliby na stronę Dwu Tronów. Obiecałbym im amnestię. Jest ich prawie trzy tysiące. Dysponując tą siłą, mielibyśmy przynajmniej minimalną szansę na wyparcie piratów z naszego kraju... bez względu na dalsze losy świata.

— Nie! — zawołała królowa. — Osorkon to pozbawiony skrupułów łajdak! Zabije cię, zanim zdążysz rzucić mu wyzwanie.

Antar pochylił głowę przed Arcymaginią.

— Nie stanie się tak, jeśli Biała Dama swymi czarami pomoże nam niepostrzeżenie przeniknąć do obozu zdrajców. Gdyby uczyniła nas niewidzialnymi, lub ukryła w jakiś inny sposób, żeby nikt nas nie zatrzymał, póki nie dotrę do Osorkona, mój plan mógłby się powieść. Osorkon nie będzie w stanie odrzucić mojego wyzwania, nie okrywszy się hańbą w obliczu swojej armii

— To wspaniały pomysł, Antarze! — pochwaliła go Kadiya. — Pozwól mi pójść ze sobą.

— Twój plan wydaje się sensowny. — Haramis skinęła głową. — Mogę obserwować armię Osorkona, uprzedzając cię o jego ruchach i zamiarach, gdy będziesz się zbliżał do jego obozu. Mogę cię też osłonić przed magicznym wzrokiem Orogastusa, który na pewno ostrzegłby zdrajcę, gdyby dostrzegł was w drodze.

— Zrobiłby coś więcej! — zawołała królowa Anigel. — Natychmiast rozpocząłby inwazję! A ty, mój mężu, pozostałbyś odcięty z dala od Derorguili. Naszym oddziałom znów zabraknie dowódcy, a cóż ja mogę im powiedzieć?! Że wyruszyłeś po posiłki?!

— Ale Hara zostałaby tutaj, by pomóc w obronie miasta...

— Nie — stwierdziła smutno Arcymagini. — Musiałabym towarzyszyć Antarowi, żeby skutecznie go chronić. Mogłabym osłonić go przed magicznym wzrokiem Orogastusa tylko wtedy, gdyby zrobiła to osobiście, posługując się moim Trójskrzydłym Kręgiem.

— Tym gorzej dla mojego pomysłu — jęknął król. — Marszałek Owanon prawdopodobnie zdołałby zachować kontrolę nad armią podczas mojej nieobecności, nie mogę wszakże zostawić Anigel i dzieci na łaskę i niełaskę Orogastusa.

Królowa zerwała się z krzesła. Jej oczy świeciły nowym blaskiem i rumieniec różowił blade policzki.

— Znam rozwiązanie tego problemu. Niki, Jan i ja pojedziemy z tobą!

— Na Boga, nie! — zawołał król. — Nie mogę narażać waszego życia!

— To już się stało — oświadczyła Anigel. — Bez posiłków nie utrzymamy Derorguili. Nie trać czasu na rozmyślenia o naszym losie, najdroższy! Las Atakum znajduje się przecież w odległości dwóch godzin jazdy od stolicy. Do obozu Osorkona wyjedziemy zaraz. Przybędziemy, zanim jego ludzie udadzą się na spoczynek. Muszą być świadkami, jak rzucasz wyzwanie zdrajcy i go zwyciężasz. Jeżeli tego nie zrobimy, będziemy musieli czekać na atak Orogastusa i labornockich zdrajców, którzy zmiażdżą nas jak skorupę orzecha. A gdy wrogowie zwrócą przeciwko nam magię oraz siłę oręża, na pewno wezmą do niewoli mnie i dzieci.

— Niech twoja siostra przeniesie was w bezpieczne miejsce, kiedy ja wyzwę Osorkona na pojedynek! — wykrzyknął Antar.

— Opuszczę Derorguile tylko z tobą — stwierdziła Anigel. — Oboje jesteśmy władcami Laboruwendy. To my jesteśmy Dwoma Tronami.

— Ona ma rację — wtrąciła z powagą Kadiya. — Nie możesz myśleć o swojej królowej jak o zwykłej żonie, ani o następcy tronu i jego siostrze jak o zwykłych dzieciach.

— Nie myślę tak — odrzekł Antar. — Ale jeśli Osorkon zwycięży w pojedynku...

— Nie zwycięży! — Anigel podbiegła do męża i zarzuciła mu j rękę na szyję.

— Muszę wam towarzyszyć — oświadczyła Arcymagini. — To nie podlega dyskusji. Jeśli Anigel i dzieci również pojedą — i oczywiście Kadiya! — będę mogła ochronić was wszystkich. Zresztą Orogastus odkryje nasze zamiary dopiero wtedy, gdy Osorkon zostanie zabity, a jego armia pomaszeruje do Derorguili. Pamiętajcie jednak, że Orogastus uderzy natychmiast, gdy zorientuje się, co się stało.

— A potem? — spytał król.

Jasnoniebieskie oczy Arcymagini Łądu stały się chłodne jak odłamki Zwycięskiego Lodu. Haramis otuliła się szczelniej swym połyskliwym białym płaszczem, oznaką swego urzędu. Obecni cofnęli się na widok niezwykłej aury, która na chwilę otoczyła jej ciało. Po chwili jednak zobaczyli znów tylko najstarszą z trzech sióstr, która z posępnym uśmiechem powiedziała:

— Odeprę atak Orogastusa wszystkimi siłami umysłu i ciała. Mogę wszakże za każdym razem rzucić tylko jeden czar, nie jestem też strategiem. Będzie nam groziło straszne niebezpieczeństwo — mnie tak samo jak wam. Jeżeli trafi mnie zbłąkana strzała lub ktoś niepostrzeżenie przebije mnie mieczem, nie zdołam kontrolować mojej magii, a mogę nawet zginąć.

— A twój talizman... — zaczęła Kadiya.

— Nikt nie mógłby go podnieść i posłużyć się nim, gdyż natychmiast zostałby porażony jego mocą — wyjaśniła Arcymagini. — Dostałby się w ręce Orogastusa, który natychmiast złączyłby go ze sobą za pomocą gwiazdnej skrzynki.

Antar zbladł jak płótno.

— Nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji mojej propozycji. Zapomnijmy o tym planie. Pomóż nam ocalić Derorguile, Arcymagini, ale nie narażaj się na niebezpieczeństwo.

— Już zdecydowałam, co zrobię — odparła Haramis.

— Ruszamy zatem w drogę — powiedziała dziarsko Anigel. — Musimy być gotowi za godzinę. Antarze, zwołaj rycerzy z naszej eskorty. Zabierzmy też Doroka Szikiego, ponieważ lepiej od nas znosi chłód.

— Jagun również może okazać się przydatny — dodała Kadiya. — A ja ci pomogę w przygotowaniu dzieci do podróży.

— To nie będzie konieczne. — Królowa zeszywniała i zapal znikł z jej twarzy.

— Jakże cieszyłbym się, Anigel, gdybyś naprawdę pogodziła się z siostrą przed naszym wyjazdem na tę niebezpieczną wyprawę — powiedział Antar.

— Już mówiłam, że jej przebaczyłam! Czego jeszcze po mnie oczekujecie?

— Ani — przemówiła nagłym tonem Arcymagini. — Czy pokażesz mi swój bursztyn z kwiatem trillium?

Anigel zacisnęła usta i wyjęła zza pazuchy amulet zawieszony na złotym łańcuszku.

— Patrz! Jesteś zadowolona? — powiedziała z przekąsem. Magiczny kwiat wyglądał jak krwawa plama w dłoni królowej. Kiedy pozostali bez słowa wpatrzyli się w amulet, Anigel ponownie ukryła go pod suknią. — Najpierw muszę znaleźć Szikiego i dopiero potem zajmę się dziećmi. Antarze, zabierz ze sobą Harę. Niech ukryje przed magicznym wzrokiem czarnoksiężnika i jego sług twoją rozmowę z rycerzami, a potem nasze przygotowania do podróży. Dołączę do was za pół godziny.

Wyszła pośpiesznie z komnaty. Wszelkie oznaki jej wcześniejszego złego samopoczucia zniknęły bez śladu.

— Może jednak powinieneś mnie odesłać — rzekła Kadiya. — To oczywiste, że Ani ma do mnie urazę.

Haramis tymczasem podeszła do okna i spojrzała na roztaczający się przed nią ponury widok.

— Nie. Razem musimy stawić czoło temu kryzysowi. Jestem tego tak pewna, jak nie jestem pewna niczego innego — powiedziała.

— Biała Damo — odezwał się z wahaniem Antar. — Czy obawy mojej żony przed grożącą światu katastrofą to prawda czy urojenia?

— To prawda — przyznała Arcymagini.

— Tego właśnie się obawiałem. — Antar wyprostował się na całą swą wysokość. — No cóż, ja zajmę się ratowaniem mojego małego kraju. Ty jesteś odpowiedzialna za ocalenie świata od zagłady. Biała Damo, Jagunie, idziemy do sali rady.

Wyszli na korytarz. Na dworze wiatr dał coraz silniej rozrywać mgłę na strzępy, a gęste płatki śniegu opadały zamiast deszczu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Przez boczną bramę pałacu w białą od śniegu noc, przez ulice pokryte już grubą na trzy palce śnieżną pokrywą. Ozdobne drzewa i krzewy na placach i bulwarach wyglądały żałośnie: liście i kwiaty zwarzyły się i zamarzły, a gałęzie smętnie ugięły się pod iskrzącym się niezwykle okryciem. Obrońcy miasta zajęli już swoje stanowiska na fortyfikacjach, a wozy z prowiantem dawno odjechały. W szalejącej śnieżycy Derorguila sprawiała wrażenie niemal całkowicie opustoszałej. Budynek były ciemne, okiennice zamknięte. Dymiący tu i ówdzie komin świadczył, że jakiś uparty mieszkaniec nie opuścił swego domostwa. Jechali na wysokich froniałach, dumnie unoszących rosochate rogi. Na przedzie podążała Arcymagini z królem Antarem, który trzymał wodze wierzchowca swej szwagierki, żeby nic jej nie przeszkadzało w rzucaniu czarów. Za nimi trzech krzepcy synowie pani Ellinis: Marin, Blordo i Kulbrandis oraz Kadiya, dalej królowa Anigel oraz królewskie dzieci na jednym rumaku, po oczy zakutane w futra. Jagun i Sziki niezręcznie kulili się na wielkich zwierzętach, obarczonych dodatkowo sakwami z prowiantem. Eskorcje złożonej z sześciu dzielnych rycerzy przewodzili dwaj szlachcice o nieposzlakowanej lojalności: Gultreyn, hrabia Pok z Ruwendy, i pan Balanikar z Rokmiluny, ukochany kuzyn Antara.

Król, Kadiya i jedenastu rycerzy przywdziali hełmy i lekkie pancerze o rękawach z kolczy, ponieważ musieli włożyć pod nie ciepłą odzież. Uzbroili się w długie miecze i lance. Obaj Odmieńcy mieli kusze i noże. Nawet Nikalon i Jan otrzymali sztylety, by móc się bronić w razie potrzeby.

Kiedy orszak jechał opustoszałymi ulicami stolicy Laboruwendy, froniałe nie pozostawiały śladów na śniegu, nie rzucały też cieni, gdy mijały świecące migotliwym blaskiem latarnie. Arcymagini bez większego trudu okryła wszystkich magiczną osłoną i każdy, kto jechał na wyciągnięcie ręki od niej, był niewidoczny dla obcego, czarodziejskiego nawet wzroku. Na początku podróży Haramis zapewniła Antara i Anigel, że jest wystarczająco silna, by jednocześnie obserwować Osorkona i Orogastusa. Kiedy ich nie podglądała, rzucała od czasu do czasu inne czary ułatwiające drogę władcom Laboruwendy. Niestety, w tych warunkach nie była w stanie osłonić swych towarzyszy przed zimnem i śniegiem. Talizman ogrzewał tylko Haramis, pozostali podróżni ze stoickim spokojem kulili się w siodłach bez słowa skargi. Wreszcie dotarli do Wielkiej Południowej Bramy Derorguili. Brama była zamknięta, a jej wieże obsadzone żołnierzami. Ogniska płonęły nad wrotami i wzdłuż murów obronnych, a pod uderzeniami wiatru płomienie gięły się ku ziemi.

— Każę otworzyć bramę — powiedział Antar do Haramis.

— Lepiej nie — Arcymagini potrząsnęła głową. — Orogastus mógłby zauważyć nawet to. Gdyby on lub któryś z jego sług zobaczył, że wrota się otwierają, a nikt przez nie nie przejeżdża, od razu powziąłby podejrzenie, iż to czary. Nie, zrobię coś innego, lepszego.

Kiedy nieświadomi niczego wartownicy zajmowali się swoimi sprawami, jeźdźcy zatrzymali się przed bramą. Haramis samotnie podjechała do masywnej zapory i dotknęła jej talizmanem. Wszystkim wydało się, że grube belki i żelazne okucia zamieniły się w szkło. Antar i jego towarzysze nie mogli powstrzymać okrzyku zdumienia, gdy poprzez przezroczystą teraz bramę dostrzegli biegnącą w dal ciemną drogę.

— Ruszajcie! — rozkazała Haramis i weszła w przejrzystą bramę jak nóż w wodę. Zdumieni i zaleknieni podróżni pojechali za nią. Gdy wszyscy znaleźli się poza murami miasta, Wielka Południowa Brama odzyskała swą dawną masywność i nieprzenikalność.

— Biała Damo, wiedzieliśmy, że jesteś wielką czarodziejką, ale nigdy nie słyszeliśmy o czymś takim! — wykrzyknął hrabia Gultreyn.

— Ja też nie — odparła spokojnie Arcymagini. — Nie miałam pewności, czy to się uda. Dopiero niedawno osiągnęłam nowe magiczne umiejętności, hrabio Gultreynie, i

podejrzewam, że nas wszystkich czeka jeszcze wiele niespodzianek. Oby tylko były dla nas korzystne.

Noc była bardzo ciemna. Niebo nad ich głowami zachowało słaby szarawy blask, to jednak w niczym nie mogło pomóc smaganym wichurą podróżnym. Sziki wyciągnął pęki lin, które doradził zabrać pozostałym. Związano nimi froniale w dwa szeregi, tak by żaden się nie odłączył. Początkowo wierzchowce biegly żwawo, ale zwolniły bieg, gdy śnieg stał się głębszy. Okazało się, że wyprawa potrwa dłużej niż początkowo sądzili.

Nie spotkali nikogo na drodze. Wydawało się, że mieszkańcy wioski położonych w bezpośrednim otoczeniu stolicy uciekli w popłochu. Po przejechaniu jakichś trzech mil jeźdźcy skręcili w boczną drogę biegnącą wśród rozrzuconych niewielkich zagród. Choć znajdowały się w odległości rzutu kamieniem, poprzez śnieżną zasłonę dostrzegali jedynie słaby blask bijący z okien.

Arcymagini prowadziła ich pewnie przez otulony mrokiem świat. I chociaż siedziała pogrążona w transie, kierowany jej myślami wierzchowiec mknął do przodu. Najwyraźniej nie zwracał uwagi na zadymkę, wydychał z nozdrzy wielkie kłęby pary i podrzutami głowy strząsał śnieg z oczu.

Po godzinie księżniczka Janeel zasnęła i niewiele brakowało, a zsunęłaby się ze swego miejsca za równie sennym Nikalonem. Na szczęście Sziki dostrzegł, co się dzieje, podjechał bliżej i złapał księżniczkę, zanim spadła na zmarzniętą ziemię. Królowa Anigel poleciła przywiązać oboje do siodła. Kiedy znów ruszyli dalej, Antar powiedział do Haramis:

— Nawałnica robi się coraz silniejsza. Jakże w takich warunkach stoczę pojedynek z Osorkonem? Ledwie będziemy się widzieć!

— Osorkon obojuje wśród drzew, które hamują siłę wiatru — uspokoiła go Arcymagini.
— Nie obawiaj się.

— Tak naprawdę martwi mnie co innego, znacznie ważniejszego — przyznał król. — Mogę ci się teraz przyznać, bo Anigel nas nie słyszy. Jestem w znacznie gorszej formie niż zwykle. Magiczny sen, w który pogrążył mnie Orogastus, i długie więzienie to złe przygotowanie do pojedynku. Gdybym cieszył się dobrym zdrowiem, pokonałbym Osorkona z łatwością. A teraz będzie mi trudno, mimo że on jest ode mnie starszy o dwadzieścia lat. To krzepki staruch, który słynie z tego, że zręcznie włada długim mieczem.

— Mogłabym ci pomóc... — zaczęła Haramis.

— Nie! Właśnie przed tym chcę cię ostrzec, choć moja żona na pewno będzie o to prosiła. Nie wolno ci wesprzeć mnie czarami, gdyż zwolennicy Osorkona nie przejdą na moją stronę, gdy zdadzą sobie sprawę, że nie walczyłem czysto. Nie powinni nawet wiedzieć, że mi towarzyszysz! Muszę pokonać tego zdrajcę sam, własnymi siłami... albo ponieść klęskę. Jeśli zostanę pokonany, powinnaś wyteńczyć swoje moce, by ocalić Anigel i pozostałych. Nie próbuj mnie jednak ratować. Musisz to zrozumieć!

— Dobrze — westchnęła Haramis. — Zrobię, o co mnie prosisz.

Jechali w milczeniu przez długi czas. Teren podnosił się coraz bardziej. Droga zamieniała się w dwie zamrożone koleiny zasypane śniegiem. Nie widzieli już płotów, nad zamrożonymi strumieniami nie było mostów. Karłowate drzewa i krzaki pojawiły się po obu stronach wciąż zwięzającego się szlaku. Zbliżali się do Lasu Atakum i już wkrótce zasłoniły ich drzewa chroniąc przed naporem nawałnicy.

Haramis zatrzymała wędrowców, gdy dotarli do małej, zniszczonej chaty, w której przedtem mieszkali smolarze zamordowani przez żołnierzy Osorkona. Podróżni zsiadli z froniali, przywiązali je do drzewek w pobliżu zbudowanego na zewnątrz prymitywnego pieca z niekształtnych głazów, a sami schronili się w chałupie, w której od razu zrobiło się ciasno. Bursztynowy amulet w talizmanie Arcymagini świecił jak złocista lampa. W jego blasku Jagun i Sziki rozpakowali prowiant i wodę. Arcymagini uderzyła talizmanem w jądło i

korzenne wino, które natychmiast stały się ciepłe, jakby dopiero co podgrzano je w pałacowej kuchni. Z apetytem zaspokoiono głód i pragnienie. Dotknięciem dłoni Haramis złagodziła ból odmrożeń, Jagun zaś rozpałił w palenisku mały ogień, w którym niebawem rozpułynał się panujący w chacie chłód.

— Jesteśmy blisko obozu zdrajców — wyjaśniła Arcymagini. — Przyjrzałam się armii pana Osorkona. Nikt niczego nie podejrzewa. Jak dotąd nie zostaliśmy odkryci.

— A co z czarnoksiężnikiem? — spytała Anigel. Przycupnęła przy ognisku, tuląc do siebie dzieci.

— Żółty głos obserwuje Derorguilę za pomocą Potrójnego Płonącego Oka. Sam Orogastus nosi magiczny diadem i przed kilkoma godzinami skomunikował się z Osorkonem, nakazując mu, by przygotował się do ataku na stolicę. Teraz sam czarownik bez powodzenia usiłuje przenieść na statek pewne przedmioty ze swego zamku w Tuzamenie. Wydaje się całkowicie tym pochłonięty i prawdopodobnie przez jakiś czas nie będzie nas szukał — wyjaśniła Haramis.

— Możemy więc ruszać w dalszą drogę? — spytał ponuro król Antar.

— Tak — odparła Arcymagini. — Zostawimy tutaj wierzchowce i pójdziemy pieszo przez las. Do obozu Osorkona jest stąd mniej niż pół mili. Zabierzcie tylko swoje miecze. Poprowadzę was.

Odpowiedział jej pomruk zgody. Podawano sobie z rąk do rąk duży dzban z gorącym winem; pochłaniano ciepłe paszteciki, małe rogaliki z mięsnym farszem. Następca tronu, książę Nikalon, przełknął kawałek chleba i powiedział głośno:

— A co ze mną i z moją siostrą, ojczy? Czy mamy wam towarzyszyć?

— Nie — odpowiedziała za Antara Arcymagini. — Zostaniecie tutaj z matką. Hrabia Gultreyn i trzej synowie pani Ellinis będą was strzec wraz z Jagunem i Szikim.

— Nie! — zawołała z rozpaczą Anigel. — Antarze, pozwól mi pójść z tobą!

Król przepchnął się przez tłum odzianych w zbroje i futrzane płaszcze rycerzy i wziął ją za rękę.

— Musisz tutaj zostać, kochanie. Wasza obecność rozpraszałaby moją uwagę. Wiem, że będzie ci trudno, gdyż nie będziesz wiedziała, co się dzieje, ale to najlepsze wyjście. Nie grozi wam tu wielkie niebezpieczeństwo. A gdyby stało się najgorsze, Arcymagini przeniesie ciebie i pozostałych w bezpieczne miejsce.

— Moje miejsce jest u twego boku! Tak postanowiliśmy!

— A co, jeśli Osorkon zrani śmiertelnie Antara, bo twoja obecność rozproszy uwagę Antara? — zapytała bez cienia litości w głosie Kadiya.

— Och, bądź przeklęta, Kadi! — jęknęła Anigel. — Ja nigdy nie...

— Nie zrobiłabyś tego umyślnie, wiem — przerwał jej król — ale to będzie najtrudniejsza walka w moim życiu. Moja droga, proszę cię, byś została. Będę walczył z lżejszym sercem.

Anigel patrzyła na niego załzawionymi oczami. Kaptur z futra złocistego worrama okalał jej twarz.

— Antarze... Och, mój kochany! Znów ci przeszkadzam w wypełnianiu twoich obowiązków! Jestem taka samolubna! Wybacz mi. Oczywiście, zostaną tutaj. — Pocałowali się, a potem królowa wysliznęła się z ramion męża i gestem przywołała Nikłego i Jan. — Pocałujcie ojca na pożegnanie, moje maleństwa.

Dzieci z poważnymi twarzyczkami podeszły do króla, który objął je mocno.

— Będziemy modlić się za ciebie — powiedziała Anigel. — Pamiętaj, że kochamy cię z całej duszy.

Król nic nie odpowiedział. Włożył swój hełm i sprawdził, czy miecz lekko się wysuwa z pochwy. Rycerze, którzy mieli mu towarzyszyć, zrobili to samo, następnie po kolei z ukłonem podeszli do królowej, by otrzymać jej błogosławieństwo, a potem wyszli za Arcymaginią z chałupy.

— Siostró — Kadiya tuż przed wyjściem zwróciła się do Anigel podejmując jeszcze jedną próbę przywrócenia zgody — czy chcesz, żebym pozostała tu z tobą?

Lecz królowa tylko potrząsnęła głową w milczeniu i odwróciła się z wyrazem cierpienia na twarzy, zapomniawszy o błogosławieństwie.

— W takim razie będę stała jak najbliżej króla podczas tej ciężkiej próby i albo jako pierwsza pogratuluję mu zwycięstwa, albo oddam życie, by go pomścić. Żegnaj.

Królowa powoli podniosła głowę.

— Kadi... — szepnęła, ale Pani Czarodziejskich Oczu już odeszła.

— Och, Wielka Królowo, czy nie mogłabyś już wybaczyć swej siostrze?! — wykrzyknął porywczy Sziki z pełnymi łez oczami.

— Wybaczyłam jej — powtórzyła Anigel wpatrując się w płomienie. Lecz czerwone jak krew trillium wiszące na jej szyi świadczyło, że skłamała.

— Czego on szuka z takim pośpiechem? — zapytała swój talizman Haramis. Wcześniej była zbyt zajęta, żeby zastanowić się nad ukrytym znaczeniem szczególnej aktywności magicznej Orogastusa. Teraz jednak, gdy szła w ciemnościach ku obozowi, to pytanie wydało się jej niezwykle ważne — odpowiedź mogła się wiązać ze strasznymi konsekwencjami.

— Orogastus próbuje przenieść z Tuzamenu instrumenty niezbędne do wtajemniczenia do Gwiezdnego Bractwa — odpowiedział jej Trójskrzydły Krąg.

— Wielki Boże! A kogóż chce wtajemniczyć, swoich akolitów?

— Tak.

— Ale dlaczego?

— Pieczęć Gwiazdy ukrywa przede mną motyw jego postępowania.

Zirytowana Haramis krzyknęła cicho. Potem jednak odgadła odpowiedź. Oczywiście! Gwiazda Przewodnia! Co powiedział sindoński Nauczyciel? Że tylko Gwiezdna Rada albo całe Arcymagiczne Kolegium mogłoby zniszczyć czarny sześciokąt, a tym samym uniemożliwić dożywotnie uwięzienie Orogastusa! Znając już odpowiedź, Arcymagini zapytała Potrójny Krąg:

— Ile osób powinna liczyć Gwiezdna Rada, by mogła działać ze skutkiem?

— Trzy lub więcej.

To tłumaczyło wszystko.

Haramis zatrzymała się, wzięła do ręki talizman, żeby ponownie przyjrzeć się czarownikowi — i aż przestała oddychać, gdy go ujrzała.

Orogastus zrzucił białe szaty, które zwykle nosił, i włożył uroczysty strój, który pamiętała sprzed dwunastu lat. Miał na sobie długą szatę ze srebrzystej siateczki z wstawkami z błyszczącej czarnej skóry. Obramowany srebrem płaszcz również był czarny, z ozdobnym zapięciem i wielką, wieloramienną gwiazdą wyszytą na plecach. Czarownik okrył też dłonie srebrzystymi rękawicami. Twarz, z wyjątkiem ust, przesłaniała niezwykle srebrzysta maska, otaczając głowę ostrymi promieniami. Na czole maski świecił talizman zwany Trojskrzydłym Potworem. Oczy Orogastusa zamieniły się w dwa świecące białym blaskiem punkty.

Obok klęczeli jego dwaj pomocnicy, Purpurowy i Żółty. Zsunęli z ogolonych głów kaptury, a ich oczy wyglądały jak puste, czarne otwory. Czarownik wyciągnął rękę ponad znieruchomiałymi sługami, w drugiej zaś wysoko uniósł Potrójne Płonące Oko.

— Rozkazuję wam, talizmany! — zaintonował. — Zaklinam was w imieniu Gwiazdy! Przynieście mi zapieczętowany Gwiezdną Pieczęcią starożytny kufer, który znajduje się w mojej skrytce w Tenebrose. Przynieście go tutaj na skrzydłach magii! Bądźcie mi posłuszne!

— Nie! — wykrzyknęła w myśli Haramis. — Rozkazuję ci Trójskrzydły Kręgu, zagroź drogę temu kufrowi.

Zbutwiała, stara skrzynia zmaterializowała się jednak w powietrzu przed Orogastusem, skrzynia przewiązana szerniałymi srebrzystymi rzemieniami, z ciemną, pordzewiałą

Gwiazdą na wieku. Arcymagini skupiła na niej całą uwagę, zamieniła ją w myśli w kryształ i wyrażając wolę rozkazała powrócić skrzyni tam, skąd przybyła.

I tak się stało.

Akolici drgnęli w nagłym paroksyzmie i nieprzytomni osunęli się do stóp swego pana, który zamilkł w pół słowa, spojrział na nich z konsternacją, a potem ryknął wściekle:

— Haramis! Ty to zrobiłaś!

— Tak — odparła bezgłośnie.

Orogastus powoli opuścił Płonące Oko, przełknął przekleństwa, którymi miał zamiar obsypać Arcymaginię, rozpaczliwie próbując się opanować.

— Pokaż się, Haramis! — poprosił łamiącym się głosem. — Gdzie jesteś? Dlaczego nie odpowiedziałaś na moje wezwania? Przemów do mnie! Przybądź do mnie! Możemy jeszcze nie dopuścić do zniszczenia narodu, którym rządzi twoja siostra, i śmierci tysięcy ludzi. Przybądź, najdroższa, choćby po to, by wysłuchać, co mam ci do powiedzenia! Ukaż mi swoją twarz. Musisz to zrobić!

Czując ucisk w sercu, Haramis zawahała się na chwilę. Potem jednak z okrzykiem bólu przegnała wizję. Stała, cała drżąca w padającym wciąż śniegu, gołymi rękami ściskając rozjarzony talizman. Kadiya, Antar i towarzyszący im rycerze patrzyli na nią ze zdumieniem. Czuli, że wydarzyło się coś strasznego.

— Omal nie poszłam do niego bez namysłu — szepnęła Arcymagini.

— Co się dzieje, siostrze? — spytała zaniepokojona Kadiya. — Czy stało się coś złego w obozie pana Osorkona?

Haramis drgnęła gwałtownie, a potem wzięła się w garść.

— Nie. To nic... nic, co mogłoby was teraz obchodzić. Idźcie za mną. Ruszyli dalej.

Wreszcie poprzez rzednącą śnieżną zasłonę dostrzegli w oddali pomarańczowy blask ognisk wśród drzew. Później zauważyli pierwszego wartownika obchodzącego wyznaczony mu odcinek. Minęli go nie zauważeni, nie dostrzegli ich też żaden ze spotkanych wojowników. Wreszcie dotarli do samego obozowiska i przeszli między rzędami małych namiotów. Grupki młodszych rycerzy i żołnierzy krążyły po obozie lub kulily się przy ogniskach, nikt jednak nie zwrócił uwagi na Arcymaginię i jej towarzyszy. Bez przeszkód doszli więc do ozdobnego namiotu otoczonego szerokim pasem udeptanego śniegu. Płonął przed nim wielki ogień i oświetlał wbite w ziemię po obu stronach wejścia lance z powiewającymi proporcami pana Osorkona i czterech innych wielmożów z prowincji.

Król Antar wyszedł na wydeptaną przestrzeń i zatrzymał się. Zsunął z głowy kaptur, a labornocki hełm z koroną i przyłbicą w kształcie rozwartych szczęk Skriteka zabłysł w blasku ognia. Kadiya i Balanikar stanęli po jego bokach, a sześciu innych lojalnych Laboruwendian ustawiło się z tyłu dwójkami. Haramis zrobiła się niewidzialna i powiedziała w myśli do króla:

— Teraz wszystko zależy od ciebie, drogi szwagrze. Pozostanę niewidoczna, żeby Osorkon patrzył tylko na ciebie. Będę wszakże obserwowała uważnie otoczenie na wypadek, gdyby jakiś nikczemnik próbował się wtrącić do tego honorowego starcia.

— Dziękuję ci — odszepnął Antar. — Kiedy Osorkon i jego zwolennicy nas zauważą?

— Gdy tylko go zawołasz.

Antar zdjął płaszcz, podał go Kadiyi i wyciągnął miecz z pochwy. Pozostali rycerze poszli w jego ślady.

— Generale Osorkonie! — zawołał król. — Osorkonie, wyjdź z namiotu i staw się przed swym władcą!

Mieszkańcy obozu natychmiast zauważyli niezwykle gości. Ruszyli biegiem w stronę wielkiego namiotu, chwytając po drodze broń. Kiedy jednak przybyli na miejsce, przekonali się, że nie mogą wejść na udeptaną ziemię. Uniemożliwiła im to jakaś tajemnicza siła.

Zdumieni i pełni niepokoju na widok króla Antara i jego towarzyszy, wielkim tłumem otoczyli niewidzialną zaporę.

— Wyjdź, Osorkonie! — powtórzył Antar. — Oświadczam, że jesteś zdrajcą, który złamał przysięgę lenną. Oświadczam, że spiskowałeś z raktumiańskimi piratami i ze złym Panem Tuzamenu, którzy teraz szykują się do ataku na Derorguilę! Perfidny łajdaku! Zdrajco swego kraju! Wyjdź! Czeka cię sprawiedliwa kara!

Zapadło przedłużające się milczenie. Wiatr ucichł i tylko kilka płatków śniegu wirując spadło na ziemię. Serce stojącej obok króla Kadiyi waliło jak młotem. Nagle poczuła, że dusi się w futrzanym płaszczu. Krople potu spłynęły jej po szyi pod ochraniaczem ze złotych łusek. Odważyła się opuścić wzrok i spostrzegła Czarne Trillium w rozjarzonym amulecie.

Potrójny Kwiecie, modliła się w duchu, dodaj mu sił! Zapewnij mu zwycięstwo! Ocal małżonka mojej drogiej siostry!

Kłapa podniosła się i Osorkon wielkimi krokami wyszedł z namiotu. Zdążył włożyć tylko górną część swej czarnej, emaliowanej zbroi. Pod pachą trzymał skrzydlaty hełm, w dłoni ścisnął obnażony wielki miecz. Na jego widok Kadiyi zaparło dech z zaskoczenia. Zapomniała, że był prawdziwym olbrzymem. Prawie wyłysiał, a w jego brodzie połyskiwały siwe pasma. Piorunując króla spojrzeniem, zatrzymał się parę kroków od niego. Za nim stanęli jego popiecznicy: Soratik, Vitar, Pomizel i Nunkaleyn oraz potykająca się gromada giermków niosących tarcze i broń, którzy gorączkowo pomagali swym panom nakładać zbroje.

— Więc to tak? — ryknął Osorkon. — Jestem zdrajcą, tak?!

— Uroczycie potwierdzam, że nim jesteś — odrzekł Antar. — Ty i twoja zmarła siostra Szarice pomagaliście w uprowadzeniu mnie i moich dzieci z Zinory. A teraz zwiodłeś tych dobrych ludzi — król wskazał gestem na otaczający ich tłum zbrojnych — kłamstwami i zdradzieckimi wypowiedziami, uniemożliwiając im wypełnienie ich obowiązków. Zostaną ulaskawieni, jeśli wyrzekną się ciebie i potwierdzą przysięgą swą lojalność wobec Dwu Tronów. Ty jednak, Osorkonie, musisz zginąć, chyba że padniesz przede mną na kolana i wyznasz wszystkie swoje zdradzieckie czyny, a potem poddasz się mojej sprawiedliwej karze.

— Nigdy!

Antar podniósł miecz.

— W takim razie wyzywam cię na pojedynek w obronie honoru Dwu Tronów. Obecni są świadkami.

W odpowiedzi Osorkon roześmiał się szczekliwie, nałożył hełm i opuścił przyłbicę. Kadiya i pozostali towarzysze króla cofnęli się, pozostawiając go samego. Teraz powinny się odbyć zwyczajowe ceremonie towarzyszące rozpoczęciu pojedynku. Zdradziecki wielmoża nie zamierzał jednak przestrzegać rycerskich zasad. Ze zręcznością, która zdumiała widzów, stary generał skoczył do przodu, podnosząc nad głową wielki miecz i zamachnął się nim. Ten cios mógłby rozrąbać ciało Antara na dwoje, ale brzeszczot tylko zgrzytnął o zamarznąłą ziemię, kiedy monarcha odskoczył w bok. Teraz król zatoczył krąg swoim mieczem i z całej siły uderzył Osorkona w głowę. Zdrajca zachwiał się na nogach i znalazł się poza zasięgiem królewskiego oręża. Uratował go gruby stalowy hełm. Obaj mężczyźni zasypywali się ciosami, krzesząc iskry, gdy ich miecze uderzały o siebie. Osorkon, prąc do przodu, zmuszał Antara do obrony. Wymachując bez przerwy mieczem ścigał króla wzdłuż kręgu widzów. Kadiya i jej towarzysze bezradnie obserwowali przebieg pojedynku.

— Och, Boże, uratuj go! — modliła się cicho Pani Czarodziejskich Oczu. Upuściła na ziemię królewski płaszcz, prawą dłonią ścisnęła rękojeść swego miecza, lewą zaś chwyciła amulet.

Antar zaczął nogą o kamień tkwiący w zamarznętej ziemi i runął na plecy. Zwolennicy Osorkona krzyknęli z radości. Jednakże podczas upadku król nie wypuścił miecza z dłoni i z całej siły zamachnął się nim mierząc w pochylonego zdrajcę. Brzeszczot odbił się od miejsca,

gdzie osłaniający szyję zdrajcy stalowy ochraniacz był najslabszy. Ostrze rozcięło emaliowaną stal i wbiło się w obojczyk Osorkona. Wielmoża wydał ochryply okrzyk. Podniesiony miecz znieruchomiał w górze, a potem wysliznąwszy się z ręki Osorkona upadł na ziemię. Ogromnym wysiłkiem stary generał odchylił się, by nie upaść na leżącego monarchę, i potoczył się w bok.

Antar zerwał się na nogi. Krew strumieniem płynęła z rany Osorkona. Król, jak na człowieka honoru przystało, dał wrogowi chwilę odpoczynku w nadziei, że ten się podda. Jednakże olbrzym tylko mocniej ścisnął rękojeść miecza i zamachnął się na nie chronione zbroją nogi Antara, chybiając o włos. W tłumie podniosły się okrzyki dezaprobaty. Ktoś krzyknął:

— Hańba!

Osorkon podniósł się i stanął w postawie oczekiwania, lekko zgiąwszy nogi, szykując się do następnego ciosu. Przez jakiś czas obaj przeciwnicy rąbali się zaciekle. Tym razem jednak Antar miał przewagę i zepchnął generała do obrony. Ludzie Osorkona wznosili teraz okrzyki zarówno na cześć swego dowódcy, jak i na cześć króla. Kiedy Antar ściął pióropusz starego wielmoży, w tłumie rozległ się jęk zawodu i ordynarne śmiechy. Generał przerwał walkę, zerwał z głowy hełm i odrzucił go na bok. Wtedy Antar również odsłonił głowę; dały się słyszeć pomruki uznania, nawet ze strony wielmożów, współpracowników i popleczników Osorkona.

Wymieniając krótkie, szybkie ciosy, walczyli teraz w pobliżu wielkiego ogniska. Zdrajca znów uderzył podstępnie, raniąc króla w udo. Nie zmieniło to jednak rytmu ciosów monarchy. Twarz generała wykrzywił grymas strachu i wściekłości. Słabł z upływu krwi. Potoczył wokół dzikim wzrokiem, gdy Antar odskoczył na chwilę, i zamachnął się jak żniwiarz ścinający kosą zboże, celując w lędźwie króla Laboruwendy. Jednakże ten zdążył odskoczyć, zakręcił mieczem i napał na Osorkona, który cofał się w stronę ognia. Zdrajca zachwiał się na nogach, postawił nie chronioną metalem stopę na rozżarzonych węglach. Wrzasnął z bólu i spróbował sięgnąć do głowy Antara. Chybił.

Zakrwawiony królewski miecz wirował jak młynek. Monarcha chwycił go oburącz, zadał cios z prawa na lewo i odrąbał głowę zdrajcy.

— Antar! — krzyknęła radośnie Kadiya. — Antar! Antar! Gdy ciało Osorkona waliło się w płomienie, strugą trysnęła ciemna krew. Zwolennicy króla przyłączyli się do Kadiyi, która śpiewnie powtarzała imię szwagra. A potem jeden za drugim niedawni zdrajcy podchwycili ten okrzyk i wiwatowali niemal wszyscy, aż echo niesło się po lesie.

Antar opuścił oręż i stał nieruchomo na szkarłatnym od krwi, zdeptanym śniegu. Później odwrócił się plecami do ogniska, któremu dostarczył świeżego opału, i podszedł powoli do czterech przyjaciół zabitego generała, którzy nie odrywali wzroku od płomieni. Król włożył miecz do pochwy i podniósł dłoń. Otaczający miejsce pojedynku żołnierze zamilkli. Antar spojrział na czterech wielmożów z surowym wyrazem twarzy, ale bez urazy.

— Soratiku, Vitarze, Pomizelu i Nunkaleyne... jeśli pójdziecie teraz ze mną, by walczyć w obronie Derorguili i Dwu Tronów, daruję wam.

Niedawni zdrajcy ukłękli na śniegu. Najstarszy z nich Soratik powiedział tak:

— Wielki Królu, przysięgam iść za tobą wiernie, aż do śmierci.

— I ja — jak jeden mąż powtórzyli trzej pozostali. Patrzący na to rycerze i żołnierze wzniesli okrzyk na cześć swego władcy. Kadiya zdała sobie sprawę, że uśmiecha się szeroko. Chwyciła amulet i szepnęła:

— Haro! Przekaż Anigel tę dobrą nowinę!

— Ona już wie. Idzie tutaj z dziećmi i rycerzami, którzy ich strzegli.

Kadiya wielkimi krokami podeszła z gratulacjami do króla. Wierni towarzysze nie pozostali w tyle. Antar rozkazał zwinąć obóz i wymaszerować do Derorguili. Ułaskawieni zdrajcy pośpiesznie przywołali swoich oficerów, by przekazać im rozkaz władcy.

Ukryta dotąd w niewielkiej kępie drzew za namiotem Osorkona, Arcymagini znów stała się widzialna. Nie miała tu już nic więcej do roboty. Wzięła do ręki talizman i zobaczyła to, co musiała zobaczyć: armadę ponad sześćdziesięciu raktumiańskich okrętów wojennych z czternastoma wielkimi triremami na czele, wpływającą do zatoki Derorguili. Na pewno wychynęły z ukrycia w chwili, gdy Antar rozpoczął walkę z Osorkonem.

— Pokaż mi Orogastusa! — rozkazała.

Tym razem czarownik czekał na nią. Jęknęła zrozumiawszy, że widzi ją równie dobrze jak ona jego.

— Z jakiegoś powodu moje talizmany niechętnie udzielają lekcji — powiedział z uśmiechem. — Ja jednak jestem wyjątkowo zdolnym uczniem! Już nie będziesz mogła podpatrywać mnie bez mojej wiedzy, moja droga Haramis. Od teraz, ilekroć zechcesz mnie szpiegować, będę cię widział! Mam nadzieję, że już wkrótce zdołam zneutralizować także twoją ochronną aurę, a wtedy nigdzie się przede mną nie ukryjesz. Jakże miło będzie porozmawiać z tobą i bez przeszkód oglądać twoje ukochane oblicze.

— Zaatakowałeś Derorguilę — powiedziała otwarcie.

— Powstrzymam atak, jeśli przybędziesz do mnie i rozpoczniemy rozmowy. Wiem, że dzięki czarom możesz podróżować wszędzie.

— Kiedy pojawię się u ciebie — powiedziała powoli — stanę z tobą do statecznego starcia, walki tak śmiertelnej, jak pojedynek króla Antara i zdrajcy Osorkona.

— Stoczysz ten pojedynek na talizmany? A nie na miecze? — Czarownik roześmiał się i z pobłażaniem pokiwał głową. — Ach, Haramis. Czemu zawracasz sobie głowę małostkowymi konfliktami zwykłych ludzi? Ty i ja nie jesteśmy tacy jak oni! Naszym przeznaczeniem jest żyć tysiące lat i patrzeć, jak królestwa jedne po drugim powstają, rozkwitają na krótko i giną, by ustąpić miejsca następnym. Rozumiesz, co to znaczy? Czy możesz sobie wyobrazić swoje życie jako Arcymagini? Mimo ogromnej władzy będziesz bardzo samotna. Nie musisz jednak być sama, ani brzemień rządów nad Światem Trzech Księżyców nie musi spoczywać tylko na twoich barkach. Przybądź do mnie, ukochana! Pozwól, że opowiem ci o zdumiewających rzeczach, które wyjawily mi te dwa talizmany, rzeczach, które nigdy nie śniły się twoim przyziemnym siostrom! Możemy też...

— Nie! — przerwała z rozpaczą, zdając sobie sprawę, że oto znów o mało nie poddała się czarowi. — Kłamiesz równie gładko i zręcznie jak niegdyś, Orogastusie. Ale kusząc mnie, zdradzasz swoją niewiedzę. Przeszkodzę twojej napaści na Derorguilę. A wtedy zobaczymy, czyje czary silniejsze.

Przegnała wizję. Dygotała opierając się o pień smukłego, młodego gonda. W obozie zwijano namioty, słychać było ostre głosy sierżantów wydających rozkazy żołnierzom, ot zwykły gwar przygotowującej się do wymarszu armii. Kiedy Haramis odzyskała panowanie nad sobą, spojrzała przypadkiem na gałązki drzewa, nadłamane, uginające się pod ciężarem śniegu. Liście, które jeszcze dziesięć dni temu były świeże i zielone, teraz zeszywniały, pokryte lodową skorupą, skrzypiały cicho na wietrze.

Czy Orogastus w ogóle zdaje sobie sprawę, co się dzieje? Czy ma pojęcie o tym, że równowaga świata została naruszona i że coraz szybciej przybliża się katastrofa? Nie. Nie wie o niczym. Najprawdopodobniej uważa trzęsienia ziemi i wybuchy wulkanów za naturalne, a złą pogodę za swoje dzieło. Władca Burz! Nazwał tak siebie przed dwunastu laty i bez wątpienia robi to nadal.

Och, tak, na pewno przywołał niektóre z pchających statki sztormów, tak samo jak trąby wodne i pomniejsze burze, które ułatwiły mu działanie na południu. Nigdy wszakże nie rozkazywałby śmiercionośnym mrozom, które nawiedziły Labornok ani nie spowodowałyby rozszerzenia się Zwycięskiego Lodu.

— Talizmanie, czy mogę go powstrzymać? — spytała szeptem.

Miała wrażenie, że całą wieczność czeka na odpowiedź. Gałęzie zakołysały się gwałtownie i wiatr zdmuchnął z nich śnieg i rozsypał tuż nad ziemią połyskliwą, wirującą zasłonę. Arcymagini zadrżała, jakby przestał ją ogrzewać czar. Czy talizman w ogóle raczy jej odpowiedzieć? Czy wie, jak można powstrzymać Zwycięski Lód? Czy da się to uczynić?

— Trzy, które są Jednością, mogą go zatrzymać... jeśli zdążą. Ale czas szybko ucieka.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Tolivarowi przyśniło się, że znów jest w domu, w Derorguili. Ojciec i matka zabrali go do królewskiej menażerii w parku nad rzeką Guila. Tym razem nie było Nikiego i Jan, którzy jak zawsze popsuliby wszystko. Był piękny dzień Pory Suchej, białe chmurki swawoliły na niebie i Tolo miał rodziców tylko dla siebie. Początkowo sen był przyjemny. Rodzice byli dla niego wyjątkowo mili i grzeczni, nie robili mu wyrzutów, że biega i hałasuje, nie powtarzali, że książęta powinni dawać dobry przykład swym poddanym. Śmiali się, gdy rzucał słodkie pierniki wielkim kosmatym raffinom, chcąc je zachęcić, by prosiły o więcej. Uśmiechali się pobłaźliwie, kiedy drażnił się z horikami, które ryczały i zgrzytały wielkimi zębami. Doskonale się bawił strasząc pełne wdzięku szangary, tak że skakały zabawnie po swojej zagrodzie.

Później Tolo uznał, że będzie jeszcze zabawniej, gdy obudzi przywiezione z głębi moczarów Ruwendy złośliwe looru, które podobno piły ludzką krew (w królewskim zoo musiały się zadowalać zupą z qubarów). Podniósł z ziemi patyk i podbiegł do wielkiej klatki.

Jakiegoż narobił hałasu! W klatce było ze dwadzieścia wielkich, brzydkich looru. Rozpostarte skrzydła największego mierzyły ponad dwa elle. Wywołane przez Tola zamieszanie sprawiło, że śpiące dotąd zwierzaki zerwały się z grzęd i latały w kółko, skrzecząc jak szalone. Rozwścieczone, całą gromadą rzucały się na kraty, ze strasznym wrzaskiem starając się schwytać malca pazurzystymi łapami. Mały książę cofnął się szybko ze śmiechem i podniósł kamień, by rzucić go do klatki. Wtedy krata pękła.

Najpierw wydostał się jeden looru, po nim drugi. Wreszcie całe stado znalazło się na wolności. Szeroko otworzywszy czerwone jak krew oczy i dzioby o długich zębiskach, szukały zdobyczy. Tolo jednym skokiem schował się za najbliższym krzakiem, zatykając uszy, by nie słyszeć okropnych, przenikliwych gwizdów. Miał nadzieję, że looru go nie znajdą.

I rzeczywiście, latający krwiopijcy nie zwracały na niego uwagi. Całe stado rzuciło się na bezbronych rodziców księcia, zważyło się na nich z łopotem zakończonych ostrymi pazurami skórzanych skrzydeł, przytłoczyło śmierzdzącymi kosmatymi cielskami. Niebo w tej chwili poczerniało. Błyskawica rozdarła mrok, a potem ziemia zatrzęsa się, gdy rozległ się grom. Tolo usłyszał krzyki — kto to krzyczał? — i nagle osłaniający go krzak zniknął, wyrwany z korzeniami! Chłopczyk skulił się, czekając, aż looru obedrą mu ciało z kości. Kiedy jednak nic takiego się nie stało, odważył się podnieść wzrok. Jego ciotka Arcymagini stała nad nim. Wydawała się ogromna. Błyskawice oświetlały jej twarz wykrzywioną strasznym grymasem gniewu.

— Twoi biedni rodzice zginęli przez ciebie! Teraz poniesiesz karę za swój ohydny postępek!

— Nie! — załkał Tolo. — Nie chciałem tego!

— Jesteś przewrotny! Zły! — zagrzała Arcymagini, sięgając po niego olbrzymią ręką.

— Nie chciałem tego! — Chłopczyk zerwał się do ucieczki.

Biegł co sił w nogach.

— Stój! — powtarzała raz po raz ciotka, a jej głos brzmiał jak werbel. — Stój!

Tolo uciekając spojrział przez ramię. Ciotka... rosła... była już wyższa od pobliskich drzew! — i ziemia trzęsa się od każdego jej kroku. Podniosła swój magiczny talizman i patrzyła na siostrzeńca przez srebrny krąg. Książę zobaczył jedno olbrzymie oko, które stawało się coraz większe i większe, aż na świecie nie było nic poza tym okiem, a on, Tolo, wpadnie w nie i zginie.

— Stój! Stój!

— Nie! Ja nie chciałem! Nieee... Obudził go własny krzyk.

Looru nie było. Nie rozdarły na strzępy jego rodziców. Nie było też gigantycznej, rozgniewanej Arcymagini. Był bezpieczny w swojej małej kajucie na okręcie flagowym króla Ledvardisa z Raktum. To był tylko sen. Ale wciąż słyszał głośnie grzmoty i mrozący krew w żyłach wrzask wydobywający się z gardeł latających drapieźników. Nawet szczęk patyka obijanego o kraty... i potwornie wzmocniony głos Arcymagini.

— Przestańcie! Przestańcie!

Tolo zeskoczył z koi, podbiegł do iluminatora, otworzył go i wszedł na taboret.

Mgła zniknęła, była noc. Powtarzające się wybuchy różnokolorowych świateł wypełniały niebo, odbijały się w czarnych falach. Wszędzie roilo się od statków. Pirackie galery strzelały z magicznych maszyn Orogastusa białymi, zielonymi, szkarłatnymi i złotymi kulami, wybuchającymi jak pioruny kuliste, gdy tylko się zderzyły lub gdy trafiły w któryś z broniących się korabiów z Czarnym Trillium lub Trzema Złotymi Mieczami Laboruwendy na żaglach. Obrońcy używali katapult i strzelali ognistymi bombami, które zakreślały w powietrzu ogromne pomarańczowe łuki. Obie strony zasypywały się deszczem żelaznych strzałek z przywiązanych do nich małymi gwiazdkami. Gwiazdki te wydawały w locie niesamowite dźwięki, które Tolo pomylił z wrzaskami looru. Właśnie gdy chłopiec przyglądał się temu przerażającemu widowisku, chmura takich strzałek spadła na raktumiańską triremę grzechocząc jak grad kamieni.

— Przestańcie! Zaprzestańcie walki! Żeglarze z Raktum, strzeżcie się! Zawróćcie, bo czeka was straszny los!

Grzmiący głos ciotki Haramis dźwięczał nad wodą... a odpowiadał mu inny nadprzyrodzony głos — głos Mistrza Orogastusa!

— Nie zmęczysz cię aby ten daremny trud, Arcymagini? Tak, widzę, że tak. Ciągłe rzucanie czarów wyczerpuje siły władcy mocy, dlatego sięgasz teraz po kłamstwa, by zmusić do wycofania się naszych dzielnych wojowników. Ale nie zdołasz nas powstrzymać!

Książę Tolivar pomyślał, że to wszystko mu się śni, tak fantastyczna była bowiem scena rozgrywająca się na morzu. Ani jeden ognisty pocisk wystrzelony przez obrońców nie trafił w pirackie statki. Czary zatrzymywały płonącą smołę przed celami; odskakiwała jakby odbijała się od niewidzialnej ściany i wpadała do morza, nie wyrzadziwszy nic złego.

Jednakże strzały z katapult trafiały okręt flagowy i inne raktumiańskie korabie, podobnie kamienne kule. Najwidoczniej czary, które odbijały ogniste kule, nie działały na żelazo i kamienie, a może mistrz mógł się skoncentrować tylko na jednej sprawie.

Broń Zaginionych wyrządziła wielkie szkody na laboruwendiańskich statkach. Tolo zobaczył kulę połyskliwego zielonego ognia, która w ostatniej chwili ominęła cel, jakby przegnana przez Arcymaginię. Lecz po kilku chwilach wystrzelona z innego kierunku chmura rozpalonych białych iskier spadła na ten sam okręt niczym stado ptaków zwanych grissami. Iskry wzniciły setki pożarów na takielunku pechowego korabia i niebawem ogarnęły go płomienie.

Tolivar zrozumiał, że ciotka Haramis próbuje osłaniać Laboruwendian, ale niezbyt jej się to udaje.

Napastnicy mieli znacznie więcej okrętów niż obrońcy Derorguili i w większości były to żaglowce. Przy tak słabym i kapryśnym wietrze (czyżby Arcymagini i Orogastus walczyli o kontrolę nad nim?) laboruwendiańska flota była bezbronna wobec napędzanych wiosłami pirackich galer. Raktumianie taranowali i topili statek za statkiem, jeśli nie podpaliły go wcześniej podobne do meteorów pociski Zaginionych. Niektóre korabie zdołały uniknąć zagłady dzięki interwencji Arcymagini, która jednak nie umiała utkać czaru dostatecznie potężnego, by osłonić je wszystkie jednocześnie.

Tytaniczny śmiech Orogastusa huczał między wybuchami. Powietrze napływające do kajuty Tola było lodowato zimne i chłopiec objął się rękami, by choć trochę się rozgrzać. Nie przyszło mu jednak do głowy, żeby wrócić do łóżka albo opuścić posterunek przy

iluminatorze, by owinąć się kocem. Mały książę miał wrażenie, że bitwa trwa już całą wieczność. Niebo na wschodzie pojaśniało. A wtedy, bez wątpienia na rozkaz Orogastusa, piraci nagle zmienili taktykę. Ich galery uwolniły się od słabo broniących się przeciwników, a wiosła zanurzyły się w wodzie. Tolo słyszał coraz szybszy werbel bębnów, w które bili nadzorcy wioslarzy raktumiańskiego flagowca. Smagani biczami galernicy wyteżali wszystkie siły i licząca siedemdziesiąt cztery statki armada skierowała się do wejścia do portu w Derorguili.

Ciężkie triremy roztrzaskały słabą blokadę skutych łańcuchami małych statków. Magiczna broń rozprawiła się z kontratakami obrońców portu. Tolivar nie dostrzegł żadnych czarów obronnych, które mogłyby być rzucone przez Arcymaginię. Pluszcząc wiosłami, powiewając proporcami, najeżdżca flota zaatakowała stolicę Laboruwendy i ani jeden statek nie próbował jej powstrzymać.

Słońce właśnie wschodziło. Ciemna sylwetka ufortyfikowanego pałacu królewskiego z wielką Zotopaniońską Wieżą w środku i punktami ognisk na murach majaczyła na tle purpurowoszkarłatego nieba. Zaróżowiony od słońca śnieg pokrywał baseny portowe, ulice i domy. Cienkie smużki dymu unosiły się pionowo w górę z niektórych budynków na nabrzeżu. Zamilkł wiatr, powietrze było nieruchome.

W wewnętrznym basenie, w wyniku zetknięcia się zimnego powietrza znad lądu z cieplejszym morskim, powstała mgła, która przesłoniła wodę grubym obłokiem. Wydawało się, jakby raktumiańska flota przeorywała mgłę brnąc w stronę lądu. Kiedy pirackie triremy znalazły się w zasięgu ustawionych na brzegu katapult, wystrzeliły z broni Zaginionych chmurę żółtych, niebieskich i szkarłatnych ognistych kul. Tym razem jednak śmiertcionośne meteory nie dosięgły celu. Mały książę krzyknął ze zdumienia widząc, jak mgła się skupia i tworzy wielką rękę. Świecąca słabym blaskiem jak lustrzane odbicie nieprzyjacielskich pocisków, owa dłoń zmiotła je jak zmęczony wędrowiec chmurę dokuczliwych owadów. Kiedy Raktumianie wystrzelili następną serię ognistych kul, gigantyczna ręka zebrała je i podrzuciła w górę, a tam zgasły jak zdmuchnięte.

Mgła, która otaczała raktumiańską flotę, napłynęła kłębiącą się falą i Tolowi wydawało się, że za chwilę wynurzą się z niej następne ręce.

— Cofnijcie się, Raktumianie! Opuśćcie port, zanim będzie za późno! — zagrzmiął znów głos Arcymagini.

— Cóż to za głupie widowisko, Haramis? — spytał pobłażliwym tonem Orogastus. — Zamierzasz nas odpędzić tymi dziecinnymi sztuczkami? Wiemy, że rzuciłaś na nas iluzję! Nasze pociski trafiły w brzeg i wyrządziły wielkie szkody. Twoja gigantyczna dłoń to zwykłe widmo. Nie zdołasz nam nic zrobić! — I roześmiał się na całe gardło.

— Jeśli ty i twoi poplecznicy nie zawrócicie — w głosie Arcymagini dźwięczała nuta rozpacz — czeka was śmierć tak straszna, że nie umiecie jej sobie wyobrazić.

— Naprawdę? — spytał sceptycznie czarownik. — Odpowiedz mi więc, Arcymagini: jeśli jesteś taka potężna, czemu nie skierujesz na nas naszych własnych pocisków? Czemu nie spalisz naszych okrętów astralnym ogniem, nie wybijesz kamieniami dziur w naszych burtach, nie wywołasz czarami ogromnej fali, która nas utopi? Wiem dlaczego! Dlatego, że nie możesz rozmyślnie zabić ani nawet zranić żadnej żywej istoty! Zdradziła mi to pewna czerwona książeczka, zresztą jeszcze wiele innych tajemnic też.

Jego donośny śmiech przetoczył się nad falami. Potem Orogastus dodał ostrzejszym tonem:

— Nie będziemy tracić czasu na gadaninę z tobą! Nasi dzielni żołnierze niecierpliwą się, chcąc jak najprędzej znaleźć się na brzegu...

Tolo jęknął. Nagle wydało mu się, że cała dzielnica portowa wybuchnęła płomieniami wyższymi od najwyższego budynku.

— Biedna Arcymagini! — powiedział z wyrzutem Orogastus. — Myślisz, że ta żalonna sztuczka przerazi dzielnych wojów z Tuzamenu i Raktum? O, nie! Dobrze wiemy, że twoje śliczne widoki nie mogą nam zrobić nic złego. Nie zatrzymamy się, nawet gdybyś wyczarowała hordy Skriteków, zapory z ciernistej paproci lub widmowe lawiny. Przebijemy się do królewskiego pałacu, zabijając każdego, kto stanie nam na drodze... Ale ty nie ośmielisz się nas zabić! Nie ośmielisz się! Przyznaj, że tak jest!

Nie otrzymał odpowiedzi. Płomienie na brzegu zniknęły. Wydawało się, że Arcymagini wycofała się, uznając swoją porażkę.

Raktumiański okręt flagowy majestatycznie skierował się na upatrzone miejsce zakotwiczenia. Tolo daremnie próbował dostrzec, czy na brzegu czekają jacyś żołnierze, kiedy drzwi jego kajuty otwarły się nagle i stanął w nich akolita w żółtych szatach. Jego oczy świeciły jak gwiazdy.

— Książę Tolivarze! — przemówił rozkazującym głosem samego Orogastosa. — Jesteś mi potrzebny! Ubierz się w królewskie szaty, które przynosi ci mój Żółty Głos, i zaraz przyjdź do mnie na pokład rufowy.

— Dobrze, Mistrzu... — Chłopiec omal nie zemdlął z wrażenia i ledwie zdołał zejść ze stołka. Nie doświadczał tego szczególnego przejawu mocy czarownika od pamiętnego dnia na Bezwietrznych Wyspach (jak dawno to było?), kiedy to wołał pójść z Czarnym Głosem niż ze swoją matką. Jakim był głupcem! Matka... ojciec... zostaną zabici. I tym razem to nie będzie sen.

Magiczny blask zgasł w oczach Żółtego Głosu. Kiedy Tolo nie ruszył się, by zdjąć koszulę nocną, sługa powiedział swym zwykłym, poirytowanym tonem:

— No, nie stój tutaj jak oszołomiony karoler szykujący się do serenady w blasku Trzech Księżyców! Chodź tu! Czy muszę cię ubrać, jakbyś był małym dzieckiem?

— Nie — odparł Tolo. Drżał na całym ciele; bezwolny jak lalka podniósł jedno ramię, a potem drugie, jedną nogę i drugą, gdy zręczący pod nosem sługa czarownika nakładał na niego złocistą, a potem niebieską jak niebo szatę. Przewiesił mu przez ramię zdobny drogimi kamieniami pendent, z równie ozdobną pochwą, w której tkwił królewski mieczyk o rubinowej rękojeści. Jak bardzo Tolo pragnął kiedyś mieć taki miecz! Teraz jednak oddałby go bez namysłu, byle znów być z rodzicami i rodzeństwem. Żółty Głos zawiesił na szyi małego księcia miniaturę Królewskiego Łańcucha z Labornoku: w złotych ogniach połyskiwały wielkie diamenty, a w centrum przyciągało wzrok zawieszenie z emaliowanego na czarno złota w kształcie trillium. Wreszcie akolita otworzył sakwę ze skóry washa i wyjął z niej koronę, pomniejszoną kopię wspaniałej Korony Ruwendy. Przyjrząwszy się jej, Tolo zauważył, że w odłamku bursztynu na zwieńczeniu nie było Czarnego Trillium, a kamienie sprawiały wrażenie matowych. Czyżby były fałszywe?

— Włóż ją, chłopcze! — warknął Żółty Głos. — Nasz Pan już czeka.

— Ależ ja nie mogę przebierać się za krok!

— Zrobisz to i będziesz to robił tak długo, jak spodoba się naszemu Panu. Masz być królem Laboruwendy i Panem Tuzamenu!

— Nie wiem, jak...

— Włóż koronę, bo czeka cię gniew Orogastusa, ty arogancki bachorze! — przerwał mu szorstko akolita. — Czy ty rzeczywiście jesteś taki głupi? Sądzisz, że naprawdę będziesz rządził albo pełnił obowiązki monarchy? Jesteś tylko kukłą i niczym więcej.

Żółty Głos wcisnął koronę na głowę Tok. Korona była ciężka i niewygodna. Później narzucił chłopcu na ramiona biały futrzany płaszcz bramowany złotogłowie i nasunął kaptur na koronę. Wreszcie chłopiec był gotowy. Akolita wyprowadził go z kajuty. Niemal wbiegł na zejściówkę.

Kiedy mały książę wyszedł na pokład triremy, wydano rozkaz zarzucenia kotwic. Rozległ się głośny huk i dwa głośnie pluśnięcia. Marynarze zaroili się na wantach i przy kabestanach,

zaczęto opuszczać ozdobne żagle flagowca. Wiosła znieruchomiały. Statek dryfował, ucepiony kotwic, aż wreszcie zatrzymał się na środku basenu portowego, podczas gdy pozostałe raktumiańskie jednostki skierowały się w stronę nabrzeża. Niektóre miały roztrzaskane maszty, połamane balustrady lub inne ślady uszkodzeń, ale większość sprawiała wrażenie nietkniętych w potyczce z obrońcami.

Tolo i Żółty Głos weszli na pokład rufowy. Król Ledvardis, premier Jorot i generał Zokumonus z Tuzamenu czekali odziani we wspaniałe zbroje i grube futrzane płaszcze. Purpurowy Głos w pełnej szacunku postawie stał za Orogastusem, który miał na sobie budzące lęk srebrzysto-czarne szaty i gwiazdną maskę. Biedny Tolo oniemiał na ten widok. Czarownik podał Żółtemu akolicie Trójgłowego Potwora. Drugi talizman zawiesił sobie u pasa.

— Weź to, mój Głosie, i nie odstępуй króla, premiera Jorota i pana Zokumonusa podczas przygotowań do ataku na miasto. Pilnie szukaj nieprzyjaciół i melduj o ich planach. Wojownicy Tuzamenu i Raktum muszą szybko zawładnąć Derorguilą. Ostrzegam cię jednak, byś używał magicznego diademu tylko do obserwacji, gdyż jego tajemne moce mogłyby wyrządzić krzywdę tobie lub naszym sojusznikom.

— Będę ci posłuszny, Panie. — Żółty Głos z ukłonem wziął diadem i włożył go na ogoloną głowę.

— Jeszcze jedna sprawa — dodał Orogastus. — Wiesz, że nie będziesz mógł zobaczyć Arcymagini, gdyż ukrywa się ona pod zasłoną magii. Jest jednak nikła szansa, że dostrzeżesz ją swymi śmiertelnymi oczami. Gdyby tak się stało, zachowaj spokój. Pamiętaj, że nie może zrobić ci nic złego, dopóki nosisz mój talizman, w żadnym jednak przypadku nie próbuj samodzielnych działań! Natychmiast rozkaż diademowi, by uczynił cię niewidzialnym, zaraz skontaktuj się ze mną i powiedz mi, gdzie się ukrywa Arcymagini.

— Rozumiem — odrzekł akolita, a potem zwrócił się do Ledvardisa: — Jestem gotów, Wielki Królu.

Garbaty młodzian przyjrzał się Orogastusowi.

— Nie będziesz nam towarzyszył podczas ataku na miasto? — spytał.

— Mam co innego do roboty, Ledo — odparł uprzejmie czarownik. Jego oczy wydawały się równie srebrzyste i nieprzejrzyste jak fantastyczna maska, którą nosił. — Myślę, że na razie nie będziesz miał do czynienia z magią. Arcymagini musi być bardzo wyczerpana po walce. Wie, że nawet najprzeróżniejsze iluzje nikogo nie powstrzymają i prawdopodobnie zaniechała prób wystraszenia nas stąd. Już mnie nie widzi, a ja też nie mogę jej zobaczyć. Bardzo możliwe, że odeszła, by narodzić się z siostrą, szwagrem i ich uwięzioną w śniegach prowincjonalną armią.

— Znajdzie jakiś sposób, żeby użyć przeciw nam mocy czarodziejskiej — odpowiedział ponuro młody władca — a kiedy to zrobi, powinieneś tam być, aby jej się przeciwstawić!

— Obejrzałem już magicznym wzrokiem okolicę. Na brzegu czekają was tylko niebezpieczeństwa zwykle grożące w bitwie — pocieszył go Orogastus. — Wokół portu ustawiono katapulty oraz balisty, a jakieś dwa tysiące obrońców ukryło się w zabudowaniach portowych i wzdłuż drogi do pałacu. Powinieneś szybko z nimi skończyć. Wykorzystaj ten czas: dotrzyj jak najdalej. Czeka cię sława. Kiedy rozpocznie się ostateczny atak na pałac i Zotopaniońską Wieżę, będę u twego boku.

— Jak daleko jest teraz Antar z posiłkami? — spytał Jorot.

— Są dwanaście mil stąd i maszerują wyjątkowo powoli, kopny śnieg jest trudny do przejścia. Pałac będzie nasz i księżę Tolo zasiądzie na tronie, zanim odsiecz dotrze do bram miasta... jeżeli twoi narwiści korsarze dobrze wywiążą się ze swego zadania.

— Tak się stanie, jeśli ty spiszesz się równie dobrze i dopilnujesz, by nie zaskoczyła nas jakaś śmiertelnie niebezpieczna sztuczka Arcymagini — odparował Ledvardis.

— Ile razy mam ci powtarzać, że ona nie tylko nie może was zabić, ale nawet zranić! — wybuchnął czarownik. — Ona usiłuje tylko unieszkodliwić waszą broń. Jeżeli poszerzysz pole walki, tak ją oszołomisz, że nie będzie wiedziała, w którą stronę się zwrócić! A teraz idź, gdyż muszę rozważyć poważne magiczne problemy. — Odwrócił się plecami do młodego władcy.

Przez moment wydawało się, że rozgniewany Ledvardis odpowie coś szorstko, ale Jorot położył mu rękę na ramieniu. Młodziak posłuchał go z ponurą miną. Otulił się szczelnie futrem i zszedł do szybkiej łodzi. Kiedy Raktumianie znaleźli się poza zasięgiem głosu czarownika, ten westchnął i powiedział do Purpurowego akolity:

— Nasz Król–Goblin to samowolny chłopak. Jaka szkoda, że tak bardzo potrzebuję jego pomocy.

— Nie zawsze będziesz jej potrzebował, Panie. Kiedy Derorguila padnie i piraci złupią ją doszczętnie...

Orogastus spojrział na wpatrującego się w nich szeroko otwartymi oczami Tola i dodał pośpiesznie:

— Nie mówmy już o królu Ledvardisie, mój Głosie. Inny król potrzebuje naszej porady, jeśli ma dobrze odegrać swoją rolę w zbliżającym się dramacie. Królewski salon Ledvardisa powinien być teraz pusty. Zaprowadź tam Tolivara i weźmy się do pracy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Haramis ocknęła się z transu z poszarzałą twarzą.

— Niebieska Dama nie zna żadnego sposobu na przeciwstawienie się najeźdźcom bez naruszenia zasad, którymi się kierujemy. Ona też nie może skrzywdzić żadnej żywej istoty i umie posługiwać się magią tylko w dobrych celach lub do samoobrony — powiedziała zawiedziona.

Armia niedawnych buntowników zatrzymała się na odpoczynek wśród ośniezonych pól. Słońce stało wysoko na niebie, ale zasłoniły je chmury. Ostry wiatr dał z zachodu, od Krainy Wiecznego Lodu we wnętrzu światowego kontynentu. Antar, Anigel i Kadiya oraz rycerze, z którymi wyruszyli do obozu Osorkona, odpoczywali właśnie, gdy zmaterializowała się przed nimi Arcymagini. Opowiedziała siostrom i szwagrowi o nieudanej próbie powstrzymania ataku floty i dodała, że jest bardzo wyczerpana. Później wpadła na pomysł skomunikowania się z Arcymaginią Morza. Spytała Niebieską Damę, czy ta może udzielić jej pomocy w walce z najeźdźcami. Narada ta trwała prawie pół godziny i okazała się bezowocna.

Straciwszy wszelką nadzieję, Haramis usiadła na oblodzonej skale i napiła się korzennego wina z manierki, którą podał jej Sziki.

— Popatrz znów na walki w stolicy! — poprosił król. Antar i Anigel jakiś czas naradzali się szeptem z hrabią Gultreynem i panem Balanikarem, którzy stali obok. Na ich twarzach malował się niepokój. — Czy piraci już zagrozili pałacowi?

Haramis powoli podniosła talizman i ponownie zapadła w trans. Milczała kilka minut, a potem powiedziała:

— Pałac nadal jest bezpieczny. Wyniesiona na ląd broń Zaginionych na razie nie zdołała zniszczyć fortyfikacji.

— Bogu niech będą dzięki! — zawołał pan Balanikar.

— Podziękowałbym mu z całego serca, gdyby zmniejszył ten straszliwy chłód! — mruknął hrabia Gultreyn. — Chmury znów się zbierają i wkrótce spadnie śnieg. Zaspy staną się głębsze, a wtedy ani nasi ludzie, ani zwierzęta nie będą mogli iść dalej. Wszyscy zginiemy — a przecież w normalnych czasach bylibyśmy oddaleni zaledwie o godzinę jazdy od stolicy!

— Czy nie możesz oczyścić drogi, Haro? — zapytała Kadiya. Arcymagini pokręciła głową z zastanowieniem.

— Mogłabym stopić trochę śniegu, ale to by wam niewiele pomogło, zwłaszcza że znów znacznie padać. Jestem taka zmęczona...

— Wszyscy padamy z nóg, gdyż od dawna nie spaliśmy — powiedziała Anigel. — Z wyjątkiem dzieci, które przespały się w siodle. — Spojrzała na Nikalona i Janeel, którzy biegali po śniegu pod okiem laguna, obrzucając się śnieżkami.

— Wróg już wkrótce wyładuje na brzeg ciężką broń — zauważyła Haramis. — Muszę choć trochę odpocząć, a potem spróbuję bronić Derorguili. Obawiam się jednak, że żołnierze obsługujący maszyny Zaginionych zaatakują pałac w wielu miejscach jednocześnie, a gdy to się już stanie, wedrą się do niego pomimo moich wysiłków. Tak bardzo chciałabym myśleć jaśniej i móc was pocieszyć. Jednakże najlepsza rada, jakiej mogę wam udzielić, to żebyście wycofali się jak najprędzej.

— Nie! — odparł król, zaczerwieniony z gniewu. — Nigdy nie ucieknę!

— Do podnóża gór Ohogan jest tylko osiemdziesiąt mil — ciągnęła Haramis. — Dalej od morza śnieg nie jest tak głęboki, choć mróz większy. Raktumiańscy piraci na pewno nie będą was ścigać, czekają przecież na nich łupy w Derorguili. Moglibyście się ukrywać, aż pogoda się polepszy, a potem przejść do Ruwendy przez Przełęcz Vispir. Wówczas schronilibyście się w Cytadeli i zgromadzili nową armię...

— Haro! Właśnie przyszedł mi do głowy wspaniały pomysł! — przerwała jej Kadiya z rozjaśnioną twarzą. — Wiem, że Arcymagini Morza nie może nam pomóc w walce. Ale czy wspólnymi siłami nie mogłybyście zniszczyć tego okropnego śniegu? To nie byłoby przენiewierstwo waszym świętym obowiązkom!

Wyczerpana do ostatnich granic Haramis zwiesiła głowę, ale teraz podniosła ją i popatrzyła czujnie, z nadzieją.

— Nie mam pewności... Przecież ta pogoda to także oznaka naruszonej równowagi świata. Może nie zdołamy na nią wpłynąć. Trzeba jednak spróbować. — Podniosła się z trudem, ścisnęła w dłoni Trójskrzydły Krąg i zawołała: — Iriane! Słyszałaś? Czy to możliwe?

Otoczający ją Laboruwendianie krzyknęli ze zdumienia, gdy oślepił ich niebieski błysk i pojawiły się szafirowe bąbelki, które stawały się coraz większe i większe, aż połączyły się w coś w rodzaju sterty baniek mydlanych, tyle że wielkości rosłego mężczyzny. Wewnątrz skrzyła się lazurowa sylwetka upstrzona jarzącymi się gwiazdeczkami. Bąble wybuchły. Na ich miejscu stała korpulentna, uśmiechnięta kobieta w fałdzistych błękitnych szatach. Perłowe grzebienie podtrzymywały jej dziwacznie uczesane ciemnoniebieskie włosy.

— Zobaczmy, co da się zrobić! — powiedziała Arcymagini Morza do Haramis. — Weź mnie za rękę. Zapomnij teraz o swoim talizmanie. Jesteś Arcymaginią, która ma własne moce!

— Na Wielkiego Zota! — wykrzyknął Antar. — Ona przybyła! Ona naprawdę istnieje!

Iriane prychnęła pogardliwie i powiedziała ostro do króla:

— Wątpliwości nie pomogą twojej sprawie, młody człowieku. Radzę ci, żebyś modlił się z całego serca, gdy twoja szwagierka i ja spróbujemy stopić śnieg! A wy — skinęła głową do Anigel i Kadiyi — chwycicie swoje amulety i także się módlcie, nawet jeśli nie złączycie się z siostrą w Płatki Żywego Trillium. To, czego się podejmiemy, nie będzie łatwe. Potrzebna nam będzie wasza pomoc!

Speszony Antar padł na kolan i pochylił głowę nad złożonymi do modlitwy dłońmi. Anigel i Kadiya poszły w jego ślady, a zgromadzeni wokół rycerze i wielmoże zrobili to samo, podobnie Niki, Jan oraz Sziki i Jagun. Wieść o tym, co się dzieje, szybko rozniosła się po całej armii. Wszyscy wojownicy uklękli na śniegu i modlili się pod ołowianym niebem.

Najpierw nic się nie działo, tylko aury obu Arcymagii zaświeciły mocniej. Świecąca złocistym blaskiem aureola otaczała Haramis, a aura Iriane była niebieska. Na ich styku magiczna energia przybierała błyszczącą zieloną barwę. Zielone światło strzeliło do góry, przybrało formę lancy, sięgnęło burzowych chmur i rozlało się po nich szybko jak błyskawica. W tej samej chwili, gdy Arcymaginie były bliskie sukcesu, Haramis wyczuła wrogą moc, która ze wszystkich sił starała się zniszczyć ich czary. To Orogastus! Nie musiała go widzieć, wiedziała, że jest tutaj i walczy z nimi, w obawie, że chłód ulegnie zaklęciom obu Arcymagii.

Zielona poświata na niebie zbladła i zniknęła, a chmury znów stały się szare. Niebieska Dama, wstrząśnięta tym podstępny kontratakiem, cofnęła się chcąc zaprzestać tej niebezpiecznej współpracy.

— Nie, Iriane! Zaczekaj!

Haramis sięgnęła myślą w głąb siebie, do tej części swego umysłu, która była Jedną z Trzech. Ostatkiem sił jednym ciosem niewidzialnego miecza rozrąbała duszącą złą moc. Magiczna energia Żywego Trillium rozproszyła się, ale przedtem zrobiła to, co do niej należało. Złota i niebieska poświata jeszcze raz strzeliły w górę, zmieszały się, zalały niebo. Rozbrzmiał potężny kurant, jakby nagle odezwało się sto dzwónów jednocześnie.

A potem zielony blask zniknął.

Iriane i Haramis stały obok siebie, pozbawione magicznych aureoli. Na ich twarzach malowała się nadzieja i oczekiwanie. Powiał słaby wiatr i był ciepły, naprawdę ciepły. Zdumione westchnienie wyrwało się z tysięcy piersi. Zwykła błyskawica rozdarła niebo,

rozgałęziła się na wszystkie strony i grom rozległ się nad ośnieżonymi polami, na których odpoczywała prowincjonalna armia Laboruwendy.

Zaczął padać deszcz.

Deszcz ciepły jak krew, prawdziwy potop, jakby z nieba lunął na ziemię cały wodospad. Wielkie krople deszczu wybiły dziury w zaspach i rozpuściły lód. Ulewa chlustała na podniesione ku niebu, odmrożone twarze rycerzy i żołnierzy, zmywała szron z ich zbroi. Potoki wody przemoczyły do suchej nitki roześmianą królewską parę. Niki i Jan krzyczeli i tańczyli z radości. Froniale bojowe, czując nagły wzrost temperatury, potrząsnęły głowami, zarżały z zadowoleniem i grzebnęły rozdwojonymi kopytami w powiększających się wciąż kałużach.

— Do Derorguili! — ryknął Antar. Wskoczył na siodło i podniósł miecz. — Do Derorguili! — I odjechał między szeregami wojowników, którzy wstawali z kolan i wiwatowali tak głośno, że omal nie zagłuszyli huku grzmotów i szumu ulewy. Gultreyn, Balanikar i pozostali wielmoże również pośpiesznie wsiedli na swoje froniale i rozjechali się pomiędzy kolumny szykujące do wymarszu.

— No cóż, udało się. — Iriane uśmiechnęła się do Haramis. — Cieszę się. Czy to twój nieznośny kochanek próbował nam przeszkodzić?

Twarz Haramis była sina po okropnym wysiłku. Deszcz przemoczył jej szaty, czarne włosy strąkami lepiły się do głowy. Natomiast Arcymagini Morza była suchutka i elegancka jak zawsze.

— To rzeczywiście był Orogastus. Na szczęście nie wiedział, że mi pomagasz. Gdybyś chciała go zobaczyć magicznym wzrokiem, uważaj, bo nauczył się mnie podglądać. Możliwe, że potrafiłby dostrzec i ciebie.

— No cóż! — Niebieska Dama roześmiała się nerwowo. — Myślę, że na jakiś czas pohamuję moją ciekawość.

— Dziękuję ci za pomoc. Czy będę mogła cię wezwać w razie potrzeby?

— Hm... — Lekka zmarszczka przecięła jasnyniebieskie czoło Arcymagini Morza. — Ściśle biorąc, nie powinnam zajmować się sprawami lądu. Ale deszcz niewiele różni się od wody morskiej, mogłabym więc nagiąć prawo, zwłaszcza że nie była to magia ofensywna. Na pewno zrobię, co będę mogła, lecz tylko wtedy, gdy będzie to zgodne z arcymagicznymi prawidłami. Ach, jakże pragnęłabym, żeby nas tak nie ograniczano! Czasami zasady tak bardzo utrudniają życie!

Zniknęła w kłębach ciemnoniebieskiego dymu. Haramis odwróciła się do sióstr, które zbierały swoje rzeczy przy pomocy Szkiego i Jaguna.

— Myślisz, że zdołamy teraz dotrzeć na czas do pałacu? — spytała Kadiya.

— Jak dotąd atakują go tylko nieliczne oddziały tuzameńskich wojowników — odparła Haramis. — Piraci walczą w tych częściach miasta, gdzie łatwiej o bogate łupy. Tak, teraz, kiedy drogi są wolne od śniegu i mrozy ustały na jakiś czas, myślę, że dotrzemy do pałacu.

— Zostaniesz z nami, Haro? — zapytała królowa podnosząc wzrok. Poprawiła mokre płaszcze Nikłego i Jana. Ulewa nie słabła, strugi wody wciąż lały się z nieba. — Będziesz nas chronić? Zamyślona Arcymagini nie odpowiedziała od razu, pojawił się bowiem Antar.

— Jeszcze nie widzę was na froniałach, moje damy! Sziki, Jagunie! Przyprowadźcie wierzchowce królowej, Pani Czarodziejskich Oczu i przygotujcie jednego dla Białej Damy.

Odmieńcy pobiegli wykonać rozkazy.

— Jestem śmiertelnie zmęczona — powiedziała Haramis. — Na drodze do Derorguili nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo. Muszę przespać się kilka godzin, by odzyskać siły. Mam dość magicznej energii, żeby przenieść się do pałacu. Jeśli chcesz, mogę zabrać ciebie i Anigel.

— Muszę pozostać z moimi ludźmi — odparł Antar. — Byłbym ci jednak bardzo wdzięczny, gdybyś zabrała moją małżonkę i dzieci na Zotopaniońską Wieżę, tam będą bezpieczne. Anigel ucieszy Owanona wieścią o bliskiej odsieczy.

— Antarze, chcę zostać z tobą... — zawołała królowa.

— Możliwe, że będziemy musieli przebijać się do pałacu — skarcił ją surowo. — Nie mam dość wojowników, by strzegli twego bezpieczeństwa. Plan Arcymagini jest dobry. Proszę cię, byś jej towarzyszyła.

Anigel zgodziła się niechętnie. Przywołała do siebie syna i córkę, a Haramis rozpostarła swój płaszcz. Kiedy jednak królowa i jej dzieci przytuliły się do Arcymagini, ta powiedziała nagle:

— Jest jeszcze dość miejsca... Kadi, ty też wrócisz do pałacu. Trzy Płatki Żywego Trillium nie powinny się rozdzielać w krytycznej chwili.

Kadiya otworzyła już usta, by się sprzeciwić, ale Haramis ciągnęła:

— Nie możemy oczekiwać aktywnej pomocy od Arcymagini Morza. Będę potrzebowała waszego wsparcia. Gdybyście mi nie pomogły, nigdy nie odparłabym ataku Orogastusa i nie sprowadziła deszczu. Jednak nasza jedność była tylko przelotna i niezbyt silna. Musimy lepiej się spisać, jeśli chcemy raz na zawsze pokonać czarnoksiężnika i jego sojuszników.

— Przysięgam ci wierność aż do śmierci — zapewniła ją gorąco Kadiya i wsunęła się pod płaszcz Arcymagini. Lecz Anigel wydawała się dziwnie roztargniona.

— Ten wielki chłód — mruknęła patrząc na Haramis — tak naprawdę wcale nie został usunięty z naszego kraju! Tylko przegnany na jakiś czas z tego małego rejonu.

Arcymagini niechętnie skinęła głową.

— W takim razie jak możemy zwyciężyć? — spytała Anigel.

— Za jakieś trzy godziny dotrę do Derorguili — wtrącił Antar. — Z tymi dodatkowymi siłami nasze szanse znacznie wzrosły. Kochanie, nie trać nadziei!

Haramis zamknęła oczy. Król nie zrozumiał, jak ważne pytanie zadała Anigel, ale Arcymagini w pełni pojęła jego znaczenie. Nie wiedziała, jak na nie odpowiedzieć, i w tej chwili było jej to obojętne. Chciała tylko spać. Z wielkim trudem przywołała z pamięci kryształowy obraz królewskiego salonu w Zotopaniońskiej Wieży.

— Zegnajcie! — zawołał król. — Jeśli Trójjedyny pozwoli, dołączymy do was za kilka godzin.

Kryształowa wizja stała się rzeczywistością.

Haramis odważyła się odetchnąć. Dotarli bezpiecznie, choć przemoknięci do suchej nitki. W pokoju było zimno i ciemno, gdyż ogień zgasł w kominku. Haramis zastanowiła się, czy pozostało jej choć trochę magicznej energii...

Tak. Wielki ogień zapłonął na kominku. Ubrania w jednej chwili osuszyły się i nagrzały. Anigel, Kadiya i dzieci krzyknęły radośnie, choć z odrobiną lęku.

— Wezwę służbę, by natychmiast przygotowała ci moje łóżko — powiedziała królowa do Arcymagini.

Haramis wszakże dostrzegła w rogu miękkie tapczan. Osunęła się nań bezsilnie i natychmiast zapadła w głęboki sen. Jej bursztynowy amulet świecił tak słabo, że wydawało się, iż ledwie żyje.

— Panie! Panie! Obudź się! — Żółty Głos chwycił bezwładną rękę w srebrzystej rękawicy i przyłożył ją sobie do czoła. — Panie, wróć! Żyj, drogi Panie! Och... Ciemne Moce, wróćcie mu siły!

Orogastus jęknął. Jego ciało leżące dotąd bezwładnie na podłodze królewskiego salonu na raktumiańskim flagowcu, poruszyło się lekko. Purpurowy Głos pośpiesznie rozwiązał i zdjął maskę z twarzy czarownika, a potem podłożył mu poduszkę pod głowę.

— Nie stój tu jak słup soli, chłopcze! — skarcił Tola. — Przynieś wódki!

Nauka etykiety dworskiej została przerwana w dziwny sposób i mały książę, siedząc na podróznym tronie króla Ledvardisa, był świadkiem zdumiewającego magicznego pojedynku. Orogastus zrobił krótką przerwę, by zobaczyć, co porabia władca Laboruwendy, i najwidoczniej odkrył coś, co mogło pokrzyżować jego plany. Zalany zieloną poświatą, z oczami świecącymi jak dwa białe reflektory, jakby walczył z niewidzialnymi demonami, krzyczał i zadawał ciosy talizmanem, a potem zemdłał. Tolo zdumiał się, że nawet tak potężny czarownik może zostać pokonany. Dało mu to dużo do myślenia.

Chłopiec chwiejnym krokiem podszedł do kredensu, nalał nieco trunku do złotego kielicha i przyniósł go akolicie.

— Co się stało? — zapytał. — Czy coś mu się stało?

— To czary — odparł lakonicznie Żółty Głos. — Arcymagini Haramis zaczęła rzucać potężny czar: chciała zmienić pogodę. Nasz Pan przypadkiem to zauważył i próbował ją powstrzymać. Ale... nie udało mu się. Z niewyjaśnionych powodów.

— Nie udało się — powtórzył głośno Orogastus. Otworzył oczy. Sługa włożył mu do ręki kielich z wódką. Czarownik wypił go jednym haustem. Był oszołomiony i skonsternowany.

— Tylko przypadkiem pomyślałem o przyjrzeniu się królowi Antarowi. Odkryłem, że pogoda w miejscu, gdzie przebywa jego armia, ma się zmienić. Natychmiast zrozumiałem, że musi tam być Haramis, chociaż nie zdołałem jej dostrzec. Wytężyłem całą moc, by utrzymać mróz. Inaczej bowiem posiłki dotarłyby na czas do stolicy Labornoku. — Skrzywił się z bólu. — Ale nie udało mi się. I w ostatniej chwili, tuż przed moją klęską, zobaczyłem... zobaczyłem...

— Co zobaczyłeś, Panie? — Akolita rozluźnił zapięcie ciężkiego płaszcza czarownika i usadowił go wygodniej.

— Zobaczyłem Haramis. I... kto to był? Na pewno dwa Płatki Żywego Trillium. Ale jestem prawie pewien, że był tam jeszcze ktoś. — Orogastus pokręcił głową. — Ale kto? — Zmarszczył brwi i zaklął: — Mój mózg nie nadaje się do niczego, jest jak miska zsiadłego mleka.

— Czy nie możesz ponownie przywołać zadymki? — spytał sługa. — Przecież rozkazujesz burzom! Słuchają cię mroźne wiatry, niosąc ruinę i rozpacz twoim nieprzyjaciołom! Na pewno, kiedy odpoczniesz i odzyskasz siły...

Orogastus podniósł dłoń.

— Mój Głosie, pozwoliłem królowi Ledvardisowi i reszcie naiwnych Raktumian wierzyć, że to ja przywołałem niepogodę, która spustoszyła Laboruvendę. Przed tobą jednak nie muszę udawać. Tak, rozkazuję małym burzom, ściągam z nieba błyskawice, wywołuję trąby powietrzne i przyzywam wicherę, która gna nasze statki. Nie umiem jednak siać spustoszenia na tak wielkiej przestrzeni. Przekracza to moje możliwości — możliwości Arcymagini Haramis również. Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego klimat tak się zmienił. Czasem się nad tym zastanawiałem, ale przepędzałem te myśli, gdyż niezwykle o tej porze roku burze wspomagały moje plany. Lecz to niepowodzenie... Nie rozumiem, jak do tego doszło! We wcześniejszych pojedynkach z Haramis nasze siły były mniej więcej równe. Później się zmęczyła i wycofała, gdy przerwaliśmy blokadę zatoki. Nie powinna była zwyciężyć w tym starciu!

— Więc jak to tłumaczysz, Panie?

— Siostry jej pomogły. Jestem tego pewien. Jednak trillium królowej Anigel nadal jest czerwone jak krew, dlatego Żywe Trillium nie ma całego swego potencjału magicznego. A jednak zostałem pokonany.

Orogastus usiadł. Wziął napełniony ponownie kielich z ręki swego sługi i wypił do dna. Zakaszłał, a potem przyłożył pięść do czoła.

— Wyczarowały ciepłe powietrze i deszcz, ale tylko na pewnym obszarze, na południe od Derorguili. Prowincjonalna armia dotrze teraz szybko do stolicy. Niech będzie przeklęta!

Spróbuj przyłączyć się do oddziałów broniących pałacu królewskiego. Musimy natychmiast wyjść na brzeg i objąć dowodzenie. Trzeba oderwać Króla–Goblina i jego ludzi od plądrowania i zmusić, by powrócili do walki. Powiniennem też wziąć drugi talizman od Żółtego Głosu. Będę potrzebował obu, by pokonać Haramis.

Jęknął wstając i dopiero wtedy zauważył księcia Tolivara.

— Zostaw mnie na chwilę, Purpurowy Głosie, i zabierz ze sobą chłopca. Każ przygotować łódź, która zawiezie nas na brzeg. Będziemy potrzebowali mojej tuzameńskiej gwardii. I koniecznie zabierz gwiazdną skrzynkę. Jeżeli zdołam odnaleźć i pokonać Haramis, muszę od razu objąć w posiadanie jej talizman.

Akolita uklonił się głęboko.

— Jestem ci posłuszny, Panie. — Tolo pośpieszył za nim. Orogastus wyjął Potrójne Płonące Oko z pochwy, odwrócił i trzymał przed sobą za tępy brzeszczot.

— Talizmanie, powiedz mi prawdę.

Czarna powieka srebrzystego oka podniosła się.

— Zrobię to, jeśli pytanie będzie stosowne.

— Kim są osoby, które pomogły Arcymagini Haramis w wyczarowaniu ciepłego deszczu?

— Kadiya, Pani Czarodziejskich Oczu, i Anigel, królowa Laboruwendy.

— Tak, tak. Wiem, że był ktoś trzeci! Kto to był?!

— Iriane, Arcymagini Morza.

— Na kości Bondanusa! — zawołał czarownik. — Jeszcze jedna Arcymagini? Jak to możliwe?

— To pytanie jest impertynenckie — odparł talizman.

Orogastus zaklął ze złością.

— Powiedz mi prawdę: ile jest żywych Arcymagiń albo Arcymagów?

— Arcymagini Łądu, Arcymagini Morza i Arcymag Firmamentu.

— Jak mogę ich zobaczyć i porozmawiać z nimi?

— Obecnie żadne z nich nie chce z tobą rozmawiać, nie pozwolą też ci się zobaczyć. W przyszłości, jeśli będzie miał na to ochotę, Denby, Arcymag Nieba, może zechce z tobą porozmawiać. Teraz go nie interesujesz — dodało Potrójne Płonące Oko.

Orogastus zmełł w zębach przekleństwo i powiedział z wielką słodyczą w głosie:

— Przekaż moje najserdeczniejsze pozdrowienia Denby’emu, sławnemu Arcymagowi Nieba. Pokornie czekam na jego łaskę.

— Zostały przekazane. — Oko zamknęło się powoli.

Przez następnych kilka minut czarownik rozmyślał gorączkowo. Później schował talizman, wziął płaszcz i maskę, i przygotował się do zejścia na ląd.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

W portowej dzielnicy Derorguili kończyły się właśnie, kiedy Orogastus, księżę Tolivar i Purpurowy Głos zbliżyli się do brzegu w czólnie, w którym wiosłowało dwunastu ciężko uzbrojonych tuzameńskich wojowników.

Opustoszałe okręty sił inwazyjnych tłoczyły się w porcie w kilku rzędach i czólno musiało długo lawirować między nimi, aby dotrzeć do mola. Na brzegu panował prawdziwy chaos. Padała poranna mżawka. Ostre dymy snuły się w powietrzu, a na topniejącym szybko śniegu, szerniałym od sadzy, czerwonym od krwi, leżały ciała obrońców i napastników.

Ustawione nad wodą drewniane katapulty, które miały odeprzeć atak piratów, paliły się wielkim płomieniem pomimo ustawicznego deszczu. Zakrwawione zwłoki obsługujących je Laboruwendian spoczywały rozrzucone wśród stosów kamieni i przewracanych beczek ze smołą. Zabudowania portowe, których obrońcy pierwsi stawili czoło napastnikom, również płonęły. Zwały martwych żołnierzy, zarówno Raktumian jak i Laboruwendian, tarasowały wąskie przejścia pomiędzy magazynami portowymi. Większość wielkich budynków miała szeroko otwarte drzwi i wyłamane okiennice. Raktumiańscy żeglarze wynosili łupy i układali je na nabrzeżu. Rozwinięte bele kosztownych tkanin, rozsypane wiązki futer, puste skrzynki po cennych świecidłach, zbite butelki i beczułki po trunkach świadczyły o dokonanej wcześniej grabieży. Zgodnie z wydanym królowi Ledvardisowi rozkazem czarownika, Raktumianie schodzili się ze wszystkich stron, by pomóc swoim tuzameńskim sojusznikom w zdobyciu pałacu królewskiego.

Podczas gdy czwórka gwardzistów wyruszyła na poszukiwania jakiegoś wozu dla swego pana, Orogastus zatrzymał się pod kamienną bramą Banku Handlowego w Derorguili i na krótko pogrążył się w transie. Odzyskał już trochę sił i chciał porozmawiać z Żółtym Głosem. Po skończonej rozmowie czarownik miał ponurą minę.

— Królowa Anigel jest w Zotopaniońskiej Wieży ze swą siostrą Kadiją — powiedział do Purpurowego akolity. — Żółty mówi, że są tam także królewskie dzieci. Wiadomo też, że Arcymagini przyłączyła się do nich i teraz odpoczywa. Ale bez względu na to, czy Haramis czuwa, czy śpi, pozostaje ukryta za ochronnym czarem utkanym przez jej talizman. Jednakże przez jakiś czas nie będzie nam się przeciwstawiała. Trzeba szybko wykorzystać tę sytuację!

— To wspaniała nowina! — odrzekł Purpurowy Głos.

— Zła nowina to wieść, że król Antar szybkim marszem nadciąga z południa z prawie trzytysięczną armią — dodał jego pan. — Pałacu bronią dwa tysiące Laboruwendian, głównie rycerzy i żołnierzy wyborowych. Jeżeli król przyjdzie im z odsieczą, będziemy mieli twarde orzech do zgryzienia i nie obejdzie się bez poważnych strat. Nasze tuzameńskie oddziały otaczające pałac znalazły się pod silnym ostrzałem katapult. Trzymają się dzielnie, ale są przeredzone i musimy pośpieszyć im z pomocą.

— Czy będziemy mogli zrobić wyłom w ścianie pałacu? — zapytał akolita. Trzymał mocno za ramię małego księcia Tolivara, który słuchał tej rozmowy z wielkim zainteresowaniem, prawie zapomniawszy o wcześniejszych obawach.

— Niestety, moja broń nie jest zbyt efektywna. Ten przeklęty mur obronny jest za gruby! Muszę dostać się pod mury. Spróbuję się włamać do środka za pomocą czarów obu talizmanów. Musimy koniecznie zdobyć Zotopaniońską Wieżę i królową wraz z dziećmi zabić, zanim przybędzie Antar.

Jeden z gwardzistów czarownika, wysłanych po jakiś środek transportu, wrócił biegiem.

— Panie, w wozowni jest pełno pięknych powozów, ale nie możemy znaleźć żadnego zwierzęcia.

— To nieważne — odparł Orogastus. — Nie mogę dłużej czekać. — Wybrał sześciu tuzameńskich wojowników, którzy mieli mu towarzyszyć, i ruszył pieszo do odległego o milę

pałacu, który znajdował się w samym środku miasta. Purpurowy Głos miał udać się za nim z Tolem i resztą gwardzistów, wysłanych po wóz.

— Pilnuj, by młodemu królowi nie stało się nic złego — zakończył czarownik — i bądź gotów przyprowadzić go, kiedy tylko zrobię wyłom w murze pałacu. Może będzie nam potrzebny, by zmusić jego matkę lub Arcymaginię do kapitulacji. — Powiedziawszy to odszedł. Krople deszczu połyskiwały na jego srebrzysto-czarnych szatach.

Tolo wiercił się w uścisku Purpurowego Głosu, bardziej rozgniewany niż przerażony strasznymi słowami, wypowiedzianymi przez tego Orogastusa, którego jeszcze tak niedawno uwielbiał i podziwiał. Akolita potrząsnął mocno chłopcem i kazał mu stać spokojnie, bo dostanie w królewskie ucho. Książę rozplakał się z bezsilności.

W tej właśnie chwili tuzameńscy gwardziści wrócili z nieudanych poszukiwań jakiegoś wozu i wszyscy ruszyli w górę stromą ulicą tak prędko, że Tolo potykał się co chwila, nie mogąc nadążyć.

— Idziecie za szybko! — zaprotestował. — Te kocie łby są śliskie! Zgubię koronę!

Purpurowy Głos zaklął, przystanął i rozkazał jakiemuś gwardziście:

— Weź tego nieznośnego bachora na ramiona, Kaitanusie. Ja już dźwigam gwieздną skrzynkę naszego Pana.

Barczysty olbrzym z bujną rudą brodą chwycił Tola i podniósł go niechętnie. Łuski zbroi chroniącej żołnierza i płytki zwisające z ostro zakończzonego hełmu boleśnie wpiły się w ciało chłopca, który krzyknął:

— Au! Au! Nie zniosę tego! Boli mnie!

Purpurowy Głos zaklął jeszcze siarczyściej niż przedtem.

— Postaw go na ziemi — rozkazał i przyjrzał się księciu z niesmakiem. — Przypuszczam, że to ja będę musiał cię nieść. Weź więc gwieздną skrzynkę i trzymaj ją mocno, jeśli ci życie miłe.

Tolo znów znalazł się w powietrzu, a potem trafił na bardziej miękkie siedzisko. Włożono mu z czcią w ramiona połyskującą od kropli deszczu skrzynkę z gwiazdą na wieku. Przycisnął ją do piersi, gdy ruszyli dalej.

Kłęby czarnego dymu, języki ognia, wrzaski łupieżców i rannych oraz przyprawiające o mdłości stopy trupów wydawały się nierealne małemu księciu, który patrzył na to wszystko znad purpurowego kaptura akolity. To zniszczone miasto w niczym nie przypominało Derorguili, którą znał; nigdy nie widział tego koszmarnego miejsca. Tylko zbudowany na wzgórzach wielki pałac górował nad niższymi budowlami, krzepki i znajomy, budzący ufność.

Dotarli do dzielnicy luksusowych niegdyś rezydencji, gdzie nadal toczyły się zacięte boje i gdzie tłuszcza Raktumian zajęta była grabieżą. Tolo zobaczył piratów obwieszonych sznurami pereł, złotymi łańcuchami i bransoletami, walczących na śmierć i życie z żołnierzami i rycerzami Dwu Tronów. Jednakże napastnicy mieli wielką przewagę nad obrońcami i mały książę wzdrygnął się widząc, jak jego rodacy padają na ziemię pod ciosami wyjących nieprzyjaciół. Krew zbrzgała nawet kosztowne szaty Tola, gdy Purpurowy Głos mijał walczących, bezpieczny w otoczeniu sześciu krzepkich gwardzistów. Tuzameńczycy wyciągnęli z pochew wielkie miecze i bili płazem zbyt zuchwałych Raktumian, którzy próbowali wyrwać im obwieszone klejnotami królewskie dziecko. Kiedy zbliżyli się do pałacu i odgłosy walki stały się jeszcze głośniejsze, biedny Tolo nie mógł dłużej na to patrzeć. Zacisnąwszy powieki, przytulił głowę do gwieздnej skrzynki. Wstrząsnął nim szloch, choć ani jedna łza nie popłynęła mu z oczu, i nie obchodziło go, czy przeżyje te straszne chwile, czy umrze.

I w tym właśnie momencie omal nie zginął.

Purpurowy Głos zachwiał się na nogach i wydał nieartykułowany okrzyk. Tolo z przerażeniem zobaczył, że górujący nad nimi trójpiętrowy budynek zakołysał się dziwnie. Jednocześnie rozległ się ogłuszający nieludzki skrzek, a po nim głuchy huk głębszy niż grom.

Dochodził nie z nieba, lecz z głębi ziemi. Gzymsy i ozdobne fasady runęły. Dachówki i cegły rozprysły się na wszystkie strony. Widząc przewracające się na nich ściany, ludzie krzyczeli w panice, zapomniawszy o bitwie i o łupach.

— To trzęsienie ziemi! — zawołał Purpurowy Głos.

Tuzameńscy gwardziści wymachiwali bezradnie mieczami. Gdy pochłaniały ich kłęby kurzu i dymu, łoskot spadających belek okiennic i szczęk tłuczonego szkła zagłuszył ludzkie okrzyki i huk osiągnął punkt szczytowy. Kiedy bruk ugiął się pod Purpurowym Głosem, ten zaskrzeczał, tańcząc w miejscu jak szalony. Puścił nogi chłopca i odrzucił go gwałtownie na bok. Tolo runął z krzykiem, nie wypuszczając z objęć gwiazdnej skrzynki. Leżąc już na ziemi zdał sobie sprawę, że otacza go coś ciemnego i kłującego, lecz tak sprężystego jak poduszka.

Przez długi czas malec leżał nieruchomo wśród ogłuszającego hałasu i zamieszania, zastanawiając się, czy jeszcze żyje. Lecz Władcy Powietrza nie pojawili się, by eskortować go do nieba, niespokojne ruchy ziemi ustały, ucichł też łoskot walących się budynków. Słyszał teraz tylko pobliskie ciche jęki i płacz, hałas upadających pojedynczych kamieni, trzask pękających belek i dźwięk kropel deszczu uderzających o koronę, która jakoś nie chciała spaść z jego obolałej głowy. Ukryty był w wielkiej kępie krzewów thranu, którego gęste i nieco lepkie igiełki kłuły mu twarz i dłonie. Ostrożnie, nie wypuszczając z rąk cennej skrzynki, wysunął się z zarośli i zeskoczył na ziemię, która znajdowała się tylko ell pod nim.

Oniemiał na widok zniszczenia, które go otaczało. Większość magnackich rezydencji leżała w ruinie, pęknięte mury odsłaniały wnętrza, a słaby deszcz moczył meble i gobeliny, które znalazły się pod gołym niebem. Ulicę blokowały kupy gruzu. Drzewa, które przedtem rosły rzędami po obu jej stronach, poprzeczylały się na wszystkie strony. Same ściany i bruk powyginały się tak, że nawet nie przypominały równej powierzchni. W powietrzu wisiały tumany pyłu, które deszcz szybko rozpraszał. W pobliżu kępy thranu, która ocaliła życie małemu księciu, wznosił się niemal na wysokość trzech elli wielki stos kamiennych bloków. A przecież dopiero co był to dom! Spod nadproża wystawała zabłocona ręka w brudnym purpurowym rękawie. Tuż za nią, na poły przysypany gruzem, leżał tuzameński gwardzista patrząc w niebo szeroko otwartymi martwymi oczami. Rozwarł usta w niemym krzyku.

Tolo wstał na nogi. Był podrapany i posiniaczony, a jego królewski strój wyglądał żałośnie. Nie miał jednak połamanych kości: ból głowy powoli ustępował. Chłopiec wgramolił się na szczyt pagórka i zwrócił wzrok w stronę królewskiego pałacu, czekając, aż opadną tumany pyłu.

Twierdza Dwu Tronów wciąż stała! Z oddali dobiegł Tola głos rogów bojowych i głośnie okrzyki oraz dziwne szczebioczące dźwięki, które wydawały maszyny Zaginionych. Słyszał syk bełtów wystrzeliwanych z kusz.

Więc walki się nie skończyły...

Malec zszedł na dół. Rozpiął podarty, brudny płaszcz i położył go na ziemi, potem zdjął niebieską aksamitną szatę, koronę, królewski łańcuch, ozdobny pendent oraz pochwę mieczyka. Rozmazał kilka garści błota na kaftanie ze złocistego brokatu, wysmarował twarz i włosy. Odciął kawał niebieskiego aksamitu i owinął w niego gwiazdną skrzynkę. Resztki szaty i regalia zaniósł do miejsca, w którym zginął Purpurowy Głos i tuzameńscy gwardziści. Pieczołowicie rozłożył niebieską szatę, na niej zaś ułożył pendent z pochwą, a w okolicy kołnierza umieścił w artystycznym nieładzie złoty łańcuch. Później nabierał kamiennych odłamków, przysypał nim strój i resztę królewskich oznak, tak że ledwie było je widać. Można by pomyśleć, że spoczywają tu zasypane zwłoki dziecka. Żeby jeszcze lepiej upozorować swoją śmierć, położył koronę na skraju kupy gruzu.

Pobrudziwszy porządnie futrzany płaszcz, chłopiec znów go włożył. Jego obszerne fałdy zasłaniały zarówno mały mieczyk zatknięty za pas, jak i gwiazdną skrzynkę. Teraz mały książę mógł wrócić do domu.

W zachodniej ścianie pałacu, w pobliżu Gnojnjej Bramy, znajdowały się drzwiczki, których nikt nie używał. Kiedyś śmieciarze usuwali przez nie z królewskich stajni nawóz, zanim dowiedziano się, jak bardzo jest przydatny na roli. Od tamtej pory drzwiczki zarosły pnączami i o ich istnieniu wiedzieli tylko ci, którzy pracowali w stajni, tak jak Ralabun, królewski Mistrz Zwierząt.

Ralabun, który był bliskim przyjacielem Tola, pokazał mu owe tajemne drzwi przed dwoma laty. Powiedział, że wychodził przez nie w wyjątkowo piękne noce, gdy świeciły Trzy Księżycy, i serce go bolało od niewoli, jaką cierpiał żyjąc wśród ludzi. Wówczas wykradał się z pałacu nad rzekę Guilę, gdzie miał ukryte czółno. Płynął na jedną z błotnistych wysepek, śpiewał tam i modlił się przez wiele godzin wedle starożytnych zwyczajów Ludu Bagien. Ralabun wyjawiał małemu przyjacielowi ten swój największy sekret. Mistrzowi Zwierząt nigdy się nie śniło, że tajemne drzwi ocalały kiedyś życie pewnego zbiegłego księcia... jeśli tylko zdąży do nich dotrzeć na czas.

Orogastus właśnie przybył na wielki plac rozciągający się naprzeciw północnej bramy pałacu, kiedy zatrzęsła się ziemia. Na placu stłoczyło się ponad sześć tysięcy mężczyzn, z których większość zajęła pozycje poza zasięgiem kusz i katapult ostrzeliwujących ich z parkietów pałacu. Tuzameńskie oddziały obsługujące broń zaginionych zbliżyły się do fortyfikacji pod osłoną specjalnych, chronionych metalowymi płytami wozów z wąskimi szczelinami z przodu, przez które strzelały magiczne maszyny. Wysoki obronny mur był poszczerbiony i obtłuczony, ale stał mocno. Kilku opancerzonych wozów dosięgły kotły z rozpaloną smołą wystrzelone z obwałowań pałacu: były teraz bezużyteczne, poczerniałe, dymiące. Otaczały je naszpikowane strzałami zwłoki. Jeszcze więcej ciał leżało wokół porzuconego tarana naprzeciwko głównej bramy.

Kiedy ziemia zatrzęsła się i grzmiała, z piersi napastników wyrwał się jeden wielki krzyk. Jedni natychmiast padli na ziemię, drudzy zaś biegali w kółko, ogarnięci paniką, wymachując bronią i wrzeszcząc na całe gardło, że to Arcymagini ich atakuje. Machiny oblężnicze podskakiwały jak łódki na wzburzonej morzu, a okalające plac budynki zaczęły się walić.

Orogastus najpierw pomyślał, że zrobiła to Haramis. Osunął się na kolana, oślepiiony tumanami kurzu, który wzbił się w powietrze i niemal natychmiast opadł jako błotnisty deszcz. Czarownik ze wszystkich sił ścisnął Potrójne Płonące Oko, błagając talizman, by uspokoił wstrząsy ziemi i ocalił żołnierzy. Kiedy jednak trzęsienie nie ustało, zawołał zdesperowany:

— Haramis! Haramis, na miłość boską! Czy chcesz zniszczyć swój lud wraz z moim?!

Dopiero po chwili dotarła do niego odpowiedź wstrząśniętej Arcymagini. Zobaczył ją uczipioną drżącego tapczana w jakiejś komnacie, nie przerażoną, ale zrezygnowaną i bezwonną.

— To nie moje dzieło. Świat się trzęsie, gdyż utracił równowagę. To twoja wina, choć nie uczyniłeś tego rozmyślnie.

— O czym mówisz?! — zawołał.

Nie odezwała się już więcej i jej obraz znikł. Po kilku chwilach ziemia znieruchomiała. Czarownik z trudem podniósł się na nogi. Jego tuzameńscy gwardziści klęli, żądając wyjaśnienia, co się stało, podobnie większość znajdujących się w pobliżu żołnierzy. Orogastus miał już zamiar wygłosić parę zdań dla otuchy, kiedy nagle usłyszał dziwny dźwięk.

To były wiwaty.

Wesołe, hałaśliwe wiwaty, wykrzykiwane zarówno z tuzameńskim, jak i raktumiańskim akcentem. Wojownicy wskazywali na pałac, krzycząc i śmiejąc się, choć wielu leżało na splekanym bruku, a niektórzy dopiero wstawali niezgrabnie w oszołomieniu.

— Mur! Mur! — ryczeli. — Chwała Orogastusowi! Chwała potężnemu czarownikowi! Chwała!

Nic nie rozumiejąc, Orogastus odwrócił się.

Po zachodniej stronie głównej bramy w masywnym murze ziała ogromna szczelina. Wielka wieża obok bramy również się zawaliła, a na wschodniej baszcie, na przeciwległym krańcu muru, pojawiła się siatka niebezpiecznych pęknięć.

— Chwała Orogastusowi! Chwała! Chwała!

Zagrały rogi bojowe króla Ledvardisa, dając rozkaz do ataku. Piracka horda z głośnymi okrzykami i w nieładzie ruszyła ku szczelinie w murach obronnych pałacu.

— To wspaniały wyczyn, Panie — powiedział drżącym głosem jakiś tuzameński gwardzista. — Ale następnym razem ostrzeż nas w porę...

Czarownik zdołał tylko skinąć głową. Schował do pochwy Potrójne Płonące Oko i poprawił gwiazdną maskę, która przekrzywiła się podczas upadku.

— Czy mamy przyłączyć się do ataku, Panie? — zawołał inny Tuzameńczyk.

— Za chwilę. Muszę odnaleźć moich akolitów. Chwyciwszy dłonią gałkę talizmanu, Orogastus rozkazał pokazać sobie Żółtego. Natychmiast zobaczył go biegnącego za krępą postacią króla Ledvardisa. Na głowie miał talizman zwany Trójgłowym Potworem.

— Czy z tobą wszystko w porządku, mój Żółty Głosie? Królowi–Goblinowi też nic się nie stało?

— Och, tak, Panie! Zdumiał go i przeraził twój godny bogów cios! W jednej chwili dokonałeś tego, czego nie zdołał uczynić ostrzał z magicznych machin. To niewiarygodne! Cudowne...

— Dość! — przerwał mu Orogastus. — Słuchaj mnie uważnie! Musisz teraz zachowywać się bardzo ostrożnie. Wejść do pałacu z atakującymi go Raktumianami, ale znajdź jakąś wymówkę, by opuścić króla Ledvardisa. Chcę, żebyś ukrył się gdzieś w bezpiecznym miejscu, aż do ciebie przyjdę. Potrzebuję magicznego diadem do ostatecznej konfrontacji z Arcymaginią. Dlatego musisz go zachować nawet za cenę życia. Zrozumiałeś?

— Tak, Panie. Zrozumiałem i jestem posłuszny.

— Więc do zobaczenia, mój Głosie.

Później czarownik polecił pokazać sobie Purpurowego akolitę. I wtedy zachwiał się na nogach z tak strasznym jękiem, że tuzameńscy gwardziści obnażyli miecze i skupili się wokół swego władcy, pytając z niepokojem, co się stało. Orogastus nie mógł im jednak powiedzieć, że Purpurowy Głos przeszedł w pokoju pod władanie Ciemnych Mocy i że mały książę Tolivar również zginął.

— Nie ma czasu do stracenia — oznajmił czarownik. — Dzięki środkom ostrożności, jakie przedsięwziąłem, nikomu nie stało się nic złego. Musimy ruszać do przodu! Nie bójcie się. Będę nas osłaniał czarami.

Gwardziści otoczyli go ciasnym kręgiem i pomaszerowali w stronę wyłomu w pałacowym murze niewielkim, zdyscyplinowanym oddziałkiem w tłumie wrzeszczących i miotających się Raktumian. Orogastus mówił z właściwą sobie arogancką pewnością siebie, lecz do jego serca wkradł się niepokój. Trzęsienie ziemi nastąpiło bez ostrzeżenia i dobrze wiedział, że w żaden sposób nie zdołałby go ani złagodzić, ani uspokoić. Jego gwardziści i większość armii inwazyjnej ocaleli tylko dlatego, że znajdowali się na otwartej przestrzeni, a nie wśród walących się budynków. Orogastus nie wyznałby nikomu, jak bardzo wyczerpała go bitwa na morzu i starcie z obiema Arcymaginiami. Zachował wprawdzie dość sił, by osłaniać siebie i swoich gwardzistów przed nieprzyjacielskimi pociskami, ale to długo nie potrwa, chyba że znów włoży magiczny diadem. Przekonał się, że Trójgłowy Potwór był tym talizmanem, który dodawał mocy myślom i wzmacniał go wewnątrz, podczas gdy pozbawiony czubka magiczny miecz zwiększał zasięg jego czarów. Zdał sobie sprawę, że oddając diadem swemu słudze, nawet na chwilę, popełnił wielki błąd.

Ciemne Moce, modlił się w duchu, zachowajcie go bezpiecznie. Niech dotrę do niego pierwszy, zanim Haramis zrozumie, że nie mam go przy sobie.

Zgrzybiały starzec pokiwał głową i uśmiechnął się z wyższością. Od początku wiedział, że to się nie uda. Żadna strona nie zwycięży. Powiedział to tamtym dwóm, kiedy po raz pierwszy wymyśliły ten plan i zapoznały go z nim.

Stanie się to, co ma się stać! Było to tak zdeterminowane i takie proste. Nie ma sensu się wtrącać ani starać się zmienić drogę, którą zmierza kosmos. Można na krótki czas oddalić to, co nieuniknione, ale na dłuższą metę stanie się to, co ma się stać.

Niedobrze, jeśli wszystko znów się rozbije. Z czasem jednak wróci równowaga. Czyż tak się już niegdyś nie stało?

Wiedział, jak się zakończy ta śmieszna sprawa. To wszystko było tak mało ważne. Banalne. Nic nie znaczące w porównaniu z tymi doniosłymi troskami, na których skupiał całą uwagę. Obie były niegodne nawet jego pogardy. Nigdy nie widziały rozwiązań, które miały pod nosem. Popelniały błąd za błędem.

Doprowadzało go to do szaleństwa. Dlaczego zawracał sobie głowę obserwując to wszystko?

Niedługo i tak będzie musiał tego zaprzestać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Haramis odwróciła się od rozbitego okna i chwiejnym krokiem wróciła na tapczan. Przychodziła powoli do siebie po szoku, jakim było dla niej trzęsienie ziemi, które ją obudziło, i krzyk Orogastusa. Uświadomiła sobie, że rzeczywistość jest jeszcze straszniejsza: właśnie zobaczyła z góry ogromną armię wrzeszczących, dmących w rogi najeźdźców zgromadzonych pod pałacem, którzy teraz wlewali się przez szczelinę w murze jak woda do dziurawej łodzi.

I Orogastus był wśród nich.

Co powinna zrobić? Co mogła zrobić?

Po pierwsze powinna zmusić swój zmęczony umysł do logicznego myślenia. Osunęła się na tapczan i przycisnęła talizman do czoła. Tak. Tak jest lepiej.

Wyglądało na to, że straszliwy wstrząs, który zniszczył większą część miasta, uczynił niewielkie szkody w Zotopaniońskiej Wieży — rozbił szyby i zrzucił na podłogę to, co znajdowało się na półkach i stołach. Deszcz padał do środka przez rozbite okno, mocząc zasłony. Znowu zrobiło się bardzo zimno i Haramis wiedziała, że chłody powrócą. Jak długo spała? Godzinę? Na pewno nie dłużej. Czowała się jednak już nieco silniejsza. Podnosząc talizman, wezwała swoje siostry.

— Anigel! Kadiyo! Nic wam się nie stało?

Były w sali rady, a z nimi marszałek Owanon, pan Penapat, kanclerz Lampiar i kilku innych wyższych oficerów. Tumany kurzu wisiały w powietrzu, krzesła były przewracane, świece, dokumenty i inne przedmioty rozsypane po podłodze. Kadiya pomagała czcigodnemu Lampiarowi wypełznąć spod ciężkiego stołu, który najwidoczniej posłużył jako zaimprovizowany schron podczas trzęsienia ziemi. Owanon podtrzymywał królową, która wyglądała na oszołomioną, lecz najwyraźniej nic jej się nie stało.

— Z nami wszystko w porządku — odpowiedziała Kadiya, podnosząc wzrok na podobiznę Arcymagini unoszącą się w powietrzu jak duch. — Ale o mało nie zginęliśmy, kiedy runął wielki świecznik. Na szczęście w ostatniej chwili zdołałam go odsunąć za pomocą mojego amuletu. Czy to sprawka tego łajdaka Orogastusa?

— Nie — odparła Arcymagini. — On jest teraz niemal tak osłabiony jak ja. To trzęsienie ziemi to jeszcze jeden objaw naruszenia równowagi świata.

Penapat i Kadiya zajęli się opatrywaniem rany na czole starego Lampiara, przemywając ją winem. Owanon pomógł królowej usiąść na krześle. Zapytał teraz Arcymaginię o stan pałacu po ustaniu podziemnych wstrząsów.

— Obejrzałam go tylko bardzo pobieżnie, ale mogę ci powiedzieć, że sytuacja jest wyjątkowo poważna. Mur obronny w pobliżu głównej bramy pękł od góry do dołu i wrogowie wdzierają się do pałacu. Zachodnia wieża zawaliła się, wschodnia ledwie się trzyma, chociaż niektórzy obrońcy pozostali na posterunku.

— A co z Zotopaniońską Wieżą?

— Na razie wytrzymała.

Marszałek skinął głową.

— Doskonale. Będę musiał zgromadzić oddziały znajdujące się poza pałacem. Spróbujemy bronić drzwi i zachować kontrolę przynajmniej nad zachodnim i południowym dziedzińcem. Tylne bramy musi pozostać otwarte na przyjęcie armii króla Antara. Mieliśmy nadzieję, że nasz władca przybędzie wcześniej.

Haramis szybko poszukała króla.

— Jest o godzinę drogi od Derorguili — poinformowała.

— Penaparie, Lampiarze — powiedział Owanon — to wam przypadnie obowiązek przygotowania obrony Zotopaniońskiej Wieży. Pośpieszmy się!

Kilku oficerów wybiegło z sali rady, pozostawiając Anigel i Kadię ze zjawą Arcymagini.

— Haro, co z moimi dziećmi? — zapytała królowa.

— Poszukam ich. Zaczekaj. — Po chwili Arcymagini oznajmiła: — Janeel jest bezpieczna w swojej komnacie z Immu. Ale Niki... Może chciał zobaczyć nadciągającego z odsieczą Antara, a może przyszedł mu do głowy szalony pomysł wzięcia udziału w walce. Znalazłam go przy koszarach obok tylnej bramy. Panuje tam straszliwe zamieszanie, gdyż budynek zawalił się podczas trzęsienia ziemi. Niki ma podrapaną twarz i podarte ubranie. Jest oszołomiony, lecz przytomny i siedzi między rannymi. Nie wiem, czy odniósł jeszcze jakieś obrażenia.

— Idź do niego, Haro! — krzyknęła żalonym tonem Anigel. — Uratuj go!

— Ja... Myślę, że jeszcze nie mogę się tam przenieść. W każdym razie nie natychmiast. Czary wymagają ogromnej koncentracji. Bardzo mi przykro, Ani, ale spałam krótko i obudziło mnie trzęsienie ziemi i jeśli spróbuję tam się przenieść, zanim odzyskam siły...

— W takim razie sama pójde po Nikiego! — Królowa zerwała się na równe nogi.

— W sam środek walki?! — spytała przerażona Kadiya.

— Tak! — krzyknęła dziko Anigel. — Jeżeli Hara nie chce pomóc mojemu synowi, sama go uratuję!

Stojąca nad królową Kadiya chwyciła siostrę za barki i potrząsnęła mocno. Jej zakurzone kasztanowate włosy rozsypały się na plecach i ramionach jak grzywa, a brązowe oczy płonęły.

— Nie! Nie pójdziesz! Pamiętaj, kim jesteś. Przypomnij sobie, kim jest Arcymagini i jakie ma obowiązki, które uroczyście przyrzekała wypełniać. Na miłość boską, siostrze, pozbądź się strachu i rozpacz, które odebrały ci zdrowy rozsądek. Postępuj jak królowa!

— Wiem, kim jestem! — jęknęła Anigel szarpiąc się jak schwytane w pułapkę zwierzę. — Jestem słaba, zła, godna pogardy, niegodna świętego urzędu, który pełnię! — Nagle zaprzestała walki i osunęła się w krzesło, przejęta ogromnym żalem. — Masz rację, Kadi. Prawdopodobnie nie zdołam ocalić mojego biednego synka. Umrze, tak jak my wszyscy. Jeśli nie zabije nas Zwycięski Lód, zrobi to czarna magia Orogastusa albo miecze jego nikczemnych żołdaków.

Kadiya rozluźniła uścisk na ramionach królowej. Uklękła i objęła ją czule.

— Najdroższa siostrzyczko, jesteś w błędzie. Wiem, że rozpaczasz z powodu naruszenia równowagi świata i uważasz, że jesteś za to odpowiedzialna. Ale to my wszystkie ponosimy za to winę, gdyż postępowałyśmy samolubnie, podle i niemądrze! Winiąc tylko siebie, kierujesz się dumą.

— Dumą? Jesteś niesprawiedliwa. Zawiodłam w wielu sprawach, to prawda, ale nigdy nie byłam ani wyniosła, ani aroganka.

— Zawsze byłaś dumna i nic do tego nie ma twoja wrodzona łagodność. Tak cię osłepiła dumą, że skoncentrowałaś się tylko na sobie i swoich, przestałaś widzieć prawdę. Całymi latami nie chciałaś wierzyć, że źle się dzieje w twoim zasobnym świecie. Nie chciałaś wierzyć, że może istnieć jakaś niesprawiedliwość, grozić jakieś niebezpieczeństwo. Chciałaś tylko być szczęśliwą, pragnęłaś szczęścia dla twego męża i dzieci i pławiłaś się w błogim zadowoleniu.

— Czy to grzech?! — zawołała z oburzeniem królowa.

— Może nim być, jeśli na kimś, kto tak się zachowuje, ciąży wielka odpowiedzialność. Twoje i twoich bliskich bezpieczeństwo i wygoda są ważne, przyznaję, ale nie najważniejsze na świecie. Istnieją ważniejsze sprawy oraz głębsze uczucia. I czasami musimy wiele poświęcić dla ich zachowania. Czasem nawet musimy za nie umrzeć albo, co gorsza, pozwolić, by zginęli ci, których kochamy.

Na ślicznej twarzy królowej malowało się zakłopotanie. Nic nie powiedziała i nie chciała spojrzeć siostrze w oczy.

— Kiedyś byłaś szlachetna i bezinteresowna. Odszukaj w sobie tamte cechy. Umieść swoje obowiązki władczyni ponad osobistymi potrzebami. Przegnaj ze swego serca gorycz, urazy i rozpacz, które się w nie wżarty. Takie uczucia nie tylko są niepotrzebne, one są jak trucizna! Kochaj swoją rodzinę, przyjaciół, swój kraj i świat. Ale kochaj ich nie dla swojej własnej wygody, lecz szczerze i mądrze, tak jak miłuje nas Trójjedyny. Możesz tak kochać, potrafiysz. Wiem o tym.

— Kadi... gdybym tylko mogła ci uwierzyć — szepnęła królowa.

— W głębi serca wiesz, że mówię prawdę oskarżając cię o egoizm, inaczej bowiem twoje trillium nie krwawiłoby ze wstydu.

Królowa podniosła zasmucone oblicze.

— Dopiero w tej chwili zrozumiałam, co naprawdę kryło się we mnie. Masz rację: byłam dumna z tego, co Antar i ja zrobiliśmy dla Dwu Tronów. Byłam dumna z moich pięknych dzieci i z samej siebie. Kiedy straciłam to wszystko, znienawidziłam cię za to, że nie rozumiałaś mojego cierpienia. Znienawidziłam Harę za jej wzniosłe ideały, które były znacznie szlachetniejsze niż te, które mną kierowały, i za to, że chciała wciąż rozszerzać swoją miłość. Wierzyłam, że mój małżonek i moje dzieci są najważniejszymi osobami na świecie — bardziej wartościowymi od ciebie, Hary, moich przyjaciół i mojego ludu. W miarę jak spadały na mnie coraz to nowe nieszczęścia, byłam gotowa zrobić wszystko dla ich ocalenia, nawet pozwolić, by Zwycięski Lód pochłonął świat.

— Tak. — Kadiya delikatnie ujęła dłonie królowej. Obie wstały.

— Nie miałam racji.

— Tak.

— Kadi, wybaczam ci z całego serca.

— Wiem.

Siostry objęły się serdecznie i ucałowały. Później królowa uniosła wysoko głowę.

— Ja... pójdę tylko na chwilę do Penapata i Lampiara, by zobaczyć, jak najlepiej mogę pomóc naszym dzielnym obrońcom. Nie umiem walczyć mieczem, ale...

— Ja umiem! — uśmiechnęła się Pani Czarodziejskich Oczu. — Zrobisz, co będziesz mogła. Ja tymczasem pójdę po tego łobuziaka Nikiego.

Odsunęła włosy z twarzy, wyciągnęła miecz i wyszła z sali rady. Królowa zaś powoli okrążyła zdewastowaną komnatę. Jak lunatyczka podniosła papiery z podłogi i starannie ułożyła na zakurzonej stole.

— Spójrz na swój amulet, siostro.

Anigel krzyknęła z zaskoczenia. Zupełnie zapomniała o widmie Arcymagini, która wszystko widziała. Wyjęła zza pazuchy amulet. Świecił złotym blaskiem, a ukryty w jego głębinie kwiatek trillium był czarny.

Żółty Głos już czterokrotnie próbował uciec od młodego króla Ledvardisa, który walczył na czele swych oddziałów, okazując zdumiewające zdolności jako szermierz i dowódca. Lecz walka stawała się coraz bardziej zaciekle, zwłaszcza od chwili, gdy raktumiańskie i tuzameńskie bataliony wdarły się na dziedziniec królewskiego pałacu przez wyłom w murze. Wykorzystały jako osłonę zrujnowaną zachodnią wieżę, z której uciekli wszyscy obrońcy, oraz równie solidnie zbudowane pomieszczenia dla służby, pralnię, piekarnię i stajnie znajdujące się po zachodniej stronie Zotopaniońskiej Wieży. Rycerze–piraci otaczający z obu stron młodego monarchę nie tylko osłaniali go swymi tarczami przed strzałami, ale odgradzali też nimi akolitę Orogastusa. Dlatego Żółty Głos mógł jedynie kontynuować swoje zadanie, wybierając co najlepsze miejsca dla wciąż działających machin Zaginionych (gdyż większość już dawno znieruchomiała), wskazując atakującym oddziałom najsłabsze punkty oporu i ostrzegając przed samobójczymi atakami uwięzionych w pułapce Laboruwendian. W chwilach, kiedy nie kulił się ze strachu o swoje życie, obserwował swego pana i rozmawiał z

nim. Orogastus otoczył siebie i sześciu gwardzistów niewidzialną magiczną zaporą, która osłaniała ich przed zwyczajną bronią. Nie pomogło mu to jednak, gdy próbował przepchnąć się przez tłum żołnierzy do swojego akolity. Do czasu, gdy Ledvardis i jego rycerze przebili się na obszerny dziedziniec przed królewskimi stajniami, czarownik zdołał jedynie przedostać się przez pęknięty mur odległy o dwieście elli.

Młody władca Raktum zamierzał atakować zachodnie drzwi wielkiej wieży, a nie główne, pomocne, bronione przez barbakan rojący się od kuszników, łuczników i ochotników z plemienia Nyssomu, którzy strzelali z dmuchawek zatrutymi strzałami.

Trzydziestu lub czterdziestu laboruwendiańskich rycerzy zgromadziło się, by podjąć beznadziejną próbę obrony zachodnich drzwi pałacu. Wojownicy Króla–Goblina właśnie ich dziesiątkowali, kiedy Żółty Głos dostrzegł za pomocą talizmanu grupę przynajmniej pięciuset ciężko uzbrojonych obrońców, którzy przybyli z południowej części ostatniego punktu oporu. Dowodził nimi bogato ubrany szlachcic w zielonym tabardzie. Wymachiwał mieczem tak szybko, że wielki brzeszczot wyglądał jak migotliwa tarcza siejąca śmierć. Rycerze i żołnierze, którzy maszerowali za tym niezwykłym dowódcą, rzucili się na Raktumian zgromadzonych przed zachodnimi drzwiami. Rozpoczęła się tak wielka rzeź, iż napastnicy w pewnej chwili zatrzymali się nagle. Niektórzy z piratów rzucili się do ucieczki i kieszka wydawała się nieuchronna.

— Kim jest ten wielki wojownik w zielonym stroju? — zapytał akolitę król Ledvardis.

— To Owanon, marszałek Obu Tronów i najbliższy przyjaciel króla Antara, panie. Sławny zwycięzca w turniejach w większości krajów świata.

Ledvardis zwrócił się do stojących w pobliżu rycerzy:

— Musimy coś z nim zrobić. Jego przykład sprawia, że obrońcy walczą jak szaleni. Kosi on naszych najdzielniejszych chłopców niczym dojrzałe zboże! Wszyscy do mnie. Skończmy z nim!

Wywijając mieczem młody władca wybiegł pomiędzy otaczających go rycerzy i pomknął do przodu. Po chwili wahania, natchnięci nową odwagą Raktumianie poszli w jego ślady. Żółty Głos wreszcie dostrzegł szansę ucieczki. Dał nurka w tłum, podnosząc skraj mokrej, brudnej szaty, i co sił w nogach pobiegł w stronę stajni.

Wszędzie toczyły się walki wręcz. Wysoki akolita to potykał się o ciała zabitych, to uchylał przed bronią sojuszników i wrogów. Dobięł wreszcie do wielkiej kamiennej budowli wypełnionej rannymi Raktumianami, którzy schronili się tu przed deszczem strzał i pocisków sypiących się z parapetów Zotopaniońskiej Wieży. W głębi zobaczył zwłoki wymordowanych stajennych i garstkę ciał poległych w boju piratów; jeden z nich miał szyję przebitą widłami. Stajenny, który tego dokonał, leżał na ciele swej ofiary ze sztyletem wbitym w plecy. O dziwo, nie był to człowiek, lecz Odmieniec odziany w wyjątkowo piękny skórzany brązowy strój.

Odgłosy bitwy cichły w oddali, gdy Żółty Głos dotarł wreszcie do kwater dla stajennych. Znalazł tam pozbawiony okien pokój, który można było zamknąć od wewnątrz. Nareszcie jakieś porządne schronienie! Wbiegł do środka, cicho przymknął za sobą drzwi i oparłszy się o nie czekał, aż jego serce i oddech się uspokoją.

W przeciwieństwie do skąpo wyposażonych i pozbawionych drzwi sąsiednich sypialni, w tym pomieszczeniu był stół, małe krzesła, łoże z pięknymi kocami, chodniki na podłodze i kominek, w którym żarzyły się węgle, a dymiący kociołek z zupą wisiał na haku. Na stole akolita zobaczył czystą drewnianą miskę, łyżkę, piętękę chleba, dzbanek z piwem i cynowy kubek.

To prawdziwe schronienie!

Odkładając rozmowę z czarownikiem na później, głodny i spragniony Żółty Głos westchnął z wdzięcznością i podszedł do stołu. Nalewał właśnie smacznie pachnącej zupy do miski, gdy poczuł ukłucie w plecy.

— Cofnij się! — ktoś syknął.

Akolita zmartwiał.

— Rzuć to! — usłyszał ponaglenie.

— Nie chcę zrobić nic złego — powiedział Żółty Głos, lecz ostrze przebiło mu skórę. Z okrzykiem bólu upuścił miskę, która ze szczękiem potoczyła się po podłodze, a chochła wpadła do kotła z zupą. — Jestem tylko nie uzbrojonym mieszczaninem, który przez pomyłkę znalazł się na polu walki...

— Milcz, bo zginiesz! I nie ruszaj się — szepnął przeciwnik wyciągając ostrze. Akolita poczuł ciepło krwi spływającej po plecach.

— Będę stał nieruchomo. Nawet nie pomyślę o zmianie pozycji...

Żółty Głos przerwał pojednawczą paplaninę, gdy zorientował się, że ktoś ściąga mu kaptur z głowy. Kątem oka dostrzegł na wysokości ucha błysk wąskiego noża. Zimny metal dotknął jego czaszki w miejscu, gdzie znajdowała się ciepła metalowa obręcz. Serce w nim zamarło, kiedy zrozumiał, co się dzieje.

Wielki Boże, tylko nie talizman! Panie, pomóż mi...

Lecz stojący za nim napastnik już strącił mu z głowy magiczny diadem, który uderzył o podłogę z melodyjnym brzękiem. Zrozpaczony akolita błyskawicznie odwrócił się i z ochryplym okrzykiem rzucił na przeciwnika. Ale gdzie on był? W mrocznym pomieszczeniu nie dostrzegł żadnego mężczyzny, tylko małą ciemną postać, która sięgała roslemu słudze czarownika zaledwie do pasa. Znowu jakiś Odmieniec?

Zaatakował nieznajomego, ten zaś wrzasnął z przerażenia. Niemal jednoczesny bolesny jęk akolity zagłuszył ten okrzyk. Żółty Głos poczuł, jak coś lodowatego wbija mu się między żebra. Zdumiało go tylko, że ów chłód sprawia tak wielki ból. Miotał się po pokoju, jakby w ten sposób mógł się pozbyć źródła cierpienia. Nie widział niczego poza twarzą swego Pana: jego oczy jak białe reflektory świeciły w gwiazdnej masce. A potem zimny przedmiot wystający z piersi... z piersi samego Orogastusa.

Niewielki napastnik wydostał się spod ciała akolity. Walcząc z przejmującym bólem, czarownik nasłuchiwał. Usłyszał, jak szybki oddech przerażonej istoty zamienia się w szloch. Złoczyńca był uwięziony w rogu pokoju! Wystarczy teraz tylko odwrócić głowę, by zobaczyć, ktoż to taki. Odwrócić tylko troszeczkę, rzucić światło oczu na złodzieja-zabójcę i zidentyfikować go. Zanim pozbawiony krwi mózg Żółtego umrze. Odwrócić! Odwrócić...

Świejące oczy odnalazły cel i zgasły. Przez moment Żółty Głos widział księcia Tolivara skulonego w kącie. Jakby z ulgą ciało akolity rozciągnęło się martwe na podłodze. W jego plecach tkwił mieczyk o rubinowej rękojeści, ukośnie wbity w serce.

— Nie chciałem tego — powiedział Tolo po długim milczeniu, ale Żółty Głos nawet nie drgnął. Mały książę wstał na nogi i wytarł rękawem nos i oczy. Spojrzał na zwłoki akolity. Rubiny zamruwały w fałdach grubej żółtej tkaniny. Tolo odetchnął głęboko, nachylił się, chwycił oburącz mieczyk i szarpnął z całej siły. Ostrze zdumiewająco łatwo wyslizgnęło się z ciała. Malec wytarł brzeszczot w szatę martwego mężczyzny, a potem chwiejnym krokiem przeszedł na drugą stronę pomieszczenia.

Diadem potoczył się pod łóżko.

Chłopiec wyciągnął go końcem mieczyka i trzymając na odległość ramienia, zaniósł na stół. Przysunął krzesło, usiadł na nim i patrzył. Talizman miał z przodu wieloramienną gwiazdę i trzy znajome groteskowe głowy, które zdawały się robić do niego miny w migotliwym blasku ognia.

Długo zbierał się na odwagę. Wreszcie podszedł do miejsca, w którym ukrył gwiazdną skrzynkę, odwinął ją i postawił na stole. Podniósł ciemne, szkliste wieko. W środku dostrzegł metaliczną siateczkę, a w jednym rogu garść spłaszczonych, różnokolorowych kamieni.

Tolo przeczytał czerwoną książeczkę. To on, a nie Czarny Głos, zabrał magiczną szkatułkę bez pozwolenia, by ją obejrzyć. Posługując się znów mieczykiem, ostrożnie wsunął

Trójgłowego Potwora do skrzynki. Oślepił go nagły błysk. Malec cofnął się z krzykiem i omal nie uciekł. Po chwili jednak spojrział do wnętrza i zobaczył, że gwiazda zniknęła ze swego miejsca pod obliczem środkowego potwora. Talizman nie był już złączony z Orogastusem.

Tolo nacisnął najpierw niebieski kamień, który rozjarzył się z melodyjnym dźwiękiem, później czerwony, żółty i oba zielone. One także zaświeciły, wydając te samą nutę. Pozostał tylko biały klejnot. Kiedy chłopiec dotknął i jego, niewidzialne dzwoneczki zadzwoniły głośnie i światełka zgasły jak zdmuchnięte. Zza zamkniętych drzwi dobiegły go głośne okrzyki i szczęk mieczy. Walczący byli coraz bliżej. Ralabun wymógł na nim obietnicę, że pozostanie w ukryciu do jego powrotu. Tolo jednak czuł, iż przyjaciel już nigdy nie wróci.

— Jeżeli magiczna szkatułka nie podziałała — szepnął do siebie — umrę po dotknięciu talizmanu. Ale jeśli piraci mnie złapią, to i tak zginę.

Drżąc cały, sięgnął po gwiazdną skrzynkę.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Tolo! Na kości Bondanusa, ten berbec nie tylko żył, ale jeszcze złączył ze sobą Trójgłowego Potwora! Zatrzymany w samym środku bitwy, gdy broń szczękała wokół jak piekielne młoty, a jego gwardziści z krzykiem odpierali ataki Laboruwendian, Orogastus stracił z oczu małego księcia. Teraz też nie mógł wyruszyć na poszukiwania. Malec na pewno ukryje się z talizmanem gdzieś w wielkiej stajni lub w którymś z przylegających do niej zabudowań skupionych wokół obszernego dziedzińca i żadne czary go nie wytropią. Takie działanie magicznego diademu nie wymagało od chłopca wielkiego wysiłku. Jednakże rozkazywanie Trójgłowemu Potworowi to inna sprawa. Chłopak jest śmiertelnie przerażony... Ten chytry mały łajdak więc będzie tylko trzymał kurczowo talizman — wraz z gwiezdą skrzynką! — i skuli się w jakiejś dziurze czekając na koniec bitwy.

Orogastus z bólem serca zdał sobie sprawę, że stracił Trójgłowego Potwora. Ale przynajmniej Arcymagini i jej siostry również go nie dostaną. Tolo nigdy nie odda im talizmanu. Nie teraz, kiedy zabił człowieka, by go zdobyć... Cóż za groteskowa śmierć spotkała biednego Żółtego...

Stracił wszystkich swoich pomocników, a z nimi nadzieję na odtworzenie Gwiezdnego Bractwa i zniszczenie Gwiazdy Przewodniej. Wciąż jednak miał Potrójne Płonące Oko i zwycięstwo było bliskie. Haramis zaś okazała się jeszcze nieudolniejszą przeciwniczką niż mógłby przypuszczać

Jeżeli zwycięży w tej wojnie, wymyśli jakiś sposób na wyłudzenie od małego księcia talizmanu... będzie miał czas na zwerbowanie nowych pomocników i wtajemniczenie ich do Gwiezdnego Bractwa... czas na dogłębne opanowanie tajników Potrójnego Płonącego Oka... i albo przeciągnie Haramis na swoją stronę, albo ją zniszczy...

— Panie! — któryś z tuzameńskich gwardzistów wskazał na zachodnią stronę Zotopaniońskiej Wieży. — Posłuchaj, jak piraci tam wiwatuja. Coś musiało się stać!

— Spójrzę tam moim magicznym wzrokiem. — Orogastus obejrzał z góry cały dziedziniec za pomocą Potrójnego Płonącego Oka. Zobaczył, że najeźdźcy otworzyli główną bramę pałacu i cały ich potok wlał się do środka. Większość jednak trzymała się z dala od wielkiej Wieży i skoncentrowała na pozostałych zabudowaniach, dbając bardziej o łupy niż o zwycięstwo. Tylko na zachodniej stronie dziedzińca, skąd docierały wiwaty, podjęto poważniejszą próbę przeniknięcia do twierdzy. Przed wielką bramą, która jest zawsze słabym punktem wszelkiej fortyfikacji, skupiła się większość obrońców. Na czele atakujących Raktumian stał król Ledvardis i tłum jego szlachetnie urodzonych rzezimieszków. Spisywali się naprawdę dobrze! Król...

Wszzechpotężny Bahkupie! A w co znów bawi się Ledo? Wyzwał marszałka Owanona na pojedynek?! Zwariował! Na pewno zostanie zabity, a wtedy piracka armia się rozproszy.

— Szybko! — Orogastus krzyknął do swych gwardzistów. — Muszę znaleźć jakieś dobre miejsce, skąd będę mógł rzucać czary.

— Piekarnia ma mocny dach z parapetem — odparł któryś z Tuzameńczyków — i w dodatku znajduje się poza zasięgiem strzał obrońców.

Przepychali się i wyrąbywali sobie przejście do piekarni. Zabijali nawet Raktumian, którzy nie dość szybko ustępowali im z drogi. Wnętrze piekarni było pełne trupów, jęczących rannych, rozbitych stołów, stojaków i ław. Krew zbryzgała ściany, lecz główne walki ominęły to miejsce. Czarownik znalazł drabinę prowadzącą na dach i wdrapał się po niej szybko, pozostawiając gwardzistów na dole. Z wysoka widział wszystko, co się działo wokół zachodnich drzwi Zotopaniońskiej Wieży.

Niski, krępy król Raktum i wysoki laboruwendiański marszałek walczyli zaciekle, podczas gdy rycerze z obu narodów przyglądali się z opuszczonymi mieczami. Pomimo niezgrabnej

postaci, nieletni monarcha był silny i zręczny. Orogastus wiedział jednak, że starszy mężczyzna przewyższa młodzika we wszystkim. Zmusił Ledvardisa do odwrotu. Chłopak cofał się ku swoim oddziałom. Lada chwila zginie. Orogastus podniósł talizman gałką do góry. Nigdy dotąd nie odważył się zrobić tego, co teraz zamierzał. Wiedział, że jeśli wyda nieodpowiedni rozkaz, może sam zginąć. Musiał jednak zaryzykować.

— Potrójne Płonące Oko, poraż Owanona! Niech zginie!

Troje oczu na gałce otworzyło się. Strzelił z nich trójkolorowy słup światła: biały, zielony i złoty. Trafił marszałka prosto w pierś i jaskrawymi strugami rozlał się po jego ciele, które zaraz potem otulił świecący dym. Miecz wypadł z dłoni rycerza, który runął do stóp zdumionego króla Raktum. Części osmalonej zbroi ze szczękiem potoczyły się po bruku wraz ze szerniałymi kośćmi.

— Potrójne Płonące Oko, zniszcz te drzwi!

Magiczny promień znów wystrzelił z gałki miecza, tym razem oślepiająco biały. Uderzył w okute żelazem drzwi z drzewa gonda. Metal rozżarzył się do czerwoności, a drzewo objęły płomienie. Po chwili wielkie wrota rozpadły się kaskadą czarnych popiołów. Raktumiańscy wojownicy gapili się bez ruchu, nie wierząc własnym oczom. Lecz król Ledvardis zawołał radośnie:

— Naprzód!

Piraci wydali głośny okrzyk i rzucili się w stronę wąskiego wejścia.

Triumfujący czarownik odwrócił się i wycelował teraz cudowną broń w główne drzwi na pomocnej stronie twierdzy.

— Potrójne Płonące Oko, zniszcz drzwi!

Jeszcze raz trysnął słup światła i szerokie wejście do Zotopaniońskiej wieży stanęło otworem przed hordą najeźdźców.

— Haramis! — zawołał bezgłośnie Orogastus. — Haramis, poddaj się! Mogę rozkazać mojemu talizmanowi zabijać! Zabiłem marszałka Laboruwendy i zabiję każdego, kto stawia mi opór! Rozkaż obrońcom wieży dożyć broń. Królowa Anigel ma wyjść na dziedziniec i ukorzyć się przed królem Ledvardisem. Jeżeli to uczynicie, oszczędzę życie wszystkich mieszkańców Derorguili. Jeśli mi odmówisz, wszyscy zginą. Poddaj się, Haramis!

Dostrzegł jakiś ruch w oknie na najwyższym piętrze twierdzy. Własnymi oczami zobaczył postać w biele. Powiedziała tylko jedno słowo:

— Nie.

Wpadł we wściekłość. Niech ją pochłonie dziesiąte piekło! Sama zginie jako następna! Podniósł talizman... a potem krzyknął, gdy obraz twarzy Arcymagini wypełnił jego umysł. Nie mógł wydać fatalnego rozkazu. Niech będzie przeklęta! Przeklęta! Nie kochał jej, nie mógł jej kochać! Nienawidził jej z całej duszy i serca, ze wszystkich sił. Dlaczego czuł się z nią związany, czemu przyciągała go nieodparcie?

— Uwolnię się od ciebie! — jęknął głośno. Przegnał z myśli jej oblicze, zastępując je obrazem magicznego, pozbawionego czubka miecza.

— Potrójne Płonące Oko, ja... ja rozkazuję ci porazić Haramis... na śmierć!

Źle! Źle to zrobił, zawahał się, zdradziła go jego własna słabość, którą tak bardzo pogardzał. Zdradziła go miłość. Poczł, że płonąca w jego sercu nienawiść do siebie samego złączyła się z trójkolorowym promieniem, który pomknął w stronę okna, a kiedy tam dotarł, rozpadł się na połyskliwe, dźwięczące bryzgi, jakby odłamki lodu lub strzaskane diamenty. Talizman parzył, mimo rękawic, dłonie czarownika. Krzyknawszy z bólu, upuścił go. Potrójne Płonące Oko z brzękiem upadło na parapet i leżało tam, ciemne, martwe, z zamkniętymi czarodziejskimi oczami. Srebrzyste rękawice Orogastusa dymiały. Zerwał je z przekleństwem i odrzucił.

Stojącej w oknie Haramis nic się nie stało. Czarownikowi wydało się, że Haramis urosła i zawisała w powietrzu, wysoka i piękna. Na jej zasmuconej twarzy malowało się zdecydowanie. W smukłej dłoni trzymała różdżkę zwaną Trójskrzydłym Kręgiem.

— Muszę pomóc mojemu ludowi, Gwiazdny Człowieku — powiedziała bezgłośnie. — Potem wrócę do ciebie i zakończymy tę sprawę.

Nie chcąc marnować magicznej energii na przemieszczenie się na dziedziniec twierdzy, Haramis zbiegła po ośmiu kondygnacjach schodów do miejsca, gdzie zwarli się atakujący z obrońcami Zotopaniońskiej wieży. Kiedy jednak dotarła na pierwsze piętro, spostrzegła, iż tak wielu najeźdźców wtargnęło do wewnątrz, że w wielkiej sieni na parterze toczyła się prawdziwa bitwa. Podłoga spływała krwią, a walczący byli tak stłoczeni, że ledwie mogli zamachnąć się mieczami.

Anigel i księżniczka Janeel schroniły się w pilnie strzeżonym skarbcu, przylegającym do wspaniałej sali tronowej na pierwszym piętrze, i na razie im nic nie groziło. Kadiya odnalazła Nikalona, który odniósł tylko lekkie obrażenia, i oboje tylnymi schodami śpieszyli teraz do skarbcza. Haramis weszła na balkonik minstrela, górujący nad głównym wejściem do wielkiej sieni, z nadzieją, że zakłębieniem zdoła zamknąć zdobyte przez piratów drzwi. Za każdym razem jednak, gdy stworzyła nową zaporę, Orogastus ją unicestwiał. Wreszcie tak bardzo się zmęczyła tymi daremnymi wysiłkami, że musiała się wycofać.

Naprawdę nie dorównuję mu magiczną siłą, powiedziała sobie w duchu. On jest potężniejszym ode mnie czarodziejem. Nie zdołamy się pozabijać wzajemnie czarami, ale on na pewno wygra tę wojnę. Władcy Powietrza! Jak to się wszystko skończy?

Stojąc w cieniu bezsilnie patrzyła na rzeź. Mężni, ale słabsi liczebnie Laboruwendianie próbowali powstrzymać na wielkich schodach nieprzyjaciół prących w stronę sali tronowej i kryjówki królowej Anigel. Schody znajdowały się naprzeciwko głównego wejścia do ogromnej sieni i były najświetniejszą ozdobą pałacu: wielkie, murowane stopnie, dwukrotnie szersze na dole niż na górze, wysłane purpurowym chodnikiem, miały złote poręcze i posrebrzane lampy na wysokich stojakach. Podczas dworskich uroczystości tysiące płonących świec tworzyło promenadę dla wspaniałe wystrojonych mężczyzn i kobiet. Teraz zaś owe stopnie stały się sceną rzezi i spływały z nich strumienie krwi.

Zgromadzili się na nich obrońcy pałacu pod wodzą szambelana, pana Penapata. Ten dobrze zbudowany wielmoża biegał z jednego krańca szerokich schodów na drugi, wykrzykując rozkazy. Kiedy jedna grupa rycerzy padała pod ciosami napastników, druga śpieszyła na dół z przedsiönka sali tronowej, by bronić królowej do ostatniego oddechu.

Biedacy, pomyślała Haramis. Nadal łudzą się nadzieją, że zdołam przepędzić hordę najeźdźców, a wtedy przybędzie król Antar i odniesie zwycięstwo. Oni są skazani na zagładę... zginą wszyscy. Och, Boże, gdybym tylko odzyskała jasność myśli! Walcząc z własną słabością, Haramis pomagała jak mogła obrońcom wielkich schodów. Od czasu do czasu udawało się jej odbić zadane przez nieprzyjaciela ciosy od tego lub innego Laboruwendianina, nie była jednak w stanie chronić wszystkich. Walczący na samym dole rycerze ginęli jeden po drugim. Wrogowie zrzucali za balustradę ich ciała tak samo jak zwłoki własnych zabitych towarzyszy; góra trupów w dole wciąż rosła.

Król Ledvardis, lekko ranny w prawe ramię, nie mogąc już brać udziału w walce, obserwował wszystko z bezpiecznej niszy po prawej stronie schodów. Otoczony uzbrojonymi gwardzistami, podjudził swoich ludzi głośnym okrzykiem:

— Królowa! Królowa! Jest tam, w sali tronowej na szczycie schodów! Daruję połowę łupów z Derorguili temu, kto schwyta królową Anigel!

Piraci odpowiedzieli grzmiącym rykiem i zaatakowali ze zdwojoną energią. W wielkiej sieni było ponad dziewięćset wojowników i trzy czwarte z nich stanowili Raktumanie.

Następna grupa laboruwendiańskich rycerzy przybyła z przedśionka sali tronowej na rozkaz szambelana i ustawiła się do ataku.

Haramis dotknęła swego talizmanu. Zobaczyła, że Kadiya i Nikalon bezpiecznie dotarli do skarbcza mieszczącego się za tronami. Antar ze swą armią wreszcie doszli do tylnej bramy, którą teraz zagradał liczny oddział nieprzyjaciół. Król będzie zmuszony okrążyć twierdzę, by znaleźć wylom w murze, a tam natknie się na prawe skrzydło piratów, którzy na pewno go zatrzymają. Napastnicy pokrzyżowali wszelkie plany ratunku.

— Och, Boże, to beznadziejne! — Haramis płakała z żalu i gniewu. — Nie mam nawet dość siły, żeby przenieść w bezpieczne miejsce Anigel, Kadi i dzieci... Iriane! Iriane! Czy w niczym nie możesz mi pomóc?

Kłęb niebieskich pęczery zmateriałizował się przed nią na balkonie z godną pochwałą szybkością i wyszła z niego Arcymagini Morza. Patrząc z góry na walczących, Iriane spochmurniała i pokręciła przecząco głową.

— Jest ich tak wielu i wszyscy ogarnięci bitewnym szałem... Mogłybyśmy utkać nowe iluzje, wątpię jednak, by rozproszyły one uwagę tych zbójów. Tak naprawdę, to potrzebujesz posiłków.

— Król Antar nie może dostać się na dziedziniec pałacowy od południa, gdyż piraci obsadzili tylną bramę. Mogę przetransportować po kilku jego rycerzy za jednym razem, ale to na nic się nie zda. W dodatku brak mi sił...

— No cóż, ja w ogóle nie potrafię dokonać tej sztuczki — przyznała Iriane. — Umiem tylko transportować samą siebie. — Zaciśnęła niebieskie wargi i zmrużyła oczy o barwie indygo. — Hm... Wojownicy... wojownicy... wiesz, moja droga, że my, Arcymaginie i Arcymagowie, nie zawsze byliśmy zdani na łaskę i niełaskę bezbożników. W dawnych czasach, kiedy Gwiazda po raz pierwszy zagroziła światu, naszymi obrońcami byli Strażnicy Śmierci. Oni mogli odbierać życie istotom rozumnym, które nie zaprzestały zbrodniczej agresji.

— Lecz tylko Arcymagiczne Kolegium w całości mogłoby wezwać na pomoc Sindonów — odparowała z goryczą Haramis. — Tak powiedział mi Nauczyciel w Przybytku Wiedzy. A tamci starożytni Arcymagowie i Arcymaginie dawno umarli.

Iriane pokręciła z namysłem głową.

— Kolegium nadal istnieje. Trzeba tylko trzech członków, by mogło działać. Ty, ja i...

— Denby! — wtrąciła Haramis, której nadzieja dodała sił. — Ale czy zechce? — Nie czekając na odpowiedź Iriane, odchyliła głowę do tyłu i krzyknęła na całe gardło: — Denby! Pomóż nam! Pozwól nam wezwać Sindonów!

Kiedy nic się nie wydarzyło, znów wykrzyczała w rozpacz jego imię:

— Denby! Arcymagu Nieba! Ciemny Panie Firmamentu! Udajesz obojętnego, ale wiem, że obserwujesz wszystko. Wiem, że byłeś wmieszany w tę walkę od samego początku, na długo, zanim ja i moje siostry przyszłyśmy na świat. Pomóż nam! — Chwyciła zimną, niebieską dłoń Iriane. — My, twoje towarzyszkę, błagamy cię w imieniu Trójjedynego!

Straszliwy obraz bitwy i jej odgłosy przycichły i oddaliły się nagle. Haramis zobaczyła Trzy Księżyce w pełni, srebrzysto-złote na tle gwiazdzonego nieba. Były tak duże, że prawie przesłoniły jej pole widzenia. Na jednym rysowała się jakby twarz zgrzybiałego starca, który z zakłopotaniem i irytacją zmarszczył i tak już zryte zmarszczkami czoło.

— Denby! — zawołała Haramis. — Przypomnij sobie, że pełnisz święty urząd i pomóż nam wezwać Sindonów.

— Ziemia i morze nie podlegają mojej władzy — odpowiedział zrzędlawie księżyc.

— Jesteś Arcymagiem — stwierdziła Haramis. — Należysz do Arcymagicznego Kolegium. Iriane i ja żądamy od ciebie pomocy!

— No, dobrze, dobrze! Przypuszczam, że muszę wam pomóc, skoro tak do tego podchodzisz... Ale wiesz przecież, że to nie rozwiąże tego problemu raz na zawsze!

Człowiek—księżyc i jego dwaj pozbawieni życia towarzysze zniknęli.

— Spójrz! — zawołała radośnie Iriane. — Och, spójrz! Falanga złożona z pięćdziesięciu posągów pojawiła się na wielkich schodach tuż za szeregiem cofających się obrońców. Sindonowie byli znacznie wyżsi od ludzi, na piersiach nosili skrzyżowane połyskujące pasy i iskrzące się hełmy—korony, i każdy trzymał pod lewym ramieniem złotą czaszkę. Zstąpili powoli po zakrwawionych stopniach po pięciu w szeregu, a osłupieni Laboruwendianie pośpiesznie zeszli im z drogi.

Ci z najeźdźców, którzy dostrzegli schodzących Strażników Śmierci — a była to większość walczących w sieni na parterze — zamilkli i znieruchomieli, patrząc na Sindonów ze zdumieniem i zaskoczeniem. Przez chwilę w wielkim pomieszczeniu panowała niemal absolutna cisza.

— Wojownicy z Raktum, wojownicy z Tuzamenu, złóżcie broń! Jesteśmy tu w imię Arcymagicznego Kolegium.

Głos był miękki, prawie macierzyński i popłynął skądś z powietrza, a nie z nieruchomych ust Strażników Śmierci.

Przez chwilę piraci byli zbyt zaskoczeni, by zareagować. Potem jednak jakiś wymazany krwią tuzameński oficer z pierwszego szeregu żołnierzy zgromadzonych u stóp schodów podniósł do góry miecz o falistym ostrzu i wrzasnął ochryple:

— Niech mnie piekło pochłonie, jeśli poddam się bandzie nagich straszydeł!

Jeden z pierwszej piątki Sindonów spojrział na żołdaka z góry, podniósł ramię i wskazał nań palcem. Rycerz zniknął w kłębie dymu. Wypolerowana biała czaszka spadła na podłogę w miejscu, gdzie stał przed chwilą, i potoczyła się po zakrwawionej posadzce. Pomruk strachu i zdumienia przeszedł przez tłum stłoczonych w pobliżu napastników, którzy jednak jeszcze nie zrozumieli, co się dzieje. Kiedy Strażnicy Śmierci kontynuowali marsz w dół schodów, ośmieleni ich milczeniem wrogowie rzucili się do ataku, uderzając w ruchome posągi mieczami, toporami bojowymi i nabijanymi gwoździami cepami. Żelazo odbijało się od gładkich ciał, nie robiąc im nic złego. Ukoronowane głowy odwróciły się, palce wycelowały w przeciwników i kaskada czaszek z grzechotem potoczyła się w tłum. Jakiś bystrzejszy od innych rzezimieszek zawołał:

— To tylko jakaś sztuczka, chłopcy! Zjawy wyczarowane przez Arcymaginię! Nie zwracajcie na nie uwagi!

Ryk ulgi i wściekłości wyrwał się z piersi piratów, którzy ze zwiększonym zapałem ponowili atak. Chwilę później Sindonowie stanęli na posadzce wielkiej sieni i rozproszyli się wśród walczących. W kogokolwiek wycelowali śmiertcionośnymi palcami, ten padał jak mucha. Czaszek było coraz więcej i najeźdźcy miażdżyli je już pod stopami. Wreszcie do wszystkich dotarło, że ich towarzysze giną w smużkach dymu. Wielu Raktumian zaprzestało walki i zaczęło się rozglądać w poszukiwaniu drogi ucieczki. Ludzka broń nie mogła zrobić nic złego Sindonom. Ze spokojnymi, łagodnie uśmiechniętymi twarzami robili to, co do nich należało. Co bystrzejsi z napastników z jękami przerażenia kierowali się ku zatłoczonym drzwiom. Widząc to raktumiańscy i tuzameńscy dowódcy zawołali:

— Nie uciekajcie! Te stwory to tylko iluzja! Naprzód!

Stojący w niszy Król—Goblin właśnie miał zamiar podchwycić te okrzyki, gdy dostrzegł kobietę w bieli, stojącą na balkonie muzykantów wysoko nad głównym wejściem do sieni. Była to Arcymagini Haramis i patrzyła prosto na niego. Usłyszał jej głos z tak bliska, jakby stała na odległość ramienia:

— Królu Ledvardisie z Raktum! Istoty, które tu widzisz, nazywane są Strażnikami Śmierci. Nie są iluzją. Są prawdziwe i uśmiercają tych wojowników, którzy żywią w sercach żądzę mordy. W sieni jest pięćdziesięciu Strażników. Na zewnątrz jest ich znacznie więcej i są równie groźni. Poddaj się, albo wszyscy twoi ludzie zginą.

— Kłamiesz! — wykrztusił przerażony monarcha.

— Sam zobacz. — Wycelowwała w niego swój talizman.

W jego umyśle pojawił się straszliwy obraz: wysokie, blade postacie ze złotymi czaszkami pod pachami prześlizgiwały się w tłumie walczących na dziedzińcu przed pałacem. Za nimi pozostawały ciała i oszołomieni szczęśliwcy, których oszczędzono.

— Nie bój się, Ledo! Jestem tu!

W zachodnich drzwiach pojawił się Orogastus. Jego srebrzysta maska i szaty połyskiwały w półmroku. W uniesionej wysoko dłoni trzymał Potrójne Płonące Oko.

— Zabij te stwory! — krzyknął gorączkowo młody władca. — Zabij je, zanim moi ludzie wpadną w panikę!

Lecz popłoch już ogarnął wrogą armię. Zgromadzeni dotąd w wielkiej sieni najeźdźcy wybiegu' na zewnątrz wrzeszcząc na całe gardło:

— Demony! Demony nadchodzą! Uciekajcie na statki! Przerazenie i groza szybko rozprzestrzeniły się na tłum stłoczony na dziedzińcu.

Orogastus podniósł talizman i wykrzyczał rozkaz. Trójkolorowy świetlny promień trafił jednego z Sindonów, który wybuchł z hukiem. Odłamki jego twardego jak kamień ciała niczym miniaturowe pociski uderzyły w uciekających piratów, którzy krzyknęli ze strachem i popędzili jeszcze szybciej.

— Stójcie! — grzęjącym głosem upomniął ich czarownik. — Wracajcie, durnie! Patrzcie, zabijam ich! — I zabił następnego żywego posąg.

Po śmierci pierwszego Sindony pozostali odwrócili się i popatrzyli beznamiętnie na Orogastusa. Teraz jak jeden mąż wycelowali w niego palce. Haramis krzyknęła mimo woli i serce w niej zadrżało. Nie zobaczyła wszakże kłębu dymu. Głowa czarownika tkwiła bezpiecznie na swoim miejscu, przesłonięta gwiazdną maską. Orogastus krzyknął triumfalnie i zaczął rozbijać na kawałki Strażników Śmierci jednego po drugim. Lecz głośnie wybuchy tylko jeszcze bardziej przeraziły piratów.

Jednocześnie rycerze z Laboruwendy pod wodzą pana Penapata ciężkimi krokami zbiegli ze schodów. Rzucili się na króla Ledvardisa i otaczających go trzydziestu rycerzy. Uwięzieni w niszy Raktumianie stawili zacięty opór.

Wszyscy Sindonowie w pustoszejącej sieni skupili się teraz wokół czarnoksiężnika, jakby ignorując śmierć, którą siał wśród nich. Haramis przypomniała sobie, że dusze zniszczonych posągów wcielają się w ich żywych towarzyszy. Orogastus zabijał ich z ogłuszającym hukiem, a mimo to niewzruszenie maszerowali ku niemu, trzymając złote czaszki przed sobą w wyciągniętych rękach. Czarownik machał gwałtownie talizmanem. A jednak podchodzili coraz bliżej. W otwartych drzwiach pojawiło się więcej żywych figur.

— Iriane! — zawołała Haramis. — Czy możesz użyczyć mi nieco swych sił?

— Tak, trochę, ale na pewno nie tyle, byś całkowicie przyszła do siebie — odparła Arcymagini Morza.

— Potrzebuję tylko tyle energii, by jeszcze raz przenieść się gdzie indziej.

— Więc spróbujmy. — Niebieska Dama ujęła w dłonie głowę Haramis i pociągnęła ją ku sobie, aż obie kobiety zetknęły się czołami. Arcymagini Łądu ujrzała pod zamkniętymi powiekami wybuch niebieskiego światła. Nowe siły napełniły jej umysł i ciało.

— Dziękuję! A teraz módl się za mnie! — Haramis ścisnęła swój talizman i zniknęła.

— A niech mnie! — mruknęła Iriane, potrząsając ozdobioną wielkimi perłami głową. — Co ona chce zrobić? — Podniosła w górę oczy, które na moment przestały widzieć. — Denby? Widzisz to?

Nie spłynęła jednak żadna odpowiedź z wyniosłego firmamentu.

— Tym gorzej dla ciebie! — powiedziała Arcymagini Morza. Podniosła skraj sukni i ruszyła otaczającym wielką sień balkonem w stronę zachodnich drzwi, gdzie Orogastus nadal rozbijał jednego Sindonę za drugim. Stamtąd lepiej będzie widać ostateczną konfrontację.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

W skarbcu ukrytym za tronami w wielkiej sali audiencyjnej przechowywano najcenniejsze regalia. Odgrywał on też rolę salonu dla monarchów podczas nudnych dworskich uroczystości. Był niemal nie do zdobycia. Lecz w tym małym, zastawionym pełnymi klejnotów kufkami pomieszczeniu, panował przenikliwy chłód. Nikt nie mógł przebywać w nim bez końca.

Pan Penapat wepchnął do skarbcza Anigel, Janeel i starą Immu, piastunkę Nyssomu, kiedy napastnicy rozbili główne drzwi. Sama królowa nie wybrałaby takiej kryjówki. Anigel doskonale zdawała sobie sprawę, iż nie może walczyć. Ale doprowadzała ją do wściekłości myśl, że jest bezradna i że nie wie, co się dzieje.

Ucieszyła się więc ogromnie, gdy drzwi skarbcza po krótkim czasie się otwały i weszła tam Kadiya wraz z Nikalonem. Immu szybko obejrzała chłopca i oświadczyła, że nic mu nie jest, ma tylko parę siniaków. Niki płonął ze wstydu, gdyż to ciotka musiała go ratować.

Kadiya zdała siostrze barwną relację z tego, w jaki sposób zrobiła się niewidzialna za pomocą amuletu z Czarnym Trillium i zabrała następcę tronu ze zrujnowanych koszar przy tylnej bramie. Nie chcąc odbierać słuchaczom nadziei, nie powiedziała, że na dziedzińcu roją się setki nieprzyjacielskich żołnierzy ani że Antar nie zdoła wprowadzić posiłków przez tylną bramę pałacu. A jeśli Haramis nie sprawi cudu, ukryci w skarbcu zbiegowie będą wkrótce musieli wybierać między poddaniem się wrogom a powolną śmiercią z głodu i zimna.

Usiedli i czekali. Kadiya ulokowała się przy drzwiach, ostrząc swój miecz. Pozostali otulili się chronionymi tu szatami koronacyjnymi i zbili w ciasną gromadkę.

— Jestem ci niewymownie wdzięczna, że przyprowadziłaś Nikiego — powiedziała Anigel do Kadiyi. — W tych strasznych chwilach dobrze jest wiedzieć, że przynajmniej ta dwójka jest bezpieczna.

— Głupiemu Tolowi też pewnie nic nie grozi — dodała z niesmakiem księżniczka Janeel.

— Nie będziemy źle o nim mówić — powiedziała z łagodnym wyrzutem królowa, ale jej oczy nagle zamglily się łzami na myśl o najmłodszym synku. — Tolo jest za mały, by wiedzieć, jak strasznie postąpił. Gdyby do mnie wrócił, przycisnęłabym go do piersi i wybaczyłabym mu z całego serca. Wszyscy powinniśmy mu wybaczyć.

— I nie zostanie ukarany?! — Niki był oburzony.

— Nie — odparła królowa.

Słyszając to następcę tronu mruknął coś gniewnie pod nosem, a jego siostra bez cienia delikatności odmalowała w ciemnych barwach ponurą przyszłość Tola, który sam wołał oddać się we władzę czarnoksiężnika. Wreszcie Immu kazała im się uspokoić i myśleć o przyjemniejszych sprawach.

— Jakich przyjemniejszych sprawach? — spytała Janeel. — Nie ma takich.

— Oczywiście, że są, ty głuptasku! — skarciła ją Immu.

— Akurat! Piraci nas złapią... i będę jednak musiała poślubić Króla-Goblina!

— Cicho, moja słodka. Nie powinniśmy tracić nadziei. Sytuacja może wcale nie jest taka zła, jak nam się wydaje... Ach, pamiętam znacznie gorsze czasy, choćby strasliwą bitwę o Ruwendiańską Cytadelę. Czyż może być coś gorszego? A przecież zwyciężyliśmy — i Czarne Trillium rozkwitło w Ruwendzie po raz pierwszy od wycofania się Zwycięskiego Lodu.

— Pamiętam... — Królowa Anigel próbowała się uśmiechnąć, lecz wzdrygnęła się słyszając wzmiankę o zwycięskim Lodzie.

— Tak, to była największa bitwa, jaką kiedykolwiek stoczono w Ruwendzie — dodała Kadiya. — Może największa w całym znanym świecie! Walczyli w niej ludzie, Lud Bagien, Gór i Lasów, i Skritekowie, a dobre i złe czary sprawiły, że zadrzały nawet Trzy Księżyce.

— Trzy Płatki Żywego Trillium zapewniły nam to wielkie zwycięstwo — powiedziała Immu do księcia i księżniczki. — Wasza matka, ciotka Kadiya i ciotka Haramis wygrały tę bitwę i wojnę, chociaż sytuacja wydawała się beznadziejna.

— Opowiedz nam jeszcze raz całą tę historię — poprosiła księżniczka, wtulając się w niecodzienne okrycie.

I Immu opowiedziała, jak Arcymagini Binah przybyła na czas, żeby trzy księżniczki z Ruwendy mogły bezpiecznie przyjść na świat, a potem opisała szczegółowo, jak każda z trójki sióstr dorastała, wyruszyła na poszukiwania magicznego talizmanu i znalazła go. Stara niańka miała właśnie opowiedzieć o ocaleniu Ruwendy, gdy Arcymagini Haramis otworzyła drzwi skarbcza.

— Siostry... chodźcie ze mną.

— Haro! Masz dobre wieści? — Kadiya zerwała się z podłogi z rozpromienioną twarzą.

— Odłóż miecz, Kadi. Będziesz potrzebowała innej broni do walki, którą teraz musimy stoczyć.

Arcymagini była niemal tak błada jak Sindonowie. Jej białą sylwetkę otaczała słaba tęczaowa poświata. Wyglądała groźnie, inaczej niż zwykle.

— Więc nie wygramy tej bitwy? — zawołała z przerażeniem królowa Anigel.

— Piracka armia ucieka w nieładzie w stronę portu — odparła Haramis. — Antar na czele swej armii ściga maruderów. Ledvardis, król Raktum, jest jeńcem pana Penapata i jego rycerzy...

Słyszając to Niki i Jan krzyknęli radośnie.

— ...ale bitwa jeszcze się nie skończyła. Pozostał Orogastus. Wezwałam Sindonów, którzy teraz z nim walczą. Jednak on ich niszczy i niebawem to my będziemy musiały stawić mu czoło. Chodźcie teraz ze mną! Jedyńą bronią, jakiej potrzebujecie, są wasze amulety.

Kadiya odpięła pas, przy którym nosiła miecz. Królowa rzuciła krępujący ruchy ciężki płaszcz. Przebiegły przez pustą salę tronową, przez przedsionek do rozległego podestu na szczycie schodów prowadzących do sieni.

— Wielki Boże! — szepnęła królowa.

Kadiya oniemiała na widok straszliwej sceny w dole. Olbrzymie pomieszczenie, długie na sto dwadzieścia elli i tak samo szerokie, wypełniał dym. Płonące na ścianach pochodnie majaczyły wśród starożytnych sztandarów. Wszędzie piętrzyły się stosy trupów, a między nimi, jak zabarwione czerwienią białe owoce, które spadły z niewidzialnego drzewa, leżały setki ludzkich czaszek. Oślepiające eksplozje wybuchały co minutę w przeciwległym krańcu sieni, na zachód od schodów. Kadiya i Anigel zobaczyły tam widmowe blade postacie stłoczone ramieniem przy ramieniu. To Sindonowie — było ich ze stu, a może mniej. Prawdopodobnie znajdował się między nimi Orogastus, ale siostry go nie dojrzały.

Haramis podniosła swój talizman z rozjarzonym bursztynem.

— Stańcie blisko mnie! — poleciła siostram. — Weźcie w dłonie Czarne Trillium. Porzućcie wszelki strach, obawy, wszystko, co kiedykolwiek pomniejszało waszą miłość. Oddajcie się całkowicie mnie i sobie nawzajem. Zaufajcie... a potem pójďte tam, dokąd was zaprowadzę.

Kadiya i Anigel stanęły po bokach Haramis na środku wielkich schodów. Mrok i dym zniknęły nagle i jaskrawe światło zaalała wielką sień. Zobaczyły wyraźnie Orogastusa. Miał na sobie swoje gwiazdne szaty i trzymał za brzeszczot Potrójne Płonące Oko. Ścisnął je tak mocno, że rozdęło mu ręce, które ociekały krwią. W gałce talizmanu szeroko otwarte oczy pulsowały zielonymi, złotymi i białymi promieniami i po każdym takim skurczu zniknął jeden z Sindonów w wybuchu dźwięku i światła.

Odłamki zniszczonych żywych posągów pokrywały jak gruboziarnisty śnieg posadzkę wokół czarownika. Sindonowie otoczyli go potrójnym kręgiem; wewnętrzny był oddalony od Orogastusa o sześć kroków. Każdy Strażnik trzymał przed sobą złotą czaszkę. Stali

nieruchomo. Sprawiali wrażenie bezradnych, gdy obracał się wokoło, porażając ich we wszystkich kierunkach.

Królowa i Pani Czarodziejskich Oczu poczuły nagle, że unoszą się w powietrzu, choć doskonale zdawały sobie sprawę, iż stoją wciąż na szerokich stopniach. Zawisły we trzy nad Orogastusem i spojrzały na niego z góry. Czarownik podniósł oczy i zobaczył siostry. Promienie wielkiej srebrnej gwiazdy okalały jego twarz, na pół zasłoniętą srebrzystą maską. Otworzył usta i wykrzyczał tylko jedno słowo:

— Haramis!

— Jestem tutaj. Jesteśmy tutaj. Musimy to zakończyć.

Orogastus podniósł ku nim Potrójne Płonące Oko z zamiarem zniszczenia Żywego Trillium. Zawahał się wszakże, przypomniawszy sobie, co się stało wcześniej, gdy talizman go zawiódł i zmusił do wypuszczenia go z rąk. Jeżeli upuści go teraz, Sindonowie rzucą się na niego i w jednej chwili zmiażdżą ciężarem swych ciał.

Czy tym razem znajdzie w sobie dość siły i woli, by zabić Haramis? Przedtem nie mógł się skoncentrować, przeszkadzała mu ta przeklęta miłość do niej. Wiedział jednak, że w nadchodzącym pojedynku jedno z nich na pewno zginie...

Może właśnie on?

Ogarnęło go przerażenie. Nie! Ona nie zabiłaby go. Zrobi coś gorszego: uwięzi go na resztę życia w Więziennej Przepaści, we wnętrzu ziemi. Przyciągnie go tam Gwiazda Przewodnia, jak przedtem na Kimilon. Pozostanie całkowicie sam do chwili, gdy wyzionie ducha.

— Nie! — krzyknął. — Nie zrobisz tego! — Trzymając talizman wysoko nad głową, oczyścił umysł z myśli, a potem sformułował rozkaz.

— Kadiyo, Anigel przyłgnijcie do mnie ze wszystkich sił, wyćcie waszą siostrzaną miłość, gdyż musimy zwrócić przeciwko niemu to, czym zamierza nas porazić.

Wydało im się, że gałka Potrójnego Płonącego Oka spuchła do tytanicznych rozmiarów, ukrywając pod sobą Gwiazdnego Człowieka. Trzy siostry zobaczyły, jak brązowe ludzkie oko, złote oko Odmieńca i srebrzystoniebieskie oko Zaginionych wpatrują się w nie przez krótką chwilę. Później oczy zmieniły się w trzy złociste księżycy, które powoli przysłoniła ciemność, czarne kule okolone złocistą świetlną koroną, a w końcu w wielki, czarny jak noc Kwiat o trzech płatkach. W jego złocistym środku stał jakiś mężczyzna, a na płatkach Czarnego Trillium — trzy kobiety.

— Haramis! Nie możesz tego zrobić! Przecież go kochasz! Mężczyzna trzymał ciemny miecz. Z jego oczu tryskały wiązki gwiazdnej poświaty. Powiedział bardzo wyraźnie:

— Poraż je wszystkie. Poraż na śmierć Żywe Trillium.

I popłynęły magiczne energie.

Ze środka Czarodziejskiego Kwiatu, gdzie teraz jarzyła się gwiazda, strzelił wijący się lej, świetlny wir. Zanim pochłonął Czarne Trillium, siostry zobaczyły, że rozdzieliło się ono na trzy kwiaty: złoty, zielony i biały, każdy z gwiazdką w środku. Ogłuszył je wielki huk, otoczyło oślepiające światło. Wydało się im, że przekoziółkowały w powietrzu, unosząc się jak liście na wietrze. Wokół wirowała chmura rozjarzonych, trójbarwnych iskier. Arcymagini Morza powiedziała:

— Miłość nie tylko jest dozwolona, jest konieczna.

Arcymag Firmamentu dodał:

— Ale również bardzo kłopotliwa.

W świetlnej burzy majaczył jakiś kształt. Był to matowoczarny sześciokąt. Siostry pomknęły ku niemu, koziołkując i wirując. Sześciokąt stawał się coraz większy, narastający hałas ogłuszał, stawał się nie do zniesienia.

— Nie bój się! — powiedziała Arcymagini Łądu.

— Ale ja się boję! Tak bardzo się boję... — wyszeptał Orogastus.

Nagła cisza oszołomiła Haramis, Kadię i Anigel.

Stały rzędem na schodach.

Haramis w środku, z pochyloną głową, zwieszonymi bezwładnie rękami. Bursztynowy amulet w spoczywającym na jej piersi talizmanie pulsował w rytmie serca. Amulety jej sióstr również świeciły i pulsowały. Żyły.

Kadiya westchnęła głęboko. Zeszła po schodach (Anigel powlokła się za nią) i ostrożnie omijając żalosne ludzkie szczątki podeszła do ocalałych Sindonów. Pozostało ich niewiele. Nadal stali doskonałym kręgiem, trzymając przed sobą złote czaszki i uśmiechając się spokojnie. We wnętrzu kręgu leżało potrójne Płonące Oko. Nikogo więcej tam nie było.

— To był mój talizman — mruknęła Kadiya. — Potem jego. Do kogo teraz należy?

Lecz Strażnicy Śmierci nie odpowiedzieli. Na oczach sióstr ich postacie stały się niczym mgła i jak ona się rozwiały.

— Przypuszczam, że Orogastus ukrył gdzieś gwiazdną skrzynkę — powiedziała Anigel. — Zapewne odnajdziemy ją i któregoś dnia znów będziemy mogły użyć twojego talizmanu.

— Nie jestem pewna, czy rzeczywiście tego pragnę — odparła Pani Czarodziejskich Oczu. Oczy Anigel łzawiły — może od dymu, który wciąż kłębił się w sieni?

— Ja natomiast jestem całkiem pewna, że nie chcę posługiwać się moim — zadeklarowała królowa. Obejrzały się, szukając wzrokiem Haramis, ale Arcymagini zniknęła. Oprócz nich w ogromnej sieni nie było nikogo.

— Wyjdźmy na świeże powietrze — powiedziała Kadiya, biorąc siostrę za rękę.

Razem wyszły przez zachodnie drzwi wieży na dziedziniec. Słońce jasno świeciło, a powietrze było zdumiewająco słodkie i ciepłe. Tłum poranionych, zakrwawionych laboruwendiańskich rycerzy i żołnierzy powitał je wiwatami i wesołymi okrzykami.

— Wrogowie wzięli nogi za pas i uciekli — z wyjątkiem jednego! — zawołał pan Penapat.

Cizba rozstąpiła się, ukazując króla Ledvardisa z Rakrum siedzącego na bloku do podnoszenia ciężarów. Młodzieniec wstał z bladym uśmiechem, uklonił się i rzekł:

— Król-Goblin prosi o łaskę i poddaje się królowej Anigel i Pani Czarodziejskich Oczu.

— Dobrze traktowałeś moje uwięzione dzieci — odparła Anigel. — Potraktuję cię tak samo. Chcę, abyś zaraz opuścił mój kraj.

— Czy... czy to wszystko? — Ledvardis spojrzał na nią ze zdumieniem.

Królowa skinęła głową i zwróciła się do pana Penapata:

— Zbierz swoich ludzi, odprowadź pod eskortą krok Raktum na jakiś statek i dopilnuj, żeby odplynał do swojego kraju.

W tłumie rozległy się pomruki, ale po chwili większość wojowników zaczęła się śmiać. Wyszli przez północną bramę, królowa Anigel jakby nie widziała leżących wokół trupów, kałuż krwi ani zrujnowanego królewskiego pałacu. Jak we śnie podniosła wzrok na błękitne niebo, po którym płynęło kilka białych obłoków. Była Pora Sucha i ciepły wiatr wiał znad morza. Wreszcie powiedziała:

— Kadi, wydaje mi się, że równowaga świata została przywrócona.

— Może masz rację. Módlmy się o to. Haramis będzie to wiedziała na pewno. Myślę jednak, że należy poczekać. Wypytamy ją później.

— Tak, musi być bardzo zmęczona.

— Mamy wiele do zrobienia. — Kadiya wyprostowała się. Musimy zająć się rannymi, nakarmić i напоić naszych zwycięskich wojowników. Wejdę na wieżę i odszukam wszystkich, którzy tam się ukryli. Potem możemy...

Urwała. Zagrała trąbka, podniósł się chór radosnych okrzyków i głośno zadudniły kopyta frontali bojowych.

— To Antar! — zawołała królowa. — To Antar! Pomknęła na przedni dziedziniec pałacu, a Kadiya tuż za nią. Król właśnie wjeżdżał w główną bramę. Na siodle za nim kulila się mała postać, którą Anigel początkowo wzięła za Jaguna lub Szikiego. Lecz ci dwaj dzielni

Odmieńcy jechali na własnych wierzchowcach tuż za Antarem, machając rękami na powitanie.

— Kogo on tam wiezie?! — zawołała Anigel do siostry. Zdyszana potknęła się i przystanąła. Antar dostrzegł ją, spał froniła ostrogami i pogalopował do żony. Wreszcie królowa zobaczyła, kto siedzi za królem i rozplakała się z radości.

— Moje maleństwo! Dzięki Bogu! Moi kochani, obaj jesteście cali i zdrowi!

Uśmiechnięty Antar ściągnął wodze, zeskoczył na ziemię i wziął małżonkę w ramiona. Kadiya, która stała z rękami opartymi na biodrach, podniosła wzrok na księcia Tolivara i zapytała cierpko:

— Będziesz miał nam wiele do opowiedzenia, prawda, młodzieńcze?

— Nic ważnego się nie wydarzyło. Uciekłem od czarownika podczas trzęsienia ziemi. Tata mnie znalazł. To było prawie jak czary.

— Ostatnio mieliśmy tak wiele do czynienia z czarami, że wystarczy nam na długo — powiedziała królowa do syna. — Myślę, że i ty masz ich dość.

— Tak, mam — odrzekł książę Tolivar.

Pozwolił, by go uścisnęła i pocałowała. Później ojciec wziął go za rękę i wszyscy wolnym krokiem weszli do Zotopaniońskiej Wieży w jasnym blasku słońca.

Haramis szła po schodach wieży. Na każdym piętrze Wieży ci, którzy nie brali udziału w walce, wychodzili z kryjówek nieśmiało jak lignity. Arcymagini zatrzymała się na krótko na drugim piętrze, dodając otuchy tym, których spotkała, mówiąc, że wojna się skończyła i że Laboruwenda zwyciężyła wrogów. Potem poprosiła o wskazanie jej jakiegoś spokojnego zakątka, w którym mogłaby odpocząć. Starszy już szlachcic zaprowadził ją do swoich komnat. Podziękowawszy mu, Haramis z ulgą zamknęła drzwi na klucz.

Pokoje nie były duże i oczywiście szyby wypadły podczas trzęsienia ziemi. Teraz jednak tylko lekki wiaterek zawiął przez okno, a łóżko było suche.

Haramis zdjęła buty, rozluźniła suknię i legła na pościeli. Zaraz jednak usiadła, przypomniawszy sobie, że nie wypełniła swego obowiązku. Musi... musi się upewnić, że Orogastus został wygnany. Po raz ostatni tego tak długiego, bogatego w wydarzenia dnia wzięła talizman do ręki.

— Pokaż mi Więzienną Przepaść.

Zrazu nie zrozumiała obrazu, jaki się jej ukazał. Dopiero po jakimś czasie zdała sobie sprawę, co oznacza ta masa roztrzaskanych kamieni. Była już zbyt zmęczona, żeby płakać.

To skutek trzęsienia ziemi, które nawiedziło cały Labornok i Ruwendę. Głęboki szyb pod Przybytkiem Mądrości zawalił się podczas ogromnego wstrząsu, grzebiąc jaskinię i Gwiazdę Przewodnią pod niewyobrażalnie ciężkim brzemieniem ziemi i skał.

— Gdzie... gdzie jest Orogastus?

— Odszedł drogą Zaginionych. Już go nie ma na tym świecie — wyjaśnił talizman.

Całkowicie nieświadomie wygnała Orogastusa do pozbawionej powietrza, zawalonej kamieniami jaskini. Zginął tam. Czy Iriane o tym wiedziała? A jeśli nawet, to przecież sprawa Arcymagini Łądu. Jeżeli Niebieska Dama wiedziała o zagładzie Więziennej Przepaści, nie musiała o tym mówić swej młodszej koleżance. Czarnoksiężnik zginął, a arcymagiczne prawa pozostały nie naruszone.

— Wszystko skończone... — szepnęła. — Przykro mi tylko, że tak się bał... O czym pomyślał, co go tak przeraziło?

Zamknęła wreszcie oczy i zapadła w sen.

EPILOG

Orogastus się ocknął w gęstych ciemnościach. Bolały go wszystkie kości i mięśnie.

Pod głową miał miękką poduszkę. Wsunął dłoń pod koce, którymi był przykryty. Były przyjemnie ciepłe i gładkie jak jedwab. Niejasno dostrzegł w pobliżu wysoki prostokąt. Ale przecież w Więziennej Przepaści na pewno nie było okien...

Usiadł, a potem wstał z łoża, na którym leżał. Wtedy zdał sobie sprawę, że jest zupełnie nagi, tylko stary medalion w kształcie gwiazdy wisi na łańcuszku u jego szyi. Prostokątny kształt rzeczywiście okazał się oknem z zaciągniętymi zasłonami. Kiedy je rozsunął, zaparło mu dech z zaskoczenia.

Gwiazdy! Więcej niż kiedykolwiek widział na niebie. I nie mrugające białym blaskiem, ale jarzące się nieruchomo wszystkimi barwami, jakie tylko mógł sobie wyobrazić. Wielka potrójna rzeka nieskończenie maleńkich gwiazdeczek płynęła pomiędzy większymi siostrami. Czy znał te konstelacje?... Tak, ale nigdy nie widział ich z tak bliska, nigdy nie wydawały się takie wspaniałe.

— Więc jednak umarłem. — Odwrócił się oszołomiony i opadł na stojące obok krzesło. Srebrzysta gwiazdna poświata zalala pokój. Dostrzegł szatę rzuconą na drugie krzesło i włożył ją bez zastanowienia. Zauważył jakieś drzwi. Kulejąc ruszył ku nim i uderzył boleśnie wielkim palcem stopy w coś, co leżało na podłodze.

Był to czarny sześciokąt.

Nagle zakręciło mu się w głowie. Zachwiał się i omal nie upadł. Chwyciwszy się jedną ręką słupka baldachimu i ściskając w drugiej gwiazdny medalion czekał, aż ochłonie ze śmiertelnego przerażenia. Później ukląkł i odważył się podnieść tajemniczy przedmiot. Był płaski, szeroki na jakieś pół ella i wykonany z gładkiego metalu. To Wielka Gwiazda Przewodnia Gwiazdnych Ludzi!

Nie wypuszczając jej z ręki, otworzył drzwi.

Zobaczył za nimi przytulny, obstawiony księgami gabinet. Zgrzybiały starzec o ciemnej twarzy podniósł na niego wzrok znad książki, którą właśnie czytał, uniósł siwe brwi i czekał.

— Kim jesteś? — szepnął Orogastus. — I dlaczego... — Wyciągnął ku niemu Gwiazdę Przewodnią.

— Nie będziesz jej potrzebował — odparł starzec. — Po prostu rzuć ją do kąta. Potem usiądź. — Wskazał na zakurzony kredens. — Napij się, jeśli chcesz. Nie zwracaj uwagi na moje złe maniery. Nieczęsto miewam gości. Prawdę mówiąc, jesteś pierwszy od bardzo dawna. Ale nagle ogarnęła mnie niepoohamowana chęć, żeby się wtrącić! — zachichotał z chytrą miną. — To bardzo dziwne. Jak cała ta sprawa. — Znów zagłębił się w czytaniu, jakby był zupełnie sam. Nad kredensem znajdowało się okno, w którym świeciły gwiazdy. Lecz dostrzegało się jeszcze coś: jak gdyby półksiężyc pomalowany jaskrawoniebieską i białą farbą. Orogastus przez długie minuty patrzył na to, nic nie rozumiejąc.

— Przyzwyczaisz się do tego widoku — powiedział Denby Varcour. — To jedna z największych zalet tego miejsca.